

Kevin J. Anderson
Miecz Ciemności

(Dark Saber)

Przekład Krzysztof Kurek

Kevin J. Anderson
Miecz Ciemności

(Dark Saber)

Przekład Krzysztof Kurek

Lillie E. Mitchel

*która wielce, acz niewidocznie przyczyniła się
do powstania tego dzieła, dając mi swobodę i moc,
bym mógł opowiedzieć tę historię równie żywo,
jak żywo zrodziła się w mojej głowie*

PODZIĘKOWANIA

Pragnę przesłać moje specjalne podziękowania Barbarze Hambly za pomoc w stworzeniu postaci Callisty i za to, że podsunęła mi tak wspaniały wątek dla *Miecza Ciemności*.

Jestem szczególnie zobowiązany Ralphowi McQuarrie'emu. Duża część tej opowieści jest ściśle związana z naszą pracą podczas tworzenia *Ilustrowanego Wszechświata Gwiezdnych Wojen*, które to dzieło stało się dla mnie istotną inspiracją.

Nar Shaddaa i Nal Hutta nie mogłyby stać się takie bez wkładu, jaki stanowiła praca Toma Veitcha i Cama Kennedyego związana z powstaniem ilustrowanych opowiadań *Imperium Ciemności*.

Kenneth C. Flint pomógł mi w napisaniu tej części mojej opowieści, która dzieje się na Tatooine; Timothy Zahn doradził mi, jak powinien wyglądać Pellaeon; Bill Smith i West End Games dali mi szczegółowe tło dla Hurtów i Crixu Madine'a.

Tom Dupree, Lucy Wilson, Sue Rostoni, Alan Kausch uczynili ten projekt w ogóle możliwym i asystowali podczas jego realizacji.

Moja żona, Rebecca Moesta, zrobiła dla mnie znacznie więcej – w sposób tak oczywisty, jak i całkiem nie oczywisty – niż wszystko to, co zdołałbym opisać na reszcie tej strony. Kocham cię.

Mija ósmy rok od czasu bitwy o Endor.

Wielki admirał Thrawn i Imperator zostali pokonani, a ich siły rozbite. Z potęgi Imperium pozostali jedynie skłócenii ze sobą dowódcy, walczący o pozostałości imperialnej machinerii wojennej, ukryci wśród systemów tworzących jądro galaktyki, daleko za liniami wroga. Admirał Daalę uważa się za martwą, ale w rzeczywistości uciekła ona na swym jedynym ocalałym gwiazdowym niszczycielu w rejon działań upadłego Imperium, gdzie próbuje włączyć się w walkę o imperialne terytoria...

Na Yavinie Cztery Luke Skywalker założył akademię, by odbudować zakon rycerzy Jedi, dawnych strażników Starej Republiki. Nauczył już wielu swych wychowanków, jak używać Mocy. Młodzi kandydaci na Jedi przybywają do niego, inni, którzy zakończyli już naukę, opuszczają akademię, by strzec kruchego przymierza Nowej Republiki.

Przed kilkoma miesiącami Luke zniszczył potężny gwiazdowy superpancernik, „Oko Palpatine'a", i uwolnił, uwięzionego przez dziesiątki lat w komputerze statku, ducha kobiety-Jedi, Callisty. Luke pokochał ją gorącą miłością, mimo że duch jej zamieszkuje teraz ciało jednej z jego uczennic. Choć Callista została przywrócona światu i pragnie odwzajemnić miłość Luke'a, w tajemniczy sposób straciła swoje zdolności Jedi.

Luke zdecydowany jest znaleźć sposób na przywrócenie Calliscie jej zdolności, nie licząc się z tym, dokąd mogłyby zaprowadzić go poszukiwania rozwiązania problemu...

Rozdział 1

TATOOINE

Banthy wlokły się ciężko jeden za drugim, pozostawiając za sobą jedynie wąski ślad łap odcisniętych w piachu.

Żar bliźniaczych słońc miażdżył kroczących w pochodzie. Gorące powietrze falowało niczym tarcze ochronne, rozmazując dystans i przemieniając Morze Wydm w rozległy piec. Miejscowe stworzenia chroniły się w każdej odrobinie cienia, jaką mogły znaleźć, do czasu aż ogniście popołudnie przechodziło w chłodniejszy zmierzch.

Banthy poruszały się bezgłośnie, jeśli nie liczyć stłumionych odgłosów ich kroków. Kudłatych bestii dosiadali owinięci warstwami tkaniny Jeźdźcy Tusken, rozglądając się bacznie naokoło.

Spowity całkowicie w pasy materiału, jednak niepewny swego przebrania Han Solo spoglądał niespokojnie przez wąskie metalowe rurki, zaprojektowane tak, by osłaniać oczy przed ciskaniem przez wiatr kamiennym pyłem. Jego usta zakrywał skorodowany metalowy filtr piaskowy z małym nawilżaczem, który czynił palące powietrze Tatooine bardziej zdatnym do oddychania. Inni Pustynni Ludzie posiadali niewielkie wentylatory porozmieszczane na okryciach. Jedynie najsilniejsi spośród nich dożywali wieku dojrzałego i szczycili się tym.

Han jechał na swoim wierzchowcu w samym środku pochodu, mając nadzieję, że nie zostanie zdemaskowany. Porośnięte gęstą sierścią zwierzę kołysało się na boki i Han starał się nie chwytąć za jego zakręcone rogi częściej niż inni jeźdźcy. Toporny grzbiet bantha porastało zbite w kłaki futro, a irytująco cienkie siodło sprawiało, że przejażdżka była prawdziwą torturą.

Han przełknął kolejny łyk drogiej wody i jęknął w duchu. To była, koniec końców, jego własna szalona propozycja. Po prostu nie spodziewał się, że Luke Skywalker tak chętnie na nią przystanie. Teraz Han utknął na dobre. Dla Nowej Republiki to była misja najwyższej wagi i musiał ją wykonać.

Rzucając niewyraźną komendę, przewodnik jeźdźców pośpieszył swoje zwierzę. Pochód brnął przez miazgi piachu, okrążając szczyt ruchomej wydmy, która tkwiła niczym wyniosły wartownik w sercu wypalonego ogniem oceanu. Han nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów wydmy, do czasu, aż znaleźli się nieco wyżej, choć jeszcze nie na szczycie.

Żar słońc wzmógł się wyraźnie, o ile w ogóle było to możliwe. Banthy krztusiły się i prychały, lecz Pustynni Ludzie całkowicie skupiali się na swoim zadaniu.

Han przełknął ślinę, próbując złagodzić palenie w gardle. W końcu nie mogąc już wytrzymać, przerwał milczenie i szepnął do komunikatora krótkiego zasięgu, wbudowanego w maskę, jaką miał na twarzy:

– Luke'u, co się dzieje? Mam złe przeczucia co do ich zamiarów.

Zanim Luke Skywalker odpowiedział, minęła chwila. Han obserwował, jak szczupły jeździec dwa banthy dalej prostuje się w siodle; wyglądało na to, że Luke czuje się w przebraniu znacznie lepiej

niż Han. Oczywiście, Luke dorastał na Tatooine jednakże usłyszawszy jego głos w słuchawce, Han wyczuł śmiertelne znużenie.

– To nie ma nic wspólnego z nami, Hanie – powiedział Luke. – Kilku Pustynnych Ludzi ma jakieś niejasne podejrzenia, jednak nie dotyczą one nas. Wykorzystuję Moc, aby zakłócić ich myśli, tak by nie zwrócili na nas uwagi. Nie, to coś całkiem innego. Prawdziwa tragedia... zobaczysz.

Luke ciężko wciągnął haust powietrza przez swoją maskę do oddychania.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Muszę się skoncentrować. Poczekaj do chwili, aż oni zaabsorbują się czymś naprawdę, wtedy wyjaśnię ci więcej.

W przedzie Luke w swym tuskeńskim przebraniu pochylił się znów w siodło. Han zdawał sobie sprawę, że przyjaciel zużywał olbrzymie ilości energii, usypiając czujność ludzi piasku, tak by ignorowali dwóch niepożądanych gości. Luke potrafił zamroczyć umysły słabych istot, lecz Han nigdy wcześniej nie widział, by manipulował tyloma umysłami równocześnie.

Sztuczka polegała na tym, by nie zostać zauważonym. Jednak gdyby ktokolwiek podniósł alarm i Pustynni Ludzie zwróciliby uwagę na intruzów, nawet mistrz Jedi nie byłby w stanie ciągnąć dalej tej gry. Wówczas wywiązałyby się walka.

Han miał przy sobie, ukryty pośród strzępów okrycia, blasterowy pistolet. Nie wiedział, czy razem z Lukiem daliby radę całej bandzie ludzi piasku, lecz na pewno dobrze wykorzystaliby wszystkie swoje możliwości, gdyby doszło do konfrontacji.

Przewodnik jeźdźców dotarł na szczyt piaskowego wzniesienia. Szerokie łapy bantha rozdeptywały ostrą linię utworzoną z piasku przez wiatr. Powietrze teraz było spokojne, a okruchy kwarcu lśniły jak miliard miniaturowych supernowych.

Han podregulował filtry przesłaniające jego oczy, by poprawić widoczność. Inne banthy także wgramoliły się wyżej i jeźdźcy otoczyli przewodnika, który uniósł spowitą w paski materiału rękę, potrząsając oszczepem. Za plecami tuskeńskiego przywódcy samotny pasażer opadł ciężko na siodło, jak gdyby przygnębiony, choć niełatwo było zrozumieć język ciała owych zamaskowanych i dziwacznych ludzi.

Han wyczuwał, że ten ponury pasażer był najważniejszym elementem całej ceremonii. Może chodzi o jakąś sprawę honorową, zastanawiał się Han, albo może zamierzają wydalić tego człowieka z plemienia?

Pasażer ześlizgnął się po grzbiecie bantha i opadł na ziemię. Zacisnął palce na wełnistych kudłach, niczym w rozpaczy, ale żaden dźwięk, nawet gardłowe odgłosy i prychnanie, jakich Tuskenowie używają jako języka, nie wydobył się z jego owiniętych tkaniną ust. Spuścił głowę, metalowe rurki przesłaniające jego oczy skierowane były w ziemię, gdzie łapy bantha zdeптаły piach, niszcząc naturalną strukturę diuny. Tkwił tak, strapiiony, przed swym zwierzchnikiem.

Przywódca stał obok niego, trzymając uniesioną broń; pozostali Pustynni Ludzie zeszli ze swych banthów i potrząsali w powietrzu oszczepami. Han i Luke, próbując nie odróżnić się od innych, naśladowali ich gesty.

Zamaskowany Luke Skywalker poruszał się powoli i ospale. To zadanie omal przerastało siły rycerza Jedi i Han miał nadzieję, że wyprawa nie potrwa zbyt długo.

Zrozpaczony i wyobcowany członek plemienia stał chwiejnie na krawędzi wydmy, wpatrzony w rozległy ocean ruchomych piasków, rozciągający się aż po horyzont. Tuskenowie stali w skupieniu, unosząc oszczepy jeszcze wyżej.

Gdy koncentrowali się w napięciu, w słuchawce w uchu Hana rozległ się głos Luke'a:

– W porządku, teraz nie zwróć na nas uwagi. Mogę ci wszystko wyjaśnić. Przed trzema dniami samotny tuskeński jeździec stracił swojego bantha. Zabił go smok krayt. Na nieszczęście jeździec ocalał i uciekł.

– Dlaczego na nieszczęście? – wymamrotał Han, licząc na to, że jego głos nie będzie głośniejszy niż dźwięki wydawane przez ludzi piasku.

– Jeźdźcy Tusken są bardzo mocno związani ze swymi banthami – odparł Luke. To więź mentalna, coś jak symbioza albo małżeństwo. Banth i Tusken stają się nierozzerwalną całością. Gdy jeden z nich ginie, drugi staje się niekompletny – jak gdyby mu amputowano połowę ciała. – Luke zacisnął bezwiednie palce swojej sztucznej dłoni. – Nie ma dla niego miejsca w tuskeńskiej społeczności, choć staje się raczej obiektem litości niż nienawiści. Wielu uważa, że jeździec powinien umrzeć u boku swojego bantha, niezależnie od okoliczności.

– Więc oni po prostu zamierzają go zabić? – spytał Han.

– Tak i nie – odpowiedział Luke. – Wierzą, że decyduje o tym duch zmarłego bantha. Jeśli duch zechce, by związał się z jakąś inną bestią, Tusken odszuka na pustyni jedno z tych stworzeń, dziko żyjące, zwiąże się z nim i powróci do swego plemienia w pełni chwały, gdzie zostanie zaakceptowany – nawet może czczony. Jednakże jeśli duch bantha zechce, by jeździec połączył się z nim w śmierci, wówczas wygnaniec będzie rozpaczliwie błąkał się po pustyni, do czasu aż umrze.

Han nieznacznie pokręcił głową.

– Nie wydaje się, żeby jego szanse były zbyt wielkie.

– Raczej nie, lecz takie są ich zwyczaje – oznajmił Luke.

Pustynni Ludzie czekali, aż wygnaniec zrobi pierwszy ruch. W końcu wydał z siebie pełen udręki okrzyk i ruszył ciężko w dół zbocza wydmy. Ludzie piasku przechylili głowy, obracając twarze w stronę rozpalonego nieba, a z ich gardel wyrwał się głośny, zawodzący jęk, który sprawił, że Han zadrżał.

Jeźdźcy Tusken potrząsali bronią, życząc powodzenia kompanowi. Banthy dźwignęły masywne, kudłate łby i ryknęły równocześnie, tak potężnie, że zdawało się, jakby grzmot przetoczył się przez Morze Wydm.

Samotny Tusken brnął w dół stromego zbocza. Złotawy kurz unosił się wokół niego, stopy zapadały w pył, a poły długiej szaty łopotały na wietrze. Potknął się nagle, zatoczył, wbił oręż w piach, wyciągając przed siebie drugą rękę, by utrzymać równowagę, i upadł ponownie.

Powoli dźwignął się z powrotem na nogi. Pył sypał się z fałdów jego stroju, lecz kroczył naprzód, nie oglądając się za siebie. Kilkoro zwierząt ryknęło ponownie. Dźwięk połknęła pusta, jałowa przestrzeń. Płowe barwy okrycia wyгнаńca sprawiły, że szybko zaczął zlewać się z tłem krajobrazu.

Przywódca odwrócił się i energicznym skokiem dosiadł swego bantha. Reszta Pustynnych Ludzi równie szybko wspięła się na siodła. Zwierzęta parskwały i przebierały niespokojnie nogami.

Han wdrapał się na grzbiet swego bantha. Luke, łapiąc z trudem równowagę, uczynił to jako ostatni. W tym czasie przewodnik zdążył już obrócić wierzchowca bokiem do pozostałych i ruszył powoli w dół łagodniejszego zbocza. Wszyscy ludzie piasku ruszyli za nim gęsiego, trzymając się blisko siebie, by zmylić ślad.

Han zaryzykował rzut okiem za siebie. Zdołał jeszcze wypatrzeć mającego w oddali wygnanego Tuskena, który powoli, lecz uparcie parł naprzód, aż fale gorącego powietrza zupełnie rozmazały jego drobną postać. Wkrótce został całkowicie wchłonięty przez bezlitosne Morze Wydm.

Upalny dzień zdawał się wlec w nieskończoność. Han jechał w dziwnym zamroczeniu, niemal nieświadom tego, co działo się wokół niego, na wpół zahipnotyzowany kołysaniem stąpającego zwierzęcia. Patrząc na Luke'a, który siedział w swym siodle wyprostowany, Han zastanawiał się, jakiego rodzaju energię wykorzystywał rycerz Jedi.

Grupa rozbiła obóz pośród nieregularnie rozrzuconych skał, których labirynt znaczone był gdzieś tam nieforemnymi kamiennymi iglicami, wznoszącymi się ponad zwałami nadmuchanego przez wiatr piachu. Po podwójnym zachodzie słońca zapadły szybko ciemności i temperatura obniżyła się błyskawicznie. Przez chwilę skały wydzielaly z siebie pulsujące, nagromadzone za dnia ciepło, lecz szybko wystygły.

Pomrukując i pocharkując w swym niepojętym języku, ludzie piasku stawiali obóz. Każdy znalazł swoje zadanie. Każdy lub każda – Han nie był w stanie określić, czy dana osoba w pleminiu jest mężczyzną, czy kobietą. Luke mówił, że jedynie małżonkowie mogli nawzajem oglądać swe nie zakryte niczym twarze.

Dwu młodszych członków pleminia utworzyło niewielki krąg z płaskich kawałków skał i ułożyło stos wyschniętego łąjna banthów, jak domyślał się Han – był to bowiem jedyny dostępny surowiec opałowcy na tym pustkowiu.

Han i Luke krzatali się, udając, że są zajęci. Banthy puszczone luzem do pobliskiego małego kanionu, gdzie mogły odpocząć przez resztę nocy. Niektórzy jeźdźcy otworzyli paczki z włóknistym suszonym mięsem. Han i Luke odebrali swój przydział i kucnęli na otoczkach.

Han uniósł ostrożnie maskę do oddychania i wetknął kawałek mięsa do ust. Przeżuwając, zmarnował kilka łyków wody, by uczynić strawę zjadliwą.

– Co to za paskudztwo? – mruknął do miniaturowego mikrofonu.

Luke odpowiedział, nie spoglądając w jego kierunku:

– Suszony i solony kawałek dewbacka, jak sądzę.

– Smakuje jak kawałek skóry – westchnął Han.

– Ale jest bardziej pożywne niż skóra... tak myślę – stwierdził Luke. Skierował swe metalowe okulary na Hana, który jednak nie mógł dostrzec nic w owiniętej pasami materiału twarzy.

Gdy Pustynni Ludzie skończyli posiłek, zgromadzili się wokół ogniska, gdzie – w najlepiej oświetlonym miejscu – usadowił się przygarbiony wysoki Jeździec. Z jego ostrożnych, powolnych ruchów oraz milczącej czci, jaką oddawali mu pozostali Tuskenowie, Han wywnioskował, że jest to bardzo stara osoba.

– Opowiadacz – oświadczył Luke, którego cichy głos rozległ się w uchu Hana.

Inni Jeźdźcy Tusken wyciągnęli długie żerdzie i rozwinęli jasne plemienne chorągwie, na których tkwiły jakieś dziwne postrzępione linie. Z pewnością były to totemy i symbole, jakich nie widział nigdy nikt spoza pleminia.

Młody, przejęty Tusken przysiadł obok opowiadacza. Inni poszli po pozostawione przy banthach różnego rodzaju trofea, pomocne w snuciu opowieści. Przynieśli strzępy zniszczonych, poplamionych krwią sztandarów. Han rozpoznawał rozbite, potrzaskane hełmy szturmców, gromadzone jak czaszki zabitych wrogów. Dostrzegł jasny mleczny kamień, wielkości pięści, który, jak spostrzegł od razu, był perłą smoka krayta, jednym z najrzadszych klejnotów, jakie można było znaleźć na Tatooine.

Starzec uniósł ręce i zaczął mówić. Wszyscy Jeźdźcy Tusken siedzieli jak zaczarowani, gdy płynęła ta opowieść w języku pełnym dziwnych gardłowych odgłosów i ledwie rozpoznawalnych niewyraźnych dźwięków, które mogły być słowami.

Luke tłumaczył wszystko Hanowi.

– Opowiada o ich ekspilotach, jak wiele lat temu pokonali cały regiment szturmowców. Jak zabili pustynnego smoka krayta i wydobyli z jego gardzieli perły. Jak zwyciężyli inny tuskeński klan, wybijając wszystkich dorosłych i adoptując ich dzieci, w ten sposób zwiększając swą liczebność.

Starzec skończył mówić i przysiadł nieco niżej, zwracając się w stronę młodego, niedojrzałego jeszcze członka plemienia. Dwu Jeźdźców Tusken stało po bokach chłopca, z bronią nakierowaną ku niemu. Opowiadacz wznosił drżącą rękę, obrócił nieco dłoń i trzymał tak, jakby był to nóż. Młody chłopiec, po chwili wahania, zaczął powoli mówić.

– Co teraz? – rzucił Han.

Luke odpowiedział natychmiast:

– Ten chłopiec przechodzi trening, jako przyszły opowiadacz klanu. Tuskenowie głęboko wierzą w tradycję. Raz nadana historii forma ustnego przekazu musi pozostać nie zmieniona. Ten chłopiec nauczył się opowieści: opowiada ją właśnie teraz.

– Ale po co broń? – zdziwił się Han. – Wygląda, jakby byli gotowi zabić biednego dzieciaka.

– Zabiją go, jeśli zrobi choć jeden błąd. Gdy chłopak przekreśli choćby słowo, opowiadacz opuści dłoń, a Tuskenowie zabiją jego ucznia natychmiast. Uważają, że opowiadanie historii w jakikolwiek sposób inny niż oryginalny jest wielkim bluźnierstwem.

– Niewiele w ogóle tu miejsca na błąd, nieprawda? – szepnął Han.

Luke pokręcił głową. Pozostali Tuskenowie całkowicie koncentrowali się na wystąpieniu chłopca.

– Pustynia to surowe miejsce, Hanie. Nie ma tu wiele miejsca na błędy. Ludzi piasku ukształtowało ich otoczenie. Mają okrutne zwyczaje, ale to okrucieństwo zostało im narzucone.

Chłopiec skończył i stary opowiadacz uniósł drugą dłoń, w geście pochwały. Młody uczeń siadł na ziemi ciężko, lecz z ulgą, pozostali Pustynni Ludzie pomrukiwali z uznaniem.

Po chwili dołożono do ognia, a Jeźdźcy Tusken zaczęli przygotowywać się do snu.

– Zamierzam trochę odpocząć – oświadczył Han. – Nie spałeś od dwu dni, Luke'u. Nie możesz poczekać, aż wszyscy zasną i potem zdrzemnąć się samemu?

Luke pokręcił głową.

– Nie śmiem. Jeśli przestanę kontrolować ich umysły, jeśli przestanę na nie wpływać, mogą natychmiast zdać sobie sprawę, że jesteśmy obcy. Jeżeli ktokolwiek podniesie alarm, będziemy zgubieni. Poza tym Jedi może wytrzymać długo bez snu.

– Skoro tak mówisz... – odrzekł Han.

– Powinniśmy dotrzeć do pałacu Jabby jutro. – W głosie Luke'a wyczuwało się zmęczenie i nadzieję.

– Nie mogę się doczekać – odrzekł Han. – To znaczy, nieźle się bawiliśmy, gdy byliśmy tam ostatnio.

Rozdział 2

Pustynni Ludzie wstali w lodowatej ciemności, zanim któreś z bliźniaczych słońc Tatooine zdołało wspiąć się ponad horyzont. Han trząsał się, jego strój w żaden sposób nie chronił przed zimnem. Luke poruszał się bardziej ospale niż kiedykolwiek.

Han patrzył z troską na przyjaciela. Nie dość, że był wyczerpany, Luke zadreślał się, że nie jest w stanie pomóc Calliście – kobiecie-Jedi, którą kochał – w odzyskaniu straconej umiejętności. Teraz, po tych ciężkich dniach, które upłynęły na ciągłym narażaniu się na niebezpieczeństwo, na ukrywaniu się pośród okrutnych nomadów, siły życiowe Luke'a były poważnie nadwątlone.

Jeźdźcy Tusken dosiedli swych banthów. Kudłate bestie przebierały nogami niecierpliwie, jak gdyby chciały wyruszyć jak najszybciej, zanim ogarnie wszystko żar dnia. Bezgłośnie, z gotowymi do strzału oszczepami i blasterowymi miotaczami, opuścili nocne schronienie. Niebo zabarwiało się purpurą, z czasem przechodząc w błękit przetykany delikatnym złotem.

Gdy wzeszło pierwsze słońce, Han już po paru chwilach poczuł, jak temperatura gwałtownie rośnie. Powietrze, które wdychał przez swój filtr, było ciężkie i metaliczne, ale znosił to w milczeniu.

Myślał o Leii i trojgu dzieciach zostawionych na planecie Coruscant i wyobraźnią wracał do spokojnego życia, jakie wiedzie drobny, ale wzięty handlarz. Han jednak skrzywił się po chwili: takie spokojne życie mogłoby być torturą gorszą niż wymyślone przez Pustynnych Ludzi.

Około południa Tuskenowie dotarli na szczyt skalistego wzniesienia, z którego rozciągał się widok na ruiny pałacu Hutta Jabby. Potężny monolit cytadeli wznosił się wśród skal. W pierwszej chwili, na ten widok Hana przeszedł dreszcz.

– Mówiłem, że nas tu doprowadzę – rzucił Luke do mikrofonu.

– Jeszcze nie jesteśmy w środku, chłopcze – odrzekł Han.

– Kiedy się odłączę, jedź za mną – powiedział Luke. – Zaciemnię umysły ludzi piasku, tak że nie zauważą, jak się z nimi rozstaniemy. Gdy się oddalimy, będę mógł przestać ich kontrolować – reszta na pewno ułoży się pomyślnie.

W oddali, pośród pulsującego oceanu piasku, ruch powietrza utworzył niewielki piaskowy wir, jaki niekiedy tworzy się na pustych przestrzeniach. Luke zdecydował się to wykorzystać.

Przewodnik mruknął coś, wskazując oszczepem na wir i obrócił swego bantha w tę stronę. Pozostali Pustynni Ludzie także się obrócili, zafascynowani pustynnym zjawiskiem. Porozumiewali się ze sobą pomrukując i pogwizdując przez filtry.

Luke wykorzystał chwilę zamieszania i skierował bantha w przeciwną stronę, wyłamując się z szeregu Jeźdźców Tusken.

Han oparł się o twarde, zakrzywiony róg swojego zwierzęcia. Nie mógł uwierzyć, że to się uda, ale razem z Lukiem już zjeżdżali po piaszczystym zboczu wzniesienia. Wzbijając kurz, ich banthy powoli przemierzały rozległą nieckę, kierując się w stronę skalistego kanionu, prowadzącego do

pałacu Jabby.

Han obejrzał się, niespokojny, ale żaden z Jeźdźców Tusken nie patrzył za nimi. Pustynni Ludzie wciąż wskazywali oszczepami i miotaczami na piaskowy wir, pokrzykując ku niemu, jak gdyby był wrogą armią.

Luke i Han wjechali pomiędzy zniszczone kamienne ściany wąskiego kanionu i ogarnął ich cień. Zerodowane, popękane od żaru głady wznosiły się po obu stronach, uderzenia łap banthów o spalony słońcem piach i skostniały muł przypomniały stąpanie po solidnej betonowej posadzce, gdy jeźdźcy zbliżali się ku niewysokiemu wejściu do pałacu Jabby.

Luke westchnął z ulgą.

– Udało się! – krzyknął. – Pewnie w ogóle nie będą nas pamiętać.

– Tak – odrzekł Han – i przebyliśmy całą drogę z Anchorhead nie zauważeni przez nikogo – żadnych szpiegów, żadnych świadków, żadnych dowodów. Teraz możemy sprawdzić, co się tu dzieje, i wracać do domu.

Nieprzyjemny, ostry wiatr przemknął przez kanion i między minaretami pałacu Jabby, a powietrze wypełniły przykre dźwięki przypominające pojękiwania. W wysokich obserwacyjnych wieżach otworzyły się czarne okna, niczym ślepia. Han spojrzał w górę i dostrzegł mrowie blasterowych działek sterczących pośród wypalonych murów. Nieliczne jaszczurki przemykały tu i tam, szukając cienia w zakamarkach spękanych skał.

Han nie widział zbyt dobrze poprzez wąskie tuby tuskańskich okularów. Z obrzydzeniem zdjął z głowy bandaż i ściągnął metalowe osłony oczu, po czym cisnął to wszystko na ziemię. Wziął głęboki haust pełnego pyłu powietrza i kaszlnął.

– Chłopie, cieszę się, że się wreszcie tego pozbyłem.

Twarz Luke'a wyglądała monstrualnie, spowita na tuskański sposób; ale i on w końcu pozbył się przebrania, ostrożnie rozwijając przykrywającą głowę szmaty.

Han patrzył w zadumie na rumowisko. Jabba nie był pierwszym panem tego wielkiego pałacu. Został on zbudowany wieki wcześniej, zanim występny władca z rodu Huttów narodził się czy wykuł... czy jak tam mali Huttowie przychodzą na świat.

Dawno temu wygnani mnisi z zakonu B'omarr znaleźli ustronne miejsce na spokojnej planecie Tatooine i wzniesli potężny klasztor, trzymając się z dala od pozostałych mieszkańców tego świata. Pewien czas później ograbiający farmerów bandyta Alkhara przedostał się do klasztoru, wykorzystując go jako kryjówkę. Mnisi E'Tomarr zdawali się nie przejmować obecnością Alkhary, całkowicie go ignorując.

Od tej chwili wielu różnych wyrzutek, gdzie indziej niepożądanych, tworzyło swoje kwatery główne w zakamarkach klasztoru – ostatnim z nich był Hutt Jabba. Po śmierci Jabby, pod Wielką Jamą Carkoon, między sługami Jabby wybuchła walka o to, kto ma przejąć spadek po występny władcy. Pałac został splądrowany i ograbiony.

Gdy przestępcze imperium Jabby legło w gruzach, tajemniczy mnisi skorzystali z okazji, by odzyskać to, co należało do nich, i wybili byłych podopiecznych Jabby, którzy nie zdołali umknąć w porę. Od tamtego czasu pałac pozostawał raczej rzadko odwiedzanym miejscem, unikanym przez wszystkich z wyjątkiem nielicznych śmiałków.

Jednak ostatnio zaczęły gdzieś krążyć niepokojące plotki, że jacyś Huttowie węszą w okolicach opuszczonej twierdzy i szukają czegoś – czegoś na tyle ważnego, by ryzykować powrót.

Luke ześlizgnął się z grzbietu swojego bantha i poklepał jego futrzany bok. Zwierzę prychnęło i

zaczęło przebierać nerwowo nogami.

Przed przybyszami majaczyły skorodowane wrota, durastalowa powierzchnia naznaczona wieloma śladami po strzałach z blasterowej broni. Niektóre ślady były całkiem nowe i świeże, inne musiały liczyć dziesiątki lat. Luke i Han zbliżyli się. Z biegiem lat obwody kontrolne popsuły się lub zostały zniszczone i ciężka bariera, zaklinowana, unosiła się nieco nad ziemią. W około półmetrowej przerwie gromadziły się zwały piachu. Chłodna bryza o zgniłym zapachu sączyła się przez otwór, płynąc z głębi ciemnych korytarzy.

– Myślę, że możemy się przeczołgać – powiedział Han bez entuzjazmu, wodząc palcami po powierzchni solidnych durastalowych wrót.

Luke podszedł do pokrytego jakimś porostem zewnętrznego panelu kontrolnego.

– To może osunąć się i zmiażdżyć nas obu, co zresztą pasowałoby do złośliwości Jabby. Najpierw spróbuję coś zrobić z tymi klawiszami.

Gdy tylko Luke dotknął jednego z przycisków, pośrodku drzwi pojawił się mały otwór. Wysunęła się z niego zardzewiała metalowa szypułka, na końcu której tkwiło sztuczne oko – część systemu inwigilacyjnego Jabby. Słowa wyrzucane przez maszynę były przekręcone i zlewały się w bełkot, jak gdyby programował ją szaleniec.

Zrządzenie syntezatora głosu przekraczało to, co zmordowany Han potrafił znieść. Sięgnął pomiędzy zwoje szmat, które miał na sobie, wyciągnął blasterowy pistolet i zamienił zepsutą część maszyny w dymiące kawałki metalu i zwój poszarpanych kabli.

– Zamknij się wreszcie! – rzucił i odwrócił się do Luke'a, uśmiechając się szelmowsko. – Nie podobał mi się sposób, w jaki to coś patrzyło na nas.

Luke wrócił do pracy nad systemem zabezpieczającym drzwi i w końcu bariera z głośnym zgrzytem uniosła się jeszcze o metr, po czym zablokowała się na dobre.

– Myślisz, że to dosyć? – zapytał.

Zanim Han zdołał odpowiedzieć, wiązka energii z blasterowej broni w potężnym rozbłysku uderzyła w metalowe wrota, tworząc jeszcze jedną srebrzystą szramę na ich powierzchni.

– Co się dzieje?! – krzyknął, obracając się w miejscu.

Stojące nieopodal banthy parsknęły. Następna blasterowa błyskawica przecięła kanion i wypaliła dziurę w pustynnym przebraniu Hana, o włos mijając jego pierś. Han, zszokowany, chwycił za strzępy szaty, wpatrując się w dymiący otwór.

Cała banda Pustynnych Ludzi zjeżdżała w dół kanionem, popędzając dziko swe banthy. Wymachiwali oszczepami i strzelali na oślep z blasterowych miotaczy. Zwierzęta Luke'a i Hana stanęły dęba.

– Zdaje się, że przestałeś zaciemniać ich umysły zbyt szybko – stwierdził Han, nurkując ku częściowo otwartym drzwiom. – Musieli znaleźć nasze ślady.

– Myślę, że te drzwi są wystarczająco uchylone – odparł Luke, chowając się w cieniu obok Hana.

– Gdybym tylko wiedział, jak je zamknąć...

Kolejne strzały z blasterów dotarły do wrót, wypełniając stęchłe korytarze huczącym echem. Ludzie piasku wyrzucali z siebie jakieś wściekłe gardłowe odgłosy, ich banthy porykiwały, miotając się przy drzwiach.

Luke znalazł wewnętrzny panel sterowania drzwi i chwycił za wiązkę splątanych, zniszczonych kabli. Pojawiła się jedna słaba iskra, po czym cały panel sterowania zamarł ostatecznie.

– Lepiej wymyśl coś szybko, Luke'u! – powiedział Han, przykucając z blasterowym pistoletem w

dłoni.

Jeden z Pustynnych Ludzi oddał strzał do ciemnego wnętrza; świetlista struga przecięła powietrze i odbiła się od kamiennego podłoża za plecami Luke'a i Hana. Han wypalił ze swojego pistoletu, celując w obandażowane nogi, które dostrzegł na zewnątrz. Jeździec Tusken jęknął i przewrócił się na plecy.

Luke zostawił panel kontrolny i stanął prosto, z rękoma zawieszonymi luźno po bokach. Zaciśnął pięści, po chwili rozluźnił je i zaczął koncentrować się na Mocy.

Rozległ się zgrzyt i jęk metalu, gdy Luke pokonał mechanizm blokujący ciężkie drzwi. Raptownie, z potężnym hukiem, wrota zwały się w dół, wzbijając tumany kurzu i odcinając dostęp światła do wnętrza.

– To było naprawdę niezłe – odezwał się Han. – Sądzę, że nie pamiętałeś o tym, by zabrać ze sobą podręczną latarkę?

Luke sięgnął pomiędzy zwoje swego okrycia.

– Jedi zawsze przychodzi przygotowany – odparł i wyciągnął miecz świetlny, wciskając przycisk wysuwający klingę. Z gwałtownym sykiem, z jednego końca przedmiotu wystrzeliło wibrujące, zielonkawe ostrze, pręt jasnego, jarzącego się światła, które zmusiło Hana do przesłonięcia oczu dłonią.

– Może niezbyt to imponujące wykorzystanie świetlnego miecza – stwierdził Luke – ale nie mamy innego wyjścia.

Obaj zaczęli zagłębiać się dalej w kręte korytarze, mijając mroczne katakumby i zmierzając do sali tronowej Jabby. Nie wiedzieli dokładnie, czego szukają, ale byli przeświadczeni, że raczej nie spotkają niczego przyjemnego.

– Zapewne to miejsce lepiej wyglądało za czasów Jabby – powiedział Luke.

– Może wszystkie roboty gospodarcze w końcu wysiadły – odrzekł Han.

Do opustoszałej sali tronowej, gdzie spasiony Hutt przeprowadzał zwykle sąd nad swymi ofiarami, światło miecza Luke'a wdarło się niespodziewanie, czyniąc zamieszanie wśród wszelakiego robactwa.

– Ci dziwni mnisi B'omarr wciąż żyją w tym miejscu – oznajmił Han. – Ale nie wydaje się, by się zbyt śpieszyli z uprzątnięciem komnat, w których mieszkał Jabba.

– Nie wiem, czy komukolwiek udałoby się zrozumieć zakon B'omarr – odpowiedział Luke. – Z tego, co słyszałem, kiedy uzyskują stan najwyższej światłości umysłu, każdy mnich przechodzi rodzaj operacji, podczas której usuwa się jego mózg i umieszcza w naczyniu podtrzymującym życie. To pozwala im na myślenie nie zakłócone przez wpływy ciała i na swobodne rozważanie wielkich tajemnic.

Han chrząknął i spojrzał prosto w czyste, niebieskie oczy Luke'a.

– Dobrze, że Jedi nie czynią podobnych nonsensów.

Luke uśmiechnął się do przyjaciela.

– O ile pamiętam, nazywałeś Moc religijnym hokus-pokus, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy.

Han odwrócił wzrok, nieco zakłopotany.

– No cóż, od tamtego czasu trochę zmądrzałem.

Nagle rozległy się tępe, mechaniczne dźwięki, tak głośne, jak echo eksplozji w jakiejś odległej komnacie. Dwaj mężczyźni odwrócili się raptownie: Luke trzymając w gotowości swój świetlny miecz, Han mierząc z blasterowego pistoletu. Warkot serwomotorów i odgłosy metalowych nóg

stawały się wyraźniejsze, liczne stopy stukwały o posadzkę niczym małe kilofy. Hanowi ścierpła skóra na wspomnienie krystalicznych energożernych pajaków, które zamieszkiwały mroczne kopalnie na Kessel.

To, co wyłoniło się z cienia, nie było jednak ani do końca robotem, ani całkowicie istotą żywą. Stanowiło zespół wielu mechanicznych odnóży – poruszających się jakoś niezdarnie, jak gdyby ich odruchy były tylko częściowo kontrolowane zautomatyzowanego, metalowego owada, który potykając się, wpadł do sali tronowej. Zawieszony pomiędzy odnóżami, tam gdzie powinien znajdować się odwłok pająka, tkwiło okrągłe naczynie wypełnione nieokreślonym płynem, który kipiał i bulgotał, podtrzymując przy życiu umieszczony w środku naczynia pomarszczony, gąbczasty ludzki mózg.

– Niech to licho! – wymamrotał Han. – To jeden z tych mnichów. Kto wie, czego oni chcą? – Wycelował pistolet prosto w pojemnik z mózgiem.

– Nie – rozległ się monotony, przetworzony głos, wydobywający się z małego głośnika umocowanego na mechanicznych nogach.

Luke uniósł swą pustą dłoń.

– Poczekaj, Hanie... Nie ma niebezpieczeństwa.

– Jesteście... przyjaciółmi Jabby? – spytał dziwaczny pajak.

– Mam znacznie lepszy gust, jeśli chodzi o przyjaciół – odpowiedział Han. – A kim ty jesteś?

Odnóża pająka zachybotwały się, jakby mózg przestał się na nich koncentrować i stracił nad nimi kontrolę.

– Nazywam się Maizor. Swego czasu rywalizowałem z Jabbą. Doszło między nami do... konfrontacji i ja przegrałem. – Syntetyczny głos zamilkł na moment. – Jabba polecił mnichom, by przeprowadzili na mnie operację i umieścili mój mózg w tym pojemniku.

Im dłużej trwała wypowiedź, tym bardziej mechanicznie brzmiały słowa.

– Używam tych odnóży, gdy zapragnę przejść się po korytarzach. Minał cały rok, nim przestałem krzyczeć w milczeniu i przywykłem do mojej nowej sytuacji. Jabba trzymał mnie w pałacu dla żartu, by móc śmiać się z tego, jak żalonym stworem się stałem.

Odnóża znów drgnęły spazmatycznie, głos wydobył się jednak głośniejszy, pobrzmiwało w nim lekceważenie.

– Teraz Jabba jest martwy. Pałac opustoszał. Ja jestem ostatnim, który się śmieje.

Han i Luke spojrzeli po sobie. Han opuścił broń.

– No cóż, każdy wróg Jabby jest moim przyjacielem – oznajmił. – Prawdą mówiąc, byliśmy tam, przy Wielkiej Jamie Carkoon, gdzie zginął Jabba.

– Jestem wam zobowiązany – stwierdził Maizor. Systemy podtrzymujące życie jego mózgu rozjarzyły się bladym światłem.

– Więc może byłbyś w stanie nam pomóc – powiedział Luke. Jego głos był spokojny, przesycony energią Jedi. – Szukamy informacji. Doszły nas pewne wieści. Jeżeli byłeś tu w pałacu, może widziałeś coś, co będzie dla nas ważne.

– Tak – zaczął Maizor. – Wielu obcych trafiało tu ostatnio. Duża aktywność. Bardzo tajemnicze.

– Czy możesz nam powiedzieć, kim byli przybysze, czego szukali? – spytał Han, zdziwiony, że odpowiedzi uzyskiwali tak łatwo. – Musimy wiedzieć, co zamierzają Huttowie.

– Huttowie – powtórzył mechaniczny głos. – Gardzą Hurtami. Wielu Hurtów wdarło się tu. Prowadzili poszukiwania.

– A czego szukali? – nalegał Han.

– Informacji. Informacji Jabby. Jabba posiadał potężną wiedzę zgromadzoną w sekretnych bankach danych. Miał szpiegów wszędzie, zbierał dane, by je wykorzystywać lub sprzedawać. Jabba był nie tylko ważną osobistością świata przestępczego. Bardzo dużo wiedział o Rebelii – Imperium nie chciało zapłacić mu tyle, ile żądał, dlatego nie mogło wykorzystać tych informacji. Jabba znał także wiele tajemnic Imperium.

Nogi pająka zgięły się w stawach, po czym znów wyprostowały.

– Tajemnice Imperium. Ich właśnie szukali Huttowie.

– W jakim celu? – spytał Luke. – Przecież Imperium upadło. Co Huttowie mogliby zrobić z tymi informacjami?

– Tajemnice Imperium – powtórzył Maizor. – Imperialny Ośrodek Gromadzenia Informacji, wielka baza danych na Coruscant. Jabba znał różne tajne hasła. Mógł uzyskać dostęp nawet do najpilniej strzeżonych danych Imperium.

Han wydawał się przerażony.

– Czy to znaczy, że Huttowie są w stanie włamać się do naszych komputerów? To niemożliwe! Dawno zablokowaliśmy dostęp do wszystkich zbiorów.

– Jabba miał sposoby, by uzyskać do nich dostęp – upierał się Maizor.

– Powiedz mi – włączył się Luke – czy Huttowie, którzy tu przybyli, znaleźli to, czego szukali?

– Tak – odparł pająk. – Zamierzają stworzyć na swój użytek niezwyciężoną broń. Zbrodniczy syndykat Huttów będzie potężniejszą siłą niż Rebelia czy to, co pozostało po Imperium. – Maizor wzdrygnął się. – Nienawidzę Huttów.

Han jęknął.

– No nie, nie jeszcze jedna superbroń!

– Czy znasz jakieś szczegóły ich planów? – zapytał Luke, podchodząc bliżej do pojemnika z mózgiem. – Coś szczególnego?

– Nie – odpowiedział Maizor. – Mają klucz, którego szukali, i teraz zrobią następny krok.

Han ponuro pokiwał głową spoglądając na Luke'a.

– Musimy wrócić na Coruscant i zdać sprawozdanie Leii. Trzeba wzmocnić straż Nowej Republiki.

Luke wyłączył miecz świetlny, a pomieszczenie ogarnął ciężki gęsty cień. Sięgnął przed siebie, by oprzeć palce na krawędziach naczynia, w którym spoczywał mózg Maizora. Płyn wewnątrz pojemnika wciąż bulgotał, powierzchnia płynu falowała naznaczona drobnymi bąbelkami powietrza, lecz sam mózg znajdował się w bezruchu.

– Czy jest coś, co moglibyśmy uczynić dla ciebie? – zapytał Luke. – Może byłbym w stanie pomóc ci znaleźć spokój?

Z syntezy głosu wydobył się ostry, nieprzyjemny dźwięk.

– Nie, Jedi. Mnisi B'omarr ulżyli mi już najlepiej, jak umieli. Dla mnie możesz zrobić tylko jedno – powstrzymać Huttów. Zwyciężyć ich i upokorzyć. – Pajęcze odnóża wygięły się do przodu i do tyłu. – Zostanę tu w samotności – nie przestając się śmiać z losu Jabby. To moja nagroda.

Rozdział 3

Po tym, jak banthy uciekły, pozostawiając ich osamotnionych w pałacu Jabby, Han zaproponował Luke'owi, by zbadać hangary z maszynami, znajdującymi się na niższych poziomach. Gdyby udało się im doprowadzić do stanu użyteczności któryś ze śmigaczy i opuścić ruiny, przebyliby drogę w dość krótkim czasie. Luke przystał na to, jednak jego umysł pochłonięty był czymś, co było powodem, dla którego przybył na Tatooine.

Przy słabym świetle starych paneli jarzeniowych Han grzebał w mechanicznych podsystemach uszkodzonych maszyn. Przypominające złom silniki i kawałki kadłubów – oto co zostało po panicznej, masowej ucieczce podopiecznych Jabby. Niewiele z tego, co porzuciła świta Jabby, rozkradziono – w pomieszczeniach remontowych pozostały rozmontowane śmigacze i maszyny latające, których nie pozbywano się ze względu na części.

Han i Luke pracowali ramię w ramię, wymieniając podzespoły i modyfikując, co się tylko dało. W końcu otworzyli jedne z potężnych, bocznych drzwi hangaru, a pomieszczenie, w którym pracowali, wypełniło się światłem słonecznym. Zasiedli na dwu zdezelowanych maszynach, które przypominały Luke'owi skutery, na jakich on i jego siostra Leia szaleli po lasach Endoru.

Luke umiejscowił się na powyginanym metalowym siodełku, starając się znaleźć stosunkowo wygodną pozycję.

– Dawno już nie robiłem nic podobnego – oświadczył Luke. – Wydaje się, że wszystko w porządku.

– Jak za dawnych lat, chłopcze. – Han włączył silniki odrzutowe i rozległo się głośne buczenie.

– Kierunek – kosmoport w Mos Eisley, i opuszczamy tę planetę.

– Poczekaj, Hanie – powiedział Luke, a jego twarz zdradzała, że myśli o czymś intensywnie. – Jest coś, co muszę przedtem zrobić. Będziemy musieli nieco zboczyć, w rejony Pustkowi Jundlandii.

Han spojrzał w jego stronę, przygryzając wargę, potem potrząsnął głową.

– Tak, z tego, jak się zachowywałeś, sądziłem, że coś ci chodzi po głowie. Czy to ma jakiś związek z Callistą?

Luke pokiwał głową, ale nie zdradził żadnych szczegółów. – Chyba powinienem się nauczyć przez te wszystkie lata, że kiedy obok jest Jedi, nic nie jest proste i jednoznaczne – stwierdził Han.

Luke żywił nadzieję, że uda mu się rozwiązać problem Callisty. Wieść o sekretnym planie Hurtów wzbudziła jego niepokój, ale w głębi serca cierpiał przede wszystkim z powodu rozdzielenia z ukochaną. Pragnął gorąco być z nią, pragnął jej pomóc.

Złączeni więzią Mocy, on i Callista zrozumieli, że są sobie przeznaczeni, już w pierwszej chwili spotkania. Pasowali do siebie jak dwa fragmenty precyzyjnej, skomplikowanej układanki. Callista była idealną partnerką dla Luke'a, a on dla niej. Będąc Jedi, oboje wiedzieli to, co tylko niewiele innych osób mogłoby pojąć.

Choć Callista urodziła się dziesiątki lat przed Luke'em, jej duch został uwięziony w komputerze na pokładzie superpancernika „Oko Palpatine'a". Luke pokochał Callistę, jeszcze zanim naprawdę wróciła do życia, przybierając jako cielesną formę ciała jednej ze studentek Luke'a, która poświęciła się, by zniszczyć pancernik.

Teraz Callista fizycznie znów stanowiła osobę z krwi i kości. Była piękna. Mogli być razem.

Jak na ironię, Callista, choć wróciła do życia, utraciła swoje zdolności Jedi, co przerwało łączącą ich specjalną więź, mentalną i duchową. Została im jedynie pamięć tych niezwykłych dni, jakie spędzili razem, uwięzieni na pokładzie „Oka Palpatine'a".

Ale to wystarczało, by ich miłość trwała i by nie przestawali szukać rozwiązania problemu Callisty. Luke wiedział, że nie podda się, póki nie znajdzie sposobu, żeby przywrócić ukochanej jedność ciała i ducha. Jej zdolności Jedi...

Stał wyobcowany i zatroskany, czując się jak syn marnotrawny, tuż przed zrujnowaną, zapadłą chatą, która niegdyś była domem Obi-Wana Kenobiego.

Han czekał przy skuterze, sącząc ostatnie łyki wody. Luke, zrezygnowawszy ze swojej porcji, koncentrował się na gromadzeniu mentalnej energii. Zresztą niezależnie od tego, co stanie się przy ruinach domu Obi-Wana, wkrótce będą w kosmoporcie w Mos Eisley.

Luke przełknął ślinę i zrobił krok do przodu, stąpając cicho. Nie był tu od wielu lat. Drzwi były wyrwane z zawiasów, część frontowej ściany zwała się do środka budynku. Kamienie i pokruszona, wypalona cegła blokowały wejście. Para małych pustynnych gryzoni kłapnęła zębami na Luke'a i uciekła chowając się wśród gruzu; Luke całkowicie to zignorował.

Ostrożnie, pochylając nisko głowę, wszedł do domu swojego pierwszego mentora.

Światło przeświecało przez szpary w ścianach. Pył i kurz, niczym złote płatki, unosiły się w powietrzu na słonecznych promieniach. Czuło się stęchliznę, pustkę i obecność zbłąkanych duchów. Inaczej niż w pałacu Jabby, grabieżcy nie mieli żadnych skrupułów przed wyczyszczeniem mieszkania Bena Kenobiego ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość. Po piecu i urządzeniach grzewczych zostały jedynie dziury w ścianach. Poślanie Bena było w strzępach, pośród których tkwiła potrzaskana rama łóżka. Strzępy pościeli i ubrań leżały rozrzucone po kątach, służąc jako gniazda gryzoni i insektów.

Luke stał pośrodku komnaty, oddychał głęboko, starając się wyczuć obecność energii, jakiej rozpaczliwie potrzebował. To tutaj Obi-Wan Kenobi nauczał Luke'a Mocy. W tym miejscu stary przyjaciel pierwszy raz wręczył Luke'owi świetlny miecz i napomknął o jego ojcu, „z pewnego punktu widzenia" mówiąc prawdę.

Luke wyciągnął miecz i ujął rękojeść, ale nie włączył go. Po tym, jak stracił oręż swojego ojca w Mieście w Chmurach, Luke skonstruował sobie miecz, który należał do niego i tylko do niego – żaden zabytek z przeszłości. Kroczył swoją własną drogą pod nieobecność mistrzów.

Obi-Wan i Yoda przygotowywali go, lecz zostawili z tyloma pytaniami i wątpliwościami, z tak wielką niewiedzą... a szalony Jorus Cbaoth potrafił przekazać mu tylko wypaczoną naukę. Imperator pokazał Luke'owi drogę ciemnej strony Mocy, ale Luke musiał dowiedzieć się jeszcze tylu rzeczy.

Musiał dowiedzieć się, jak uratować Callistę.

– Benie – wyszeptał zamknawszy oczy, przywołując mistrza za pomocą ukrytych zdolności swego umysłu. Próbował przeniknąć przez niewidzialne bariery Mocy i dotrzeć do świetlistej postaci Obi-Wana Kenobiego, który nawiedzał go wiele razy, zanim oznajmił, że więcej się do Luke'a nie może odezwać.

– Benie, potrzebuję ciebie – wyrzekł Luke. Okoliczności się zmieniły. Nie potrafił inaczej pokonać przeszkód, które były na jego drodze. Obi-Wan musiał odpowiedzieć. To mogło trochę potrwać, ale Luke uzyskałby wskazówkę, której tak bardzo potrzebował.

Luke czekał i nasłuchiwał...

Nie było odzewu. Jeśli nie był w stanie przywołać ducha Obi-Wana tutaj, w pustej chacie, gdzie starzec mieszkał odcięty od świata przez tyle lat, prawdopodobnie nigdy już nie zdoła odszukać swojego dawnego nauczyciela.

Powtórzył słowa, jakich Leia użyła przeszło dziesięć lat wcześniej.

– Pomóż mi, Obi-Wanie Kenobi – wyszeptał – jesteś moją jedyną nadzieją.

Wyczekiwał znowu, drżąc. Spróbował wszystkiego, co umiał. Callista w swoim czasie przechodziła całkiem inny trening jako Jedi. Wiedziała o rzeczach, o których Luke nie miał żadnego pojęcia – ale nawet ona nie знаła sposobu, by rozedrzeć zasłonę, jaka nie pozwalała jej używać Mocy.

– Benie, proszę! – krzyknął Luke. Jego ciało trzęsło się w rozpacz i słabnącej nadziei. Pusta chata majaczyła wokół niego, wypełniona jedynie przez wspomnienia.

Nic.

Milczenie.

Pustka.

Obi-Wana tu nie było. Stary mistrz nie zjawił się. Luke klęknął w kurzu na podłodze i rozgrzebywał pył, szukając jakiegoś znaku, jakiegokolwiek przesłania.

Tak czy inaczej, nie uzyskał żadnej pomocy od Obi-Wana.

Przetrawił swą rozpacz, przysięgając, że się nie złamie. Uniósł wzrok i zacisnął usta w ponurym grymasie determinacji.

Może to właśnie był przekaz: milczenie Obi-Wana, mówiące Luke'owi, że to on sam jest rycerzem Jedi. Nie mógł polegać na Benie Kenobim czy Yodzie ani na innych, nie mógł żądać od nich pomocy. Sam kontrolował swój los. Nie był już uczniem. Musi rozwiązać swój własny problem.

Jego decyzja była stanowcza. Jeszcze nie spróbował wszystkiego. Razem z Callistą przeszuka galaktykę. Znajdzie rozwiązanie, w taki czy inny sposób, ale znajdzie.

Luke podniósł się i wetknął miecz za pas. Nie był na razie potrzebny. Rzucił okiem na komnatę po raz ostatni, z bladym przeblaskiem nadziei, że dostrzeże może w mroku sylwetkę starca kiwającego głową, co umocniłoby Luke'a w jego postanowieniu. Ale nie dojrzał nic.

Gdy znalazł się na zewnątrz, fala światła uderzyła go, przetaczając się niczym oczyszczająca struga wody. Wziął głęboki oddech i ruszył w stronę Hana.

Han Solo stał w cieniu swego unoszącego się nad ziemią pojazdu i ocierał z czoła gęsty pot.

– I co, chłopcze? – zapytał. – Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Nie... – odparł Luke – i tak.

Han potrząsnął głową.

– Oczywiście, jak zawsze, Jedi nie da ci prostej odpowiedzi.

– W tym wypadku nie ma prostej odpowiedzi, Hanie. Załatwiłem tu, co miałem załatwić – podsumował Luke. – Możemy teraz wracać do Mos Eisley. Musimy ostrzec Nową Republikę przed tym, co planują Huttowie.

Rozdział 4

PAS ASTEROID HOTH

W przestrzeni kosmicznej szalała istna burza poszarpanych kawałów skał, zderzających się z siłą wystarczającą, by rozbijać głazy – lub kosmiczne statki – w pył.

Nawigacja w Pasie Asteroid Hoth była prawdziwie śmiertelnościami hazardem. Kilka kamiennych odłamków zderzyło się z przednimi osłonami ochronnego pola statku należącego do Orko SkyMine, po czym zniknęło w jasnych rozbłyskach wyparowującego pyłu.

Na pokładzie dziobowym Hutt Durga stał na zawieszanej nad ziemią platformie i spoglądał przez iluminator. Obserwując zderzające się ze sobą asteroidy, widział tylko jedno: bogate zasoby naturalne. Wielkie, nie wyczerpane złoża, zawierające wszelkiego rodzaju metale i minerały, potrzebne przy realizacji nowego, tajnego projektu Hurtów.

– Zwiększyć moc ochronnego pola – polecił Durga, wydymając policzki; tłuste znamię po lewej stronie jego głowy rozciągnęło się i uwidoczniło.

Podwładni usłusznie wypełniali polecenia. Weequayowie, Gamorreanie, ludzcy niewolnicy i inni cisnęli się do panelów kontrolnych statku ekspedycyjnego, sprzecząc się, jak najlepiej wprowadzić w życie rozkaz. Durga nie był zaskoczony poziomem inteligencji swych podwładnych, których wynajął – ale nie wynajął ich dla tych właśnie zdolności.

Obok zwalistego Hutta imperialny generał Sulamar odwrócił się od kontrolnego ekranu. Obsesyjnie trzymający się protokołu generał stał sztywno w schludnym, wyprasowanym uniformie, którego krawędzie mogłyby chyba przeciąć mandaloriańską stal. Na piersi po lewej stronie uniform gęsto pokryty był medalami z kampanii, w których generał brał swego czasu udział (i o których nie przestawał rozprawiać). Uśmiechnął się ponuro – blady mężczyzna o nieruchomych oczach, który wyglądał jakoś niepozornie w swym mundurze, jak chłopiec przyłapany na tym, że przebiera się za dorosłego.

– Szperacz Alfa rozpoczął procedurę poszukiwania – oświadczył generał Sulamar. – Szperacz Beta w tej chwili został wysłany. – Złączył pięty i rozległ się stuk obcasów. Ufam, że w tym rejonie wydobyć przyniesie spore korzyści Orko SkyMine?

– Lepiej, by tak się stało – warknął Durga. – Przesuńmy się nieco do przodu, abym mógł obserwować prace wydobywcze. – Małą, tłustą ręką wykonał odpowiedni gest.

Orko SkyMine była fikcyjną korporacją, którą zbrodniczy syndykat Hurtów stworzył dla zamaskowania swych działań – fałszywym przedsiębiorstwem wydobywczo-handlowym, mającym na celu eksploatację nie wyczerpanych złóż Pasa Asteroid Hoth. Do realizacji tajnego projektu Huttowie potrzebowali spokoju i nie limitowanej ilości bogactw naturalnych. Pierwszym krokiem do osiągnięcia ewentualnej dominacji w galaktyce był niezwykle skomplikowany i kosztowny Szperacz.

– Śledzimy Betę, panie generale – oznajmił jeden z techników. – Wkrótce znajdzie się w polu widzenia.

– Upewnij się, że nasz kurs nie koliduje z żadną z asteroid, nawigatorze – rozkazał generał Sulamar; jego głos stał się głęboki i szorstki, jak zawsze, gdy wydawał polecenia.

Durga warknął gardłowo.

– Ja dowodzę na tym statku, generale. I ja będę wydawał rozkazy.

Sulamar zmieszał się, cofnął o krok i lekko uklonił.

– Proszę o wybaczenie, lordzie.

Durga spojrział na niego swymi wielkimi oczyma koloru miedzi, po czym obrócił się do nawigatora.

– Słyszałeś, co powiedział generał – powiedział. – Rób, co ci kazał.

Statek ekspedycyjny Orko SkyMine dalej brnął przez przestrzeń usianą odłamkami skał. Durga pochylił się w przód, rozluźniając się nieco. Zamrugał tłustymi powiekami, próbując rozpoznać mały metaliczny punkcik na tle usianej asteroidami i gwiazdami przestrzeni.

W miarę jak się zbliżali, olbrzymie urządzenie do wyzyskiwania złóż naturalnych widniało przed nimi w całej okazałości. Wspaniała maszyna, pomyślał Durga, gdy zobaczył kadłub – wielki kontener, z przodu zwieńczony przypominającym paszczę mechanizmem i wieżyczkami turbolaserów, służących do rozbijania asteroid w gruz. Roztrzaskane asteroidy wchłaniane były przez olbrzymią paszczę i przeżuwane. Bezużyteczny żużel zostawał wypływany, zachowywano jedynie grudy cennych metali. Nowo zaprojektowane, w pełni zautomatyzowane Szperacze miały proste zadanie: wrażliwe czujniki naprowadzały olbrzymy tam, gdzie wykryły skupiska najbogatszych i najczystszych rud metalu w obszarze asteroid, a we wnętrzu maszyn fragmenty asteroid ogołacano ze wszystkiego, co było w nich wartościowe.

– Zdaje się, że spisują się doskonale – powiedział Sulamar, obserwując ekrany kontrolne. – Można mieć pewność, że będą niezawodne?

Durga roześmiał się głośno.

– Oczywiście! Zaprojektował je mój najlepszy naukowiec, Bevel Lemelisk. Może słyszałeś o jego innych osiągnięciach? – Hutt pochylił się bardziej, tak że jego pokaźna głowa znalazła się tuż przy głowie generała Sulamara. – Gdy był jeszcze związany z Imperium, Lemelisk odpowiadał za konstrukcję obydwu – pierwszej i drugiej – Gwiazd Śmierci.

Sulamar uniósł brwi, zdradzając, że naprawdę był pod wrażeniem.

– Bevel Lemelisk stworzył te Szperacze, on także będzie doglądał prac nad naszą nową bronią.

– Zdaje się, że trudno byłoby znaleźć lepszego człowieka – przyznał Sulamar, po czym odwrócił się, by znów śledzić pracę Szperacza Beta.

Maszyna skończyła przetrawianie asteroidy średniej wielkości i wyrzuciła zbędne szczątki skały. Czujniki urządzenia zaczęły przeczesywać morze asteroid w poszukiwaniu następnego celu.

– Beta zlokalizował wielkie skupisko metalu – oświadczył jeden z devaroniańskich diagnostyków. – Złoże jest zdumiewająco czyste.

Szperacz zmienił kurs i przyspieszył, zmierzając w stronę swego nowego celu. Durga przypatrywał się w rosnącym podnieceniu.

– Musi tu być jeszcze więcej bogactw naturalnych, niż przypuszczaliśmy! stwierdził inny z techników. – Szperacz Alfa także zlokalizował bogate złoże. Ten cel porusza się po dziwnym torze w stosunku do innych asteroid, ale przyrządy mówią, że to czysty metal. Nie przypomina niczego, co tutaj się napotyka.

Durga zarechotał zadowolony.

– Jeśli te Szperacze nadal będą znajdować takie bogactwa, może wcale nie będziemy potrzebować dwóch nowych, które są konstruowane.

Pilot statku ekspedycyjnego Hurtów zwiększył moc tarcz ochronnych, w miarę jak sunęli pośród asteroid w ślad za Szperaczem Beta.

– Alfa też zmierza w tym kierunku – oznajmił jeden z techników.

Generał Sulamar zmarszczył brwi.

– Czy to możliwe, by oba Szperacze namierzyły ten sam obiekt?

– No cóż... – zaczął szef grupy Devaronian.

Durga uniósł się na swojej platformie i wydał pulchne policzki.

– Nie podoba mi się taka odpowiedź.

– A mnie się nie podoba to, co widzę – odparł rogaty Devaronianin. Uniósł swoje szponiaste łapy, przerażony. – Alfa i Beta namierzyły ten sam cel – namierzyły siebie nawzajem.

– W takim razie wyłączcie je – polecił Durga. – Nieprzewidziana usterka w programie. Nie możemy pozwolić sobie na stratę tych dwu urządzeń.

Devaronianin począł wystukiwać instrukcje na klawiszach paneli kontrolnych. Pozostali technicy pracowali równie rozpaczliwie, co bezskutecznie. Gamorrekańscy strażnicy stali jak osłupiali.

Devaronianin bezsilnie rąbnął pięściami w panel.

– Nie można! Nie możemy uzyskać dostępu!

– Więc kto może? – ryknął Durga.

– Jedyne Bevel Lemelisk, wasza wysokość.

– Sprowadź go tu! – krzyknął Durga.

– Ale on prosił, żeby mu nie przeszkadzać – odparł Devaronianin.

Durga zawrzał, rozwścieczony tą uwagą, i wcisnął jeden z klawiszy znajdujących się przy jego platformie. W tej samej chwili fotel, na którym siedział devaroniański technik, spowity pioruny wyładowań elektrycznych, śmiertelne macki prądu o wysokim natężeniu objęły ręce i ramiona ofiary, przesuwając się w górę ciała, aż do czaszki. Skóra nieszczęsnej istoty szerniała i zapaliła się. Jej usta ze sterczącymi kłami rozchyliły się, lecz zamiast krzyku wydobył się z nich jedynie błękitny płomień.

Chwilę później zwłoki Devaronianina zwały się na posadzkę statku ekspedycyjnego i rozsypały w kupę dymiącego popiołu.

– Czy teraz ktoś zechciałby sprowadzić Bevela Lemeliska? – wybuchnął Durga. Zanim będzie za późno?

Jeden z ludzi-techników poderwał się z fotela i biegiem ruszył do turbowindy.

Generał Sulamar strzelił palcami i dwu gamorrekańskich strażników podeszło, by usunąć ciało martwego Devaronianina. Lekko chwytając osmaloną skórę, strażnicy wywlekli zwłoki z pomieszczenia.

Mimo wściekłości Durga dobrze wiedział, że nikt nie zdołałby obudzić i sprowadzić potrzebnego inżyniera na tyle szybko, by uratować sytuację. Wściekły i przerażony patrzył, jak dwie potężne maszyny zbliżają się do siebie, rozpoznając się jako pierwszorzędne źródła metalu. Bezmyślnie trzymały się identycznego programu: (1) wziąć cel, (2) rozbić na małe kawałki za pomocą laserów i (3) przetworzyć materiał.

Olbrzymie urządzenia ślepo mordowały się wzajemnie. Niszczyły kadłuby laserowym ogniem, wyrwały wystające fragmenty i umieszczały je w komorach służących do przetwarzania –

prawdziwa katastrofa dziejąca się na oczach Durgi.

Szperacze były niezwykle skuteczne. Niespełna dziesięć minut zajęło im zamienienie się nawzajem w bezużyteczne strzępy, dryfujące, zniszczone skorupy kadłubów, na wpół przerobione resztki składników. Metalowy gruz podryfował w przestrzeń, znajdując dla siebie miejsce w pasie asteroid.

Durga czuł, jak spala go furia. Zacisnął pięści i spojrzał na swoich techników, szukając kogoś, kogo mógłby obwinie – ale wszyscy opuścili już swoje fotele i stali w gotowości obok kontrolnych paneli, z dala od siedzeń-pułapek.

Rozdział 5

Bevel Lemelisk ciężkim krokiem posuwał się korytarzami statku Orko SkyMine. Irytowało go zarówno to, że jest niepokojony, jak i ciągle, nie kończące się żądania Durgi. Wszedł do turbowindy, mrużąc pod nosem to, czego nigdy nie powtórzyłby stojąc twarzą w twarz z wypasionym, groźnym Hurtem. Durga zawsze żądał niemożliwego i żądał tego natychmiast.

Turbowinda drgnęła, dźwigając Lemeliska w górę. Inżynier zatoczył się, chwycił za jeden z drążków umieszczonych przy ścianach i marszcząc brwi spojrzał na przyciski kontrolne, jak gdyby myślał, że urządzenie celowo wytrąciło go z równowagi.

Zaburzało mu w brzuchu. Znowu zapomniał zjeść obiad. Miał wrażenie, że coraz bardziej traci kontakt z normalnym życiem. Przejechał dłonią po policzku, poczuł ostre, acz delikatne ukłucia włosów i uzmysłowił sobie, że nie golił się od dwu dni. Westchnął, ganiąc sam siebie. Zazwyczaj pamiętał o tym, by zadbać o higienę przed spotkaniem z Durgą, lecz straż gamorreńska tak usilnie go przynaglała, że nie zdążył zebrać myśli. Lemelisk przejechał dłonią po swych siwych włosach, upewniając się, czy wszystkie sztywno stoją, tak jak to lubił – chociaż wątpił, by jego tłusty szef kiedykolwiek zwracał uwagę na wygląd ludzi.

Turbowinda zatrzymała się gwałtownie, tym razem jednak Lemelisk zachował równowagę. Zanim drzwi się otworzyły, naukowiec przybrał grymas oburzenia. Nie znosił, gdy przeszkadzano mu podczas chwil skupienia. Zabronił komukolwiek wchodzić do swoich komnat, lecz straż wdarła się do pomieszczenia, w którym był, właśnie gdy kończył umieszczać ostatnie elementy trudnej trójwymiarowej krystalicznej układanki. Wszystkie starania Lemeliska poszły na marne i wrócił do punktu zero.

Tym razem Lemelisk przyrzekł sobie, że nie będzie potulnie płaszczył się przed szefem. Wkroczył na mostek biorąc głęboki oddech, tak że przez moment jego pierś wydawała się potężniejsza niż jego brzuch.

– Durgo, co to wszystko ma znaczyć? – zapytał, nadając swym słowom odcień lekceważenia.

Wszyscy obecni na mostku wydawali się mocno zastraszeni, a na te słowa niemal zatrzęśli się jak jeden mąż. Lemelisk zauważył, że żaden z członków załogi nie siedzi na swoim miejscu. W powietrzu wyczuwał zapach spalonego mięsa, przypominający mu źle przygotowane kiełbaski, jakie podawano na śniadanie; w jego żołądku znów rozległo się głośnie burczenie.

Generał Sulamar stał nieco przygarbiony. Błyszczące medale i odznaki na jego piersi mieniły się olśniewającymi kolorami. Lemelisk zignorował go. Imperialny generał – ze wszystkimi przechwałkami co do swoich militarnych wyczynów, takich jak masakra Mendicat, podbój Sintonu czy pogrom Rustibaru. Jedno wielkie czcze gadanie. Lemelisk natomiast sam doglądał budowy stacji bojowej zwanej Gwiazdą Śmierci. Jak jakieś liche militarne wyczyny mogą się równać z czymś takim?

Na widok swojego inżyniera od spraw broni Durga wydał nieartykułowany ryk wściekłości, który zabrzmiał jak coś pomiędzy beknięciem a wybuchem wulkanu. Lemelisk zatrzymał się w pół kroku. Nigdy wcześniej nie słyszał takiego gniewu w głosie Hutta.

Lemelisk zmrużył oczy i skupił się na oknach mostku. Ujrzał poruszające się różnymi torami asteroidy. Potem zauważył niewyraźne pozostałości po dwu w pełni zautomatyzowanych Szperaczach, które rozdarły się nawzajem na strzępy. Poczul, jak gdyby gardło miał pełne szybko twardniejącego betonu.

Durga przesunął się na swej platformie bliżej Lemeliska, który stał osłupiały, starając się wymyślić jakąś wymówkę na poczekaniu. Bał się, że Hutt ukarze go w straszliwy sposób.

– Jestem prawdziwie rozczarowany twym dziełem, Lemelisku – warknął Durga, jego znamię na głowie nabiegło krwią i zrobiło się jakieś przerażające.

Lemelisk zaczął trząść się gwałtownie, krzywiąc się na żywe i bolesne wspomnienie. Imperator wyrzekł dokładnie te same słowa, zanim skazał Bevela Lemeliska po raz pierwszy...

Wkrótce potem, jak Gwiazda Śmierci miała zniszczyć bazę Rebeliantów na Yavinie Cztery, Bevel Lemelisk został wezwany, by osobiście spotkać się z Imperatorem Palpatine'em, głęboko w zaciszu jego pałacu.

Lemelisk, eskortowany przez czerwono odzianą imperialną gwardię, został przetransportowany superszybkim wahadłowcem przez całe miasto aż do siedziby Imperatora. Przez iluminator pojazdu widział miliony rozjarzonych światłem okien, błyszczących niczym klejnoty corasca. Każdy świetlny punkt zdawał się jeszcze jedną pochodnią rozpaloną po to, by uczcić jego tryumf.

Lemelisk potarł policzki, zadowolony, że tym razem pamiętał, by się ogolić. Czerwona imperialna gwardia była milcząca, przez cały czas stała na baczność. Lemelisk chrząknął nerwowo i zaciskał dłonie, gdy zbliżali się do ogromnej piramidy stanowiącej pałac Imperatora.

Gwardia prowadziła go korytarzami tak szybko, że falujące peleryny żołnierzy układały się w jedną dziką burzę szkarłatu. Gdy tylko dotarli do prywatnych komnat Imperatora, gwardia natychmiast stanęła na baczność. Tkwili w bezruchu, trzymając swe włócznie, a ich gładkie, zakrywające twarze plastalowe hełmy czyniły z nich istoty pozbawione jakichkolwiek uczuć.

Lemelisk wszedł do wysoko sklepionej sali i zobaczył siedzącego na tronie, zgarbionego, spowitego w czarną szatę Imperatora. Przypominające ślepią gada żółte oczy błyszczały pod rzucającym cień kapturem. Imperator wyglądał, jakby podupadał na zdrowiu: jego skóra pokryta była bąblami i pofałdowana, jak jakaś blada, miękka tkanina nałożona bezpośrednio na jego kości. Zdawało się, że rozpoczął się już swoisty proces rozkładu, choć nie nastąpił jeszcze moment zgonu.

Ale myśli Lemeliska nie zakłócały teraz żadne zmartwienia. Zatrzymał się na wypolerowanej kamiennej posadzce i złożył lekki ukłon.

– Mój Imperatorze – zaczął. – Mam nadzieję, że dostałeś już informację, że nasza Gwiazda Śmierci zniszczyła ukrytą bazę Rebeliantów.

– Dostałem informację – odrzekł Palpatine i wyciągnął dłoń z wyprostowanym jednym palcem, zwięzonym długim paznokciem. Lemelisk spojrział w górę, gdy usłyszał nad głową dziwny dźwięk i zobaczył opadającą z sufitu klatkę z jakiegoś sprężystego tworzywa. Skoczył w bok, ale klatka opadła dokładnie na niego, jak gdyby Palpatine sterował nią w jakiś niedostrzegalny sposób. Klatkę tworzyła doskonale wykonana siatka, której oczka były tak małe i gęste, że nie dałoby się przez nie przecisnąć nawet palca.

– Nie rozumiem, Imperatorze – wyjąkał Lemelisk. – Czy chciałbyś coś ze mną przedyskutować? Może chodzi o jakiś nowy projekt? Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – Lemelisk z trudem przełknął ślinę.

– Tak, mój sługo – odpowiedział Palpatine. – Możesz dla mnie umrzeć.

– Ale... – Lemelisk nie wiedział, co powiedzieć. – Myślałem właściwie o czymś innym – dodał głupawo.

Palpatine spojrzał mu prosto w oczy.

– Właśnie otrzymałem informację, że Gwiazda Śmierci została zniszczona w pobliżu Yavina. Mała grupa Rebeliantów, na przestarzałych myśliwcach, wykorzystwała słaby punkt twojego projektu – otwór szybu wentylacyjnego, przez który jeden pilot mógłby oddać druzgoczący strzał. Jeden pilot pokonał całą stację bojową!

Lemelisk zacisnął wargi.

– Otwór szybu wentylacyjnego? Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. Będę musiał uwzględnić to w nowym projekcie.

– Tak, będziesz – powiedział Palpatine lodowatym tonem. – Ale najpierw będziesz musiał dla mnie umrzeć.

Lemelisk zamrugał nerwowo i sięgnął dłonią, by dotknąć ściany klatki. Rozglądał się nerwowo wokół siebie. Chociaż golił się rano, jego policzki pokryło mrowie igiełek.

Imperator siedział w zupełnym bezruchu, jednak musiał jakoś manipulować niewidocznymi układami kontrolnymi, jako że z ostrym zgrzytem u stóp Lemeliska pojawiły się niewielkie otwory w posadzce, wyloty prowadzące w spowitą mrokiem czeluść. Rozległ się charakterystyczny dźwięk, jak chrobot małych, stwardniałych łapek.

– Jestem prawdziwie rozczarowany twym dziełem, Lemelisku – podsumował Imperator.

Bevel Lemelisk usunął się nieco w bok, gdy coś małego i lśniącego wylazło z jednego z otworów: jakiś rodzaj żuka. Ośmionożny insekt o grubej skorupie pobłyskiwał niebiesko w świetle komnaty. Zatrzymał się na chwilę, poruszając w powietrzu czułkami. Z pozostałych dziur wylazło pięć identycznych insektów. Rozłożyły skrzydełka i zaczęły krążyć w zamkniętej przestrzeni. Lemelisk machnął dłonią próbując odpędzić jednego z intruzów, ale niebieskawy żuk wykrył ruch i skierował się natychmiast w jego stronę, po czym zatopił ząbkowane, ostre jak brzytwa szczęki głęboko w jego dłoń.

– Au! – Lemelisk zaczął trzepotać ręką, aż insekt odczepił się i spadł na ziemię. Nadepnął na niego, rozgniatając twardą skorupę. Ale woń świeżej krwi przyciągnęła inne żuki. Lemelisk zobaczył, jak tuzin nowych insektów wylania się z dziur w podłodze, jak rozkładając skrzydełka wzbijają się w powietrze i bucząc lecą w jego stronę.

– To są piraniożuki – oznajmił Imperator, rozsiadając się głębiej na obrotowym tronie. – Żyją na Yavinie Cztery. Uznałem, że są zbyt cenne, by je zgładzić, gdy twoja Gwiazda Śmierci szykowała się do zniszczenia księżycy. Więc ocaliłem je.

Teraz żuki tłoczyły się już wokół Lemeliska. Walił je dłońmi i wrzeszczał, nie zwracając uwagi na słowa Palpatine'a.

– Przerwij to! – krzyknął.

– Jeszcze nie – odrzekł Imperator.

Żuki wdzierały się pod ubranie, docierając do ciała Lemeliska, do ramion, ud, torsu, policzków. Krew lała się z jego licznych ran, barwiąc strzępy odzieży. Nie mógł już wytrzymać ukąszeń. Setki

żuków kłębiło się w niewielkiej klatce, nie mogąc się przedostać przez małe oczka siatki.

– Jednak, jak się okazuje, te wspaniałe stworzenia wcale nie są zagrożone zagładą – stwierdził Palpatine – od chwili gdy przestała działać twoja Gwiazda Śmierci! Zawiodłeś mnie, Bevelu Lemelisku – podkreślił, wolno wypowiadając słowa. Jego pomarszczone wargi rozciągnęły się w szaleńczym grymasie satysfakcji. – Teraz zamierzam przyglądać się, jak te żuki rozerwą cię na kawałki. Jak sam widzisz, są bardzo głodne i łatwo tego głodu nie zaspokoją. Ale jeśli zdołają się napaść, nie martw się – mam ich jeszcze dużo więcej. – Imperator wybuchnął lodowatym śmiechem, ale Lemelisk już tego nie słyszał.

Buczenie insektów całkowicie wypełniało jego uszy. Owady szarpały mu ciało, włosy, ubranie – jednym słowem wszystko. Miotał się, uderzając ciałem o klatkę. Część żuków ginęła w ten sposób, ale inne rzucały się na poległych towarzyszy, rozrywały ich pancerze i wyjadały wnętrzności.

Lemelisk wrzeszczał i błagał – bezskutecznie. Ból, jaki znosił, był nieznośny, wręcz niewyobrażalny. Ogarnęła go ciemność, gdy piraniożuki wyżarły mu oczy – lecz ból pozostawał niezakłócony jeszcze przez długi czas...

Po jakimś czasie Lemelisk przebudził się, otwierając nowe, zrekonstruowane oczy. Był zupełnie zdezorientowany. Znajdował się w tej samej wysoko sklepionej komnacie, odziany w czysty, biały uniform. Jego ciało było młode i silne, zniknęły fałdy tłuszczu i sflaczały brzuch; wszystko to, co było konsekwencją spędzania zbyt wiele czasu na pracy umysłowej i zaniedbywania zdrowia.

Lemelisk zgiął ręce i spojrzął na swoje dłonie, mrugając w zdumieniu powiekami. Na dźwięk skrzydełek młócących powietrze uniósł wzrok ku górze i zauważył, że w klatce wciąż jest sporo żuków, żerujących na rozrzuconych wszędzie, przyczepionych do ścianek strzępach krwawego mięsa. Wszystko było soczyście zbryzgane krwią. Na posadzce leżały zwłoki. Z całego korpusu zostały jedynie nagie kości i fragmenty odzieży – odzieży, jaką on sam miał na sobie kilka chwil wcześniej.

– Szybko przywykniesz do swojego klona – oświadczył Imperator, pocierając palcami trzymany w dłoni dziwaczny, wyglądający na bardzo wiekowy przedmiot. Ufam, że twoja pamięć zachowała się całkowicie? To w końcu niełatwa sztuka, a Jedi, któremu skradłem tę umiejętność, nie chciał mi przekazać wszystkiego na ten temat. Ale zdaje się, że wszystko jest w porządku.

Lemelisk kiwnął nieśmiało głową, czuł, że za chwilę zemdleje, ale strach nie pozwalał mu na to.

– Nie zawieźdź mnie ponownie, Lemelisku – ostrzegł go Imperator. – Nie chciałbym być zmuszony wymyślać jeszcze gorszej egzekucji następnym razem.

Teraz, stojąc przed Durgą Hurtem i generałem Sulamarem, Lemelisk starał się nie okazywać słabości, mimo że jego dwa Szperacze zniszczyły się nawzajem w okropnym, głupim starciu.

– Możemy wyjść z tego kłopotu – oświadczył pośpiesznie. – Myślę, że potrafię zmodyfikować projekt tak, że będzie działał niezawodnie.

Durga cofnął się nieco na swej platformie, mrużąc oczy. – Co?

– Mamy jeszcze dwa inne automatyczne Szperacze, których budowa jest niemal ukończona. To jest wielka strata – przyznał Lemelisk wskazując za okno – ale zawsze musimy spodziewać się przecież pewnych niepowodzeń czy przeszkód. Rzeczywiście, zawiodły urządzenia, przyznaję, mogę jednak przeprogramować pozostałe tak, by to się już nie powtórzyło.

Generał rozprostował ramiona i łypnął na Lemeliska.

– Masz absolutną rację – stwierdził. – To się nie może zdarzyć ponownie!

Lemelisk machnął ręką na to, co powiedział Sulamar, starając się wyglądać na pewnego siebie.

– Zważ, że te dwa egzemplarze były prototypami, Alfa i Beta. Wliczonymi w koszty. Teraz nauczyliśmy się czegoś na błędzie.

W duchu Lemelisk był wściekły, że pozwolił sobie na taką bezmyślność, która mogłaby kosztować go życie. Zaczął się lekko trząść i napiął mięśnie, by móc dalej stać prosto. Nie chciał być znów karany – to już zdarzało mu się zbyt często – choć żywił przekonanie, że Hutt Durga w okrucieństwie nigdy nie zdołałby dorównać Palpatine'owi.

– Obiecuję, że naprawię błąd, mój panie – podkreślił Lemelisk, kłaniając się lekko. – Ale kiedy ja zajmę się tym problemem, ty musisz się skupić na naszym głównym celu. Nim zaczniemy się troszczyć o uzyskanie środków na konstrukcję naszej broni, pierwszorzędnym zadaniem musi być zdobycie planów z Imperialnego Ośrodka Gromadzenia Informacji.

Durga chrząknął głośno.

Generał Sulamar odezwał się pierwszy.

– Nie ty tu dyktujesz, co musimy...

Durga trzasnął generała w pierś jedną z tłustych, wielkich pięści.

– Już zaplanowałem ekspedycję na Coruscant, Lemelisku – rzucił. – Chcę wkrótce otrzymać twoje plany.

Rozdział 6

CORUSCANT

W zaciszu komnat przywódczym Nowej Republiki, Leia Organa Solo pośpiesznie szykowała się na zbliżające się spotkanie. Obok niej Han Solo walczył z zatraskami koszuli, przeklinając drobne insygnia, które próbował zamocować na swym uroczystym stroju.

– Nie cierpię tego, Leio – powiedział. – Kocham cię na tyle, by to zrobić, ale nie znoszę stroić się nawet na spotkanie z ludźmi, których lubię. – W końcu uporał się ze wszystkim i przejechał dłonią po przodzie koszuli. – A raczej nie zaliczam tych przerośniętych larw do ludzi, których lubię.

Leia położyła rękę na jego ramieniu.

– Myślisz, że lubię to choć trochę bardziej niż ty? – Przypomniała sobie, jak została uwięziona przez wstrętnego Hutta Jabbę, który zmusił ją do przywdziania poniżającego kostiumu i posadził, zakutą w łańcuch, u swych stóp, by móc pieścić ją ohydny, wielkim jęczorem. – Huttowie dali nam dowód swego okrucieństwa, ale ten Durga przygotowuje coś dziwnego i jest naszą dyplomatyczną koniecznością, by przyjąć tę tłustą kupę mięsa i wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Dyplomatyczna konieczność – zaśmiał się drwiąco Han. – Pod żadnym pozorem nie można ufać tym tłustym pijawkom. Lepiej cały czas trzymaj blaster ukryty pod suknią.

Leia obejrzała się w lustrze. Wyglądała doskonale w swych najlepszych szatach, imponująca i władcza.

– Będę ostrożna, Hanie, nie martw się.

Przy dźwięku łagodnego buczenia pracujących serwomotorów wszedł Threepio.

– Proszę wybaczyć, pani Leio – zaczął. – Sądzą, że jestem już przygotowany na to ważne spotkanie. Wypolerowałem się i naoliwiłem, a także uruchomiłem programy protokołu i etykiety.

– Wspaniale – skwitował to Han. – Możesz zająć moje miejsce. Zgoda?

– Proszę pana – odparł Threepio – nie wydaje mi się, by podobna rzecz była rozsądna. Dlaczego...

– On żartuje, Threepio – odezwała się Leia, spoglądając na Hana.

– Oczywiście, tylko żartowałem – zgodził się Han niechętnie.

– Dzieci pragną życzyć państwu dobrej nocy – oznajmił Threepio. – Pani Winter już tu jest, by opowiedzieć im bajki przed snem. – Android uniósł nieco swe złociste ramiona, jak wzruszający ramionami człowiek. – Dzieci jakoś nie lubią, gdy ja opowiadam im bajki. Zupełnie nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

Leia starała się nie przywiązywać zbyt wielkiej uwagi do skarg androida.

– Dzieci po prostu są czasem kapryśne – odpowiedziała.

Bliźnięta, Jacen i Jaina, miały teraz trzy lata i zaczynały interesować się dosłownie wszystkim. Mały Anakin, który miał niespełna dwa lata, był spokojny i wyciszony. Dużo spał, rzadko kiedy miał ochotę rozmawiać. Ciemnowłosy chłopczyk o dużych, chłodnych oczach koloru bezchmurnego nieba

przez większość czasu żył w swoim własnym świecie, podczas gdy bliźnięta starały się wciąż znajdować w centrum uwagi.

– Jestem gotowy – oświadczył Han, przeczesując brązowawe włosy. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że się tak szykuję na spotkanie z Huttem.

– Wątpię, by lord Durga zauważył to wszystko, proszę pana – skomentował Threepio. – Huttowie, jak pan wie, mają inne pojęcie estetyki. Prawdę mówiąc, poznałem...

– Nie teraz, Threepio – przerwał mu Han i podał ramię Leii. Ruszyli w stronę drzwi.

– Więc może innym razem – westchnął Threepio i pośpieszył za nimi.

W innej komnacie pani Winter wraz z trójką dzieci siedziała na miękkiej podłodze i opowiadała im jedną z historii, jakich nauczyła się szczegółowo, słowo po słowie.

Piastunka Leii pomagała jej często w trudnych chwilach, pilnując dzieci i opiekując się nimi w okresie, gdy były najbardziej podatne na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa swego przepełnionego bliskością Mocy życia. Winter posiadała doskonałą wręcz pamięć, umiejętność zapamiętywania wszystkiego, co kiedykolwiek zasłyszała czy przeczytała. Była spokojna, nie poddawała się emocjom i, przede wszystkim, żywiła głębokie poczucie lojalności tak w stosunku do samej Leii, jak i do Nowej Republiki.

Zdawało się, że opieka nad trójką dzieci daje Winter wielką satysfakcję, w chwilach gdy Han i Leia byli zajęci. Jej pozycja pozwalała na doradzanie Leii i jednocześnie zostawanie poza tym wszystkim, co działo się na arenie polityki państwowej.

Jacen i Jaina skoczyli na nogi, pędząc na powitanie Hana i Leii. Han chwycił bliźniaki w ramiona. Jacen – jak zwykle – miał włosy potargane, podczas gdy fryzura Jaina była nienaganna. Anakin siedział spokojnie i grzecznie, cierpliwie czekając na dalszą część opowieści piastunki. Wstał, kiedy przyszła jego kolej na przywitanie się z rodzicami.

– Pani Winter zostanie z wami – powiedziała Leia. – Mama z tatą mają ważne spotkanie z Huttem.

Dzieci prychnęły z niesmakiem. Han spojrzał na Leię unosząc brwi, jak gdyby chciał jej powiedzieć: a nie mówiłem...

– Chodź, złota sztabo – rzucił do Threepia. – Nie chcemy się chyba spóźnić na to, co jest naszą „dyplomatyczną koniecznością”.

Opuścili komnatę dzieci i podążyli korytarzem, prowadzeni przez dwóch nie odstępujących ich strażników. Threepio nie przestawał ich zagadywać.

– Może pewne informacje podstawowe przydadzą się w zbliżających się rozmowach, pani Leio? Niedawno dowiedziałem się...

– Nie wiadomo jak będą wyglądały rozmowy, Threepio – przerwała mu Leia. Huttowie to największa banda kryminalistów w całej galaktyce. To oni uwięzili mnie, a potem starali się zabić nas wszystkich. Nie powinniśmy spodziewać się zbyt wielu uprzejmości.

– Tak, tak, lecz byłoby niezwykle pomocne mieć podstawowe pojęcie o filozofii Hurtów, które ja wyrobiłem sobie dzięki niezwykle rzadkim informacjom, jakie zdołałem znaleźć – odpowiedział Threepio. – Huttowie pochodzą z pewnego systemu planetarnego, nazywanego Varl, którego słońce zniszczone zostało w jakiejś katastrofie. Oni sami musieli przenieść się gdzie indziej. Przejęli jakąś planetę dzięki mętnym machinacjom, wyrzucili stamtąd rdzennych mieszkańców i obwołali ten świat własnym. Zmieniili jego nazwę na Nal Hutta, co w ich własnym języku oznacza „Wspaniały Klejnot”. Księżyc planety Nal Hutta został nazwany Nar Shaddaa, lecz zazwyczaj, jak się przyjęło, mówi się na niego Księżyc Przemysłowców.

– Byliśmy tam, Threepio – rzeki Han, nieco znudzony.

– Och, tak! Zapomniałem. Tak czy inaczej, Huttowie mają niezwykle rozwinięty system klanów.

Nikt spoza takiego klanu nie może znać rodzinnego imienia żadnego z Hurtów. Klanowe imię Jabby znane było jedynie jego krewnym.

– Niezwykle interesujące – mruknął Han. Minęli łuk korytarza i zbliżali się do tylnego wejścia do sali audiencyjnej przywódczyni Nowej Republiki. – Zupełnie nie mogę zrozumieć, czemu dzieci wolą, by pani Winter opowiadała im bajki.

– Dziękuję panu – rzucił Threepio, nie spostrzegając ironii w głosie Hana. Właściwie niewiele wiadomo o tym, co się dzieje w obrębie klanów i pomiędzy nimi choć pewne wypadki pozwalają spekulować na temat międzyklanowej walki, w której słabsze rodziny wyniszczane są przez silniejsze.

Gwardia stojąca przy okazałych drzwiach prowadzących do sali audiencyjnej rozstąpiła się. Leia, ramię w ramię z Hanem, weszli do środka.

– Dziękujemy, Threepio – szepnęła do androida.

– Ależ ja jeszcze mam pewne ważne wieści... – kontynuował android.

– Chyba nas dobrze zrozumiałeś – powiedział z naciskiem Han.

– Ja... zrozumiałem, proszę pana – odparł Threepio i poczłapał za nimi w ciszy do sali audiencyjnej.

Leia pochyliła się nieco i szepnęła mężowi do ucha:

– Hanie, zbrodnicze imperium Hurtów jest bardzo potężne i będziemy musieli okazać im nieco dyplomatycznej kurtuazji. Powinniśmy przynajmniej udawać.

Han przewrócił oczami, potem przycisnął jej rękę do swego boku.

– Udawać? Udawanie to chyba jedna z moich mocniejszych stron. Sama zobaczysz.

Jeszcze jedna grupa gwardzistów towarzyszyła im stojąc po obu stronach ułożonej z płaskich kamieni promenady prowadzącej do dwu imponujących foteli. Leia nie lubiła całej tej pompy. Wszystko wyglądało zbyt władczo, zbyt imperialnie – ale wygląd był czymś istotnym w chwili publicznych wystąpień związanych z interesem państwa. Senatorowie i dowódcy wojskowi stanowili ostoję siły Republiki, Leia była natomiast przywódczynią i przewodniczącą Senatu. Reprezentowała rząd i musiała grać swą rolę z przekonaniem.

Miała niekiedy pewne trudności w sprawowaniu urzędu władczyni. Niektórzy członkowie rady państwa woleliby raczej, aby podczas swej kadencji pozostawała na Coruscant i by nie podróżowała po odległych planetach, zainteresowanych przyłączeniem się do Nowej Republiki. Ale to nie było w jej stylu.

Leia zasiadła w fotelu przywódczyni, próbując zebrać myśli. Han kręcił się obok niej, krzyżując i rozplatając ramiona. Już teraz wydawał się znudzony.

Elektroniczne fanfary rozbrzmiały na zewnątrz komnaty. Drzwi, znajdujące się po drugiej stronie sali, uchyliły się. Ich skrzydła rozsuwały się powoli, ciągnięte przez potężne roboty przeznaczone do wykonywania szczególnie ciężkich robót.

Gdy drzwi otworzyły się całkowicie i wkroczyła świta Durgi, Leia zauważyła, że zbrodniczy Hutt także rozumie wartość dobrze zorganizowanego widowiska.

Opasłe, przypominające robaka stworzenie spoczywało na szerokiej platformie, która unosiła się nad ziemią na magnetycznych czy powietrznych poduszkach. Ale Durga przemierzał przestrzeń dzięki wysiłkowi grupy gamorreńskich niewolników przywiązanych do nadziemnej platformy za pomocą

aksamitnych, czerwonych lin. Podobni do świni członkowie gwardii ze spuszczoneymi łbami wpatrywali się w posadzkę. Krople wilgoci spadały na podłogę z pysków Gamorrean, czy to tak wycieńczonych, czy po prostu śliniących się.

Pochyleni gamorrekańscy słudzy i strażnicy stanęli. Ich trójkątne głowy niemal dotykały ziemi, gdy przytknęli do ust małe elektroniczne syntezatory. Kiedy dmuchnęli w nie, komputer włączył się i zaczął transmitować głosy jako piękną, dziwnie metaliczną muzykę.

Durga poprawił się na swej platformie, jak gdyby chciał podkreślić, że on w tym wszystkim jest najważniejszy. Prawdę mówiąc, wyglądał na jeszcze bardziej spasionego niż Jabba. Jego zwięzająca się lekko ku górze głowa była niczym trzęsąca się góra tłustego mułu, naznaczona jakimś znamieniem, jakby ktoś przejechał mu po niej ogromnym ciemnozielonym pisakiem. Wielkie, okrągłe oczy były niczym dwa przekrojone, psujące się owoce, a drobne, jakby dziecinne ręce zdawały się nie pasować do jego nabrzmiałego cielska.

Jednak tym, co zatrzymało Leii dech w piersi, były tuziny tuzinów kudłatych stworzeń rojących się na Durdze i członkach jego orszaku jak duże małpie wszy. Każde stworzenie było wielkości dłoni, miało szarawe futro i ciekawskie oczka. Każde miało czworo giętkich ramion zakończonych sprawnymi palcami. Dwie nogi, wydawało się, mogłyby służyć równie dobrze jak trzecia para łapek, gdyby zaszła potrzeba. Stworzenia wciąż zmieniały pozycję, jak robactwo, wywracając oczkami we wszystkie strony; rozglądały się wokoło, jakby rozpaczliwie szukały informacji.

Threepio zrobił krok do przodu i przemówił, odtwarzając zaprogramowaną wcześniej wiadomość.

– Nowa Republika pragnie powitać potężnego Durgę – wyrecytował, ale potem jego osobowość wzięła górę. – I, jeśli wolno spytać, co to za kudłate stworzenia?

– Czy android mówi w waszym imieniu? – zapytał Durga głębokim, dobywającym się chyba z samego żołądka głosem.

– Chętnie usłyszałabym odpowiedź na jego pytanie – oświadczyła Leia. – Jestem Leia Organa Solo.

– Moje szczere przeprosiny za... niemiłe przejścia, jakie miałaś, pani, z Huttami w przeszłości – powiedział Durga. – My jesteśmy znani z tego, że na długo zachowujemy pamięć o urazach, jesteśmy bowiem długowiecznymi stworzeniami.

– Tak? No cóż, Jabba nie żył tak znowu długo – wtrącił cicho Han. Leia uciszyła go gestem.

– Czasy się zmieniają – ciągnął Durga, splatając drobne ręce na wielkim brzuchu. Wielu członków mojego klanu jest zdania, że nie powinienem z wami rozmawiać, lecz dla mnie oznacza to wielką szansę. Pragnę puścić w niepamięć sprawy minione, dla wzajemnych korzyści i polepszenia naszych teraźniejszych stosunków. Byłbym wdzięczny, gdybyście mogli uczynić podobnie, przynajmniej dla dobra tych rozmów.

Leia kiwnęła głową, spokojnie i z rezerwą.

– Zgadza się – odpowiedziała – ale wciąż nie padła odpowiedź na pytanie mojego androida. Ja także jestem ciekawa, co to za kompania. Nie widzieliśmy niczego podobnego nigdy wcześniej.

– A tak, proszę o wybaczenie – powiedział Durga. – To są Taurille, stworzenia na poły inteligentne, wspaniali pomocnicy i zabawni towarzysze. Przeszły kwarantannę po przybyciu na Coruscant. Są niesamowicie ciekawskie i wiercą się wszędzie, wszystko badając. Nie mają złych zamiarów.

Leia użyła taktyki, którą pokazał jej Luke, nalegając, że nawet jeśli nie chce ona zostać prawdziwym rycerzem Jedi, powinna przynajmniej nauczyć się wykorzystywać swoją wrażliwość

przy rozstrzygnięciu spraw dyplomatycznych. To była umiejętność, której przydatność Leia musiała uznać. Dlatego teraz, gdy siedziała pozornie spokojnie, jej umysł pracował intensywnie, próbując poznać prawdziwy cel misji Durga.

Wyczuwała pewne reakcje u gamorrekańskich strażników, Taurille stanowiły niewyrazistą, pomieszaną masę słabych impresji... ale Hutt Durga pozostawał dla niej nieprzenikniony jak biała ściana. W jakiś sposób jego umysł był na tyle silny, by się jej oprzeć. Może Huttowie z natury zabezpieczeni byli przed wpływem mocy; przypomniała sobie, że Luke także nie był w stanie manipulować umysłem Hutta Jabby.

– Jeśli moi ulubieńcy sprawiają, że czuje się pani nieswojo – odezwał się Durga pojednawczym tonem – chętnie usunę ich z mojej osoby. – Klasnął w swe małe dłonie i Taurille rozproszyły się, opuszczając platformę i skacząc na ramiona gamorrekańskich strażników. Leia zgadywała, że musi być co najmniej setka tych małych, szalonych stworzeń. Rozbiegły się błyskawicznie po podłodze, penetrując wszystkie kąty. Jedno z nich podbiegło i zaczęło badać Threepia, a złoisty android rozpaczliwie starał się je odpędzić.

– Durgo, nalegam, byś je uspokoił... – zaczęła Leia.

– Nie zwracajcie na nie uwagi – odezwał się Durga głośnym, rozkazującym tonem. – Nie wyrządzą żadnej szkody. A teraz przejdźmy do celu mojej wizyty.

Han rozglądał się nerwowo, obserwując, jak Taurille buszują po sali i zagląдают do każdego kąta, czołgając się pod fotelami.

Leia zmusiła się, by odzyskać zimną krew, tak by móc dalej skupić uwagę na Hutcie. Pomyślała, że chyba wie, co Durga zamierzał zrobić. Chciał rozpuścić swoje stworzenia, by odwrócić od siebie uwagę Leii – lecz ona nie zamierzała pozwolić mu manipulować sobą. Z kamienną twarzą zaczęła udawać, że rozprasające uwagę stworzenia w ogóle nie istnieją. To powinno go rozdrażnić.

– Tak, Durgo – powiedziała. – Jestem prawdziwie zainteresowana celem twojej wizyty na Coruscant. Co skłoniło lorda przestępców do tego, by prosić o spotkanie z legalnym rządem Nowej Republiki?

Durga szeroko rozłożył ramiona.

– Pani przywódczyni, te słowa mnie ranią. Nie zaczynamy rozmów od określeń takich jak „lord przestępców” i „legalny rząd”. Wszyscy staramy się robić to, co najlepsze dla nas samych. Kajidic Huttów, klanowy system, który ja i moi bracia stworzyliśmy, obejmuje wiele światów – znaczącą część, co ośmielam się zaznaczyć pani Nowej Republiki. Huttowie nie pragną wojny – handlowej czy rzeczywistej – a ufam, że wasz młody rząd także nie pragnie otwartej konfrontacji. Inaczej niż Imperium, my, Huttowie, stworzyliśmy niewidzialną pajęczynę wpływów i wzajemnych relacji, docierającą także do miejsc, jakich pani nie jest w stanie sobie nawet wyobrazić. Jest to coś innego niż jakiś zwykły wojskowy garnizon, który można zaatakować i zniszczyć.

Zamrugnął ciężkimi powiekami.

– Jednakże nie przybyłem tu, by rzucać groźby, lecz szerzyć pokój. Choć nazwała pani nasze operacje „kryminalnym imperium”, jestem tu, by zaproponować koniec naszych waśni.

– Najprostszym rozwiązaniem, według nas – ciągnął – jest legalizacja. Proponuję, by Huttowie i Nowa Republika sprzymierzyli się i stali handlowymi partnerami. Jeśli wy zalegalizujecie naszą działalność, przestaniemy być kryminalnym imperium, a staniemy się uznanym towarzystwem handlowym. Czy nie jest to prawdą? – zapytał, wskazując gestem na strop, jak gdyby dla podkreślenia swoich wzniosłych intencji.

– My, Huttowie, płacilibyśmy odpowiednie podatki i należności, co byłoby korzystne dla Nowej Republiki. Moglibyście wówczas skierować swe siły do walki z waszymi prawdziwymi wrogami, a nie ze zwykłymi konkurentami handlowymi, takimi jak my.

– Czy to jedyny powód? – spytała Leia, starając się nie zdradzać swej głębokiej nieufności. Taurille myszkowały nadal, ale Leia skupiała swą uwagę jedynie na Durdze.

– My, Huttowie, mamy swą godność – ciągnął Durga. – Naszym wielkim pragnieniem jest stać się szanowanymi, prawdziwymi przedsiębiorcami, działającymi zgodnie z prawem.

– Rozumiem – powiedziała Leia. Wykorzystując swoje dyplomatyczne doświadczenie uśmiechnęła się, ale w duchu przyrzekła sobie, że prędzej wszystkie gwiazdy w galaktyce zamienią się w zimny popiół, niż Nowa Republika sprzymierzy się z Huttami.

W tym czasie jeden z członków gwardii honorowej Nowej Republiki – gwardziści mężnie starali się pozostać cicho podczas negocjacji – podjął próbę opędzenia się od dwu Taurillów, które poczęły wdrapywać się na niego niczym mammaliańskie pająki. W końcu oblaży żołnierza, choć tłukł je potężnie, próbując strącić. Machnął blasterowa strzelbą, jeszcze raz rozpaczliwie starając się ich pozbyć.

Jeden z Taurillów objął łapami broń, tak jakby to była gałąź, i wciągnął się aż na sam jej koniec. Inny wdarł się na wysokość dłoni gwardzisty, w pobliże spustu strzelby i przypadkowo – choć Leia miała dziwne wrażenie, że mogło to być jednak zamierzone – nacisnął spust. Broń wypaliła, trafiając nieszczęsnego Taurilla, zamieniając go w kupkę płonących kłaków.

Szeroka szczeka Durgi opadła jak trap. Drugi Taurill zaskrzeczał w nagłej panice. Gwardzista gapił się osłupiały na swoją strzelbę.

– Nie chciałem tego! – krzyknął.

Setka Taurillów zaczęła uciekać we wszystkich kierunkach, z rozdzierającym uszy skrzekiem przerażenia, pędząc w stronę drzwi, tuneli wentylacyjnych, chowając się za fotelami i w każdym zacienionym zakamarku.

– Nie pozwólcie im uciec! – jęknął Durga. – To moi ulubieńcy, będę naprawdę niepokieszony, jeśli stracę któregoś z nich. – Hutt łypnął na biednego gwardzistę Nowej Republiki, jakby chciał go zabić wzrokiem.

Honorowe straże złamały swoją formację i zaczęły krążyć po sali, by chwycić rozszalałe zwierzaki. Gamorreanścy strażnicy kręcili się wokół, nie wiedząc zupełnie, co się dzieje. Threepio młócił powietrze swymi złocistymi ramionami, próbując złapać kilka niesfornych stworzeń.

Leia posłała po pomoc, lecz zdawała sobie sprawę, że rozległe korytarze ogromnego imperialnego pałacu dawały Taurillom niezliczoną ilość kryjówek.

Han opadł w swoim fotelu, jego twarz wykrzywiła się w kwaśnym uśmiechu.

– Mówiłem ci, że nie powinniśmy zbyt pochopnie podejmować się strojem – szepnął.

Korzystając z zamieszania, trzy Taurille z łatwością wymknęły się z sali i zmierzały do swojego celu, przemykając po krętych tunelach wentylacyjnych, po różnego rodzaju rurach, korzystając z wszelkich możliwych przejść. Schodziły w głąb dawniej imperialnego pałacu, do strzeżonych, sekretnych pomieszczeń znajdujących się na samym dole, wykutych w litej skale.

Do Imperialnego Ośrodka Gromadzenia Informacji.

Taurille stanowiły szczególnego rodzaju jedność, były jednym organizmem, posiadającym tysiące ciał połączonych wspólną umysłowością. Pojedyncze stworzenie było jedynie dodatkowym

kompletem oczu, uszu i rąk na usługach potężnej, kontrolującej wszystkich członków świadomości.

Durga odkrył Taurille na Odległych Rubieżach i sporo zapłacił, by dowiedzieć się, jak mógłby wykorzystać ten organizm do własnych celów. Następnie po cichu pozbył się ich odkrywcy, ksenobiologa, który poznał tajemnicę Taurillów. Teraz jedynie Durga wiedział, do czego te miłe, kudłate zwierzaki są zdolne.

Zawarł układ z Taurillami, obiecując im władzę i bogactwo – lecz tym, czego naprawdę chciała Superświadomość kontrolująca Taurille, było rozprzestrzenie się po całej galaktyce, rozprasząc członków niezwyklej wspólnoty po różnych odległych systemach. Durga był uszczęśliwiony.

Teraz, gdy dziesiątki Taurillów czyniły zamieszanie w sali audiencyjnej, udając przerażone i zagubione stworzenia, trójka ich komandosów wślizgnęła się do chronionej komputerowej bazy danych, utworzonej przez samego Imperatora Palpatine'a.

W pomieszczeniu było chłodno, sterylnie i pachniało metalicznie. Drzwi strzegły ciężko uzbrojone androidy-zabójcy. Mechaniczni siepacze pilnowali zbiorów danych zawierających mnóstwo istotnych informacji, nieruchomi i całkowicie skupieni na swym zadaniu.

Taurille, przeciskając swe korpusy przez małe otwory w ścianach, dostały się do wnętrza. Sunąc cicho po zimnej kamiennej posadzce, dotarły do oddzielnego terminala komputerowego.

Wdrapały się na górę i zaczęły pracować przy różnych stanowiskach, przeglądając dziesiątki nieokreślonych zbiorów danych, aż znalazły informacje, których szukały. System był pilnie strzeżony i zabezpieczony, ale Taurille wprowadziły odpowiednie kody i hasła, pochodzące z tajnych zbiorów danych Jabby. Niewiele czasu zajęło Taurillom włamanie się do systemu.

Jedno ze stworzeń umieściło w komputerze mały informatyczny cylinder i zaczęło kopiować cenne plany. Dane szybko znalazły się w małym pojemniku. Po chwili misja była skończona.

Taurille ukryły swój miniaturowy cylinder i ruszyły z powrotem w stronę niewielkich otworów w ścianie.

Superświadomość w tym momencie już wiedziała, że zadanie zostało wykonane, i powiadomiła o tym Durgę przez jedno ze stworzeń znajdujących się w sali audiencyjnej.

Durga z radością przytulił stworzonko, głaszcząc je pieszczotliwie.

W sali audiencyjnej Leia zastanawiała się, jak można uratować sytuację – ale także jak powstrzymać się od śmiechu. Prawdę mówiąc, mało ją obchodziło, czy Durga się obrazi, czy nie.

Jeden z przypominających gady członków świty Durgi jeszcze raz dmuchnął w syntetyzator muzyki, wysyłając w przestrzeń głośny i dziwny dźwięk, od którego Leię przeszły ciarki. Jednakże wydawało się, że dźwięki uspokajają Taurille. Gruchając i mrużąc, niewielkie zwierzątka poczęły biec w kierunku muzyki, jak gdyby przyciągane przez niewidzialne pęta. Zbliżały się do platformy Durgi, wyłączając z zakamarków jak rój robaków.

– Jeśli to takie proste – Leia pomyślała głośno – czemu Durga od razu nie użył tych instrumentów?

Gamorreanie zaczęli liczyć Taurille, ale głupi strażnicy mylili się w tej czynności tak długo, aż Threepio przyszedł im z pomocą. Błyskawicznie śmigał swym złotym palcem w powietrzu, wskazując po kolei na każdego zwierzaka. Wreszcie skończył.

– Dziewięćdziesiąt siedem, lordzie Durgo. Tyle właśnie Taurillów naliczyłem.

Hurt jęknął.

– Przybyłem tu z dziewięćdziesięcioma ośmioma i wasz człowiek zabił jednego, więc zdaje się, że liczba się zgadza. – Spojrzał w kierunku podenerwowanej straży honorowej. – Może, pani

przywódczyni, powinna pani rozważyć wyznaczenie nowej eskorty, jako że ta wykazała się dość dużą niekompetencją w trakcie delikatnych negocjacji dyplomatycznych.

– Rozważę to, Durgo – odparła Leia. – Lecz może ty powinieneś zastanowić się, czy nie zostawiać w domu swych rozwydrzonych ulubieńców, kiedy planujesz przeprowadzenie „delikatnych negocjacji dyplomatycznych”. A jeśli już musisz ich wszędzie ze sobą zabierać, dopilnuj, by były pod lepszą opieką, gdy znajdują się w zasięgu niebezpiecznej broni.

Durga ryknął, jakby rozżłoszczony, potem roześmiał się głośno.

– Lubię cię, Leio Organo Solo. Cieszę się, że mam takiego silnego partnera do rozmów. Chciałbym kiedyś w przyszłości powrócić do tych negocjacji. Pozwoli pani, że zaproszę ją do złożenia wizyty na Nal Hutta, wtedy kiedy będzie pani wygodnie? Byłbym rad, mogąc panią tam gościć.

Leia kiwnęła głową niezobowiązująco.

– Wezmę to pod uwagę, Durgo – powiedziała. – Jeśli moje rozliczne obowiązki mi na to pozwolą.

Durga przechylił się do przodu w lekkim ukłonie i pożegnał wszystkich.

Gamorreańscy strażnicy odwrócili platformę Hutta i ruszyli naprzód. Czerwone aksamitne liny napięły się, gdy zaczęli ciągnąć swój ciężar z powrotem ku korytarzom. Potężne roboty rozsunęły masywne drzwi.

Leia opadła w swoim fotelu, oddychając ciężko. Han pogłaskał ją po dłoni.

– Chyba powinniśmy spędzać więcej czasu z Huttami. Wyglądają na całkiem sympatyczną rasę – oświadczył Han. – A teraz, co powiesz na to, by coś przekąsić?

Rozdział 7

YAVIN CZTERY

Callista siedziała samotnie pośród dżungli Yavina Cztery. Zapadał zmierzch. Tuż nad horyzontem rozciągała się łagodna poświata znikającego za nim słońca; drzewa Massassów wyrastały wysoko, rozczapierając gęste i poplątane gałęzie na tle ciemniejącej purpury nieba. Pokazały się gwiazdy, małe świetliste punkty na mrocznym płaszczu rozciągniętym wysoko nad światem.

Nie odeszła daleko od wielkiej świątyni, gdzie Luke Skywalker założył swoją akademię Jedi. Ogromna piramida przetrwała tysiące lat, i stała nieopodal, mierząc się z ciemnościami.

Callista siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed małym ogniskiem, które rozpałała z suchego chrustu. Koncentrowała się, nie pozwalając sobie na nieznaczące nawet rozproszenie uwagi. Jej delikatne, jasne włosy były lekko zmierzwiłone i poruszał nimi wiatr, ale oczy Callisty patrzyły nieruchomo w płomień. Ciepło płynęło od ogniska falami, przepędzając chłód, który przyniósł ze sobą zmierzch.

Wpatrywała się w ogień i natężała, nie wyczuwała jednak nic, nawet cienia swych wcześniejszych zdolności. Języki ognia lizały drewno, karmiąc przestrzeń miękkim pomarańczowym blaskiem. Płochy iskierki wyskakiwały w górę, kreśląc fantazyjne wzory. Callista zmarszczyła czoło i spróbowała mocniej dotknąć płomieni swą myślą, poruszyć żarzące się węgle.

Ale nie stało się nic. Nie wyczuwała żadnego kontaktu z ogniem.

Inni uczniowie Jedi, kształceni przez Luke'a, potrafili skłonić płomień do tańca, stworzyć z nich plastyczne obrazy, nadawać im postać człowieka czy choćby splatać w warkocze. To były proste umiejętności Jedi. Callista nauczyła się, jak to robić, już wiele lat wcześniej; wtedy nie musiała się nawet koncentrować. Lecz teraz próbowała z całych sił, ale ogień nie odpowiadał. Po prostu straciła zdolności Jedi.

Wstała, wzdychając ciężko, i roztrąciła drwa nogą, by pozwolić płomieniom zgasnąć. Iskry skoczyły w powietrze, niczym świeże oznaki jakiejś nowej bitwy w przestworzach, ale węgle zachowały jeszcze przez chwilę swą jasność.

Callista poczłapała z powrotem do wielkiej kamiennej piramidy, zastanawiając się, kiedy wreszcie wróci Luke. Za jej plecami ogień sapnął i zgasł w powolnie niknącej poświacie.

Gdy Callista szykowała się do snu, usłyszała pukanie. W drzwiach ukazała się jedna z kobiet-Jedi, Tionna.

– Znalazłam coś w archiwach – oznajmiła Tionna, w jej perłowych oczach lśniło podekscytowanie. Miała wąską twarz, dołki w policzkach, lekko wystające kości policzkowe, duże oczy i długie srebrzyste włosy. To wszystko dawało jej nieco efemeryczny wyraz, tak że ktoś mógłby ją porównać do baśniowego elfa. – Nie jest tego wiele, ale uznałam, że będziesz chciała to wiedzieć.

– Jej głos miał jakiś muzyczny ton i nie było niczym dziwnym, że Tionna uwielbiała śpiewać, akompaniując sobie na własnoręcznie wykonanym instrumencie.

Tionna nie należała do najlepszych uczniów Luke'a, ale udowodniła niezłomnie, że może być jego najlepszą asystentką i wykładowczynią w akademii. Zawsze fascynowały ją legendy i starodawne opowieści o rycerzach Jedi i spędzała wiele czasu na studiowaniu archiwum, zbierając informacje i układając wielką historię tysięcy pokoleń rycerzy Jedi, którzy służyli Starej Republice.

– Wejdz – powiedziała Callista, zapraszając ją gestem. – Co to takiego?

Tionna uniosła nieco swoje jasne brwi.

– Może ucieszy cię wieść, że nie jesteś przynajmniej osamotniona. W każdym razie zdarzyło się już coś podobnego.

Callista ożywiła się.

– Czyżby jakiś inny Jedi stracił kiedyś swoje zdolności?

– Tak, był ktoś taki. – Tionna usiadła na posłaniu Callisty, jej tajemniczo błyszczące oczy rozszerzyły się. Uwielbiała opowieści o rycerzach Jedi, legendy, które zgłębiała i kochała tak uparcie. – Ulic Qei-Droma, potężny wojownik, który walczył w Wojnie Sithów po stronie zła z Exarem Kunem. Zdradził Kuna i sprowadził rycerzy Jedi tutaj, gdzie uwięzili ducha Kuna w którejś świątyni i pozostawili tak na cały miesiąc. Ale przechodząc na ciemną stronę, Ulic Qel-Droma potępił się na wieki i w ostatecznej konfrontacji został odarty ze swych zdolności do władania Mocą.

– Ale jak? – wtrąciła Callista. – Moc jest we wszystkim. Jak jeden Jedi może odrzec innego ze zdolności do jej wykorzystywania?

– Ulicowi niczego nie zabrano – kontynuowała Tionna. – Mówiąc inaczej, raczej przesłonięto mu Moc. Ulic stracił do niej dostęp.

– Ale w jaki sposób mogło się to przytrafić mnie? – zapytała Callista. – Czy to po prostu konsekwencja tego, że mój duch zamieszkał w innym ciele?

– W ciele Cray – przypomniała Tionna z lekko ściśniętym gardłem. Callista pamiętała, że srebrnowłosa dziewczyna i Cray znały się dobrze, przyjaźniły i trenowały razem – a teraz Callista zamieszkiwała jej ciało, gdy Cray zginęła podczas samobójczej misji przeciwko „Oku Palpatine'a”.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – stwierdziła Tionna. – Mogę przekazać ci tylko to, czego się dowiedziałam. Każdy strzęp informacji jest przydatny w szukaniu rozwiązania. Któregoś dnia... – położyła swoje długie, delikatne palce na ramieniu Callisty – znajdziemy odpowiedź.

Callista skinęła głową i podniosła się, by odprowadzić Tionnę do drzwi. Wielka świątynia spowita była ciszą, pozostali uczniowie Jedi albo spali, albo medytowali w swych pokojach. Po korytarzach kręcił się jedynie astronawigacyjny robot ArtooDetoo, który wyglądał na zagubionego bez swego pana, Luke'a Skywalker'a.

Callista przyrzekła sobie, że nie przestanie próbować i szukać. Musiał być jakiś sposób. Tak długo tkwiła wewnątrz komputera... Teraz, gdy odnalazła miłość, nie podda się łatwo. Ale nie może naprawdę związać się z Lukiem, jak prawdziwy Jedi z prawdziwą Jedi, jak długo nie odzyska swych zdolności do władania Mocą. Do tej chwili nie będzie mogła mu dać wszystkiego.

Spędzili ze sobą tak mało czasu, zanim zostali rozdzieleni. Teraz mogli jedynie wpatrywać się sobie w oczy, czując niewidoczną barierę, której żadne z nich nie potrafiło pokonać.

Callista przełknęła ślinę, ale jej gardło pozostawało suche. Nie mogła beczynnie czekać na powrót Luke'a.

Gdy powrócił kilka dni później, Callista od razu zorientowała się, że wyprawa nie została uwieńczona sukcesem. Nie mogła czytać w jego myślach tak jak niegdyś, wyczuwać jego emocji – ale mogła zrozumieć z wyrazu twarzy Luke'a, że nie znalazł odpowiedzi, których szukał.

Spotkała się z nim na lądowisku, w pobliżu frontu piramidy. Inni uczniowie Jedi wychodzili jeden za drugim, by przywitać się ze swym mistrzem. Callista pobiegła do niego. Luke chwycił dziewczynę w ramiona, szczęśliwy, że są razem. Trzymał ją mocno w objęciach, ale nie powiedział ani słowa.

Pocałowała go, po czym spytała cicho:

– Generał Kenobi nie odpowiedział na twoje wezwanie?

Spojrzał na nią, mrużąc niebieskie oczy i uśmiechając się.

– Wciąż zapominam, że byłaś Jedi już tak dawno temu, że znałaś Obi-Wana, gdy był jeszcze młodym dowódcą wojsk. – Odwrócił na chwilę wzrok. – Nie, nie odpowiedział. – I dodał szybko, jakby chciał ją uspokoić: – Ale to nic nie znaczy. Zamierzam wciąż usilnie próbować – tak jak ty – dodał.

– Możesz być tego pewny – przyznała. – Zrobiłabym wszystko, byśmy tylko mogli być razem.

– I ja również – oświadczył Luke. – Gdybym tylko jeszcze wiedział, co robić...

– Chodźmy przywitać się z innymi. – Callista otoczyła go ramieniem.

Luke przytrzymał jej rękę, gdy zbliżali się do świątyni.

– Przykro mi, że nie udało się znaleźć odpowiedzi – powiedziała Callista – ale już to, że jesteś tu z powrotem, czyni mnie szczęśliwą.

– Tyle mogę ci dać – odparł Luke – mam jednak nadzieję, że wkrótce będziemy mogli ofiarować sobie więcej... o wiele więcej.

– Tak będzie – szepnęła z przekonaniem Callista.

Rozdział 8

Gęsty, ciepły deszcz gwałtownie opadał na dżunglę, uderzając głośno o połyskujące, gładkie liście. Mistrz Skywalker ignorował to albo zaakceptował, prowadząc grupę swych wychowanków nasiąkłymi wilgocią ścieżkami poprzez roślinność otaczającą wielką świątynię. Krople wody igrały na płaszczach Jedi.

Kyp Durron spojrzał w górę ku połaciom szarego, ołowianego nieba, na którego tle rysowała się gmatwanina potężnych drzew. Deszcz uderzał w jego twarz jak miękkie, perłowe opuszki palców, ściekając wzdłuż konturów policzków i wdzierając się przez otwarte usta prosto do gardła. Inni mogli zachmurzone niebo i ulewę uznawać za przykrą dolegliwość, ale tak naprawdę, deszcz odradzał dżunglę, i Kyp Durron uważał, że to potrzebna i zdrowa odmiana po ciężkich upałach.

Cilghal, kalamariańska kobieta-Jedi, stąpała dokładnie za mistrzem Skywalkerem. Jej delikatna szata, zupełnie przemoczona, marszczyła się i przyklejała do ciała, jakby zaprojektowano ją specjalnie tak, by prezentowała się najlepiej w czasie rześzystych opadów. Skóra Cilghal, koloru łososiowego, lśniła; kobieta mrużyła swoje duże, rybie oczy, spoglądając z zadowoleniem na strugi wody.

Kyp kroczył obok klonowanego przedstawiciela jeszcze innej rasy, Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, którego gładka skóra i opływowe kontury stwarzały wrażenie, jakby w jakiś sposób zlikwidowano mu wszelkie ostre krawędzie ciała. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy miał bladą, oliwkowozieloną skórę, wielkie żółte oczy i przejrzystą, niewinną twarz. Klonowany członek obcej rasy wciąż uczył się nabierania pewności siebie, zmagając się ze świadomością istnienia kilkudziesięciu generacji identycznych, ale nie utalentowanych poprzedników, jego genetycznych przodków. W ciągu ostatniego roku Kyp i Dorsk stali się bliskimi kompanami. Posiadali całkiem odmienne osobowości – co mogło rodzić pomiędzy nimi konflikty, ale w jakiś sposób tych dwóch raczej uzupełniało się nawzajem.

Mistrz Skywalker prowadził swą grupę treningową przez spokojne, gęste zarośla, w których nawet ptaki i owady pozostawały cicho, ukryte przed deszczem gdzieś pośród listowia.

Schodzili w dół nabrzeża, w kierunku szerokiej rzeki przecinającej dżunglę, ciężkiej wstęgi zielonkawej, tętniącej życiem wody. Fale mknęły wartko; tysiące niewielkich punktów, przypominających ślady pozostawione przez ospę, znaczyło powierzchnię strumienia, zalewaną deszczem.

Za rzeką, przez strugi ulewy, Kyp widział ruiny następnej świątyni Massassów, wyniosłej, ale rozsypującej się Świątyni Niebieskiego Liścia. Nieopodal, bucząc i parując na deszczu, tkwiła duża stacja generatorów energetycznych.

Mistrz Skywalker zatrzymał się na samym brzegu, jego stopy zapadły się nieco w muł. Wyciągnął rękę, jakby próbując dotknąć myślą wody i dobyć jakichś źródeł Mocy znad jej powierzchni.

Ściągnął kaptur. Jego jasne włosy nieco pociemniały od deszczu, przesiąknięte wilgocią. Krople wody załśniły na jego policzkach, gdy odwrócił się do swych uczniów.

– Cieszę się, że dane mi było wskazać wam drogę – powiedział. – Rzeka przepływa, tak samo jak Moc – bez końca, nigdy nie przestaje, zawsze w ruchu... Przybyliście na Yavin Cztery, by rozpocząć edukację. Ja mogę jedynie wprowadzić was na ścieżkę światłości i otworzyć wasze umysły na to, co umożliwia Moc. Wszyscy musicie samodzielnie ukończyć naukę. Każdy musi sam zdecydować, kiedy nadszedł odpowiedni moment.

Nowa Republika potrzebuje rycerzy Jedi, by szerzyli pokój i ład, nie możemy więc pozostać tu na zawsze, w naszej wygodnej akademii. – Luke spojrzął po przemoczonych uczniach i na swą własną ociekającą wodą szatę. – No, może nie zawsze jest tu tak całkiem wygodnie... – dodał z uśmiechem.

Kyp był podniecony. Chociaż od dłuższego czasu wyczekiwał chwili ukończenia nauki w akademii, teraz wiedział, że kończy się jeden z najważniejszych okresów w jego życiu – nawet jeśli oznaczało to, że zaczyna się dla niego jeszcze ciekawszy i ważniejszy okres.

– Trójka studentów postanowiła opuścić miejsce naszych ćwiczeń, akademię, w której uczymy się poznawać Moc i działać zgodnie z Mocą.

Kyp i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zrobili krok naprzód i stanęli obok Cilghal, odwracając się twarzami do pozostałych Jedi. Cilghal przechyliła lekko głowę ku niebu, pozwalając, by krople deszczu spływały po jej obliczu.

– Nauczyci się każdej lekcji, jaką dla nich przygotowałem – ciągnął Luke Skywalker. – Skonstruowali swoje własne miecze świetlne i ukończyli trening.

Cilghal wyciągnęła rękojeść miecza z pól swej szaty; jej broń była srebrzysta i gładka, z subtelnymi wytłoczeniami i wybrzuszeniami, jakby stanowiła dziwny organizm, na wzór olbrzymich gwiazdnych krążowników klasy Mon Calamari. Kyp i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy także wyjęli swoje miecze świetlne. Cała trójka równocześnie uruchomiła miecze. Para uniosła się wokół świetlistych ostrzy, gdy zetknęły się z kroplami wody.

– Wasza trójka musi odejść, by stać się strażnikami galatyki, obrońcami Nowej Republiki – powiedział uroczyście Luke Skywalker. – Musicie zwalczać ciemną stronę Mocy, we wszystkich jej przejawach. Teraz jesteście rycerzami Jedi.

Cilghal skupiła wzrok na ostrzu, które trzymała przed sobą.

– Ja wrócę do mojej ojczyzny, gdzie będę służyć zarówno jako rycerz Jedi, jak ambasador. Kalamarianie to zdolna i pracowita rasa. Możemy wykorzystać nasze bogactwa i zdolności do zwiększenia stabilności Nowej Republiki.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zamrugał powiekami żółtych oczu i rzucił nerwowe spojrzenie w stronę Kypa, który lekko skinął głową, dodając mu odwagi.

– Ja także chciałbym wrócić na moją rodzimą planetę – przemówił Dorsk. – Na Khomm, na której nasze społeczeństwo od wieków pozostaje takie samo. Pokazując moim rodakom, że mogłem się zmienić, że jestem rycerzem Jedi, poruszę ich – dodał. Jego usta poruszyły się nieznacznie w nieśmiałym uśmiechu. – Sądzę, że potrzebują, by ich ktoś przebudził.

Mistrz Skywalker skierował wzrok na Kypa, który stanął jeszcze bardziej wyprostowany niż do tej pory, dorównując wzrostem Dorskowi Osiemdziesiątemu Pierwszemu.

– Na razie wyruszymy razem – powiedział Kyp. – Jego rodzima planeta znajduje się na szlaku prowadzącym do centrum galaktyki, niedaleko systemów tworzących jądro galaktyki. Martwię się, że Imperium pozostawało tak spokojne w ostatnich latach. Owszem, widzieliśmy zdrajcę, admirał Daalę

i „Oko Palpatine'a”...

W tym momencie Luke Skywalker drgnął lekko i spojrzał na Callistę, która, chociaż cała przemoczona i zszargana przez deszcz, wciąż z napięciem wpatrywała się w niego.

– Ale uważam, że generałowie, czy inni wodzowie Imperium, na pewno coś planują – kontynuował Kyp. – Nie mogę sobie wyobrazić, bym mógł lepiej przysłużyć się Nowej Republice, niż starając się dowiedzieć, co się tam rzeczywiście dzieje. Pokręcę się trochę i powęszę wokół Imperium.

Mistrz Skywalker kiwnął głową z aprobatą, potem odezwał się, kierując słowa do pozostałych Jedi:

– Któregoś dnia wszyscy staniecie się strażnikami. Zastanówcie się, dokąd moglibyście się udać, aby uczynić najwięcej dobra. – I na koniec zwrócił się do nowo mianowanych rycerzy Jedi: – Niech Moc będzie z wami.

Kyp spojrzał na innych, dostrzegając niepokój i silną determinację. Tionna przyjaźnie skinęła głową. Kam Solusar, opanowany i skupiony Jedi, stał nieporuszony, jakby nic go to nie obchodziło. Kirana Ti, wojowniczką z Dathomiry, wyglądała na niezwykle pewną siebie, w swym lśniącym czerwono-zielonym pancerzu z jaszczurczej skóry. Obok niej Streen z Bospina stał wpatrzony w deszcz, rozglądając się czasem gdzieś na boki. Kirana Ti położyła swą silną dłoń na ramieniu Kypa, tak jakby wyczuła jego niepewność.

Wszyscy reagowali na swój sposób; niektórzy utwierdzali nowych rycerzy Jedi w ich zamiarach, niektórzy po prostu rozglądali się dookoła. Kyp dobrze znał początkową grupkę uczniów Luke'a; inni dopiero co przybyli, by pobierać nauki. Przybywali, w miarę jak wieść rozchodziła się po całej galaktyce, od systemu do systemu.

Mistrz Skywalker opuścił ręce, rozluźniając się. Kyp nacisnął wyłącznik swego świetlnego miecza i rękojeść wchłonęła żarzące się ostrze. Cilghal i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy poszli w jego ślady i też zgasili miecze.

Luke uśmiechnął się do nich wszystkich.

– Myślę że dość już tego deszczu. Wracajmy do świątyni.

W tej samej chwili Kyp poczuł, jak napięta atmosfera znika, i zdało mu się, że on i jego znajomi są raczej miłą kompanią włóczącą się po prostu po lesie, a nie uczestnikami ceremonii o galaktycznym znaczeniu.

Mistrz Skywalker wmieszał się w zwartą grupę swych uczniów, szukając Callisty. Ujął jej dłoń i uśmiechając się do siebie, poprowadzili młodych Jedi zarośniętą ścieżką prosto do wielkiej świątyni.

Trasę na Khomm Dorsk przemierzył pilotując mały, prywatny statek kosmiczny, który ofiarowała mu Nowa Republika. Teraz patrzył, jak szybko rośnie jasny punkcik na tle czarnej przestrzeni, punkcik, który stanowił jego dom.

– Zbliżamy się po właściwym wektorze – odezwał się Kyp z siedzenia pasażera i włączył system urządzeń komunikacyjnych. – Kyp Durrone i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy na pokładzie. Prosimy o zgodę na lądowanie i współrzędne.

Po chwili kontroler spokojnym głosem przekazał im potrzebne dane. Kyp z ciekawością spojrzał na Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

– Czy oni nas oczekują?

Jego kompan pokręcił głową.

– Nie, oni w ogóle rzadko komunikują się w jakikolwiek sposób.

Kyp spojrział na klon członka innej rasy, przypominając sobie ich poprzednią wspólną podróż. Wówczas, znajdując się pod wpływem Exara Kuna, sławnego Czarnego Lorda Sithów, udał się razem z Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym do stojącej w dżungli, zapomnianej świątyni, prywatnej fortecy i miejsca odosobnienia Kuna. Tam czarny duch próbował zniszczyć Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, by zademonstrować potęgę ciemnej strony; Kyp uratował go, choć Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy nawet o tym nie wiedział.

Od chwili pokonania Kuna, gdy musiał zmierzyć się ze strachem i własną niedoskonałością, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy stawał się silniejszy, także dzięki akceptacji swoich ograniczeń. Kyp nie nakłaniał go do niczego i pozwalał mu kroczyć indywidualną ścieżką. Bładozielona kula Khomm stawała się większa i większa, aż wypełniła cały ekran widokowy. Z dystansu planeta wyglądała na spokojną, była mglista i jakaś bez wyrazu. Nie miała naturalnych satelitów, brakowało fazy księżycowych, które mogłyby wprowadzać jakąś regularność. Orbita Khomm była niemal idealnie kołowa, ponadto pionowa oś planety ani trochę nie była odchylona, przez co brakowało zmian pór roku. W bezpośrednim pobliżu centrum galaktyki bezksiężycowy firmament wypełniały świecące jasno gwiazdy.

– Cieszysz się, że wracasz do domu? – spytał Kyp, gdy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wprowadził do systemu nawigacyjnego odpowiednie informacje i skierował statek na orbitę, po której mogli swobodnie opadać, zbliżając się do kosmicznego portu.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy skinął głową.

– Nie mogę się doczekać, by spotkać swoje klony – odparł.

Ponieważ wszyscy pochodzili z tej samej matrycy, będącej podstawą do klonowania, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy nie mógł nazywać ich swoimi rodzicami czy rodzeństwem. Byli po prostu genetycznie tacy sami – jednak coś dziwnego i niepojętego stało się z Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym, coś, co dało mu zdolność odczuwania Mocy w sposób, w jaki nie był w stanie tego zrobić żaden z innych jego klonów.

– Zwłaszcza nie mogę się doczekać, by ujrzeć Dorska Osiemdziesiątego Drugiego – dodał. – Powstał z moich genów i prawdopodobnie zdążył już dorosnąć od czasu, gdy opuściłem planetę.

Kyp zamrugał oczami, zdumiony. Nie wiedział, że Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy ma... dziecko, potomstwo, młodszego od siebie klona.

– Ja też nie mogę się doczekać, by go ujrzeć.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy pilotował statek zmierzający ku lądowisku, a Kyp wpatrywał się w zwarte gwiazdy, układające się w szeroką wstęgę światła przecinającą czerń przestworzy. Systemy tworzące jądro galaktyki. Przyrzekł sobie, że dowie się, co działo się w Imperium przez cały ten czas.

Rozdział 9

JĄDRO GALAKTYKI

Prawdziwa noc nie istniała w systemach gwiazdnych tworzących jądro galaktyki. Gwiazdy tkwiły tak blisko siebie, że nawet najciemniejsze rejony stanowiły symfonię gwiazdnej światłości, a gorący zjonizowany gaz zbijał się wciąż w nowe skupiska materii. W takim właśnie nawigacyjnym piekle przetrwały resztki Imperium, aby przeczekać trudny czas, nabierać sił – i walczyć między sobą.

Admirał Daala, eskortowana przez gwardię szturmowców, kroczyła wyprostowana i dumna, jak wzór świetnego imperialnego wytrenowania, do fortecy naczelnego wodza Harrska. Jej twarz, jak wyciosana z kamienia, wciąż piękna, lecz już nieco zniszczona przez czas, nabrała wyrazu goryczy. Wokół warg rysowały się liczne drobne linie, powstałe przez zbyt wiele lat zaciskania zębów, uparte próby ponownego zjednoczenia skłóconych wodzów, którzy gryźli się między sobą o pozostałości militarnej potęgi Imperium niczym psy o padlinę.

Męczyły ją wspomnienia porażki, przygasła nadzieja na rewanż, lecz wciąż jeszcze zdarzało się, że jej zielone oczy rozświeślały się, gdy pomyślała, jak łatwo można by skutecznie uderzyć na Nową Republikę. Rebelianci nie zdołali umocnić swej pozycji w galaktyce, chociaż Imperium dało im na to parę ładnych lat.

Szturmowcy prowadzili Daalę przez gąszcz korytarzy w dół, w głąb wykutej w skale fortecy. Naczelną siedzibę Harrsk umieścił swoją siedzibę na małej skalistej planecie, krążącej w niewielkiej odległości od czerwonego gigantycznego słońca. Jej powierzchnię stanowiła gładka, spękana skorupa, spod której wydzielala się płynna lava.

Na orbicie wielkie, napędzane energią słoneczną urządzenia dostarczały surowców energetycznych i materiałów do budowy osobistej floty Harrska, mającej się składać z gwiazdnych niszczycieli klasy Imperial. Sam zastępca Daali, Kratas, przeprowadził już inspekcją uzbrojenia na statku flagowym „Fala Uderzeniowa”. Harrsk ukończył konstrukcje, dwunastu gwiazdnych niszczycieli, używając wszelkich materiałów, jakie tylko udało mu się zdobyć dzięki eksploatacji okolicznych systemów.

Daala myślała o nie wykorzystanej militarnej potędze, oczekującej w bezpiecznym cieniu planety Harrska, gdzie niszczące promienie czerwonego giganta nie mogły uszkodzić systemów statków. Swego czasu Daala dowodziła jedynie czterema imperialnymi gwiazdnymi niszczycielami – i podczas swej małej prywatnej wojny z Rebeliantami straciła trzy z tych statków.

Co prawda mogła się pocieszać, że zniszczyła jedną z kolonii Rebeliantów, zlikwidowała jeden z konwojów zmierzających do nowej wojskowej bazy, a także zaatakowała i unicestwiła kilka miast wodnego świata Kalamaru – lecz, ostatecznie, jej taktyka była niewłaściwa, źle przemyślana. Co więcej, pozwoliła, by dzika złość przesłoniła niedociągnięcia planu. Oczywiście, cierpiała też na brak szczęścia – lecz tym razem nie zamierzała pozwolić na to, by przypadek stał się czynnikiem

decydującym.

Daala straciła wszystko i powróciła znów w rejony Imperium na pokładzie uszkodzonego w bitwie ostatniego gwiazdowego niszczyciela, „Gorgony”. Po powrocie była szczerze zawiedziona, widząc słabych i infantylnych wodzów, od których zależała przyszłość Imperium.

Imperialne władze przydzieliły ocalałych żołnierzy Daali do służby na innych statkach, w innych flotach. „Gorgona” została rozebrana na części i te elementy statku, które były w niezłym stanie, posłużyły do konstrukcji innych jednostek.

Daala jednak nie pozwoliła, by przydzielono ją do jakiegoś oddziału. Zamiast tego wołała działać jako niezależny ambasador, próbując godzić ze sobą skłóconych wodzów. Każdy z nich wymyślił dla siebie jakiś tytuł – od wielkiego admirała, przez głównego admirała, po najwyższego głównodowodzącego czy wszechmocnego wodza wojsk, a wszystko po to, by zaspokoić próżność i chęć dominacji. Admirał Daala zachowała swój zwykły stopień, nie czuła potrzeby zdobycia nowych zaszczytów czy tytułów. Jej misja jednoczenia wodzów zdawała się nie mieć końca. Wraz z komandorem Kratasem podróżowała od systemu do systemu, próbując przekonywać ludzi, którzy, zdawało się, mieli uszy wypełnione ołowiem.

Powietrze było ciepłe i ciężkie od wilgoci, z jakimś nieprzyjemnym siarkowym posmakiem. Długie rude włosy Daali powiewały lekko, niczym ogon komety. Swego czasu próbowała ścinać je krótko, lecz uważała, że ta fryzura przydaje jej powagi.

Szturmowcy Harrska ustawili się w korytarzu w dwóch szeregach, pod jedną i pod drugą ścianą. Tam, gdzie kończyła się ich formacja, zaczynały się wysokie po sam sufit drzwi, pokryte skomplikowanymi płaskorzeźbami opiewającymi wielkość Imperium. Jeden ze szturmowców uderzył pięścią w potężną mosiężną płytę, która odpowiedziała głuchym dźwiękiem, zwielokrotnionym przez echo.

Daala próbowała ukryć niesmak. Skomplikowane formalności czy różne przesadne formy demonstrowania siły nie były, według niej, potrzebne i niczego dobrego nie zapowiadały. Wyglądało na to, że naczelny wódz Harrsk uważał się za kogoś bardzo ważnego – co, według rozeznania Daali, oznaczało, że kimś naprawdę ważnym nie jest.

Drzwi otworzyły się i Daala weszła do środka, nie czekając na zaproszenie. Jej czarne buty głośno stuknęły o gładką kamienną podłogę. Zasalutowała.

– Witam pana, naczelny wodzu Harrsku.

W obszernej komnacie naczelny wódz siedział na małym obrotowym fotelu, otoczony zainstalowanymi wokół na ścianach panelami kontrolnymi.

– Ach, pani admirał Daala – powiedział. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był po prostu odrażający. Lewa połowa głowy była spalona, została na niej jedynie cienka warstwa czerwonej skóry, pokryta licznymi bąblami. Uszkodzone oko Harrsk zastąpił syntetycznym czujnikiem optycznym, który świecił z oczodołu upiornym żółtawym blaskiem.

Harrsk niemal stracił życie w eksplozji, podczas bitwy o Endor. Jego statek został zniszczony, lecz on sam zdołał uciec z częścią floty, w ustalone miejsce w systemach jądra galaktyki, zaraz potem jak wybuchła Gwiazda Śmierci. Harrsk, wykorzystując istniejące techniki medyczne, mógł poprawić wygląd swej twarzy. Wolał jednak zachować ohydny bliznę jako swoisty honorowy symbol i, w co Daala nie wątpiła, element odstraszący.

Harrsk poruszył się na swym pneumatycznym fotelu. Włosy na nie uszkodzonej połowie głowy były równo przycięte. Wyglądało na to, że równie starannie pielęgnował zachowaną część oblicza,

jak pogardliwie traktował uszkodzoną.

– Wiele o pani słyszałem – powiedział. – To zaszczyt dla mnie, gościć tak wielkiego bohatera wojennego – i radość, że dotarła tu pani w końcu. Myślę, że odwiedzanie moich słabych rywali było stratą czasu.

Harrsk wskazał na ekrany znajdujące się na ścianie. Daala zauważyła, że oprócz zdalnych sond na orbicie i licznych satelitów szpiegowskich na obrzeżach swego systemu, Harrsk rozmieścił również holograficzne kamery na rozpalonej powierzchni planety. Jeden z monitorów ukazywał właśnie, jak skalną powierzchnię planety rozrywa od wewnątrz ciśnienie, a z szerokiego pęknięcia tryska szkarłatnopomarańczowa lava, opadając na ziemię w błyszczącym wachlarzu. Harrsk skinął głową w kierunku centralnego ekranu, który przedstawiał tuzin imperialnych gwiazdnych niszczycieli, znajdujących się w cieniu rzucanym przez jałową planetę.

– Właśnie rozmawiałem z pani komandorem, Kratasem – oznajmił Harrsk. – Zdaje się, że naprawdę zaimponowała mu „Fala Uderzeniowa”. – Wcisnął przycisk i na ekranie ukazał się komandor Kratas, pochylony nad konsolami sterowniczymi na mostku nowego gwiazdowego niszczyciela. Jego oczy lśniły z podniecenia, a brwi uniosły się nieco.

– Pani admirał! – odezwał się Kratas. – Wspaniale jest stać znowu na mostku. To doskonały produkt wojskowej techniki. Zapomniałem już, jak świetną maszyną może być imperialny gwiazdny niszczyciel, po tych wszystkich uszkodzeniach, jakie przytrafiły się naszej „Gorgonie”.

Daala nieraz strofowała go za okazywanie podobnych emocji. Kratas powinien w końcu nauczyć się zachowywać bardziej profesjonalnie. Ale z drugiej strony, pomyślała, tyle przeszedł u jej boku, zawsze był lojalny, zawsze popierał jej działania... Jednakże gdyby był silniejszy i mniej uległy, mógłby przekonać ją, że dotychczasowa taktyka walki z Rebeliantami nie jest zbyt mądra.

– Cieszę się z pańskiego uznania, komandorze – powiedział Harrsk. – Może pan kontynuować inspekcję. Admirał Daala i ja mamy parę spraw do omówienia.

Zanim Kratas zdążył zaszalutować, Harrsk przerwał połączenie. Obrócił się w fotelu, by spojrzeć na Daalę. Spoglądała na niego z uwagą zatrzymując się na jego oczach – jednym ciemnym, drugim żółtym. Nie patrzyła na jego bliznę, nie zwracała uwagi na oszpeconą twarz ani na sztuczne oko – skupiała się na umyśle, w którym zrodziła się idea stworzenia tej kolekcji ciężkiego sprzętu, jaki można było całkiem dobrze wykorzystać.

– Przejdźmy do rzeczy – stwierdził. – Znam pani misję. Spędziła pani cały rok na rozmowach z innymi, próbując zjednoczyć nasze siły. Doceniam to. Ja także znużony jestem tą nie kończącą się walką między frakcjami – lecz ponownie wybrała pani niewłaściwą taktykę. Tego rodzaju metody mogły się sprawdzać w wątpliwej demokracji Starej Republiki, ale to nie są metody Imperium.

Kiedy wstał, zorientowała się, że naczelny wódz nie dorównuje jej wzrostem.

– Jest pani bohaterką, admirał Daalo. Nie rzuca pani słów na wiatr. To jedyna przyczyna, dzięki której mogła pani bezpiecznie przelatywać przez wrogie systemy gwiazdne jądra galaktyki. Ale nadszedł czas, by skończyć tę grę. Musi pani związać się z najsilniejszym z wodzów – ze mną oczywiście. Z panią, jako moim zastępcą będę w stanie powalić pozostałych na kolana. Połączywszy siły, staniemy się militarną potęgą. Oczywiście, będziemy musieli zlikwidować wszelkich odstępców i zdrajców, ale podejrzewam, że wielu żołnierzy z ochotą zmieni wodza, pod którym mogą służyć. Wszyscy jesteśmy sfrustrowani, sama pani rozumie.

Daala zastanawiała się.

– Rozumiem, co pan mówi, naczelny wodzu, a pańska flota jest rzeczywiście imponująca. –

Gestem wskazał na ekran, na którym niezmiennie majaczyła grupa imperialnych gwiazdnych niszczycieli. – Lecz nie jestem całkiem przekonana co do tego, że tak łatwo uda się załatwić sprawę z pańskimi konkurentami. W chwili, gdy pan stanie się silniejszy, pozostali mogą utworzyć sojusz. Wówczas wojna byłaby jeszcze bardziej krwawa niż do tej pory. Raczej wszyscy musimy skupić swoje siły na jednym celu. Działać niezależnie, jeśli tak pan woli, ale spotkać się i przedyskutować ogólną strategię, by wybrać najodpowiedniejsze rebelianckie cele i uderzyć tam, gdzie atak spowoduje największe szkody. – Uniosła okrytą rękawicą pięść, wpatrując się zielonymi oczyma w Harrska. – Żerowanie na sobie nie służy nikomu z członków Imperium.

Harrsk chrząknął, a po chwili zdrowa część jego twarzy rozciągnęła się w uśmiechu, gdy druga część pozostała nie zmieniona.

– Teraz rozumiem, czemu pani bitwy kończyły się klęską pani admirał powiedział. – Jest pani tak naiwnym przywódcą. Nic dziwnego, że wielki moff Tarkin uwięził panią by nie mogła pani niczego zepsuć, gdy pozostali toczyli prawdziwą walkę w imię Imperium.

Daala poczuła wzbierającą wściekłość – lecz zanim jakiegokolwiek słowa zdążyły wydobyć się spomiędzy jej zaciśniętych zębów, ekrany kontrolne rozjarzyły się sygnałami alarmu. Jedno z odległych urządzeń szpiegowskich, umieszczone wysoko nad ekliptyką, wykryło coś poruszającego się z tak dużą prędkością, że jego czujniki nie były zdolne uchwycić tego wyraźnie.

Harrsk skoczył w stronę ekranów i wlepił wzrok w jeden z nich. Pozostałe urządzenia śledzące i kamery, nakierowane na gigantyczne słońce, wykryły więcej śladów zbliżających się obiektów.

Centralny ekran przełączył się i ukazał się na nim ponownie komandor Kratas.

– Pani admirał Daalo – och, proszę mi wybaczyć, naczelny wodzu Harrsku odebraliśmy sygnał o zbliżających się statkach, lecących z wielką prędkością. – Kolejne systemy szpiegowskie wysłały sygnały alarmu, tuzin kolejnych statków nadlatywał z przeciwnej strony. – Wykryliśmy już siedemdziesiąt – oznajmił Kratas z niedowierzaniem.

Harrsk krzyknął:

– Włączyć alarmy! – Po chwili korytarze fortecy wypełniły dźwięki wzywające do gotowości bojowej.

Gdy obraz przesyłany przez urządzenia szpiegowskie wyostrzył się, Daali zapało dech w piersi – rozpoznała flotę złożoną z siedemdziesięciu trzech gwiazdnych niszczycieli klasy Victory, statków, z których każdy miał wielkość połowy imperialnego gwiazdznego niszczyciela. Lecz były bardzo szybkie, zwinne i najeżone bronią. Ich kadłuby wykonano z karmazynowego stopu metali barwy szkarłatu i jednostki klasy Victory wyglądały jak krwawe kły zaciskające się stopniowo wokół gwiazdnych niszczycieli Harrska.

– Czy to są ćwiczenia? – zapytała Daala. – Czy próbuje mi pan po prostu zaimponować?

– Nie! – rzucił w jej stronę Harrsk; jego twarz była wykrzywiona wściekłością. To główny admirał Teradoc. – Jednocześnie wrzeszczał do załóg gwiazdnych niszczycieli: – Wybierajcie pierwsze lepsze cele i strzelajcie!

Gwiazdne niszczyciele zgromadzone w cieniu planety Harrska wypaliły z turbolaserów, uderzając w wybrane cele – ale statki klasy Victory poruszały się niezwykle szybko. Pięć z nich eksplodowało od uderzeń zielonych promieni, lecz ta strata była wręcz niezauważalna w masie atakujących jednostek.

– Teradoc próbuje mnie zhańbić! – krzyknął Harrsk.

Daala widziała na ekranie, jak znajdujący się na mostku Kratas wydaje polecenia i rozkazy. Była

dumna z tego, że jej zastępca potrafi natychmiast rozemnieć się w sytuacji, przejmując inicjatywę. Dobrze go wytrenowała.

– Skoncentrujcie siłę ognia – polecił Kratas. – Wybierzcie jeden cel, zniszczcie go, potem kolejny. Nieskoordynowane działanie nie zda się na nic.

Kratas skierował statek flagowy Harrska na główne siły wroga. „Fala Uderzeniowa” była większa niż inne gwiazdne niszczyciele, lepiej wyposażona w ciężką, wysokoenergetyczną broń. Namierzała cel i strzelała, niszcząc już szósty statek klasy Victory. Ponownie wybrała cel, wypaliła i następny szkarłatny statek rozświetlił się w eksplozjach i, łamiąc sztyk, pomknął, jako wrak bez kontroli, przez przestworza.

W tej chwili Daala z przerażeniem zdała sobie sprawę z tego, że właśnie „Fala Uderzeniowa” była głównym celem skoncentrowanego ataku niszczycieli klasy Victory. Zbliżały się do niej jak kawałki metalu przyciągane przez magnes, nie przestając pluć w jej stronę ogniem swej broni.

– On próbuje zniszczyć mój statek flagowy! – krzyknął Harrsk, zaciskając pięści. Chce mnie poniżyć, tak jak mówiłem.

– Wstrzymać ogień – polecił Kratas załozde. – Całą moc skierować na osłony. Musimy wytrzymać ten atak!

Niszczyciele klasy Victory kontynuowały dzieło zniszczenia. Pozostałe gwiazdne jednostki floty Harrska strzelały do nich, zbierając niewielkie zniwo, ale wyglądało na to, że karmazynowe statki wojenne wykonywały misję samobójczą, nie zwracając uwagi na własne straty. Niszczyciele klasy Victory utworzyły broczącą ogniem turbolaserów sieć, która zaciskała się wokół „Fali Uderzeniowej”, niszcząc jej osłony.

– Nie utrzymamy się dłużej – oznajmił zdenerwowany Kratas. – Osłony są uszkodzone. – Odwrócił się, by spojrzeć na ekran. Jego brwi uniosły się lekko, gdy ujrzał na nim Daalę. – Pani admirał, ja...

W tym momencie obraz na ekranie zgasł i zamienił się w chaos niewyraźnych linii i trzasków. Jedno z urządzeń szpiegowskich pokazało, jak „Fala Uderzeniowa” rozpada się na pół, zaraz po tym, jak z jej kadłuba wytrysnął gejzer białych płomieni. Zespół silników wysyłał nieskoordynowane strumienie energii, czego kadłub po prostu nie mógł wytrzymać.

Gwiazdne niszczyciele klasy Victory strzelały jeszcze, aż „Fala Uderzeniowa” stała się jedynie żarzącym się obłokiem szczątków.

– Kratasie – szepnęła zrozpaczona Daala – przepraszam...

Po wykonaniu swojego zadania pozostałe statki klasy Victory – sześćdziesiąt dwa, według danych przesyłanych przez urządzenia śledzące – zmieniły kurs i dokonały skoku w nadprzestrzeń, mimo że ocalałe gwiazdne niszczyciele Harrska nadal prowadziły, nieskutecznie, ich ostrzał.

Daala stała w bezruchu, przepelniona wściekłością. Komandor Kratas nie należał przecież do sił zbrojnych Harrska. Stał się ofiarą głupiej wojny prowadzonej przez niedojrzałych wodzów. Daala zacisnęła wargi, krew w jej żyłach wrzała od gniewu.

– Nie będziemy tolerować czegoś takiego! – zagrmiał Harrsk. – Tym razem weźmiemy odwet i sądzę, że przyłączy się pani do mnie, admirał Daalo – dodał, spoglądając na nią swym błyszczącym, złotawym okiem.

Daala tkwiła w ponurej zadumie.

– Co?

Harrsk wyrzucił z siebie słowa nie biorąc oddechu:

– Musimy uderzyć na tego opasłego tchórze! Zebrałem całą moją militarną potęgę na taki atak.

Daala spojrzała, jakby chciała go zabić wzrokiem.

– Nie zamierzam brać udziału w pańskiej głupiej walce, wodzu Harrsk. Przez pana właśnie straciłam najlepszego komandora, jakiego kiedykolwiek miałam. Nie poprę tego...

– Szturmowcy! – krzyknął Harrsk w stronę drzwi. – Natychmiast do mnie.

Oddział szturmowców wkroczył do komnaty. Ich białe buty głośno stuknęły o posadzkę, gdy stanęli na baczność. Za czarnymi, zimnymi szklami okularów wmontowanych w plastalowe białe hełmy nie widać było żadnych emocji.

– Zabierzecie admirała Daalę na pokład jednego z moich gwiazdnych niszczycieli rozkazał. – Ona pokieruje odwetowym atakiem na siły głównego admirała Teradoca. Łypnął na nią. – Jeśli odmówi, zabijecie ją natychmiast za zdradę.

Daala zjeżyła się.

– Nie pozwolę, by rozkazywano mi w ten sposób.

– Jestem wyższy rangą i zna pani moje rozkazy! – wrzasnął. – Czy służy pani Imperium, czy działa na własną rękę?

Szturmowcy unieśli blasterowe strzelby, celując prosto w nią. Wydawali się nieco zmieszani, ale wykonywali polecenie dowódcy. Daala niemalże czuła, jak mechanizmy celujące prawie dotykają jej ciała.

– Więc dobrze, Harrsku – wymamrotała, naładowana złością, wciąż myśląc o stracie Kratasa. W duchu odmawiała Harrskowi tytułu naczelnego wodza. Zmrużyła oczy, tak jakby przyszło jej coś chytrego na myśl.

– Daj mi pełne dowodzenie na jednym z gwiazdnych niszczycieli. Poprowadzę twoją flotę.

Rozdział 10

Po skończeniu ataku na siły naczelnego wodza Harrska Daala znalazła się na pokładzie jednego z jego statków, imperialnego gwiazdowego niszczyciela – „Ognistej Burzy”.

Obserwowała pozostałości po napaści admirała Teradoca: płonące resztki okrętu flagowego, zamrożone ciała żołnierzy, którzy zginęli w eksplozji. Inne trzy statki z floty Harrska także zostały poważnie uszkodzone i wymagały długotrwałych napraw; nie mogły być wykorzystane w odwetowym ataku.

Zostało osiem – dwa razy tyle, ile niegdyś dał jej wielki moff Tarkin. To powinno wystarczyć.

Daala stała sztywno na mostku, wpatrując się w wielkie czerwone słońce. Na ekranach umieszczone były grube filtry, więc mogła patrzeć na gazowego giganta bez mrużenia oczu. Zgiełk przygotowań do bitwy był jakby poza nią.

W jej wnętrzu gotowało się niczym w kotle. Nie chciała walczyć z Teradokiem. Nie chciała walczyć z Harrskiem. Chciała, żeby oni obaj – i pozostali skłóceni wodzowie – walczyli z przekłętą Rebelią! Komandor Kratas zginął przez ich spory. Przynosili wstyd Imperium. Jeśli to było wszystko, co siły imperialne mogły teraz zaoferować, to może i dobrze, że Imperium upadło.

Ale Daala nie mogła się z tym pogodzić. Tarkin nauczył ją, że nigdy nie można się poddawać. Złożyła dłonie za plecami, zaciskając palce tak mocno, że poczuła ból kości. Musi być jakaś lepsza droga, i ona ją objawi, nawet gdyby musiała zmusić innych siłą do posłuszeństwa.

Powiększony wizerunek Harrska ukazał się na ekranie jednego z komunikatorów. Puszył się dumnie, ustawivszy się tak, by widać było zarówno jego zdrową, jak i zniszczoną część twarzy.

– Admirał Daalo, jestem na pokładzie gwiazdowego niszczyciela „Trąba Powietrzna”, na skrzydle szyku. Pani poprowadzi atak. Sądzę, że opracowała już pani jakąś strategię?

– Wodzu Harrsku – zaczęła Daala, spoglądając w jego oblicze na ekranie – właśnie zaczęłam zapoznawać się z informacjami przesłanymi przez szpiegów znajdujących się w fortecy Teradoca. Proszę mi dać trochę czasu na rozważenie możliwości ataku.

– Nie – odrzekł Harrsk. – Główny admirał nie będzie spodziewał się tak błyskawicznego odwetu. Z każdą sekundą zwłoki tracimy istotny dla nas element zaskoczenia. To ma być pełny, otwarty atak przy wykorzystaniu wszelkiej broni, jaką posiadamy. Zmiażdżymy go, zanim zdąży się obejrzeć!

Daala jęknęła. Wzięła kilka szybkich, głębokich oddechów.

– Naczelnny wodzu, przestudiowałam swoje porażki i rozumiałam, że większość z nich wzięła się z tego, że źle planowałam akcję, kierując się emocjami.

– Mimo to – odparł Harrsk – wykona pani moje rozkazy i przeprowadzi natychmiastowe natarcie. Nie mam czasu ani cierpliwości, by wysłuchiwać argumentów tchórza, podwładnego, który wykazuje brak subordynacji. Jeśli nie przestanie się pani sprzeczać, zdegraduję panią i każę aresztować.

Daala zeszywniała. Nie chciała przyjąć tego dowództwa, ale nie chciała również zostać

uwieczniona i sądzona za zdradę. Kratas zginął. Jej wcześniejsza załoga odeszła. Wszelkie dawniejsze powiązania właściwie przestały istnieć. Tak czy inaczej, musi gdzieś zacząć odbudowywanie swojej pozycji. To był początek tej drogi i Daala postanowiła wykorzystać wszystkie swe zdolności, by znaleźć jakieś wyjście z trudnej sytuacji.

– Zgoda, naczelny wodzu – powiedziała salutując. – Dowodząc tym gwiazdny niszczycielem, zrobię wszystko co w mojej mocy, by przeprowadzić skuteczny atak w imię Imperium.

– Dobrze. – Harrsk potarł dłonie. – Mój osobisty gwiazdny niszczyciel pozostanie na uboczu, by uniknąć bezpośredniego ognia. Wprowadzimy ich w zakłopotanie, wystawiając panią jako dowódcę formacji. Tylko proszę mnie nie zawieść.

– Nigdy nie zawiodę Imperium, naczelny wodzu – oznajmiła Daala.

Wydała odpowiednie polecenia nawigatorowi i „Ognista Burza” zajęła pozycje, na przedzie szyku statków. Trzy uszkodzone gwiazdne niszczyciele pozostały tam, gdzie były, w cieniu gorącej planety Hańska. Osiem pozostałych odebrało od Daali współrzędne, niezbędne w celu dokonania skoku w nadprzestrzeń, i ruszyło za nią do natarcia na fortecę głównego admirała Teradoca. Pierścień skalistych planetoid układał się w dysk wokół błękitno-białego olbrzymiego słońca. System licznych, w większości oblodzonych planetoid wyglądał przepięknie, odbijając światło odległego słońca – lecz dla Daali był to jedynie obiekt taktyczny. Rój skalnych elementów całego systemu stanowił tysiące możliwych celów ataku, tysiące miejsc, gdzie główny admirał mógł ukryć swą fortecę.

– Przekonajmy się, czy pańscy szpiegowie dostarczyli nam dobrych informacji powiedziała Daala do nadajnika systemu komunikacji, łączącego ją z wodzem Harrskiem, znajdującym się na swoim statku o nazwie „Trąba Powietrzna”.

– Lepiej, żeby tak było, dość za nie płacimy – oświadczył Harrsk. – Znaczna część mojego budżetu przeznaczona została na łapówki, żeby wyciągnąć te informacje od różnych żołnierzy Imperium.

Wyraz twarzy Daali nie zmienił się, ale poczuła głęboki niesmak. Przekupywanie imperialnych żołnierzy nie powinno nigdy mieć miejsca. Tego rodzaju działania zniszczyły Imperium – korupcja, nieuczciwość, ciche zbrodnie.

– Wszystko w porządku, naczelny wodzu – zameldowała Daala. – Wlatujemy w sferę pierścienia systemu, kierując się dokładnie na cel. Wszystkie turbolasery są całkowicie sprawne i gotowe do strzału.

Jak pociski wystrzelone z działa, gwiazdne niszczyciele wleciały w przestrzeń pierścienia planetoid, pędząc w kierunku celu. Wielkie bryły lodu i nieforemne skalne głązy przemykały obok nich. Flota wdarła się w tę przestrzeń z pełną szybkością, by zaskoczyć Teradoca, zanim zdąży przegrupować siły.

Daala wyobrażała sobie, że główny admirał świętuje teraz swój tryumf, jego komandorzy odpoczywają po walce, nie oczekując tak błyskawicznego kontrataku. Zdziwił się porządnie, pomyślała uśmiechając się w duchu – tak samo jak Harrsk.

Gdy Daala prowadziła atakujące z pełną prędkością statki, dwie z planetoid znajdujących się w pierścieniu eksplodowały. Płonące odłamki wystrzeliły we wszystkie strony, uderzając także we flotę Harrska. Jeden gwiazdny niszczyciel został uszkodzony, dwa inne zniszczone.

Zostało pięć, pomyślała Daala. Co za strata.

– Wiedzą, że tu jesteśmy – powiedział jej oficer taktyczny.

Harrsk wrzeszczał przez komunikator w nerwowym podnieceniu:

– Pani admirał Daalo, co się stało? Czemu pani tego nie przewidziała?

Daala wyłączyła dźwięk, zostawiając jedynie transmisję obrazu. Rozkoszowała się widokiem zdenerwowanej twarzy Harrska, który bezgłośnie wrzeszczał na nią.

– Namierzyliśmy właśnie fortecę Teradoca – oznajmił nawigator.

Na ekranie, na wprost Daali, obrazy przestrzeni usianej planetoidami rozświetliły się: jeden nieokreślony punkt migotał, wskazując na umieszczoną na średniej wielkości planetoidzie siedzibę głównego admirała.

– Zbliżają się gwiazdne niszczyciele klasy Victory! – krzyknął sierżant zajmujący się uzbrojeniem.

Daala trzymała się poręczy otaczającej mostek, badając wszystkie elementy sytuacji. Okazało się, że dziesiątki małych planetoid były w rzeczywistości garnizonami, wydrążone kamienne bryły służyły za hangary dla szkarłatnych statków klasy Victory. Mniejsze jednostki wojenne zaczęły się wyłaniać ze swych kryjówek i zmierzać w ślad za atakującymi. Niektóre były całkiem nowe, inne nosiły znamiona niedawnej walki w pobliżu planety Harrska.

– Nie zajmujcie się nimi – poleciła Daala.

Oficer taktyczny poprawił się w swym fotelu, jego ciemne oczy pobłyskiwały zdziwieniem.

– Słucham, pani admirał?

– Powiedziałam, nie zajmujcie się nimi – powtórzyła dobitniej. – Statki klasy Victory nie są naszym celem. Mamy do wykonania znacznie ważniejszą misję i nie możemy nabrać się na nędzne próby odwrócenia naszej uwagi.

Z tyłu Harrsk, nie zwracając uwagi na jej polecenia, rozkazał artylerzystom na „Trąbie Powietrznej” strzelać do lecących za nimi jednostek klasy Victory. Dwa inne niszczyciele zaczęły robić to samo, ale Daala znów wysłała komunikat:

– Wstrzymać ogień! Potrzebujemy całej energii na wykonanie naszego podstawowego zadania.

Na ekranie Harrsk nie przestawał wrzeszczeć, ale Daala nie włączała głosu. Lekceważyła go.

Odwróciła się i spojrzała na załogę, którą dowodziła.

– Oficerze taktyczny, proszę mi dać osobiste hasło uruchomienia systemów broni.

– Pani admirał? – spytał sierżant zajmujący się uzbrojeniem. – Czy jest pani pewna, że to rozsądne?

– Osobiste hasło – powtórzyła z naciskiem. – Zamierzam własnoręcznie wystrzelić jako pierwsza.

– Potem uśmiechnęła się lekko. – Pracowałam na to dość długo.

Sierżant nieznacznie skinął głową.

Płomieniste smugi ognia z turbolaserów wystrzelały w ich stronę, miotane przez systemy obronne fortecy Teradoca. Na wyostrzonych obrazach na monitorach Daala rozpoznawała zamaskowane baterie dział i wiedziała, że najprawdopodobniej sam główny admirał ukrywa się gdzieś w potężnym bunkrze, bezpieczny, podczas gdy liczne statki klasy Victory służą jako pomocnicze środki obrony.

Daala podeszła do konsoli kontrolnej systemów broni i strzelec ustąpił jej miejsca, spoglądając na nią z szacunkiem i trwogą. Usiadła i spojrzała na konsolę, od razu wczuwając się w swoją rolę. Spędziła ostami rok na nauce, jak stać się częścią przyszłego Imperium, nie na rozpamiętywaniu przeszłości.

– Przesyłam całą energię z baterii turbolaserów – oznajmiła – i koncentruję pierwsze uderzenie na działach jonowych.

Oficer taktyczny chrząknął i spojrzał na nią zdenerwowany.

– Ależ pani admirał, działo jonowe zakłóca systemy elektryczne i komputerowe. Jest pani pewna, że to będzie korzystne w ataku na nasz obiekt? – Rzucił okiem w dół, na odczyty dotyczące

lokalizacji fortecy Teradoca.

– To będzie korzystne w ataku na mój cel – odpowiedziała Daala.

Niszczyciele klasy Victory zbliżały się, zręcznie omijając kamienne bryły, jakimi usiana była cała przestrzeń. Daala zdążyła już namierzyć jonowe działo na cel i zbliżyła palec do przycisku spustowego.

– Pani admirał! – krzychał sierżant odpowiedzialny za uzbrojenie. – Te współrzędne są...

Daala szybko uniosła ramię i strzeliła w sierżanta wiązką ogluszającą ze swojego blasterowego pistoletu. Lśniące niebieskie smugi otoczyły go i powaliły na pulpit konsoly. Zanim inni zdążyli zareagować, Daala wypaliła z jonowego działła.

Działo umieszczone na „Ognistej Burzy” bluznęło niszczącym ogniem, który zalał wieżyczkę z mostkiem na „Trąbie Powietrznej”. Błyszczące wyładowania elektryczne o wysokim napięciu wgryzały się w kadłub zaatakowanego niszczyciela niczym tysiące złośliwych palców, uszkadzając systemy dowodzenia, komputery i broń.

Załoga znajdująca się na mostku „Ognistej Burzy” zerwała się z miejsc, Daala wstała równie szybko. Podniosła głos, by uciąć wszelkie komentarze.

– Ja jestem dowódcą tego statku, a wy będziecie słuchać moich rozkazów!

Uniosła znów pistolet, ustawiając go tym razem na „zabijanie”.

– Każdy, kto zakwestionuje moje rozkazy, zostanie na miejscu zastrzelony za bunt przeciw dowódcy. Zrozumieliście?

Dała im jedynie parę sekund, by zastanowili się w milczeniu nad tym, co usłyszeli.

– Zawracamy. Będziemy towarzyszyć „Trąbie Powietrznej”. Statek Harrska jest niezdolny do walki, więc zwiększcie osłony, by go ochraniać, w razie gdyby któryś ze statków Teradoca zaatakował.

Na pokładzie „Ognistej Burzy” rozległy się głośnie, stłumione odgłosy uderzeń. Dwa z trzech pozostałych imperialnych gwiazdnych niszczycieli rozpoczęły ostrzał statku admirał Daali.

– Są wierni naczelnemu wodzowi, Harrskowi – powiedział nawigator.

– Nie wiedzą, co robią – odrzekła Daala. – Gdyby którykolwiek z was był wierny Imperium, zrobilibyście to, co ja, już dawno temu.

– Nasze osłony nastawione są na maksimum, pani admirał – oświadczył drżącym głosem jeden z członków załogi. – Ochramiamy zarówno siebie, jak i „Trąbę Powietrzną”, ale osłony są zbyt rozproszone. Nie wytrzymamy pełnego ataku, jeśli jednostki klasy Victory – lub nasze – zdecydują się na natarcie.

– Uruchomić komunikator – poleciła Daala. – Wszystkie kanały. Chcę mieć pewność, że wszystkie gwiazdne niszczyciele słyszą mnie, tak jak i niszczyciele Teradoca – i sam naczelną wódz Harrsk.

Zrobiła kilka kroków w kierunku ekranu transmisyjnego i wzięła głęboki haust powietrza. Poczowała charakterystyczną metaliczną woń. To dodało Daali sił i podniosło ją na duchu.

– Mówi admirał Daala – zaczęła – dowódca na imperialnym gwiazdnym niszczycielu „Ognista Burza”. Służę Imperium. Zawsze służyłam Imperium i nigdy nie otworzę ognia do nikogo, kto wierny jest Imperium. – Przełknęła ślinę.

– Zaatakowałam gwiazdny niszczyciel naczelnego wodza Harrska, by powstrzymać go od zaatakowania innej twierdzy imperialnej. Atak przeprowadzony przez Harrska jest w prostej linii odpowiedzią na wrogą akcję głównego admirała Teradoca. Tę wrogą akcję także potępiam. Nie można dłużej tolerować idących na marne wysiłków i roztrwania bogactw naturalnych – wszystko

to mogłoby być znacznie lepiej wykorzystane do zniszczenia baz rebelianckich.

Wielu z was mogło słyszeć o moich próbach zniszczenia Rebelii, kiedy dysponowałam jedynie czterema gwiazdnymi niszczycielami, miałam przedawnione informacje i nie otrzymałam żadnego wsparcia ze strony Imperium.

Przy trzaskach i zakłóceniach, na ekranie komunikatora pojawił się wizerunek naczelnego wodza Harrska. Daala była w pierwszej chwili zaskoczona, lecz potem ucieszyła się, że zdołał uruchomić swój system komunikacji tak szybko.

– Nie słuchajcie jej! Ona jest zdrajczynią i renegatką! – powiedział Harrsk. Rozkazuję lojalnej załodze na pokładzie „Ognistej Burzy”, by pojmała i ukarała panią admirał Daalę śmiercią. Jej zbrodnie są oczywiste.

Daala wciąż trzymała blasterowy pistolet, ale opuściła lufę nisko i spojrzała na załogę stojącą na mostku.

– Czyżby naprawdę moje zbrodnie były oczywiste? – zapytała. – Moim jedynym celem jest przerwać tę wojnę domową, żebyśmy mogli stanąć do walki z naszym prawdziwym wrogiem. Czy rzeczywiście wierzycie w to, że naczelnemu wodzowi Harrskowi chodzi o dobro Imperium – czy raczej po prostu o własny interes?

Ja nie chcę przejąć władzy. Nie pragnę politycznego przewodnictwa. Wszystko, o co proszę, to dowództwo wojskowe. Będę służyć w szeregach tego wodza, który zdecyduje się pokonać Rebelię raz na zawsze.

Zmieniwszy położenie przycisków kontrolnych, Daala zdołała przebić się przez zakłócenia i dalej mówiła do wszystkich statków. Zauważyła, że szkarłatne jednostki klasy Victory zgromadziły się wokół ich jednostek, z bronią gotową, by zmiażdżyć gwiazdne niszczyciele Harrska – ale wstrzymywały ogień.

Daala przeszła do innego panelu kontrolnego, odwracając się do załogi plecami, żeby zademonstrować, jak bardzo jej teraz ufa. Była niesamowicie spięta, ale robiła wszystko, by tego nie okazywać.

Kątem oka dostrzegła, jak nawigator powoli podnosi się ze swego siedzenia i zaczyna wyciągać blasterowy pistolet. Daala była przygotowana na to, by odwrócić się gwałtownie i strzelić do niego bez ostrzeżenia, ale jeden z szefów technicznych położył dłoń na ramieniu nawigatora, powstrzymując go przed oddaniem strzału. Daala poczuła nagłą ulgę.

Uruchomiła systemy kontrolne statku, wprowadzając swój kod dostępu, rada, że przekonała Harrska, by dał jej całkowity dostęp do komputerów, zanim przeprowadzi atak na fortecę Teradoca. Harrsk nie podejrzewał niczego i teraz ona mogła powiedzieć swoje ostatnie słowo.

Komputer rozpoznał ją. Wprowadziła komendę, o jakiej nawet bała się pomyśleć na swym własnym statku, zweryfikowała ją i potwierdziła, po czym wcisnęła przycisk uruchamiający procedurę.

Jeszcze raz przemówiła do wszystkich przez komunikator.

– Jeśli to jest wszystko, czym stało się Imperium, już nie chcę mu dłużej służyć. Właśnie uruchomiłam procedurę autodestrukcji na gwiazdnym niszczycielu „Ognista Burza”.

Na mostku ponownie powstało zamieszanie, ale było spokojniej niż za pierwszym razem, tak jakby wszyscy byli lekko ogłuszeni.

– Odliczanie już się rozpoczęło. Statek naczelnego wodza Harrska został pozbawiony mocy i uwięziony w obrębie moich tarcz deflektora. Samozniszczenie nastąpi za piętnaście standardowych

minut, chyba że Harrsk wyda komendy przerwania wszelkich działań wojennych.

Siedząc na stanowisku dowodzenia, na ciasnym mostku gwiazdowego niszczyciela klasy Victory 13 X, wiceadmirał Pellaeon obserwował ten nieoczekiwany rozwój sytuacji równie ucieszony, jak zakłopotany. Podkręcał węża, myśląc o skutkach decyzji Daali.

Gdyby wrogie siły kontynuowały zaskakujący atak, flota imperialnych gwiazdowych niszczycieli z pewnością poważnie uszkodziłaby fortecę głównego admirała Teradoca. Grupa statków klasy Victory pod dowództwem Pellaeona mogłaby, kosztem ogromnych wysiłków, wykończyć pozostałe niszczyciele klasy Imperial, przy dużych stratach własnych.

Jednak teraz przywódczyni tego błyskawicznego i niespodziewanego odwetu zwróciła się przeciw własnym siłom. Nic dziwnego, że naczelny wódz Harrsk tkwił cicho, ukryty w jednym z gwiazdowych niszczycieli na tyłach formacji.

Ale ta admirał Daala...

Pellaeon opadł z powrotem na fotel. Słyszał o niej przed dwoma laty, po klęsce wielkiego admirała Thrawna. Daala pojawiła się nie wiadomo skąd i wszczęła sama atak na Rebelię. Z taką małą flotą, jaką dysponowała, nie mogła mieć nadziei na ostateczne zwycięstwo, ale zdawało się, że interesowało ją jedynie wyrządzenie jak największych szkód w danym momencie. Nie posiadała zakrojonej na dużą skalę, dalekosiężnej i przemyślanej strategii, była w niej tylko żądza destrukcji.

Pellaeon doceniał jej starania – inni imperialni przywódcy nie podejmowali podobnych prób. Spojrzał na niewielki panel kontrolny statku klasy Victory, najmniejszego, jakim dowodził w ciągu ostatnich lat. Uważał, że plan Teradoca, by zbudować wielką flotę niedużych, sterownych i szybkich jednostek, nie jest złym planem – wciąż jednak marzył o dowodzeniu dużym statkiem, takim jak na przykład „Chimera”.

Gdy zebrał swoją flotę blisko centrum akcji, z bronią gotową do strzału, Pellaeon zaczął krążyć wokół unieruchomionych imperialnych gwiazdowych niszczycieli, obserwując dokładnie, jak statek admirał Daali więzi jednostkę Harrska, „Trąbę Powietrzną”. Manewr był desperacki i nieco zaskakujący taktycznie – Pellaeon docenił zwłaszcza łatwość, z jaką statek pozwolił Daali osiągnąć cel. Daala była kimś, kto, jak Thrawn, był w stanie dobrać wszelkie możliwe środki i taktykę, by dopiąć swego. Główny admirał Teradoc i naczelny wódz Harrsk wydawali się przy niej wyrośniętymi, źle wychowanymi dziećmi, kłócącymi się wciąż ze sobą.

Słyszał pełną prawdziwej pasji przemowę Daali, w której błagała o zjednoczenie i utworzenie frontu przeciwko prawdziwemu wrogowi. Niektórzy z członków załogi na statku, którym dowodził Pellaeon, szeptali między sobą, zgadzając się z Daalą. Sam Pellaeon na razie milczał, choć także się z nią zgadzał. Gdy patrzył na wizerunek Daali na ekranie, zastanawiał się, jaki rodzaj sztuki może ona lubić.

– Wiceadmirale – odezwał się nawigator Pellaeona – może powinniśmy trochę się wycofać, jeżeli jej groźba samozniszczenia jest prawdziwa. Jeśli oba te gwiazdowe niszczyciele eksplodują, powstanie fala uderzeniowa, która może nas poważnie uszkodzić, a nawet zniszczyć.

Pellaeon wyprostował się w fotelu, chwilę trwał tak, po czym pokręcił głową.

– Nie, zostaniemy tutaj. Włączyć kanał komunikacyjny.

Załoga spojrzała na niego zdziwiona.

– Kanał komunikacji z niszczycielem „Ognistej Burzy”, wiceadmirale? – zapytał oficer łącznościowiec.

– Nie, kanał ogólny. Chcę, żeby dotarło to do wszystkich statków. – Oficer skinął głową i zabrał się do wykonywania polecenia.

Dowódca podniósł się wolno ze swego ciężkiego czarnego fotela.

– Mówi wiceadmirał Pellaeon, dowodzący flotą głównego admirała Teradoca. Wydaję rozkaz specjalny do moich jednostek, by zachowały swe tymczasowe pozycje.

Kilka szkarłatnych statków już oddaliło się nieco, rozluźniając sieć zaciskającą się wokół wrogich jednostek. Gwiezdne niszczyciele Harrska także wycofały się nieco, oddalając się od centrum wydarzeń.

– W geście dobrej woli i jako wyraz uznania dla prośby admirał Daali ogłaszam natychmiastowe zawieszenie działań wojennych z naszej strony.

Niemal w tej samej chwili pośród wskaźników na konsolce systemu komunikacji statku klasy Victory 13 X zapaliło się jasne, czerwone światło. Oficer zwrócił się do Pellaeona:

– Pilna wiadomość od głównego admirała Teradoca.

Łącznościowiec uniósł brwi w zakłopotaniu i czekał na rozkazy.

– Będę mówił z nim tu, na mostku – powiedział Pellaeon. Skrzyżował ramiona. Wszyscy możecie słuchać.

Na ekranie komunikatora pojawiło się oblicze Teradoca, czerwona twarz, wyglądająca na opuchniętą. W ciągu ostatniego roku tusza tego człowieka wzrosła prawie trzykrotnie.

– Pellaeonie, co ty wyprawiasz?! – wrzasnął. – Rozkazuję ci wykorzystać przewagę i okazję, by uderzyć na siły Harrska, gdy są tak osłabione. Teraz możemy zniszczyć go zupełnie.

Pellaeon myślał przez chwilę, wyobrażając sobie tłustego Teradoca ukrytego w podziemnym bunkrze, za dziesiątkami metrów osłon najwyższej jakości, absolutnie zabezpieczonego przed wszelkimi skutkami bitwy, która rozpoczęła się na zewnątrz jego fortecy. Pellaeon uważał, że prawdziwy wódz nigdy nie izolowałby się w taki sposób.

– Z całym szacunkiem odmawiam, główny admirał. Naczelny wódz Harrsk nie jest moim wrogiem. Nie jest wrogiem Imperium. Myślę, że powinniśmy spotkać się z panią admirał Daalą i wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

Twarz Teradoca z czerwonej zmieniła się w purpurową.

– Nie obchodzi mnie, co ty myślisz. Jeśli nie otworzysz ognia do Harrska, zostaniesz uznany za zdrajcę. Zapomniałeś, czego cię uczono? Twoje całe życie to służba Imperium, to wykonywanie rozkazów oficerów starszych rangą. Jesteś zwyczajnym śmieciem, jeśli nie wykonujesz rozkazów prawowitego dowódcy. Co by o tobie pomyślał wielki admirał Thrawn?

Pellaeon zmarszczył brwi, wpatrując się w opuchniętą twarz na ekranie komunikatora. Teradoc miał rację, z pewnego punktu widzenia. Pellaeon spędził dziesiątki lat służąc w Imperialnej Flocie. Dowodził gwiazdnymi niszczycielami. Po bitwie o Endor przejął „Chimerę”, gdy jej dowódca zginął podczas walk. Późniejsze lata spędził próbując zachować resztki wielkiego Imperium. Widział słabych dowódców, poniżające kapitulacje, utratę obszarów wpływów. Obserwował, jak wspaniałe niegdyś Imperium przemienia się w małą wysepkę złożoną z jałowych terytoriów pośród wcześniej zamieszkanym systemów znajdujących się w pobliżu jądra galaktyki.

Inaczej bywało za czasów wielkiego admirała Thrawna, którego Pellaeon uważał za prawdziwego wodza, zdolnego wzbudzić nadzieję na przywrócenie chwały Imperium. Kiedy Thrawn zginął, Pellaeon na dobre stracił nadzieję i postanowił służyć któremukolwiek dowódcy, jaki pojawi się na jego drodze.

Teraz jednak autorytet i entuzjazm pani admirał Daali, jej gotowość, by zaryzykować wszystko w imię wyższych celów, obudziło w nim coś potężnego.

Pellaeon wziął głęboki oddech i przemówił do nadętego oblicza na ekranie:

– Myślę, że wiem, co pomyślałby o mnie – rzucił ostro – ale pan nie jest wielkim admirałem Thrawnem.

Wyłączył komunikator i zwrócił się do swojej załogi:

– Przygotujcie prom i powiadomcie admirał Daalę, że wchodzę na pokład. Nie mamy dużo czasu, a chciałbym rozmówić się z nią osobiście.

Rozdział 11

YAVIN CZTERY

Artoo-Detoo toczył się kilka metrów przed Lukiem, gdy ten spieszył na spotkanie swojego gościa. Na zewnątrz wielkiej świątyni panowało mgliste, słoneczne popołudnie, prądy powietrza poszarpały chmury unoszące się nad dżunglą.

Większość uczniów Jedi pracowała w swoich chłodnych komnatach, niektórzy wędrowali po gęstych ostępach lasów. Callista samotnie studiowała informacje zebrane dla niej przez Tionnę, chociaż przez ostatnie kilka dni nie znalazła nic, co mogłoby pomóc jej odzyskać utracone zdolności.

Luke patrzył na smukłą kobietę wysiadającą z niewielkiego statku, który nosił na pokrywach luków znak Sojuszu Przemysłowców.

– Mara Jade! – zawołał. – Czym zasłużyłem sobie na zaszczyt twoich odwiedzin?

Mara posłała mu krótki uśmiech.

– Nie zasłużyłeś na to, Skywalkerze – powiedziała – ale jestem mimo wszystko.

Podszedł do niej i uściśnął jej dłoń. Wycofała swoją dłoń szybko, spoglądając na zarośla w pobliżu lądowiska, potem na olbrzymią, starożytną piramidę Massassów.

– Chcesz wejść do środka? – zapytał.

– Nie, proponuję wycieczkę moim statkiem – odparła. – Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Luke spokojnie skinął głową.

– Tak myślałem. Zazwyczaj nie przybywasz tu po prostu dlatego, że się akurat nudzisz.

Mara potrząsnęła głową, grzywa kasztanowych włosów zatańczyła na jej plecach.

– Ja nigdy się nie nudzę, Skywalkerze. – Wskazała na sterownię statku i wolny fotel dla pasażera.

– Takie mam już podejście do życia.

Artoo zaczął wydawać przeróżne piski i skrzeki, kołysząc się w przód i w tył na swoich metalowych nogach.

– Zostaniesz tutaj, Artoo – powiedział Luke. – Gdyby ktoś pytał, powiesz, gdzie jestem. Wrócimy – spojrzał w bok na Marę – dość szybko.

Usiadłszy w fotelu dla pasażera, zaczął zapinać zatrzaski ochronnej sieci, a Mara zajęła się przygotowaniami do startu. Wcisnęła jeden z przycisków kontrolnych na pulpicie i kiedy podnoszące się do góry drzwi opadły z powrotem, rozległ się charakterystyczny dźwięk aparatury uszczelniającej. Zanim Luke zdążył pozapinać wszystkie klamry pasów bezpieczeństwa, ona już uruchomiła napęd. Z hukiem silników repulsorowych lśniący statek uniósł się w powietrze i pomknął nad czubkami drzew.

Pomyślał o dniach swej młodości, kiedy latał skoczkiem typu T-26 nad powierzchnią Tatooine, brawurowo mijając przeszkody i wyczyniając prawdziwie kaskaderskie sztuczki. Teraz Mara Jade popisywała się, wyciskając co się dało z silników, jakby próbowała sprawdzić wytrzymałość statku.

Poniżej gęsta roślinność wyglądała jak zbite zielone chmury. Mara pędziła naprzód, całkowicie skupiona na pilotowaniu. Świątynia Massassów zniknęła w oddali, ale Luke nie martwił się tym specjalnie. Choć Mara w przeszłości wielokrotnie próbowała go zabić, teraz miał do niej pełne zaufanie. Luke uśmiechnął się w duchu, myśląc o ironii losu.

– O czym chciałaś rozmawiać? – odezwał się.

– Mam dla ciebie pewne informacje – odpowiedziała rzucając mu krótkie spojrzenie. – W mojej pracy w Sojuszu Przemysłowców zawsze muszę mieć oczy i uszy szeroko otwarte na wszystko. Czasami zdarza mi się usłyszeć coś, o czym powinna wiedzieć Nowa Republika.

Luke przyglądał się jej z uwagą.

– Na przykład o czym?

Mara udawała zdziwioną.

– Przypuszczasz, że przekażę ci tak ważne informacje od tak za darmo?

Luke, uśmiechnięty, nie odrywał od niej wzroku.

– Tak – odparł. – Tak przypuszczam.

Mara się roześmiała.

– W twoim przypadku nie dziwi mnie to ani trochę – stwierdziła. – W porządku. Jak wiesz, Sojusz Przemysłowców powstał specjalnie po to, by utworzyć silny front przeciwko niektórym potężniejszym organizacjom zbrodniczym, zwłaszcza przeciwko Huttom.

– Tak – przyznał Luke, zastanawiając się, do czego Mara zmierza.

– Pilnujemy Huttów, i śledzimy wszelkie ich poczynania, jako naszych wrogów czy może, powinnam powiedzieć, „konkurentów”. Ostatnio przechwycili niektóre z naszych źródeł informacji, ale wiemy już, że tworzą coś, co wygląda na legalny, uczciwy związek – kilka korporacji handlowych, z których najważniejszą jest Orko SkyMine, konsorcjum zajmujące się wydobywaniem surowców naturalnych.

– Czy nie powinniśmy się cieszyć, że Huttowie próbują stać się „legalnym i uczciwym” związkiem?

– Powinniśmy – jeśli można im wierzyć – odpowiedziała Mara, po czym skupiła uwagę na pilotażu, gdy dostali się w jakiś gwałtowny prąd powietrza. Podmuch uderzył w transpystalowe okna statku, Mara przechyliła nieco pojazd na lewą stronę, omijając dużą skałę wulkaniczną jaka nagle pokazała się na ich drodze. Zwiększyła wysokość. – Ale wiesz tak samo dobrze jak ja, że nigdy nie można tak naprawdę wierzyć w to, co mówią Huttowie. – Spojrzała znów na Luke'a. – Myślę, że planują coś w skrytości. Coś dużego.

Luke patrzył na nią z niezmiennie spokojnym wyrazem twarzy.

– Ja choć jestem tylko nauczycielem Jedi, też mam pewne swoje źródła informacji. I myślę, że twoje podejrzenia są słuszne, Maro Jade.

Zamrugnęła oczami, jakby zaskoczona.

– Aha, więc moje przybycie tu było po prostu niepotrzebne?

Luke pokręcił głową.

– Nigdy nie przybywałaś tu niepotrzebnie, Maro. Co chcesz, bym uczynił z tymi informacjami?

– Myślałam, że można je przekazać twojej siostrze na Coruscant. Jako przywódczyni Nowej Republiki prawdopodobnie będzie wiedziała, jak poradzić sobie z tym kłopotem.

Luke złączył czubki palców, koncentrując się, choć nie ułatwiało mu tego szaleńcze pilotowanie statku przez Marę.

– Mogłaś się tam udać osobiście. Czy Yavin Cztery nie jest równie daleko jak Coruscant?

Mara zaczerpnęła powietrza.

– Chciałam to zrobić po cichu. Od kiedy jestem związana z Sojuszem Przemysłowców, nie mogę jawnie robić pewnych rzeczy. Moje zaangażowanie nie może być zbyt oczywiste. Nauczył mnie tego Talon Karrde.

– Rozumiem – powiedział Luke. – A co u Karrde'a? Wciąż wypoczywa?

– Ha! – prychnęła. – Parę miesięcy wypoczynku znudziło go potężnie i niemal przyprawiło o chorobę. Wrócił już i teraz jest bardziej zapracowany niż kiedykolwiek.

Pociągnęła mocno stery i zatoczyła statkiem zgrabny łuk, mknąc nad czubkami drzew z powrotem w kierunku wielkiej świątyni.

– Innym powodem tego, że przybyłam tu osobiście – ciągnęła Mara jakby lekko zmieszana – jest to, że niekiedy – nie wiem czemu – wręcz nie mogę się doczekać, by się z tobą znów zobaczyć, Skywalkerze. Nieczęsto się to zdarza... ale są takie chwile.

– I to jest jedna z nich? – spytał Luke.

– Była – odparła. – Lepiej udam się już w powrotną drogę, zanim to minie.

Luke zaśmiał się serdecznie.

– Czemu nie zostaniesz przynajmniej na parę godzin? Niedługo znacznie się wieczorny posiłek. Potrzeba ci czegoś lepszego niż przeterminowane racje żywnościowe, jakimi raczysz się na statku.

Mara przystała na to chętniej, niż Luke przypuszczał.

– Zgoda – powiedziała. – Szybko coś przekąszę i już mnie nie ma.

Callista siedziała osamotniona, spożywając swój posiłek. Obok niej było puste miejsce, na którym zazwyczaj siedział Luke – teraz jednak był gdzie indziej i przygotowywał kwatery dla dwóch nowych uczniów, którzy właśnie przybyli na Yavin Cztery.

Z mieszaniną przygnębienia i obojętności Callista przypatrywała się innym uczniom Jedi, siedzącym w wąskiej kamiennej sali, z których najmniej zdolny posiadał większą umiejętność władania Mocą niż ona sama... na razie. Bolesne było dla niej obserwowanie, jak wszyscy rosną w siłę, poznając właściwości Mocy. Ona tego nie mogła, choć wciąż próbowała. Pośród nich czuła się jak ślepa i głuchoniema.

– Hej, można się przy sięść? – zapytała Mara Jade, ubrana w kombinezon pilota, trzymając tacę z gulaszem i warzywami.

Callista lekko skinęła głową i Mara usadowiła się na krześle, stawiając tacę na wypolerowanym stole. Ukroiła spory kawałek chleba i umoczyła go w gulaszu.

– Lepsze niż koncentraty i paczkowana żywność, ale chyba nie pracuje dla was jakiś wielki smakosz. – Oczy Mary rozbliły ciekawością. – Więc jesteś panią serca Skywalkera? – zapytała.

Callista żałowała, że nie może czytać w myślach Mary. Kobieta dobrze maskowała swe uczucia, wyraz jej twarzy był nieprzenikniony. Callista nie bardzo wiedziała, dlaczego Mara pyta o to.

Chociaż ich ciała były zbliżone wiekiem, Callista przysła na świat dziesiątki lat przed Marą Jade. Jej własne zdolności władania Mocą pierzchły, ale dawniej przewyższały wszystko, czego mogłaby się nauczyć Mara. Słyszała o więzach łączących niegdyś Marę Jade i Luke'a – i zdecydowała, że będzie najlepiej, jeśli to ona przejmie inicjatywę.

– Tak, jestem – odpowiedziała. – A ty musisz być Marą Jade. Słyszałam o tobie.

Kiedy Mara skinęła głową, Callista uniosła nieco brwi i dodała:

– Słyszałam także plotki, że kiedyś byłaś zainteresowana Lukiem.

Mara spojrzała z pewną dozą niechęci na swoje jedzenie, przełknęła pośpiesznie trochę gulaszu, popiła, w końcu zaśmiała się krótko.

– Kto to powiedział? Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, jedyna rzecz, jakiej z całego serca chciałam, to zabić go. Myślałam o nim w ten sposób przez dość długi czas... – Wzdrygnęła się. – Czasami jeszcze wydaje mi się, że to niezły pomysł. – Mara odgryzła kęs chleba i przeżuwała powoli. – To nie najlepszy punkt wyjścia dla długotrwałego związku, nie sądzisz?

Callista pokręciła głową.

– Myślę, że nie. – Nawet pozbawiona swych zdolności, Callista wyczuwała, że Mara nie mówi całej prawdy. – A czy ty nie jesteś teraz z Landem Calrissianem? Słyszałam coś o tym, że stanowicie wspólną parę.

– Z Calrissianem? Chyba żartujesz! – Mara poczerwieniała nieznacznie i odwróciła się, by wziąć łyk napoju. – Wciąż jesteśmy dobrymi partnerami w interesach, właśnie prowadzimy bardzo dochodową operację, eksploatując kopalnie na Kessel – ale myślę, że Calrissiana bardziej interesowało ściąganie mnie, niż zdobycie... co właściwie mi nawet odpowiada.

Mara wytarła serwetką kąciki ust.

– No cóż, miło było cię poznać. – Podniosła się, poprawiając swój skafander pilota. – Pozdrów ode mnie Skywalkera. Muszę już lecieć. Wpadłam tu tylko, by zostawić pewną wiadomość.

Wyszła przesyłając pozostałym uczniom Jedi lekki ukłon. Callista została na swym miejscu, zastanawiając się nad tajemniczą wiadomością, o jakiej wspomniała Mara.

Rozdział 12

CORUSCANT

Luke zostawił uczniów i udał się razem z Callistą na Coruscant, gdzie umówił się z siostrą na prywatną audiencję. Spotkawszy się z Leią, przekazał jej informację, jakiej dostarczyła mu Mara Jade. W połączeniu z tym, czego dowiedzieli się w ruinach pałacu Jabby, plotki o tym, że Huttowie mają jakiś wielki, tajny plan, nabierały znaczenia. Leia już zdążyła uruchomić swoją siatkę szpiegowską, licząc, że uda się zdobyć więcej danych i ważnych informacji.

W ozdobnych komnatach prezydenckich Callistą usiadła tuż przy Luke'u, jej dłoń spoczywała delikatnie na jego przedramieniu, ale on nie mógł wyczuć do końca obecności ukochanej. Tak jakby w ogóle nie istniała w prawdziwej rzeczywistości Mocy.

Luke spojrzał głęboko w duże, brązowe oczy siostry, zauważając pierwsze drobne zmarszczki. Ciężar przewodnictwa z pewnością męczył ją. Nowa Republika była ogromna i rozproszona, niepokojona setkami różnych problemów, pełna wewnętrznych tarć i wciąż zagrożona z zewnątrz. A Leia miała jeszcze trójkę dzieci, no i męża.

– Leio – powiedział Luke – mam wielką prośbę.

Wyprostowała się, patrząc najpierw na Callistę, potem na brata.

– Ostatni raz, gdy miałeś do mnie wielką prośbę, chodziło o zgodę na to, by Kyp Durrton zniszczył Pogromcę Słońc. – Przygryzła dolną wargę. – Chyba wszystko się dobrze skończyło, na szczęście.

Luke rozluźnił się nieco.

– Nic tak poważnego tym razem – odparł. – Callistę i mnie czeka dużo wspólnej pracy. Potrzebujemy spędzić trochę czasu we dwoje, by móc skupić uwagę na przywróceniu jej zdolności Jedi. Callistą stałaby się jednym z najsilniejszych Jedi, gdyby odzyskała swoje umiejętności i dostęp do Mocy. Mogłaby wiele nauczyć także mnie. Uważam, że jedynym sposobem na zburzenie dziwnego muru wokół niej jest nasza wspólna praca. Ciężka, wspólna praca. – Ujął dłoń siostry. – Potrzebujemy tygodnia spokoju, mniej więcej, by poświęcić się przywróceniu jej zdolności, zostawiając na boku inne problemy, wszystko, co mogłoby nam przeszkadzać.

Leia uśmiechnęła się smutno.

– Wiem, co czujesz... – Potem jej twarz przybrała poważny wyraz. – Nie mogę ci rozkazywać, Luke'u. Nie musisz prosić mnie o zgodę.

Leia spojrzała na Callistę i Luke zauważył na jej twarzy burzę sprzecznych uczuć: pragnienie, by brat był szczęśliwy i aby Callista znów stała się mu równa; pragnienie, żeby Luke skupił się na trenowaniu nowych Jedi, by Nowa Republika miała swych obrońców i mogła rosnąć w siłę.

Ale Leia szczerze kochała brata i jej wybór był prosty.

– Masz tyle czasu, ile będzie trzeba. Życzę wam powodzenia. – Podniosła się i dodała: – Albo raczej, niech Moc będzie z wami.

Jakiś czas później, wciąż trzymając się za ręce, Luke i Callista weszli na górne lądowisko położone po zachodniej stronie dawnego Imperialnego Pałacu. Tu, wysoko nad ziemią, powietrze było rozrzedzone, a zimny wiatr poświstywał, mknąc swobodnie przez przestrzeń.

Luke ścisnął nieco mocniej dłoń Callisty, a ona odpowiedziała mu jeszcze mocniejszym uściskiem. Choć Luke nie był w stanie odbierać jej emocji za pomocą swych zdolności Jedi, odczytywał z zachowania kobiety wyraźne podekscytowanie pomieszane z niepokojem.

Callista, podobnie jak on, wiązała wielkie nadzieje z ich samotną podróżą, choć bała się równie mocno, że zamiar się nie powiedzie.

Leia, w falujących na wietrze szatach prezydenckich, trzymała za ręce dwójkę swych dzieci, Jacena i Jainę, odprowadzając Luke'a i jego towarzyszkę. Obok niej szedł Han, niosąc na rękach Anakina; ciemnowłosy chłopczyk rozglądał się wokoło z błyskiem w oczach i rozkoszował się świeżym powietrzem.

Threepio i Artoo kroczyli za nim, w swoim własnym tempie, choć kudłaty Wookie robił wszystko, by ich pośpieszyć.

– Odrobinę cierpliwości, Chewbacco – odezwał się Threepio. – Nie mogę poruszać się szybciej. Gdybyś wymienił serwomotory w moich nogach w zeszłym tygodniu – co proponowałem – byłbym w stanie poruszać się sprawniej.

Wookie w odpowiedzi ryknął coś niezrozumiałego.

Callista stała u boku Luke'a, przy rampie prowadzącej do nie oznakowanego statku kosmicznego. Luke wpatrywał się w jej profil – pociągłą twarz i piękne, wydatne usta, błyszczące, jasne włosy, obcięte krótko i wciąż odrastające po stryżeniu na sposób wojskowy na pokładzie „Oka Palpatine'a”. Han nazwał ją kiedyś „blondynką z taaakimi nogami”, a Luke nie mógł się z tym nie zgodzić.

Callista jawiła mu się tak piękną – ale to nie było wszystko. Pięknych kobiet było wiele. Za pośrednictwem Mocy poznał i pokochał jej duszę, zanim jeszcze spotkali się twarzą w twarz, wtedy, gdy Callista była jedynie obecna umysłem. Teraz miała także ciało – piękne ciało, to pewne, ale Luke kochałby ją bez względu na wszystko. Spotykali się w snach Luke'a, zanim Callista objawiła się w ciele jednej z wcześniejszych uczennic Luke'a.

Teraz, gdy stali przed wejściem na statek, Luke przyglądał się Calliście, spoglądającej tęsknie na dzieci Hana i Leii. Milczała, jej oczy, otwarte szeroko, pozostawały niezmacone, ale on dobrze wiedział, o czym myślała.

Dzieci. Jakże często mówili o tym, by mieć dzieci, kiedy się już pobiorą. Callista twierdziła, że Luke, będąc największym obecnie mistrzem Jedi, powinien mieć dzieci, by przedłużyć ród silnych Jedi. A jednak bała się, że teraz, gdy utraciła swoje zdolności, ich potomkowie mogliby cierpieć na taki sam brak kontaktu z Mocą. Luke nie myślał o tym: pragnął Callisty... Ich jedyna szansa leżała w zrzuconiu niewidzialnych więzów krępujących Callistę, w przełamaniu dziwnej bariery.

Leia podeszła, aby uściskać Luke'a. Z wysoka spadł na nich gwałtowny podmuch wiatru, wgryzając się Luke'owi w oczy i rozwiewając jego włosy. Mistrz Jedi pochylił się trochę, by mocno uściskać bliźniaki.

– Czy mogę wreszcie uściskać Callistę? – spytał Han, podszedł do niej i objął szybko, tak że Leia wybuchnęła radosnym śmiechem. Chewbacca zaczął ryczeć coś w swoim języku, Han machnął ręką, odganiając go.

– Nie, Chewie, jeśli chcesz, możesz uściskać Threepia.

– No cóż, naprawdę wspaniały pomysł! – odezwał się rozdrażniony Threepio.

Luke postawił nogę na rampie, gdy rozległ się rozpaczliwy dźwięk. Artoo stał ponury, zmieniając kolor optycznych czujników z czerwonego na niebieski.

– Nie martw się, Artoo – powiedział Luke. – Ciesz się czasem, jaki spędzisz razem z Threepiem. My przez pewien czas musimy być sami.

Kiedy Artoo wydał jeszcze jeden niski, smutny dźwięk, Threepio położył swą złocistą rękę na kopolce baryłkowego robota.

– Nie rozumiem zapatrzonej w siebie i w gwiazdy pary ludzi, którzy odrzucają towarzystwo wiernego robota. Nie mogę pojąć, dlaczego oni muszą być tak całkowicie sami. – Klepnął lekko metalową dłońią swego elektronicznego partnera. – Chodźmy, Artoo. Znajdziemy sobie jakieś zajęcie.

Gdy automaty ruszyły w kierunku turbowindy, Luke i Callista pomachali wszystkim jeszcze raz i weszli na pokład.

See-Threepio i Artoo-Detoo mieli za sobą już dziewięć kontroli, podczas gdy turbowinda opuszczała się w dół, głęboko pod powierzchnię planety.

– Oczywiście, że jesteśmy automatami – mamrotał na poły do siebie Threepio. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego musimy przechodzić przez to wszystko, by dostać się na dół. Szukają wirusów, dobre sobie!

W końcu dotarli na miejsce, drzwi otworzyły się z sykiem. Wkroczyli do sterylnej pomieszczenia, wypełnionego pracującymi komputerami – Imperialnego Ośrodka Gromadzenia Informacji.

– Pamiętasz, jak przyszliśmy tu, próbując znaleźć jakichś kandydatów na uczniów Jedi dla pana Luke'a?

Artoo zamigotał szybko światelkami, odpowiadając, że pamięta.

– Tym razem nie będzie to nic tak podniecającego, jak sądzę. Podczas przeglądania starych zbiorów dla pani Leii odkryłem pewne nieprawidłowości, których pochodzenia nie jestem w stanie wyjaśnić.

Nie było ich przed tym, jak lord Durga zjawił się w pałacu i rozpętał cały ten cyrk ze swymi zwierzętami. Z początku myślałem, że jakieś nasze działania spowodowały pewne uszkodzenia, ale standardowe diagnozowanie nic nie wykazało. Nie śpieszyłem się z powiadomieniem o tym pani Leii, bo mogłoby to ją zdenerwować.

Artoo przetoczył się po wypolerowanej posadzce. Roboty strzegące pomieszczenia, których systemy namierzania odkryły jakieś ruchy, skierowały broń na zbliżającą się dwójkę. Zespół kamer obserwacyjnych badał ich dokładnie, zimne obiektywy łyptały zewsząd, z sufitu i ze ścian.

– To miejsce sprawia, że przechodzą mnie dreszcze... to znaczy przechodziłyby mnie, gdyby moja fizyczna budowa pozwalała na to – oznajmił Threepio. – Moje obwody... czuję się jakoś... zmieszany. Gdybyś zechciał zrobić coś, by mnie pocieszyć, Artoo...

Mały astronawigacyjny robot uzyskał już dostęp do terminala i pracował nad jakimiś szczegółami w głównym wejściu do systemu komputerowego. Threepio przestępował z nogi na nogę, niecierpliwie czekając obok. Roboty pilnujące pomieszczenia nie spuszczały z nich wzroku.

– Czy chcesz posłuchać jakiejś opowieści, żeby szybciej upłynął nam czas, Artoo? – pytał Threepio.

Artoo dał mu do zrozumienia, że nie chce.

– To dziwne, doprawdy! – Threepio obrócił się w stronę jednego z pulpity systemy komputerowego i odkrył coś zdumiewającego. Sięgnął swoimi złocistymi palcami i podniósł mały kłębek szarych kudłów. – Zastanawiam się, jak to się tutaj znalazło? – mruknął do siebie. – To pomieszczenie podobno jest sterylne.

Obejrzał posadzkę i zbadął ściany. Jego optyczne czujniki zwróciły uwagę na niewielki wylot pokaźnych szybów wentylacyjnych, które rozprowadzały schłodzone, świeże powietrze do położonych nisko poziomów pałacu, także do pomieszczeń Imperialnego Ośrodka Informacji. Pokrywa osłaniająca wylot szybów była uchylona, ale sam wylot zbyt mały, by mogło przedostać się przezeń jakiegokolwiek inteligentne stworzenie. Czyżby po Ośrodku grasowały jakieś duże szkodniki?

Nagle Artoo wydał z siebie przenikliwy sygnał alarmowy, Threepio odwrócił się i spojrzał na ekran, na którym astronawigacyjny robot odtwarzał archiwalne nagrania z kamer nadzorujących pomieszczenie. Po dacie, jaką oznaczone były nagrania, Threepio zorientował się, że pochodzą one z dnia, w którym Durga spotkał się z Leią w sali audiencyjnej pałacu. Ponieważ systemy zabezpieczające nie odnotowały niczego alarmującego, co działałoby się w Ośrodku Gromadzenia Informacji, nikt nie przeglądał dokładnie całości zapisów znajdujących się w archiwum.

Artoo pracował nad obrazem, wyostrając go i powiększając, usuwał cienie i zamazane fragmenty.

– Poznają je! – krzyknął Threepio.

Na ekranie widać było trzy kudłate Taurille, wyłażące z kanałów wentylacyjnych i gramolące się na konsoly komputerów.

– Co one robią? – zapytał protokolarny android. – Jak udało im się tu dostać? Przecież wyłączyliśmy wszystkie, czyż nie?

Artoo manipulował jeszcze chwilę obrazami, po czym pokazał się kolejny fragment zapisu, przedstawiający Taurilla wystukującego komendy na pulpicie komputera.

– To wielce podejrzane – oświadczył Threepio.

Automaty przyglądały się, jak Taurille kończą wystukiwanie komend i kopiują dane, przesyłając je do małego cylindra, który następnie ukryły między splotami sierści. Gdy skończyły, zniknęły z powrotem w tunelu wentylacyjnym.

– Wygląda na to, że skopiowały jakieś dane z naszych archiwów. Czego mogły szukać? – pytał Threepio. Artoo wyrzucił z siebie kilka dźwięków i złocisty android dodał: – Oczywiście, że chcę, byś się dowiedział! Po co innego bym cię tu ciągnął ze sobą, świszcząca blaszana puszeko?

Mały robot przejrzał obrazy powoli, zapamiętując ciąg komend, podawanych przez Taurille, następnie odtworzył wszystko sam. Na ekranie pojawiły się charakterystyczne prośby o hasło. Artoo miał zapisane w sobie wszystkie potrzebne hasła.

– Musimy natychmiast ostrzec panią Leię! – jęknął Threepio. Pobiegnął w stronę turbowindy, wrzeszcząc na alarm. Artoo potoczył się za nim. Androidy strzegące pomieszczenia znieruchomiały, nakierowując na nich broń.

– Wezwać przywódczynię Leię Organę Solo! – polecił Threepio. – To nagły wypadek. Los całej galaktyki jest zagrożony.

Zabójcze maszyny stojące na straży nie drgnęły. Threepio zwiększył głośność swych układów syntetyzujących głos.

– Nie rozumiecie? Ukradziono plany Gwiazdy Śmierci!

Rozdział 13

PAS ASTEROID HOTH

Gdy tryumfujący Hutt Durga powrócił w obszar pasa asteroid, Bevel Lemelisk został wezwany do niego na mostek jednego ze statków Towarzystwa Orko SkyMine. Durga oczekiwał go, wpatrując się w niebo usiane gwiazdami i asteroidami. Lemelisk wkroczył do pomieszczenia, prowadzony przez dwóch gamorreńskich gwardzistów, którzy zaraz po wykonaniu tego zadania wrócili do swych zwykłych obowiązków.

Durga spoczywał na grubych, miękkich poduszkach. Z muzycznego syntetyzatora płynęły dziwne, nie harmonizujące ze sobą dźwięki, układające się w drażniącą, hipnotyzującą melodię. Wstążki różowego i niebieskiego dymu unosiły się w powietrzu, mieszając ze sobą, zmieniając w zależności od tego, która z dmuchaw, umieszczonych po dwu stronach pomieszczenia, właśnie pracowała. Dym miał gryzący, nieprzyjemny zapach łagodnego narkotyku działającego na Hurtów, ale w przypadku ludzi jedynie palił ich w nozdrzach.

Durga ryknął głośnym śmiechem.

– Lemelisku, jesteś tu!

Z innego fotela podniósł się generał Sulamar, poprawiając mundur i przymocowane na jego powierzchni błyszczące odznaczenia i medale.

– Oczekiwaliśmy cię, Lemelisku – powiedział.

Durga odwrócił się, by spojrzeć na imperialnego wysokiego oficera.

– Poczekaj chwilę, generale – upomniał go Hutt. – Zaczniemy, kiedy ja sobie tego zażyczę.

– Tak jest, lordzie Durgo – odpowiedział Sulamar, złożył ukłon i cofnął się o krok. Jego twarz przybrała kolor spleśniałego sera, rzucił Lemeliskowi pełne złości spojrzenie, jak gdyby inżynier zrobił coś złego.

Lemelisk skupił uwagę na Durdze, który w tej chwili był najważniejszy.

– Powiedz mi, lordzie Durgo, czy otrzymałeś plany Gwiazdy Śmierci? – Lemelisk poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, i zaczął nieświadomie pocierać szczecinę na policzkach. Ciężko pracował nad tymi planami. Sporą część swego życia spędził razem z Qwi Xux w Laboratorium Otchłani, rozwijając pomysł i konstruując prototyp; potem długie miesiące minęły mu na pracy podczas prób budowy pierwszej olbrzymiej stacji bojowej Imperium.

Wargi Durgi, przypominające stare, pomarszczone kawały świńskiej skóry, uniosły się lekko do góry w dziwnym uśmiechu. Swoją małą ręką Hutt sięgnął pomiędzy poduszki, wyciągnął niewielki cylinder i umieścił go w odtwarzaczu, również ukrytym między poduszkami. Włączył się projektor, wysyłając promienie światła poprzez kłęby różowego i niebieskiego dymu. Pojawił się trójwymiarowy schemat pierwszego projektu Lemeliska, obracająca się kula, w której rozpoznać można było liczne elementy skomplikowanego urządzenia, ośrodki komputerowe, instalacje obronne,

baterie słoneczne i transformatory energii – i wreszcie superlaser niszczycielskiej bojowej stacji, umieszczony na jej osi.

Generał Sulamar pocierał dłonie w zadowoleniu, uśmiech nadał jego twarzy wygląd pyska wielkiego gryzonia.

– Doskonale – powiedział generał. – Prace muszą się rozpocząć natychmiast.

Durga ponownie łypnął na niego.

– Generale Sulamar, to ja przewodzę temu projektowi.

– Oczywiście, lordzie Durgo – powiedział Sulamar, lecz jego uwaga całkowicie skupiała się na planach Gwiazdy Śmierci.

Bevel Lemelisk postanowił wykorzystać ten moment, by się czegoś dowiedzieć.

– Lordzie Durgo, jaki jest właściwie powód obecności imperialnego generała wśród nas?

Sulamar wyprostował ramiona, jak puszący się ptak, i zwrócił się w stronę Durgi.

– Reprezentuję Imperium popierające ten projekt. Wykorzystam swoje powiązania, by zdobyć niektóre niezbędne informacje, takie jak kody zabezpieczające, które są wręcz niezbędne. A kiedy wy, Huttowie, rozpoczniecie już swoje panowanie w galaktyce – uśmiechnął się – pomyśl, lordzie, jak wzrośnie wasz prestiż, gdy będzie z wami osławiony generał Sulamar, Plaga Celdaru, człowiek, który dokonał masakry Mendicatu, nie tracąc ani jednego swojego szurmowca. Trzymałem setkę światów w garści – cała galaktyka nauczyła się drżeć, wspominając moje imię.

Lemelisk wrzucił ramionami. On sam nigdy wcześniej nie słyszał o generale Sulamarze. Oczywiście, przez długi czas żył w izolacji, zamknięty w Laboratorium Otchłani...

Spojrzał ponownie na świetlisty wizerunek Gwiazdy Śmierci. Choć teraz patrzyli na zewnętrzne warstwy tej złożonej struktury, on znał wszystkie jej szczegóły i tajemnice. Serce zabiło mu mocniej, krew uderzyła do głowy. W końcu ma nowe zadanie, projekt, w który będzie się mógł zaangażować. Uśmiechnął się do siebie, podziwiając swe dzieło, wspominając moment, w którym pokazywał je po raz pierwszy.

– Wspaniale – stwierdził Imperator, ukryty pod czarnym kapturem, wpatrując się w plany Gwiazdy Śmierci, które przedstawili mu wielki moff Tarkin i Bevel Lemelisk.

– Tak, technologiczny terror – powiedział Tarkin. Przygarbiony, o okrutnym wyglądzie, stał na baczność obok Imperatora, spoglądając na obraz potężnej, śmiertelnej stacji.

Lemelisk i jego nieco niedojrzała, ale genialna współpracowniczka Qwi Xux, zaprojektowali stację bojową, która dawała dowódcy nieograniczoną władzę w galaktyce. Tarkinowi podobał się pomysł, plany i prototyp, dlatego zabrał Lemeliska, przebywającego zazwyczaj w Laboratorium Otchłani, by osobiście przedstawił swój pomysł Imperatorowi.

– Wyjaśnij mi wszystko – polecił Imperator, wskazując dłonią na świetlistą symulację Gwiazdy Śmierci.

Lemelisk wytarł spocone dłonie o koszulę i przemówił szybko, zdenerwowany obecnością Palpatine'a, ale też podekscytowany, że może opowiedzieć coś o płodzie swojego umysłu.

– Ta stacja bojowa będzie miała wielkość małego księżyca, o średnicy stu kilometrów – zaczął. – Posiada pojedynczy system broni masowej zagłady. Będzie wymagała zaangażowania wszystkich dostępnych nam środków i technologii, ale ja jako główny inżynier jestem pewien, że zdołam osobiście doprowadzić do ukończenia prac.

Gadzie oczy Imperatora wpiły się w Lemeliska, ale ten odwrócił się szybko w stronę obrazu

Gwiazdy Śmierci, skupiając się na planach.

– Gwiazda Śmierci będzie wyposażona w planetarne tarcze ochronne, turbolasery ziemia-powietrze, trzystusześćdziesięciostopniową zdolność obracania się, potężne urządzenia, działające we wszystkich kierunkach, namierzające i przyciągające mniejsze jednostki, oraz ciężkie działa jonowe.

– Imponujące – oznajmił Imperator lodowatym głosem – ale tylko wtedy skuteczne, gdy wpadną w jej sidła jacyś wrogowie. Jak to coś ma się poruszać?

– Ach! – wyrzucił z siebie Lemelisk, wyciągając rękę i wskazując palcem na równik. – Gwiazda Śmierci wyposażona jest w olbrzymie silniki napędowe, pozwalające jej poruszać się tak w normalnej przestrzeni, jak i w nadprzestrzeni. Ta stacja może polecieć wszędzie tam, gdzie sobie zażyczymy. – Uniósł powieki, zniżając głos tak, że przypominał szept. – Superlaser jest dość potężny, by niszczyć całe światy. Jeden strzał jest w stanie zamienić planetę w obłok pyłu.

Wielki moff Tarkin pochylił się i chrząknął.

– Gwiazda Śmierci będzie samowystarczalnym garnizonem, którego jedynym zadaniem będzie wspieranie twojego Nowego Ładu, Imperatorze. To dokładnie taka broń zagłady, o jakiej stworzenie mnie poprosiłeś.

– Jej załogę stanowić będzie blisko milion oficerów, personelu pomocniczego i szturmowców. Koszt tego przedsięwzięcia może być niesłychanie wysoki – ciągnął Tarkin – ale jedna Gwiazda Śmierci będzie więcej warta niż tysiąc gwiazdnych niszczycieli. Samo istnienie tej broni będzie utrzymywać w przerażeniu całe populacje, ponieważ nikt nie będzie miał możliwości obrony przed nią. Nikt.

Imperator pochylił się jeszcze raz w fotelu, by kolejny raz rzucić okiem na projekt. Bevel Lemelisk nigdy wcześniej nie widział, by ktoś pożerał coś wzrokiem w taki sposób, jak Imperator Palpatine.

Podobnie zachowywali się teraz Hutt Durga i generał Sulamar. Sulamar trzymał w dłoni mały kieszonkowy komputer i sprawdzał coś uważnie. Gdy skończył, odezwał się do Durgi:

– Lordzie Durgo, mam przyjemność poinformować cię, że nowa druga para Szperaczy, modele Gamma i Delta, już funkcjonują, przeprogramowane tak – rzucił złośliwe spojrzenie Lemeliskowi – by naprawić fatalne skutki błędów w programowaniu pierwszej pary. Urządzenia właśnie przeczesują pas asteroid i za chwilę zaczną poszukiwanie surowców.

Durga skinął wielką głową, mrużąc swe żabie oczy. Umieszczone wokół niego małe okna obserwacyjne pozwalały dojrzeć dwa obiekty poruszające się w przestrzeni usianej skalnymi odłamkami, zmierzające do swych celów. Z oddali przebijało światło słońca Hoth.

– Nie możemy pozwolić sobie na dalszą zwłokę – oświadczył Durga, wskazując palcem na Bevela Lemeliska. Wyciągnął cylinder zawierający cenne dane i świetlisty obraz przedstawiający Planetę Śmierci rozpląnął się w kłębiącym się narkotycznym dymie.

– Ty, Lemelisku, wracaj do swojej pracy – i uważaj, by nie zrobić znów głupich błędów, takich jakie zrobiłeś przy projektowaniu Poszukiwaczy. – Oblicze Hutta przemieniła na chwilę złośliwa radość. – Nie chciałbym jeszcze raz przeprowadzać na tobie egzekucji.

Lemelisk zadrżał na myśl o karze. Wziął cylinder z rąk Hutta i przytulił go do piersi.

– Tak jest, lordzie Durgo.

Uklonił się i poczłapał do wyjścia z prywatnego pomieszczenia Durgi. Pośpieszył do swojej kwatery, uśmiechnięty, paląc się do rozpoczęcia pracy.

Rozdział 14

Bevel Lemelisk potrzebował absolutnego spokoju, gdy pracował. Zamknął swoją pracownię, licząc na to, że gamorreanscy strażnicy nie będą wdzierać się do środka, na przykład pomyliwszy pomieszczenia.

Siedział na chwiejnym metalowym krześle; zerwał się i przewrócił je kopniakiem, zirytowany, że nie może skończyć trójwymiarowej, krystalicznej układanki. Znalezienie właściwego rozwiązania znaczyło dla Lemeliska bardzo wiele i nie znosił porażek na tym polu... choć, z drugiej strony, lepiej było ponosić porażkę w zaciszu prywatnej pracowni niż na oczach innych.

Uświadamiając sobie, że jeszcze nic nie jadł, choć upłynęła już spora część dnia, Lemelisk przygotował szybki, wysokoproteinowy posiłek i postawił tacę z parującą pomarańczową papką na jednym z blatów, przy których pracował. Niespecjalnie lubił to pożywienie, ale w końcu jedzenie było dość istotne, wręcz konieczne, by mógł dalej myśleć. Jednak gdy umieścił mały cylinder z danymi w swoim terminalu, całkowicie zapomniał o jedzeniu.

W powietrzu zamigotał obraz wielkiej, kulistej stacji bojowej, przedstawiający urządzenie szczegółowo, pokład po pokładzie, komponent po komponencie. Jedynie Lemelisk znał prawdziwą złożoność tego projektu.

Zaczął zdejmować zewnętrzne warstwy holograficznego obrazu i usuwał poszczególne, mniej ważne poziomy stacji. Upraszczał konstrukcję, przystosowywał ją do oczekiwań Hurtów. Ogołacając stację z imperialnego splendoru, zbędnych struktur, dodatkowych kwater dla personelu, Lemelisk mógł stworzyć broń znacznie potężniejszą, przeznaczoną tylko i wyłącznie do niszczenia.

Wyrazisty rysunek rdzenia głównego superlasera, połączonego siatką świetlistych linii z urządzeniami wspomagającymi, tkwił teraz przed nim: przejrzysta konstrukcja superbroni, nie przesłonięta zewnętrznymi warstwami. Tak było o wiele lepiej.

Przymknął powieki i przysunął się jeszcze bliżej do hologramu, przypominając sobie, jak wspaniałe wrażenia budziła w nim praca nad pierwszą stacją bojową...

Wielki moff Tarkin przybył na teren prac nad pierwszą Gwiazdą Śmierci na pokładzie nie oznakowanego promu klasy Lambda. On sam i Lemelisk zajmowali siedzenia dla pasażerów i dyskutowali nad istotnymi kwestiami, podczas gdy niewolnik Tarkina, członek obcej rasy, Kalamarianin Ackbar pilotował statek, manewrując pośród olbrzymich ilości sprzętu, złożonej machinerii, potężniejszej niż jakakolwiek inna wykorzystywana przy budowie stacji kosmicznych.

Lemelisk nie mógł pojąć, czemu Tarkin spędza tak dużo czasu w towarzystwie cuchnącego jak stara ryba obcego o wielkich okrągłych oczach. Sama jego bliskość przyprawiała Lemeliska o mdłości. Tarkin podbił świat zwany Kałamarem i zmusił zamieszkujące go istoty, by mu służyły.

Teraz uczynił Ackbara swym osobistym pomocnikiem, zmuszając go do wykonywania czynności,

których obcy nie znosił, a wykonując je czuł się poniżony.

Całkowicie złamany, Ackbar posłusznie wykonywał każde polecenie Tarkina. Pilotował Lambdę bez entuzjazmu, zdecydowanie niechętnie. Lemelisk zauważył, choć reakcje Kalamarianina były ledwie uchwytnie, że Ackbar zdaje się wsłuchiwać w każde słowo wypowiedane przez nich, jak gdyby gromadził wszelkie informacje, jakie może zdobyć sługa.

Gwiazda Śmierci krążyła po orbicie świata Despayre, w systemie Horuz, który to świat stanowił szczególną kolonię karną. Planeta miała barwę głębokiej zieleni, przecinanej błękitem rzek i płytkich mórz. Despayre wydawała się raczej spokojną planetą, ale Lemelisk wiedział, że jej prehistoryczne dżungle obfitują w złośliwe, drapieżne zwierzęta, jadowite insekty i trujące rośliny. Skazani przebywali wewnątrz murów więziennej fortecy i modlili się, by nigdy nie znaleźć się na zewnątrz, w dziczy.

Kolonia karna dostarczała wielu robotników chętnych do pracy przy budowie Gwiazdy Śmierci. Lista ochotników była tak długa, że ich liczba pięciokrotnie przewyższała liczbę ludzi, którzy mogli przy konstrukcji pracować. Siły roboczej więc nie brakowało – niestety w większości pracownicy byli niewykształceni, całkowicie niezdolni do wykonywania niektórych skomplikowanych prac.

Lemelisk prowadził rutynowe operacje ze swej wygodnej, oddalonej kwatery. Jako główny inżynier śledził postępy, sprawdzając, czy wszystko jest na właściwym miejscu. Nie lubił zbyt często ruszać się ze swej kwatery i doglądać robót na miejscu, wewnątrz niebezpiecznej konstrukcji.

Teraz jednak, na statku pilotowanym przez Ackbara, leciał prosto w gąszcz rusztowań, wsporników i dziesiątków innych niezliczonych elementów konstrukcji. Rozglądał się uważnie, obserwując prace laserowych spawarek, rozrzucających wokoło jasne iskry, patrzył na świeżo połączone końce durastałowyci płyt. Kłęby czarnego dymu rozpieczęły się w otwartej przestrzeni. Para mieszała się z pióropuszcami iskrzących, diamentowych rozbryzgów.

Gdy Gwiazda Śmierci zostanie skończona, z planety Despayre zostanie tylko stos odpadków, jako efekt uboczny robót. Na nieszczęście skazańców, nie będzie już możliwe istnienie karnej kolonii. Bez pomocy z zewnątrz ci skazani, którym nie uda się opuścić bezużytecznej już dla budowy Gwiazdy Śmierci planety, sami będą musieli się o siebie zatroszczyć i sobie pomóc. Przetrwają tak długo, aż wyczerpią się zapasy i pożre ich bezwzględna dżungla...

– Widzę, że prace posuwają się naprzód – odezwał się Tarkin, spoglądając przez okna.

Lemelisk zacierał ręce.

– To napawa grozą, czyż nie?

Sam tak często przeglądał plany, znał dokładnie wszystkie szczegóły stacji – lecz widok budowanej właśnie, rzeczywistej stacji wciąż go oszołamiał. Odnosił wrażenie, że lata izolacji spędzone w Laboratorium Otchłani nie poszły na marne. Mały prototyp Gwiazdy Śmierci również mógł zachwycać, stanowił jednakże jedynie drobną namiastkę tego, co powstawało tutaj. Prototyp funkcjonował wspaniale, ale nie był prawdziwą Gwiazdą Śmierci.

– Wyślę sprawozdanie Imperatorowi – powiedział Tarkin. – Dobra robota, inżynierze Lemelisk.

Prom klasy Lambda przeleciał na wylot przez konstrukcję Gwiazdy Śmierci, po czym zaczął ją okrążać. W pewnym momencie spojrzęło prosto na nich wielkie oko superlasera, przypominające krater zrobiony przez jakiś meteor. Siedzący na miejscu pilota Ackbar nie powiedział ani słowa. Obcy nie wydawał się przytłoczony potęgą nowej stacji bojowej.

Lemelisk uśmiechnął się, gdy prom w końcu zawrócił, mknąc z powrotem do bazy. Wszystko szło doskonale. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat, widząc, jak spełniają się jego

marzenia.

Kiedy Lemelisk zaczął prezentację zmodyfikowanego projektu Hurtowi Durdze, zza pleców inżyniera przyglądał się wszystkiemu generał Sulamar.

– Jak wiesz, lordzie Durgo – mówił Lemelisk – pierwotnie Gwiazda Śmierci była gigantyczną kulą, stworzoną, by stanowić obudowę superlasera. Cała konstrukcja, pokłady, warstwy zewnętrzne miały także służyć jako garnizon dla jednego z największych zgrupowań wojsk szturmowych Imperium.

Na swojej kwitującej platformie Durga pochylił się, by sięgnąć po miszkę, w której znajdowała się jakaś galaretowata substancja. Przechylił miszkę i wciągnął potężny łyk grubymi wargami.

– Hm – mruknął – to wszystko wiemy.

– Ale ty nie potrzebujesz tak wielkiej przestrzeni w swojej stacji bojowej kontynuował Lemelisk.

– Nie potrzebujesz miejsca dla członków milionowej załogi. Nie potrzebujesz hangarów dla myśliwców, eskadr wspomagających, tuzinów olbrzymich doków – ty chcesz mieć tylko samą broń.

Lemeliskowi zaburczało w brzuchu. Żałował, że zapomniał zjeść cokolwiek, chociaż tym razem przynajmniej się ogolił. Przeciągnął dłonią po policzku, wyczuwając drobny zarost... więc może to wczoraj się golił? Zmienił obraz rzucany przez holoprojektor, przedstawiając swój nowy projekt, broń o nieco zmodyfikowanym kształcie.

– Jak widzisz, lordzie, usunąłem część warstw zewnętrznych, ale tym samym zwiększyłem nieco moc tej broni. W oryginalnie projektowanej Gwieździe Śmierci superlaser stanowił oś przebiegającą przez kulę. Do oddania każdego strzału potrzebna była cała moc reaktora. Tutaj zostawiłem sam superlaser. – Na obrazie widać było coś, co przypominało usiany mnóstwem jakichś soczewek, niezbyt długi pręt. – Zamknąłem go w skorupie o kształcie cylindrycznym. Twoją nową bronią będzie sam superlaser, otoczony pancernym kadłubem, wewnątrz którego znajdzie się miejsce na niewielki pierścień pomieszczeń mieszkalnych. Samo urządzenie będzie miało duże zdolności manewrowania. Nawet przy tak znacznej redukcji przestrzeni mieszkalnej, stacja zdoła pomieścić setki Huttów wraz z personelem towarzyszącym.

– Ale gdzie jest wylot lasera? – zapytał Sulamar, składając ręce na plecach i pochylając się nad planem broni. Generał napierał na Lemeliska, aż ten, poirytowany, próbował rąbnąć go łokciem w brzuch, ale w tym samym momencie generał przesunął się, chcąc przyjrzeć się wszystkiemu z innej perspektywy.

Lemelisk westchnął i zaczął odpowiadać na pytanie.

– Zwróćcie uwagę, że umieściłem oko lasera tak, by jego promień wychodził dokładnie z końca cylindra, w prostej linii. Sam promień będzie posiadał olbrzymią energię, gromadząc ją z całej długości cylindra.

Obraz ponownie zmienił się i zobaczyli teraz symulację już ostatecznie skonstruowanej broni, czarny uzbrojony cylinder, obracający się w przestrzeni. W dalszym ciągu projekcji broń wypaliła i z jednego z końców cylindra wystrzelił jarzący się promień energii.

Generał Sulamar pokiwał głową.

– To mi przywodzi na myśl broń Jedi, miecz świetlny – powiedział.

Lemelisk uśmiechnął się, zaskoczony, że nadęty generał zauważył ten związek.

– Tak – odparł – teraz zrozumiecie, czemu nazwałem ten projekt Mieczem Ciemności.

Durga chrząknął z uznaniem.

– Całkiem dobra nazwa, inżynierze.

Sulamar stał sztywny, rozważając różne możliwości. Jego twarz wyrażała mieszaninę uczuć.

– Z taką bronią będziemy niezwyciężeni. – Rzucił Durdze wilczy uśmiech. Możemy zbierać haracz, wymuszać opłaty za co tylko zechcemy. Możemy zniewalać całe systemy gwiazdne. Nikt nie będzie w stanie oprzeć się nam i naszej broni.

Durga też się uśmiechnął i siorbnął ponownie ze swej miski pełnej obrzydliwej, niebieskawej galarety.

– Możemy stać się panami galaktyki!

Bevel Lemelisk wyłączył projektor, kończąc prezentację.

– Tak, lordzie Durgo – z pewnością możecie.

Rozdział 15

MULAKO, TOWARZYSTWO EKSPLOATACJI ZŁOZ WODY

W nadprzestrzeni, zmierzając ku miejscu przeznaczenia, Luke zastanawiał się, jak uda się próba przywrócenia Calliście jej zdolności i próba ożywienia na nowo szczególnej wewnętrznej więzi, która ich łączyła.

Opadł z powrotem na oparcie fotela pilota w małym, nie oznakowanym statku, którym lecieli z Coruscant. Westchnął z ulgą, szczęśliwy, że może być sam na sam z Callistą – żadnych napięć, żartów, żadnych zadań poza próbą rozwiązania problemu Callisty. Spojrzał na nią, siedzącą w fotelu obok, a ona odwzajemniła spojrzenie, patrząc swymi szarymi, nieprzeniknionymi oczyma. Niewidzialny mur wznosił się między nimi, pozwalając Luke'owi widzieć Callistę tylko w taki sposób, w jaki widzieli ją wszyscy inni, bez tego wszystkiego, co dawała Moc.

Uśmiechnęła się, a on zapragnął ją pocałować. Pośród gęstych jasnych włosów Callisty dostrzec można było pasemka o ciemnym, brązowym kolorze, co przydawało jej jeszcze uroku.

– Wybrałem dla nas bardzo specjalne miejsce – powiedział Luke. – Rzadkie miejsce. Myślę, że ci się spodoba.

Callistą wzruszyła lekko ramionami.

– Ty jesteś mistrzem Jedi. Prowadź, pójdę za tobą.

Luke uniósł brwi.

– Nie mówisz jak Callistą, którą pokochałem.

Złączyła swoje dłonie.

– Więc odnajdźmy ją i sprowadźmy z powrotem.

Statek mknął w nadprzestrzeni, prowadzony przez automatycznego pilota. Luke wstał ze swojego fotela i przeciągnął się.

Callistą też się podniosła. Była wysoka, długonoga i niezwykle atrakcyjna. Luke delikatnie ujął jej twarz w swoje dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

Wpatrywała się w niego, nie mrugnawszy powieką.

– Czy próbujesz Mocy, by dotknąć moich myśli?

Luke lekko pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Chciałem tylko na ciebie popatrzeć.

Minęła chwila. Wziął ją za rękę i poprowadził w miejsce za fotelem pilota, gdzie było trochę pustej przestrzeni.

– Spróbujemy czegoś – zaproponował. – Pewnych technik, jakie wykorzystuję ćwicząc z innymi Jedi.

– Ale już to przechodziliśmy – przypomniała, jakby zniechęcona.

– Nie coś takiego – odpowiedział. – Nie jesteś taka, jak pozostali moi uczniowie poza tym, że cię

kocham, oczywiście – dodał z przewrotnym uśmiechem. – Ty już masz za sobą trening rycerza Jedi. Znasz wszystkie techniki... tylko po prostu nie potrafisz już ich wykorzystywać. Ale jest coś, co wciąż potrafisz.

– Co takiego? – spytała, ciekawa planów Luke'a.

Przeszedł pod ścianę i wyciągnął dwa nieduże cylindry. Rzucił jeden z nich Calliście, która chwyciła go w locie.

– Spróbujmy trochę szermierki świetlnymi mieczami – powiedział. – To sprawi, że znów będziesz myśleć i ruszać się jak Jedi. Może to dobry początek. – Wcisnął przycisk na rękojeści i wystrzeliło z niej jasne, zielonkawe ostrze.

Callista spoglądała na swój miecz świetlny, onieśmielona. Luke uśmiechnął się zachęcająco.

– Dalej, nie proszę cię, byś się zmierzyła z promieniami blastera, mając zawiązane oczy. Patrz na mnie, staraj się przewidzieć moje ruchy. Nie musisz używać Mocy używaj swych oczu i swego refleksu.

Callista wzięła głęboki oddech. Jej oczy roziskrzyły się, włączyła broń. Rozległ się syk, gdy drugie ostrze przecięło przestrzeń pomieszczenia. Jej miecz świetlny promieniował ciepłą słoneczną żółcią wpadającą w barwę topazu. Spojrzała przez ostrze na Luke'a.

– Wiesz, że to niebezpieczne – powiedziała.

Skrzyżował swoje ostrze z ostrzem jej miecza, napierając lekko, słychać było trzaski małych wyładowań dwu energetycznych kling. Spojrzał na nią z powagą.

– Wiem, że to niebezpieczne, Callisto, ale musimy spróbować. Może trafimy na jakąś wskazówkę, jak przywrócić ci Moc.

Wycofał się trochę, uniósł broń i zatoczył ostrzem łuk w jej stronę. Parowała błyskawicznie, broniąc się z łatwością.

– To śmiertcionośna broń – dodał Luke – ale także świetny test twoich umiejętności.

Callista oddała cios, jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, gdy zdecydowała się podjąć wyzwanie. Luke musiał przyśpieszyć, by móc blokować jej uderzenia. Zaśmiał się i przeszedł do kontrataku. Callista mierzyła się z nim, dorównując mu w tym starciu pod każdym względem.

Ta próbna walka była wyzwaniem także dla Luke'a, jako że w przypadku każdego innego przeciwnika mógł wykorzystać Moc, by wyczuć zmiany emocjonalne, wykryć subtelne zmiany, które poprzedzały każdy ruch, przewidzieć zaskakujące ataki, podstępny i sztuczki. Callista natomiast była dla niego jak biała ściana, pusta stronica co czyniło z niej godnego, cennego przeciwnika. Nie mogła wyczuć jego zamiarów i uczuć, ale Luke także nie mógł przejrzeć jej planów.

Prowadzili pojedynek, czując, jak mięśnie ramion prężą się w wysiłku, jak pulsuje w nich energia; czuli radość, rodzącą się w czasie wspólnego zmagania. Walka ciągnęła się przez dobrą godzinę.

Twarcą Callisty promieniowała szczęściem; dziewczyna czuła, iż odzyskała pewną część swej wcześniejszej osobowości. Znów mogła się w pewnym stopniu identyfikować z kobietą-Jedi. Nie używała miecza świetlnego od czasu, gdy wróciła do świata w swym nowym ciele, a teraz – choć Luke nie mógł połączyć się z nią w Mocy odzyskała niewielką część pewności siebie.

Energetyczne ostrza skrzyżowały się znowu, Luke i Callista spojrzeli sobie głęboko w oczy. Długo trwali w tym zwarcu, ostrza napierały na siebie przy dźwiękach wyładowań elektrycznych, ocierały się o siebie z sykiem. Pot wystąpił na czoło Luke'a, w końcu mistrz Jedi wycofał się i wyłączył swój miecz. Callista zrobiła to samo.

Chwilę później roześmiali się równocześnie i rzucili się sobie w ramiona.

Callista zajęła teraz miejsce pilota. Oboje obserwowali wskazania czujników na panelu kontrolnym. Luke skierował na chwilę wzrok na nią i odezwał się:

– Niebawem wyjdziemy z nadprzestrzeni.

Callista podrapała się po policzku.

– Nie mogę się doczekać, by ujrzeć to tajemnicze miejsce, dokąd mnie zabierasz.

Licznik na jednym z monitorów komputera wskazał zero i wygląd przestrzeni na zewnątrz statku nagle się zmienił. Zdawało się, jakby opuścili długi tunel rozmytych barw, na końcu którego znów znajdowały się jasne punkty gwiazd rozrzucone po czarnej płachcie nieba. Nieopodal tkwiło pomarańczowe słońce, średnich rozmiarów. Kilka jasnych planet wędrowało wokół niego po swoich orbitach.

– To tam – powiedział Luke, wskazując palcem.

Obserwował reakcję Callisty, gdy zauważyła wskazywany przez niego obiekt okresową kometę, z długim ogonem parujących gazów, zmierzającą po kursie zbliżającym ją do słońca.

– Kometą? – odezwała się w końcu Callista. – Jesteśmy niebezpiecznie blisko.

Luke skinął głową z tajemniczym uśmiechem.

– Tak, Callisto, o to chodzi – powiedział. – Właśnie tam lecimy.

Rozdział 16

Callista przyglądała się Luke'owi, jej oczy płonęły ciekawością. Luke manewrował statkiem kosmicznym tak, by znaleźć się jak najbliżej poruszającej się komety. Wleciał w jej ogon i cząsteczki zjonizowanych gazów poczęły uderzać w ich pola ochronne, powodując także zakłócenia systemu komunikacji.

– To Towarzystwo Eksploatacji Złóż Wody, Mulako – wyjaśnił Luke. – Okresowa kometa, która wraca tu mniej więcej co sto lat. Teraz znów zbliża się do tego słońca i jest to okres największego natężenia ruchu turystycznego.

Statek kosmiczny zbliżył się do nieregularnej bryły, gdzieś tam pokrytej warstwami lodu. Luke wskazał na krępe, zbliżone kształtem do prostopadłościanów, maszyny pełzające po powierzchni komety, wgryzające się w warstwy lodu. Z powierzchni unosiły się w górę gejzery gazu, który tryskał wysoko, tak że nie mogła go utrzymać słaba grawitacja. Gaz ten natychmiast odnawiał ogon komety.

– Co oni tu robią? – zapytała Callista. – Nigdy nie słyszałam o tej komecie.

– No cóż, utknęłaś w tamtym komputerze na wiele lat – powiedział Luke.

– Nie przypominaj mi – skarciła go.

– Z wielu rejonów tej komety – zaczął tłumaczyć Luke – towarzystwo odzyskuje lód, destyluje i przygotowuje na sprzedaż. Sprzedają go zazwyczaj jakimś wysokim oficerom i urzędnikom, którzy lubią pokazywać innym, że to, co mają, jest wyjątkowe i najlepsze. Ta zmrożona woda jest absolutnie czysta, powstała w czasie, gdy rodził się ten system słoneczny. Pierwotny lód, nie skażony ani nie przetwarzany przez żadne formy życia. Luke wzruszył ramionami.

– Oczywiście ta woda pod względem chemicznym niczym nie różni się od jakiegokolwiek innej wody, ale o tym zwykle się nie mówi.

– A czemu ty wybrałaś to miejsce? – zapytała ponownie Callista.

Towarzystwo Mulako wysłało do nich sygnał namierzający, komputer pokładowy przejął go i skierował statek ku sporemu otworowi w powierzchni komety, otoczonemu przez źródła różnokolorowego światła – jasnożółte promienie mieszały się z purpurowymi, jasnoczerwonymi i innymi – wysyłanego w ten sposób przez wzgląd na klientów, spośród których nie wszyscy widzieli ten sam zakres barw.

– Gdy zbliża się peryhelium – odpowiedział Luke – kometa staje się jednym z najbardziej luksusowych ośrodków turystycznych tego rejonu. Klimat ociepla się na tyle, by gaz mógł swobodniej wydobywać się spod warstwy lodu, a lód ulatnia się – to wszystko tworzy zdatną do oddychania atmosferę i ludzie mogą tu mieszkać. Wiem, że to niezwykle. Pomyślałem, że może ci się spodobać – poza tym nikt nas tu nie znajdzie.

Ich statek przeleciał przez portal, obok światła pozycyjnych, które ciężko przebijały się przez mgłę osnuwającą powierzchnię komety.

– Wszystko zasada się na tym, że okres, kiedy mogą przebywać tu ludzie, jest bardzo krótki. Towarzystwo Mulako zamyka kopalnie za każdym razem, gdy kometa, zbliżając się do słońca, osiąga taki punkt na swej orbicie, że zasiedlenie staje się możliwe. Rozmieszczają urządzenia wydobywcze i otwierają to miejsce dla turystów na kilka miesięcy, po czym znów zamykają, gdy kometa za bardzo zbliży się do słońca, staje się niestabilna i istnieje nawet niewielkie prawdopodobieństwo, że się rozpadnie. Potem, gdy kometa oddali się znów od słońca, zaczyna się kilkumiesięczny okres turystyczny. Kiedy w końcu na powierzchni robi się naprawdę zimno i zamarza ona pod grubymi warstwami lodu, kometa staje się zamknięta dla odwiedzających i korporacja przez najbliższe sto lat działa w izolacji, wyzyskując świeżo powstałe zasoby lodu.

– Nie mogę się doczekać, by ją zobaczyć. – Callista sięgnęła, by dotknąć dłoni Luke'a.

Wylądowali w ogrzonym i oświetlonym pomieszczeniu przyjęć. Pomarańczowe i żółte światła przeświecały przez wszechobecną mgłę.

Automaty bagażowe szybko zakrzętnęły się przy nich, Luke potwierdził rezerwację i mechaniczni portierzy odprowadzili gości do kwatery.

Luke i Callista trzymali się za ręce, krocząc za automatami bagażowymi. Callista rozglądała się wokoło, jej gęste włosy rozwiewał wiatr. Stylizowany znak Towarzystwa Mulako – litery TM otoczone okręgami, z których wystrzelał ogon komety – zdobił większość drzwi i urządzeń.

W ośrodku było dużo wody, a temperatura znacznie cieplejsza, niż można by przypuszczać. Zamrożone ściany korytarzy wydrążonych w bryle komety pokryto cienką warstwą polimeru, molekularnie nieprzepuszczalną, przezroczystą barierą, podświetloną łagodnym, niebieskawym światłem. Sekcje ścian były stale oczyszczane, zimne gazy, ogrzane i przefiltrowane, wydobywały się z nawilżaczy powietrza, tworząc cienką mgiełkę tuż przy powierzchni podłóg korytarzy. Krople ultraczystej wody spływały strumykami po ścianach. Gdzeniegdzie woda opadała z sufitów szemrzającymi, diamentowymi wodospadami lub tryskała w górę w krystalicznych fontannach.

Twarz Callisty przybrała wyraz dziecięcego zachwyty.

– Tu jest przepięknie, Luke'u. Ta woda... Ja kocham wodę.

– Wiem – odpowiedział Luke. – Tyle razy opowiadałaś mi, jak tęsknisz za swoją rodzimą planetą, Chad.

Callista zamyśliła się. Urodziła się i dorastała na planecie obfitującej w wodę, żyjąc razem z ojcem i przybraną matką na morskiej farmie, na której tradycyjnie pracowała jej rodzina. Ale zew Mocy był u niej silniejszy, opuściła swój piękny dom z jego cudownymi oceanami... lecz wciąż za nim tęskniła.

Roboty-portierzy prowadzili ich w dół, łagodnie zakręcającymi korytarzami. Mijali drzwi prowadzące do różnych apartamentów, aż dotarli do zarezerwowanych pokoi. Różnobarwne lampy rzucały światło na polimerowe ściany, dając wrażenie, jakby szło się przez tęczę uwięzioną w kryształach.

Olśniona Callista zatrzymała się, by pocałować Luke'a.

– To jest cudowne – powiedziała. – Czuję w tym miejscu jakąś siłę, jakąś energię. Wiem, że tutaj uda nam się coś osiągnąć!

Wewnątrz ich przestronnego apartamentu umieszczono w kątach szemrzące spokojnie małe fontanny; mgiełka pełzała po posadzkach, przesłaniając połyskujące urządzenia ogrzewcze, które czyniły pomieszczenia miłymi i ciepłymi. Meble, o osobliwych kształtach i różnych rozmiarach, wyciosane z fragmentów skały znalezionych pewnie gdzieś na obszarze zmarzniętej komety, nosiły

znak towarzystwa. Automaty bagażowe postawiły ich rzeczy i odtworzyły nagrane wcześniej zaproszenia z restauracji i klubów dostępnych w luksusowym ośrodku.

Luke przegonił maszyny z apartamentu, zanim zdążyły skończyć odtwarzanie nieco przydługiego nagrania. Zamknął drzwi, odwrócił się do Callisty, uśmiechnął i westchnął.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, po czym opadł na wypolerowaną kamienną sofę, wysłanajakimś miękkim materiałem. Callista dołączyła do niego.

– Jeśli wierzyć broszurom, można tu robić mnóstwo rzeczy – odezwał się po chwili. – Możemy zwiedzić tunele albo przebrać się w kombinezony i wyjść na powierzchnię. Mała siła ciężenia sprawia, że można tu się niezle bawić po prostu biegając i podskakując – ciągnął. – Albo pójdziemy obejrzeć jeden z czynnych gejzerów. Podobno jest to bardzo widowiskowe.

Pokręciła głową.

– Chciałabym zostać tu z tobą, Luke'u. Możemy odetchnąć trochę i porozmawiać... po prostu być przez chwilę tylko ze sobą.

Przymknął oczy i przyznał w duchu, że brzmiało to wspaniale.

– Nie mam nic przeciw temu.

Callista skupiła się na jednej z niewielkich fontann, jej wzrok błędził gdzieś daleko. Luke wiedział, że rozpamiętuje coś, choć w jej przypadku nie mógł być pewien swojej intuicji.

– Myślę o oceanach na Chad – odezwała się, nie spoglądając na niego, ale w pełni świadoma, że jest obserwowana. – Zwłaszcza o nocach nad oceanem, gdy nadchodzi przyływ, kiedy wszystkie księżycy w pełni tkwią jednocześnie na nieboskłonie. Wędrujące wodorosty o zmierzchu pobłyskiwały światłem schwytanym w fosfor.

– Co to są te wędrujące wodorosty? – zapytał Luke.

– Zbieraliśmy je na naszej farmie – odpowiedziała Callista. – To coś pośredniego między rośliną a zwierzęciem – nie są obdarzone inteligencją, ale poruszają się świadomie. Stanowiły duże skupiska bogatych w jod organizmów, które mogliśmy zbierać kilka razy w roku, oczyszczać i sprzedawać lek, jaki udawało się z nich wyprodukować. Pozostałości wykorzystywaliśmy jako tanią, proteinową paszę dla zwierząt.

Czasy były ciężkie. Nie chodzi o to, że źle szedł handel czy sama produkcja, ale Imperator opanował szlaki handlowe. Opłaty i haracze nie pozwoliły naszym stałym pośrednikom utrzymać się w interesie. Czasami przez długi czas żywiliśmy się jedynie skorupiakami zamieszkującymi pobliskie rafy. Oczywiście, teraz moja rodzina nie żyje już od wielu lat... podczas gdy ja uwięziona byłam w komputerze.

Jej dolna warga zaczęła lekko drżeć, dziewczyna nie chciała spojrzeć Luke'owi prosto w oczy.

– W pewnym stopniu czuję się winna, że nie zostałam z nimi – ale żyłam z tym przez te wszystkie lata, kiedy byłam Jedi. Nie, nie żałuję niczego, tylko czasem ogarnia mnie smutek.

Teraz już odwróciła się i spojrzała na Luke'a. W jej oczach nie było łez – była siła.

– To mój mistrz Jedi, Djinn Altis, pokazał mi szlak Jedi. Przybył do nas na swym wielkim, wędrującym po odległych rejonach galaktyki statku „Chu'unthor”, statku, który nie miał żadnego celu podróży, i przypominał nieco twoją akademię na Yavinie Cztery.

– Wiem – powiedział Luke. – Znaleźliśmy jego rozbity i spalony statek „Chu'unthor” na Dathomirze i zabraliśmy go stamtąd.

Callista westchnęła kolejny raz.

– Pamiętam, jak kiedyś mistrz Altis zabrał mnie na długi lot, nisko nad powierzchnią morza na

Chad. Mijaliśmy śpiewające stada łabędzi, oglądaliśmy wzory kreślone pod wodą przez węgorze pobłyskujące różowo w księżycowym świetle. Mistrz Altis uczył mnie, jak wyczuwać obecność żywych stworzeń za pomocą moich zdolności. Z początku nie chciałam wierzyć, ale kiedy pokazał, jakie to jest łatwe, zrozumiałam, że jestem Jedi. Nie musiał mnie o tym przekonywać. To raczej moja rodzina należało przekonać – i myślę, że nie do końca mi się to właśnie udało.

Luke wstał, podszedł do nierównego czarnego stołu i wyciągnął mały dysk, niebieski krążek, który dawał im możliwość posilania się w jednej z najlepszych restauracji Towarzystwa Mulako.

– Spróbujmy czegoś – powiedział. Przymknął powieki, skupiając się na prostym ćwiczeniu wykorzystującym Moc. Mały krążek uniósł się z jego dłoni i zawisł w powietrzu.

– Zamierzam utrzymać go w tej pozycji – oznajmił. – Spróbuj go poruszyć, przesunąć w moją stronę. To powinno być łatwiejsze niż uniesienie go w powietrze. Otwórz się na Moc i pozwól, by przez ciebie płynęła. I po prostu lekko popchnij krążek.

– Spróbuję – powiedziała Callista niepewnym tonem.

– Nie próbuj, zrób to.

– Wiem, wiem, nie powinnam tak mówić – odparła skarcona Callista. Przymknęła powieki i skoncentrowała się. Jej oddech stał się głęboki, twarz całkowicie skupiona.

Luke wysłał w jej stronę kilka badawczych myśli, by przekonać się, czy poczuje, jak Callista manipuluje Mocą. Niebieski dysk nieruchomo wisiał w powietrzu.

Twarz dziewczyny stała się czerwona z wysiłku, w końcu wyrzuciła z siebie gwałtownie zaczerpnięte powietrze, otworzyła oczy. Na jej czole rysowała się troska.

– Nie mogę. Nic z tego. – Zanim Luke zdążył cokolwiek powiedzieć, uniosła dłoń. – Ale proszę, nie pouczaj mnie. Nie teraz. Nie musisz mnie trenować. Wiem, jak to się robi – lecz nie mogę...

Luke ujął jej dłoń w swe rękę.

– Nie trać nadziei, Callisto – szepnął. – Proszę, nie trać nadziei.

Wieczorem Luke siedział zrelaksowany, delektując się smakiem idealnie czystej wody. Po ścianach szklanki, którą trzymał, spływały czyste jak kryształ krople płynu. Rzucił okiem na mgiełkę spowijającą posadzkę i głęboko odetchnął, ciesząc się świeżym powietrzem.

– Tu jest tak inaczej niż tam, gdzie się wychowałem.

Callista siedziała wygodnie obok niego, w jednym z wielkich foteli.

– Opowiedz mi o tym – zaproponowała. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Luke pozwolił, by obudziły się w nim słodkie i gorzkie wspomnienia.

– Kiedyś powiedziałem, że gdyby istniało jakieś tętniące życiem centrum wszechświata, Tatooine byłaby miejscem najbardziej od niego odległym. – Pokręcił głową. – Gorąca, wysuszona ziemia – bezwzględna ziemia. Zwykle kto się tam rodził, tam też umierał, nie opuszczając tego miejsca, zabijającego w ludziach nadzieję. Mój wuj Owen i ciotka Beru byli farmerami, ciężko pracującymi, nieco ograniczonymi ludźmi. Znali prawdę o moim ojcu, ale opowiadali mi kłamstwa, licząc na to, że nie ruszę w jego ślady, że nie zechcę wkroczyć na niebezpieczną, ale i chwalebnią drogę rycerza Jedi. Pragnęli, bym został w ich domu, gdzie byłbym bezpieczny... i całkowicie niezaangażowany w sprawy świata, uzależniony od nich. Na swój sposób kochali mnie głęboką miłością – ale kiedy poczułem zew Mocy, nie mogłem go nie posłuchać.

– Rozumiem to – mruknęła Callista, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Gdy Obi-Wan Kenobi zaczął mnie szkolić – mówił dalej Luke – nie wiedziałem, jak powiedzieć

o tym wujowi Owenowi i ciotce Beru. – Przełknął ciężko ślinę. – Jednak nigdy nie miałem ku temu okazji. Podczas mojej nieobecności żołnierze Imperium zabili ich i spalili farmę. Mnie też by zabili, gdybym tam akurat był.

Callista czule pogładziła jego czoło.

– Teraz Biggs też już nie żyje – ciągnął Luke. – Biggs Darklighter, jedyny z moich przyjaciół, który opuścił Tatooine. Wstąpił na pewien czas do imperialnej akademii, potem jednak przyłączył się do Rebelii. Spotkałem się z nim na Yavinie Cztery, ale nie mieliśmy szansy, by dłużej porozmawiać. Biggs był jednym z pilotów osłaniających mnie podczas ataku na Gwiazdę Śmierci. Uratował mi życie, ale sam zginął w tej bitwie.

– To był naprawdę twój jedyny przyjaciel na Tatooine?

Luke sięgnął dłonią do fontanny, pozwalając, by chłodna woda spływała mu między palcami.

– Miałem jeszcze dwoje bliskich kompanów, nazywali się Camie i Fixer. Zwykliśmy włóczyć się gdzieś w okolicy stacji Tosche, zwierając się ze swych marzeń i planów wydostania się z tej jałowej planety. Rodzina Camie miała podziemne ogrody i kupowała wodę z farmy mojego wuja. Wuj Owen zawsze powiadał, że to, co robimy, jest marnowaniem czasu, ale my po prostu bawiliśmy się i rozwijaliśmy naszą wyobraźnię, myśląc o tym, co moglibyśmy robić – nawet gdyby okazało się to niemożliwe. To trzymało nas przy zdrowych zmysłach na tej koszmarnej planecie.

Westchnął.

– Zastanawiam się, czy Camie i Fixer wciąż tam są... Wydawało mi się, że moje życie zmierza donikąd, a teraz jestem mistrzem Jedi. Odnalazłem swoją siostrę, bliźniaczkę, o której istnieniu nie wiedziałem, a teraz Leia jest przywódczynią Nowej Republiki. Imperium upadło, a ja wychowuję nowych rycerzy Jedi. – Zaśmiał się krótko. – Naprawdę wiele się zmieniło.

Uśmiechnął się znów i spojrzał na Callistę, opierającą głowę na jego ramieniu. Pogłaskał dziewczynę po głowie, widząc, że usnęła.

Rozdział 17

KHOMM

Gdy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy prowadził statek do głównego portu kosmicznego na Khomm, Kyp Durron obserwował mijane miasta o zdumiewająco regularnej budowie.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy niespokojnie wiercił się przy panelu kontrolnym, wydawał się coraz bardziej zdenerwowany, w miarę jak zbliżali się do punktu docelowego. Kilka innych statków stało na płycie lądowiska w wyznaczonych prostokątach. Z pewnością należały do handlarzy z innych systemów, którzy przybyli, by zaoferować mieszkańcom planety klonów różne towary. Sami mieszkańcy Khomm rzadko opuszczali swój świat, woląc zostawać w domu i robić to, co robili zawsze.

Oliwkowozielona skóra Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego przybrała nieco ciemniejszy odcień.

– Dobrze być z powrotem w domu – rzekł. – Kiedy stąd wyjeżdżałem, byłem niedoświadczony, ale teraz, kiedy jestem dojrzały, potrafię rozpoznawać, co mówi mi serce. Czuję kojący wpływ tego miejsca, wszystko jest znajome i przyjazne. Po tych wszystkich trudnych chwilach, jakie przeżyłem w prakseum, dobrze jest wrócić między swoich. Ty też to poczujesz, Kypie.

Kyp skinął głową, ukrywając swój sceptycyzm.

– Już coś czuję... jakby stłumione zainteresowanie.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy skinął głową.

– Tak, tak, to właśnie to.

Kiedy otworzyli klapy wjazdu, Kyp był zdumiony, jak wielki tłum wyszedł im na spotkanie, wysypując się z wysokich budynków. Patrzył na setki klonów o gładkiej skórze, zbierających się wokoło. Rozległy się krzyki aplauzu, gdy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wyszedł na zewnątrz, stanął prosto i uniósł prawą rękę w powitaniu.

Kyp, stojący tuż obok przyjaciela, szepnął:

– Czemu jest ich tu tak wielu? To zdumiewające.

Rozpromieniony Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy natychmiast odpowiedział:

– Jako rycerz Jedi jestem tu teraz bardzo sławny. – Rzucił Kypowi niewinne spojrzenie. – Jestem jedyną osobą, która, jak sięgnąć pamięcią, zrobiła coś... nieprzewidzianego.

Kyp powstrzymał śmiech, wiedząc, że Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wcale nie żartuje. Zauważył, jak jedna z klonowanych istot innej rasy wysuwa się przed tłum, poruszając się na unoszącej się w powietrzu platformie, zwieńczonej poręczami. Klon o spokojnym obliczu, który zbliżał się do nich, miał na sobie dziwny uniform z jakimiś insygniami na ramionach.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy był naprawdę poruszony.

– To musi być naczelnik naszego miasta, Kaell Sto Piętnasty. Nigdy nie widziałem go z tak bliska.

Jest naszym naczelnikiem od wielu dziesiątek lat. To jego genetyczna linia.

Jednakże gdy platforma zbliżyła się do nich, Kyp zauważył, że stojący na niej, ubrany w uniform osobnik ma raczej twarz dziecka niż kogoś, kto przez wiele lat przewodniczył innym.

Klon uniósł prawą rękę w geście przywitania, tak jak to zrobił wcześniej Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, i odezwał się:

– Jestem Kaell Sto Szesnasty – przedstawił się – nowy naczelnik miasta. Witaj, Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy! Jesteśmy dumni, że tak ważna osoba jest między nami. – Wskazał na swoją platformę. – Pozwól, że odprowadzę cię do miejsca zamieszkania.

Naczelnik miasta powitał Kypa raczej oschle. Weszli na platformę, która chwilę później poruszyła się i uniosła ich nad głowami tłumu. Oliwkowoskórzy mieszkańcy nie przestawali machać do Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, witając go jak bohatera.

Kaell Sto Szesnasty skierował platformę w stronę identycznych bloków mieszkalnych. Drzewa tworzyły szpalery przy każdej z ulic i wszystkie wydawały się jednakowe. Przed wejściem do każdego budynku rosły starannie przyszczyżone purpurowe i niebieskie trawniki. Powietrze miało jakiś dziwny, metaliczny posmak, który sprawiał wrażenie, jakby miasto było sztuczne i bez życia.

Zabudowania, ogromne prostokąty utworzone z zielonych prążkowanych gładów, wieńczyły na krawędziach pasy tłuczonego kamienia. Na zewnętrznych ścianach nie było żadnych dekoracji, nie widać też było tarasów czy balkonów, jedynie numery wygrawerowane w rogach budynków na wysokości parteru.

– Jak to robicie, żeby się tu nie pogubić? – zapytał Kyp. – Wszystko wydaje się identyczne.

Kaell odczytał to chyba jako zarzut, jego twarz ściągnęła się nieco.

– Zaprojektowaliśmy miasto tak, by było takie, jakie chcieliśmy. Wszystko ma swój numer i jest skatalogowane. Khomm stanowi stabilne, uporządkowane miejsce życia. Nasi obywatele są tu szczęśliwi.

– Rozumiem – powiedział Kyp, wykrzywiając twarz w wymuszonym uśmiechu. Spojrzał znowu na Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, który wyglądał na niezwykle zadowolonego, że jest w domu.

Gdy płynęli tak nad ziemią, z okien wychylali się coraz to nowi mieszkańcy miasta, machając do nich. W końcu Kaell Sto Szesnasty posadził platformę na ziemi, przed wejściem do jednego z budynków, wyglądającym tak samo jak wszystkie inne. Naczelnik oddalił się, żegnając ich niedbale.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy ruszył w stronę budynku, wpatrując się w gmach tak, jakby nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego.

– To mój dom! – oświadczył.

Kyp podązał za przyjacielem, gdy ten pędził schodami na górę, mijając ze trzy kondygnacje po drodze do swego mieszkania.

W dobrze oświetlonym korytarzu było wiele identycznych drzwi. Przypominało to lustrzane odbicie – wszystko było jak gdyby dziwacznie rozmnożone. Jedne z drzwi otworzyły się, gdy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zbliżył się do nich.

Pojawiły się w nich dwie sylwetki; przez chwilę Kyp miał wrażenie, że coś dziwnego dzieje się z czasem lub że zmysły wprowadzają go w błąd. Zobaczył dwie identyczne osoby, w różnym wieku. Obie wyglądały jak Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, jedna było jednak od niego starsza i nieco zmęczona biegiem lat, druga natomiast młodsza i trochę mniejsza.

Wszyscy troje wymienili uściski i zaczęli rozmawiać między sobą, szybko i ściszym głosem. Kyp zrobił parę kroków do tyłu, czując się nieco obco. Obserwował tę trójkę z pewną dozą tęsknoty

za swoim własnym domem, myśląc ciepło o czasach, gdy on, rodzice i jego brat, Zeth, spędzali razem wspaniałe chwile na rodzimej planecie Deyer: łowienie ryb, przepiękne zachody słońca wśród spokojnych jezior... Imperium zniszczyło tamto miejsce i Kyp nie widział swego domu od czasu, gdy był dzieckiem.

Po krótkim, acz wylewnym powitaniu Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy dał znać gestem, by Kyp dołączył do niego.

– To jest mój przyjaciel, Kyp Durrion, także rycerz Jedi. To jest – odwrócił się do starszej z dwóch witających go osób – Dorsk Osiemdziesiąty, mój przodek, a tu poklepał ramię młodego kłona – mój potomek, Dorsk Osiemdziesiąty Drugi.

Kyp był nieco dezorientowany, widząc te trzy niemal identyczne klony, ale w swoim życiu widział już wiele dziwnych rzeczy. Rozejrzał się po wnętrzu mieszkania, w którym żyła rodzina Dorsków, dostrzegając, że wszędzie panuje czystość i porządek.

– Czy któryś z was ma żonę? – zapytał, nie widząc w mieszkaniu nikogo więcej.

Wszystkie trzy klony spojrzały równocześnie na niego, wreszcie Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy roześmiał się głośno. Skóra na jego czole zmarszczyła się.

– Kypie, nikt tu nie ma żony. Wszyscy na Khomnie jesteśmy bezpłciowi. Dlatego właśnie wykorzystujemy klonowanie. Od tysięcy lat na tej planecie nie ma czegoś takiego jak płcie.

Kyp chrząknął zakłopotany.

– No cóż, ja po prostu przypuszczałem... no tak, pomyliłem się.

– Wszyscy się czasem mylimy – odezwał się starszy klon, Dorsk Osiemdziesiąty, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego. Kyp oczywiście zauważył to, ale jego przyjaciel udawał, że nie widział niczego.

Jakiś czas później Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy rozścielał dodatkowe łóżko w małym pokoju gościnnym, a Kyp wykorzystał ten moment, by zadać nurtujące go pytanie.

– Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy – zaczął. – Teraz, gdy zobaczyłem, jak... szukał przez chwilę właściwego słowa – jak stabilny i niezmienny jest twój świat, nie pojmuję, jak zamierzasz tu działać jako Jedi. Co będziesz robił?

W dużych żółtych oczach Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego pokazał się nagły cień strachu.

– Nie wiem! – szepnął niepewnym głosem. – Nie wiem... – powtórzył do siebie i wyszedł z pokoju, zostawiając Kypa samego.

Przez pewien czas Kyp nie mógł zasnąć. Wyglądał przez okno, na nocne niebo usiane milionami jasnych gwiazd. Khomm znajdowało się niedaleko jądra galaktyki i niedaleko systemów gwiazdnych, gdzie skryli się ocalali wodzowie Imperium. Gwiazdy układały się w rozległą, roziskrzoną wyspę, jakby wielką soczewkę, przesłaniającą połowę firmamentu.

Kyp wpatrywał się zwłaszcza w miejsce, gdzie znajdowały się systemy tworzące jądro galaktyki, bojąc się trochę tego, co może tam odkryć, ale i nie mogąc się doczekać, by dokonać tego odkrycia.

Następnego ranka młody klon Dorsk Osiemdziesiąty Drugi pokazywał Kypowi pracę w banku klonów. Budynek, w którym miały miejsce klonowania, był wyższy od pozostałych i o innym kształcie; była to jedyna budowla wyróżniająca się na tle całego miasta. Zamiast wszechobecnych murów z zielonej skały, jej konstrukcję stanowiły olbrzymie prostokątne płaszczyzny przezroczystego kryształu, połączone potężnymi chromowymi spojeniami, lśniącymi w promieniach słońca. Kryształowe wielkie okna były tak przejrzyste, że Kyp z ulicy mógł z łatwością obserwować

dokładnie zaplanowaną pracę wykonywaną wewnątrz.

– Wszystko jest dokładnie takie samo, jak wtedy, gdy wyjeżdżałeś – podkreślił Dorsk Osiemdziesiąty Drugi, spoglądając na swojego „ojca”. Wewnątrz budynku powietrze było bardzo wilgotne, ciężkie od mieszaniny chemicznych i organicznych zapachów, bardziej egzotycznych niż nieprzyjemnych. Dorsk Osiemdziesiąty towarzyszył im, krocząc obok jak mistrz oprowadzający nowych uczniów. Z dumą spoglądał na swego potomka, Dorska Osiemdziesiątego Drugiego, jednocześnie kręcił się wszędzie, dotykając różnych urządzeń i sprawdzając wykresy.

– Nie wiedziałem, że kiedyś zajmowałeś się czymś takim – powiedział Kyp do Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

Jego przyjaciel skinął głową.

– Tak, w komputerowej bazie danych znajdują się dokładne genetyczne zapisy struktury członków wszystkich najważniejszych rodzin. Gdy nadchodzi czas, by powstało nowe pokolenie, przywołujemy zgromadzone zapisy kodów genetycznych, wraz z różnymi dodatkowymi informacjami, i wykonujemy następne kopie przedstawicieli danych rodów.

– Wszystkie klony są zazwyczaj identyczne – wtrącił Dorsk Osiemdziesiąty.

Kyp rozumiał, że Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy był inny, wrażliwy na Moc, podczas gdy powinien być dokładnie taki sam, jak pozostałe wcielenia genetycznego wzoru. W jego przypadku nastąpiło coś nieoczekiwanego i niezrozumiałego.

W specjalnym pomieszczeniu, w banku klonów, stały w wielu rzędach metalowe inkubatory. Wszystkie były ponumerowane i skrupulatnie nadzorowane. W ich wnętrzach znajdowały się embriony, które dojrzewały, do czasu aż w przyspieszonym rozwoju osiągały wiek prawie dojrzały. Wówczas opuszczały inkubatory i trafiały w ręce genetycznych przodków, którzy uczyli ich tego, czym zajmowano się w danej rodzinie.

Bulgocie przeróżnych płynów, buczenie generatorów, migotanie kontrolnych lampek i odgłosy obsługiwanego wielkiej liczby komputerów czyniły z tego miejsca coś w rodzaju ula czy mrowiska, w którym wrzała nieustająca aktywność, ale wokół Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego tworzyło się jakieś dziwne napięcie, jak gdyby ktoś spowił go warstwami ciszy.

Dorsk Osiemdziesiąty Drugi dumnie wiódł ich do swojego własnego stanowiska pracy. Płaskie ekrany terminali ukazywały informacje o parametrach tysięcy pojemników z embrionami.

– Zazwyczaj tutaj pracuję – oświadczył Dorsk Osiemdziesiąty Drugi. – Wszystko funkcjonuje bez zarzutu. Jak należało, przejąłem rodzinne obowiązki – teraz zaś, kiedy wróciłeś, z przyjemnością udostępnię ci z powrotem to stanowisko pracy, abym sam mógł kontynuować naukę i pewnego dnia stać się twoim prawdziwym następcą.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zbladł.

– Ale ja nie po to tu wróciłem. Nie zrozumiałeś mnie. – Spojrzał na Kypa, jakby oczekując wsparcia z jego strony. – Kontynuuj swoją pracę, Dorsku Osiemdziesiąty Drugi. Ja nie zamierzam do niej wracać.

Młody klon zamrugał nerwowo powiekami, nic nie rozumiejąc.

– Ale przecież musisz!

Oblicze Dorska Osiemdziesiątego pociemniało.

– Jesteś moim następcą, Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy. Zawsze wiedziałeś, gdzie jest twoje miejsce.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zatrzymał się i odwrócił, patrząc na swego poprzednika.

– Nie. Jestem rycerzem Jedi, i muszę sam znaleźć miejsce dla siebie – moje nowe miejsce.

Kyp bardzo chciał pomóc przyjacielowi, wesprzeć go, ale to były ich osobiste, wewnętrzne sprawy. Gdyby się wtrącił, z pewnością tylko pogorszyłby stan rzeczy. Dorsk Osiemdziesiąty spojrzał na niego surowo.

– Nie masz wyboru.

– Nie – odparł Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. Na jego twarzy rysowało się cierpienie. – Nieprawda, mam wybór. Tego właśnie nie potraficie zrozumieć.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy patrzył wilgotnymi oczyma raz na swoją starszą, raz na młodszą kopię. Kyp stał z boku i widział wyraz wszystkich trzech twarzy. Sam miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu serce.

Przez resztę dnia rodzina Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego nie odzywała się do niego i unikała go. Wyobcowany klon wyglądał bardzo źle, gdy przyszedł do Kypa, odpoczywającego w pokoju gościnnym. Kypowi żal było przyjaciela; rozumiał, widząc styl życia na Khomm, że inni członkowie tej rasy tak naprawdę nie rozumieli, kim był Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, ani tego, co osiągnął.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy usiadł obok Kypa. W jego żółtych oczach malowały się różne emocje, minęła chwila, zanim odważył się przemówić.

– Nie mogę tu zostać – rzekł. – Nawet jeśli będę się starał zachować siłę, wiem, że w tym świecie, w tym mieście, w mojej rodzinie... w końcu i tak się poddam. Zapomnę, co znaczy być Jedi. Zawiodę swojego mistrza, Luke'a Skywalker'a. Wszystko, co teraz jest dla mnie ważne, pierzchnie, a moje życie rozplynie się, jako nic nie znaczący epizod w historii Khomm.

Co ja tu mogę zrobić? Wszystko wydawało mi się proste, gdy stałem się Jedi. Zamierzałem wrócić na Khomm i zostać strażnikiem tego świata. Ale ten świat nie potrzebuje – albo nie chce – rycerza Jedi do ochrony. Jaką inną misję mógłbym tu spełniać?

Kyp ścisnął ramię swego druha, on też czuł zdenerwowanie.

– Możesz wyruszyć ze mną – zaproponował. – Jeśli tego chcesz.

Na obliczu Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego zajaśniało światło nadziei. Kyp zamyślił się, potem poczuł nagły przyływ nienawiści do Imperium.

– Weźmiemy nasz statek i udamy się do nieznanых rejonów systemów gwiazdnych, tworzących jądro galaktyki – powiedział po chwili. – Musimy dowiedzieć się, co się dzieje z dawnym Imperium.

Rozdział 18

JĄDRO GALAKTYKI

Daala wyłączyła na chwilę osłony niszczyciela „Ognistej Burzy”, by przepuścić zbliżający się do jej statku prom wiceadmirała Pełlaeona. Odliczanie trwało, cyfry na liczniku komputera uruchamiającego system autodestrukcji pędziły nieubłagane.

Daala przypatrywała się swojej załodze zebranej na mostku. Żałowała, że muszą przez to przechodzić, ale z drugiej strony podziwiała ich stoicki spokój. Szanowała Pełlaeona za jego opanowanie i odwagę – a może brawurę – gdy zdecydował, że wejdzie na pokład statku, który miał za chwilę eksplodować.

Zwróciła się do swojego oficera łącznościowca.

– Czy naczelny wódz Harrsk został powiadomiony, ile czasu zostało do eksplozji?

Blady jak ściana oficer przełknął ślinę.

– Tak jest, pani admirał, ale nie uzyskałem żadnej odpowiedzi.

– Szkoda – spokojnie odpowiedziała Daala. – Mam nadzieję, iż nie sądzi on, że blefuję.

– Upewniłem go, że pani mówi poważnie, pani admirał – rzekł oficer i odwrócił wzrok, zaciskając wargi.

– Ile czasu zostało? – zapytała Daala.

– Siedem minut.

– Wiceadmirał Pellaeon właśnie zacumował w doku dla promów – wtrącił oficer taktyczny.

Daala stała nieruchoma, z rękoma splecionymi za plecami, obok paneli kontrolnych. Szkarłatne statki klasy Victory otaczały flotę Harrska niczym stado głodnych drapieżców. Daala nie całkiem pojmowała, co robił Pellaeon, lecz fakt, że tak wiele jednostek posłusznych było jego rozkazowi i samobójczo tkwiło na swoich pozycjach, przekonywał ją o wielkich zdolnościach przywódczych wiceadmirała.

– Sprowadźcie go tu natychmiast – poleciła. – Honorowa gwardia szturmowców! Upewnijcie się, że Pellaeon nie ma wrażeń, iż bierzemy go do niewoli. Traktujcie go jak godnego szacunku negocjatora.

– Czy jest na to czas, pani admirał? – odezwał się główny technik. – Zostało tylko sześć minut.

– Więc będą musieli biec, czyż nie? Musimy być optymistami – dodała. Jej usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. – Choć o optymizm nie jest łatwo, gdy ma się do czynienia z takimi ludźmi, jak Harrsk czy Teradoc.

Jakiś czas później na mostek wkroczyła gwardia honorowa. Do detonacji pozostała jedynie minuta i czterdzieści pięć sekund.

Sześciu szturmowców, w idealnym szyku, wprowadziło wysokiego mężczyznę o schludnych, lekko siwiejących włosach i okazałym wąsie. Miał przenikliwe, jasne oczy, jego ciało wyglądało na silne.

– Wiceadmiral Pellaeon, jak sądzę – odezwała się spokojnie Daala. – Cieszę się, że dołączył pan do mnie na chwilę przed momentem naszej śmierci.

Pellaeon przełknął ciężko.

– Pani admirał Daalo. Dużo słyszałem o pani i jestem świadom determinacji i powagi tego, co pani robi. Wątpię, by pani blefowała. Chciałbym, żeby naczelny wódz był o tym przekonany tak jak ja.

– Jedna minuta, pani admirał! – Głos oficera był lekko podniesiony.

– Czy dziennik okrętowy gotów jest do wyrzucenia w przestrzeń? – zapytała Daala. – Może nasz desperacki czyn uświadomi coś pozostałym dowódcom.

Zanim oficer łącznościowiec zdążył się zorientować, na monitorze pojawiła się sylwetka naczelnego wodza Harrska. Harrsk krzychał:

– W porządku! Zatrzymajcie to! Wstrzymajcie odliczanie. Rozkazuję, by wszystkie działania wojenne skończyły się z tą chwilą. Daalo, do diabła – wyłącz to urządzenie, zanim wylecimy w powietrze!

Szef techników zastygł w bezruchu. Załoga odetchnęła z ulgą. Pellaeon z uniesionymi brwiami przyglądał się Daali.

Daala nadal stała przy panelu kontrolnym, nie ruszając się, i nie cofała swej decyzji o wysadzeniu statku, choć w głębi serca świętowała tryumf. Odczekała jeszcze chwilę, aż licznik pokazał, że do eksplozji zostało tylko trzydzieści sekund. Wówczas jej twarz przybrała wyraz tłumionego zawodu, by zrodzić w załodze przeświadczenie, że naprawdę zamierzała wysadzić w powietrze „Ognistą Burzę” – a z nią „Trąbę Powietrzną”, jeśli nie spełniono jej żądań.

– Pani admirał – odezwał się Pellaeon ostrożnym, lecz przekonującym tonem może zgodziłaby się pani na rozmowę...

Daala sięgnęła do konsoly i wcisnęła przycisk pauzy, powstrzymujący odliczanie.

– Zgadza się, wiceadmirale. Ja też wolę alternatywne rozwiązanie.

Z pamięci podała nawigatorowi szereg współrzędnych.

– Udamy się na prywatną konferencję. Jednak, by nie sprawiać wrażenia, że porywamy pana, wiceadmirale Pellaeon, zapraszam dwa pańskie statki klasy Victory, by nam towarzyszyły.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Sądzę, że lepiej oddalić się, by zabezpieczyć się przed groźbą zmiany zdania przez Harrska albo Teradoca. Nie ufam żadnemu z nich. Mogą zechcieć wykorzystać tę sytuację dla własnych celów.

– Zgadza się z panią, pani admirał – powiedział krótko Pellaeon. Daala poczuła nagle, że cele tego człowieka może są zbieżne z jej własnymi. – Jeśli pozwoli mi pani posłużyć się komunikatorem, wydam specjalne polecenia załodze mojego statku flagowego i statków towarzyszących.

Daala odwróciła się do sternika.

– Gdy komputer nawigacyjny obliczy najlepszy kurs w nadprzestrzeni, wyłączycie ochronne pola i natychmiast udamy się w drogę. Dwa gwiazdne niszczyciele klasy Victory podążą za nami.

– Ależ pani admirał – odezwał się jej podwładny – w ten sposób zostawimy „Trąbę Powietrzną” bez osłony, otoczoną przez okręty wojenne głównego admirała Teradoca. Po tym, jak oddała pani strzał z działa jonowego...

– Wierzę, że Teradoc nie otworzy ognia. Lecz jeśli się mylę... – Rzuciła okiem na chronometr. – Zgodnie z moimi wyliczeniami, „Trąba Powietrzna” miała dość czasu, by dokonać koniecznych napraw. Właściwie Harrsk miał nawet parę dodatkowych minut. Jeśli źle zinterpretowałam

zachowanie Teradoca lub jeśli przeceniłam umiejętności załogi „Trąby Powietrznej”, przeprosiny prześlę później – powiedziała, a na jej twarzy zagościł przewrotny uśmiech.

– Otrzymałem potwierdzenie, pani admirał – oznajmił Pellaeon ze stanowiska komunikacyjnego. – Dwie moje jednostki są przygotowane, by udać się za nami. Skłonił się lekko. – Ufamy, że nie wciągnie nas pani w zasadzkę.

Daala skinęła głową, próbując stać jeszcze bardziej prosto niż Pellaeon.

– Rozumiem, że dla pana jest to ryzyko, wiceadmirale – ale proszę mi wierzyć, nie posuwałabym się do robienia tego wszystkiego tylko po to, by wyeliminować dwa małe gwiazdne niszczyciele. Flota Harrska mogłaby tego dokonać z łatwością.

Ochronne pola „Ognistej Burzy” zostały wyłączone, pozostawiając niszczyciela Harrska bezbronnym.

W towarzystwie dwóch szkarłatnych statków klasy Victory „Ognista Burza” uniosła się nieco i opuściła rejon pierścienia planetoid, wiszących niczym błyszczący naszyjnik wokół zielono-fioletowej gazowej planety. Cała trójka dokonała skoku w nadprzestrzeń.

Trzy gwiazdne niszczyciele, jeden duży i dwa małe, tkwiły nieruchomo, zawieszona w pustce przestworzy kosmosu. Najbliższa gwiazda lśniła oddalona o dwanaście parseków. Daala odkryła tę kosmiczną pustynię wówczas, gdy na swoim uszkodzonym statku „Gorgona” próbowała wrócić w przestworza, opanowane przez Imperium, po tym jak zostało zniszczone Laboratorium Otchłani, którego miała bronić.

Pellaeon usiadł naprzeciwko Daali, w jej prywatnej komnacie, sąsiadującej z mostkiem. Sączył chłodny napój, widocznie nie ulegając pokusie wszczynania czezej rozmowy. Daali spodobało się to. Ściągnęła czarne rękawiczki, poprawiła płomienne włosy i oparła dłonie na stoliku, który stał tuż przed nią. Pochyliła się nieco do przodu i spojrzała Pellaeonowi prosto w oczy.

– Wiceadmirale Pellaeonie – zaczęła – proszę mi wierzyć, gdy mówię, że nie jest moim zamiarem wszczynanie walki z prawowitymi spadkobiercami Imperium. Nie chcę także stać się wielkim przywódcą, kimś takim jak wielki admirał Thrawn. Czytałam o jego osiągnięciach i ja nie jestem zdolna go zastąpić. Niechętnie widzę wszystkie próby porównywania mnie z nim. Jesteśmy różnymi ludźmi, mamy inne cele – choć wierzę w to, że nasze nadzieje są takie same.

– I co to za nadzieje, pani admirał? – zapytał Pellaeon, jak gdyby chciał jej wierzyć, jak gdyby czuł, że powinien jej wierzyć – ale jednak musiał zadać to pytanie.

Kiwnęła głową powoli.

– Wciąż noszę w sobie szczerą umiłowanie idei Imperium. Za czasów Imperium panował w galaktyce prawdziwy porządek. Nie panoszyło się bezprawie, a obywatele nie byli niepewni swej przyszłości. Imperator wskazał im drogę, przeznaczenie. Rebelianci zniszczyli to, w zamian nie dając nic, co wypełniłoby próżnię. Wciąż gadają i gadają, rozpieszczają swych podwładnych, ale nie są w stanie przewodzić w pełnym tego słowa znaczeniu. Czy to ma być jedyna alternatywa dla tych, którzy służyli Imperium? Nie sędzę.

Z drugiej strony, potępiam to, co ci zapatrzeni w siebie, nadęci wodzowie zrobili z siłami zbrojnymi. Jest faktem, że Imperium w ostatnich latach przeżyło wiele niepowodzeń, ale to nie powinno budzić w nas przekonania, że siły imperialne nic już nie znaczą. To absurd. Jeśli zjednoczymy floty i wystawimy wszystkie jednostki bojowe, nasza militarna potęga będzie porównywalna z siłą, jaką stanowi mieszana flota Rebelii.

Pellaeon pokiwał głową, biorąc kolejny łyk napoju.

– Ale ci skłócenie ze sobą, infantylni wodzowie wyrządzili Imperium tak samo wielką szkodę, jak Rebelianci – kontynuowała Daala. – Gdyby pracowali wspólnie i wybrali spośród siebie głównodowodzącego, moglibyśmy wreszcie uderzyć na Rebeliantów.

– Zgadza się ze wszystkim, co pani mówi, pani admirał – powiedział Pellaeon. Ale jak do tego doprowadzić? Pani taktyka silnej ręki doskonale spisała się w przypadku Harrska i Teradoca. Zaskoczyła ich pani, ale inni mogą nie ulec równie łatwo.

Daala wodziła palcem po krawędzi swojej szklanki, a Pellaeon przyglądał się jej bacznie. Wyrzała przez okno, na czarną bezgwiezdną przestrzeń.

– Nie mam jeszcze pewności, że Teradoc i Harrsk ulegli. Pewnie obmyślają sposoby, jak mnie zniszczyć – i zniszczyć pana, za to, że przyłączył się pan do mnie, przynajmniej na czas tej rozmowy. Nie, oni muszą zrozumieć.

Odwróciła wzrok od okna i zaczęła wpatrywać się w ścianę, zamyślona. Myślała o przeszłości.

– Uczyłam się w imperialnej akademii wojskowej na Caridzie – przypomniała. Ponieważ jestem kobietą, nie pozwalano mi awansować szybciej niż moi koledzy, choć może miałam większe zdolności i umiejętności niż oni.

Celowałam w nauce. Byłam pierwsza niemal we wszystkim, jednak mimo to promowani byli raczej moi koledzy. Utknęłam w miejscu, zmuszona do wykonywania prac pomocniczych. Podczas gdy ci, których z łatwością pokonywałam w symulowanej walce, zaczęli przejmować dowództwo na różnych jednostkach, ja musiałam pracować jako urzędnik, przy komputerach, a potem jako nadzorca produkcji paczkowanej żywności przeznaczonej dla załóg okrętów wojennych.

Godziłam się z tym wszystkim – mówiła dalej, bębniąc palcami po blacie stolika ponieważ byłam żołnierzem Imperium, a nas uczy się bezwzględności posłuszeństwa, wykonywania rozkazów. Poza tym czułam, że zawiodę Imperium, jeśli będę przedkładać swoje kaprysy czy marzenia nad to, co kazano mi robić. Nie zgadzałam się jednak z samym Imperatorem pod tym względem, że żywił on jakąś osobistą niechęć do kobiet i istot nic będących ludźmi.

– Wielki admirał Thrawn nie był człowiekiem – zwrócił uwagę Pellaeon.

– Tak – odparła Daala – i zgodnie z tym, co wiem, Imperator wygnał go gdzieś na Odległe Rubieże, choć być może Thrawn był jednym z najlepszych dowódców w całej flocie Imperium.

Pellaeon skinął głową.

– Wiem, o czym pani mówi. Byłem naprawdę szczęśliwy, gdy wielki admirał Thrawn wrócił. Znalazłem w nim prawdziwego dowódcę, człowieka przepełnionego wiarą w zwycięstwo, świetnie wyszkolonego i doświadczonego.

Pellaeon dopił swój napój i postawił pustą szklankę na stoliku; nie poprosił o jeszcze jedną porcję.

– Więc co pani zrobiła? – spytał. – Jak udało się pani zdobyć stopień admirała?

– Stworzyłam dla własnych celów fałszywą postać – odpowiedziała Daala. Skrywając się pod fałszywym imieniem, brałam udział w symulacjach bitew, które odbywały się w sieci komputerowej. Pokonywałam najlepszych przeciwników, raz po raz. Niektóre z pomysłów były naprawdę przełomowe, moją taktykę walki w przestrzeni i różne manewry rozwijał sam generał Dodonna. Kopie walk prowadzonych przeze mnie dostarczono załogom wszystkich statków, by mogły je studiować. Działania wojenne, prowadzone w przestrzeni kosmicznej, zmieniły się dzięki zrodzonym z moich intuicji pomysłom – wszystko to pod fałszywym nazwiskiem, oczywiście.

Na moje osiągnięcia zwrócił uwagę moff Tarkin. Przybył osobiście na Caridę, by spotkać tajemniczą postać, która stworzyła tak nowoczesną taktykę. Kilka miesięcy zabrało mu odnalezienie mnie, istniejącej w sieci jako ktoś zupełnie inny. Tarkin był prawdziwie zdumiony, gdy okazało się, że tak wielkich rzeczy dokonała kobieta, i to kobieta, która była wówczas jedynie nadzorczą w kuchni.

Wyżsi urzędnicy na Caridzie byli naprawdę wściekli, potwornie zakłopotani faktem, że ich najlepszym taktykiem jest ktoś, czyją karierę próbowali zniszczyć. Jakiś czas później Tarkin dowiedział się, że zamiast dostać nagrodę za swoje niecodzienne odkrycia, zostałam wysłana na odległą stację meteorologiczną, na południowym biegunie polarnym, i zabrał mnie stamtąd, włączając do swego personelu. To on nadał mi stopień admirała. Uśmiechnęła się, przypominając sobie coś jeszcze.

– Kiedyś Tarkin usłyszał, jak pewien młody porucznik mówi, że zawdzięczam stopień tylko dzięki temu, że sypiałam z Tarkinem. – Daala westchnęła. – Czemu za każdym razem, gdy kompetentna kobieta zostaje nagrodzona, inni dochodzą do wniosku, że to tylko dlatego, iż sypia z jakimś ważnym mężczyzną?

Pellaeon nie odpowiedział nic, zdając sobie sprawę, że to pytanie czysto retoryczne.

– Tarkin aresztował porucznika – mówiła dalej – wpakował go w skafander, zaopatrzył w porcję tlenu wystarczającą na dzień i umieścił na orbicie. Przeprowadziliśmy obliczenia i okazało się, że zrobi on mniej więcej dwadzieścia okrążeń na swojej orbicie, zanim spali się w atmosferze. Nikt z nas nie wiedział, czy najpierw zabraknie mu tlenu, czy przedtem spłonie. To była widowiskowa kara, wspaniały przykład dla całej załogi. Było to bardzo efektywne, także dlatego, że Tarkin polecił, by nie wyłączać komunikatora porucznika, dzięki czemu przez cały dzień każdy, kto znajdował się na pokładzie, mógł słyszeć jego słowa sączące się przez komunikator – słowa, krzyki, jęki, przekleństwa i błagania...

Daala wypijała swój napój i postawiła pustą szklanekę obok szklanki Pellaeona.

– Od tamtej chwili nikt nigdy już nie zasugerował, że dostałam ten stopień dlatego, że sypiałam z Tarkinem.

Pellaeon milczał, nie pozwalając sobie na żaden komentarz.

– Ale odbiegłam od tematu – przyznała Daala. – Powinniśmy podjąć tu pewne decyzje i wrócić do swoich flot, zanim wojsko się poważnie zniecierpliwi.

– Zgadza się jeszcze raz, pani admirał. Co chciałaby pani osiągnąć?

– Chcę doprowadzić do zjednoczenia sił Imperium – odparła rzeczowo. – Chcę znaleźć kogoś, kto mógłby się stać przywódcą zjednoczonych sił – ale tym kimś nie chcę być ja. Nie mam złudzeń co do politycznej chwały. Dla siebie chcę po prostu możliwości wyrządzenia jak największych szkód Rebeliantom.

– Więc dlaczego nie zwołać rady wodzów? – rzucił pomysł Pellaeon. Moglibyśmy urządzić spotkanie, skłonić ich, by zasiedli razem i porozmawiali. Nawet jeśli nie zgodzą się na zjednoczenie pod jednym przywódcą, może przystaliby na jakąś wspólną strategię. Każdy mógłby uderzyć na inny cel w granicach Nowej Republiki, używając swojej własnej taktyki, wykorzystując ulubione metody, by powalić Rebelię na kolana. Tak moglibyśmy odzyskać terytoria, do których mamy prawo. – Jego oczy pobłyskiwały podnieceniem, gdy przedstawiał swój projekt.

Daala pokiwała głową.

– Wyjątkowo dobry pomysł, wiceadmirale. Bardzo podobny do moich planów. Być może masz też lepszą pozycję, by zaprosić wodzów na takie spotkanie, choć i ja zrobię, co w mojej mocy. Mimo

wszystko – dodała, podchodząc do szafy pancernej stojącej w jej komnacie – jeśli nam się nie powiedzie, chciałabym, żeby miał pan to przy sobie. – Otworzyła szafę pancerną i wyjęła maskę gazową wielkości dłoni, którą wręczyła Pellaeonowi.

– Po co mi to?

– Mam nadzieję, że nie będzie to potrzebne – odpowiedziała. – Ale jeśli wszystko inne zawiedzie, zrozumie pan, po co.

Rozdział 19

Radiolatamia Tsoss wysyłała sygnały we wszystkie strony, na morze gwiazd i skupisk gazów, nieopodal samego jądra galaktyki. Zautomatyzowana stacja została skonstruowana przez roboty i samobójczą ekipę ludzi na planetoidzie ogołoconej ze wszystkiego na skutek działania szalejących burz radioaktywnych i wielkiej aktywności słonecznej, występujących w tym rejonie. Radiolatamia Tsoss od piętnastu lat nie była odwiedzana przez żywe stworzenia, a nieustanny strumień zjonizowanych gazów uderzający w planetoidę spowodował uszkodzenia pracujących na niej automatów.

Admirał Daala uznała, że to idealne miejsce na spotkanie wodzów Imperium.

Radiolatarnię stanowiła przysadzista, zbliżona kształtem do sześcianu cytadela, której ściany były ponad metrowej grubości, by zatrzymywać radioaktywne promieniowanie. Zanim Daala udała się tam osobiście, wysłała prom. Załogę skompletowała z różnego rodzaju robotów przeznaczonych do pracy, które po wylądowaniu na stacji natychmiast rozpoczęły jej przebudowę i przeprogramowywanie wyposażenia, zgodnie ze specyficznymi wskazówkami Daali.

Gdy maszyny skończyły prace i zainstalowały generatory siłowych pól ochronnych o wysokiej wydajności, Daala przybyła na stację na pokładzie niszczyciela „Ognista Burza”. W pobliżu stacji gazy po prostu szalały, fale promieniowania kosmicznego niemal zniszczyły czujniki na statku. To przypomniało Daali jej kryjówkę w Mgławicy Kocioł, gdzie przebywała swego czasu, mając do dyspozycji jedynie małą, żalostną flotę do prowadzenia ataków na Rebelię. Gdyby tylko przywódcy Imperium mogli teraz się zjednoczyć...

Kiedy niszczyciel Daali znalazł się dość blisko radiolatarni Tsoss, wysłała tam ekipę szturmowców, by dokończyli prac przygotowawczych. Sama zamierzała osobiście nadzorować ich działania. Wybrała jeden z głównych magazynów znajdujących się na stacji, by przygotować w nim to niezwykle ważne spotkanie. Roboty wykonały już wszystkie konieczne zmiany konstrukcji pomieszczenia, które nie posiadało żadnych okien i wejść z wyjątkiem jednego, wyposażonego w pojedyncze wrota z potężną, ciężką blokadą zabezpieczającą.

Wyglądało to doskonale.

Szturmowcy usunęli niepotrzebny sprzęt i stare urządzenia, których użyto niegdyś do konstrukcji radiolatarni. Maszynię, przestarzałą i napromieniowaną, uzbrojeni w skafandry szturmowcy wysłali na skalistą powierzchnię planetoidy.

Daala stała w swoim oliwkowozielonym uniformie, rude włosy opadały falami na jej plecy, ubrane w czarne rękawiczki ręce trzymała splecione za plecami. Przypatrywała się uważnie wszystkiemu. Zawsze starała się jawić innym zarówno jako bezwzględna, jak i współczująca – choć z tym drugim było nieco gorzej.

Obserwowała żołnierzy do niedawna służących Hańskowi i dostrzegała, że niektórzy wciąż czuli

się nieswojo wobec przewrotu, jakiego dokonała Daala, lecz większość chyba dobrze rozumiała jej intencje. To byli żołnierze Imperium, szkoleni, by służyć rozkazom przełożonych; nie była zdziwiona, widząc, że większość z nich odwróciła się od Harrska i w duchu popierała jej działanie. Uczono ich szanować idee Imperium, a Daala proponowała im powrót do tego; Harrsk gwarantował jedynie, że nadal będzie trwała bratobójcza wojna.

Statki klasy Victory pod dowództwem Pellaeona przybyły dzień po skończeniu wszystkich przygotowań. Gdy szturmowcy wprowadzili wiceadmirala, który przybył na jej spotkanie, Daala poczuła nagły przypływ lodowatego strachu. Gdyby jego misja się nie powiodła, wszystko byłoby stracone – ale w chwili gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, wiedziała, że zwyciężył.

– Zadanie wykonane, pani admirał – oznajmił Pellaeon. Stał wyprostowany, patrząc jej prosto w oczy. – Trzydziestu najpotężniejszych dowódców przybędzie na spotkanie. – Jego uśmiech przygasł trochę. – Niełatwo było ich przekonać. Musiałem się imać wszelkich sposobów, jakie znam, powołując się na pani legendarną reputację i moje powiązania z wielkim admirałem Thrawnem. To wymagało wykorzystania wszystkich wpływów, jakie mamy oboje. – Zniżył głos, wiedząc, że te słowa mogą być odebrane jako brak szacunku. – Lepiej, żeby się pani powiodło, pani admirał. Nie dostaniemy drugiej takiej szansy.

Daala bawiła się swoimi rękawiczkami.

– Rozumiem to, wiceadmirale – powiedziała. – Nie zamierzam ponieść porażki.

Pellaeon uśmiechnął się ponownie.

– Gdybym w to nie wierzył, nie byłoby mnie tu z panią.

Imperialni wodzowie przybyli wraz ze swoimi flotami, statkami najeżonymi wszelkiego rodzaju bronią – Daala wiedziała, że jedno niewłaściwe posunięcie może spowodować katastrofę, nagłą zagładę, w której zniknie to, co stanowi militarną potęgę Imperium. Potrząsnęła głową, jej twarz ściągnęła się i przybrała posępny wyraz... i w tym momencie pomyślała, że jeśli taki miał być los Imperium, lepiej, żeby wszystko skończyło się tutaj. Lepsze to niż długotrwałe, hańbiące potyczki.

Kontaktowała się po kolei z każdą pojawiającą się flotą.

– Jedynie dowódcy mogą zbliżyć się do stacji. Wszelkie siły zbrojne nie mają dostępu do tego sektora.

Dowódcy sprzeczekali się, nalegając, by udzielono zgody na sprowadzenie osobistej eskorty, gwardii czy ubezpieczających okrętów wojennych. Ale Daala odmawiała każdemu.

– Nie. Nikt nie może zabrać ze sobą żadnej broni. Nikt nie może mieć okazji do przeprowadzenia podstępного ataku. To negocjacje polityczne, od których zależy los Imperium. Nie ma teraz potrzeby demonstracji siły, nie czas i miejsce na groźby i przechwałki.

Rozpoczęcie rozmów odwlekało się, minęły dwa dni, aż w końcu ostatnie floty wycofały się z sektora. Daala była przekonana, że oddaliły się one nie bardziej niż na granicę tego systemu, nieco poza zasięg jej radarów – ale to wystarczyło. Będzie miała dość czasu, by uporać się z problemami, jeśli takowe się pojawią.

Wewnątrz przygotowanego pomieszczenia Daala oczekiwała gości przy końcu długiego stołu. Stół miał nieregularny kształt, zaokrąglone rogi i przypominał nieco elipsę, po to, by wszyscy siedzący przy nim mieli wrażenie, że nikt nie jest wyróżniony. Wszyscy wodzowie, których ściągnęła na spotkanie, byli w przeświadczeniu Daali, takimi samymi nadętymi głupcami. Ale potrzebna była atmosfera, w której wszyscy mogli czuć się dobrze, jeśli negocjacje miały się kiedyś w końcu

rozpocząć.

Nie posiadające żadnych okien pomieszczenie wyglądało jak loch, więc Daala zamontowała na ścianach, na wysokości ramion, elektryczne lampy rzucające delikatne błękitne światło. Za drzwiami stali ubrani w czerwone płaszcze imperialni gwardziści, zachowując całkowitą ciszę.

Daala próbowała usiąść wygodniej w fotelu; wolała meble o prostej, surowej konstrukcji, bo nie rozpraszały uwagi. Wzięła kilka głębszych oddechów, koncentrując myśli i zbierając odwagę przed spotkaniem. Wiedziała, że będzie niezwykle ciężkie. Nie przepadała za takimi zebraniem, lubiła podejmowanie jednostronnych decyzji i późniejsze przeforsowywanie ich – w tym wypadku jednak było to niemożliwe. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Musiała dać przywódcom szansę.

Pellaeon stanął przy drzwiach, jako honorowy strażnik. Pierwszy w drzwiach pojawił się główny admirał Teradoc. Wkroczył zdyszany, jego tłusta twarz była czerwona i zlana potem – męczył się chodząc, nawet wtedy, gdy poziom grawitacji nie był wysoki. Jego małe oczka przepełniała gorąca nienawiść, gdy rzucił pełne jadu spojrzenie na Pellaeona. Teradoc zajął miejsce najbliżej wejścia, by skrócić sobie dystans. Usadowił się w równej odległości od Pellaeona, bo uważał go za zdrajcę, i od Daali, która jako natrętny sprawca całego zamieszania była dla niego kimś jeszcze gorszym.

Zaraz za nim przybył naczelny wódz Harrsk, niewielki mężczyzna ze szpetną blizną na głowie. Następny wszedł pierwszy generał Delvardus, wysoki i kościsty mężczyzna o ciemnych, brązowawych oczach i szokująco jasnych, gęstych brwiach, które sterczały mu nad czołem, tak jakby ktoś podłączył generała do prądu. Jego kwadratowa broda przecięta była przez środek głębokim rowkiem. Chwilę później zjawiała się cała gromada wielkich moffów, honorowych naczelników, najwyższych wodzów i innych przywódców, którzy posiadali podobnie pompacyjne i niewiele znaczące tytuły.

Gdy ostatni z przywódców zajął swoje miejsce, Pellaeon strzelił obcasami i przemaszerował energicznie przez salę. Wykonując ostre i żywe ruchy, podszedł do Daali i stanął na baczność u jej boku.

– Pragnę podziękować wszystkim za przybycie – powiedział. – Wiem, że nie było wam łatwo przystać na to spotkanie, ale musicie nas wysłuchać w imię przyszłości Imperium.

Daala podniosła się tak, by przyciągnąć uwagę wszystkich: na tyle szybko, by nie zaczęli odwracać od niej oczu, i na tyle powoli, by dać im czas na próbę przewidzenia, co powie. Jej szmaragdowe oczy rozpały się żywym ogniem.

– Jedno Imperium, jedna flota – tylko to może nam przynieść zwycięstwo.

Ze swojego siedzenia odezwał się spasiony główny admirał Teradoc:

– Takie banały mogą robić wrażenie na podatnych młodych żołnierzach, ale nie na nas. Jesteśmy ponad tego rodzaju patetycznymi nonsensami.

Pellaeon, stojący obok Daali, zeszywniał, twarz mu zbieleła. Daala wyczuła, że cały gotuje się gniewem, gdy przemówił:

– To nie są banały. Mówimy o rzeczywistej przyszłości Imperium.

– Jakiego Imperium? – zapytał Teradoc. – My jesteśmy Imperium. – Machnął ręką wskazując innych przywódców i spochmurniał.

Daala wyrzucała z siebie słowa jak grudy lodu.

– Główny admirał Teradocu, gdyby był tu Imperator, pańskie słowa byłyby podstawą do natychmiastowej egzekucji.

– No cóż, Imperatora nie ma w naszym gronie.

– Jednak musimy jakoś funkcjonować, nawet bez niego. – Daala patrzyła przez chwilę na głównego admirała, po czym zwróciła uwagę na pozostałych wodzów, z których jedni byli wyraźnie rozbawieni tą wymianą zdań, inni zwyczajnie znudzeni.

– Wiem, co pozostało z potężnej imperialnej floty – rzekła po chwili. – W ostatnich latach odwiedziłam większość z was, nalegając, byście odłożyli na bok swoje spory. Naczelny wódz Harrsk posiada flotę imperialnych gwiazdnych niszczycieli. Główny admirał Teradoc ma flotę statków wojennych klasy Victory. Reszta dysponuje wielką ilością jednostek ofensywnych i defensywnych. Pierwszorzędne statki i miliony szturmowców – to militarna potęga, która stanie się niezwykła, jeśli zdecydujecie się użyć jej wspólnie, jeśli zjednoczymy siły!

– Wielki admirał Thrawn dowiódł, że Rebelianci nie zdążyli się jeszcze skonsolidować. Ponieważ rywalizujecie ze sobą, każdy z was na swym terenie uruchomił własny przemysł zbrojeniowy. Najwyższy czas, by wykorzystał to wszystko do walki przeciw naszym rzeczywistym wrogom, zamiast kontynuować wojny domowe.

– Piękne słowa, pani admirał Daalo. – Naczelny wódz Harrsk rzucił jej drwiące spojrzenie. – I jak, pani zdaniem, moglibyśmy to wprowadzić w życie?

Daala oparła dłonie na stole.

– Zawijając przymierze. Jeśli Rebelianci to potrafią, potrafimy i my.

Pierwszy generał Delvardus, siedzący na jednym z końców stołu, podniósł się, zamierzając opuścić salę.

– Dość już słyszałem. Wszystko to słabo maskowana polityka prowadząca do wzbogacenia się kosztem innych. Włożyłem w swoją flotę większe fundusze niż ktokolwiek na tej sali. – Zmarszczył czoło, jego białe brwi zetknęły się. – Nie będę z nikim dzielił blaskiem własnej chwały.

Gdy wysoki, chudy mężczyzna odwrócił się plecami do Daali, wcisnęła ukryty pod blatem stołu przycisk. Ciężkie durastalowe drzwi zamknęły się z hukiem, zabezpieczone solidnymi pieczęciami ze wszystkich stron, wzdłuż krawędzi. Na kwadratowym panelu kontrolnym przy drzwiach rozjarzyły się liczne, różnokolorowe lampki, wyglądające jak jakieś egzotyczne, wściekłe insekty.

– Co to ma znaczyć! – wrzasnął Delvardus, obracając się w miejscu.

– To są drzwi z automatyczną, czasową blokadą – wyjaśniła Daala. – Nawet ja nie mogę ich otworzyć przed upływem trzech godzin. Niech pan usiądzie, Delvardusie.

Niektórzy z przywódców poderwali się ze swych foteli. Główny admirał Teradoc próbował się podnieść, ale przeszkodziła mu jego tusza, opadł z powrotem na siedzenie i oparł tłuste dłonie mocno o blat stołu. Imperialni wodzowie wrzeszczeli, wymachując pięściami i wymyślając sobie nawzajem, ale Daala stała nieporuszona, przeczekując ich napad wściekłości. Pellaeon stał wciąż przy niej, wydawał się niepewny.

– To nie ma nic wspólnego z próbą przejęcia władzy – odezwała się w końcu Daala, gdy nieco się uspokoiło. – Zdaję sobie sprawę, że inni imperialni oficerowie przyłączyli się do band kryminalistów czy złodziei, ponieważ to dawało im szansę wzbogacenia się albo jakąś niezrozumiałą, niejasną satysfakcją, ale wy – choć potępiam waszą samodestrukcyjną taktykę – wciąż musicie czuć więź z naszym niegdyś wspaniałym Imperium. Macie trzy godziny na wybranie formalnego głównodowodzącego. Nie musicie robić nic więcej. Tak czy inaczej jesteśmy zamknięci w tej sali – więc możecie to jakoś wykorzystać.

Usiadła i złączyła szczelnie dłonie, ubrane w czarne rękawiczki. Obserwowała ich. I czekała.

Z każdą godziną klótnie stawały się ostrzejsze i bardziej dziecinne. Pomiędzy współzawodniczącymi przywódcami toczyła się zacięta sprzeczka: odżywały stare urazy, przypominano stare deklaracje zemsty, groźby represji i zarzucano sobie wzajemnie zdradę.

Przez pierwszą godzinę Daala była zawiedziona, ale nie traciła resztki nadziei. Gdy minęła druga godzina, Daala, choć starała się dobrze ukryć gniew, w duchu po prostu najchętniej roztrzaskałaby im czaszki. W połowie trzeciej godziny nie mogła już dłużej skrywać emocji, wściekłości spowodowanej niegasnącą rywalizacją i pogardy dla wszystkich zaciętych przywódców.

W końcu naczelny wódz Harrsk stracił kontrolę podczas przekrzykiwania się z Teradokiem; mały człowieczek o zeszpeconej twarzy wskoczył na stół, przełazi po nim na czworakach i rzucił się na głównego admirała, próbując wbić palce w jego tłuste gardło. Fotel zachwiał się i obaj runęli na podłogę, wrzeszcząc i klnąc.

Pozostali przywódcy wstali, niektórzy śmiali się, inni próbowali uspokoić szamoczących się na ziemi mężczyzn. Wreszcie Pellaeon podszedł do nich, chwycił Harrska, uniósł z łatwością małego naczelnego wodza i cisnął go na stół. Teradoc ryczał, rozwścieczony, jego twarz była sina, a oddech przypominał pracę zepsutego wentylatora.

Daala skoczyła na nogi, zerwała jedną z lamp umocowanych na ścianach.

– Dostyc! – krzyknęła.

Uniosła w górę trzymaną lampę i rozbiła ją o powierzchnię stołu. Kryształowodurastalowy przedmiot eksplodował w pióropuszu niebieskich iskier i fragmentów obudowy, które trysnęły we wszystkie strony. Chwyciła ponownie przedmiot i tłukła nim raz po raz o blat, niszcząc część stołu i miażdżąc kompletnie to, co zostało z lampy. Do odblokowania się drzwi pozostało pięć minut.

Jej nieoczekiwane i dzikie zachowanie sprawiło, że obecni na sali zamarli. Daala cisnęła fragmenty zrujnowanego przedmiotu na podłogę. Zaległa cisza.

Z pogardą i złością w głosie, Daala przemówiła.

– Nie chciałam wami rządzić. Nie było moim zamiarem stać się politycznym liderem. Zamiast tego, chciałam zniszczyć Rebelię – ale nie daliście mi wyboru. Nie mogę zostawić Imperium w rękach takich głupców jak wy.

Sięgnęła do kieszeni swego oliwkowozielonego uniformu i wyciągnęła stamtąd półprzezroczystą maskę gazową, którą zakryła nos i usta. Uruchomiła małe urządzenie i maska przyłgnęła do jej twarzy, przysysając się do skóry. Stojący obok niej Pellaeon spojrzał w górę, powoli pojmując, co się dzieje. Wyszarpnął własną maskę, podczas gdy Daala, po raz drugi podczas tego zebrania, sięgnęła pod stół i nacisnęła przycisk. Uruchomiła system, który miał wtłoczyć do sali gaz atakujący system nerwowy; system zamontowany na stacji przez wysłane przez nią roboty. Z wentylatorów rozległ się dźwięk, przypominający syk atakujących węży.

Wszyscy przywódcy ryknęli równocześnie z wściekłością, gdy zrozumieli podstęp; Daala zauważyła ironicznie, że w końcu udało im się zrobić coś razem.

Teradoc usiłował dźwignąć swe cielsko z fotela. Daala pomyślała, że jeśli wcześniej nie zabije go gaz, grubas z pewnością umrze na atak serca.

Naczelnny wódz Harrsk i trzech innych przywódców nie marnowali czasu na okazywanie wściekłości, lecz rzucili się do drzwi, napierając na automatyczną blokadę i próbując złamać zabezpieczenia. Na zegarze wyłącznika były jednak jeszcze ponad cztery minuty. Daala wiedziała, że gaz potrzebuje tylko kilku sekund, by dokonać dzieła zniszczenia.

Wysoki i kościsty Delvardus złapał za odznaczenia, którymi pokryta była jego pierś, i skupił się na

nich całkowicie. Zdołał połączyć razem kilka odznaczeń. Wyciągnął coś jeszcze z grubych naramienników, a gdy skończył łączenie wszystkich komponentów, w dłoni trzymał prymitywny nóż.

Na długich, tyczkowatych nogach ruszył w kierunku Daali, unosząc broń. Jego twarz napłynęła krwią, dyszał.

Daala została na miejscu. Patrzyła na napastnika jakby z uprzejmym zainteresowaniem. Delvardus zaakceptował fakt, że umrze, i zamierzał dźgnąć ostrzem Daalę, zanim powali go zabójczy gaz.

Przywódcy padali jak muchy, jedni na drugich. Niektórzy dławili się i trzymali za gardła, inni ginęli w milczeniu. Dwu upadło na blat stołu, większość na posadzkę.

Delvardus trzymał się jeszcze na nogach, parł z mozołem naprzód. Oddychał ciężko, jakby płuca wypełniał mu szybko twardniejący beton. Jego oczy były wypełnione krwią.

Daala wciąż patrzyła na niego, gdy runął na posadzkę u jej stóp. Nóż z brzękiem uderzył o twarde płyty, wypuszczony z martwiejącej dłoni.

Pellaeon wyglądał na zszokowanego, ale biernie przyglądał się niespodziewanej rzezi. Gruby Teradoc nie przestawał się krztusić i kasłać. Daalę szczerze zaskoczyło to, że spasiony główny admirał wytrzymał najdłużej ze wszystkich...

Parę chwil później Daala i Pellaeon jako jedyni w pomieszczeniu pozostali żywi. Masakra przywódców wojskowych Imperium dokonana się. Pellaeon zamrugał powiekami, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

– Więc stało się – wyszeptał, nie wierząc własnym oczom.

Daala poważnie pokiwała głową.

– Stało się to, co musiało się stać – odparła.

Dokładnie o oznaczonym czasie drzwi odblokowały się, uwalniając Daalę i Pellaeona.

Rozdział 20

Skonsolidowana flota admirała Daali przybyła w bojowym szyku w pobliże militarnej placówki zmarłego pierwszego generała Delvardusa. Lecąc na pertraktacje z Cronusem, zastępcą Delvardusa, Daala zabrała za sobą sporą liczbę jednostek atakujących, jako demonstrację siły.

Pierwszy generał wybrał na swoją siedzibę niewielki świat na zewnętrznej granicy obszaru tego systemu słonecznego, w tak bliskiej odległości od słońca, jak się tylko dało. Planetka była wysuszona, obfitowała w rozległe pustynie, rumowiska skał i labirynty kanionów, będących pozostałością po płynących niegdyś na powierzchni rzekach.

Ze swej nowej floty zabrała eskadrę szturmowych wahadłowców, które przypominały śmiercionośne owady, gdy spadały w dół, w imponującym szyku, przez warstwy bładozielonej atmosfery, kierując się na ukrytą fortecę Delvardusa. Daala miała dane dotyczące jej położenia, dzięki Pellaeonowi, który wyciągnął je z zawierających wiele szpiegowskich informacji, centralnych banków danych statku flagowego głównego admirała Terradoca.

Eskadra mknęła teraz nisko nad powierzchnią planetki, pośród zwałów skał i meandrów kamienistych wąwozów. Ściany kanionów rzucały ciężkie cienie. Gdy statki w końcu wybrały jeden z nich, spenetrowały go, u jego wylotu znalazły okazałą konstrukcję, całkowicie stopioną z krajobrazem – osobistą siedzibę Delvardusa.

Wahadłowce szturmowe wylądowały przed potężnymi kamiennymi bramami, które z pewnością były równie twarde jak durbeton. Daala i Pellaeon wyszli ze swego statku, towarzyszyła im połowa ciężko uzbrojonych szturmowców Daali. Pozostała część wojska została wewnątrz wahadłowców, przy gotowej do strzału broni. Rozległ się charakterystyczny dźwięk, gdy wahadłowce szturmowe zmniejszyły moc silników, zostając na swoich pozycjach wokół fortecy.

Daala nie miała pojęcia, jak może zareagować zastępca Delvardusa.

Dwaj szturmowcy otworzyli klapy pomieszczenia do przewożenia ładunku i wyciągnęli stamtąd coś, co miało być jednym z najważniejszych elementów demonstracji siły.

– Wiceadmirał Pellaeon i ja pójdziemy przodem – powiedziała Daala. – Wy dwaj będziecie nieśli trofeum, reszta niech się ustawi po obu waszych stronach, jako gwardia honorowa.

Maszerowali w kierunku górującej nad wszystkim fortecy, uderzenia ich butów o wyschniętą ziemię rozbrzmiewały jak wystrzały z karabinu. Wiatr wył przeciągle. Daala nie słyszała nic ani nie widziała żadnego innego poruszenia poza tańcem wiatru.

Szturmowcy trzymali ramę platformy antygravitacyjnej, starając się utrzymać ją w stabilnej pozycji mimo ostrych podmuchów wichru. Na platformie spoczywało zabezpieczone polem siłowym ciało pierwszego generała Delvardusa, jak owad zatopiony w bursztynie. Twarz generała pokryta była jakimś plamami i wykrzywiona w przedśmiertnym grymasie, oczy zamknięte, ale powieki zaciśnięte nienaturalnie, na skutek działania gazu paralizującego układ nerwowy.

Daala obejrzała się, włosy smagnęły jej twarz jak zimny bicz wodny. Powietrze było rozrzedzone i oddychanie sprawiało trudność, ale wolała nie wkładać maski tlenowej, by nie sprawiać wrażenia osoby słabej.

Pellaeon zatrzymał się i poprawił mundur. Daala podniosła wzrok na masywne drzwi, pięć razy wyższe niż ona sama, i pomyślała z pogardą, że ten majestat jest tylko i wyłącznie na pokaz. Mimo przechwałek Delvardusa o olbrzymich własnych nakładach na siły zbrojne, Daala nie zauważyła obecności jakichkolwiek wojsk w rejonie planety. Zastanawiała się, czy zastępca Delvardusa nie szykuje jakiejś zasadzki.

Stojąc u wrót, Daala kazała trzymać ciało martwego pierwszego generała tak, by było jak najlepiej widoczne. Przyglądając się drzwiom, zauważyła przekaźniki głosu sprytnie ukryte w nierównościach kamiennej płyty.

– Mam wiadomość i prezent dla pułkownika Cronusa – oznajmiła spokojnie.

Z dźwiękiem przypominającym przeciągłe chrząknięcie, wielkie kamienne drzwi uniosły się na wysokość dwóch metrów. Za nimi stał oddział imperialnych żołnierzy. Daala nie pozwoliła sobie nawet na odrobinę zmieszania.

– Wasz pierwszy generał wykazał się haniebnym i zdradzieckim postępowaniem, przedkładając własny interes nad przyszłość Imperium.

Strażnicy fortecy spojrzeli na nią tak, jakby chcieli zastrzelić ją za samą obrazę dowódcy, ale nie odważyli się nic zrobić, mając na względzie ciężko uzbrojoną eskortę Daali i szturmowe wahadłowce klasy Gamma.

– Delvardus nie działał sam, lecz prowadził wojnę wspólnie z innymi przywódcami, próbując doprowadzić do zguby nas wszystkich. Mam tutaj – wyciągnęła z kieszeni małe urządzenie do zapisu holograficznego i umieściła je obok spoczywającego na platformie ciała – zapis przebiegu spotkania przywódców Imperium. Każdy, kto zechce, może się zapoznać z faktami dotyczącymi postępowania zarówno pierwszego generała Delvardusa, jak i pozostałych przywódców. Dzięki temu zrozumiecie, dlaczego konieczne były tak drastyczne kroki.

– Obecne tu wahadłowce szturmowe to jedynie część naszych sił, ale wystarczająca, by znacznie uszkodzić waszą fortecę. Pozostała część floty oczekuje na orbicie. Proszę przemyśleć to wszystko i zdecydować, czy warto dołączyć do nas i stać się częścią imperialnej potęgi – czy lepiej zostać uznanymi za zdrajców, takich jak wasz były dowódca. Macie godzinę na podjęcie decyzji. Jeśli nie otrzymamy odpowiedzi, wrócimy tu, zniszczymy fortecę i zlikwidujemy wszystkich, jako współwinnych zdrady.

Odwróciła się, szturmowcy wyłączyli anty grawitacyjną platformę, kładąc ją na ziemi, po czym pomaszrowali w ślad za Daalą i Pellaeonem.

Daala nie obejrzała się za siebie, lecz słyszała, jak za jej plecami strażnicy fortecy wychodzą na zewnątrz i zabierają ciało swego dowódcy wraz z urządzeniem, które zawierało holograficzny zapis przebiegu spotkania przywódców. Wycofali się do środka, a dźwięk zamykania drzwi odbił się echem od ścian wąskiego kanionu.

Nim minęła godzina, pułkownik Cronus podjął decyzję o przyłączeniu się do wojsk Daali.

Daala i Pellaeon, wraz z grupą szturmowców, opuścili małą planetę szybką jednostką transportową z hangarów fortecy. Uzbrojonym transportowcem leciał sam pułkownik Cronus, wysyłając w przestrzeń sygnały rozpoznawcze. Daala zostawiła swoje wahadłowce i pozwoliła, by

oficer zabrał ich poza swój system gwiazdny.

Pułkownik Cronus był niewysokim, ale silnym mężczyzną. Miał szerokie ramiona, potężną pierś i muskularne bicepsy, świadczące o tym, że przykładał wielką wagę do zachowywania sprawności fizycznej. Jego kręcone czarne włosy przetykane były srebrnymi pasemkami, co nadawało mu dystyngowany wygląd. Cerę miał nieco zniszczoną, twarz pokrytą zmarszczkami; wydawał się nieco przepracowany. Słowa wypowiadał oszczędnie, odpowiadając na pytania w taki sposób, by dostarczyć żądanej informacji, ale nie dodawać do niej zbyt wiele.

– Musimy dokonać krótkiego skoku przez nadprzestrzeń – oznajmił Cronus – by dostać się w to miejsce, położone poza granicami systemu – chyba że woli pani, byśmy spędzili w przestrzeni tygodnie, przeciążając nasze silniki napędu podświetlnego?

Daala wyprężyła się, Pellaeon zmarszczył czoło, jak gdyby podejrzewając podstęp, a szturmowcy wyprostowali się, stając wyczekująco; ale sama Daala zdecydowała, że oficer niewiele zyskałby przez podobny podstęp – poza tym przejaw zaufania zyska jej przychyłność Cronusa.

– W porządku, pułkowniku – odpowiedziała. – Z niecierpliwością oczekuję, by zobaczyć, co zdołał zrobić Delvardus przy tych środkach, jakie przeznaczał na zbrojenia.

Pellaeon próbował dać jej znak ostrzegawczy, ale ona pokręciła głową. Wiceadmirał opadł z powrotem na fotel, starając się rozluźnić. Cronus przyjął jej słowa bez zastrzeżenia i zaczął programować komputer nawigacyjny.

Daala była spięta, miała wrażenie, że jej nerwy przemieniają się w druty wysokiego napięcia przebiegające pod skórą, ale starała się zachować kamienną twarz. Jak dotąd wszystko szło pomyślnie. Sama realizacja projektu była wyniszczająca i krwawa, udało się jednak osiągnąć zamierzony cel i usunąć przeszkody na drodze jego realizacji: Imperium zdawało się rosnać w siłę z każdym pomyślnym zwrotem wydarzeń. Czuła się odurzona szczęściem, gdy myślała o momencie swego tryumfu.

Pellaeon uniósł brwi, jak gdyby chciał zadać jakieś pytanie, ale Daala nie zwróciła na to uwagi. Ryzyko opłaciło się jej jeszcze raz. Teraz musiała włożyć dużo pracy w dalszą konsolidację swych sił. Cronus obrócił się w fotelu, spoglądając na Daalę z uznaniem; zastanawiała się, czy rzeczywiście ceni ją za przejście jego wojsk. Widziała, jak przyglądał się ciału martwego pierwszego generała z ledwie skrywaną pogardą.

– Wchodzimy w nadprzestrzeń, pani admirał Daalo – powiedział. – Proszę się nie niepokoić.

Czarna, usiana gwiazdami wokół statku przestrzeń przemieniła się w wielobarwny, wciągający ich wir. Daala pochyliła się w stronę pułkownika.

– Przeanalizowaliśmy, jak wielkie środki Delvardus przeznaczył na swoje operacje, ale to, co zobaczyłam w fortecy, nie zrobiło na mnie wielkiego wrażenia. – Jej szmaragdowe oczy zwęziły się. – Mam nadzieję, że nie roztrwonił tego wszystkiego.

Cronus uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Zapewniam, pani admirał, że nie. Sądzę, że nawet pani będzie zdumiona.

Daala przymknęła powieki, myśląc o swojej flocie, powiększonej o gwiazdne niszczyciele, jakie zdołała zdobyć od różnych przywódców. Przynęła sobie tym razem zrobić z niej najlepszy użytek.

– Jesteśmy na miejscu, pani admirał. – Pułkownik Cronus wcisnął kilka przycisków na panelach kontrolnych i sprowadził statek z powrotem w normalną przestrzeń. Na ekranach monitorów ukazała się czarna pustka przestworzy, a w oddali zajaśniało słońce, tkwiące w centrum całego systemu. Z wyjątkiem tego jasnego punktu, przestrzeń wokół transportowca była ciemna.

Wówczas Daala zauważyła, że jednak coś jest nie w porządku – ogromny cień przesłaniał gwiazdy. Wydawało się, że ta plama ciągnie się kilometrami i powiększa się jeszcze w miarę zbliżania do niej.

Cronus uruchomił komunikator i wysłał kod rozpoznawczy.

– Pełna moc – rzucił do swego nie zidentyfikowanego rozmówcy. – Zróbmy naprawdę wielkie przedstawienie.

Daala zerkała przez ekran obserwacyjny i nagle zobaczyła olbrzymią chmurę światła, oznaczających okna na niezliczonych pokładach zatykającego dech w piersiach gigantycznego okrętu wojennego. Olbrzymi cień o kształcie trójkątnego klina był pojedynczym statkiem, większym niż którykolwiek z tych, które widziała wcześniej.

– Nie do wiary – wymamrotał stojący obok niej Pellaeon. – Chyba jedynie „Egzekutor” był równie wielki.

– Co to takiego? – zapytała zdumiona Daala.

Cronus uśmiechnął się, na jego twarzy malowała się radość, spowodowana jej reakcją – ale to Pellaeon odpowiedział na to pytanie.

– To jest gwiazdny supemiszczyciel – oznajmił.

– Wart tyle, co dwadzieścia imperialnych gwiazdnych niszczycieli – dodał Cronus, a jego oczy jaśniały dumą. – Ma osiem kilometrów długości i może zabrać do stu tysięcy ludzi. Pokryty jest maskującym pancerzem, dlatego właśnie, gdy zbliżyliśmy się do niego, wyglądał jak wielki cień. Choć ma gigantyczne rozmiary, jest praktycznie niewidzialny dla wroga.

Ściszył głos, jakby zdradzał wielki sekret.

– Nazwaliśmy go „Niewidzialny Młot”.

Twarz Daali zdradzała ogromne podniecenie, gdy Cronus skierował transportowiec do jednego z otworów w kadłubie gwiazdnego supemiszczyciela. Daala nie mogła usiedzieć w fotelu i wstała, czekając za plecami pułkownika, aż znajdą się na pokładzie giganta. Pochyliła się nieco do przodu, niezdolna oderwać wzroku od „Niewidzialnego Młota”.

– To będzie mój statek – szepnęła.

Rozdział 21

CORUSCANT

Leia Organa Solo i jej rodzina ubrali się w nie odznaczające się niczym szczególnym cywilne ubrania, by zjeść obiad, jak zwykli obywatele, w jednej z kawiarni Pałacu Imperialnego. Dobrze było pozbyć się munduru i udawać, że jest się zwyczajnym, nie ściągającym na siebie uwagi człowiekiem – choć Leia zdawała sobie sprawę, że jej ochrona osobista, składająca się z prawdziwych fachowców, śledzi z odpowiedniej odległości wszystkie ich ruchy. W gruncie rzeczy wiedziała, że jest to konieczne. Po wielu próbach zamachu na nią lub członków jej rodziny nie mogła pozwolić sobie na nieostrożność. Zbyt wiele miała do stracenia.

Han niósł Anakina na ramieniu, a mały chłopczyk obejmował go za szyję.

– Dalej, dzieciaki, tam jest wolny stół – powiedział. Energia rozpierała bliźnięta, które popędziły, by zająć miejsca.

Chewbacca jęknął przeciągle, próbując zwrócić dzieciom uwagę, że nie powinny biegać tak szybko, ale zignorowały wielkiego Wookiego.

– Gdybyś pozwolił mi wziąć tacę, jestem pewien, że łatwiej byłoby ci zdobyć posłuch u dzieci – odezwał się Threepio. Chewbacca wyszczerzył na niego zęby i warknął. – Doprawdy, Chewbacco! Nic nie usprawiedliwia takiego zachowania.

Artoo-Detoo wydał z siebie jakiś śmieszny dźwięk, ale Threepio nie zareagował na to. Żłocisty android niósł dwie tace z jedzeniem, a Chewbacca taszczył własną, wypełnioną po brzegi tłustym mięsem.

Wybrali stolik ustawiony obok krawędzi wysokiego tarasu. Przy ziemi niosła się delikatna mgła, sącząca się z nawilżaczy powietrza wmontowanych w ściany. Szmerzące strumyki wody i liczne fontanny ozdabiały plac położony wewnątrz pałacu w kształcie piramidy.

Threepio i Chewbacca postawili tace na stole, a bliźnięta podbiegły do barierki zwieńczającej taras, stając na palcach, by zobaczyć, co dzieje się na placu w dole.

– Spójrz na ludzi! – zawołała Jaina. – Są tacy mali.

– Czy mogę coś rzucić na dół? – zapytał Jacen, rozglądając się za jakimś przedmiotem, który mógłby cisnąć przez balustradę.

– Nie, nie możesz – odpowiedziała Leia.

– Ale Jaina właśnie chce to zrobić.

– Nie, wcale nie chce – stanowczym tonem podkreśliła Leia.

– Tak, nie chcę! – oznajmiła Jaina.

– Chodźcie tu już i usiądźcie – odezwał się Han, sadzając Anakina na jednym z krzeseł.

Wokół nich przelewał się tłum różnego rodzaju urzędników, robotników, i innych obywateli; zgłęb ludzkich głosów mieszał się z odgłosami licznych urządzeń elektrycznych, wentylatorów,

maszyn regulujących klimat pałacu. Leia czuła się przez chwilę lepiej, była bardziej odprężona i spokojniejsza niż zazwyczaj. Potrzebowała takiej odmiany. Przynajmniej nikt nie wtrącał się do jej decyzji dotyczących obiadu.

Leia doceniała zaufanie, jakim obdarzyła ją poprzednia przywódczyni Mon Mothma, przekazując jej ten szczytny urząd – lecz nie czerpała wielkiej przyjemności ze sprawowania funkcji, raczej traktowała to jako obowiązek.

Jacen i Jaina usiedli na swych miejscach i zabrali się do jedzenia. Leia cieszyła się, że tym razem bliźnięta przynajmniej nie wybrały czegoś, co się rusza. Niesforna dwójka uwielbiała kolorowe kostki zawierającej mnóstwo protein galaretki, której sama Leia po prostu nie znosiła. Han zdecydował się na ciężkostrawną potrawę koreliańską, podczas gdy Leia zadowoliliła się porcją zieleniny przyprawionej kryształkami intensywnie pachnących ziół.

Przymknęła oczy i oparła się wygodnie.

– To wielka przyjemność spędzić jakiś czas jedynie z rodziną, nawet jeśli jest to tylko parę minut.

– Chewbacca zgodził się z nią, wydając niski, miły pomruk.

Podszedł do nich wysoki automat, ze srebrną tacą przymocowaną do jednej z mechanicznych rąk.

– Czym jeszcze mogę służyć szacownym gościom? – zapytał android-kelner. Cieszę się, że zdecydowaliście się państwo odwiedzić naszą znakomitą kawiarnię. Czy mogę przyjąć zamówienie na napoje lub jakieś dodatkowe przystawki? Może jakieś nietypowe, rzadkie przyprawy? Z wielką przyjemnością usłużę państwu we wszystkim.

Threepio oburzył ten przejaw nadmiernej gościnności.

– Ja jestem ich osobistym androidem protokolarnym, ty pretensjonalna kupo złomu, i świetnie się wywiązuję ze swoich obowiązków. A teraz, wybaczysz, ale to spotkanie rodzinne, i wolelibyśmy zdecydowanie zostać sami. Życzę miłego dnia.

Mechaniczny kelner zeszywniał, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i poczłapał z powrotem tam, skąd przyszedł.

Han oparł dłoń na ramieniu Leii i uśmiechnął się do niej ciepło.

– Zły dzień? – zapytał.

– Wyczerpujący – odpowiedziała mu żona, oczy wciąż miała przymknięte. – Na każdym zebraniu czuję się tak, jakbym biegła pod górę na jakiejś planecie z wielką grawitacją. Do niczego nie można dojść łatwo. Czasem przyłapuję się na tym, że wspominam z tęsknotą „dawne, dobre dni”, kiedy po prostu robiliśmy swoje, prowadząc naszą walkę; kiedy wystarczyło zostawić przełożonym dwa słowa: misja wypełniona. Teraz muszę podejmować niezwykle trudne decyzje, prowadzić tak wiele nie kończących się spotkań, zdobywać poparcie dla tylu małych partii, rozumieć tyle istotnych problemów... Czasami wydaje mi się to po prostu niemożliwe.

Otworzyła oczy i spojrzała na męża. Jacen i Jaina zaczęli ciskać w siebie nawzajem kawałkami galaretki.

– Zazwyczaj wszystko jest takie proste. Skąd biorą się te spory i problemy? Wciąż tak trudno dojść do porozumienia.

– Chodzi o Hurtów? – zapytał Han.

Przygryzła na sekundę dolną wargę i kiwnęła głową.

– O nich także. To oczywiste, że szykują coś poważnego. Wiemy to, co udało wam się odkryć w pałacu Jabby, otrzymaliśmy też informacje od Mary Jadę i zorientowaliśmy się, że Taurille Durgi wykradły nam plany Gwiazdy Śmierci. Nie możemy tego wszystkiego zlekceważyć.

Wzięła porcję warzyw do ust i żuła w zamyśleniu. Han zjadł jedną z szarzielonych kielbasek z talerza i oblizał się ze smakiem.

– Są przecież inne sposoby, by się wszystkiego dowiedzieć – rzekł.

Leia uśmiechnęła się.

– Wiem. – Poczula, jak krew uderza jej do głowy, gdy skupiła całą uwagę na tym poważnym problemie. Ścisnęła dłonie Hana. – Dobrze, że skończyły się obrady Senatu, a ja słyszałam już dość dyskusji i przemówień. Jak sądzisz, co tak naprawdę możemy zrobić?

Chewbacca wydał kilka drugich, głośnych pomruków.

– Tak, myślałem o tym, Chewie – powiedział do niego Han i zwrócił się znów do Leii:

– Huttowie prawdopodobnie wiedzą, że coś podejrzewamy. Otrzymaliśmy informację ze zbyt wielu źródeł, by mieć nadzieję, że te tłuste robaki nie wywęszyły jeszcze niczego. Prawdopodobnie będą uważnie podsłuchiwać nasze rozmowy na oficjalnych kanałach, zapewne mają też szpiegów kręcących się po pałacu. Musimy być wyjątkowo czujni.

Leia kiwnęła głową.

– Skoro więc wiedzą, że staramy się poznać ich plany, pozwólmy sobie na małą dywersję. Zrobimy wielkie przedstawienie, trzymając w jednej dłoni wielką magiczną różdżkę, a w drugiej małą sondę.

Han zmarszczył czoło, nie rozumiejąc.

– Co masz na myśli?

– Skorzystamy z oferty Durgi.

Han patrzył na nią, nadal nie pojmując.

– Jakiej oferty? Chcesz wejść z Hurtami w jakiś układ?

Leia wzruszyła ramionami.

– Zaprosił nas, byśmy przybyli do niego z wizytą. Jestem pewna, że nie proponował tego serio, ale gdy już to zrobił, nie może się wycofać. Zorganizujmy wyprawę dyplomatyczną na Nal Hutta, najszybciej jak to możliwe. W ten sposób zaskoczymy Durgę.

Co ważne – mówiła dalej unosząc jeden palec – będzie nam towarzyszyć flota Nowej Republiki. Wedge i Ackbar z pewnością z ochotą wybiorą się z nami na tę niewinnie wyglądającą wyprawę. Dzięki naszym okrętom możemy zorganizować imponujący pokaz siły. Jeśli uda się przy okazji przestraszyć trochę Huttów, tym lepiej. Wprowadźmy nieco zamętu, niech zastanawiają się, co naprawdę zamierzamy zrobić.

– Ależ pani Leio – wtrącił się Threepio – jak może się pani dowiedzieć czegokolwiek, gdy zamierza pani przybyć tam tak jawnie? Zresztą Durga z pewnością realizuje swe plany w tajemnicy.

Leia spojrzała na niego figlarnie.

– Jeśli przylecimy z całą pompą jaką uda się zorganizować, Durga może być przez jakiś czas głuchy i ślepy na wszystko inne. W tym czasie Chewbacca i Artoo mogą wziąć „Sokoła” i udać się na Nar Shaddaa, Księżyc Przemysłowców. To mroczne miejsce, gdzie odbywają się wszelkie czamorynkowe transakcje. Durga będzie tak bardzo zajęty ukrywaniem swych kart przed nami, że Chewie spokojnie zdobędzie jakieś istotne informacje.

Artoo zaczął pogwizdywać i migotać lampkami.

– Chewie i Artoo, oczywiście – sprecyzowała Leia. – Wy dwaj rozejrzyjcie się i zobaczycie, czy uda się coś znaleźć. Potem porównamy nasze spostrzeżenia.

Chewbacca ryknął, wyrażając poparcie dla tego planu. Leia odetchnęła trochę i zabrała się do

jedzenia.

Rozdział 22

NAL HUTTA

Stojący na mostku fregaty eskortowej „Yavaris” generał Wedge Antilles poczuł znów dreszczyk emocji, jak w czasie walki. Jego statki weszły w obszar systemu Nal Hutta pod pretekstem przeprowadzania manewrów wojskowych, symulowanych walk między dwoma grupami – Czerwoną i Niebieską na których miejsce wybrano akurat ten rejon przestworzy.

– Chłopie, ale te wielkie ślimaki będą zdziwione – zaśmiał się Wedge.

Towarzyszająca generałowi śliczna, eteryczna uczona Qwi Xux opuściła stanowisko i podeszła do niego.

– Znacznie ciekawiej niż wówczas, gdy przejmowaliśmy Laboratorium Otchłani powiedziała. – Przynajmniej tym razem nie ryzykujemy życia.

Wedge kiwnął głową. Miał ochotę przytulić ją ale wiedział, że nie powinien, jako że był dowódcą tego statku, a ona oficerem. Praca na statku nie sprawiała Qwi trudności, poza tym uwielbiała przebywać z Wedge'em. Od kiedy przyrzekła sobie, że nigdy już nie zajmie się pracą nad jakąś nową bronią, nie znalazła jeszcze sposobu na wykorzystanie swych zasobów mentalnej energii.

– Sprawdzić stan naszej floty – powiedział Wedge do oficera taktycznego, który nosił symbole oznaczające, że należy do grupy Niebieskiej. „Yavaris”, statek flagowy, nie był największym okrętem wojennym floty. Najpotężniejszą jednostkę stanowiła fregata szturmowa „Dodonna”, zmodyfikowana wersja straszliwych imperialnych krążowników. „Yavaris” był mniejszą fregatą eskortową lecz właśnie ten statek pilotował Wedge podczas zwyciężonego sukcesem ataku na tajną placówkę naukową Imperium, Laboratorium Otchłani.

Resztę floty stanowiło sześć mniejszych koreliańskich korwet, których masywne obudowy silników wyglądały jak wyrzutnie wielkich pocisków, płonące niebieskawym ogniem, odznaczającym się wyraźnie na tle czarnych przestworzy. Wszystkie jednostki tworzyły zgrabny szyk, z „Dodonna” i „Yavaris” w środku i trzema korwetami po każdej flance. Wlecieli w obszar systemu Nal Hutta.

Wedge zwrócił się do oficera łącznościowca:

– Czy otrzymaliśmy jakieś wieści od grupy Czerwonej? Czy admirał Ackbar zajął już swoją pozycję?

Ackbar zbliżał się ze swoją grupą statków po innym kursie. Jego flotę stanowiła trójka korelianskich kanonierek, mniejszych niż korwety, i olbrzymi kalamariański krążownik „Galaktyczny Wędrowiec”, jeden z największych i najpotężniejszych, jeśli chodzi o siłę ognia, okrętów Nowej Republiki. Wedge wiedział jednak, że wielkie rozmiary i siła ognia nie zawsze zapewniały zwycięstwo. Ackbar powinien wejść w obszar systemu z drugiej strony i obie floty miały spotkać się w pobliżu samej Nal Hutta.

– Grupa Czerwona potwierdza zajęcie ustalonej pozycji – oznajmił oficer taktyczny.

– Generale Antillesie – wtrącił się oficer łącznościowy. – Wzywa nas Nal Hutta, żądając wyjaśnień, co robimy w tym rejonie.

Wedge starał się łagodnie uśmiechnąć.

– Zawiadomcie ich, że zamierzamy przeprowadzić pokojowe ćwiczenia wojskowe. Nie ma powodu do podnoszenia alarmu – dodał, potem mruknął do siebie: – chyba że pojawią się jakieś kłopoty.

Admirał Ackbar czekał, aż sternik złoży raport z sytuacji. W końcu odezwał się inny kalamariański oficer:

– Obie grupy zajęły pozycje, panie admirale.

Ackbar kiwnął głową.

– Przygotujcie się do rozpoczęcia manewrów – polecił.

„Galaktyczny Wędrowiec” był ulubionym statkiem Ackbara. Każdy z ciężkich krążowników kalamariańskich o kształcie przypominającym strąk był zaprojektowany trochę inaczej, pod okiem mistrzów konstrukcji statków. Powstawały one na orbicie Kalamaru. Prace trwały tam nieprzerwanie, jako że próbowano uzupełnić straty, jakie poniosła Nowa Republika podczas zażartych walk z Imperium, a zwłaszcza wtedy, gdy gwiazdne niszczyciele admirała Daali zaatakowały kalamariańskie stocznie i gdy sam Ackbar spowodował zniszczenie w połowie ukończonego okrętu wojennego „Gwiazdna Fala”. Stojący obok niego generał Crix Madine, szef wywiadu wojsk sprzymierzonych, odezwał się nagle:

– Musimy zwrócić na siebie uwagę Hurtów, wprawiając ich w zakłopotanie, by móc wypełnić naszą prawdziwą misję.

Madine, mężczyzna w średnim wieku, z pokaźną brodą, dowodził naziemnym atakiem na Endorze, dzięki któremu udało się zniszczyć generatory pola siłowego, umożliwiając rebelianckiej flocie zniszczenie drugiej Gwiazdy Śmierci. Niegdyś Madine był wysokim oficerem w siłach zbrojnych Imperium, ale przeszedł na stronę Rebelii, dostarczając sprzymierzonym wielu cennych informacji. Sporo zwycięstw Rebeliantów było zasługą Madine'a, który ofiarował Mon Mothmie swoją wiedzę. Teraz służył dalej, wykonując tajne operacje.

– Kiedy już nasza flota jest w granicach systemu – mówił Madine – wątpię, by Huttowie pozwolili sobie na jakieś wrogie działania, gdy pani przewodnicząca przybędzie z misją dyplomatyczną.

Ackbar kiwnął poważnie głową.

– To może być najważniejsze dla pana, generale Madine, ale moim celem jest zapewnić zwycięstwo grupie Czerwonej.

Gdy Ackbar rozpoczął przygotowania do symulowanego starcia, Madine przeszedł do jednego ze stanowisk odbierających informacje z sensorów i zwolnił siedzącego tam porucznika. Crix Madine lubił osobiście robić to, co do niego należało. Nie wiedział, kiedy może stać się przydany, w którym momencie operacji okaże się naprawdę potrzebny, więc starał się mieć szerokie rozeznanie we wszystkim, co się dzieje na pokładzie.

Madine wyregulował długodystansowe skanery „Galaktycznego Wędrowca” tak, by przyjrzeć się bliżej zielonej planecie Nal Hutta i jej satelicie – Księżycowi Przemysłowców, Nar Shaddaa. Wraz z przybyciem floty Nowej Republiki dało się zauważyć wzmożony ruch statków opuszczających Nar Shaddaa – bez wątpienia drobni przestępcy uciekali przed flotą sojuszników. Madine żałował, że w

tej chwili nie mógł się zająć tą społeczną plagą. Zadanie, jakie miał wypełnić w tej misji, było znacznie ważniejsze.

– Grupa Niebieska ustawia się w szyku obronnym – oświadczył oficer taktyczny.

Ackbar skupił się przy swoim stanowisku.

– Proszę o obraz. – Na ekranach widać było flotę Wedge'a, zbliżającą się w swoim wybranym szyku. – Bardzo dobrze – powiedział Ackbar – my będziemy agresorem w tym starciu. – Patrzył jeszcze przez chwilę na szyk jednostek należących do grupy Niebieskiej i pokręcił głową. – Będę musiał dać generałowi Antillesowi lekcję taktyki, uderzając w jego słaby punkt.

Madine podszedł do Ackbara i stanął obok niego.

– Co ma pan na myśli? – Zawsze interesował się sposobami prowadzenia walk w przestworzach.

Ackbar wyciągnął przypominającą płetwę dłoń i wskazał na obraz na jednym z monitorów.

– Wbijemy się w nich jak sztylet – powiedział. – Jedną z naszych kanonierek ustawi się na przedzie, za nią poleci „Galaktyczny Wędrowiec”, a następnie dwie pozostałe kanonierki. Wbijemy się dokładnie pomiędzy dwie duże fregaty – to nasze główne cele. Prowadząca kanonierka przeleci między nimi, cały czas ostrzeliwując, a jej miejsce zajmie „Galaktyczny Wędrowiec”, który zniszczy do końca ich systemy obronne swą potężną siłą ognia. W końcu druga i trzecia kanonierka zlikwidują to, co zostanie do zlikwidowania. Za jednym ciosem pozbedziemy się „Yavarisa” i „Dodonny”. Korwety osłaniające grupy Niebieskiej nie będą mogły użyć swej broni, ponieważ przeszkodzą im w tym ich własne jednostki.

– Więc cała naprzód – rzucił Madine.

– Proszę po prostu patrzeć – odparł Ackbar.

Wedge, zadowolony, usiadł wygodniej w swym fotelu dowódcy.

– Nabrał się na to! – klasnął w dłonie. – W porządku, grupa Czerwona właśnie przekroczyła linię. Wiemy dokładnie, co zamierzają. Przygotować się. – Wedge potrząsnął głową i spojrzał na Qwi. – Czy Ackbar myśli, że nie czytałem jego własnych podręczników do taktyki?

Obserwował, jak grupa Czerwona zbliża się w szyku liniowym, z jedną kanonierką na przedzie, olbrzymim gwiazdowym krążownikiem w środku i dwiema pozostałymi kanonierkami na końcu.

– Zmierzają pomiędzy dwie nasze fregaty – oznajmił. – Do wszystkich: Czerwony alarm! Stanowiska bojowe! Cała broń, niska moc. W sam raz, by mogli dobrze policzyć wszystkie nasze punkty.

– Broń ustawiona na niską moc – odezwał się sierżant odpowiedzialny za uzbrojenie. – Liczniki trafień włączone.

Wedge z błyskiem w oku spoglądał na zbliżające się jednostki. Uniósł dłoń.

– Cała moc na boczne pola osłon obu fregat – polecił. – Wyłączyć wszystkie inne osłony. Wiemy, gdzie uderzą.

Kanonierka podchodziła do celów, wskoczyła pomiędzy fregatę szturmową i „Yavaris”, posyłając w obie jednostki szybkie, symulowane strzały.

– Osłony wytrzymują – oświadczył oficer defensywny.

Wtedy miejsce kanonierki zajął „Galaktyczny Wędrowiec”, jego ustawione na małą moc działa pluły ogniem. Wedge zacisnął dłonie w pięści.

– Zamknąć sieć – rozkazał.

Oficer taktyczny powtórzył polecenia na zaszyfrowanym kanale komunikatora i sześć ustawionych na flankach koreliańskich korwet skoczyło w górę i w dół, okrążając dwie własne fregaty. Korwety

rozproszyły się, szybko zajęły pozycję i zaczęły ostrzeliwać kalamariański gwiazdny krążownik z góry i z dołu.

„Yavaris” i „Dodonna” wzięły „Galaktycznego Wędrowca” w krzyżowy ogień, tak jak to Ackbar przewidział – nie przewidział jednak ataku na swój okręt z góry i z dołu. Wedge polecił załodze „Yavaris”, by otworzyli ogień do przedniej kanonierki grupy Czerwonej i unieszkodliwili ją.

Po chwili komputer symulacyjny wyłączył broń kanonierki i oznajmił kapitanowi, że jego statek został zniszczony w bitwie.

Generał Madine spoglądał na liczniki trafień jednostek grupy Czerwonej, wyświetlające olbrzymie liczby. Madine poskrobał się w brodę i powiedział do Ackbara:

– Zwiódł cię, a ty dałeś się złapać w pułapkę.

– Osłony uszkodzone, admirale – ostrzegł go sternik.

– Komputer donosi, że obydwie kanonierki na naszych tyłach zostały usunięte z gry – dołożył od siebie oficer taktyk.

Twarz admirała była purpurowoczerwona.

– Zwiększyć prędkość – rozkazał. – Wynośmy się stąd.

– Za późno, admirale – oświadczył sternik. – Nasze osłony zostały zniszczone.

Madine obrócił się, by ponownie spojrzeć na licznik, trafień na których liczby mnożyły się tak, że trudno je było dokładnie odczytać.

– Panczerze na kadłubie przebite. Admirale, przykro mi to mówić, ale „Galaktyczny Wędrowiec” został zniszczony.

Ackbar zgarbił się, ramiona mu opadły.

– Klęska.

Oficer taktyczny wstał, by zdać raport.

– Ostatecznie udało się nam unieszkodliwić fregatę szturmową i jedną z ich atakujących korwet, lecz komputer podaje, że grupa Czerwona została całkowicie zlikwidowana – „Galaktyczny Wędrowiec” i dwie kanonierki unicestwione, nasza czołowa kanonierka unieszkodliwiona.

Ackbar westchnął.

– Cena zbytnej pewności siebie – powiedział. – Nie zastanowiłem się. Włączcie kanał komunikacyjny z grupą Niebieską. – Madine patrzył, jak Kałamarianin staje wyprostowany i zwraca się do Wedge'a Antillesa: – Mówi dowódca grupy Czerwonej. Gratuluję zwycięstwa.

– Udało mi się przewidzieć, co pan zrobi, admirale – odpowiedział Wedge.

Ackbar zmusił się do uśmiechu.

– Postaram się postępować bardziej... dziwnie w przyszłości, generale Antillesie.

Spojrzał na wskaźniki i dostrzegł statek dyplomatyczny Leii przybywający z Coruscant dokładnie o czasie. Ackbar, jako dowódca floty Nowej Republiki, uruchomił kanał otwarty i zwrócił się do wszystkich jednostek biorących udział w manewrach.

– Statek przywódczyni Leii Organy Solo znalazł się w obszarze systemu. Niech flota uformuje szyk, by eskortować ją na Nal Hutta – polecił. – Potem wrócimy tu na rewanż.

Ackbar wyłączył komunikator.

– Do roboty, generale Madine, ma pan, jak sędzę, pewne zadanie do wykonania na dole, na powierzchni?

Madine skinął głową i poszedł do turbowindy, by zjechać na niższe pokłady statku. Zamierzał

przygotować swoją ekipę komandosów do wykonania tajnej misji na planecie Huttów.

Rozdział 23

Przywódczyni Leia Organa Solo leciała swym dyplomatycznym statkiem, eskortowana przez imponującą eskadrę okrętów wojennych Nowej Republiki, które właśnie przeprowadzały niewinne ćwiczenia wojskowe w rejonie systemu Nal Hutta.

Leia siedziała w przedziale dla dowódcy, na pokładzie swojej koreliańskiej korwety. See-Threepio stał chwiejnie obok niej, świeżo wypolerowany, tak że lśnił mocniej niż światła lamp i wskaźników kontrolnych na mostku. Han, choć ubrany mniej wyszukanie niż podczas wizyty Durgi, miał na sobie czysty mundur.

– Zauważyli nas – odezwał się Han, gdy zapaliły się lampy ostrzegawcze.

– Już wiemy, że nadlatujemy – powiedziała Leia. – W każdym razie wysyłaliśmy Huttom pełną, oficjalną notę... przed półgodziną. – Zaśmiała się. – No dobrze – zwróciła się już z powagą do załogi – czas na nasze przedstawienie: wyślę transmisję.

Weszła wyżej na mostek, samotna pośród migających świateł przyrządów. Chwyciła barierkę, poprawiła szybko włosy, następnie przybrała na twarzy wyraz zirytowania.

– Proszę włączyć kanał – poleciła.

Kiedy Huttowie odpowiedzieli, Leia rozpoczęła swoją tyradę:

– Dlaczego nie ma oficjalnej eskorty dla mojej floty? Spodziewałam się, że lord Durga zatroszczy się o to osobiście. Co robiliście przez cały ten czas?

Hutt, który odpowiedział Leii, przypominał małego, zmarniałego robaka o wąskiej głowie i z pewnością nie był potężnym lordem, takim jak Jabba czy Durga. Jego duże oczy łypały na lewo i prawo, gdy mówił:

– Och proszę wybaczyć, pani przywódczyni, ale lord Durga jest nieobecny. Żałujemy, że nie możemy się teraz spotkać...

– Co to ma znaczyć, że Durga jest nieobecny? – rzuciła ostro Leia. – Zaprosił nas, byśmy złożyli mu rewizytę wtedy, gdy będzie nam to odpowiadało. Ufam, że nie sugeruje pan, iż lord Durga wprowadził w błąd przywódczynię Nowej Republiki – a może raczej wycofuje propozycję odwdzięczenia się za naszą gościnność? To oburzające! Jak w tej sytuacji może spodziewać się zawarcia jakiegoś układu z Nową Republiką? Powiedziałabym, że wobec takiego afrontu szanse czegoś takiego są znikomo małe. – Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła surowo na chudego Hutta.

– Jeszcze raz przepraszam, pani przewodnicząca, ale lord Durga odleciał... w interesach. – Machał w powietrzu drobnymi rączkami, całkowicie tracąc głowę. Gdyby nas pani jakoś uprzedziła – ciągnął nerwowo Hutt – przygotowalibyśmy się na tę wizytę. Ale teraz występują pewne przeszkody...

Leia rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Chyba nie sądzi pan, że ot tak zawrócimy i polecimy sobie z powrotem, po tych wszystkich

wydatkach na przygotowanie wyprawy? Wątpię, czy lord Durga zaryzykowałby taki dyplomatyczny incydent o znaczeniu galaktycznym.

Bojaźliwy Hutt rozglądał się wokoło, jakby szukając kogoś, kogo mógłby się poradzić.

– Czego się pani po mnie spodziewa? – jęknął. – Nie jestem uprawniony do tego, by...

– Nonsens – przerwała mu Leia, hardo unosząc brodę. – Przylatujemy na osobiste zaproszenie

Durgi – jakich większych uprawnień panu potrzeba? Spodziewamy się godnego przyjęcia. Do zobaczenia! – powiedziała i nadała sygnał zakończenia transmisji, po czym wybuchnęła śmiechem.

Han podszedł i przytulił ją.

– Myślę, że znakomicie się bawiłaś. – Sam nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Cofnął się o

krok i pogratulował jej wystąpienia.

Threepio był całkowicie zbity z tropu.

– O rety! Może powinniśmy dać Huttom nieco więcej czasu, pani Leio. Przynajmniej mieliby możliwość przygotowania się do naszej wizyty. Obawiam się, że są teraz tak wzburzeni, że w ogóle nie wiedzą, co począć.

– I o to chodzi! – odezwali się równocześnie Han i Leia.

Threepio zrobił kilka niepewnych kroków, trzymając się za swoją złocistą, metalową głowę.

– No cóż, jestem pewien, że tego rodzaju zachowanie nie zostało przewidziane w protokole, przynajmniej mnie zaprogramowano inaczej. Po raz kolejny mam wrażenie, że nigdy nie zrozumieć ludzkiego postępowania.

Leia siedziała za jednym ze stolików konferencyjnych w swym przedziale na statku.

– Dziękuję, że lecisz ze mną, Hanie. Cieszę się, że w końcu wybraliśmy się gdzieś we dwoje.

Ostatnio tak rzadko mogliśmy być razem...

– Tak, ja też się cieszę – rzekł z ciepłym uśmiechem na twarzy. – To miła odmiana.

Westchnęła.

– Nie możemy ich zlekceważyć. Huttowie już teraz są niebezpieczni, a mogą stać się niezwykle potężni, jeśli będą mieli w swoich rękach Gwiazdę Śmierci.

Han kiwnął ponuro głową, a Leia kontynuowała, przemawiając niczym na posiedzeniu senatu.

– Pierwsza Gwiazda Śmierci miała być ostateczną bronią masowej zagłady w rękach Imperium.

Teraz Huttowie staną się galaktycznymi uzurpatorami – a co powstrzyma ich przed odsprzedaniem tych planów jakimś innym lokalnym dyktatorom, którzy zapragną uporządkować swoje sprawy? Nie możemy pozwolić na rozpowszechnienie planów Gwiazdy Śmierci. Rozpoczęłaby się jatka w skali galaktycznej. Jeśliby każdy, kto ma odpowiednią ilość kredytów, mógł kupić te plany, a następnie zacząć niszczenie całych światów, nikt nie czułby się bezpieczny. Musimy za wszelką cenę położyć temu kres.

Jeden z gwardzistów Nowej Republiki przerwał ich rozmowę.

– Proszę mi wybaczyć, pani przywódczyni, ale pani wahadłowiec jest już przygotowany. W każdej

chwil, możemy zabrać panią na Nal Hutta.

– Nie mogę się doczekać – odparła ironicznie Leia. Czowała się tak, jakby rzucała się w gardziel

jakiegoś olbrzymiego, krwiożerczego potwora.

Razem z Threepiem i gwardią honorową, Leia i Han przeszli przez jedną ze śluz korwety i

wstąpili na pokład małego dyplomatycznego wahadłowca.

– Jesteś na to przygotowana? – zapytał Han.

Leia spojrzała na niego z powagą, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie – odpowiedziała szczerze. – Ale musimy to zrobić, tak czy inaczej. Ruszajmy odwiedzić tych Hurtów.

Rozdział 24

Nal Hutta była bagnistą, podmokłą planetą przywodzącą na myśl rozległy zbiornik odzyskiwania odpadów kanalizacyjnych. Wszędzie widać było wielkie kałuże pośród dużych połaci wyglądającej na gnijącą trawę – krajobraz ten widocznie musiał odpowiadać upodobaniom Huttów. Leia wiedziała, że czegoś takiego powinna się spodziewać.

Jakaś zwieńczona żaglami barka zmierzała w kierunku dyplomatycznego wahadłowca Leii, który osiadł na lądowisku nieopodal posiadłości Hutta Durgi. Gdy Leia dostrzegła sunący powolnie statek z żaglami łopoczącymi na wietrze, skóra jej ścierpła na wspomnienie ostatniej podróży z Jabba, gdy lecieli do Wielkiej Jamy Carkoon.

Leia, Han i Threepio opuścili wahadłowiec, eskortowani przez gwardię Nowej Republiki, i czekali, aż zabierze ich barka. Niebo nad ich głowami przystrojone było ciemnymi, poszarpanymi obłokami. Zaczął padać ciężki, jakby tłusty deszcz, zimne krople zawierać musiały jakieś substancje, których obecność w atmosferze była wynikiem intensywnych prac wydobywczych i przetwórczych, jakie odbywały się w sektorach przemysłowych planety, położonych daleko od pałaców władców imperium Huttów.

– To zdecydowanie przygnębiające miejsce, nieprawdaż? – Threepio skomentował wszystko, co widzieli do tej pory. – Jeśli nie znajdziemy jakiegoś schronienia przed tym żrącym deszczem, nikt nie powinien być zdziwiony, gdy moje nowe złociste płyty pokrywające całkiem skorodują. – Obrócił głowę i skierował żółte czujniki optyczne na strumienie opadającej z nieba wody. – Szkoda, że nie zostawiła mnie pani na Coruscant, pani Leio. Jestem pewien, że lepiej bym się przysłużył, opiekując się dziećmi.

– Czy nie mówiliśmy ci, Threepio? – rzucił figlarnie Han. – Jest sprawą najwyższej wagi dla Republiki, by ofiarować cię Huttowi Durdze. On będzie twoim nowym panem.

– Co takiego?! – wrzasnął zszokowany Threepio, unosząc ramiona. – Nie, tylko nie to! Pan z pewnością żartuje. Jestem zgubiony! Proszę, proszę to jeszcze rozważyć, pani Leio.

Leia trąciła Hana łokciem w biodro.

– Hanie, tak nie można!

– Tylko żartowałem, złota sztabo – przyznał i klepnął androida w ramię.

– Żart? – Threepio wydał z siebie niepewny głos. – Ależ to wcale nie było zabawne! – dodał.

W pewnej odległości od portu kosmicznego wznosił się pałac Durgi. Wyjąwszy brązowe plamy skażenia brudnymi opadami atmosferycznymi, jego białe mury lśniły czystością. Gdy Leia przymrużyła powieki, dostrzegła drobne postaci niewolników, którzy wspinali się po fasadach śliskich od deszczu, oczyszczając chimery zdobiące blanki.

Barka podpłynęła do nich. Na pokładzie stali strażnicy, w pozycji na baczność, rozglądając się we wszystkie strony. Na górnym pokładzie tkwił jakiś drobny Hutt, poruszający się raczej o własnych

siłach niż za pomocą repulsorów; Leia rozpoznała wąskie, zmizerowane oblicze stworzenia, z którym rozmawiała przez komunikator z pokładu korwety. Był zaskakująco inny niż wszyscy Huttowie, jakich widziała wcześniej – chudy jak lichy zwój cienkich wstążek zielonkawej skóry, zamocowanych na elastycznym kręgosłupie. Nie wyglądał dobrze.

– Witam przywódczynię Nowej Republiki, Leię Organę Solo, w imieniu Jego Wielkiej Mości lorda Durgi, który niestety nie może w tym momencie być z nami.

Leia ukloniła się lekko.

– Dziękuję. Ale jednak pragnę spotkać się z lordem Durgą. To on nas tutaj zaprosił.

– Tak, pani przewodnicząca, skontaktowałem się z nim. Przybędzie najszybciej, jak zdoła. – Chudy wysłannik Durgi zwisał, oparty o barierkę barki.

– Dobrze – mruknął Han. – Niespecjalnie podoba mi się pomysł sterczenia tu zbyt długo.

– Jestem Korrda, podwładny i specjalny wysłannik lorda Durgi. Nie zasłużyłem sobie na to, lecz przypadł mi zaszczyt zaopiekowania się wami do czasu przybycia mojego pana.

– To brzmi całkiem niezłe – oznajmił Threepio.

Korrda wyglądał na zadowolonego.

– Mam nadzieję, że mój basie jest do zaakceptowania. Lord Durga nalega, by cały jego personel dobrze poznał ten język, abyśmy mogli lepiej współpracować z Nową Republiką. Pozwolą państwo, że zaoferuję im gościnę na czas oczekiwania na lorda Durgę?

– Nie jesteśmy pewni, co wy, Huttowie, rozumiecie pod pojęciem gościny powiedział cicho Han.

– O ile mnie pamięć nie zawodzi, doświadczyłem nieco tej gościny na własnej skórze.

Korrda wydał dziwaczny dźwięk, zbliżony do syku, który Leia uznała za śmiech.

– A, tak, Han Solo – słyszałem o twoich przejściach z pokonanym Jabbą, niech jego imię będzie przedmiotem pogardy. On jest dla nas jedynie nędznym robakiem. Żaden Hutt nie szanuje pamięci przywódcy, którego imperium upadło. Może uraduje was szczodrość, jaką okażą wam Huttowie, jako podwalina pod gmach wspólnej pokojowej współpracy.

– To bardzo... wzruszające – rzuciła Leia uśmiechając się kwaśno. – A teraz, czy będziemy mogli wejść na pokład, czy też planuje pan trzymać nas na deszczu cały dzień?

– Ach, oczywiście! – Korrda cofnął się parę kroków, nakazując gestem, by opuszczono na ziemię szeroką rampę.

Wspięli się na pokład. Ich zachowująca stoicki spokój gwardia stanęła naprzeciw strażników-Huttów, o równie kamiennych obliczach. Korrda starał się jak mógł dogodzić gościom, skacząc wokół nich służalczo, gdy barka uniosła się i ruszyła z portu kosmicznego w stronę pałacu.

Wśród gęstych połaci trawy roiło się od pajaków, nad nimi unosiły się chmury drobnego ptactwa. Nierówne, okrągłe i płytkie kałuże były wypełnione zielonym szlamem. Powyżej, w strumieniach deszczu, stada dużych, masywnych ptaków skrzecząc mknęły przez przestrzeń, umykając przed grupą myśliwych, którzy strzelali do nich z blasterowych karabinów. Jedno ze stworzeń, trafione, opadło z pluskiem w bagno.

Pałac Durgi rósł w oczach, w miarę jak się do niego zbliżali. Wyraźniej majaczyły koszarne wieże, blanki i duże, rozwarte bramy. Pod pałacem znajdowała się ogromna sieć podziemnych lochów, tak rozległych, że zyskały sobie iście galaktyczną sławę.

– Muszę przyznać, że nie wiem, ile czasu zajmie lordowi Durdze przybycie tutaj powiedział Korrda, gdy zacumowali w obszernym pałacowym doku. – Skoro jednak jestem odpowiedzialny za dostarczenie państwu rozrywki, proponuję zwiedzanie naszych lochów. Naprawdę będą państwo

zaskoczeni.

– Żadnych lochów – odparła krótko Leia. – Ale dziękujemy.

– Nie interesuje nas to. – Han podzielał jej zdanie. – Widzieliśmy już tyle lochów, że starczyłoby nam na jeszcze jedno stulecie.

– No cóż – mruknął Korrrda, wyraźnie rozczarowany. Nie wiedział, co począć, by wypełnić im czas oczekiwania.

Leia nie była w stanie wyczytać niczego w nieprzeniknionym umyśle Hutta Durgi. Korrrda był od niego znacznie słabszy, lecz wszystko, co udało się jej wyczuć, to zakłopotanie i niepewność, swoista nerwowość, ale żadnego zakłamania. Korrrda naprawdę nie wiedział, co się dzieje, bał się jednak odpowiedzialności za wszystko, co się stanie.

Zdolności Jedi pozwalały Leii wyczuć, że w samym pałacu dzieje się wiele zła. Odbierała echa cierpienia skazanych i uwięzionych, mroczna atmosfera mordów i zdrad zdawała się wypełniać wnętrze, niczym jad sączący się z otworów w ścianach. Przytłaczało ją i szybko cofnęła myślowe palce Mocy.

– Zamiast tego zapraszam na obiad – powiedział Korrrda. – Zawsze mamy świeże mięso i przeróżne znakomite przysmaki. Dołączyliby do nas członkowie rodziny Durgi. Sądzę, że dobrze byłoby się z nimi spotkać.

– To jest do przyjęcia – odpowiedziała Leia, pochylając nieznacznie głowę.

Han mruknął pod nosem:

– Sam nie wiem... Obiad z całą bandą Huttów to wcale nie brzmi lepiej niż wycieczka po komnatach tortur.

Wewnątrz sali, w której podawano obiad, na kamiennych poprzecznych gzymsach siedziały przyczajone padlinożerne ptaki wypatrując jakichś ochłapów jedzenia ciśniętych na podłogę, gotowe rzucić się i schwycić każdą porcję mięsa, jaka mogłaby ocaleć przed apetytem zgłodniałych Hurtów.

Pozostali goście, kuzyni Durgi, wyglądali jak grube węgorze, wielkie i muskularne. Niektórzy już posiadali pokaźne warstwy tłuszczu, charakterystyczne zwłaszcza dla Hurtów w średnim wieku. Ich grube wargi wciąż poruszały się i wykrzywiały, żółtawe ślepia, otoczone już fałdami skóry, łypały naokoło. Cieszyli się bez wątpienia dobrym zdrowiem, podczas gdy Korrrda przejawiał jakiś rodzaj choroby. Ci dorastający Huttowie byli hałaśliwi i sprzeczali się wciąż ze sobą, choć niewielu z nich potrafiło zbudować poprawne zdanie w języku basie. Jeśli chodzi o ich starszego kuzyna Durgę, to jego praca specjalnie ich nie interesowała.

Korrrda służył gościom, znosząc półmiski galaretowatego pożywienia: duszone robaki, pasożyty w gorącym miodzie, pieczone, mięsiste larwy. Większość tego paskudztwa leżała w stosach na talerzach, podczas gdy inne, jeszcze żywe, rozłaziły się, próbując uciec i ocalić życie.

Leia robiła wszystko, by wyglądało, że docenia starania gospodarzy, choć prawdę mówiąc zarówno ona, jak i Han stracili apetyt. Leia przebierała sztucem po talerzu, próbując przetrzymać jakoś ten posiłek. Han czynił podobnie. Jedynie Threepio nie stracił rezonu i starał się wyjaśnić pochodzenie potraw.

Jednakże sam Korrrda cierpiał bardziej niż Leia i Han razem wzięci. Przywodzący na myśl wielkie larwy młodzi Huttowie zachowywali się okropnie i okładali Korrrdę swymi drobnymi kończynami, gdy tylko znalazł się w pobliżu któregoś z nich. Korrrda nie jadł z własnego talerza, lecz zeskrobywał resztki, które kuzyni Durgi odrzucali na bok. Spoglądał na Leię i Hana oczyma przepelnionymi wdzięcznością, sądząc prawdopodobnie, że zostawiają swoje porcje specjalnie dla niego.

– Przepraszam – odezwała się cicho Leia, gdy Korrrda podszedł, by zabrać naczynia – dlaczego nie usiądziesz i nie zjesz z nami? Przecież jesteś wyznaczonym przez Durgę jego osobistym posłem.

– Nie, jestem jego najniższym sługą – oświadczył Korrrda. – Proszę na mnie spojrzeć. – Wskazał na swoje chude ciało i wyglądającą niezdrowo skórę. – Zaslужuję tylko na odpadki. Jestem pogardzany, bo cierpię na rzadką, wyniszczającą organizm chorobę. Jako Hurt chudszy niż wszyscy pozostali, jestem obiektem drwin. Jak mógłby ktokolwiek szanować takiego lichego i zmarniałego robaka jak ja?

– Więc czemu Durga trzyma cię przy sobie? – zapytał Han. – Wydajesz się kimś ważnym podczas jego nieobecności.

– Durga mnie nienawidzi – powiedział Korrrda, mrugając nerwowo powiekami. Trzyma mnie właśnie dlatego, że jestem tak godny pogardy. Ośmiesza mnie, wykorzystując w sytuacjach, w których muszę udawać kogoś ważnego, chociaż każdy, kto ma oczy, doskonale widzi, że jestem bezwartościowy. To poniża mnie jeszcze bardziej – ale budzi radość Durgi, dlatego i ja jestem zadowolony.

Leia nie rozumiała tej mętnej logiki, ale nie próbowała dyskutować.

Przyczajone na gzymsach padlinożerne ptaki obserwowały Korrdę, tak jakby to on miał być ich następną ofiarą. Wrzasnęły głośno, gdy duży, masywny worr, stworzenie dziwnie przypominające wielką żabę, wskoczył do sali jadalnej. Stworzenie posłusznie usiadło na ziemi i czekało, trzymając w wielkich, bezzębnych ustach kartonik magnetyczny z wiadomością.

Korrrda podszedł do stwora, wyjął kartonik z jego paszczy, poklepał pokryty brodawkami łeb i zabrał się do czytania wiadomości na ekranie monitora. Skóra na głowie Korrdy pociemniała, gdy się odezwał, a w jego głosie przebijała radość.

– Naprawdę dobre wieści! – oznajmił. – Mój pan, lord Durga, jest w drodze i będzie tu niebawem. Nalega, bym zaprowadził panią i osoby towarzyszące do jego prywatnych łaźni. Jestem pewien, że będą państwo zachwyceni.

Pomysł, by odwiedzić łaźnie Huttów, niespecjalnie trafiał do przekonania Leii, ale posłała Korrdzie wymuszony uśmiech. Han spojrział na żonę pytająco, ściskając jej dłoń pod stołem.

– To dla Nowej Republiki – powiedziała z miną męczennicy.

Korrrda promieniał dumą gdy wskazywał swym gościom labirynt znajdujący się na dnie potężnej budowli, wypełniony akrami stojącej, parującej wody. Ściany łaźni pokryte były starymi, bulwiastymi grzybami pleśniowymi. Mgliste światło sączyło się przez wąskie szpary w ścianach, nadając wszystkiemu matowy, mroczny wygląd.

– Ta łaźnia jest dumą i radością lorda Durgi – podkreślił Korrrda.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Han, próbując nadać swemu głosowi miły ton.

Labirynt kanałów znajdował się w podziemnych katakumbach o wysokim stropie i pokrytych algami słupach podtrzymujących, zanurzonych po części w płytkiej wodzie. Coś odpadło z sufitu i chlapnęło, uderzając o powierzchnię wody, po czym odpłynęło, znikając w oparach pary.

– Świeża woda pompowana jest bezpośrednio z trzęsawisk – rzekł Korrrda tak, jakby zdradzał im wielką tajemnicę. – Razem z grudami błota i całą resztą.

Zabulgotało, na powierzchnię wypłynęło coś, co przypominało kawałek zielonego zielska. Leia, ubrana w przylegającą do ciała suknię ofiarowaną przez Korrdę, wzdrygnęła się.

– Czy mamy w tym pływać? – zapytała.

– Och, nie! – Korrda cofnął się, patrząc na nich z przerażeniem w oczach. – Ta łaźnia przeznaczona jest dla lorda Durgi i innych Huttów. Nie możemy pozwolić na to, by... ludzie skazili wodę.

– Zdecydowanie nie chcielibyśmy urazić Durgi – powiedział Han z ulgą.

– Ale mamy specjalnie wydzieloną sekcję łaźni przeznaczoną dla naszych honorowych gości. Przepraszam, że nie możemy całkowicie pójść państwu na rękę; tamta sekcja, niestety, zaopatrzona jest jedynie w czystą wodę, bez żadnych specyficznych dodatków, które nadają skórze Huttów tak charakterystyczną strukturę.

Korrda zaprowadził ich do ogrzanego basenu z krystalicznie czystą wodą. W głąb zbiornika prowadziły ostre kamienne schodki, po których schodząc zanurzyli się na wysokość piersi w lekko wzburzonej wodzie.

– Tak będzie dobrze, dziękujemy – powiedziała Leia ze szczerą wdzięcznością.

– Dopóki nie odkryjemy, że wpadliśmy w jakąś pułapkę – szepnął Han.

– Doprawdy, proszę pana! – włączył się Threepio. – W czasie trwania tej misji jestem wyjątkowo wyczulony na wszystko, co się dzieje. I nie odkryłem tu nawet cienia podstępny czy zdrady. Zapewniam pana, że można się kąpać swobodnie. Zresztą ja pozostanę na straży.

– W takim razie – odciął się Han – naprawdę mogę się odprężyć.

Leia stopniowo, powoli, zanurzała się w ciepłej, lekko musującej wodzie i westchnęła, gdy przyjemny płyn otoczył jej zmęczone członki.

– Jeśli chodzi o mnie, podoba mi się tutaj – przyznała.

– Proszę wypoczywać – powiedział Korrda. – Ja muszę ruszyć na spotkanie lorda Durgi.

– No to ruszaj. – Han pomachał mu na pożegnanie. – Threepio zostanie na straży. Poza tym w korytarzach obok jest gwardia Nowej Republiki.

Gdy Korrda zniknął, Han i Leia zanurzyli się całkiem w basenie, słuchając odległych, niewyraźnych odgłosów innych stworzeń pływających w licznych kanałach przeznaczonych na łaźnie. Labirynt był tak rozległy, że w tej jego części mogli czuć się zupełnie odosobnieni, choć liczni goście Huttów i sami Huttowie harcowali w innych sektorach.

– Porozmawiamy? – szepnął Han.

Leia otoczyła go ramieniem.

– Nie – odpowiedziała. – W tej chwili nie mamy nic ważnego do omówienia, poza tym nie wiadomo, czy Durga nie podsłuchuje. Dla odmiany, porozkoszujmy się nieco chwilą spokoju i odpoczniemy.

Leia poczuła się odprężona i nieco senna, chociaż nadal pozostawała czujna, zwracając uwagę na wszystko, co się działo w sektorze przeznaczonym dla Huttów. W pewnym momencie zwróciła uwagę na jakieś poruszenie w bagnistej wodzie kanałów dla Huttów; coś dużego zmierzało w ich kierunku pod zielonkawą zawiesiną na powierzchni. Leia wyprostowała się, siadając na kamiennym schodku, i zwiększyła czujność.

– O rety! – krzyknął Threepio. – Wydaje mi się, że coś się zbliża. – Wskazał swoją złocistą metalową ręką. Z mulistego szlamu nieopodal miejsca, w którym kanały dla Huttów stykały się z ich basenem, wynurzyła się jakaś masywna postać.

W górze mięsa ociekającej wodą i zieloną zawiesiną pobłyskiwało dwoje dużych miedzianoczerwonych oczu.

– Ho-ho-ho! – zagrzmiął głos Hutta. – Witam panią, Leio Organo Solo. Cieszę się, że spotykamy

się ponownie, i że pani rewizyta nastąpiła tak szybko.

Leia cofnęła się, starając się zamaskować swoje zszokowanie. Odetchnęła, odzyskując swą dyplomatyczną pewność siebie, gdy rozpoznała ciemne znamię na głowie Hutta.

– Lordzie Durgo, witaj w domu.

– Wasza wizyta wypadła tak niespodziewanie – powiedział Durga, dźwigając się wyżej, tak że większość pokrywających go dziwnych wodorostów i zawiesziny opadła z powrotem do brudnej wody. – Nie spodziewałem się pani tak prędko. Czy to znaczy, że zdecydowała się już pani na zawarcie przymierza z Huttami?

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – odezwał się Han.

– Pozwól mi się tym zająć, Hanie. – Leia ścisnęła jego ramię. – Ta wizyta jest wyrazem dobrej woli z naszej strony. Z pewnością wie pan, jak sprawnie potrafi działać Nowa Republika, gdy już się na coś zdecyduje.

Han parsknął znacząco, jako że Leia tyle razy skarżyła mu się, jak wiele czasu zajmuje podejmowanie nawet najprostszych decyzji i jak ciężko wdraża sieje w życie. Na szczęście Durga tego nie wiedział.

– Jeśli uznamy, że porozumienie z Huttami jest możliwe, sam pan zobaczy, jak szybko potoczą się sprawy – mówiła starając się przybrać rzeczowy ton. – Nie ma sensu zwlekać z czerpaniem korzyści.

Sam Durga wydawał się zaskoczony i zmieszany.

– Nie trzeba się śpieszyć z podejmowaniem decyzji tego rodzaju – zauważył. Musimy przejść długą i trudną drogę, by zdobyć pewność, że wszyscy są zadowoleni z przymierza.

Leia zacisnęła usta.

– Rozumiem – odparła, zdając sobie sprawę, że Durga stosuje taktykę wymijającą i próbuje wyprowadzić ich z równowagi. Jego wystąpienie na Coruscant było jedynie zasłoną dla próby dostania się do Imperialnego Ośrodka Gromadzenia Informacji, by wykraść plany Gwiazdy Śmierci. Teraz było jasne, że nie szuka on żadnego porozumienia; chciał po prostu wprowadzić ich na fałszywy trop, podczas gdy Huttowie zajmowali się konstrukcją superbroni. Leia była zdecydowana dowiedzieć się, gdzie odbywa się realizacja tajnego projektu i jak zaawansowane są prace.

– Zauważyłem pani flotę wojenną w pobliżu naszego systemu, pani przewodnicząca – powiedział Durga. – Muszę przyznać, że interesuje mnie...

Leia uniosła rękę. Krystalicznie czyste krople spłynęły po jej ramieniu.

– Och, proszę się nie niepokoić, oni tylko przeprowadzają rutynowe ćwiczenia. Oczywiście, mogą trenować gdziekolwiek, ale woleli mi towarzyszyć. Sam pan wie, jak nadopiekuńczy się stają czasem ludzie, którzy mają nas ochraniać. – Westchnęła. – Nie ma się czym przejmować – przecież w końcu mamy zostać sojusznikami, jak pan pamięta. Oczywiście, jeśli uda się nam dojść do porozumienia. Nie pozwoliłabym, by kilka statków przeprowadzających manewry mogło pana niepokoić.

Durga chrząknął.

– Niepokoić? Nie, źle mnie pani zrozumiała. Myślałem jedynie o politycznych zamieszkach na jakimś opornym świecie należącym do Nowej Republiki. Ale widocznie posiadacie tyle statków, że możecie sobie pozwolić, by brały udział w grach.

– Nie mieliśmy problemów z Imperium w ciągu ostatnich lat – powiedziała Leia. A nasza flota musi się jakoś sprawdzić. Nie może wychodzić z wprawy.

Durga roześmiał się.

– Imperium być może robi więcej, niż przypuszczacie. – Jego głos zagrzmiał, odbijając się echem

od ścian katakumb. – Jako wyraz moich dobrych intencji zaoferuję wam swoje usługi; coś, z czego Huttowie słyną od zawsze.

– Jakiego rodzaju usługi? – zapytała Leia, nieszczerze zainteresowana.

– Sieć moich wywiadowców posiada wiele świetnych źródeł informacji – różne dane, które mogą się okazać przydatne dla Nowej Republiki. Skoro jesteście na Nal Hutta, mógłbym polecić jednemu z moich ludzi, żeby dowiedział się, czym ostatnio zajmowało się Imperium. Myślę, że możecie być zaskoczeni.

Han zeszywniał, zaciskając pięści pod wodą. Leia, choć wiedziała, że ta oferta jest kolejną próbą odwrócenia ich uwagi, zacisnęła dłoń na ręce Hana i kiwnęła głową.

– Z wdzięcznością przyjmę twoją ofertę, lordzie Durgo. Duża część galaktyki funkcjonuje bazując na pracy służb wywiadowczych.

Podniosła się z kamiennego schodka i stanęła, ociekając wodą.

– Mam wrażenie, że już wystarczająco dużo czasu spędziłam w łaźni – dodała.

Threepio pośpieszył, by przynieść ręczniki.

Rozdział 25

Na zewnątrz okazałego pałacu Hutta Durgi zapadała noc, jej mieszkańcy snuli się pośród mroków bagnistej planety. Przebrany w łachy, brudny, z umazaną błotem, zarośniętą twarzą, generał Crix Madine, wyglądający tak samo jak pozostałe poniżone ofiary Nal Hutta, przedzierał się przez gęstniejące ciemności. Miał zadanie do wykonania.

Doświadczony, od lat wprawiony w wykonywanie tajnych operacji, Madine szedł między rozwalającymi się chałupami z prefabrykatów, rozrzuconymi w wiosce osadników. W poświacie księżycy i świateł pilnie strzeżonego portu kosmicznego, pozamykane magazyny lśniły niczym pancerne bunkry.

Ośrodki dystrybucji zajęte były przetwarzaniem surowców, odzyskiwanych z powierzchni Nal Hutta, i wysyłaniem statków z towarami na księżyc Nar Shaddaa. Madine patrzył przez chwilę na smugi światła, ślady lotu regularnych jednostek towarowych, wzbijających się w chmury w drodze na Księżyc Przemysłowców i tych, które stamtąd wracały z ładowniami pełnymi czarnorynkowych dóbr.

Rasa Huttów miała zwyczaj podbijania jakiegoś świata, wykorzystywania go odzierania z zasobów naturalnych i wyniszczania jego naturalnego środowiska. Zniszczywszy ostatecznie planetę, którą obrali za swój dom, Huttowie przenosili się gdzie indziej – i ich zbrodnicze imperium było właśnie w trakcie rujnowania planety Nal Hutta.

Ośrodki rozrywki na Nal Hutta stały na rozklekotanych durastalowych palach w pobłyskującym, podmokłym terenie. Kompleks rozrywkowy wyglądał jak wymyślna fabryka służąca dostarczaniu beznadziejnych chwil radości tym, którzy byli tu uwięzieni. Nawet z dużej odległości Madine wyraźnie słyszał głośnie muzykę i jeszcze głośniejsze krzyki.

Po drugiej stronie portu kosmicznego wznosił się pałac Durgi, spowity w błękitne i białe światła tańczące na murach. Budowla pięła się w górę niczym olbrzymia wieża z kości słoniowej, górując nad wszystkim innym.

Niosąc częściowo schowaną latarkę jarzeniową, Madine zmierzał w stronę kolczastego płotu ogradzającego lądowisko portu kosmicznego. Na płycie lądowiska, oświetlony przez reflektory, spoczywał prywatny statek Durgi. Zgrabnie zaprojektowany nadprzestrzenny jacht był długi i kształtem zbliżony do robaka. Gładki metalowy kadłub zaopatrzone w stateczniki i stabilizatory umożliwiające lot w atmosferze.

Gdy Madine podkraść się do ogrodzenia, dostrzegł jakieś postacie gromadzące się w pobliżu płotu, wpatrzone tęsknie w zaparkowane tam statki... Nieznajomi rozpierzchli się, gdy zbliżył się do nich. Żałował, że nie może zawołać, by wrócili i dać im jakąś nadzieję, obiecać, że uratuje ich, kiedy już będzie po wszystkim – ale po prostu nie mógł tego uczynić.

Podszedł pod samo ogrodzenie i dotknął cienkich drutów, niezwykle mocnych, nie do rozerwania. Trzymał je, jakby był jednym z tych marzycieli, których przepłoszył. Uzbrojeni strażnicy,

Weequayowie, tworzyli ciasny krąg wokół statku Durgi; ich pokryte pomarszczoną skórą twarze zdawały się wyciosane w kamieniu. Stali nieruchomo, zastygli jak posągi. Madine wiedział, że Weequayowie nie są zbyt inteligentni, ale za to lojalni i bezwzględni. Nie miał szansy zbliżyć się do statku.

Ale musiał.

Madine przycupnął u podstawy ogrodzenia i wyciągnął latarkę jarzeniową spomiędzy fałd porwanego płaszcza. Odnalazł ukryty uchwyt i otworzył latarkę. Sięgnął do środka i wyjął stamtąd małe skrzydlate stworzenie, księżycową ćmę, która delikatnie trzepotała cienkimi skrzydełkami, próbując się wzbić w powietrze.

– Jeszcze nie – powiedział Madine. – Pauza.

Ćma zastygła w połowie ruchu. Inne insekty prowadzące nocny tryb życia kotłowały się w smugach światła reflektorów strzegących lądowiska portu kosmicznego. Ta ćma była doskonałą repliką prawdziwego owada, zaprojektowaną przez najlepsze roboty specjalistyczne na Mechisie Trzecim. Małe urządzenie miało ograniczoną pamięć komputerową – potrafiło wypełniać polecenia i znało swoje zdanie.

Madine, trzymając mechaniczną ćmę w otwartej dłoni, skierował ją na oświetlony statek Durgi.

– Zlokalizuj cel – polecił.

Wysunęły się małe czułki na główce ćmy i jej skrzydełka zatrzepotały w potwierdzeniu. Madine odczekał chwilę, by mieć pewność, po czym wydał następne polecenie:

– Odpal!

Mały niebieskawy owad wzbił się w powietrze, przebijając się przez wietrzną zasłonę nocy. Leciał po dokładnie zaprojektowanym torze, odpowiednio krętym, zwracając uwagę na zmiany ruchów powietrza.

Zaczął padać chłodny deszcz. Madine przechylił głowę i krople poczęły ściekać po jego policzkach. Zamrugał, ocierając twarz z zanieczyszczonej wody. Nie mógł poradzić nic na to, że wilgoć gromadziła się w jego brodzie. Zamarł, patrząc na ćmę, która zbliżyła się do swego celu.

Misja była prosta i łatwa. Mechaniczna ćma usiadła na zewnętrznej powierzchni kadłuba, tuż za jednym ze stabilizatorów.

Owad siedział nieruchomo jedynie przez chwilę, by zostawić swój cenny ładunek – wyglądający jak mikroskopijne jajko – po czym zatrzepotał skrzydełkami i pomknął pomiędzy straganu lejącej się z nieba wody. Madine odczekał, aż małe urządzenie zniknie w mroku nocy, oddalając się od statku Durgi na tyle, na ile pozwalały mu niewielkie skrzydełka.

Poczuł jakby ukłucie bólu, kiedy sięgał między poły swego poszarpanego ubrania, do kieszeni, gdzie znajdował się miniaturowy panel kontrolny. Wcisnął przycisk „destrukcja”.

Dostrzegł niewyraźny punkcik jasnego światła, blask małej eksplozji. Odwrócił się, odszedł od płotu i wtopił się w cień. Miał dużo czasu, by dotrzeć do ustalonego miejsca spotkania.

Misja, w której użył mechanicznej ćmy, powiodła się, i teraz Madine był w stanie śledzić każdy ruch Durgi, dokądkolwiek Hutt by się udał.

Rozdział 26

DAGOBAH

Luke ocknął się w środku nocy i ujrzał stojącą nad nim Callistę. Jej smukła sylwetka rysowała się na tle bladego, łagodnie jaśniejącego tła, pośród refleksów światła odbitego od ścian komnaty wydrążonej we wnętrzu komety.

Usiadł, natychmiast rozbudzony.

– Callisto, co się dzieje? – zapytał.

Mgły spowijały ją jak kłęby pary i mistrz Jedi doświadczył uczucia, jakby widział to już kiedyś, w przeblysku pamięci przypominając sobie jej widmowy obraz, gdy Callista była uwięziona na pokładzie „Oka Palpatine'a”.

– Luke'u – odezwała się, jej głos był spokojny, lecz zdradzał jakieś zmartwienie nie powinniśmy być tutaj...

Luke zwiększył intensywność blasku, rzucanego przez panele jarzeniowe.

– Dlaczego? – Wstał, by ją objąć. W jego ramionach czuła się dobrze i bezpiecznie. – To miejsce jest pełne piękna i spokoju. Gdzie lepiej moglibyśmy spędzić trochę czasu? – dodał.

Callista spojrzała mu głęboko w oczy.

– Jest romantyczne i intymne, Luke'u, ale... to wszystko. To co się dzieje na komecie, nie ma żadnego związku z tym, co jest dla nas ważne. Jest też dla mnie nieco obce. – Zacisnęła wargi, po czym mówiła dalej, z większym przekonaniem: – Luke'u, czemu nie wezmiesz mnie tam, gdzie ty sam uczyłeś się władać Mocą. Chcę zobaczyć te miejsca na własne oczy.

Od strony fontann dochodziły odgłosy srebrzystych uderzeń kropel wody. Ściany, zbudowane ze skrzepłego lodu, były grube i tłumiły wszelkie dźwięki. Luke, tak jak Callista, poczuł się odizolowany od wszystkiego, co znajdowało się za ścianami, jak zahibernowany – jak Callista uwięziona w komputerze przez dziesiątki lat.

Przytulił ją mocno.

– Tak – powiedział powoli. – Mogę pokazać ci wiele miejsc – to będzie jak pielgrzymka po krainach, które wywarły wpływ na moje życie.

Poszła za nim, gdy opuścił sypialnię i udał się do salonu. Szepnął coś do terminalu komputera umieszczonego we wnęce w ścianie. Podczas gdy komputer przeglądał powszechnie dostępne mapy nawigacyjne, Luke udał się do pomieszczenia kuchennego i przyniósł stamtąd dwie gorące filiżanki słodkiej, uspokajającej herbaty jera. Wręczył jedną z nich Calliscie. Uśmiechnęła się. To był jej ulubiony napój, a Luke nauczył się pić go razem z nią.

Luke usiadł w wygodnym fotelu, Callista zajęła miejsce obok i błędziła palcami po jego ramieniu. Pogłaskał jej zmierzwiłone w nocy włosy. Wypił następny łyk przypominającej syrop herbaty i zaczął studiować wyniki komputerowej analizy nawigacyjnej.

Uśmiechnął się i westchnął zamyślony, gdy znalazł wszystko, czego szukał.

– W porządku – powiedział i odwrócił się do Callisty. – Wygląda na to, że najpierw polecimy na Dagobah.

Chmury tworzyły grabą warstwę na niebie Dagobah, pas burz, przez który przebijał się statek Luke'a Skywalker'a. Pilot zwiększył moc osłon, aby uchronić statek przed uszkodzeniami, jakich doznał jego X-skrzydłowiec, gdy po raz pierwszy przybył tutaj, by znaleźć mistrza Jedi, Yodę.

Na Dagobah było wiele różnych stref klimatycznych, wiele miejsc mniej obfitujących w życie niż bujne bagna; ale Yoda wybrał kryjówkę na terenach bagnistych, gdzie mógł lepiej zamaskować swoją obecność pośród licznych stworzeń.

Luke opowiadał o Yodzie, prowadząc statek przez prześwit firmamentu.

– Za pierwszym razem wylądowałem w trzęsawisku, a mój X-skrzydłowiec zatonął. Myślałem, że nigdy się stąd nie wydostanę, do czasu aż Yoda wykorzystując Moc wyciągnął mój statek z wody. Sądziłem, że to niemożliwe. Powiedział, że właśnie dlatego mi się to nie udało.

Luke zaryzykował spojrzenie na Callistę, odwracając uwagę od pilotażu.

– Musisz wierzyć w siebie. Odzyskasz swoje zdolności. Nie sądz, że to niemożliwe.

Skinęła głową.

– Wiem, że nie jest to niemożliwe, i zamierzam tego dokonać.

Reflektory statku rzuciły jasne snopy światła na podmokłą powierzchnię poniżej. Luke dostrzegł polanę, która wyglądała jakby była wyłożona białymi kamieniami, lecz gdy skierował w to miejsce reflektory, w świetle przedzierającym się przez mgłę zobaczył, że białe głązy w rzeczywistości są dużymi, okrągłymi grzybami. Gdy padły na nie promienie światła z reflektorów, ich wrażliwa skórka pękła, odsłaniając liczne zarodniki. Dało się słyszeć tępe trzaski, gdy rośliny zaczęły otwierać się, by mnożyć się w nagłej reakcji na falę światła.

Luke sprowadzał statek na dół, uważnie przebierając palcami po przyciskach pulpity kontrolnych, bacząc, by statek osiadał równo i łagodnie. Grant pod nim wydawał się pewny. Luke wyłączył silniki.

– Czy wybierzemy się na przechadzkę po bagnach? – zapytał, podając ramię Calliscie.

Oboje mieli na sobie gładkie, nie przepuszczające wody kombinezony oraz twarde obuwie, pozwalające im lepiej poruszać się po wodnistym terenie. Gdy Luke otworzył pokrywę wjazdu, dzięki odgłosy milionów żywych stworzeń – rechot, krakania, jęki, pogwizdywania – uderzyły w jego uszy; chaos dźwięków natury, w porównaniu z którym Yavin Cztery wydawał się oazą spokoju. W powietrzu było gęsto od komarów i innych gryzących insektów.

Luke stał na rampie prowadzącej ze statku jakby oszołomiony. Mgła zaczynała powoli rzednąć. Z wrażliwych okrągłych grzybów śnieżny prysznic zarodników opadał na ziemię. Luke poczuł ciężką, wilgotną woń rozkładu, ale i świeżego życia.

– Yoda – szepnęła, gdy nawiedziły go wspomnienia.

– To miejsce jest tak żywe – odezwała się Callista, która stanęła przy nim, wrywając go z zamyślenia. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tego, że nie może, przy użyciu Mocy, wyczuć jej obecności, tak jak potrafił wyczuć obecność każdej innej istoty.

W jej głosie dawało się wyczuć cień zawodu.

– Widzę wszystko i słyszę, ale nie potrafię odczuć tej pulsującej pajęczyny żywych istot, tak jak powinnam.

– Poczujesz – powiedział Luke, ujmując jej dłoń. – Poczujesz. Chodź.

Oddalali się od statku, zagłębiając w tętniące życiem moczary. Olbrzymie, sękate i zdeformowane drzewa pięły się pod niebo, ich poskręcane korzenie przypominały zgięte w kolanach łapy wielonożnych gigantów. Korzenie splatały się ze sobą, łączyły w przeróżne łuki i sklepienia, tworząc mroczne gniazda dla niezliczonych stworzeń. Dzień był szary i mglisty, a w miarę jak zbliżał się zachód, stawał się jeszcze ciemniejszy.

Luke zdawał sobie sprawę, że dom Yody już dawno wchłonęły moczary. Pozostałe szczątki były z pewnością w jeszcze gorszym stanie niż zrujnowana chata Bena Kenobiego. Nie chciał wracać w miejsce, w którym siedział przy łożu śmierci swego mistrza Jedi, poznając prawdę o ojcu i siostrze, obserwując, jak pomarszczone oblicze Yody zapada w nicość, gdy po dziewięciuset latach jego duch opuścił ciało.

Razem z Callista brnęli przez rozległe kałuże, wspinali się na przewalone drzewa, płosząc przeróżne zwierzęta, które uciekały w bardziej zacienione zaułki lub wskakiwały do wody. Jakieś większe zwierzęta porykiwały gdzieś w oddali, przedzierając się przez ostępy.

Luke opowiadał o Yodzie i o swoim treningu: bieganiu po bagnach, unoszeniu w powietrze głazów i Artoo-Detoo, poznawaniu tajników filozofii Jedi, które Yoda zdradzał mu, tłumacząc wszystko w swym dziwnym języku.

Mgła tuż przy ziemi zgęstniała tak, że formowała białe zwoje wokół łydek. Na twarzy Callisty rysowała się ciekawość i jakieś zadziwienie, coś, czego Luke nie widział u niej od pewnego czasu. Niekiedy zaciskała zęby, jakby wysilała się, próbując coś zrobić. Najwidoczniej nie udawało się jej, nie mówiła jednak nic, ścisnęła tylko mocniej jego dłoń.

Biały, pokryty guzami pająk, tak wysoki jak człowiek, wylazł ze stosu gałęzi, jego zgięte odnoża przypominały korzenie olbrzymich drzew. Lecz ten łowca nie miał zamiaru zrobić im nic złego i wycofał się, ruszając na poszukiwanie jakiegoś mniejszego żeru.

– Powinniśmy wracać w stronę statku – zaproponował Luke. – Robi się ciemno. Możemy rozpocząć nasze ćwiczenia jutro.

Skierowali się z powrotem ku polanie, gdzie wylądowali, i usiedli w ciemnościach. Callista przyniosła podręczną lampę, a Luke zabrał trochę racji żywnościowych. Siedzieli na ziemi, otoczeni poświatą sącząca się z lampy i zabrali się do jedzenia.

– Co za miejsce na piknik – uśmiechnęła się Callista.

Przeżuwała kawałek czegoś, co przypominało baton, podczas gdy Luke wpatrywał się w swoją pozbawioną smaku porcję.

– Yoda nie lubił tego jedzenia – powiedział. – Nie mogłem pojąć, jak zdołałem urosnąć taki wysoki, pożywiając się czymś podobnym. Przyrządził mi nawet jakiś rodzaj gulaszu, ale sędzę, że lepiej nie wiedzieć, co w nim było.

Owady zaczęły roić się wokół nich, przyciągane przez światło.

– Może wejdziemy do środka? – zapytał Luke. – Tam jest wygodniej.

Callista pokręciła głową.

– Wygodnie było nam na tamtej komecie. Tutaj nie jestem po to, by czuć się wygodnie. – Spojrzała w górę, na nieprzeniknione, czarne niebo. – Chciałam tu poczuć coś innego... ale na razie mi się nie udaje. – Odwróciła się nagle, wpijając szare oczy w Luke'a, a on dostrzegł w nich pustkę i lęk. – Dlaczego jesteś ze mną, Luke'u? zapytała.

Zamrugnął nerwowo, zaszokowany jej pytaniem.

– Jesteś mistrzem Jedi – ciągnęła – jednym z wielkich bohaterów Rebelii. Mógłbyś być z każdą

kobietą, z jaką byś chciał.

Zdumiony Luke uniósł dłoń, by jej przerwać.

– Nie chcę nikogo innego, Callisto – chcę ciebie.

Cisnęła resztkę swojej racji w bagno, gdzie baton plusnął wpadając do pokrytej wodorostami wody. Między wodnymi stworzeniami wywiązała się natychmiast walka o smakowity kąsek.

Callista siedziała ponura i gniewna.

– Rozumiem, Luke'u – ale nie możesz myśleć tylko o swoich uczuciach. Masz pewne obowiązki w stosunku do Nowej Republiki... do rycerzy Jedi. Jeśli nie odzyskam swoich zdolności, pociągnę cię ze sobą na dno.

Czule dotknął jej ramienia.

– Nie, Callisto. Ja...

Callista zerwała się, odsuwając się od niego.

– Tak! Jest tylko jeden sposób na to, byśmy mogli być razem. Wszystko albo nic. Jeżeli nie odzyskam Mocy, nie będziemy mogli być razem. Lepiej powinieneś zacząć przygotowywać się na tę ewentualność. Nie chcę być wiecznie w twoim cieniu, niezdolna czynić rzeczy, które ty czynisz z łatwością... upokorzona. Jeśli nie będę ci równa, nie będę też partnerem w tym związku. Tak musi być.

– Hej, poczekaj chwilę... – rzucił Luke, próbując ją uspokoić.

Niespodziewanie, z charakterystycznym piskliwym krzykiem, z pobliskich drzew uniosła się chmara noconietoperzy i rzuciła się w dół. Miały owadzie korpusy z dużymi skrzydłami i po trzy pary cienkich łap, zwieńczonych niewielkimi, ostrymi szponami. Przyciągnięte przez światło, nietoperze mknęły w stronę Luke'a i Callisty. Inne latające stworzenia w popłochu uciekały im z drogi.

Nietoperze zaatakowały na oślep, uderzając na Callistę i Luke'a, rozdzierając szponami jego kombinezon i raniąc go w kark. Luke próbował odpędzić je wymachując rękoma. Dwa z nich wczepiły się Calliście we włosy, walcząc między sobą, podczas gdy dziewczyna miotała się, próbując je strącić. Rozległ się syczący trzask, gdy Luke wyciągnął swój świetlny miecz. Callista zrobiła to samo.

Luke wykorzystywał Moc, by uderzać w latające cele, lecz następne nietoperze uderzały na niego tuzinami. Ostrza mieczy świetlnych pobłyskiwały wyraźnie w ciemnościach, jedno topazowe, drugie zielonkawożółte – ściągając jeszcze więcej nocnych stworzeń.

Callista, rozdrażniona, rąbała mieczem na prawo i lewo, trzymając go niezgrabnie, jak maczugę, która roztrzaskiwała wszystko, co napotkała na swej drodze. Luke obciął właśnie skrzydła jednemu z nietoperzy, zauważając, że zlatuje się ich jeszcze więcej.

Callista wykrzykiwała przekleństwa pod adresem złośliwych stworzeń, tnąc powietrze, jak popadło, i waląc z całej siły. Ten widok wstrząsnął Lukiem. Nigdy wcześniej nie widział u niej takiej furii, takiej niepohamowanej, dzikiej wściekłości. Callista rąbała mieczem nietoperze tak, jakby stanowiły wcielenie jej największego wroga.

– To nie w porządku! – krzyknęła, rzucając Luke'owi krótkie spojrzenie. – W końcu cię odnalazłam – a teraz miałabym się poddać. – Jej głos jeszcze nie ucichł, gdy uderzyła swym słonecznożółtym ostrzem w takiej eksplozji złości, że przecięła kilka nietoperzy za jednym zamachem. – To nie w porządku.

Gdy dawała upust wściekłości, Luke poczuł, jak dociera do niego płynąca od Callisty nikła, mroczna fala. Schwycił niejasny obraz jej obecności w Mocy, coś jak postać widzianą przez chwilę

w jednym błysku lampy stroboskopowej.

– Zostawcie nas! – wrzeszczała, napierając na miotające się nocne stworzenia. Nietoperze, które ocalały, poczęły oddalać się od nich, zataczając nierówne spirale, po czym popiskując, zniknęły w ciemnościach. Kawalek polany, na którym stali, spowiła kompletna cisza.

Callista zmniejszyła moc świetlnego ostrza po czym zamarła osłabiona, patrząc na pobojuwisko. Luke wyłączył swój miecz i spojrzał na nią, wciąż zaskoczony. Zza kręgu światła wyznaczanego przez ich lampę, do uszu Luke'a zaczęły docierać odgłosy poruszenia jakby jakieś większe drapieżniki zbliżały się do polany, zwabione zamieszaniem. Gdzieś poza zasięgiem wzroku trzasnęła duża gałąź, złamana przez wielkie zwierzę.

Luke wyłączył podręczną lampę i na moczarach zapadł mrok, rozświetlany jedynie światłem fosforyzujących insektów i nikłą poświatą, jaką otaczała grzyby. Lecz mimo to duże, niewidoczne drapieżne zwierzęta nie przestały się zbliżać.

Chwycił ramię Callisty, a dziewczyna zeszywniała, tak jakby dotknął jej ktoś zupełnie obcy.

– Chodź – powiedział Luke. – Musimy dostać się do środka, zanim znów coś na nas napadnie.

Przemogła strach i poszła z nim w kierunku rampy prowadzącej na pokład ich kosmicznego pojazdu. Luke uruchomił systemy zabezpieczające i zamknął statek, włączając blokady na całą noc.

Opadli na jedną z ławek przeznaczonych dla pasażerów i Callista oparła się o Luke'a. Objął ją i przytulił mocno. Drżała, oddychając niespokojnie.

– Udało mi się otworzyć na moment – oznajmiła.

– Wiem – odparł Luke. – Poczuję to.

Spojrzała na niego, jej oczy zdradzały przerażenie.

– Ale to była ciemna strona Mocy, Luke'u! Oboje to rozpoznaliśmy.

Luke skinął głową, wpatrywali się w siebie z mieszaniną nadziei i strachu.

– Przynajmniej przełamałaś się – powiedział. – Może teraz uda ci się coś zrobić.

Callista usiadła prosto, zbierając siły. Z moczarów na zewnątrz zabezpieczonego statku docierały stłumione odgłosy stworzeń rojących się na Dagobałi. W końcu Callista odezwała się z całkowitym przekonaniem:

– Nie warto, Luke'u. Jeśli mam dotknąć ciemnej strony, by odzyskać moje zdolności, to wolę już nie być Jedi.

Rozdział 27

PAS ASTEROID HOTH

Zaraz po tym, jak zirytowany Durga wyruszył na Nal Hutta w jakiejś niespodziewanej dyplomatycznej misji, imperialny generał Sulamar stał się jeszcze bardziej napuszony pod nieobecność Hutta, który tłumiał jego dyktatorskie zapędy.

Zdawało się, że Sulamar uważa się za drugie wcielenie wielkiego moffa Tarkina, nosząc się dumnie jak paw i wydając polecenia. Ale inaczej niż w przypadku Tarkina, rozkazy Sulamara były kapryśne i bezwartościowe, a generał nie miał ani tak wielkiej władzy jak Tarkin, ani tak wielkiej charyzmy.

Lemelisk ignorował Sulamara. Zawsze czuł jakąś antypatię w stosunku do nadętych wojskowych. Poza tym miał swoją pracę do wykonania.

Posuwająca się naprzód konstrukcja potężnego Miecza Ciemności napełniała jego serce radością, gdy przyglądał się jej z oddali, z pokładu statku ekspedycyjnego Orko SkyMine. Podstawowe elementy superbroni zaczynały nabierać kształtu, durastalowy szkielet formował się w cylindryczny tubus, przypominający gigantyczny, okrągły tunel.

Generał Sulamar miał użyć swych wpływów, by sprowadzić główne elementy komputerowe rdzenia ze starych imperialnych stoczni, części, dzięki którym Miecz Ciemności będzie mógł sprawnie działać. Huttowie nie byli w stanie ich zdobyć za pomocą swych zwykłych kontaktów, ale Sulamar obiecał im je dostarczyć, co jeszcze zwiększyło jego zarozumiałość. Lemelisk uwierzył, że generał jest w stanie zdobyć potrzebne elementy komputerowego rdzenia, dopiero wówczas, gdy zobaczył je na własne oczy.

Pod nieobecność Durgi Sulamar uwielbiał przebywać na mostku, stojąc dostojnie w miejscu, w jakim zazwyczaj wisiała platforma Hutta. Zniszczona przez czas, ale jakby dziecinna twarz generała przybierała wówczas poważny, zamyślony wyraz.

Sam Lemelisk wolał prywatne pomieszczenie obserwacyjne Durgi, w którym Hutt zwykle odpoczywał. Tam właśnie, wpatrując się w wielkie grudy orbitujących skał, Lemelisk mógł znaleźć trochę samotności i spokoju ducha, i pozwalał, by jego umysł skupiał się na przeróżnych pomysłach i ideach, na których realizację przyjdzie kiedyś czas. Możliwości destrukcyjne nowej broni uświadamiały mu potęgę, jaka zawarta była w tym jednym kosmicznym obiekcie. To go uspokajało.

Od czasu, gdy uruchomiono Szperacze Gamma i Delta – przeprogramowane tak, by ignorowały siebie nawzajem jako potencjalne cele czy źródła surowców – prace posuwały się zdumiewająco szybko. Dzień po dniu Lemelisk mógł obserwować, jak olbrzymi projekt rozkwita, jak chaos bezładnych, dryfujących w przestrzeni dźwigarów przemienia się w długi, lśniący kształt przywodzący na myśl rękojeść świetlnego miecza, z tą różnicą, że ten superlaser będzie zdolny niszczyć całe planety.

Klucze do sukcesu stanowiły Taurille – to było mistrzowskie posunięcie Durgi i Lemelisk doceniał pomysł Hutta. Przypominające mały stworzenia o wielu ramionach były zręczne, silne i dość inteligentne.

Lemelisk nie miał pojęcia, skąd Durga wziął tysiące specyficznych skafandrow do pracy w otwartej przestrzeni: małych, hermetycznych, ogrzewanych i z taką ilością rękawów, by nadawały się dla Taurillów. Niczym chmara szarańczy, niewielkie stworzenia roily się wszędzie, pracując kolektywnie w obrębie konstrukcji.

Początkowo, z wielką niechęcią, Lemelisk spędził kilka ładnych godzin z parą Taurillów, dwoma wyglądającymi na głupawe zwierzakami, które reprezentowały cały organizm. Wyświetlał na holoprojektorze plany Miecza Ciemności, tłumacząc im dokładnie szczegóły konstrukcji, i pieczołowicie pokazywał wszystko krok po kroku. Zrazu zdawało mu się, że przemawia do pozbawionych jakiegokolwiek inteligencji futrzanych kulek, wpatrujących się w niego bezmyślnie. Jednak w gruncie rzeczy wiedział, że te tępe, lekko zdziwione oczy były oknami, przez które spoglądała Superświadomość Taurillów, zdolna odbierać wszystko poprzez tę dwójkę obserwatorów, umiejąca przyswajać i rozumieć informacje. Lemelisk miał przynajmniej taką nadzieję.

Te połączone jednym umysłem stworzenia pracowały wspólnie, poznawszy szczegóły całego projektu. Gdyby wszystko poszło dobrze, superbroń zostałaby zbudowana w rekordowym czasie.

Patrząc, jak na jego oczach powstaje potężny cylindryczny obiekt, Lemelisk odczuwał dziwne drżenie. Jakże wspaniale było obserwować tych zapalonych budowniczych...

Skazańcy z kolonii karnej na planecie Despayre dowiedli, że zupełnie nie są w stanie sprostać rygorom narzuconym przez konstrukcję pierwszej Gwiazdy Śmierci. Byli nie wyszkoleni, fizycznie słabi i psychicznie niezrównoważeni – beznadziejna siła robocza pod każdym względem. Ostatecznie, po tym jak wielokrotnie powtarzali karygodne i kosztowne błędy, Lemelisk zwierzył się ze swojego niezadowolenia wielkiemu moffowi Tarkinowi, a ten przedsięwziął odpowiednie kroki.

Zaraz po zakończeniu egzekucji całej załogi pracującej przy budowie stacji bojowej, Tarkin wraz z Lemeliskiem i sześciuset szturmowcami udali się na planetę Kashyyyk, by przeprowadzić nową rekrutację.

– Wookie to zwierzęta – powiedział Tarkin; jego twarz wyglądała jak wyciosana w kamieniu. – Kudłate i dzikie, i cuchną... ale są dość inteligentne. Odpowiednio potraktowane, mogą stanowić zadowalającą siłę roboczą, i oczywiście opłacalną. Ich planeta znajduje się na uboczu i jest słabo zamieszkała. Nieliczni handlarze odwiedzają ją w swoich drobnych interesach, ale nie dzieje się tam nic istotnego. Dlatego właśnie już wcześniej uczyniliśmy para Wookiech niewolnikami.

– Wiem – odparł Lemelisk. – Wykorzystywaliśmy grapę tych bestii do pomocy przy budowie Laboratorium Otchłani. Chociaż ja sam nie miałem z nimi zbyt często do czynienia.

– Tak – mruknął Tarkin, kiwając głową – więc musisz wiedzieć, że bywają nieokrzesani.

– To prawda, lecz są też wyjątkowo silni.

Gwiezdne niszczyciele zostały na orbicie, podczas gdy wahadłowce szturmowe przebijały się przez atmosferę ostrzeliwując powierzchnię planety, by ściągnąć uwagę tubylców. Lemelisk cały czas towarzyszył wielkiemu moffowi. Szukali jakiegoś dogodnego miejsca do lądowania. Lemelisk wyglądał przez iluminator dla pasażerów, z konsternacją obserwując gąszcz gałęzi i liści, wśród których roily się od robactwa. Robiło mu się niedobrze, gdy myślał o tym, jak niewiele mieszkańcy

tej planety czynili, by polepszyć swoje życie: żadnego postępu, żadnej cywilizacji, jedynie prymitywne domy na drzewach. Sam las także nie był eksploatowany – Lemelisk nie wierzył własnym oczom i zdecydowanie zmniejszył swe oczekiwania w stosunku do inteligencji Wookiech.

Szturmowcy zlokalizowali prymitywne lądowisko, zbudowane na tysiącach pali metrowej grubości. Choć lądowisko wyglądało na raczej rachityczne, okazało się dość solidne, gdy osiadły na nim wahadłowce szturmowe.

Wookie, jacy wyszli im na spotkanie, mówili między sobą jakimś niezrozumiałym językiem, który był mieszaniną bełkotu i porykiwania. Niektórzy z przywódców Wookiech znali także powszechny język basie, więc gdy Tarkin przedstawił swoje żądania, przywódcy mogli przetłumaczyć jego słowa innym. Gdy wreszcie skończyli i rozległ się jeden wielki ryk złości, można było mieć pewność, że Wookie pojęli wszystko, tak jak powinni.

Lemelisk westchnął. Tarkin będzie musiał użyć innych, bardziej przykrych sposobów, by ich przekonać.

Chwilę później wahadłowce szturmowe, zataczając kręgi, zaczęły ostrzeliwać teren z dział laserowych, aż całe połacie lasu stanęły w płomieniach. Słupy gęstego dymu wzbijały się w górę, pełnząc na niebie niczym czarne plamy zaschniętej krwi. Wookie nie przestawali ryczeć i zawodzić.

Lemelisk zaczął już planować, jak wykorzystać harde stworzenia przy konstrukcji Gwiazdy Śmierci, próbując obliczyć, ilu strażników będzie trzeba do upilnowania jednej grapy Wookiech i jak liczne powinny być poszczególne zespoły. Podobne szczegóły administracyjne czy techniczne zawsze zajmowały Lemeliska w środku realizacji jakiegoś trudnego projektu.

Za pomocą uderzeń energetycznych biczów młodzi Wookie zapędzeni zostali do obozów jenieckich, a dorosłe samce i samice prowadzono do ładowni statków. Jeden z samców o srebrzystym futrze zbuntował się i począł tłuc szturmowców na lewo i prawo. W parę chwil inni Wookie włączyli się do walki, ale Tarkin się nie wahał. Rozkazał swym ludziom zabić każdego Wookiego, który stawiał opór.

Samiec o srebrzystym futrze poszedł na pierwszy ogień, spadając z platformy lądowiska z dymiącą dziurą w piersi. Jego ciało runęło, przebijając się przez gąszcz zieleni, aż w końcu zamarło na kilku grubych konarach wysoko nad ziemią. Pozostali buntownicy zostali równie bezwzględnie wybici i opór wygasł szybko. Od tej chwili wszyscy Wookie musieli nosić powrozy, ściśle krępujące ich ręce.

Lemelisk pragnął, by Tarkin jak najszybciej wrócił na teren budowy, tak by można było zacząć trening nowych pracowników. W końcu istniał nieprzekraczalny termin zakończenia konstrukcji, a Imperator liczył na nich. Czy ci Wookie potrafili to zrozumieć? Sądził, że raczej nie. To były tylko bezmyślne zwierzęta.

Podczas drogi powrotnej i w ciągu długich dni szkolenia udało się niemal całkowicie złamać opór Wookiech, dzięki nieustannym transmisjom odpowiednich fal stymulujących, narkotykom dodawanym do ich pożywienia oraz groźbom pod adresem zakładników, jakich Tarkin trzymał na planecie Kashyyyk.

Gdy Wookie przeszli już okres szkolenia i indoktrynacji, i zaczęli pracować, Lemelisk dumny był z tego, jakie robią postępy. Jako robotnicy byli efektywni i kompetentni, przynajmniej pod czujnym okiem strażników, którzy pilnowali, by nie doszło do żadnych prób sabotażu.

To był wspaniały widok, przypatrywać się, jak konstrukcja Gwiazdy Śmierci szybko posuwa się naprzód...

O ile Bevel Lemelisk wiedział, budowa Miecza Ciemności przebiegała pomyślnie, lecz inżynier miał złe przeczucia co do Taurillów pracujących w tak ogromnym tempie. Przypomniawszy sobie, jak wiele kłopotów sprawiali niechętnie pracujący Wookie, zrobił nawet teleskopową analizę, porównując elementy holograficznego planu Miecza Ciemności z tym, co mógł rozpoznać w durastalowym szkielecie.

Taurille pracowały wydajnie i zadziwiająco szybko – lecz ich wielką wadą, jaką odkrył Lemelisk, było to, że łatwo się rozpraszały. Umysł łączący wszystkie Taurille miał tysiące różnych punktów zaczepienia uwagi i gdy jedna z asteroid zbliżyła się za bardzo do konstrukcji lub w zasięgu wzroku pojawił się jakiś statek przemysłowy, cały organizm skupiał uwagę na nowym obiekcie. Gdy Superświadomość zaczynała się bardziej interesować takim obiektem, coraz więcej małych członków wspólnoty zwracało się w jego stronę, ustawiając się tak, by mieć jak najlepszy widok, i obserwując intrygujący obiekt z nowej perspektywy.

Niestety, w ten sposób małe stworzenia zmieniały swoje wzajemne położenie i kiedy wracały do pracy, wiele z nich kontynuowało ją na nowych stanowiskach, łącząc elementy inne niż powinny lub szczipając niewłaściwe dźwigary.

Podczas pieczołowitego sprawdzania konstrukcji Lemelisk poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła: poważna część zewnętrznego szkieletu Miecza Ciemności była rzeczywiście źle zmontowana, wsporniki źle połączone, niektóre elementy nie na swoim miejscu. Potężny pojemnik z głównym rdzeniem komputera podłączono do pompy wydalania zbędnego ciepła. Punkty zaczepienia superlasera były przesunięte w stosunku do siebie o dziewiętnaście stopni i umieszczone tak, że gorzej już być nie mogło.

Lemelisk natychmiast opuścił przytulne pomieszczenie obserwacyjne Durgi. Musiał znaleźć jednego z Taurillów i nawrzeszczec na niego, wyjaśniając błędy konstrukcyjne. Nie miało znaczenia, do którego ze stworzeń będzie mówił; wszystkie stanowiły jedność, i Superświadomość usłyszy go – o tak, Superświadomość go usłyszy.

Poczuł przerażenie na myśl o tym, że Durga dowie się o opóźnieniu prac i rozkaże, by przeprowadzić na nim egzekucję. Lemelisk nie chciał być ponownie uśmiercany.

Pocieszał się, że Hutt wyjechał. Lemelisk mógł rozkazać Taurillom, by rozebrali niewłaściwie zmontowane sekcje Miecza Ciemności i zdwajając wysiłki zabrali się do rekonstrukcji. Cały, złączony tym samym umysłem organizm będzie musiał całkowicie skupić swą uwagę na pracy, choć Lemelisk obawiał się, że jest to chyba niemożliwe. Być może jednak da się uratować sytuację, zanim zdarzy się coś gorszego.

Najprawdopodobniej generał Sulamar nawet nie zauważy całego zajścia.

Rozdział 28

HOTH

Zamarznięty świat Hoth tkwił pośród swoich księżyców jak spękana śniegowa kula. Callista siedziała za sterami kosmicznego jachtu, pilotując go zgodnie ze współrzędnymi, jakie dał jej Luke.

Luke wychylił się nieco do przodu w fotelu dla pasażera, zdradzając zniecierpliwienie.

– Tam w dole – powiedział – po raz pierwszy nawiedził mnie duch Obi-Wana, kiedy niemal zamarłem w sercu burzy śnieżnej. Polecił mi udać się na Dagobah i odnaleźć Yodę. Han próbował przekonywać mnie, że to była jedynie halucynacja.

Callista siedziała w milczeniu, trzymając dłonie na dźwigniach sterowniczych. Niechętnie myślała o drażnieniu tkwiących w niej zablokowanych mocy, po tym, jak na Dagobah otarła się o ciemną stronę. Luke martwił się, że to zamknięcie się w sobie i niepewność mogą zaszkodzić jej bardziej niż jakieś niepowodzenie, ponieważ teraz bała się nawet próbować. Luke musiał pomóc jej przełamać uczucie strachu.

Callista przyjrzała się lodowej planecie, gdy przebili się już przez mglistą atmosferę.

– Chciałabym, żeby mistrz Djinn Altis ukazał się w mojej wizji – odezwała się. Jestem pewna, że mógłby mi dać jakieś wskazówki.

Luke nie wiedział, co odpowiedzieć, więc jedynie ścisnął jej rękę. Spojrzała na niego z mieszaniną rozdrażnienia i frustracji.

– Nic mi nie będzie, Luke'u. Może nie mogę mieć wszystkiego, czego chcę, ale zamierzam zrobić wszystko, co będę w stanie. Nie poddałam się.

– Cieszę się, że to słyszę – odparł. – A tam w dole jest następne miejsce, by spróbować. – Luke wskazał na pokryte śniegiem lodowe pola poniżej ich schodzącego w dół jachtu. – To tutaj tak naprawdę nauczyłem się latać. Zmierzyłem się z Gwiazdą Śmierci pilotując mój X-skrzydłowiec, ale właśnie tu, podczas bitwy o Hoth, stałem się prawdziwym wojownikiem. Zostawiłem za sobą ruiny Bazy Echo, by znaleźć Yodę mówił dalej, uśmiechając się smutno na to wspomnienie – a jego pierwsze słowa brzmiały, że wojny nie czynią nikogo wielkim.

– Twój mistrz Yoda był bardzo mądry – powiedziała Callista. – Lecz czasami jednak trzeba walczyć. Bywa tak, że ma się do wyboru wszystko albo nic. To jedyny sposób, by zwyciężyć. – Przełknęła ślinę. – Dlatego poświęciłam się na pokładzie „Oka Palpatine'a”.

– Miejmy nadzieję, że już nigdy nie będziesz musiała stawać przed wyborem: wszystko albo nic.

– Ja też mam taką nadzieję – odparła z wymuszonym uśmiechem.

Callista leciała nisko nad ziemią, w promieniach popołudniowego słońca, które rozpałały jasnym ogniem bryły lodu, błyszczące mocno na białawym tle. Przyciemniła osłony iluminatorów, by zmniejszyć rażący blask.

– Nie wiem, jak Baza Echo będzie wyglądała w środku – oznajmił Luke. Odniosła wiele

poważnych uszkodzeń podczas walki, poza tym przez lata była opuszczona. Nie możemy spodziewać się takich luksusów jak na komecie Towarzystwa Mulako.

Callista wpatrywała się w zmrożone, pokryte śniegiem przestrzenie.

– Przynajmniej nie będzie tu robactwa czy jakichś nietoperzy. – Nagle wyprostowała się w swym fotelu. – Ej, co to za statek?

Gdy przybliżyli się do kilku skalistych pagórków, Luke spostrzegł ciemniejący kadłub spoczywający w śniegu, pośród mnóstwa okopconych, zrujnowanych części statku.

– To nie może być pozostałość po bitwie – stwierdził. – Miała miejsce przed dziewięciu laty. To coś nowego. – Luke wpatrywał się w spalone szczątki, próbując coś wyczuć. – O ile potrafię powiedzieć, nie ma tam niczego żywego. Wrak jest dość świeży, ale leży tu już jakiś czas.

Callista posadziła jacht nieopodal wraka, blisko ukrytych drzwi, prowadzących do zamkniętej, znajdującej się pod warstwą lodu Bazy Echo. Dwukrotnie sprawdziła szczątki skanerami.

– Tak, metal jest wszędzie zimny. Temperatura otoczenia. Spoczywa tu przynajmniej parę dni, ale może i parę tygodni.

Luke otworzył przegrodę, zza której wyjął dwa kombinezony izolujące, wiszące obok pary w pełni wyekwipowanych skafandrów. Oboje naciągnęli kombinezony, włączyli systemy ogrzewania ciała i włożyli rękawice. Luke zatknął za pas swój miecz świetlny, wręczając Calliście drugą gładką, czarną rękojeść.

– Trzymaj, lepiej żebyś miała miecz przy sobie.

– Nie chcę – odrzekła Callista odwracając wzrok.

– Tak czy inaczej, powinnaś – powiedział Luke. – Zawsze masz możliwość nieużywania go.

Zaciskając wargi, wzięła od niego miecz, wciąż jednak unikała jego spojrzenia.

Opuścili statek i otoczyło ich przeraźliwe zimno panujące na Hoth. Drzwi statku zostawili zamknięte, ale nie zablokowane, na wypadek gdyby musieli wracać w pośpiechu. Callista drżała, stąpając obok Luke'a.

– Zimno tu – powiedziała.

Uniósł brwi i poczuł szron, który już pokrył jego policzki.

– Zimno? – powtórzył. – To przecież najcieplejsza część dnia.

Zlodowaciały śnieg chrząścił pod ich butami, gdy stąpali w stronę rozbitego statku.

– To samotny transportowiec – oznajmił Luke, pochylając się nad osmalonym kadłubem. – Prawdopodobnie statek do forsowania blokad lub lekki frachtowiec, z rodzaju tych, jakich używają przemytnicy czy kłusownicy.

Callista podniosła poskręcany kawałek metalu, oglądała obracając go w palcach, po czym cisnęła na ziemię. Gdy oddychała, z jej ust unosiła się biała para.

– Myślisz, że się rozbili? – odezwała się w końcu. – Nie widzę żadnych ciał.

Luke pokręcił głową. Ostre, lodowate powietrze wdzierało się przez jego nozdrza, tnąc jak brzytwa.

– Nie, spójrz uważnie. Statek wylądował bezpiecznie i potem eksplodował już na ziemi. Śnieg nie jest nigdzie rozorany. Gdyby statek spadł z orbity, na śniegu widać by było długi i głęboki ślad kolizji.

Luke spojrział na zamaskowane śniegiem wejście do Bazy Echo.

– Może schronili się w środku. – Wskazał na wyloty luf dział blasterowych znajdujących się po obu stronach drzwi. – Sprawdźmy to – ale bądź ostrożna.

Zerwał się wiatr, przemykając pośród skał i wzbijając krystaliczny lodowy pył pośród śnieżnych wydm. Wejście otoczone było skałami, choć w przeważającej części Baza Echo stanowiła wielką jaskinię, wydrążoną w zbitym odwiecznym śniegu i lodzie.

Gdy podchodzili do drzwi, para blasterowych dział tkwiących na swych stanowiskach jak wartownicy nagle poruszyła się. Wieżyczki strzelnicze zaczęły się obracać, długie, śmiercionośne lufy szukały celu – i znalazły go.

– Uważaj! – krzyknęła Callista, odpychając Luke'a. Rzucił się w bok, używając Mocy, by odskoczyć jak najdalej. Callista zrobiła to samo, spadając na ziemię w chwili, gdy rozległ się pierwszy strzał. Para buchnęła ze świeżego krateru wypalonego w lodzie.

Luke zaczął biec z powrotem w jej stronę. Callista turlała się po śniegu, poza zasięg dział. Wieżyczki obróciły się, biorąc na cel Luke'a, i broń wypaliła ponownie. Luke skoczył i promień chybił celu, roztrzaskując jedną z oblodzonych skał.

Gdy blasterowe działo strzeliło po raz trzeci, Luke wyciągnął miecz świetlny i błyskawicznie osłonił się, odbijając promień energetycznym ostrzem. Siła, z jaką blasterowa wiązka uderzyła w miecz, przewróciła Luke'a, jedynie syntetyczna ręka pozwoliła mu wytrzymać uderzenie.

– Muszą mieć detektory ruchu, Luke'u. Namierzają nas, gdy się poruszamy! krzyknęła Callista. – Pobiegnę i odciągnę ogień. Ty użyj Mocy, by zbliżyć się do dział i unieszkodliwić je.

– Nie! – wrzasnął Luke. – To zbyt...

Ale Callista już biegła. Luke wiedział, że dziewczyna postępuje tak zawsze: podejmuje decyzję, po czym przechodzi do akcji, nie myśląc o ryzyku ani innych możliwościach działania. Callista pędziła zygzakiem po śniegu. Obydwa blasterowe stanowiska drgnęły, lufy poruszyły się, namierzając ją.

Luke skoczył naprzód, lądując tuż przy podstawie jednego z dział. Trzymając miecz świetlny w jednej dłoni, wdrapał się na wieżyczkę i ciał pobłyskującym ostrzem, obcinając lufę. Zeskoczył na śnieg w chwili, gdy uszkodzone przez niego działo oddało strzał: wieżyczka z obciętą i stopioną na końcu lufą uległa zniszczeniu, wybuchając.

Drugie działo namierzyło Callistę. Dziewczyna zrobiła nagły unik w bok i rzuciła się w śnieg ułamek sekundy przed tym, jak broń wypaliła, posyłając w jej kierunku przeraźliwie jasną blasterową wiązkę, która uderzyła w lód z taką siłą, że eksplozja odrzuciła Callistę jeszcze parę metrów dalej.

Luke nie miał czasu na to, by wdrapywać się na drugą wieżyczkę. Użył świetlnego miecza, by rąbnąć w samą podstawę stanowiska, tak jakby była ona pniem gigantycznego drzewa. Przebił się przez pancerną obudowę, a wtedy dymiący kawał durastalowej osłony runął na lód. Luke wraził żółtozielone ostrze w odsłonięty fragment podstawy dział, przeciął przewody zasilające i elektroniczne łącza, rozkrawając serce broni. Nad głową Luke'a złowieszczą lufa przechyliła się w jedną stronę, przez chwilę jakby szukając kolejnego celu, po czym zamarła.

Spojrzał w górę i zauważył, że sama instalacja dział musiała być doprowadzona do stanu użyteczności w pośpiechu, czujniki poprzepłatano z elementami systemów namierzających i niezdarnie podłączono do detektorów ruchu. Ruszył, by pomóc Calliście stanąć na nogi, zastanawiając się, czemu ktoś miałby czynić takie zamieszanie na tym opustoszałym świecie.

– Dobra robota – powiedziała Callista, gdy otrzepywali się wzajemnie ze śniegu.

– Tworzymy zespół, nawet bez moich zdolności Jedi.

Przy dźwięku przypominającym powolne rozkruszanie kamieni, drzwi prowadzące do środka Bazy

Echo rozstąpiły się i zaczęły ociężałe rozsuwać. Sople lodu oderwały się od framugi drzwi, a spore śniegowe czapy opadły na ziemię. W szczelinie na poły otwartego wejścia ukazały się jakieś ocienione postaci.

Luke zeszytywniał i odwrócił się, ściskając miecz świetlny w dłoni. Callista też trzymała swą broń, ale nie uruchamiała jej. Luke czekał, by przekonać się, kim są ich tajemniczy wrogowie.

– Nie stójcie tak – rozległ się donośny głos jakiegoś człowieka. – Wchodźcie szybko do środka, zanim te bestie tu wrócą!

Mężczyzna o ciemnych włosach i nie golonej od kilku dni brodzie wyszedł nieco na zewnątrz z blasterowym karabinem w ręku. Miał na sobie szczątki białej plastalowej zbroi. Obok niego stanął owłosiony, koci obcy. Kępki sierści sterczały na jego policzkach, pod wąskimi, czarnymi wargami tkwiły wyraźne kły. Luke natychmiast zorientował się, że to Cathar. Ten przedstawiciel obcej rasy także miał ze sobą blasterowy karabin i węszył w zimnym powietrzu, sprężony i gotowy do walki. Jednak żaden z nich nie celował w Luke'a ani w Callistę. Wydawało się, że wypatrują czegoś niedostrzegalnego, jakiegoś niebezpieczeństwa kryjącego się pośród śniegów.

Jeszcze jeden człowiek, wysoki i barczysty, pokazał się w środku tunelu, nakazując im gestem, by się pośpieszyli. Luke odwrócił się, by rzucić okiem na surowe otoczenie, na wymarłą jakby powierzchnię Hoth; wtedy poczuł nagły niepokój. Chwycił Callistę za ramię i ruszył z nią do schronienia.

Jedynie pięciu z nich przeżyło.

– Wydawało się, że to łatwy sposób na zarobienie paru kredytów, gdy zacząłem się rozglądać za nowym zajęciem – zaczął Burrk, były szturmowiec, który opuścił Imperium w zamieszaniu, jakie nastąpiło po bitwie o Endor. Od tamtego czasu żył na własną rękę, utrzymując się dzięki mętnym interesom i nie całkiem legalnej działalności. – Spiknąłem się z tymi dwoma Catharami, Nodonem i Nonakiem.

Dwaj przypominający koty obcy warknęli i obnażyli kły, wpatrując się przez zwężone źrenice w Luke'a i Callistę. Wyglądali identycznie, jeśli nie brać pod uwagę drobnej różnicy w odcieniu sierści.

– Pochodzą z tego samego miotu – ciągnął Burrk – i są wielkimi myśliwymi przynajmniej tak mówili. – Dwaj Catharowie prychnęli złowrogo, pokazując pazury. Ale zdawało się, że Burrk tego nawet nie zauważył. Potarł szczecinę na policzku. Jego oczy były jakby zapadnięte, kładł się na nich cień strasznego napięcia, tak jakby ktoś dręczył go wielokrotnie, a teraz miał lada moment wrócić. Wszyscy trzej zdołali uruchomić coś koło tuzina paneli jarzeniowych i żadnego z urządzeń ogrzewczych.

– Jak wiecie, na czarnym rynku jest bardzo wysoka cena za skórę wampy – mówił dalej Burrk, a w jego pociemniałych oczach pojawiła się iskierka dumy. Chociaż Luke wyczuwał prawdziwy strach czający się wokół nich w tym nie ogrzewanym pomieszczeniu, wycieńczony szturmowiec wydawał się coraz bardziej ożywiony, gdy przemawiał.

– Tak więc catharscy bracia i ja zdecydowaliśmy się zorganizować polowanie. Ściągnęliśmy tutaj myśliwych, by dla zysku tropili i zabijali „najgrubszego zwierza w całej galaktyce” – może to drobna przesada, ale to bez znaczenia dla bogatych baronów-administratorów, takich jak on. – Burrk wskazał na wysokiego, silnie umięśnionego mężczyznę o kamiennej twarzy, łagodnym uśmiechu i lodowatych oczach.

– Drom Guldi – przedstawił się mężczyzna – baron-administrator kopalń żelatyny na Kelrodo-Ai.

– Przepelniała go duma, tak jakby był przeświadczony, że wszyscy musieli o nim słyszeć. – Słyniecy z naszych wodnych rzeźb – dodał. – A to mój pomocnik. – Wskazał na mężczyznę o jasnych włosach i dziwnym wyglądzie; jego skóra pokryta była licznymi, drobnymi zmarszczkami, tak jakby jej powierzchnia popękała od jakiegoś wewnętrznego ciśnienia. – Sinidic.

Szturmowiec Burrk ciągnął opowieść, dając bogatemu myśliwemu znak głową, jakby w wyrazie niechętnego uznania. – Mieliśmy w tej wyprawie czterech klientów, ale jedynym wartym tego, by go zabierać, okazał się Drom Guldi.

– Sam upolowałem dziesięć tych wamp, gdy zaatakowały – oświadczył baronadministrator – chociaż nie mogliśmy wrócić i zebrać futer. – Zacisnął zęby, a na jego ogorzałych policzkach pojawił się rumieniec złości. – Nadciągały inne bestie i musieliśmy się wycofać.

– Ale co się stało? – zapytała Callista. – Jak doszło do tego, że znaleźliście się w takiej sytuacji, jak teraz?

Burrk wpatrywał się w swoją dłoń, zaciskając i rozprostowując palce.

– To był nasz trzeci wypad. Dwa wcześniejsze skończyły się pomyślnie. Tropiliśmy te bestie, zabijaliśmy jedną czy dwie i zostawialiśmy. W tym czasie one nauczyły się, jak działać razem. Sądziłyśmy, że są dzikie i tępe – same zęby i pazury, i żadnych mózgów – ale myliliśmy się.

Dwaj Catharowie syknęli, ich sierść zjeżyła się.

– Wiedzieliśmy o tej opuszczonej bazie. Wykorzystaliśmy ją jako miejsce, gdzie można się zatrzymać, ponieważ trudno znaleźć inne schronienie pośród tych śniegów powiedział Burrk i spojrzał na Luke'a. – Wyruszyliśmy w dwie drużyny; ja i Nodon na jednym statku, Nonak i pozostali na innym. To był dobry dzień na polowanie. Świeciło słońce. Wszystko wyglądało świetnie – Odwrócił zmęczone oczy, kierując wzrok na zacienioną cześć pomieszczenia. – Po powrocie znaleźliśmy naszego pilota zmasakrowanego – dosłownie zmasakrowanego... Mieliśmy przy sobie tę broń. Nigdy nam przez myśl nie przeszło, że mogą nas zaatakować.

– Nie docenialiśmy niebezpieczeństwa – rzucił Sinidic niepewnym, nosowym głosem, po czym zwiesił głowę, jak gdyby zdał sobie sprawę, że nie powinien być się odzywać.

– Kiedy próbowaliśmy dojść do tego, jak to się stało – kontynuował Burrk wampy musiały czekać na nas. One... nagle wyskoczyły znikąd i spadły na nas jak deszcz meteorów. Nie widzieliśmy ich. Zabiły jednego z przewodników i trzech innych klientów. Szczęśliwie udało się nam schronić w tej bazie... i zatrzasknęliśmy za sobą drzwi. – Przełknął, udrczony wspomnieniem.

Opowieść podjął Drom Guldi, mówiąc rzeczowo, jak człowiek interesu.

– Wtedy właśnie wysadziły nasz statek – powiedział. – To musiał być wypadek. Nie sądzę, by wiedziały, co robić. Same uruchomiły mechanizmy autodestrukcji.

– Jesteśmy tu od czterech dni – oświadczył Burrk. – Bez żadnych zapasów, a te stwory czekają na nas na zewnątrz. Nie mogliśmy nawet wysłać sygnału alarmowego.

– Czy macie broń na swoim statku? – przemówił Nodon, jeden z Catharów.

Luke i Callista spojrzeli po sobie.

– Broń? Nie – przyznał się Luke.

– Nie sądziliśmy, że weźmiemy udział w jakiejś walce – dodała Callista.

– Mieliśmy dwa blasterowe działa – powiedział Burrk. – Podłączyliśmy do nich detektory ruchu, by strzelały do wszystkiego, co się zbliży. Ale wy się już nimi zajęliście. – Jakieś niskie, niemiłe warczenie dobyło się z gardeł Catharów. – Teraz nic więcej nas nie chroni, jedynie te drzwi – a nie możemy zostać tu na zawsze.

– Z drugiej strony, wszyscy i tak nie zmieścicie się na naszym statku – powiedziała Callista, uprzedzając następne pytanie. – To tylko mały jacht. Ale możemy wysłać sygnał alarmowy i ściągnąć ekipę ratunkową. Będą tu za dzień lub dwa.

– Robi się ciemno – odezwał się Sinidic. – Czy nie powinniśmy szybko się na coś zdecydować? – Zwrócił się do Droma Guldiego: – Czemu nie rozkażesz im, by wracali na swój statek i wysłali sygnał?

– Wszyscy pójdziemy na ich statek – odparł Drom Guldi. – W innym razie Burrk mógłby na przykład wziąć ich jako zakładników i odlecieć, zostawiając nas tutaj samych. Przypuszczam zresztą, że wcale bym go za to nie obwinił.

Catharowie parsknęli, ale ze sposobu, w jaki patrzyli na byłego szturmowca, Luke przypuszczał, że uznali taką możliwość za bardzo prawdopodobną.

– Mamy tylko po tuzinie ładunków w naszych karabinach – oświadczył Burrk, wcale nie broniąc się przed oskarżeniem. – Jeśli zaatakują, nie utrzymamy się długo.

Drom Guldi potarł szczękę.

– Musimy zrobić jak najlepszy użytek z tego, co mamy. Stawimy opór.

Spojrzenia Luke'a i Callisty spotkały się. Niesienie pomocy ludziom było jednym z podstawowych obowiązków rycerza Jedi, i nie mogli odwrócić się od nikogo, nawet kłusowników czy wyzbytych skrupułów myśliwych, takich jak ci. Jednak Luke'owi ścierpła skóra na wspomnienie jego dawnego spotkania z wampa.

Dwaj Catharowie wstali z pustych kontenerów, które służyły im za siedzenia, i zaczęli szykować broń. Drom Guldi przewiesił karabin blasterowy przez ramię. Sinidic nie miał żadnej broni, ale trzymał się blisko barona-administratora. Burrk miał dwa blasterowe pistolety zawieszane u pasa; wyglądały na mocno zużyte i wielokrotnie reperowane. Luke zdał sobie sprawę, że raczej nie na wiele się przydadzą. On sam i Callista mieli swoje świetlne miecze.

– Zróbmy to szybko – rzucił Burrk, prowadząc ich do wyjścia. – Możemy uderzyć na te bestie... od kiedy nie musimy się już przejmować detektorami ruchu. – Łypnął w stronę Luke'a.

– Zostawmy drzwi częściowo otwarte, na wypadek gdybyśmy musieli się wycofać – zasugerował Drom Guldi. Burrk skinął głową.

Luke zauważył, że istnieje ciekawa relacja między tymi dwoma mężczyznami. Burrk był nominalnym dowódcą, lecz Drom Guldi – doświadczony administrator okazywał równą sprawność w wydawaniu poleceń w sytuacji silnego stresu. Wyglądało na to, że pragnąc przetrwać, ci dwaj mężczyźni stworzyli zespół.

Drzwi rozsunęły się i do wnętrza wdarło się lodowate powietrze i śnieżny pył. Niebo przybierało barwę purpury, w miarę jak dzień zmierzał ku końcowi. Luke i Callista biegli sprintem, prowadząc piątkę ocalałych istot. Minęli szczątki wysadzonego w powietrze statku kłusowników i zbliżyli się do małego kosmicznego jachtu.

Luke skupiał się na Burrku i pozostałych członkach jego ekipy, obawiając się, że zdesperowani, mogliby próbować strzelić jemu i Calliscie w plecy, aby przejąć ich statek – ale wyczuwał jedynie przemożny strach. Ci ludzie byli zbyt przerażeni, by myśleć o jakichś podstępach.

Gdy zbliżyli się do statku, spoczywającego spokojnie na śniegu, Luke zauważył, że pokrywa wjazdu jest otwarta.

– Hej, nie zostawiałam tak drzwi – powiedziała Callista.

– Mam złe przecucia – mruknął Luke. Catharowie spojrzeli po sobie, powarkując.

– Złe wieści – rzucił Drom Guldi, odgadując, co znajdują na pokładzie. Luke wspiął się po rampie, podczas gdy Callista została na zewnątrz, powstrzymując pozostałych przed wejściem na pokład.

Luke wszedł do sterowni i zamarł. System komunikacji był w strzępach, panele rozerwane potężnymi pazurami. Komputer nawigacyjny, wyrwany z obudowy i roztrzaskany o podłogę, stanowił jedynie gąszcz poszarpanych przewodów i zniszczonych układów. Z innych paneli kontrolnych sterczały końcówki porwanych kabli.

Wszystko wyglądało tak, jakby te bestie wiedziały dokładnie, co robić.

Luke poczuł przyływ strachu. Odwrócił się, by rzucić okiem na przegrodę, za którą zamknięte były skafandry – obydwie były pocięte i bezużyteczne.

Nagle na zewnątrz rozległ się wrzask przerażenia i huk blasterowego strzału. Luke błyskawicznie opuścił sterownię i zeskoczył z rampy. Callista dzierżyła już w dłoni świetlny miecz, jego topazowe ostrze błyskało jasno, trzaskając na mrozie.

Luke ledwo rozpoznawał stworzenia, które doskonale zlewały się ze śniegiem i skałami. Ich biała sierść sprawiała, że bestie stanowiły jedynie rozmazane plamy, gdy się poruszały. Z ich łbów sterczały zakrzywione rogi, łapy wieńczyły wielkie pazury, jak ostrza noży, zdolne ciąć i rozrywać. Atakowały rycząc wściekle.

Burrk wyciągnął oba pistolety i strzelił, kładąc trupem jedną z wamp, która padła w śnieg z dymiącymi dziurami w sierści. Dwaj Catharowie warczeli dziko, wymachując karabinami. Burrk próbował oddać kolejne strzały, ale okazało się, że jeden z pistoletów został już opróżniony. Wampy ryknęły jeszcze wścieklej, po czym wydały z siebie osobliwe wycie, które poniosło się przez puste przestrzenie jak groźna wzburzona fala.

Drom Guldi strzelał ostrożnie i precyzyjnie, trafiając kolejną wampę. Pozostałe bestie nie przestawały nacierać. Jeden z Catharów strzelał na oślep, posyłając przez śniegowe pustkowie blasterowe promienie, aż skończyła mu się energia.

Luke usłyszał odbijający się echem kolejny ryk, który zabrzmiał mu jakoś znajomo. Odwróciwszy się dostrzegł olbrzymią wampę stojącą na skalnym występie. Była większa niż pozostałe i wydawała z siebie dzikie ryki tak, jakby kierowała bitwą. Luke zauważył, że bestia ma tylko jedno ramię; druga łapa kończyła się przypalonym kikutem. Wampa nienawistnie machnęła w powietrzu swą jedyną szponiastą pięścią, gdy spostrzegła pobłyskujące świetlne miecze.

Jak jeden mąż, armia wamp ruszyła jeszcze szybciej w stronę swych ofiar.

Rozdział 29

NAR SHADDAA

Taurille pracowały bez przerwy, bez wytchnienia. Tysiące małych stworzeń kłębiło się w próżni, biegając po elementach konstrukcji i prace posuwały się naprzód w bezlitosnym tempie.

Bevel Lemelisk był niemal w ekstazie, widząc, że zaledwie w dwa dni pracowite stworzenia zdołały rozłączyć niewłaściwie złożone elementy, usunąć błędy i odtworzyć całe sekcje Miecza Ciemności. Lemelisk bacznie obserwował wysiłki Taurillów, modląc się, by nie zrobiły jakichś jeszcze poważniejszych błędów, które mogłyby umknąć jego uwadze.

W pewnej chwili, podczas najtrudniejszego etapu naprawiania usterek, kiedy główne elementy struktury superbroni zostały rozmontowane, generał Sulamar odwiedził Lemeliska na pokładzie statku Orko SkyMine. Stał obok niego, stukając obcasami. Generał o twarzy dziecka patrzył przez chwilę przez okna obserwacyjne.

– Dobra robota, inżynierze – odezwał się w końcu, niechętnie chwając Lemeliska, tak jakby ten tylko czekał na podobny zaszczyt. – Proszę pracować dalej.

Lemelisk wywrócił oczy i poszedł znaleźć coś do jedzenia. Z jakiegoś powodu znów zapomniał zjeść obiad...

Przeznaczył chwile głębokiej ciszy nocnej w czasie wyznaczonym na spanie, by kontynuować układanie swej trójwymiarowej, krystalicznej układanki. Pociągało go to wyzwanie, które wyczerpywało niemalże – lecz nie do końca – jego siły umysłowe. Kiedy doszedł do krytycznego punktu, skupiając się na zadaniu całkowicie, i zaczął dopasowywać elementy jeszcze ostrożniej i staranniej niż kiedykolwiek – znów mu przeszkadzono.

Krystaliczna układanka rozsypała się na tysiące błyszczących kawałków, gdy Lemelisk począł wściekłymi obelgami obrzucać gamorrańskiego strażnika. Strażnik zupełnie to zlekceważył i mruknął tylko jedno słowo: Durga.

Lemelisk opanował rozdrażnienie i poczłapał za strażnikiem w dół korytarza, do ośrodka łączności. Durga przesłał dla niego prywatną wiadomość, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że to środek nocy – ale w tym momencie Hutt miał niewiele wyrozumiałości dla innych.

Kiedy strażnik zostawił Lemeliska samego, ten stanął naprzeciw płaskiego ekranu wyświetlającego sylwetkę Hutta Durgi. Durga mógł skorzystać z holoprojektora, który transmitował niewielki, trójwymiarowy obraz – ale Hutt nie lubił trójwymiarowego systemu, przedstawiał bowiem jego potężne ciało wyraźnie zmniejszone. Wolał płaski ekran, który wyświetlał jego stożkową głowę, oszpeconą ciemnym znamieniem, jako wielkie, dominujące oblicze. Głośniki wzmocniły jego głos tak, że zabrzmiał niczym grzmot.

– Lemelisku – zaczął Durga. – Wiem, że Sulamar teraz odpoczywa, więc mogę porozmawiać z tobą, nie przeszkadzając mu. Komputerowe rdzenie pamięciowe, które on zdobył, zostały

przetransportowane na Nar Shaddaa. Chcę, byś przyleciał na Księżyc Przemysłowców i osobiście je sprawdził. Nie wiadomo, czy nie załatwił nam zwykłego szmelcu. Sprawdź to.

– Ależ ja nie mogę opuścić konstrukcji, nie teraz! – odparł Lemelisk.

– Dlaczego? – nalegał Durga. – Czy były jakieś problemy?

– Nie, nie – szybko odpowiedział Lemelisk, unosząc ręce. Miał nadzieję, że Durga nie zauważy, iż oblewa go zimny pot. – Wszystko idzie doskonale. Taurille to solidni pracownicy i niezwykle szybcy.

– Dobrze. Wysłałem po ciebie statek. Ze mną nie będziesz się kontaktował. Po prostu przylecisz na Nar Shaddaa i zrobisz, co trzeba. Ja wciąż jestem skrupowany tą niemiłą dyplomatyczną misją.

– Kiedy... – Lemelisk przełknął ślinę, kręciło mu się w głowie – kiedy nastąpi twój powrót tutaj, lordzie Durgo?

– Wkrótce. Wizyta przywódczyni Nowej Republiki jest nudna, ale ważna. Sprowadziła ze sobą flotę okrętów wojennych, które podobno odbywają manewry, ale nie jestem głupcem: jej chodziło o pokaz siły. To dodaje smaku naszym rozmowom, jednak nie przypuszczam, by Nowa Republika podejrzewała cokolwiek.

Durga machnął ręką.

– Ale dość przyjemności! Ruszaj na Księżyc Przemysłowców tak szybko, jak to możliwe. Kiedy mój Miecz Ciemności zostanie skończony, nie będę już musiał być tak obrzydliwie miły w stosunku do tych wstrętnych ludzi.

Lemelisk nie znał typu statku, na którego pokładzie się znalazł. To była stara, wysłużona jednostka, która wyglądała na poważnie (i bezskutecznie) zmodyfikowaną. Musiała brać udział w niezliczonych bitwach, sądząc po błasterowyci trafieniach na zewnętrznej stronie kadłuba. Pokażne, jakby obrznięte silniki wyglądały na tak mocne, że mogłyby unieść dziesięć razy większy statek. Na kadłubie jednostki brak było jakichkolwiek oznaczeń czy symboli.

Na siedzeniu pilota tkwił TwiTek, który wydawał się jakiś mały, nawet w stosunku do drugiego pilota – człowieka. Jeden z głowoogonów istoty pokrywały blizny i zmarszczki, tak jakby został spalony lub częściowo odstrzelony. Lemeliskowi towarzyszyło dwóch gamorreanskich strażników. Mówili niewiele, jedynie rzucili na pokład zapasy i mruzcili coś do siebie podczas startu.

Twi'lek pilotujący statek zabrał ich szybko z jednostki macierzystej, daleko od konstruowanego Miecza Ciemności i poza obszar pasa asteroid. Lemelisk nie zdołał skończyć swojej rozsypanej układanki. Obrócił głowę, próbując wyrzeć przez rufowe iluminatory statku, by rzucić okiem na migoczące światła umieszczone na szkielecie budowanej broni.

Lemelisk nie chciał nigdzie lecieć, zwłaszcza w takiej chwili. Nie miał pojęcia, co może się zdarzyć pod jego nieobecność, gdy nie będzie mógł wszystkiego osobiście nadzorować...

Darth Vader przybył na pokład pierwszej Gwiazdy Śmierci, kiedy nie była jeszcze ukończona.

– Jestem tu, by nadzorować wszystko osobiście – oznajmił. Jego głos tłumiona nieprzenikniona, czarna maska, a oddech, tłoczony przez pompy umieszczone na jego piersi, brzmiał jak syk węża.

Lemelisk wpatrywał się z czcią w największego wojownika Imperatora, ubranego na czarno, w czarnym hełmie, Czarnego Lorda Sithów, który miał już na swoich rakach krew milionów i jeszcze długą karierę przed sobą.

Wielki Moff Tarkin nalegał, by pewna sekcja pomieszczeń mieszkalnych Gwiazdy Śmierci była

pośpiesznie przygotowana dla jego oficerów. Zorganizował powitanie Vadera, z honorową gwardią szturmowców, szeregami wojowników gotowych oddać życie na rozkaz swego Imperatora.

Lemelisk zapomniał się ogolić i obawiał się, że wygląda nieodpowiednio w tak ważnej chwili, jak spotkanie z Vaderem, który właśnie kroczył w jego stronę. Czarny Lord spojrział na niego przez czarne szkła okularów i syknął przez respirator:

– Jestem tu, by... motywować waszych pracowników – powiedział, spoglądając to na Tarkina, to na Lemeliska.

Lemelisk potarł dłonie, oczyszczając je z tłustych plam, po czym wsparł ręce o biodra.

– Wspaniale, lordzie Vaderze! Oni potrzebują jakiejś motywacji. Załogi złożone z Wookiech są silne i kompetentne, lecz wykorzystują każdą okazję, by opóźnić postępy prac. – Tarkin spojrział na Lemeliska zdziwiony i inżynier pomyślał, że może powiedział coś, czego nie powinien.

– Wobec tego nadzorcy potrzebują nieco silniejszej ręki – zauważył Vader. – Albo może powinienem dać im lekcję dyscypliny.

Lemelisk doszedł do wniosku, że Vader jest przerażający. Tak, parę ostrych słów człowieka będącego prawą ręką Imperatora mogło nawet najbardziej opornych Wookiech zachęcić do wydajniejszej pracy.

Vader nie myślał jednak o żadnych zachęcających przemowach. Pokręcił się trochę przy terminalach, przeglądając komputerowe zapisy i sprawozdania z przebiegu prac, po czym wybrał tych kierowników załóg, którzy nadzorowali najmniej wydajne grupy pracowników.

Wielki moff Tarkin wezwał wszystkich nadzorców, by zasiedli przy okrągłym stole w wielkiej sali w już ukończonej części Gwiazdy Śmierci.

– Jestem niezadowolony z waszych postępów – rzekł Vader do szefów dwóch najmniej wydajnych ekip. Wszyscy patrzyli na niego trzęsąc się ze strachu, gdy uniósł dłoń ubraną w czarną rękawiczkę. Nikt nie był w stanie odczytać żadnych uczuć z twarzy ukrytej za czarnym plastalowym hełmem.

Dwóch nieszczęsnych nadzorców zaczęło krztusić się i dławić, jak gdyby jakaś niewidzialna żelazna dłoń zacisnęła się na ich tchawicach. Miotali się i wierzgali nogami, dusząc się. Z ich ust wyciekła spieniona ślina – wtedy rozległ się trzask i ślina zabarwiła się na czerwono. Ich oczy niemal wyskoczyły z oczodołów, wyglądały jak dojrzałe owoce, które za chwilę opadną na ziemię.

Vader opuścił rękę i dwóch martwych kierowników opadło na blat stołu. Vader spojrział po pozostałych nadzorcach, którzy siedzieli przy stole, roztrzęsieni i złani potem.

– Spodziewam się, że reszta was będzie się bardziej przykladać od tej chwili warknął.

Następnie polecił szturmowcom Tarkina, by wynieśli ciała zabitych i przymocowali je na zewnątrz, do poprzecznych belek na wpół skończonej Gwiazdy Śmierci.

Lemelisk był zaskoczony i zatrwożony taktyką Vadera, lecz zmienił zdanie, gdy zorientował się, że brygady pracowników zdwoiły wysiłki. Tarkin także był bardzo zadowolony. Jego przyszłość zdawała się jaśnieć.

Lemelisk nie miał pojęcia, jak doszło do tego całego zamieszania. W milczeniu leciał razem z innymi członkami załogi na pokładzie przemytniczego statku, zbliżającego się do Nar Shaddaa. Ruch w pobliżu Księżyca Przemysłowców był zmniejszony, aktywność statków przewożących nielegalne towary zahamowana nieco przez bliską obecność floty Nowej Republiki.

Gdy Lemelisk przypatrywał się Nar Shaddaa, poczuł, jak ogarnia go lęk. Nie chciał tu przylatywać, nie chciał być pośród tylu ludzi, niechętnie przebywał w takich mrowiskach.

Towarzysząca mu załoga też była dość nieprzyjemna – a oni byli po jego stronie. Lemelisk nie wiedział, jakiego rodzaju szumowiny napotka w dole, na ulicach Nar Shaddaa.

Liczył na to, że jak najszybciej opuści to miejsce, i miał nadzieję – chociaż nie spodziewał się tego – że generał Sulamar zdołał sprowadzić właściwe części komputerowe do Miecza Ciemności.

Już teraz Lemelisk tęsknił, by znaleźć się w swoim laboratorium, sam na sam ze swoimi planami i marzeniami. Ale żeby móc urzeczywistnić to, co rodziło się w jego umyśle, musiał teraz zdobyć się na pewne poświęcenie.

Jak zwykle, Bevel Lemelisk spełni swój obowiązek, nawet jeśli będzie to miało go kosztować życie... znowu.

Rozdział 30

Flota Nowej Republiki odbywała manewry w okolicach systemu, prowadząc próby szybkościowe i zręcznościowe. Jednostki Ackbara ścigały się z eskadrami Wedge'a, wychodząc z tego zwycięsko. Żołnierze dawali z siebie wszystko, cały czas pozostając w pogotowiu, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś problemy i zostaliby wezwani przez przywódczynię.

Na szczęście przez tych kilka dni panował spokój i nie wyglądało na to, by Huttowie zamierzali stwarzać jakieś problemy. Leia przesłała informację, że przypuszcza, iż jej misja zakończy się za dzień lub dwa. Generał Wedge Antilles skorzystał więc z okazji, by odpocząć nieco, i zabrał Qwi Xux na Księżyc Przemysłników.

– Zawsze pokazujesz mi jakieś ciekawe miejsca, Wedge – odezwała się Qwi, obserwując powierzchnię Nar Shaddaa. W jej intensywnie niebieskich oczach malowało się zdumienie, łowiła wszystkie szczegóły.

Wedge zaśmiał się.

– No cóż, to niezupełnie jeszcze jedno... romantyczne miejsce, jakie ci pokazałem.

Qwi wzruszyła ramionami, potrząsając głową. Jej włosy przypominały masę gęstych, kryształowych włókien – przepiękne, perliste kosmyki, które pobłyskiwały wokół jej twarzy.

– To prawda, ale mimo to jest fascynujące – odparła. Miała delikatny, jakby czarodziejski wygląd, niebieskawy odcień skóry dodawał jej egzotycznego wdzięku poza tym wyglądała i zachowywała się zupełnie jak człowiek.

Jako dziecko Qwi Xux przeszła prawdziwe pranie mózgu, by zostać projektantem broni dla Imperium. W Laboratorium Otchłani razem z Bevelem Lemehskim pomagała zaprojektować pierwszą Gwiazdę Śmierci, sama też udoskonalała Pogromcę Słońc. Niewiele jednak z tego pamiętała, jako że młody Kyp Durron wymazał dużą część jej pamięci, aby uczynić niemożliwym odtworzenie tego rodzaju broni przez kogokolwiek. Pomimo ciężkich doświadczeń Qwi nie straciła swego rodzaju dziecinnej wrażliwości i zachwyty w stosunku do nowych, odkrywanych przez nią rzeczy. Podbijała tym serce Wedge'a, który kochał ją wciąż mocniej z każdym dniem.

Zostawił swój mały wahadłowiec w porcie, zapłaciwszy władzom odpowiednią sumę, jako gwarancję sprawowania nad nim pieczy – sumę na tyle wygórowaną, iż Wedge mógł być niemal pewny, że nie musi się martwić o statek. Generał nie miał na sobie munduru, ubrany był w nie odznaczający się niczym kombinezon. W kieszeniach zgromadził pewien asortyment broni, komunikatory i radiolokatory. Nie powinno być żadnych kłopotów.

Nar Shaddaa stanowił koszmar walących się zabudowań, opustoszałych warsztatów, zatrzaśniętych drzwi z napisami: „Nie wchodzić!”, powtarzanymi w dziesiątkach języków. Maszyny latające na niskim pułapie kreśliły na niebie zygzaki, wyrzucając kłęby spalin ze źle wyregulowanych silników. Ośrodki przemysłowe wysyłały toksyczne odpady zarówno w atmosferę, jak i do ścieków.

Samo powietrze było jakieś gęste i tłuste, ciężkie od oparów, które sprawiały, że widoczność była równie dobra, jak gdyby spoglądało się przez szklanę pełną brudnej wody. Większą część skażonego nieba zajmowała planeta Nal Hutta, zielono-niebieskobrazowa kula, w połowie wznosząca się znad horyzontu jak olbrzymie półprzymknięte oko.

Wedge i Qwi kroczyli wśród błyskających neonów reklamujących przeróżne instytucje usługowe. Wielkie, rozległe doki przeznaczone do przeprowadzania napraw statków pełne były rozmontowanych części skradzionych ze statków, których właściciele nie zapłacili odpowiednio wysokiej sumy za ich pilnowanie, tak jak to uczynił Wedge. Księżyc Przemysłników wyglądał jak gigantyczny, zapuszczony i obskurny sklep z częściami i artykułami mechanicznymi, gdzie składowane są niepotrzebne podzespoły, mogące kiedyś się na coś przydać, ale równie prawdopodobne, że spoczną zapomniane i zaniebane w jakimś kącie aż do końca świata.

Handlarze tkwili za swymi stoiskami, porozstawianymi wzdłuż ulicy, pod wodoodpornymi zadaszeniami, które zabezpieczały ich przed wodą skapującą z wysoko zawieszonych rynien. Jakiś obcy, przypominający roślinę, sprzedawał skwierczące kawałki niebieskawego mięsa na patyku; obok niego jakiś mięsożerny handlarz, ze sterczącymi z paszczy okazałymi kłami, polecał pokrojone w plasterki warzywa. Łypali złowrogo jeden za drugiego.

Qwi i Wedge przechodzili obok stanowisk gier hazardowych i nisz, w których wróżono z kart, gdzie ludzie słuchali o fortunie albo robili ją, albo tracili. W jednej z gier gracze rzucali metalowymi kulami na podświetlane pola. Jeśli któryś zdołał trafić kulą na jedno z pól w chwili, gdy było ono zapalone, dostawał nagrodę. Zazwyczaj wygrywało się kupon pozwalający zagrać jeszcze raz.

Pewne niuanse gry były dla Wedge'a niezrozumiałe, ale gdy Qwi zapoznała się z zasadami, jedynie potrząsnęła głową.

– Liczba możliwych kombinacji jest tak wielka, że niemal niemożliwością jest w nią wygrać – powiedziała.

Wedge uśmiechnął się.

– Teraz zacznasz rozumieć.

Przy ryku silników, nad ich głowami pojawiły się dwa stare, rozklekotane statki. Uwagę Wedge'a zwrócił grzmot eksplozji. Dwa statki ostrzeliwały się nawzajem, po czym jednostka atakująca wybuchła w rozbryzgu metalowych kawałków, które opadły na zabudowania. Zwycięski statek zamierzał się oddalić, ale jego silniki były uszkodzone; chwilę później, przy tępym, głośnym dźwięku, silniki wysiadły i statek zaczął opadać powolną spiralą, aż w końcu roztrzaskał się o ziemię.

W pobliżu parkingu przeznaczonego dla dobrze utrzymanych pojazdów Qwi zatrzymała się, by obejrzeć jeden ze straganów, na którym leżały różnego rodzaju ozdoby i przedmioty egzotyczne, takie jak buty wykonane ze skóry rankora czy pobłyskujące pazury, podobno śniegowej wampy.

– Skąd mamy wiedzieć, że to jest prawdziwe? – spytała Qwi sprzedawcę, przypominające jaszczura stworzenie z wysokim, zwężającym się ku górze czołem i trojgiem oczu poniżej brwi.

– Daję na to moje słowo – odpowiedział handlarz.

– Nie, dziękujemy – rzucił Wedge, biorąc Qwi za łokieć i prowadząc ją do niewielkiej, samoobsługowej kawiarenki, skrytej pod łopoczącymi na wietrze markizami bazaru znajdującego się na wolnym powietrzu. Wedge zamówił na próbę porcję tego, co rozpoznał z dań znajdujących się w menu, i po chwili przyniósł tacę z kolorowymi musującymi napojami oraz połyskującym, słodkim deserem.

– Tu jest inaczej niż na Coruscant – oznajmiła Qwi, podsumowując swe dotychczasowe wrażenia.

– Dużo więcej... życia, mniej wytworności.

Wedge uniósł brwi:

– Powiedz to jeszcze raz.

Qwi spojrzała na niego, mrugając powiekami.

– Po co?

– Mniejsza o to – odpowiedział, uśmiechając się pobłażliwie.

Wybrali stolik daleko od dwóch nieokrzesanych olbrzymów o szarej skórze. Dwa stworzenia ryczały na siebie czy to załatwiając między sobą jakieś porachunki, czy po prostu kłócąc się; ale im dłużej Wedge ich obserwował, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że taki był chyba ich zwykły sposób prowadzenia rozmowy.

Podarty parasol nad ich głowami przepuszczał gromadzącą się na nim wodę, więc Wedge i Qwi przenieśli się na drugą stronę, gdzie stół był stosunkowo suchy i czysty. Oboje patrzyli się przez chwilę na zatłoczone ulice, obserwując długą ścianę identycznie wyglądających warsztatów, z których jedne były strzeżone, inne po prostu zamknięte.

Qwi łyknęła nieco napoju i wyprostowała się na siedzeniu, lekko zaskoczona, czując mocne ukłucia bąbelków w ustach. Przełknęła, po czym wzięła głęboki oddech.

– To bardzo dobre, ale muszę się powstrzymać, żeby nie wypić za dużo na raz!

– Pij małymi łykami – powiedział Wedge – a będziesz się rozkoszować.

Qwi skierowała wzrok na swój deser i zaczęła mówić jakby podenerwowana:

– Pokazałeś mi tyle różnych miejsc, Wedge'u. Laboratorium Otchłani wciąż stanowi mgliste wspomnienie, choć pamiętam je trochę... w każdym razie od kiedy zabrałeś mnie tam. Było znacznie mniejsze, spokojne, odosobnione i czyste. Mało ludzi... Wszystko uporządkowane, na swoim miejscu, łatwe do znalezienia.

– Ale nie było tam zbyt dużej swobody – zaznaczył Wedge.

– Myślę, że masz rację – odpowiedziała Qwi. – Oczywiście wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. W ogóle niewiele wiedziałam o czymkolwiek. Ty sam ofiarowałeś mi już znacznie więcej wartościowych wspomnień, niż ja straciłam – uśmiechnęła się. Są chwile, gdy uważam, że Kyp Durron po prostu usunął złe rejony mojego umysłu, pozostawiając przestrzeń, byś ty mógł wypełnić ją, pokazując mi wszystkie te cudowności.

– Więc nie sądzisz, że przeszłość może kiedyś wrócić do ciebie? – zapytał.

– Te elementy, których brakuje, przepadły – rzekła Qwi – ale pozostałe są jak żywe obrazy, na tyle jasne, że jestem w stanie łączyć je ze sobą w swym umyśle. Mogę je powiązać razem, co sprawia, że mam wrażenie, jakbym pamiętała, choć większość tych wspomnień może być jedynie grą mojej wyobraźni. – Qwi spojrzała w stronę warsztatów, skupiając się na czymś.

Wedge obserwował ją. Lubił przypatrywać się jej twarzy, lubił oglądać reakcję Qwi na różne nowe zjawiska; dzięki temu mógł widzieć stare, znajome miejsca świeżym okiem. To go odmładzało.

Nagle Qwi zeszywniała i wydała z siebie jakiś dziwny, wysoki dźwięk. Wstała gwałtownie i przewróciła swoje naczynie z napojem, wylewając pieniający się płyn na stolik.

– Co się stało? – Wedge chwycił ją za nadgarstek.

Qwi wskazała na warsztaty.

– Właśnie go widziałam – tam! Poznałam go.

– Kogo? – spytał Wedge, nie widząc nic niezwykłego.

Qwi miała lepszy wzrok niż on – zdążył się już o tym przekonać dużo wcześniej ale żadna z postaci zmierzających w stronę warsztatów nie wydawała mu się niezwykła: grupa humanoidów o gburowatym wyglądzie, paru jakichś zawzięcie gestykulujących obcych i jeden mężczyzna z wydatnym brzuchem. Wszyscy zniknęli po chwili wewnątrz zaciemnionego budynku.

– Znam go – upierała się Qwi. – Pracowałam z nim. Bevel Lemelisk. Razem zaprojektowaliśmy Gwiazdę Śmierci. On jest tutaj. Po co? Jak się tu znalazł?

Wedge trzymał ją, trzęsła się na całym ciele.

– Chodź, Qwi – to prawdopodobnie nie on. – Zniżył głos. – Z takiej odległości nie mogłaś widzieć wyraźnie. Właśnie rozmawialiśmy o starych wspomnieniach. To musiało pobudzić twoją wyobraźnię. Nie pozwól, by zawładnęła tobą.

– Ale ja jestem pewna, że to był on – oświadczyła Qwi.

– Może i tak – odparł Wedge, nie przekonany – ale jeśli nawet, jakie to ma znaczenie? Laboratorium Otchłani nie stanowi już zagrożenia. Imperium upadło. Może związał się z jakimiś przemytnikami...

Qwi usiadła, cały czas drżąc.

– Chcę stąd wyjechać – powiedziała.

Wedge podał jej swój napój.

– Możemy podzielić się moim. Wypij – rzekł. – Wrócimy na nasz statek – po czym dodał z wymuszonym uśmiechem: – chyba że chcesz odwiedzić jedną z tych łaźni Hurtów, o których tyle słyszałem?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała.

Bevel Lemelisk, wraz ze swą eskortą, przemierzał boczne uliczki Nar Shaddaa, aż dotarli wreszcie do sektora, w którym znajdowały się warsztaty. Lemelisk co pewien czas przystawał, by otrzeć podeszwy o co czystsze fragmenty chodnika, próbując usunąć brud i błoto, w jakie wlaził za każdym razem, gdy choć na moment odwrócił wzrok od drogi, po której stapał.

Kapitan Twi'lek, wyciągnął blaster i podszedł do starego, obskurnego warsztatu. Wysokie, zniszczone przez czas drzwi były zamknięte; na ich połataną powierzchnię widniał wielki napis: WSTĘP WZBRONIONY. WTARGNIĘCIE GROZI ŚMIERCIA. Lemelisk pomyślał, że właściwie wszystko na Nar Shaddaa było wzbronione, więc to ostrzeżenie raczej niewiele znaczyło.

Gdy stali, czekając aż TwiTek otworzy masywne drzwi, Lemelisk rozglądał się, patrząc na mroczne, brudne miasto. Wstrząsnął nim dreszcz, gdyż odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się uważnie, ale nie spostrzegł nic niezwykłego. Gdy TwiTek otworzył drzwi, prowadzące do chłodnego i zatęchłego wnętrza warsztatu, Lemelisk pośpieszył, by jak najszybciej znaleźć się w środku.

TwiTek wcisnął przyciski oświetlenia. Jeden z paneli zamigotał, po czym zgasł, ale pozostałe cztery rzuciły mgliste snopy światła na wypełnioną jakimiś rusztowaniami powierzchnię warsztatu. Kontenery towarowe stały pod odległą ścianą, widniały na nich słowa i oznaczenia w nieznanym języku; w wielu miejscach kontenery były poobijane, potraskane i poplamione dziwną, wyglądającą na toksyczną, substancją.

Drugi pilot, człowiek, przywołał Lemeliska gestem i zaprowadził go do dwóch skrzyń stojących pośrodku pomieszczenia. Ze śladów stóp pozostawionych na brudnej podłodze Lemelisk zorientował się, że te paki musiały zostać umieszczone tu niedawno. Napisy na ich bokach mówiły, że skrzynie

zawierają „Systemy Inspekcji Kanalizacji Próbkę Kontroli Jakości”.

Gamorreańscy strażnicy otworzyli skrzynie, wyciągając samorozkładający się materiał zabezpieczający, i odsłoniли dwa wielkie pamięciowe rdzenie komputerowe, przestarzałe systemy cybernetyczne, powolne i dawno wyszłe z użycia.

Lemelisk zdusił śmiech. To wszystko, co Sulamar mógł zrobić z wykorzystaniem swych potężnych układów z Imperium? Podszedł i otarł tabliczki identyfikacyjne, szukając numerów serii. Te urządzenia były stare już wówczas, gdy budowano Laboratorium Otchłani... Lemelisk zaczął rozważać możliwości. To było poważne wyzwanie, a on lubił wyzwania.

Komputerowe rdzenie pamięciowe będą wymagały szerokich modyfikacji i wielu unowocześnień, ale Lemelisk był pewny, że podoła zadaniu. Miecz Ciemności posiadał jedynie tysięczną część systemów, jakich potrzebowała Gwiazda Śmierci. Pozbawiony był powierzchniowych elementów obrony czy kwater dla milionowego personelu. Miecz Ciemności musiał tylko poruszać się i odpalać swą broń – to było wszystko.

Mogło się okazać, że nawet te dwie funkcje przekroczą możliwości dwóch prehistorycznych rdzeni, ale Lemelisk sądził, iż będzie w stanie sprawić, aby wszystko funkcjonowało jak należy.

Gdy obserwował sprzęt, jego eskorta nagle stanęła na baczność. Gamorreańscy strażnicy odwrócili się, pomrukując.

– Hej tam, inżynierze Lemelisku, czy to będzie działać? – zapytał Hutt Durga, wynurzając się z cienia na swej repulsorowej platformie.

Zaskoczony Lemelisk zaczął otrząpywać z siebie strzępy materiału zabezpieczającego pakunek, próbując przygotować odpowiedź.

– Lordzie Durgo, co za niespodzianka! Nie wiedziałem, że zjawi się tu pan osobiście.

– Będzie działać? – powtórzył Durga.

Lemelisk odpowiedział ostrożnie:

– Można sprawić, że tak. Nie mam pojęcia, co mówił generał Sulamar, ale jak widać, to są same rupiecie. Sądzę jednak, że da się skutecznie udoskonalić. Zajmę się tym w pierwszej kolejności.

– Dobrze – odparł Durga. – Złożyłem przeprosiny przywódczyni Nowej Republiki i obwołałem koniec naszego dyplomatycznego spotkania. Nie mogę się doczekać, by wrócić i zobaczyć, jak posunęła się konstrukcja mojej superbroni.

– Myślę, że będziesz usatysfakcjonowany, lordzie Durgo – rzekł Lemelisk.

– Lepiej, żebym był – odpowiedział Durga. – Polecimy moim statkiem z powrotem do pasa asteroid – oznajmił. – Chcę być tam, skąd dobrze widać Miecz Ciemności.

Lemelisk skinął głową, w pełni się zgadzając.

– Będę szczęśliwy, gdy opuszczę Nar Shaddaa – powiedział, nachylając się ku spasionemu Huttowi i dodał szeptem: – Tu jest tyle nieprzyjemnych typów!

Rozdział 31

Pilotując „Sokoła Milenium” w towarzystwie jedynie Artoo-Detoo, Chewbacca wyprowadził lekki frachtowiec z nadprzestrzeni tak blisko systemu Nal Hutła, jak blisko śmiał. Z płomieniami wydobywającymi się z silników napędu podświetlnego zmierzali w stronę Księżyca Przemysłowców.

Chewbacca z łatwością prowadził statek. Miał na swoim koncie tyle godzin spędzonych na pokładzie „Sokoła”, że większość pilotów mogła mu zazdrościć doświadczenia. Mimo to bez Hana Solo czuł się osamotniony. Dawno temu Chewbacca zaciągnął dozgonny dług wdzięczności w stosunku do tego człowieka i choć odplacił mu już wielokrotnie, wciąż uważał, że musi mieć pieczę nad życiem Hana.

Nieraz już był na Nar Shaddaa razem z Hanem, za którymś razem niemal przypłacili to życiem. Teraz Han także był w obszarze systemu Huttów, brał udział w jakiejś dyplomatycznej misji zorganizowanej przez Leię, więc Chewbacca chętnie zgodził się na wykonanie swojego zadania, paląc się do tego, by rozejrzeć się po okolicy i zasięgnąć informacji o działaniach Durgi.

Artoo śledził ruch w przestworzach systemu, a Chewbacca wmieszał się w grupę innych, nie oznakowanych statków udających się na Nar Shaddaa. Na czujnikach widać było ruchy floty Nowej Republiki: potężne statki wojenne przeprowadzały wściekły atak, strzelając z nastawionych na niską moc turbolaserów do fałszywych celów. Chewbacca wpatrywał się w świetlne punkty na ekranie monitora. Han musiał być albo na jednym z tych statków wojennych, albo w dole, na dużej, wyglądającej jak posiniaczona planecie.

Artoo zaszczebiotał ostrzegawczo i Chewbacca skierował swą uwagę z powrotem na systemy pilotujące, unikając kolizji z dużym frachtowcem, który ciężko przesuwiał się w przestworzach.

Chewbacca nie mógł ryzykować kontaktu z Hanem i powiadomić go, że już dotarli. On i Artoo powinni pozostawać poza wszelkimi podejrzeniami, sprawiając wrażenie, że są tylko jeszcze jednymi anonimowymi przybyszami na Nar Shaddaa. Musieli poznać prawdę o sekretnej broni Hutta – w odróżnieniu od dyplomatycznych kłamstw, jakimi Durga z pewnością uraczył Leię.

Chewbacca posadził „Sokoła” w jednym z sektorów o dużym natężeniu ruchu, gdzie żądano astronomicznie wygórowanych opłat za pilnowanie statku. Gdy Artoo pomału zjeżdżał w dół rampy prowadzącej ze statku, Chewbacca wyciągnął boje świetlne, światła ostrzegawcze, które mówiły, że „Sokół” jest skażony, i wyznaczały pole bezpieczeństwa. Boje były oczywiście fałszywe, ale wyglądały na prawdziwe i eliminowały potrzebę płacenia absurdalnych opłat, jakie wymyślili sobie właściciele lądowisk i jakie musieli płacić głupi i nie przygotowani odpowiednio goście.

Chewbacca kręcił nosem, wyczuwając drażniący zapach chłodziwa do silników, gryzące opary wydobywające się z popsutych systemów napędowych oraz woń ciał istot różnych ras i gatunków, pomieszaną z aromatami egzotycznych potraw.

Razem z Artoo opuścili pokład „Sokoła”, zagłębiając się w brudną, huczącą od odgłosów

niezliczonych maszyn metropolię. Mieli wydać posiadane kredyty i kupić potrzebne informacje – a Nar Shaddaabyła do tego najodpowiedniejszym miejscem.

Artoo podłączył się do najbliższej „budki informacji turystycznej” – lekko zamaskowanego spisu dostępnych czarnorynkowych usług i handlarzy. Przemytncicy nie starali się nawet ukrywać prawdziwej działalności, choć niektóre zaszyfrowane informacje wyglądały naprawdę złowieszczo.

Artoo przeszukiwał elektroniczne katalogi, szukając kogokolwiek, kto mógłby dostarczyć jakichś informacji na temat Huttów – ale jako że oni kontrolowali świat Nar Shaddaa, niewielu śmiałków gotowych było zaoferować tak niebezpieczne usługi. Tylko jeden z ośrodków informacyjnych wymieniał wyraźnie Durgę.

Chewbacca zdołał rozszyfrować dane znajdujące się na skomplikowanej siatce mapy górnych poziomów miasta. Połączenie się z ośrodkiem posiadającym informacje na temat Durgi zajęło im niemal godzinę i odkryli rozczarowani, że ośrodek stanowił jedynie biuro prasowe Towarzystwa Orko SkyMine.

Musieli ścierpieć holograficzną prezentację reklamową Orko SkyMine, a kiedy Chewbacca zaczął pytać przypominającego ropuchę urzędnika o dane na temat Durgi, tamten rozłożył ręce i wykrzywił grube wargi w uśmiechu.

– Musisz zrozumieć, mój przyjacielu Wookie, że wszystkie dane na temat działalności lorda Durgi są ściśle tajne, by chronić tożsamość największych inwestorów Orko SkyMine. – Mrugnął kilka razy i ponownie wykrzywił tłuste wargi. – Jednak jeśli zechcesz przeznaczyć na to milion kredytów, staniesz się jednym z poważnych inwestorów i uzyskasz dostęp do wszystkich naszych danych. – Skóra na jego czole zmarszczyła się i urzędnik zrobił taką minę, jakby miał nadzieję, że jego klient przystanie na tę propozycję.

Wookie i mały robot odeszli oburzeni.

Chewbacca zdecydował dać sobie spokój z rejestrem czarnorynkowych usług i zaczął wypytywać odpowiednio wyglądających sprzedawców na ulicach. Wydał ze sto kredytów, otrzymując jakieś strzępy informacji – aż w końcu w wąskiej, ciemnej uliczce natrafili na jakiegoś starego, wyniszczonego włamywacza, którego twarz stanowiła jedną masę sączących się plam i obwisłej skóry. Włamywacz miał własny, podręczny terminal i laserową zgrzewarkę, dzięki której mógł dostać się do odpowiednich systemów komputerowych i podłączyć do nich swój sprzęt. Mógł włamywać się i wykraść informacje, nie wykryty przez kilka godzin albo nawet cały dzień; potem musiał szukać nowego miejsca pracy.

Włamywacz wziął ich kredyty nie dbając o to, po co im dane na temat Huttów; sprawdził jedynie, czy pieniądze nie są fałszywe, i zaczął podłączać się do systemów komputerowych Nar Shaddaa.

– Żadnych informacji – oznajmił w końcu. – Nic o Durdze.

Chewbacca ryknął, pytając o coś.

– Nie mówię, że nie ma ich w ogóle – rzucił włamywacz przez nabrzmiałe wargi, łypiąc na swój terminal. – Po prostu nie mogę znaleźć plików. Muszą być zakodowane albo zabezpieczone hasłem. Nie dostanę się do nich, chyba że dokładnie będę wiedział, czego dotyczą.

Artoo wydał z siebie jęk zawodu.

– Poszukajmy inaczej – powiedział włamywacz, pocierając palcem dolną wargę, powodując, że odpadło z niej trochę skóry. Zmrużył paciorkowate oczy, wpatrując się w mrok uliczki. – Szukałem plików, w których byłoby coś o Durdze, ale penetrujemy dalej i znajdziemy wszystkich, którzy handlują

z Durgą.

Jego palce, choć pokaleczone i pokryte plastrami, śmigały po klawiaturze. Na monitorze pokazały się kolumny liczb, włamywacz ponownie począł coś wystukiwać. Wyciągnął rękę po więcej kredytów, Chewbacca jęknął, ale zapłacił mu natychmiast, mając nadzieję, że informacje będą tego warte.

– Znalazłem głównego klienta Durgi – oznajmił włamywacz po czym ściszył głos do szeptu. – Imperialnego klienta.

Zanim Chewbacca zdążył zapytać o więcej, w uliczce pojawiła się jeszcze jedna istota. Stworzenie miało duży, cylindryczny tors wokół którego unosiły się macki i zwieńczone oczami szypułki. Z otworu gębowego stwora wydobył się bulgoczący głos.

– Jestem zajęty – odparł włamywacz. – Nie widać, że mam klientów? Przyjdź później, a ja chętnie ci pomogę.

Ale stworzenie nalegało, by zabrał się do roboty od razu, i podeszło bliżej, wymachując groźnie mackami, jakby chciało zmusić włamywacza do posłuszeństwa.

Chewbacca ryknął i stanął w całej okazałości, ze zjeżoną sierścią. Chwycił obcego stwora i po krótkiej szamotaninie zdołał zawiązać na supły pięć z jego macek. Z głośnym rykiem Wookie posłał jęczące, niecierpliwe stworzenie z powrotem. Stwór ruszył w dół uliczki, potykając się, aż wreszcie zatrzymał się w pewnej odległości, prosząc innych o pomoc w rozwiązaniu macek.

Chewbacca przykucnął przy włamywaczu, nakazując mu, by kontynuował pracę.

– Tak, pewien imperialny klient Durgi, sprzedający towar Durdze – mówił włamywacz. – To dość poważny zakup: potężne komputerowe rdzenie pamięciowe. Nie mam pojęcia, do czego są Huttom potrzebne. Zwłaszcza takie stare modele.

Chewbacca, ożywiony niedawną bójką, słuchał w napięciu.

– Ten człowiek to generał Sulamar, najwidoczniej pracuje dla Huttów. Ma jakieś powiązania z imperialnymi dezertarami, ludźmi, którzy porzucili służbę dla Imperium i zaczęli rozkręcać własne interesy. Zgodnie z tymi danymi – ciągnął włamywacz, wskazując na monitor – ten imperialny generał Sulamar ma dużo do powiedzenia we wszystkim, co Huttowie tutaj robią. Jeśli to prawda, trzymają to w tajemnicy kontynuował włamywacz, unosząc brwi. Jeszcze jeden kawałek skóry odpadł mu z twarzy i spadł na ziemię. – Przypuszczalnie Durga jest drugorzędnym partnerem w tej operacji – dodał.

Artoo wydał z siebie parę piszczących dźwięków, a Chewbacca od razu przetłumaczył jego pytanie.

– Kim jest Sulamar? – powtórzył włamywacz. – Czy tego chcecie się dowiedzieć? Nie ukrywa swojej przeszłości. Prawdę mówiąc, wypisał wszystkie swoje dokonania wielkimi literami, podając, że jest imperialnym geniuszem. Chełpi się, że ponosi odpowiedzialność między innymi za masakrę Mendicatu. Nazywa siebie także Plagą Celdaru.

Chewbacca jęknął. Zapłacił włamywaczowi jeszcze parę kredytów, po czym wstał, dając znać gestem, by Artoo poszedł za nim. Pędził wielkimi krokami, a mały robot próbował wytrzymać jego tempo. Artoo popiskiwał zdenerwowany. Musieli jak najszybciej dotrzeć na pokład „Sokoła”, skąd mogli przesłać wieści na Coruscant. Dowiedzieli się więcej, niż się spodziewali.

Chewbacca czuł, jak ogarnia go zwierzęca wściekłość: jeśli Imperium i Huttowie rzeczywiście połączyli siły, konsekwencje tego mogły być straszne.

Zagrożenie było znacznie poważniejsze niż to, czego się obawiali.

Rozdział 32

Stojąc na mostku pomocniczym „Galaktycznego Wędrowca”, generał Crix Madine, szef wywiadu wojsk sprzymierzonych, obserwował ekran, na którym jasny, zielony punkcik wskazywał położenie urządzenia namierzającego, które generał zamocował na prywatnym statku Durgi. Potarł w zamyśleniu brodę, i spojrzał na swoją najlepszą komandoskę, Trandię, która po raz drugi sprawdzała odczyty.

– Wciąż się nie rusza, panie generale – odezwała się Trandia. Miała długie jasnorude włosy splecione w skomplikowany warkocz, który opadał na jej plecy, Madine podejrzewał, że rozpuszcza włosy, kiedy nie jest na służbie. Jej twarz była blada,znaczona jedynie lekkim rumieńcem, gdy koncentrowała się, skupiona nad komputerem. – Opuścił Nal Hutta kilka godzin wcześniej i wylądował na Księżycu Przemysłowców. Od tamtej pory nic. Moglibyśmy skontaktować się z fregatą „Yavaris” zasugerowała. – Generał Antilles skorzystał z wolnej chwili, by odwiedzić księżyc. Może on wybadałby trochę sytuację.

Madine pokręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne. Mamy zainstalowane urządzenie namierzające, a Durga niczego nie podejrzewa. Przekonajmy się, dokąd poleci. Przewodnicząca Nowej Republiki mówiła, że przerwał ich spotkanie dość nagle, więc prawdopodobnie chce udać się do swej kryjówki. Zobaczymy. Cierpliwości.

Madine przechadzał się po mostku pomocniczym. Nie było tu żadnych iluminatorów, przez które można by wyjrzeć na zewnątrz, jedynie ekrany monitorów. Zastępczy mostek został zaprojektowany jako alternatywa, na wypadek gdyby główne pomieszczenia w dziobowej części fregaty eskortowej zostały w jakiś sposób uszkodzone.

Madine chodził w kółko, bez przerwy, niecierpliwiąc się, by coś zrobić. Pełen energii mężczyzna w ciągu ostatnich dziewięciu lat służył Nowej Republice wszystkimi siłami i wyobraźnią, od kiedy został wydalony z armii Imperium. Dobrze się czuł pracując dla Rebelii, z jakiegoś powodu zawierzył jej – i im bardziej oddawał się pracy dla Nowej Republiki, tym bardziej męczyło go poczucie winy.

Dawno temu przysiągł, że będzie pomagał podtrzymywać Nowy Ład, który miał zaprowadzić Palpatine, że będzie służył wiernie Imperatorowi – i uczynił to z przekonaniem. Crix Madine nie rzucał słów na wiatr, nigdy nie złamał żadnej przysięgi, póki nie odszedł z armii Imperium. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał podejmować podobnie ciężkiej i brzemiennej w skutki decyzji.

Był taki moment podczas służby Imperium, że jego przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Szybko awansował, czując, że może dokonać naprawdę wielkich rzeczy. Obsypywano go zaszczytami, medalami i pochwałami. Sam Imperator wspominał o jego wspaniałej i nieskazitelnej

służbie.

Głęboka miłość łączyła Madine'a z córką jednego z ważnych ambasadorów; zamierzali się pobrać. Jego narzeczona, Karreio, była szczerze oddana Nowemu Ładowi, szerzyła propagandę przeciw Rebeliantom, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, co czyniło Imperium. W trakcie swej wojskowej służby Madine widział i robił wiele rzeczy, które mogłyby jej uświadomić prawdę – takich jak wykorzystywanie elitarnych oddziałów komandosów do rozsiania nasion Candoriańskiej Zarazy na opierającym się Imperium świecie Dentaal.

Ta ostatnia, oburzająca misja silnie poruszyła Madine'a i zdecydował raczej poświęcić wszystko, niż zrezygnować ze swych własnych przekonań. Czuł, że ta złośliwa, bezwzględna zemsta była po prostu zła. Zrzucił wielkie plany i zrezygnował z pewnej, świetlanej przyszłości w służbie Imperatora. Nie powiedział Karreio o swoim postanowieniu, nie chcąc uczynić jej współwinną – musiałaby albo donieść na niego, albo dzielić jego los zdrajcy.

Podczas akcji w dzikich ostępach Dentaalu Madine, pozostawiając oddział komandosów, którym dowodził, po prostu... zniknął w labiryncie jaskiń. Jakiś czas później, po tygodniu ciężkiej walki o życie w dżungli, zdołał dotrzeć z powrotem do tymczasowo założonej bazy imperialnej i zarekwizował jeden z wahadłowców wraz z nim wykradając Imperium zastrzeżone informacje, zaszyfrowane dane i schematy, ściśle tajne plany.

Uciekł w usiany gwiazdami obszar, nie mając najmniejszego pojęcia, gdzie się udać dalej. Miał jedynie nadzieję, że napotka jakąś jednostkę Sojuszników, zanim dopadną go imperialni łowcy głów.

Nigdy nie odważył się wysłać Karreio jakiejś wiadomości, nigdy nie próbował się z nią zobaczyć. Liczył na to, że dała sobie radę bez niego... że uwierzyła w opowieści obwołujące go zdrajcą Imperium – i że znalazła kogoś innego, kogo była w stanie pokochać.

Kiedy Rebelianci po długiej i krwawej bitwie zdobyli Coruscant, Madine natychmiast zaczął przeglądać archiwa zawierające dane osobowe, szukając jakichś zapisów dotyczących Karreio, aby się upewnić, że jest bezpieczna. Zamiast tego odkrył, że zginęła podczas ataku. Stanowiła jedno z wielu imion na długiej liście, na której figurowały obok nazwisk numery identyfikacyjne i przypadkowe przypisy. W bitwie zginęło tak wielu cywilów, że obok imienia Karreio tkwiła tylko jedna litera – Z, będąca skrótem od „zmarła”.

Crix Madine poczuwał się do winy za wiele rzeczy. Jedną z jego pierwszych misji po przyłączeniu się do Rebeliantów było zaplanowanie ataku komandosów na Endor, zakończonego sukcesem, jakim było wysadzenie w powietrze generatora pola siłowego.

Pozwoliło to flocie rebelianckiej zniszczyć drugą Gwiazdę Śmierci. Ta i inne akcje przeprowadzone z udziałem Madine'a skończyły się śmiercią Imperatora Palpatine'a, człowieka, który swego czasu chwalił go za wzorową służbę i niewzruszoną lojalność.

Dla Madine'a minął już czas na rozważania. Podjął taką decyzję, jaką podjął. Nie miał żadnych wątpliwości, bez względu na konsekwencje. Różnego rodzaju niebezpieczeństwa wisiały nad Nową Republiką i Madine nie mógł spocząć, dopóki nowo wybrany rząd nie będzie bezpieczny.

Obawiał się, że to oznaczało, iż nigdy nie będzie mógł spocząć.

Poruszenie zielonego punktu na schemacie Nar Shaddaa odwróciło jego uwagę od roztrząsania przeszłości. Trandia wyprostowała się na fotelu.

– Panie generale, nasz cel poruszył się. Śledzimy go.

– A więc, rusza w drogę – stwierdził Madine, splatając dłonie. Zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wziął głęboki oddech. – W porządku, możemy ruszać jego śladem. Trandio, chciałbym,

żebyś poleciała ze mną... i Korennem – dodał, myśląc o pełnym entuzjazzmu, utalentowanym, jasnowłosym chłopaku, który wyglądał na znacznie młodszego, niż sugerowały jego umiejętności i doświadczenie. – Przygotujmy się. Ackbar dał nam trzy zwiadowcze myśliwce typu A. Skoczmy zobaczyć, co szykuje Durga. – Ale – ciągnął, unosząc palec – spróbujmy także zamontować zapasowe nadajniki, na wypadek gdyby ścigał nas czas. Gdziekolwiek znajduje się ta broń, jeśli będziemy mieli szansę przeprowadzenia akcji sabotażowej, musimy ją podjąć. Nie możemy pozwolić Huttom, by ukończyli własną Gwiazdę Śmierci.

Madine stał na lądowisku, przypatrując się trzem myśliwcom typu A. Trandia podeszła do niego, poruszając się płynnie i z gracją, co jeszcze upewniało Madine'a, że dziewczyna nadaje się do tajnych operacji. Miała już na sobie kombinezon bojowy, warkocz schowała pod kołnierzem bluzy. W zagięciu ręki trzymała hełm.

– Jestem gotowa do akcji, panie generale – rzekła. – Czekam na rozkazy.

Chwilę później nadszedł Korenn, drugi młody członek zespołu. W jego oczach pobłyskiwało podniecenie, jasne włosy sterczały mu na głowie w nieładzie. Korenn włożył swój hełm.

– Czy znamy już położenie naszego celu? – zapytał Madine.

Trandia uśmiechnęła się lekko.

– Pas asteroid Hoth, panie generale. Tam właśnie Durga zamierza się ukryć.

Madine uniósł brwi.

– Ciekawe. Asteroidy zmuszą nas do wykonywania różnych sztuczek na naszych myśliwcach. –

Skupił wzrok na Korennie i Trandii. – Jak z waszym pilotażem?

– Świetnie, panie generale – odpowiedzieli równocześnie.

– To dobrze – rzucił Madine. – Ruszajmy.

Rozdział 33

HOTH

Bestie nacierały niczym burza białej sierści, szalejących szponów i lejącej się krwi.

– Uważaj z tyłu, Callisto! – krzyknął Luke, tnąc atakujące ją białe monstrum. Jego miecz świetlny otworzył głęboką, ciemniejącą ranę w klatce piersiowej stworzenia, które osunęło się w śnieg, brocząc gorącą posoką Callista skoczyła i ucięła łeb innej wampie, która nacierała na Luke'a z otwartą paszczą, pełną kłów gotowych, by rozedrzeć ciało.

– Będę uważała na swoje plecy, jeśli ty będziesz pilnował swoich – rzuciła, unosząc z przekorą brwi.

Burrk, były szturmowiec, strzelał, dopóki nie wyczerpał zasobów energii w drugim blasterowym pistolecie. Na jego twarzy malowała się rozpacz i determinacja. Luke wiedział, że ten mężczyzna będzie walczył do końca.

– Wy, Jedi! – wrzasnął Burrk. – Musimy wrócić do bazy. Możecie zrobić nam przejście swoimi mieczami?

Luke i Callista krótko skinęli głowami. Ciężkie drzwi prowadzące do pomieszczeń wykutych w lodzie to był ich jedyny ratunek. Luke poczuł nagłą ulgę, gdy uzmysłowił sobie, że zostawili je częściowo otwarte, tak że mogli szybko dostać się do środka.

Jeden z Catharów, Nodon, wystrzelił właśnie ostatni ładunek z magazynku blasterowego karabinu i w tym samym momencie zjawiała się przed nim potężna wampa. Muskularne łapy zwisały aż po jej kolana, zakrzywione szpony miały kilkanaście centymetrów. Nodon zawył, wydając dziki, koci dźwięk i pchnął przed siebie blasterowym karabinem jak tępą włócznią, dźgając atakującego potwora pod mostek. Stworzenie ryknęło z bólu i smagnęło Nodona łapą, rozrywając mu ramię i powalając na ziemię.

Brat Nodona syknął rozwścieczony i rzucił się mu na pomoc. Nonak wskoczył na plecy atakującej wampy, uderzył ją pazurami, wbijając ostre kły w jej kark. Bestia odwróciła uwagę od zranionego Cathara i zaryczała dziko, sięgając za siebie, by ściągnąć z nich złośliwego kociego intruza. Nodon, ranny, zaczął się wycofywać, próbując stanąć na nogi, zostawiając za sobą na śniegu krwawy ślad.

Dowodzący bitwą ze skalistego występu jednoręki wielki stwór ryknął coś niezrozumiałego. Pozostałe wampy zwróciły się w stronę Nonaka, wciąż walczącego z bestią, która zraniła jego brata. Niemal wszystkie bestie skupiły się na jednym celu.

Rozszarpały Nonaka na strzępy.

– Za mną! – krzyknął Drom Guldi, bez śladu przerażenia czy choćby napięcia w głosie. Sinidic wciąż trzymał się w pobliżu swego pana, kryjąc się za jego wysoce wydajnym, nowiuteńkim blasterowym karabinem. Drom Guldi wciąż miał jeszcze ładunki w magazynku broni i strzelał z zimną precyzją: nie na oślep, ale z chirurgiczną dokładnością. Jego strzały kładły trupem lub ciężko

raniły którąś z bestii za każdym razem, gdy mężczyzna nacisnął spust.

Silnie umięśniony baron-administrator przesuwał się w stronę wejścia do bazy, bez pośpiechu, upewniając się, że inni nadążają za nim. Nodon stanął na nogi i zawył na widok krwawych szczątków brata. Burrk chwycił go za sierść na grzbiecie i odwrócił.

– Idziemy! – krzyknął.

Luke i Callista ubezpieczali Droma Guldiego, stąpając po obu jego bokach, gdy przebijali się ku Bazie Echo. Każde z nich zabiło swymi mieczami po jeszcze jednym potworze. Wejście do bazy wydawało się niezmiernie daleko, ale Luke i Callista nie przestawali posuwać się naprzód.

Drom Guldi ustrzelił trzy kolejne wampy, blokujące uchylone drzwi. Jego pomocnik, Sinidic, zachowywał się, jakby był sparaliżowany, potykając się i zataczając szedł przed siebie tylko dlatego, że tak kazał mu jego pan. Sinidic potknął się o okopcone zwłoki jednej z wamp. Cały czas robiąc swoje, Drom Guldi chwycił pomocnika za kołnierz i podnosząc go jak ciężki worek, postawił na nogi. Baron-administrator dotarł do drzwi i wepchnął Sinidica do mrocznego wnętrza.

Wewnątrz bazy Burrk pomagał Nodonowi, prowadząc rannego Cathara przed sobą, choć kot najwidoczniej wolałby wrócić, aby rzucić się na potwory w ataku szału i zginąć, rozrywając któregoś na strzępy.

Luke i Callista zostali na zewnątrz, odpędzając ostatnie wampy.

– Wchodźcie do środka, Jedi! – krzyknął do nich Burrk. – Już!

Luke i Callista wskoczyli do ciemnego korytarza. Burrk wcisnął przyciski na panelu kontrolnym i ciężkie drzwi zatrzasnęły się. Wampy ruszyły gwałtownie naprzód, ryjąc durastalowe drzwi pazurami, ale nieustępliwe zawiasy były zbyt solidne nawet jak na możliwości tych stworzeń.

W nikłym świetle paru funkcjonujących paneli jarzeniowych Luke, Callista, i cztery pozostałe ocalałe istoty osunęli się na ziemię, opierając plecami o ściany. Gdy adrenalina wróciła do normalnego poziomu, pozostawiając samo zmęczenie, wszyscy siedzieli przez parę chwil w milczeniu. Wreszcie byli tymczasowo bezpieczni za barierą drzwi, osłonięci grubymi ścianami.

Potem rozległo się głośnie drapanie, przytłumione wycie i powtarzające się odgłosy uderzeń o drzwi. Burrk skierował przekrwiony wzrok w stronę wejścia. Sinidic łypał oczami, przerażony, po czym spojrzał na Droma Guldiego, by dodać sobie otuchy.

– Mogą pukać, ale do środka nie wejdą – powiedział Drom Guldi.

Callista podniosła się i podeszła do przebranych już zapasów, znajdując porzucone mundury Rebeliantów, które można było porozrywać i zrobić z nich bandaże do owinięcia ran Nodona, ale zauważyła, że szybko regenerujący się organizm Catliara już powstrzymał krwawienie. Nodon siedział w milczeniu, patrząc przez zwężone źrenice na białą ścianę ze zbitego śniegu; jego pazury wysuwały się i chowały na przemian, gdy zmagał się z kotłującą się w nim wściekłością.

Na zewnątrz bestie nie przestawały łomotać w drzwi, bezmyślnie próbując dostać się do środka, choć baza była niedostępna. Na Hoth zapadała noc, powietrze oziębiało się z każdą chwilą. Wszystkie stworzenia powinny schronić się przed zimnem, do czasu aż pojawi się znów światło słoneczne i podniesie nieco temperaturę – ale wampy nie ustępowały. Zapędziły swą zwierzynę do kryjówki bez wyjścia.

Na opalonej, przystojnej twarzy Droma Guldiego pojawił się wyraz zamyślenia.

– Kiedy pomyślę o tych wszystkich cennych futrach, które tam zostały... – rzekł, kręcąc głową. – Co za strata!

Głośnie łupnięcie doszło do nich od strony drzwi. Wampy musiały cisnąć w nie kawałkiem skały...

ale mogłyby miotać głazami w taki sposób przez lata, bezskutecznie, nie przebijając się przez durastalową barierę.

Wymizerowaną twarz Burrka przepelniała ciężka rezygnacja.

– Teraz byłby świetny czas na to, by użyć tych blasterowych dział – odezwał się, spoglądając na Luke'a i Callistę.

– Odsuńmy się dalej od drzwi – zaproponował Luke. – To walenie może nas wykończyć.

Oslabieni, powlekli się do pomieszczenia, w którym wcześniej Burrk ciągnął swoją ponurą opowieść. Były szurmowiec zrobił szybki przegląd inwentarza.

– Mój blasterowy pistolet jest rozładowany. Karabin Nodona też jest pusty. Dromie Guldi, czy tobie coś zostało?

Doświadczony myśliwy sprawdził swą broń.

– Dziesięć strzałów – oznajmił w taki sposób, jakby to było wszystko, czego będą potrzebować.

– I mamy dwa wasze miecze świetlne – zwrócił się Burrk do Luke'a i Callisty. Luke zastanowił się przez sekundę.

– Gdybyśmy mieli trochę czasu, moglibyśmy wymyślić jakiś sposób, by podładować blastery. Na pewno można jakoś prowizorycznie przełączyć zasilanie systemów ogrzewczych czy oświetleniowych, by dostarczyć energii blasterom.

Burrk wzruszył ramionami.

– Jeśli masz czas, środki i ochotę...

Luke zaczął grzebać w rozrzuconym ekwipunku. Burrk przykucnął i zajął się czymś znacznie prostszym; zebrał różne pręty i rurki, i używając błyskawicznie działającego epoksydu, umocowywał na ich końcach ostre kawałki metalu. Wykonał cztery prymitywne włócznie. Stanowiły beznadziejną broń przeciwko atakującym wampom, ale Burrk nie miał zamiaru poddać się bez walki.

Drom Guldi oczyszczał i polerował swój blasterowy karabin. Sinidic usiadł obok niego, nerwowo bawiąc się palcami. Baron-administrator trącił go łokciem.

– Potrzeba nam zachowywać wysokie morale. Sinidicu, zobacz, czy nie znalazłbyś trochę racji żywnościowych. Może coś ciepłego do picia i do jedzenia. Niewiele tam zostało, ale musimy regenerować siły.

– Ja? – spytał Sinidic, gapiąc się głupawo.

– Siedzisz jak sparaliżowany – musisz zacząć coś robić. Zajmij się czymś. To pierwsza zasada powodzenia.

Sinidic dźwignął się, przełknął ciężko ślinę i skinął głową. Jego szarawa skóra pokryła się czerwonymi wypiekami. Spojrzał jeszcze raz na Droma Guldiego, czekając na potwierdzenie tego, co usłyszał, po czym poczłapał do jednego z pomieszczeń, gdzie składowana była żywność, by wykonać polecenie swego pana.

Luke i Callista siedzieli obok siebie, przytuleni.

– To nie są wakacje, jakie planowałem – odezwał się Luke.

Callista oparła swoją głowę o jego ramię.

– Przypomnij mi, bym więcej nie przystawała na twoje kaprysy.

Burrk wstał, chwycił jedną z włóczni i cisnął ją przez salę. Ostry koniec wbił się w ścianę ze zbitego śniegu, włócznia tkwiła w niej, drżąc.

– Wiedziałem, że mi się uda – oznajmił Burrk.

Ze spowitego ciemnością magazynu doszedł ich głośny wrzask, po którym rozległ się odgłos

rozrywania ciała i zwierzęce sapanie. Cała piątka zerwała się na nogi, Drom Guldi jako pierwszy. Zrobili zaledwie kilka kroków w stronę lodowego korytarza, gdy z magazynu wypadła uwalana krwią wampa, jej szpony ociekały czerwono.

Drom Guldi zawahał się jedynie przez moment, po czym porwał blasterowy karabin i strzelił trzykrotnie, skutecznie. Za każdym razem trafiał precyzyjnie – w brzuch wampy, w serce i przerażający łeb. Monstrum natychmiast runęło na stwardniały śnieg.

– Musiała wślizgnąć się do środka, gdy walczyliśmy na zewnątrz! – krzyknął Burrk.

Drom Guldi spojrział w stronę pomieszczenia z zaopatrzeniem, do którego posłał Sinidica. Nie zawracał sobie głowy zaglądaniem do środka. Zamiast tego wziął od Burrka jedną z jego włóczni. Uderzył metalowym ostrzem, odrąbując jeden z zakrzywionych kłów powalonej wampy. Myśliwy trzymał ociekającą posoką w dłoni cenną zdobycz, oglądając ją dokładnie.

– Ten jeden wezmę jako swoje trofeum. I trofeum Sinidica – rzekł lodowatym głosem. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie w kierunku ciemnego magazynu, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. – Te bestie są wyjątkowo uparte.

Z zewnątrz wciąż dochodziły tępe odgłosy uderzeń, gdy wampy nie przestawały próbować wdrzeć się do bazy.

Moment później, co gorsza, zgasły światła i zapanowały kompletne ciemności.

– Rozwaliły generator – stwierdził Burrk.

Luke wyjął swój miecz świetlny i włączył go. Zielony promień pojawił się natychmiast, skwiercząc i rzucając łagodną poświatę na ściany. Callista wyciągnęła swój miecz i stanęła przy Luke'u.

Skywalker wyteżył uwagę. Słyszał coś... dźwięki przypominające skrobanie, jak w trakcie kopania. Zastanawiał się, czy w innych pomieszczeniach czają się w mroku następne ukryte wampy. Walenie w drzwi przybierało na sile i wszyscy zwrócili się w ich stronę, choć zdawali sobie sprawę, że bestie nie są w stanie przedrzeć się przez solidną barierę.

W tej chwili ściany otaczające pomieszczenie, w którym się znajdowali, zaczęły pękać w wielu miejscach, bloki mocno ubitego śniegu osuwały się, gdy wampy przebiły się w końcu przez grube warstwy lodu.

Luke zrozumiał, że bezowocne walenie w drzwi i skrobanie po ich powierzchni było jedynie fortem, próbą odwrócenia uwagi ofiar, podczas gdy bestie przebijały się przez lód i śnieg, ryjąc sobie drogę do wnętrza Bazy Echo. Z rykiem tryumfu, wampy zaczęły wylazić ze swych tuneli, wypełniając korytarze.

Nodon wreszcie nie wytrzymał, zawył i rzucił się na najbliższą wampę, ale natychmiast opadły go inne bestie. Cathar walczył, przypominając kotłującą się masę sierści, pazurów, kłów i w końcu bryzgającej krwi.

Burrk oparł się plecami o twardą skałę, która sterczała ze zwałów rozkruszonego śniegu. W każdej dłoni trzymał jedną ze swych metalowych włóczni; dźgając i siekając, próbował odstraszyć nadchodzące stwory – ale chociaż końce były ostre, a szpice długie, włócznie były wystarczającą bronią przeciw złaknionym krwi wampom. Zadawał ciosy, nie powodując u wamp nawet ryków bólu. Walczył dalej z ponurym zacięciem i powolną rezygnacją zarazem – aż pochłonęła go masa atakujących śnieżnych olbrzymów. W ostatniej chwili rozległ się tylko jego krzyk.

Luke i Callista stali oparci o siebie plecami, tnąc mieczami i kładąc trupem stworzenia, które podeszły zbyt blisko, ale zaczynało ich być zdecydowanie za wiele.

– Wycofujemy się do drzwi! – rzuciła Callista. – Musimy pobiec do statku. Spróbujemy go naprawić. To nasza jedyna szansa.

– Nie mam lepszych pomysłów – odparł Luke, po czym machnął mieczem. Z głośnym trzaskiem energii rozplątał na dwie części jedną z bestii.

Nagle, jak przez mgłę, uzmysłowił sobie, że walenie w drzwi wejściowe ustało. Wampy musiały ruszyć do nowych tuneli, pozwalających im wdrzeć się do bazy. Przed Lukiem i Callista droga mogła być wolna...

Drom Guldi wykorzystał swoich siedem strzałów, zabijając wampę za każdym razem, gdy nacisnął spust; ale energia jego broni się wyczerpała. Odrzucił karabin, zatknął kiel wampy za pas, jakby miał dla niego niezmierną wartość, po czym złapał metalową włócznię, którą wziął od Burrka, i zaczął wymachiwać nią we wszystkie strony. Zaśmiał się dziko, jego oczy jaśniały, opalona twarz jeszcze pociemniała. Bestie otaczały go, on się uśmiechał.

– Dalej! – wrzasnął. – Chodźcie po to, co wasze!

Wampy przyszły.

Ostatnie stłumione krzyki Droma Guldiego powoli ucichały, w miarę jak Luke i Callista przebijali się ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz. Jedno po drugim kosili mieczami stworzenia, które jak w amoku rzucały się na świecące ostrza. Chociaż Callista nie mogła używać Mocy w tej walce, wampy nie były trudnymi celami, stanowiąc wielkie góry białej sierści i masywnych mięśni. Z drugiej strony wystarczył moment nieuwagi, by rozszalałe szpony rozerwały ludzkie ciało.

Kiedy minęli ostatnie miejsce, w którym przebiły się wampy, liczba atakujących bestii znacznie się zmniejszyła. Luke i Callista byli w stanie ruszyć dalej biegiem. Drzwi rzuciły refleksy światła, jakim promieniowały ostrza świetlnych mieczy. Callista pobiegła do panelu kontrolnego drzwi.

– Zamkniemy się wewnątrz statku i miejmy nadzieję, że w parę minut uda się nam uruchomić silniki – powiedział Luke. – Te bestie potrafiłyby chyba rozerwać kadłub w jednej chwili.

Drzwi otworzyły się ciężko. Callista odwróciła się, by ubezpieczać tyły, Luke przygotowywał się do wyjścia na zewnątrz. Lodowaty mrok uderzył go niczym kowalski młot; wiatr, który go owionął, przywodził na myśl błasterowy promień zamrażający. Luke nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej odczuwał podobne zimno.

Na wprost wejścia, w mglistej poświacie licznych księżyców, stała jednoręka wampa, największa ze wszystkich, blokująca im przejście.

Monstrum posłało przeraźliwy ryk w lodową noc i uniosło jedyną, olbrzymią łapę, wysuwając szpony. Luke poczuł nagły, krótki przebłysk dawnego strachu, który sprawił, że przez chwilę się zawahał. Stał, trzymając świetlny miecz. Nie widząc żadnego zagrożenia na ich tyłach, Callista odwróciła się do Luke'a, by zobaczyć, na czym polega problem.

Ze wzrokiem skupionym na Luke'u, jednorękie monstrum zamiast na niego rzuciło się na Callistę.

Nie zdążyła zareagować.

Widząc, z jak straszliwą szybkością naciera wampa, widząc opadające łukiem w dół przeraźliwe szpony, Luke krzyknął:

– Nie! – i ciał dziko mieczem.

Wkładając w swój cios całą Moc, Luke rozciął olbrzymiego potwora na dwie części.

Umierająca wampa nie przestawała ryczeć i bulgotać, leżąc na progu drzwi prowadzących do bazy.

– Myślałem, że zrobiłem to już dawno – szepnął Luke.

W korytarzach bazy pojawiło się więcej wamp, wyłazących z tuneli. Te na zewnątrz zaczęły wychodzić zza występów skalnych, nie zamierzając się już dłużej ukrywać.

– Nie stójmy tak – rzekła Callista odciągając Luke'a, który stał w bezruchu, wpatrując się w trupa jednorękiego monstrum. – Biegiem!

Oboje pomknęli po twardym śniegu. Mróz ciął ich płuca, jakby łykali żyletki, sapali ciężko, wyczerpani prowadzoną przed chwilą walką.

Wrak statku kłusowników wyglądał złowieszczo w mdłym świetle, ale ich własny kosmiczny jacht lśnił niczym jedyna nadzieja. Wampy naciskały na nich, podążając ich śladem. Luke i Callista biegli tak szybko jak tylko mogli, wykorzystując resztki sił.

Gdy tylko dotarli do statku, Luke zaczął stukać w przyciski panelu kontrolnego drzwi. Callista stała za jego plecami, trzymając uniesiony miecz. Powoli pokrywa drzwi otworzyła się i Luke wciągnął dziewczynę do wnętrza, po czym ponownie zamknął i zabezpieczył drzwi.

Popędził do kabiny pilota i spojrzał na panele kontrolne systemów statku, walcząc z ogarniającą go nagle rozpaczą. Wszystko było zniszczone. Komputer nawigacyjny przepadł. System komunikacyjny był w strzępach. Wampy nie zniszczyły silników, chociaż kable umożliwiające zasilanie systemów napędowych wisiały porwane.

Razem z Callista zabrali się do roboty, usuwając powyginane i potrzaskane panele i próbując połączyć cokolwiek, tak by tylko wystartować.

Na zewnątrz wampy zaczęły obrzucać kadłub jachtu ciężkimi głazami. Luke wiedział, że jeżeli uszkodzą powłokę statku, ani on, ani Callista nigdy nie pokonają atmosfery Hoth Callista kuciała przygarbiona obok niego, pracując przy innym panelu. Wybierała przewody, odnajdywała połączenia, wykonując pośpieszne, nieco nerwowe ruchy, z energią, która nie pozwalała zmarnować ani sekundy.

– Spróbuj z tym – zaproponowała, wyciągając końcówkę innego źródła zasilania, którą on podłączył do zacisków systemów napędowych.

– Możemy uruchomić silniki i wynosić się stąd – oświadczył Luke.

Callista zgodziła się.

– Jeśli wylądujemy gdzieś, nie będziemy mogli ponownie ich włączyć, ale teraz musimy się ruszyć i wydostać się z tej planety.

Luke wcisnął przycisk zapłonu i silniki jachtu ryknęły, pracując z pełną mocą. Mieli uszkodzone stery. Statek oderwał się od ziemi – ostatnie, co słyszeli, to przeciągły, głośny dźwięk spowodowany przez drapanie szponów wamp o kadłub. Wzbili się w nocne niebo. Spękana lodowa powierzchnia majaczyła poniżej, malejąc w dużym tempie. Nie mogli manewrować statkiem, który mknął niczym pocisk poprzez warstwy atmosfery.

Callista wciąż tkwiła przy panelach kontrolnych. Luke już znał zakres szkód poczynionych przez wampy, ale słowa Callisty zabrzmiały jakoś złowieszczo, kiedy przedstawiła swoją ocenę.

– Nie mamy komunikatora, nie mamy nawigacyjnego komputera, systemy regeneracji powietrza i wody sprawne jedynie w pięciu procentach. – Westchnęła. – Kto wie, jak to się skończy? Może lepiej byśmy zrobili, zostając tam w dole.

Rozdział 34

NAL HUTTA

Chociaż See-Threepio był głęboko poirytowany tym, że Durga Hutt przerwał dyplomatyczną wizytę tak nagle (po wielu wymówkach i przeprosinach), Leia poczuła, jak spada z jej piersi męczący ciężar, gdy tylko opasły ślimak opuścił planetę.

Stało się jasne, że Durga z jednej strony cieszył się ograniczonym autorytetem wśród innych Hurtów, a z drugiej nie miał zamiaru angażować się w konflikt z Nową Republiką – tak jak Leia przypuszczała. Rozmowy doprowadziły ich po prostu donikąd, a Durga udawał ignorancję za każdym razem, gdy Leia poruszała temat tajnej broni.

– My jesteśmy handlowcami, nie wojownikami – mówił Durga. – Nasze bitwy polegają na prowadzeniu negocjacji przy stołach, a nie na strzelaniu z blasterów czy podkładaniu bomb.

Chociaż Han spojrzał na Leię, jakby chciał powiedzieć – „a nie mówiłem”, ona sama potrafiła się zorientować, że zdołała go rozdrażnić. Hutt cały czas liczył na to, że uda mu się stosować taktykę wymijającą i wydawał się czuć niepewnie przez cały czas trwania „dyplomatycznej” misji – ale Leia nie dała mu łatwej szansy na pozbycie się ich.

Trzeba jednak przyznać, że Han i Leia byli szczerze zaskoczeni, kiedy nawet po swoim pośpiesznym wyjeździe Durga umożliwił im dostęp do jednego z własnych prywatnych informatorów – dotrzymując słowa. Zanim Han i Leia odlecieli na swym dyplomatycznym statku, Korrda, wyjątkowo wymizerowany Hutt, polecił jednemu z informatorów, by stawił się do ich dyspozycji.

Gamorreańscy strażnicy wciągnęli do jadalni wózek na skrzypiących kółkach. Padlinożerne ptaki wciąż siedziały na gzymsach, oczekując, aż na ziemię spadnie jakieś pożywienie lub któryś z gości zostanie w bezruchu na tyle długo, by go zaatakować.

Wózek był stary i zapaskudzony mnóstwem rozkładających się śmieci, tak jakby ktoś pomylił go z koszem na odpadki. Jego wnętrze wypełniała muszla dużego mięczaka, o kształcie spirali pokryta glonami. Wylot muszli był czarny z brudu i cuchnący. Leia nie wiedziała, czy chce zobaczyć, co kryje się w środku.

Nadszedł Korrda i energicznie zastukał kijem o powierzchnię muszli. Przy dźwięku przypominającym wsypywanie sporej ilości piasku do mulistej wody z otworu wyłoniła się postać, przywodząca na myśl rozciągający się, długi język. Stworzenie wylazło na zewnątrz, niczym glista z robaczywego owocu, miało niezdrową szarawą barwę i pęczek pięciorga mlecznobiałych oczu na gładkiej, okrągłej głowie.

– Czego chcesz? – zapytało zgryźliwym tonem.

Korrda ustawił się tak, by spojrzeć na stworzenie.

– Lord Durga polecił, byś dostarczył naszym gościom pewnych informacji. Chcą dowiedzieć się czegoś o działaniach Imperium. – Korrda w końcu wydawał się nabrać nieco pewności siebie, teraz

gdy przemawiał do istoty o jeszcze niższej pozycji niż on sam.

Informator odburknął:

– Informacje na temat działań Imperium, co? Nie można tego bliżej sprecyzować, jak sądzę? Nie, to zbyt wiele, czyż nie? Moglibyśmy przynajmniej ograniczyć się do obecnych działań Imperium, może się mylę?

– Nie – odparła Leia. – Chcemy wiedzieć, co Imperium robi właśnie teraz.

– Och, bardzo dobrze – to wiele ułatwia, nieprawdaż? – sarkastycznie spytało stworzenie. – Przypuszczam, że chcecie dostać dokładne sprawozdanie z działalności każdego z członków Imperium – mam około pięciu miliardów, i to pomijając jakieś mniej istotne szczegóły. A może wystarczą pewne uogólnienia, hmmm?

– Zadowolimy się uogólnieniami – odparła Leia krótko.

Bez słowa gładka głowa stworzenia wślizgnęła się z powrotem do wnętrza muszli.

Leia słyszała stłumione odgłosy zamieszania, gdy stworzenie kręciło się wewnątrz, tak jakby przeszukiwało labirynty olbrzymiej muszli. Zastanawiała się, co mogło tam robić; wówczas znów oślizgła głowa wychyliła się z otworu, kierując pęczek oczu na Leię.

– Masz szczęście, co? W realizacji jest wiele projektów. Imperialne siły zostały zjednoczone, skłóceni ze sobą wodzowie wybici. Produkcja okrętów wojennych wzrosła dziesięciokrotnie, pojawiły się dziesiątki tysięcy nowych żołnierzy – czy tego rodzaju danych szukacie? Siły militarne Imperium gromadzą się wokół jednego dowódcy i wygląda na to, że nawet kobiety i przedstawiciele odmiennych ras będą dopuszczeni do służby – spore odejście od sposobu myślenia Imperatora, jak sądzicie? Czarujący i świątły przywódca, nieprawdaż?

Han spojrzał na Leię, która wyprostowała się na fotelu. Dziwaczny informator wzbudził jej zainteresowanie, pomimo niechęci, jaką początkowo do niego czuła. Czy to mogło być prawdą? Leia podejrzewała, że wszystko jest częścią planu Durgi, który chce skierować ich uwagę na jedno zagrożenie, podczas gdy Huttowie szykują drugie. Ale nawet to, że Durga miał własne ukryte pobudki, nie wykluczało takiego rozwoju wydarzeń w przypadku Imperium.

– Czy wiesz, jakie są ich plany? Czy Imperium stworzyło już jakąś strategię? zapytała Leia.

Informator zakołysał się w powietrzu.

– Rozproszone imperialne floty połączyły się w jedno, tworząc tak wielką potęgę, że niemal na pewno planują zmasowany atak na Nową Republikę, nie sądzi pani? Ściśle określony cel jest nieznan, więc chyba nie ma sensu pytać, czyż nie?

Informator przechylił pęczek oczu w stronę Korrdy.

– Czy mogę odejść? Mam dużo pracy – chyba widać, jak jestem zajęty, czy nie?

– Poczekaj – wtrącił się Han. – Kto jest tym nowym imperialnym przywódcą? Muszę wiedzieć.

Coś zaburczało głęboko w ciele informatora.

– Czy to wszystko, co chcesz wiedzieć? Czemu nie spytasz o liczbę ziaren piasku na plażach Pil Dillera albo nie poprosisz mnie, bym policzył liście w lasach Ithoru, co?

Korrrda jeszcze raz stuknął muszlę kijem.

– Zamknij się wreszcie i odpowiedz na pytanie.

– Dobrze, dobrze, właśnie zmierzałem do tego, czy nie? – odparł informator i schował się w muszli, gdzie szperał niezmiernie długo, aż w końcu wychylił się ponownie.

– Daala – oznajmiło stworzenie. – Przywódca ma stopień admirała wojsk imperialnych i nazywa się Daala, zrozumieliście? Ale to tyle – przegrzebałem wszystko, może nie? Jako że nie mam więcej

informacji, dobranoc!

Z tymi słowami stworzenie weszło z powrotem do skorupy, zostawiając Leię i Hanę gapiących się na siebie w zdumieniu. Leia nie spodziewała się czegoś takiego. Han wyglądał, jakby mu było niedobrze. Mrugał oczyma, nie rozumiejąc.

– Ale jak to możliwe, że to Daala? – wymamrotał. – Ona... nie żyje.

Leia spojrzała na niego, ich wzrok się spotkał. Zdecydowała, że nie chce i nie musi wyjaśniać tego w tej chwili.

– Najwidoczniej nie – odrzekła. – To stawia sprawy w zupełnie nowej perspektywie – czyż nie?

Rozdział 35

JĄDRO GALAKTYKI

W rękach admirała Daali resztki tego, co stanowiło Imperium, na nowo stały się całością, przypominającą maszynę, jakby jakiś potężny silnik wyregulowany tak, by osiągnąć szczyt wydajności.

Machineria rozkręcała się. Elementy dopasowywały się do siebie. Fabryki zbrojeniowe przetwarzały surowce w dodatkową broń: myśliwce typu TIE, gwiazdne kanonierki, transportery opancerzone typu AT-ST oraz w podzespoły dla nowych gwiazdnych niszczycieli. Kwitła masowa produkcja jednostek napędu nadświatłowego, które instalowano na kolejnych statkach. Zasobniki energetyczne broni ładowane były gazem tibanna. Niegdyś uciskani pracownicy – także kobiety i istoty należące do obcych ras – z całą odpowiedzialnością trudzili się ku chwale Imperium.

Daala upajała się przeglądaniem sprawozdań z postępów. Teraz, na pokładzie swego ogromnego czarnego statku, „Niewidzialnego Młota”, podróżowała od systemu do systemu, jednocząc rozproszonych poddanych, umacniając ich lojalność, naciskając nieco na tych, którym zbyt długo brak było dyscypliny. Imperialna sieć zaciskała się.

Otoczona przez budzącą grozę, czerwoną imperialną gwardię, rozmawiała z przedstawicielami fabryk zbrojeniowych i stoczni, podbudowując morale. Starła się być ciągle na widoku, tak by wszyscy mogli poznać swego charyzmatycznego przywódcę, który wreszcie chciał coś zrobić przeciwko wspólnemu wrogowi, jeszcze raz dając ludziom nadzieję na przyszłość.

Chodziła w kółko po sali odpraw „Niewidzialnego Młota”, sali, która sama była tak obszerna, jak cały mostek gwiazdowego niszczyciela klasy Victory. Daala wyjrzała przez iluminator, wpatrując się w olśniewające, rozrzucone na firmamencie gwiazdy. Materia mgławicowa rozciągała się wstęgami pośród gwiazdnych skupisk.

Wielka sala odpraw zdawała się nieco ekstrawagancka i onieśmielająca. Daala wolałaby bardziej zaciszne miejsce, ale nie mogła pozwolić sobie na dowodzenie z pokładu statku innego niż gwiazdny superniszczyciel. W sali odpraw umieszczono kwatery sypialne, automaty przygotowujące posiłki, a nawet kapsuły ratunkowe dla dowództwa, na wypadek gdyby statkowi przytrafiła się jakaś katastrofa. Olbrzymi „Niewidzialny Młot” obsługiwała stosunkowo nieliczna załoga. Podstawę funkcjonowania jednostki stanowiły zautomatyzowane systemy dowodzenia.

Wiceadmirał Pellaeon chrząknął i czekał, aż Daala zwróci na niego uwagę. Daala zdawała sobie sprawę z obecności wysokiego oficera, ale pozwoliła sobie na jeszcze chwilę zamyślenia.

– Nasza flota rośnie w siłę – odezwała się w końcu donośnie. – Czuję to.

Pellaeon odczekał sekundę.

– Tak, pani admirał.

– Nie chcę przeprowadzać natarcia, póki nie będziemy przygotowani... ale nie mogę się doczekać

bitwy. – Westchnęła i odwróciła się do Pellaeona, który stał, trzymając komputerowy notes z najnowszymi danymi statystycznymi dotyczącymi stanu floty. Daala zmarszczyła czoło i opadła na jeden z foteli.

– Jestem już szczerze zmęczona tymi szczegółami administracyjnymi – jęknęła. Po chwili jednak znów zerwała się na nogi i zaczęła nerwowo krążyć po sali odpraw.

– Te drobiazgi są istotne – rzekł Pellaeon. – Jeśli nie będziemy przykładać wagi do szczegółów, cała pani praca pójdzie na marne. Musi pani zrozumieć to, jeśli zamierza pani trzymać pieczę nad Imperium.

Daala rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Nie mam aż takich ambicji. Nie tego chcę. Z pewnością pan to już pojął? Gdy tylko bitwa zostanie wygrana, zamierzam przekazać dowództwo panu czy komukolwiek innemu, kto najlepiej będzie się nadawał do tej przekłętej pracy – i zrobię to z wielką radością.

Pellaeon drgnął, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczyma.

– Mnie, pani admirał? Ja nie jestem imperatorem!

Zaśmiała się.

– Ani ja, wiceadmirale, ale nie zaprzatajmy sobie tym głowy, dopóki nie skończy się wojna. Niech mi pan zda sprawozdanie. Na czym stoimy?

Z wyraźną ulgą Pellaeon zasiadł za stołem, podczas gdy Daala nadal chodziła po sali. Zaczął odczytywać zapisy w swym elektronicznym notatniku.

– W tej chwili posiadamy sto dwanaście w pełni sprawnych gwiazdnych niszczycieli klasy Victory. Przekazałem je pod dowództwo pułkownika Cronusa, tak jak uzgodniliśmy na ostatnim spotkaniu.

– Tak – rzekła Daala – to dobry wybór. Będzie kompetentnym dowódcą.

– Mamy także czterdzieści pięć imperialnych gwiazdnych niszczycieli i, oczywiście, „Niewidzialny Młot”. – Przesunął notatnik po blacie stołu. – Jest pełen spis naszych myśliwców typu TIE, maszyn przechwytyjących i bombowców, jak również pewne ilości wahadłowców szturmowych klasy Gamma, promów klasy Lambda, robotów krocących typu AT-ST, transportowców zwiadowczych i kanonierek. Następny zapis przedstawia cały skład naszego personelu i rejony jego działań.

Daala rzuciła okiem na liczby, ale nie mogła się na nich skupić. To nie była jej najmocniejsza strona.

– Przejrzę wszystko później – oświadczyła. – W tym momencie mój umysł zaprzatają inne sprawy. – Wzięła głęboki oddech. – Jesteśmy coraz bliżej, bardzo blisko.

Musimy przedyskutować, jaką obrać strategię pierwszego ataku. Wolałabym nie podejmować tej decyzji sama. Pan ma wieloletnie doświadczenie i rozległą wiedzę. Jesteśmy tu sami, drzwi są zamknięte i nikt nie będzie nam przeszkadzał. Chcę usłyszeć pańską szczerą opinię. – Zniżyła głos. – Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Pellaeon przełknął ślinę powoli.

– Doceniam, że wierzy pani we mnie, ale oboje doskonale wiemy, że tym razem ma pani do swojej dyspozycji flotę z prawdziwego zdarzenia.

Daala oparła się dłonią o stół, jej oczy błyszczały.

– Inie zmarnuję jej!

Pellaeon podniósł się.

– Pozwoli pani, że przyniosę coś do picia, pani admirał?

Skinęła głową i odwróciła wzrok, by spojrzeć przez iluminator na gwiazdy. Milczała, dopóki Pellaeon nie wrócił z wysoką szklanką zimnej, ożywczej herbaty.

– Moim zdaniem, pani admirał – rzekł Pellaeon wolno – mamy dwa oczywiste, główne cele. Pierwszym z nich jest Corascant, stolica – najbardziej zaludniony i najlepiej ufortyfikowany świat Nowej Republiki. Jeśli zniszczymy tę planetę, zamieni to Rebeliantów w rozproszone stado czmychających zwierząt, szukających schronienia w setce odseparowanych od siebie baz.

– Zgadzam się – odparła Daala. – Jednakże bitwa o Corascant będzie długotrwała i ciężka. I krwawa. Stracimy sporą część naszych sił, jeśli za pierwszy cel obierzemy stolicę.

Pellaeon przytaknął, podkreślając siwego wąsa.

– Muszę przyznać, że podzielam to zdanie, i prawdę mówiąc, czuję pewną niechęć do dewastacji byłej imperialnej planety.

Twarz Daali ściągnęła się.

– Liczy się zdecydowane zwycięstwo. Musimy wybrać jakiś ważny rebeliancki cel, który moglibyśmy całkowicie zmiażdżyć przy minimalnych stratach własnych. Potrzebujemy drażgoczącego ciosu, który ogłuszy Rebeliantów i wzmocni patriotyzm naszych oddziałów. Wówczas moglibyśmy wrócić i uderzyć na Corascant ze zdwojoną siłą, rozbijając stolicę w pył... Mam taki jeden cel na myśli – dodała po chwili. – Czy myślimy o tym samym?

Pellaeon wypił łyk chłodnej herbaty, odczekał chwilę, potem odpowiedział bez wahania:

– Yavin Cztery. – Uniósł brwi. – Tam, gdzie mieści się nowy ośrodek kształcenia rycerzy Jedi.

– Tak – odparła Daala. Jej uśmiech pochlebiał mu. – Rycerze Jedi to symbol Rebeliantów – a staną się potężnymi wrogami, jeżeli pozwolimy im się rozplenić, tak jak, zdaje się, zamierzają. Jeśli uderzymy teraz i wykorzenimy te chwasty, zanim się rozmnożą, możemy zadać Rebelii porażający cios.

Daala przypomniała sobie swego mentora, Tarkina, który nauczył ją wszystkiego o taktyce, przekazał siłę ducha i miłość do Imperium. Tarkin zginął podczas ataku na rebeliancką bazę na Yavinie Cztery – Daala zdecydowała więc, że to będzie odpowiedni cel u początku jej nowej kampanii.

– Przepraszam, pani admirał? – usłyszała słowa Pellaeona, przerywające jej zamyślenie. Spojrzała na niego i po sekundzie uświadomiła sobie, że coś do niej mówił.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała. – Nie słyszałam pana.

– Sugerowałem, abyśmy urozmaicili nieco nasz plan. Pozwalając pułkownikowi Cronusowi wziąć flotę statków klasy Victory i uderzyć na większą liczbę małych celów, moglibyśmy sprawić wrażenie, że atakujemy Rebeliantów na całej linii. To spowoduje szkody znacznie większe niż ewentualne ryzyko takiej akcji i zwiększy jeszcze zamieszanie powstałe w wyniku naszego zaskakującego uderzenia.

Daala uśmiechnęła się.

– Wspaniały pomysł, wiceadmirale. Pułkownik Cronus przeprowadzi swoją akcję. Pan zbierze flotę imperialnych gwiazdnych niszczycieli, by rozpocząć atak na mały, porośnięty dżunglą księżyc. Ja podążę w ślad za panem na „Niewidzialnym Młocie”, by mieć pewność, że utrzymamy ten bezwartościowy system w posiadaniu.

Wypiła ostatni łyk zimnej herbaty, czując jakby grube kawałki lodu spływały przez przełyk, rozprowadzając chłód po całym organizmie.

– Zaczniemy natychmiast – zdecydowała.

Rozdział 36

Kyp Durrone pochylał się nad panelem kontrolnym. Jego ciemne oczy zwięziły się, gdy obserwował ustawiające się w szyku wrogie wojska, zebrane wokół nich.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy pilotował ich skradziony imperialny statek między tłoczącymi się jednostkami obcej wojennej floty. Jego szczupłe, oliwkowozielone dłonie nerwowo biegały po przyciskach; żółte oczy miał szeroko rozwarte w zdumieniu, jak gdyby wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego żądał Kyp.

– Założę się, że to największe nagromadzenie statków wojennych od czasów bitwy o Endor – powiedział Kyp – lub przynajmniej od ostatniego ataku Thrawna.

Dorsk zwilżył usta językiem i skinął głową; miał rozbiegany wzrok, tak jakby śledził ruchy przedmiotów ciskanych przez tajfun.

– To bez wątpienia wielka liczba jednostek – odezwał się. – W chwili gdy nas rozpoznają, po prostu rozerwą na strzępy.

Kyp machnął ręką i zerknął przez dziobowy iluminator.

– Nie podejrzejawaj niczego. Ten statek ma wszystkie potrzebne oznaczenia. Nie bój się – rzekł, po czym skupił uwagę na pełnych komputerowych analizach wrogich sił.

W ciągu ostatnich kilku dni Kyp i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zagłębiali się coraz bardziej w obszar systemów gwiazdnych tworzących jądro galaktyki. Kyp z rosnącym przerażeniem obserwował, jak bardzo zaawansowane są plany Imperium. Widział składy broni, ogromne fabryki zbrojeniowe, które produkowały setki myśliwców typu TIE, stocznie, gdzie nieprzerwanie trwało konstruowanie imperialnych gwiazdnych niszczycieli. Byli świadkami masowej migracji ludzi, żołnierzy szykujących się do walki na śmierć i życie, tuzinów przeładowanych transportów z materiałami i częściami, ciągnących w stronę serca galaktyki.

Kyp przekonał Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, by polecili za jednym z konwojów, w odległości pozwalającej im pozostawać nie wykrytymi przez czujniki. Gdy przylecieli w rejon masowego zgromadzenia nowej imperialnej floty, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy był przerażony.

– Wciąż uważam, że powinniśmy się stąd wynosić – powiedział sklonowany Jedi. Trzeba jak najszybciej zawiadomić władze Nowej Republiki. Nie wiedzą nawet tego, że Imperium się odrodziło.

Kyp pokręcił głową przecząco.

– Musimy zdobyć więcej informacji, dowiedzieć się, jakie są zamiary wroga. Nie będziemy mieli drugiej takiej szansy jak teraz.

– Ale jeśli nas schwytają, wówczas wszystko... – rozpoczął Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy.

Kyp uniósł dłoń i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zamilkł, przełykając ciężko ślinę. W przeszłości zmagał się już z brakiem wiary w siebie i przewyciężył go. Kyp nie uważał go za tchórza – jedynie

za kogoś, kto nie wykorzystywał całej swojej odwagi.

Kyp wymierzył w niego palec i odezwał się z powagą:

– Jesteś rycerzem Jedi, Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy. Jedi nie wybiera tego, co najłatwiejsze.

Zrobimy to, co musimy. – Przyjaciel skinął głową, zgadzając się z nim całkowicie.

Nagle ożył odbiornik komunikatora, ku zaskoczeniu Kypa i Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

– Do pilota wahadłowca – rozległ się surowy głos, głos kobiety, co samo w sobie było niezwykle, jako że zazwyczaj żołnierzami Imperium byli mężczyźni. Kobieta mówiła dalej: – Przybywacie po czasie. Nadlatujecie po dobrej trajektorii, ale pośpieszcie się. Pani admirał będzie niezadowolona, jeśli spóźnione przyloty zakłócą przemówienia.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy gapił się tępo na głośnik, ale Kyp odpowiedział na wezwanie natychmiast:

– Przyjąłem. Przepraszam za kłopoty. – Wyłączył komunikator. – Zamierzają nas wpuścić – stwierdził. W jego głowie kotłowało się od myśli, kim mogła być owa „pani admirał”.

Statki, małe i duże, zbierały się w oszalałymi wielkiej sieci lądowisk i doków, olbrzymim zespole zbudowanym z lśniącego metalu i transpastalowych elementów. Konstrukcja kryła się w mroku przestworzy pomiędzy gwiazdnymi systemami i była trudna do zlokalizowania, chyba że wiedziało się, gdzie jej szukać. Cały kompleks, najeżony licznymi antenami i urządzeniami namierzającymi, otaczały obronne satelity i zautomatyzowane statki nadzorujące wzmożony ruch jednostek. Lecąc dalej po tej samej trajektorii, dotarli do centralnej platformy, gdzie nagromadziły się już tysiące statków.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy tkwił w swym fotelu jak sparaliżowany.

– Spokojnie – odezwał się Kyp. – Musimy to zrobić. – Klon nerwowo skinął głową i sprowadził wahadłowiec na dół, pomiędzy inne zaparkowane jednostki.

Rzeka postaci ciągnęła w stronę rozległego placu zespołu stacji, pomieszczenia na tyle ogromnego, by móc przyjąć dziesiątki tysięcy ludzi i innych istot. Szturmowcy kręcili się po sali, prowadząc przybyłych na ich miejsca.

– Nie mogę tam iść – powiedział Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. – Imperium nie przyjmuje w swe szeregi istot odmiennych ras.

– Wygląda na to, że zmienili zasady – odparł Kyp, wskazując na niektórych członków personelu – egzotycznych humanoidów i dziwnych latających stworzeń. – Chwileczkę. – Zaczął grzebać w skrzyni z kombinezonami. Wyciągnął dwa z nich, z symbolami zespołu naprawczego, które ukradli razem z wahadłowcem. – Włóżmy to na siebie i nikt nie zauważy różnicy.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy spojrział na ekwipunek nieufnie, ale Kyp nie przestawał go upewniać, że czynią słusznie.

– Zrozum – rzekł – dzięki temu zebraniu zdobędziemy wszystkie potrzebne nam informacje. Dowiemy się, co zamierza Imperium – potem możemy wrócić i zdać ze wszystkiego raport. – Ścisnął ramię przyjaciela. – Jeszcze trochę odwagi, Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy, zrób to dla mnie.

Zeszli w dół po rampie prowadzącej z lądowiska, płynący tłum porwał ich do rozległej sali w sercu olbrzymiego zespołu stacji. Kypa uderzyło bogactwo dźwięków i zapachów, mieszanka znanych i egzotycznych wrażeń. Głównym językiem był imperialny basie, choć niektóre rozkazy pobrzmiwały zupełnie obco dla Kypa. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy szedł tuż za nim, wciąż spięty i zdenerwowany.

Pośrodku olbrzymiego placu znajdowało się miejsce, skąd wygłaszano przemówienia. Wznoszącą

się nieco ponad powierzchnię placu mównicę otaczały głośniki oraz turbowindy, które pozwalały gościom dostać się na nią bez brnięcia przez tłumy. Imperialni gwardziści w szkarłatnych płaszczach stali na każdym rogu platformy stanowiącej mównicę. Nad zebranymi górowały ekrany o wysokiej rozdzielczości, służące do wyświetlania postaci osoby przemawiającej z podium; chodziło o to, by przekształcić małą, odległą sylwetkę w gigantyczny obraz mający nad głowami zebranych. Wymizerowany, ale schludny starszy mężczyzna z siwymi wąsami przemawiał sucho i z niewielką charyzmą. W jego oczach brak było jakiejś iskry, marszczył czoło, tak jakby uporczywie o czymś rozmyślał.

– Wygląda znajomo – stwierdził Kyp. – Widziałem go już gdzieś...

Szturmowcy pojawili się przy nich znikąd, ich białe zbroje zaklekotały, a głosy zabrzmiały ostro, choć nieco stłumione przez hełmy.

– Cisza, gdy przemawia wiceadmiral Pellaeon.

Kyp powstrzymał się i nie odpowiedział, chociaż czuł podniecenie, w którym niełatwo było o samokontrolę. Z trudem skinął głową, odwracając się, by spojrzeć na górujący nad wszystkimi obraz imperialnego dowódcy. Czy ten człowiek miał poprowadzić nowe oddziały? Kyp przypomniał sobie o dawnych związkach łączących Pełlaeona z wielkim admirałem Thrawnem, chociaż akurat podczas szaleństw Thrawna sam Kyp znajdował się głęboko w kopalniach Kessel.

Najwidoczniej wiceadmiral przemawiał już od pewnego czasu. Kyp i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy rzeczywiście spóźnili się na zgromadzenie i Kyp zastanawiał się, jak wiele cennych informacji przez to stracili.

– Główną fazę uderzenia – ciągnął Pellaeon – stanowić będzie atak na nowy ośrodek szkoleniowy, gdzie Rebelianci próbują wykształcić oddziały czarowników Jedi. Nasza flota uderzy na ośrodek kształcenia i zniszczy go, zanim Rebelianci w ogóle dowiedzą się o podejmowanych przez nas krokach. Bez swych rycerzy Jedi Sojusznicy będą jedynie marną bandą głupich idealistów.

Rozległy się okrzyki radości i Kyp musiał wiwatować razem z innymi, by nie ściągnąć na siebie czyjeś uwagi. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wyglądał, jakby był ciężko chory, ale Kyp dokładnie wiedział, o czym myśli jego klonowany przyjaciel: musieli odlecieć natychmiast, by ostrzec Nową Republikę, tak żeby można zebrać siły w pobliżu Yavina Cztery.

Ale wyruszyć teraz, znaczyło zwrócić na siebie uwagę całej imperialnej floty. Musieli czekać.

Pellaeon ciągnął dalej monotonnym głosem, a Kyp czuł wzbierający niepokój. Wszyscy zebrani zdawali się pełni entuzjazmu i moralnie podbudowani.

– Nasze przygotowania są niemal skończone – oznajmił Pellaeon. – Oficerowie zdradzą wam szczegóły akcji zaplanowanej tak, by każdy mógł wziąć jak najpełniejszy udział w zaskakującym i miażdżącym ataku. Ale przedtem niech dane mi będzie przedstawić osobę, dzięki której mogło dojść do tego spotkania.

Wskazał gestem na turbowinę, która otworzyła się za jego plecami. Wideoekrany pokazały wyłaniającą się z wnętrza windy postać, szczupłą i wysoką, z grzywą płomiennych włosów o barwie miedzi.

– Pani admirał Daala! – ogłosił Pellaeon i sam usunął się na bok.

Kyp czuł się tak, jakby w jego żołądku eksplodowała bomba, gdy wpatrywał się przerażonymi, niedowierzającymi oczyma w to, co ujrzał. Admirał Imperium podeszła, by przemówić, na jej twarzy można było wyczytać gorycz dawnych porażek; ta niegdyś piękna twarz stała się teraz jeszcze bardziej wyrazista... bardziej zła.

Daala schwytała Hana Solo i Kypa, po tym jak uciekli z kopalni na Kessel, a ponieważ uznała, że Kyp jest bezwartościowym jeńcem, skazała go na śmierć. Kyp myślał, że zabił ją w rejonie Mglawicy Kocioł, używając Pogromcy Słońc, by wysadzić w powietrze skupisko gorących błękitnych słońc. W jakiś sposób umknęła śmierci, by potem znów zaatakować Laboratorium Otchłani – ale tam zginęła. Kyp był tego pewien. Nie miała prawa być tutaj! Nie miała prawa dowodzić nową imperialną flotą!

Wszystko to przemknęło mu przez głowę w ułamku sekundy, a Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wyczuwał za pośrednictwem Mocy, jak w Kypie wzbierają emocje niczym w wulkanie. Klon położył ręce na ramionach przyjaciela, by powstrzymać go przed zrobieniem czegoś nierozważnego – ale nagły dotyk wytrącił Kypa z równowagi.

– Nie! – krzyknął, wyrывая się Dorskowi Osiemdziesiątemu Pierwszemu. – Ona nie żyje! Daala powinna być martwa.

Podczas gdy reszta zgromadzonych wiwatowała, ci stojący w pobliżu Kypa spojrzeli w jego stronę. Kyp opanował się, wściekły na samego siebie za to niepohamowanie.

Szturmowcy pojawili się ponownie, szybcy i sprawni.

– Uspokój się natychmiast! – Wyglądali groźnie, w ich dłoniach tkwiły blastery. To drugie ostrzeżenie. Pokaż swój przydział i dokumenty. – Zbliżyli się dwaj inni szturmowcy, mierząc z blasterów w Kypa i Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

– Tak, tak, oczywiście – odparł Kyp, przeszukując kieszenie. W głowie czuł zamęt. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wyglądał jakby miał zaraz zemdleć, choć trzymał się prosto i stał czujny gotowy w razie potrzeby walczyć. Kyp wiedział, że nie mają innego wyboru. Wsunął rękę do kieszeni kombinezonu, udając, że wyjmuje kartę przydziału – i zacisnął palce na rękojeści świetlnego miecza.

Szturmowcy wyglądali na bardziej rozdrażnionych niż zaniepokojonych. Kyp wiedział, że ich całkowicie zaskoczy.

Głos admirał Daali zagrzemiał, płynąc z głośników niczym przerażające echo z przeszłości Kypa.

– Wszyscy możecie być dumni z tego, co macie uczynić – oznajmiła.

Tak, pomyślał Kyp, tak, ja jestem. Błyskawicznie wyciągnął miecz świetlny, a energetyczne ostrze wytrysnęło z rękojeści z suchym trzaskiem. Opuścił ostrze i krótkim łukiem uderzył, odcinając dłoń jednego ze szturmowców. Razem z nią na posadzkę upadł blasterowy pistolet żołnierza. W tym samym ruchu ciął drugiego, stojącego obok szturmowca. Dorsk uderzył niczym śmigający bicz. Jego ostrze rozpało się jasno i w tej samej chwili powalił trzeciego szturmowca.

Zebrani wokół nich odskoczyli w tył, zdumieni i przerażeni. Miecze świetlne były bronią nie dającą się pomylić z żadną inną, bronią znienawidzonych rycerzy Jedi. Podniósł się krzyk gniewu i przetoczył po sali, niczym fala uderzeniowa zrodzona po eksplozji gwiazdy. Na zgromadzeniu pojawili się szpiedzy i było jasne, że motłoch zażąda krwi.

– Musimy się stąd wynosić! – wrzasnął Kyp, rąbiąc mieczem na prawo i lewo. Ludzie i inne stworzenia wszelkich ras rozstępowali się jak łany zboża podczas silnego wichru, choć zdecydowanie więcej uciekało w panice, niż ginęło pod ciosami mieczy. Kyp i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy walczyli ramię w ramię.

– Rycerze Jedi! – krzyknęła admirał Daala ze swego podium. Nawet z dużej odległości potrafiła rozpoznać rzucające się w oczy pobłyskujące ostrza – jej twarz, powiększona i zwielokrotniona w dziesiątkach wideoekranów, jawiła się jak oblicze rozwścieczonego bóstwa, żądającego

sprawiedliwości. – Zabić rycerzy Jedi!

Szturmowcy roili się wokół nich, strzelając z blasterowych karabinów. Ostrze miecza Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego odbiło pierwszą blasterową wiązkę, posyłając ją pod strop ogromnej sali, drugi strzał dopadł jakiegoś uciekającego imperialnego porucznika.

– Nie walcz, chyba że będziesz musiał – rzucił Kyp. – To nas jedynie spowolni. Biegiem!

Teraz wiedział, że jego partner miał rację, chcąc opuścić to miejsce wcześniej. Musieli dostarczyć zdobyte informacje władzom Nowej Republiki, a jeśli nie uda im się uciec, zginą miliony ludzi, których nikt nie ostrzeże na czas.

Gęsty, szalejący jak wzburzone fale tłum nie pozwalał dokładnie zorientować się, gdzie w danym momencie znajdowali się winowajcy. Kyp i Dorsk pędzili do miejsca, w którym posadzili skradziony statek. Blasterowe promienie ścigały ich przez korytarze kompleksu stacji, odbijając się od ścian, ale strzały nie były dobrze wymierzone.

Gdy Kyp i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy dotarli do statku, błyskawicznie wzbili się nad powierzchnię lądowiska, uruchamiając silniki repulsorowe i przesyłając pełną moc do jednostki napędu podświetlnego. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zajmował się stabilizatorami, próbując wyrównać lot statku, choć właściwie ten chaotyczny, niepewny tor lotu pomagał im uciec, jako że zautomatyzowane urządzenia obronne umieszczone wokół stacji miały trudności z namierzeniem celu.

– Skaczymy w nadprzestrzeń jak najszybciej – rzekł Kyp.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy pośpiesznie przebierał palcami po klawiaturze komputera nawigacyjnego.

– Nie ma czasu na obliczenia długiej trasy – odparł.

– Więc wykonamy krótki skok! Po prostu wynośmy się stąd.

– Współrzędne lotu na Khomm zaprogramowałem już wcześniej – oświadczył Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, wyświetlając wykres. – To już poza granicami jądra galaktyki. Możemy wysłać sygnał alarmowy z mojej planety.

– Dobra robota! – pochwalił go Kyp.

W tym momencie jeden z automatycznych satelitów trafił w silniki podświetlne ich statku. Utracili szybkość, poruszając się dalej jedynie dzięki sile rozpędu.

– Uszkodzenie jest poważne – stwierdził Kyp, podczas gdy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy przygotowywał do włączenia główny napęd nadświetlny – ale to tylko silniki napędu podświetlnego a nie jednostka umożliwiająca latanie w nadprzestrzeni. Musimy uciekać.

Za nimi, z lądowiska zespołu stacji, zaczęły startować setki statków.

– Uruchamiam silniki napędu nadświetlnego – w końcu oznajmił Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy.

Urządzenia obronne stacji zbliżyły się jeszcze bardziej do ich dryfującego wahadłowca. Kolejne wiązki turbołaserowych strzałów pomknęły ku nim, chybiając o włos. Musnął ich strzał z działa jonowego, ocierając się o ich ochronne pola i czyniąc minimalne szkody.

– Jeśli działo jonowe trafi celnie, będzie po nas! – krzyknął Kyp. – Musimy skakać w tej chwili.

– Tak jest! – odparł Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. – Trzymaj się.

Zniknęli w nadprzestrzeni, zostawiając całą flotę Imperium w tyle.

Rozdział 37

PAS ASTEROID HOTH

Trzy myśliwce typu A o zwiększonej sile przyśpieszenia pomknęły przed siebie, oddalając się od grupy statków skupionych wokół „Galaktycznego Wędrowca” admirała Ackbara i po chwili zniknęły w nadprzestrzeni.

Generał Crix Madine wpatrywał się w panel kontrolny sterowni poprzez lekko wygiętą osłonę hełmu. Wokół niego rozlegał się ryk potężnych silników, które powodowały drżenie kadłuba maszyny. Madine latał już na wielu statkach: szybkich jednostkach i holownikach transportowych, myśliwcach przechwytyjących i zwiadowczych. Brał udział w wielu akcjach dla Rebelii, a wcześniej dla Imperium. Jednakże od chwili bitwy o Endor działał poza kulisami wydarzeń, planując tajne operacje, których wykonywaniem zajmowali się młodszy rekruci.

Ale tym razem było inaczej.

Niesamowity wzór migoczącego światła otaczał statek, który mknął czasoprzestrzennym tunelem, przemierzając galaktykę szybciej niż światło. Przed startem oddział Madine'a nie wysłał wiadomości Ackbarowi, nie zostawił żadnego komunikatu komukolwiek. Huttowie nie mogli nic wiedzieć o planowanej akcji.

Ich komputer nawigacyjny ułożył najkrótszą trasę na podstawie współrzędnych dostarczonych przez urządzenie namierzające zamocowane na prywatnym statku Durgi. Po obu stronach Madine'a lecieli Korenn i Trandia, nie porozumiewając się ze sobą, skupieni na wykonywaniu zadania. Uśmiechnął się, z uznaniem myśląc o swych towarzyszach. Rebelianci zawsze zwracali uwagę na to, by rekrutować najzdolniejszych ochotników.

W trakcie monotonnego lotu w nadprzestrzeni, Madine pozwolił sobie na rozmyślenia. On był również jednym z takich ochotników, gdy zdecydował się opuścić Imperium razem z kilkoma towarzyszami i przyjaciółmi z czasów Starej Republiki, nim została zniszczona przez Nowy Ład. Jednym z nich był Carlist Rieekan, który w siłach sojuszu doszedł do stopnia generała i dowodził Bazą Echo na Hoth.

Krótko po dołączeniu do Rebelii Madine rozpoczął pracę razem z Mon Mothma, która uczyniła go swoim doradcą, chociaż inni nie byli pewni jego lojalności. Sam Ackbar stał się jego dobrym przyjacielem, po tym jak wyrwano go ze szponów Imperium. Surowy i mężny Kalamarianin wiedział, jak dowodzić flotą Rebelii.

Ale Crix Madine zawsze kierował się swoimi priorytetami i miał własne zdanie co do środków służących realizacji celu. Mon Mothma ceniła jego opinię, ponieważ miał świeże spojrzenie na wiele spraw. Brał udział w walkach z Rebeliantami po stronie Imperium. Wiedział, jakiego rodzaju taktyka może być skuteczna, a jaka całkowicie zawodna.

Poza tym Madine znał swoje miejsce: był niezbędny, choć tajne operacje nie zawsze były czymś

miłym. Przed bitwą o Endor, podczas układania strategii i gromadzenia cennych danych dostarczanych przez siatkę bothanskich szpiegów, Mon Mothma planowała początkowo zniszczyć drugą Gwiazdę Śmierci jeszcze w trakcie konstrukcji.

Gdy Rebelianci dowiedzieli się, że sam Imperator Palpatine będzie dokonywał inspekcji stacji bojowej, Crix Madine ucieszył się, że nadarza się taka okazja.

Jednak Mon Mothma sprawiała wrażenie zdegustowanej.

– Mordowanie politycznych przywódców nie jest taktyką, jaką może tolerować Sojusz – oznajmiła podczas zamkniętej narady z Madine'em i Ackbarem. – Nawet jeśli są naszymi wrogami.

– Wobec tego przegramy – rzekł Madine. – Imperium nie ma takich oporów. Nie zawahaliby się zabić panią, Mon Mothmo, gdyby tylko mieli ku temu okazję.

Mon Mothma wstała i walnęła pięścią o blat stołu. Podniosła głos, co się jej nieczęsto zdarzało.

– Nie pozwolę, by mój rząd stał się tak zepsuty, tak zły jak Imperium.

– Mon Mothmo – powiedział Ackbar – zbyt wiele zaryzykowaliśmy dla tej operacji. Flota jest gotowa, by wyruszyć pod Endor. Misja na Sulluście, mająca na celu zmylenie przeciwnika, już się rozpoczęła. Nie możemy zarzucić naszych planów jedynie dlatego, że Imperator będzie na Gwieździe Śmierci.

– Ocalimy miliony niewinnych istnień – odezwał się Madine. – Poniesiemy koszty własne, ale to nam się odpląci z zyskiem. Jeśli pozwolimy, by Gwiazda Śmierci została ukończona, Alderaan będzie tylko pierwszą z wielu planet, jakie zostaną zmiażdżone przez Imperatora.

W ten sposób Mon Mothma w końcu zgodziła się, by Imperator również stał się celem w tej operacji. Gdy już podjęła decyzję, podeszła do tego z pełnym entuzjazmem, wydając polecenia z całkowitym przekonaniem.

I tak Gwiazda Śmierci została zniszczona, Imperium rozbite, i powstała Nowa Republika... choć pokój i harmonia nie przyszły tak szybko, jak się tego spodziewano.

Teraz Madine mknął w nadprzestrzeni w swym zwiadowczym myśliwcu typu A w kierunku kolejnej superbroni, budowanej przez następnego tyrana, który chciał władać galaktyką.

Czasem miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

Maszyny typu A opuściły nadprzestrzeń na skraju pasa asteroid, wyglądało to tak, jakby gigantyczna, niewidzialna ręka cisnęła w nich pełną garść skalnych odłamków.

Urządzenie umieszczone na prywatnym jachcie Durgi dało im dokładne namiary na miejsce znajdujące się w samym sercu usianej skałami niebezpiecznej strefy, ale nie mieli pewności, że droga będzie czysta.

Madine zaryzykował połączenie ze statkami swych towarzyszy, precyzyjnie ustalając kierunek, w którym wysłał wiązkę fal niosących jego słowa.

– Trandio – odezwał się – przejmij prowadzenie. Znajdź drogę pośród skał, tak byśmy dostali się do tej konstrukcji i przekonali się, co się tam dzieje.

– Tak jest, panie generale – odpowiedziała. W jej głosie czuło się dumę z tego że została wybrana. Zdecydował, że pozwoli Korennowi prowadzić ich z powrotem.

Myśliwiec Trandii pędził przez skupiska asteroid, wykonując ostre zakręty i przyśpieszając tam, gdzie dryfujących kamiennych ciał było nieco mniej. Madine i Korenn lecieli tuż za nią, naśladowując jej niemal akrobatyczne manewry.

Madine podziwiał sposób, w jaki Trandia pilotowała swoją maszyną przez kosmiczne rumowisko.

Pola dziobowych osłon załśniły blado, gdy zwiększyła ich moc. Madine wiedział, że nie powinien znów przerywać ciszy w eterze, ale musiał włączyć nadajnik komunikatora:

– Trandio, nie staraj się mi imponować. Bądź ostrożna!

– Proszę się nie martwić, generale – odparła krótko. Zanim Madine zdołał powiedzieć coś więcej,

Korenn zrobił gwałtowny manewr, odskakując w bok i po chwili znów wracając na swój tor.

– Panie generale – rozległ się jego głos, zagłuszany trzaskami – zostałem uderzony przez jakiś mały kamień, który przedarł się przez rufowe pole.

– Trandio – krzyknął Madine – zwolnij! Korennie, zdaj raport ze stanu swojego statku. Jak wielkie są uszkodzenia?

– Straciłem część mocy systemów napędowych – oznajmił młody pilot.

Gdy Madine wyjrzał przez okno sterowni, zauważył iskry niebieskawego światła dobywające się z komór silnikowych maszyny Korenna. To było coś więcej niż drobne uszkodzenie: przebita została osłona rdzenia reaktora.

– Korennie, posłuchaj mnie – zaczął Madine; serce waliło mu jak młot. Uszkodzony myśliwiec typu A zatoczył się na jedną stronę, jakby pilot tracił nad nim kontrolę. Asteroidy nie przestawały przemykać wokół nich, jak elementy jakiejś wielkiej kruszarki.

– Tracę kontrolą wysokości – oświadczył Korenn podniesionym głosem. – Nie mogę utrzymać pozycji!

– Korennie! – krzyknęła Trandia. Zawróciła maszynę.

– Do góry, do góry! – krzyknął Madine.

Trandia skierowała się w stronę towarzysza. Madine nie miał pojęcia, co dziewczyna zamierza zrobić, ale zanim dotarła do niego, myśliwiec Korenna uderzył z dużą prędkością o wystający fragment jednego ze skalnych odłamków. Komory silnikowe maszyny zostały całkowicie zgniecione. Statek eksplodował w pióropuszu ognia.

Trandia przeleciała nisko nad kopącym wrakiem spoczywającym na powierzchni dużej asteroidy; detonacja rozerwała cały kadłub i wyrzuciła szczątki statku w przestrzeń.

– Szukam śladów życia, panie generale – oznajmiła Trandia, bliska załamania.

Choć Madine zdawał sobie sprawę, że to bezskuteczne, pozwolił jej przez kilka chwil krążyć nad powierzchnią asteroidy, aż z powrotem podleciała do niego.

– Nic nie znalazłam – powiedziała. Jej głos był śmiertelnie smutny.

– Wiem – odparł Madine. – Musimy ruszać dalej.

– To moja wina, generale – dodała Trandia.

– A moją winą jest, że poleciłem ci prowadzić – rzekł Madine. – A przede wszystkim winę ponosi przywódczyni Nowej Republiki, bo poleciła wykonać tę misję, a jeszcze przed nią winni są Huttowie, bo budują tę broń – i tak dalej, i tak dalej. Moglibyśmy spędzić morze czasu wyliczając wszystkich winnych, ale ja wolałbym raczej, byśmy wypełnili nasze zadanie. A ty?

Trandia odpowiedziała dopiero po chwili.

– Tak jest, panie generale.

Lecieli dalej powoli, zbliżając się do środka pasa asteroid. Posuwali się naprzód na niskiej mocy silników i wyłączyli wszystkie światła, w końcu dotarli w miejsce, skąd widać było pobłyskujące światła konstrukcji.

Madine ustalił kurs i przekazał odpowiednie dane dla określenia trajektorii statku Trandii. Gdy już ustawili się w odpowiedniej pozycji, wyłączyli silniki i dryfowali przed siebie, tak samo jak inne

bryły należące do kosmicznego rumowiska.

Madine intensywnie przyglądał się konstrukcji, zbliżając się ku niej nieskończenie powoli. Łowił wszystkie szczegóły: wielka, cylindryczna forteca, połyskująca metalowa struktura prawie ukończona, przypominająca gigantyczny tunel zawieszony w przestrzeni. Wyglądało na to, że wzdłuż osi zamontowany jest jeden z super-laserów, zdolnych rozbijać planety.

Huttowie znacznie zmodyfikowali plany Gwiazdy Śmierci, co oznaczało, że musieli w jakiś sposób przeprowadzić imponującą inżynierską ekspertyzę.

Razem z Trandia wylądowali na dużej asteroidzie, na obrzeżach rejonu prac nad bronią. Nowo konstruowana stacja bojowa przedstawiała się monumentalnie na tle rozgwieżdżonego czarnego nieba. Madine jeszcze raz wysłał wiadomość na falach krótkiego zasięgu.

– Zostaniemy na tej asteroidzie, by przeprowadzić rozpoznanie – oświadczył potem przebierzemy się i spróbujemy przedostać się do środka.

Rozdział 38

Podczas gdy ich uszkodzony statek oddalał się od powierzchni Hoth, Callista i Luke pracowali ramię w ramię, rozpaczliwie łącząc ze sobą przewody, zastępując uszkodzone elementy innymi i montując z powrotem podstawowe systemy. Starali się naprawić usterki, zanim pojawią się jakieś następne.

Wampy nie zniszczyły zewnętrznej powłoki kadłuba, ale spowodowały poważne uszkodzenia. Silniki napędu podświetlnego statku z trudem pracowały na połowie mocy, unosząc ich z powierzchni planety i ciężko wypychając na orbitę. Silniki kilkakrotnie już niemal wysiadły, ale na razie jeszcze jakoś działały.

Jednostka napędu nadświetlnego została kompletnie zniszczona, nie byli też w stanie naprawić nawigacyjnego komputera. Zmierzali w stronę pola asteroid na obrzeżach systemu Hoth, dysponując jedynie znikomą mocą pól osłon, zupełnie pozbawieni możliwości zmiany kursu. Przestrzeń wokół nich stopniowo robiła się gęsta od skalnych odłamków. Callista usiłowała ukryć przerażenie.

Luke miał przekrwione, zmęczone oczy i wymizerowaną twarz. Callista zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać przynajmniej równie źle, ze zmierzwioną czupryną i nabiegłymi krwią oczyma. Ale pobladła twarz Luke'a nagle ożywiła się, jakby odzyskiwał nadzieję.

– Może byłbym w stanie użyć Mocy, by poprowadzić nasz statek – powiedział. Przynajmniej tak, byśmy unikali jakichś większych kolizji. Nie wiem tylko, dokąd zamierzamy lecieć.

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc – odparła Callista. – Naprawdę nie mogę... I boję się spróbować.

– Wspaniale walczyłaś mieczem z wampami – rzeki Luke, dodając jej otuchy – a nie wyczułem żadnych mrocznych przebłysków ciemnej strony, tak jak to było na Dagobah.

– Tak – szepnęła Callista. – Nie pozwoliłam wydostać się temu na zewnątrz. Jednak wiedziała, że ciemna strona była przy niej, niczym czarne skrzydła łopoczące na granicy świadomości, żądające, by je uwolnić. Odmówiła – ale, prawdę mówiąc, pokusa była ogromna...

W rozbryzgu iskier i w dymie dobywającym się ze spalonych przewodów systemy podtrzymywania życia odmówiły posłuszeństwa. Luke i Callista wyjęli części z mniej istotnych komputerów, próbując przywrócić funkcjonowanie życiodajnych systemów.

– Są sprawne w około dziesięciu procentach – oświadczył Luke. – To nie na wiele nam się zda.

Callista zadrżała. Temperatura w kabinie już zaczęła spadać.

– Nie wydostaniemy się stąd, prawda? – odezwała się ze spokojną i przerażającą szczerością.

Luke wpatrywał się w nią przez dłuższy moment, po czym na jego twarzy pojawił się może nieco wymuszony uśmiech.

– Nie w żaden z normalnych sposobów – odezwał się w końcu i westchnął. – A to oznacza, że musimy poszukać jakiegoś innego rozwiązania.

Luke i Callista zaczęli dokładnie oglądać ciężkie skafandry, na wpół zniszczone przez wampy.

Wykorzystując zestawy narzędzi i materiałów, które musiał zostawić na ich statku któryś z mechaników na Coruscant, zdołali doprowadzić do stanu użyteczności jeden ze skafandrow. Ale tylko jeden.

Po godzinie atmosfera zaczęła wyraźnie rzednąć, a ciepło wydzielane przez ich ciała nie było w stanie ogrzać kabiny, którą ogarniał powoli kosmiczny ziąb.

Luke sprawdził jeszcze raz połatany prymitywnie skafander i ujął dłoń Callisty.

– Musisz go włożyć, Callisto.

– Nie pozwolę, byś się poświęcił dla mnie – odparła. – Nie pozwoliłeś mi tego zrobić na pokładzie „Oka Palpatine'a”.

Luke uniósł dłoń i dotknął jej policzka.

– Nie mam zamiaru się poświęcać. Mogę zapaść w głęboki trans Jedi i spowolnić przemianę materii, praktycznie niemal zatrzymując czynności życiowe. Potem poczekamy, licząc na jakiś ratunek.

Callista z niechęcią patrzyła na zreperowany skafander, potem ponownie spojrzała prosto w czyste, błękitne oczy Luke'a, żalując, że nie potrafi odczytać jego myśli i uczuć.

– Mógłbym użyć Mocy, by skontaktować się z kimś – kontynuował Luke. Wysłałbym telepatyczny przekaz. Wątpię, by ktokolwiek zdołał go odebrać, ale musimy spróbować.

Callista powoli naciągała ciężki skafander.

– Tak – odezwała się w końcu, przystając na jego pomysł. – Trzeba spróbować. Zanim dopasowała swój hełm do reszty stroju, pocałowała Luke'a.

– Dasz sobie radę? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Tak długo, jak długo będziesz przy mnie, czuwając.

Luke zamknął oczy, stopniowo zapadając w nicość. Wykorzystywał technikę Jedi, by pogrążyć się w głęboki trans, który pozwalał mu odseparować się od całego świata.

Callista pragnęła przyłączyć się do niego, ale dotykała Mocy w tak niewyraźny sposób, że nie mogła obudzić swych zdolności. Nie była zdolna nawet rozpocząć głębokiego transu Jedi, w jaki wprowadził się Luke.

Obserwowała go, czując, jak jej serce wypełnia miłość, gdy zmagala się z milczeniem Mocy w swym umyśle. Jeszcze raz poczuła przebłyski ciemnej strony, zachęcające ją, by wkroczyła na łatwiejszą drogę...

Przyłącz się do ciemnej strony!

...nawet jeśli oznaczałoby to, że musiałaby ulec złu.

– Nie – szepnęła do siebie, choć wiedziała, że Luke i tak nie wiedziałby o niczym. Oparła się mrocznej pokusie, przerażona faktem, że tym razem uzyskała jeszcze łatwiejszy dostęp do ciemnej strony.

W spowitej ciszą kabinie robiło się coraz zimniej. Skafander pomarszczył się dziwnie, gdy przesunęła się bliżej Luke'a, oszczędzając energię i chcąc być tuż przy nim.

Wyglądał jak wyrzeźbiony w jakimś twardym materiale. Na twarzy Luke'a gromadził się szron, wywołany słabym oddechem. Rozpaczliwie pragnęła dotknąć swą myślą jego umysłu, pomóc mu wysłać wezwanie o pomoc – ale umysł Luke'a pozostawał dla niej zamknięty.

Uszkodzony statek dryfował pośród rumowiska na obrzeżach pasa asteroid, dysponując znikomą mocą ochronnych pól siłowych i zepsutymi systemami podtrzymywania życia. Callista siedziała w

ciemnościach osamotniona.

Oślonięty bezkształtnymi, osobliwymi powłokami Mocy, Luke Skywalker skupił wszystkie myśli na jednej, jedynej projekcji, wyraźnym impulsie wysłanym przez czasoprzestrzeń. W jego umyśle słowa biegły po liniach Mocy, które łączyły wszystko w całym wszechświecie.

Przypomniawszy sobie, jak wisiał uczepiony anteny elektronicznego wiatromierza, zainstalowanego w dolnej części Miasta W Chmurach, nad powierzchnią chmur, próbując zachować drogocenne życie. Wówczas wysłał podobny przekaz, zanim jeszcze poznał prawdę o swej siostrze... zanim dowiedział się, że istnieje między nimi więź. Luke dokładnie wiedział, kogo poprosić o pomoc.

– Leio! – zawołał z odległych rejonów pasa asteroid, wysyłając myśli gdzieś w przestrzeń. – Leio... Leio...

Rozdział 39

Zmęczona ciągłym napięciem podczas dyplomatycznej wizyty w fortecy Durgi nie wiedząc, co zrobić z zaskakującymi wieściami, że admirał Daala wciąż żyje i przygotowuje kolejną napaść na Nową Republikę – Leia opadła w wygodny fotel na swym dyplomatycznym wahadłowcu. Han prowadził statek. Oddalali się od Nal Hutta i, omijając z dala Księżyc Przemysłowców, kierowali się w otwartą przestrzeń, gdzie oczekiwała ich flota Ackbara.

Odczuwając prawdziwą ulgę, że nie musi już mieć na sobie uroczystego dyplomatycznego stroju, Han znowu włożył swoje stare, zwykłe ubranie: czarną kamizelkę, białą koszulę i ciemne spodnie, które widziały już z pewnością lepsze dni. Leia sama chętnie przebrałaby się w wygodniejszy strój, ale zapomniała spakować go podczas przygotowań do niespodziewanej wizyty na planecie Hurtów.

Threepio, starając się jakoś przydać, recytował listę spraw czekających na nią po powrocie na Coruscant. Wymienianiu ich nie było końca; o niektórych z nich Leia zapomniała, inne zlekceważyła, o pewnych po prostu nie chciała pamiętać. Gdy Threepio trajkotał z niegasnącym entuzjazmem o jej obowiązkach przywódczyni, Leia poczuła wszechogarniającą senność. Łagodne wibracje dyplomatycznego statku przenikały jej skórę, jak w efekcie elektronicznego masażu. Myślami odpływała, oddech stawał się coraz bardziej spokojny...

I nagle poczuła dziwny impuls. Leia gwałtownie usiadła wyprostowana, przejęta dreszczem. Zamrugła oczyma, ciężko łapiąc powietrze. Telepatyczny impuls powtórzył się, przesywając jej umysł niczym lodowaty pocisk.

Leio...

Leio!

– Luke? – szepnęła.

Threepio, wciąż recytując swą listę, wreszcie zorientował się, że dzieje się coś dziwnego.

– Pani Leio, czy wszystko w porządku?

Han odwrócił się w fotelu pilota, zaniepokojony.

– Hej, Leio – co się stało?

Jej ciałem targnął dreszcz, mocno zaciskała powieki. Opuszkami palców dotknęła czoła... ale głos nie przestawał rozlegać się w jej głowie, odległe błagalne wołanie, żadnych szczegółów, jedynie powtarzające się wezwanie.

Leio!

– To Luke – orzekła. – Ma kłopoty.

– Czy wiesz, gdzie jest? – zapytał Han, na jego twarzy malowało się jeszcze wiele innych pytań, których nie zadał. W ciągu lat spędzonych wspólnie nauczył się nie wnikać w tajemnice Jedi, co do których miał pewność, że ich nie zrozumie. Już nie uważał tego za „religijne hokus-pokus”, ale pojąc wciąż nie był w stanie.

– Nie – powiedziała Leia. Głos Luke'a przygasł nieco, pozostając jednak głęboko w jej umyśle. Wezwanie nie natężało się, lecz wciąż niezmiennie trwało. – Sądzę, że potrafiłabym go znaleźć, gdybym skoncentrowała się wystarczająco mocno. Musimy...

– Hej, spójrz! – Han przerwał jej, wskazując przez okno, gdy zbliżali się do floty Nowej Republiki. Fregata Wedge'a „Yavaris” tkwiła przed nimi, ogromniejąc z każdą chwilą. Do jednego z doków portowych dołączony był znajomy kształt wysłużonego „Sokoła Milenium”. – Widocznie Chewie i Artoo wrócili.

Han obrócił się w fotelu i spojrzał na Leię.

– Kiedy dołączymy do floty, przekazemy im nasze informacje o Huttach. Potem możemy zabrać wszystkie jednostki i uratować Luke'a – albo możemy polecieć „Sokołem”.

– Dobrze. – Leia przygryzła dolną wargę. – Myślę, że cała flota nie jest potrzebna. Ruszajmy jak najszybciej. – Przełknęła ślinę, próbując pozbyć się suchości w gardle. Będziemy musieli zdać sprawę Ackbarowi z tego, co dowiedzieliśmy się o działaniach Imperium. Powinien mieć trochę czasu na zaplanowanie strategii.

Gdy dyplomatyczny wahadłowiec zacumował w jednym z doków „Yavarisa”, opuścili swój statek pośpiesznie, w towarzystwie uzbrojonej eskorty. Zanim Han zdążył się zorientować, co się dzieje, wielki, nieco wymizerowany Wookie rzucił się w jego stronę, by się przywitać. Chewbacca ścisnął Hana tak mocno, Leii zdawało się, że słyszy trzask pękających żeber.

Wedge Antilles podbiegł do nich, wołając:

– Hanie, Leio! Cieszę się, że już jesteście. Chewie i Artoo odkryli coś na Nar Shaddaa, ale kiedy dowiedzieli się, że już jesteście w drodze tutaj, upierali się, by poczekać.

Chewbacca nerwowo wyrzucał z siebie jakieś słowa. Artoo kręcił się wkoło, poświstując i trajkocząc.

– Proszę, mówcie po kolei – odezwała się Leia, podnosząc głos.

Han uniósł obie dłonie.

– Chewie – rzekł – hej, bracie, mów wolniej! Nic nie można zrozumieć.

Kilka minut zajęło Hanowi, by wyciągnąć z nich informacje, jakie zdobyli, i połączyć je z tym, co wiedzieli o Huttach, budujących swą superbroń, i o Daali, która zdołała zjednoczyć imperialne siły i planowała natarcie na Nową Republikę. Wszystko to czyniło z galaktyki naprawdę niebezpieczne miejsce.

Leia słuchała, cały czas dręczona myślami o Luke'u, ale wiedziała, że musi wydać pewne instrukcje i rozkazy flocie, zanim ją opuści.

– Generale Antillesie – powiedziała – chodźmy do sali obrad i połączmy się z admirałem Ackbarem. Han i ja musimy też wylecieć stąd najszybciej, jak to możliwe mój brat, Luke, ma poważne kłopoty. Wszystko dzieje się naraz.

– Luke ma kłopoty? – powtórzył Wedge. – Ruszajmy!

Pośpieszyli do sali obrad. Po chwili pojawił się tam holograficzny obraz admirała Ackbara, przysyłany przy użyciu specjalnego kodu. Leia bębniła palcami po stole, rozglądając się na boki, czując wezwanie Luke'a, które docierało do niej nieprzerwanie.

Luke potrzebował jej. Był w jakiejś pułapce. Musiała lecieć. Musiała.

– Huttowie, za pomocą Imperium, budują własną superbroń – zaczęła Leia. – A nasza stara znajoma, admirał Daala, jednoczy imperialne siły, by zaatakować Nową Republikę. Wszystko to dzieje się tuż przed naszymi nosami.

Popatrzyła na Wedge'a, potem znów odwróciła się, by spojrzeć w szkliste i nieprzeniknione, kalamariańskie oczy Ackbara.

– Chcę, by od tej chwili został ogłoszony żółty alarm dla naszych oddziałów. Proszę upewnić się, że wszyscy gotowi są do wzięcia udziału w walce, bez względu na to, gdzie uderzy Imperium. – Zwróciła się do Wedge'a. – Ale nie wolno nam się z tym zdradzić. Naszą jedyną przewagą jest to, że oni nie mają pojęcia, iż wiemy o ich planach. Prawdopodobnie są zdania, że coś podejrzewamy, ponieważ kręcimy się tutaj... ale nie pomyślą, że coś odkryliśmy. Wy kontynuujcie swoje manewry, tak jak przedtem.

Han, Chewie i ja weźmiemy „Sokoła” i polecimy na ratunek Luke'owi. Nie możemy pozwolić, by Huttowie pomyśleli, że coś się zmieniło. Poczekajcie na raport z wyprawy generała Madine'a i jeśli ja nie wrócę, działajcie odpowiednio. Wierzę w was.

Leia wstała, na jej twarzy malowało się zdecydowanie.

– Teraz muszę ruszać, by ratować brata.

Han wziął ją za rękę i pobiegli w stronę „Sokoła”.

Leia siedziała przypięta pasami do fotela, skoncentrowana, podążając za stopniowo niknącym wołaniem Luke'a. Jej zdolności władania Mocą wyostrzył nieco trening, jaki zrobił jej Luke, nie potrafiła jednak dać Hanowi dokładnych współrzędnych, które mógłby wpisać do pamięci nawigacyjnego komputera. Mogła tylko prowadzić go w pewnym, określonym kierunku, precyzując dokładniej położenie Luke'a, w miarę jak posuwali się dalej.

Wysłużony statek wyglądał jak wrak dryfujący bezwładnie pośród odłamków pasa asteroid. Artoo-Detoo zapiszczał, gdy czujniki wykryły inny statek, a Chewbacca natychmiast skierował „Sokoła” w tamtą stronę.

Promieniem ściągającym „Sokoła” wzięli uszkodzony jacht na hol, zamykając i zabezpieczając komory powietrzne tak, że Han, Leia i Chewbacca mogli otworzyć pokrywę wjazdu i wejść na pokład zaciemnionego wraku. Leia zauważyła na zewnętrznej pokrywie kadłuba niepokojące ślady, które nie były zwykłymi zadrapaniami czy wgnieceniami powstałymi na skutek uderzeń drobnych odłamków skalnych – to były długie, wyraźne rysy, przypominające ślady po wyjątkowo silnych i ostrych szponach.

Nie mogła zrozumieć, co oni robili w obrębie systemu Hoth. Gdy Luke i Callista opuszczali Corascant, miał on zabrać dziewczynę na ekskluzywną i romantyczną kometę należącą do Towarzystwa Mulako – ale widocznie zmienili plany.

Dławiąc się, Han upadł ciężko na podłogę pustej ładowni statku, z krzykiem, by rzucili maski tlenowe.

– Tu prawie w ogóle nie ma powietrza – wydyszał – i jest piekielnie zimno. Przypomina mi się Kessel.

Chewbacca cisnął z brzękiem latarki i maski do oddychania, zanim, pochylając się, wszedł do ciemnego pomieszczenia. Han i Leia włożyli maski na twarze i każde z nich wzięło po jednej latarce, oświetlając spowite mrokiem pomieszczenia. Chewbacca trząsł się, rozcierając porośniętą długą sierścią łapy.

– Tu zupełnie nie ma zasilania – oznajmiła Leia. – Systemy regeneracji powietrza i wody praktycznie nie działają.

– Wygląda na to, że stery wysiadły także – dodał Han.

Leia potrząsnęła głową.

– Jednak wyczuwam obecność Luke'a. Jego głos to teraz jedynie szept, ale on tu jest.

Znaleźli dwa leżące bez ruchu ciała na końcu pomieszczenia przeznaczonego do spania: Luke sztywno leżał na podłodze, Callista, przytulona do niego, w porwanym i uszkodzonym skafandrze. Luke wyglądał jak posąg wyrzeźbiony w lodzie. Gęsty szron pokrywał jego brwi, powieki i górną wargę. Skóra straciła barwę i przypominała warstwę wosku.

Callista jęknęła cicho, poruszając się w połatanym skafandrze. Pokrywający go lodowy pył kraszając się opadł na podłogę.

– Jej skafander jest do niczego. Zabierzmy ich na pokład „Sokoła” – rzucił Han. Chewie, poniesiesz Luke'a. Ja z Leią weźmiemy Callistę.

Nieśli bezwładnych Jedi na pokład statku, na którym była odpowiednia ilość ciepła i powietrza, po czym odłączyli zniszczony jacht. Podryfował w przestrzeń, przez chaos rozszalałych asteroid, jak niepotrzebny śmieć, który wkrótce zostanie roztarty na pył.

Callista pierwsza wróciła do życia. Przebrana w ciepłe odzienie, po wypiciu kilku filiżanek ożywczej herbaty doszła do siebie na tyle, by nalegać, że pomoże pielęgnować Luke'a, którego cały czas próbowano przywrócić do życia. Pograżony w głębokim transie, poważnie naruszył swoje rezerwy, utrzymując się na granicy życia i śmierci, gdy systemy statku wysiadły zupełnie. To, że przeżył, zawdzięczał jedynie woli przetrwania i nielicznym cząsteczkom tlenu, które wykorzystał najlepiej jak umiał. Gdyby to trwało kilka godzin dłużej, jego serce przestałoby bić.

Callista z podkrążonymi, przekrwionymi oczyma wzięła miękką gąbkę zanurzoną w ciepłej wodzie i zaczęła obmywać twarz Luke'a, jego czoło i kark. Odezwała się szeptem do Leii:

– Czuwałam nad nim, aż moje siły się wyczerpały. Aż jego siły się wyczerpały... Zadrżała. – Trzymałam go, ale nie mogłam go dotknąć. Mówiłam do niego... Wyciągnęła dłoń i delikatnie musnęła palcami policzek ukochanego.

Nagle jego niebieskie oczy otworzyły się i Luke wziął głęboki oddech. Zamrugał powiekami, jego policzki nabierały koloru.

– Jesteśmy bezpieczni? – zapytał. Jego głos przypominał ochrypy jęk, ale był to głos życia.

Callista, Han, Chewie i Leia stłoczyli się wokół niego i mało brakowało, a zadusiliby go naprawdę w nadmiarze radości.

– Tak, Luke'u, jesteście bezpieczni – powiedziała Leia. – Lecimy do akademii Jedi, gdzie będziesz mógł odpocząć i nabrać sił.

Rozdział 40

Z osobistego gabinetu na prawie ukończonej stacji bojowej, Mieczu Ciemności, Bevel Lemelisk wyglądał przez wielkie, segmentowe okno, obserwując ostatnie prace przy konstrukcji gigantycznego obiektu.

Gabinet był wyjątkowo surowy, miał zimne, metalowe ściany, niewiele mebli i żadnych dekoracji. Inżynier nie marnował czasu na tak błahе rzeczy jak artystyczny wystrój czy komfort. Jedyne, co było dla niego naprawdę istotne, to pewność, że posiada odpowiedni sprzęt – jak najwięcej sprzętu. Był szczęśliwy tylko wówczas, gdy był otoczony przez techniczne zabawki.

Gdy Lemelisk wpatrywał się w chaos pasa asteroid – przeróżne układy, od prostych linii zakreślanych przez skały przyciągane siłą grawitacji do skomplikowanych, złożonych kombinacji – spostrzegł odległe światło, odbite od kadłuba jakiegoś statku. Zmrużył oczy. Tak, bez wątplenia był to statek, a niejeden z wielu skalnych odłamków.

Szpiedzy? – pomyślał, czując dreszcz emocji; ale wątpił w to. Bardziej prawdopodobne, że jest to banda przemytników, którzy sądzą, iż będą bezpieczni w nie opisanym na żadnej mapie rejonie przestworzy.

Więszym zmartwieniem, zdaniem Lemeliska, było to, że ponownie Taurille przestały skupiać się na pracy, zainteresowane niespodziewanym ruchem. Lemelisk nie był w stanie wyobrazić sobie, jak małe, zajęte stworzenia, ubrane na dodatek w specjalne kosmiczne skafandry, mogły w ogóle dostrzec coś tak niewyrazistego i odległego. Ale Superświadomość Taurillów miała przecież tysiące oczu – a wystarczyła jej jedna ich para, by coś spostrzec.

Mali robotnicy, zostawiając swoje stanowiska, zaczęli biegać pośród elementów konstrukcji, szukając lepszego miejsca, skąd mogliby zobaczyć statek.

Lemelisk jęknął. Teraz będzie musiał przeprowadzić następną szczegółową inspekcję Miecza Ciemności, by się przekonać, czy i tym razem Taurille nie sfuszemją roboty. Udało mu się całkowicie ukryć przed Durgą pierwszy incydent, ale nie był przekonany, czy powinien ryzykować dalsze oszukiwanie zbrodniczego lorda.

Zjechał turbowindą do jednego z doków budowli, i wsiadł do starego skutera inspekcyjnego, małego, cylindrycznego statku, który mógł zabrać tylko jedną osobę – a i to z trudem.

Lemelisk wcisnął jeden z guzików na prymitywnym panelu i zamknął się wewnątrz statku. Ciężko pracujący system obiegu powietrza niemal zupełnie nie oczyszczał atmosfery w środku, gdzie cuchnęło tak, jakby materiały wyściełające po prostu gnęły.

Lemelisk oderwał jednostkę od posadzki i przeleciał przez magnetyczną osłonę siłową otaczającą stację, po czym zaczął okręzać czarny lśniący kadłub Miecza Ciemności.

Przypomniał sobie, jak wykonywał podobny lot inspekcyjny wokół Gwiazdy Śmierci razem z wielkim moffem Tarkinem... i miał nadzieję, że tym razem nie skończy się to katastrofą.

Bevel Lemelisk i wielki moff Tarkin wyruszyli z pałacu gubernatorskiego na Eriadzie, ważnego rządowego i handlowego ośrodka na Odległych Rubieżach, gdzie Tarkin, stając się zarządcą tego regionu, założył główną bazę operacyjną. Gdy prace nad Gwiazdą Śmierci zostały właściwie ukończone, Tarkin wezwał Bevela Lemeliska na Eriad, by wspólnie wykonać pierwszy próbny lot stacją bojową.

Tarkin wziął ze sobą ulubionego niewolnika, Kalamarianina Ackbara, by pilotował ich nieoznakowany prom klasy Lambda na drodze do systemu Horuz, gdzie znajdowała się Gwiazda Śmierci, pozostawiona na orbicie nad kolonią karną Despayre.

Tarkin wolał podróżować bez pełnej straży, pozwalało mu to bowiem poruszać się swobodniej, wślizgiwać się tam, gdzie mógłby wykryć jakąś zdradę i odpowiednio na nią zareagować. Poza tym nie chciał ściągać uwagi na superbroń gdy była prawie ukończona.

– Na co czekasz, Ackbarze? – spytał Tarkin, siedzący w fotelu pasażera obok Lemeliska. – Ruszajmy obejrzyć tę broń, która stłumi wszelki opór przeciwko Nowemu Ładowi Imperatora.

Kalamarianin pochylił się nad pulpitemi i bez słowa zabrał ich z Eriadu w miejsce, skąd mogli wykonać skok w nadprzestrzeń.

Tarkin wykorzystywał każdą okazję, by gnębić i poniżać cichego, znoszącego godnie wszystkie zniewagi kalamariańskiego niewolnika. Od Tarkina słyszał, że Ackbar jest inteligentny, a Lemelisk wiedział, że wielki moff spędzał wiele czasu wyjaśniając Ackbarowi taktykę walki z Rebelią, pokazywał mu tajne plany, zdradzał sztuczki i manewry służące zmyleniu przeciwników i łamaniu oporu tych, którzy buntowali się przeciw nowym rządóm. Ackbar wydawał się przybity i ostatecznie złamany... albo przynajmniej dobrze udawał.

– Przygotować się do skoku w nadprzestrzeń – oznajmił Ackbar, jego beznamiętny głos nie zdradzał żadnych uczuć. – Miejsce przeznaczenia – Despayre w systemie Horuz.

Nagle, bez ostrzeżenia, pojawiły się trzy rebelianckie myśliwce typu Y, nacierając na wahadłowiec Tarkina i otwierając do niego ogień z laserowych dział.

– Rebelianci atakują! – krzyknął Tarkin. – Ackbarze, wykonaj unik.

Kalamarianin zareagował bardzo sprawnie – lecz zamiast natychmiast uciec w nadprzestrzeń, wyłączył generatory ochronnych pól siłowych.

– Ty głupcze! – wrzasnął Tarkin.

– No i co teraz zrobimy? – zapytał Lemelisk.

Rebelianckie myśliwce typu Y zbliżały się ponownie, oddając precyzyjne strzały. Rufą promu klasy Lambda targnęły eksplozje. Statkiem rzuciło najpierw w przód, potem znów tył. Z tylnej części jednostki dobywały się płomienie i dym, jej lot stał się niekontrolowany.

– Zginiesz za to, Ackbarze – oświadczył Tarkin.

Rebelianci strzelili znowu, powodując, że uszkodzony statek zaczął okręcać się wokół własnej osi. Tarkin poderwał się z miejsca, lecz nowy cios rzucił nim o ścianę. Zataczając się, wielki moff poczłapał do Lemeliska, który wciąż siedział przypięty pasami do fotela.

– Ochronne pola nie działają, silniki zniszczone – powiedział Ackbar. – Zaraz wejda na pokład. – Wyjrzał przez dziobowy iluminator. – Chciałbym, żeby pan wiedział, wielki moffie Tarkinie, że to wszystko jest moją odpłatą za niezliczone cierpienia, jakich przysporzył pan mnie i takim jak ja.

Lemelisk zobaczył, że rebelianckie jednostki zbliżają się po raz kolejny, z zabójczą bronią przygotowaną do strzału. Tarkin stanął na nogi i złapał Lemeliska za kołnierz, wyciągając go z fotela.

– Kapsuła ratunkowa – rzucił. – Zostawimy tego zdrajcę, by dostał to, na co zasłużył.

Tarkin i Lemelisk pobiegli do niewielkiej kapsuły ratunkowej, przeznaczonej zasadniczo dla jednej osoby. Lemelisk potknął się i runął jak długi. Uderzył głową o jakąś przegrodę i poczuł trzask łamanej kości; z jego nosa pociekła krew. Tarkin robił swoje, nie zwracając uwagi na Lemeliska. Włączył przycisk odpalania. Wład kapsuły ratunkowej zatrzasnął się i z hukiem większym niż wszystkie eksplozje spowodowane przez Rebeliantów, mały stateczek oderwał się od promu w tej samej chwili, gdy myśliwce typu Y podleciały, by wykonać ostateczny atak.

Wszechświat wirował, pulsując bólem, gdy Lemelisk próbował powstrzymać krwawienie z nosa. Widział, jak rebelianckie jednostki otaczają uszkodzony prom, lecz zamiast natychmiast wysadzić go w powietrze, podchodzą bliżej, stykając się z kadłubem uszkodzonej jednostki.

– Za moment nas dopadną – stwierdził Tarkin, wciskając guzik alarmu znajdujący się w kapsule. Lemelisk zauważył, że wielki moff także musiał się zranić o jakąś rozgrzaną przegrodę.

Niespodziewanie, szczęśliwym trafem, przestrzeń wokół Eriadu zafalowała, gdy ukazał się wychodzący z nadprzestrzeni imperialny gwiazdny niszczyciel. Później okazało się, że był to flagowy statek admirała Mottiego, który przybył, by eskortować Tarkina, choć sam wielki moff wcale o to nie prosił.

Gwiazdny niszczyciel odebrał sygnał ratunkowy, a teraz ruszył na niedoszłych rebelianckich zabójców. Jego turbolasery znaczyły ciemną przestrzeń wiązkami dezintegrującego światła.

Lemelisk odwrócił się i zobaczył, że trzy myśliwce typu Y na powrót otwierają ogień do promu klasy Lambda, tym razem niszcząc go kompletnie. Gdy zaatakowany statek wybuchł, trzy maszyny rozdzieliły się i pomknęły w trzech różnych kierunkach, znikając w mrokach przestrzeni kosmicznej...

Gdy tkwili zamknięci w wirującej zawrotnie kapsule, Lemeliska ogarnęło coś w rodzaju choroby morskiej. Czuł, że zaraz zwymiotuje w ciasnym wnętrzu małej kapsuły, która wirowała wokół własnej osi jak dziecinna zabawka.

– Bardzo dziwne – skomentował wydarzenia Lemelisk. – Wyglądało, jakby rebelianckie jednostki przybyły, by uratować tego kalamariańskiego niewolnika.

Tarkin nie bardzo w to wierzył.

– Uratować Ackbara? Czemu mieliby zwracać sobie głowę jakimś zwierzęciem?

Lemelisk wzruszył ramionami, podczas gdy gwiazdny niszczyciel admirała Mottiego podchodził już do nich, by przejąć kapsułę.

– Nigdy nie zrozumieję sposobu myślenia Rebeliantów – odrzekł.

Przez jakiś czas dochodzili do siebie w szpitalu na Gwieździe Śmierci. Lemelisk leczył złamany nos, a Tarkin, cały w bandażach, zwichnięcia i powierzchowne oparzenia. Otrzymali niezbyt dobre wieści, że zamach na życie Tarkina stanowił jedynie część podstępnych działań Rebeliantów. Oddział komandosów zdołał wykraść pełne kopie dokumentacji Gwiazdy Śmierci, techniczne dane, dotyczące wszystkich systemów i elementów, określające dokładnie i szczegółowo charakter olbrzymiej stacji bojowej. Przeszmuglowali je do stacji przekaźnikowej Toprawa, po czym zniknęli.

Młody kapral w wypolerowanych na połysk butach, wyczyszczonym mundurze i z przystrzyżonymi schludnie włosami przekazał im te wieści z obawą, że Tarkin mógłby wpaść we wściekłość i nakazać jego egzekucję.

– Darth Vader tropi teraz toprawańskich rebeliantów. Przewiduje, że dopadnie ich, zanim zdołają dostarczyć skradzione plany.

Lemelisk przyglądał się Tarkinowi, zdumiony brakiem oznak jakiegokolwiek zaniepokojenia u

wielkiego moffa. Tarkin uśmiechnął się tajemniczo, jego zimne oczy rozbliły się.

– Gdy poznają wszystkie szczegóły, mogą tylko jeszcze bardziej bać się tej stacji bojowej – rzekł.

– Nie znajdują żadnych słabych miejsc. – Spojrzał na Lemeliska, który czuł się nieco głupio z niewygodnymi bandażami na nosie. – Moja Gwiazda Śmierci jest niepokonana.

Lemelisk opadł z powrotem na szpitalne łóżko, mając nadzieję, że Tarkin się nie myli.

Okrążając kadłub Miecza Ciemności w inspekcyjnym skuterze, Lemelisk nie pokładał tak głębokiego zaufania w nową superbroń Huttów. Będzie jeszcze raz musiał zganić Taurillów za spartaczoną robotę, a małe stworzenia gorliwie naprawią usterki... a potem znów zrobią to samo.

Ale Taurille to nie był jedyny problem.

Antyczne rdzenie komputerowe Sulamara wciąż były zwykłym złomem, niezależnie od tego, ile razy Lemelisk próbował je przeprogramowywać i modernizować. Urządzenia musiały mieć fabryczne wady, a ponadto były na tyle przestarzałe, że chyba mało kto wiedział, jak je naprawić.

Okazało się, że część grubych metalowych osłon, nabytych za niewielkie sumy od różnych sprzedawców, zawierała miliony mikroskopijnych dziur – co nie świadczyło dobrze o strukturze materiału, zwłaszcza że miał on służyć jako osłona silników! Cały ten projekt Miecza Ciemności z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nieszczęsny.

Przednie dźwigary wielokilometrowego cylindra zostały zmontowane niewłaściwie w stosunku do położenia wsporników rufowych. Laser musiał być ustawiony idealnie w linii prostej, bo gdyby Durga odpalił broń, śmiertelny promień zniszczyłby raczej samą stację bojową, a nie zamierzony cel.

A podobnych błędów wykonawczych było jeszcze więcej...

Jęk inżyniera odbił się echem od ścian małego inspekcyjnego skutera. Lemelisk wiedział już, jak naprawić każdą z tych usterek, ale znajdując tak wiele przykładów bezmyślnej pracy, zastanawiał się nad tym, jakich jeszcze nie udało mu się odkryć.

Rozdział 41

Crix Madine i Trandia pozostawili myśliwce typu A w mrocznym cieniu skalnego występu sterczącego z nierównej powierzchni małej asteroidy.

– Włączyć systemy – polecił Madine. – Nawet jeśli wszystko przebiegnie tak, jak zaplanowałem, musimy być gotowi opuścić to miejsce pośpiesznie.

Trandia odpowiedziała z ponurym fatalizmem, jaki nie opuszczał jej od chwili śmierci Korenna, trzeciego członka ich oddziału.

– Czy wrócimy z tej wyprawy, panie generale?

Madine chciał powiedzieć jej coś podnoszącego na duchu, ale potem zdecydował, że dziewczyna zasługuje na szczerłość.

– Musimy pozostawać dobrej myśli – rzekł. – Ostatecznie jest szansa, że wrócimy do domu cali.

– To mi wystarcza – odparła.

Madine i Trandia włożyli grubo wyściełane skafandry kosmiczne o tak ciężkich zbrojeniach, jakie miały niektóre bojowe statki. Stali na popękanej powierzchni asteroidy, sprawdzając zapasy środków detonujących, pakiety medyczne i systemy inwigilacji.

– Jestem gotowa, panie generale – oświadczyła Trandia.

Madine wydawał się gruby w swoim zbrojonym skafandrze. Przez jakiś czas wpatrywali się w gigantyczną strukturę, wiszącą nieruchomo pośród asteroid.

– W drogę – rzucił Madine.

Odbili się od powierzchni asteroidy, pokonując jej słabą siłę ciężenia. Siła rozpędu niosła ich przez przestrzeń w kierunku budowanej superbroni. Gdy razem z Trandia dryfowali niczym małe kamienie ku gigantycznemu cylindrowi, Madine miał sporo czasu, by przyjrzeć się projektowi Huttów.

Nie wszystko było dla niego jasne. Wiedział, że Huttowie skopiowali plany Gwiazdy Śmierci z Imperialnego Ośrodka Gromadzenia Informacji – ale to nie była Gwiazda Śmierci. Konstrukcja wyglądała raczej na zamknięty w prostym cylindrze superlaser, który mógł służyć jako niszcząca broń ofensywna. Gdyby ta broń została skończona, Huttowie nie mieliby zbyt wielkich oporów, by użyć jej przeciw komukolwiek, kto odmówiłby płacenia im haraczu.

A konstrukcja wyglądała na niemal ukończoną.

Dwie postaci w skafandrach zbliżały się – małe punkciki na tle ciągnącej się na wiele kilometrów maszyny. Madine odezwał się, wysyłając skupioną wiązkę, którą mogła odebrać tylko Trandia:

– Może uda się nam unieszkodliwić tę broń, jeśli zdołamy dostać się do środka i umieścić nasze ładunki w odpowiednich miejscach.

– Z tego, co widać, nie powinniśmy z tym zbyt długo zwlekać, panie generale powiedziała Trandia. – Wygląda na to, że Huttowie są właściwie gotowi.

W końcu ich magnetyczne buty dotknęły pancernych płyt z czarnego metalu, w którym odbijało się światło odległych gwiazd. Madine, używając przyczepnych rękawic, zaczął wdrapywać się po kadłubie jak owad. Broń Huttów była tak rozległa, że nie mógł dojrzeć miejsca, w którym powierzchnia się zakrzywiała.

Razem z Trandia pięli się po pancernych płytach i Madine ze zdumieniem spostrzegł, że wiele segmentów kadłuba zmontowano niedokładnie, elementy połączono ze sobą luźno; trzymały się razem, ale pomiędzy nimi widniały dziury i braki w spojeniach. Taka konstrukcja raczej nie mogła utrzymać atmosfery. Przerażało go fatalne wykonanie obiektu.

Przynajmniej łatwo będzie dostać się do środka.

Natrafili na wyjątkowo poluzowaną płytę i Madine'owi, za pomocą prymitywnego łomu z zestawu narzędzi skafandra, udało się usunąć kilka kruchych złącz. Metalowa płyta odpadła, pozostawiając otwór na tyle duży, by Trandia i Madine mogli przejść przezeń nawet w grubych skafandrach.

Weszli do zaciemnionego, na poły wykończonego korytarza, który ledwie pozwalał, by zmieścić się pomiędzy tandetnie wykonanym zewnętrznym kadłubem i wcale nie lepiej wykonaną ścianą wewnętrzną. Posuwali się powoli naprzód, oświetlając drogę źródłami światła umieszczonymi na hełmach. W końcu dotarli do przegrody, która pozwalała im wejść głębiej do wnętrza konstrukcji i skierować się ku wewnętrznym pomieszczeniom na rufie. Przedostali się przez ciasną komorę powietrzną.

Stukając ciężkimi butami, Madine wszedł do następnego ciemnego korytarza, czekając na Trandię. Gdy dołączyła do niego, zdjął hełm.

– Tu już jest atmosfera. Ściągnijmy skafandry – rzekł. – Potrzebujemy swobody ruchów. Może będziemy musieli chować się błyskawicznie, a ja ledwo mogę się poruszać w tym stroju.

Trandia zdjęła z siebie ciężkie rzeczy, składając je obok skafandra Madine'a w nie używanej alkwie. Puste skafandry wyglądały jak jakiś metalowy złom. Warkocz Trandii rozplatał się nieco i pasma włosów opadały jej na twarz. Czowała wilgoć potu na karku, jej skóra była zarumieniona – ale spojrzenie miała kamienne.

Zabrali narzędzia i detonatory ze swego ekwipunku. Madine potarł brodę, po czym uniósł w górę pięść.

– Za powodzenie naszej misji.

Trandia dotknęła swoją pięścią jego zaciśniętej dłoni.

– Powiedzie się – odpowiedziała.

Pochyleni, poruszając się niemal bezszelestnie, popędzili korytarzami, kierując się tam, gdzie powinny się znajdować systemy napędowe. Niektóre z pokładów były już zamieszkane przez nieliczną załogę, więc musieli przyczajając się na rogach i przemykać szybko, unikając strażników i członków załogi.

Madine spostrzegł wiele ciemnych paneli jarzeniowych, przewody sterczące i zwisające z sufitów, nie podłączone do niczego, wygaszone i nie działające terminale komputerowe, które wyglądały tak, jakby nigdy nie były sprawne. Mruknął do Trandii:

– Może wcale nie trzeba sabotować tej broni. Wszystko i tak niebawem samo się rozpadnie.

Sekcje systemów napędowych stanowiły wielki, wibrujący loch, wypełniony zapachami olejów i chłodziwa, syczącą parą, która mogła być spuszczana specjalnie albo też uchodziła z komór reaktorów na skutek nieszczelności. Zgiełk dźwięków i błyskających światel otaczał ich zewsząd, gdy wchodzili między gąszcz silników.

Pomosty robocze powyżej patrolowało już więcej strażników – wyglądający na bezmyślnych Gamorreanie i cała mieszanka różnych innych, niezbyt przyjemnych stworzeń: Weequayowie, Niktusanie, Aqualishowie o pyskach morsów. Madine sprawdził swój blasterowy pistolet i cztery detonatory, po czym pokazał Trandii gestem, że trzeba się rozdzielić.

Komputery sterujące Mieczem Ciemności wyglądały jak wielkie rzędy zwartych bloków, odgradzonych półprzezroczystą siatką, na której osadzały się krople nadzwyczaj zimnego powietrza, służącego do schładzania gorących obwodów.

Same olbrzymie silniki buczały za grubą ścianą ochronną. Gdyby zdołali rozmieścić ładunki w kilku wybranych miejscach całej komory systemów napędowych, sami, we dwoje, mogliby unieszkodliwić tę potężną broń, pozostawiając ją uszkodzoną i czekając, aż przybędą siły Nowej Republiki, by dokończyć dzieła.

Madine i Trandia, rozdzieleni, zaczęli penetrować dokładniej pomieszczenie wypełnione głośną maszyną. Trandia, trzymając cenne detonatory, przedzierała się ku ochronnej ścianie ogradzającej silniki, przeskakując z jednego zacienionego miejsca do drugiego.

Madine podszedł do siatki otaczającej komputery systemów napędowych. Nachylił się i wyjął narzędzie tnące, zamierzając przeciąć zabezpieczającą siatkę. Ładunek lub dwa mogłyby kompletnie zniszczyć komputery, które sterowały pracą napędu tej superbroni. Uruchomił małe wibroostrze, czując, jak drżenia o wysokiej częstotliwości przenikają rękojeść urządzenia. Wbił ostrze w cienką elastyczną powłokę – ale gdy przeciął krystaliczne włókna, nad komputerem rozległ się wyjący alarm.

Madine wyłączył ostrze, klnąc, i sięgnął po blasterowy pistolet. Usłyszał kroki strażników chcących zbadać przyczynę zamieszania. Wydawali się jacyś apatyczni. Madine zastanawiał się, jak często zdarzało im się reagować na fałszywy alarm, będący wynikiem błędów konstrukcyjnych.

Madine zdecydował, by na razie nie strzelać, i wycofał się w cień, gdy uzbrojeni strażnicy podchodzili z bronią gotową do strzału. Jeśli będzie cicho, mogą go nie zauważyć i wrócą do swych zajęć. Serce mu waliło. Strażnicy byli coraz bliżej.

Nagle Trandia wyszła ze swojej kryjówki, nieopodal ściany ochronnej silników. Krzyknęła, wymachując rękoma, by ściągnąć uwagę na siebie. Gdy zaskoczeni strażnicy odwrócili się w jej stronę, wystrzeliła z blastera, trafiając jednego z nich, gruboskórnego Niktu, który syknął i padł na podłogę.

Pozostali strażnicy wysłali ku niej grad blasterowych promieni. Trandia odskoczyła w bok, ale jedna wiązka przeszła jej ramię na wylot. Krzyknęła i osunęła się za jedną z konsol, próbując się schować. Strażnicy skupili się na jej kryjówce, całkowicie zapominając o generale.

– Uciekaj! – krzyknęła do niego Trandia. Jej głos przeniknięty był bólem. Uciekaj!

Madine ponownie zaklął w duchu, żałując, że Trandia jest tak impulsywna. Począł odczołgiwać się od stanowisk komputerów, wyczekując okazji, by odciągnąć strażników od Trandii. Złośliwe obce stworzenia ruszyły w jej stronę – i w tej samej chwili, gdy się zbliżyli, Trandia zdetonowała wszystkie ładunki.

Wybuch zagłuszył nawet kakofonię dźwięków dobywających się z olbrzymich silników. Ściana ognia błyskawicznie przetoczyła się przez pomieszczenie, rozchodząc się we wszystkie strony od centrum wybuchu. Eksplozja zmiotła całą bandę strażników, tak samo jak i Trandię, choć ledwie naruszyła ścianę ochronną silników. Światła zamigotały i zgasły.

Fala uderzeniowa przygniotła Madine'a. Potrząsnął głową, łapiąc oddech i gramoląc się z

powrotem na nogi. Wrogowie byli zaalarmowani, infiltracja zakończyła się klęską. Lepiej było tu nie zostawać.

Madine biegł, potykając się. Nie mógł zebrać myśli, wstrząśnięty stratą Trandii i eksplozją. Wtedy gdzieś w głębi Madine'a coś się sprzeciwiło, jakby ocknął się umocniony przez lata treningów, przez lekcje, które sam dawał członkom swych oddziałów komandosów.

Misja była najważniejsza.

Musiała zostać zakończona.

Misja.

Zorientował się, że krwawią mu plecy, poszarpane przez kawałki metalu, jakie musiały trafić go przy wybuchu. Alarmy wciąż wyły, stawiając wszystkich w gotowości. Madine'owi udało się dotrzeć do drzwi, choć był na tyle zdezorientowany, że nie mógł sobie przypomnieć powrotnej drogi do opancerzonych skafandrów.

Ruszył przez otwarte drzwi, w dół ciemnego korytarza – i natknął się na kolejną grupę strażników, biegnących, by sprawdzić, co się dzieje.

Zamarł. Trandia oddała życie, mając nadzieję, że uda się jej uszkodzić silniki, że pozwoli swemu dowódcy uciec – ale nie udało się jej ani jedno, ani drugie.

Gamorreanie chwycili Madine'a w grube łapy i rzucili go na podłogę, przytrzymując w pozycji, w której nie mógł się ruszyć.

– Sabotażysta! – parsknął jeden z Weequayów, nachylając się nad nim.

Dźwignęli Madine'a na nogi. Pięciu strażników trzymało go, jak gdyby liczyli, że wszyscy dostaną nagrody za jego schwytanie. Madine miotał się, ale nic nie mówił. Strażnicy powlekli go jako trofeum, które będą mogli złożyć w ręce Durgi Hutta.

Rozdział 42

Na mostku Miecza Ciemności Bevel Lemelisk obserwował generała Sulamara i Durgę Hutta, na których obliczach malowała się dziecięca ekscytacja. Dwaj zazwyczaj zgryźliwi partnerzy siedzieli jak zauróczeni przy panelach kontrolnych, paląc się, by rozpocząć realizację wielkiego planu podboju.

Pomimo kłopotów, jakie Lemelisk miał z Taurillami, i innych rozlicznych trudności, przytrafiających się w trakcie konstrukcji ciężkiej superbroni, budowa Miecza Ciemności jakoś posuwała się naprzód. Postęp prac zgodny był nawet z ich harmonogramem, choć raczej dzięki powszechnemu przemilczaniu błędów niż rzeczywistej wydajności.

Na żądanie Durgi Miecz Ciemności był już technicznie ukończony, skonstruowany zgodnie ze zmodyfikowanymi planami Lemeliska i przy współpracy załóg robotniczych i inspekcyjnych – choć sam projektant wolał nie gwarantować jakości wykonania którejkolwiek części projektu. Prawdę mówiąc, ogarniał go strach, gdy zaczynał myśleć o tym, że Durga mógłby nagle zapragnąć użyć swej broni w najbliższym czasie.

– Przyjrzyj się – polecił Durga, wyświetlając holograficzną mapę galaktyki z Nal Hutta w centrum, przedstawiającą drogi ekspansji Huttów, którzy wykorzystując Miecz Ciemności chcieli skłonić bogate, a niezbyt silne planety do płacenia haraczu.

Sulamar zaczął udzielać Huttowi całkiem niepotrzebnych rad i Durga stracił ochotę, by dłużej słuchać generała. Pożerał oczyma holograficzną mapę, jego grube usta rozciągnęły się, bezbarwne znamię wyraźniej zarysowało się po jednej stronie twarzy.

Na mostku kontrolnym pozostali członkowie załogi siedzieli przypięci pasami do foteli, pozbawieni swobody ruchów. Durga nie chciał, by zerwali się nagle z siedzeńpułapek, gdy mu się narażą.

Lemelisk pocierał ostrą szczecinę na policzku, Durga wpatrywał się w mapę galaktyki, która wkrótce miała się znaleźć całkowicie pod jego kontrolą.

Niespodziewanie rozległ się alarm, dochodzący ze stacji systemów bezpieczeństwa. Klaksony wyły, wypełniając ostrym dźwiękiem puste korytarze Miecza Ciemności. Wielu przerażonych członków załogi znajdującej się na mostku próbowało uciec, lecz zatrzaśnięte pasy zatrzymały ich na miejscach. Durga ryknął:

– Żądam wyjaśnienia przyczyny tego hałasu.

– To alarm bezpieczeństwa, proszę pana – odparł Bevel Lemelisk. – Wybrałem dźwięk szczególnie niemiły dla ucha i przykuwający uwagę.

– Dobrze wykonaliście swą robotę, inżynierze – rzucił szyderczo Sulamar.

Durga nie był zadowolony.

– A czemu ten alarm wyje?

Lemelisk wzruszył ramionami.

– Może zostały przerwane zabezpieczenia? – zasugerował.

– Masz na myśli sabotaż? – spytał Hutt.

Zanim Lemelisk zdołał odpowiedzieć, rozległ się odgłos eksplozji, która spowodowała też chwilową wibrację ścian.

– Myślę, że mógłbym się o to założyć, lordzie Durgo – odparł wreszcie.

– Raport, proszę pana – wtrącił jeden z devaroniańskich członków załogi. Wybuch miał miejsce na poziomach, na których znajdują się silniki. Sabotażysta podłożył bombę.

– Zakres zniszczeń? – zapytał Lemelisk.

– W tej chwili nie znany – oznajmił Devaronianin.

– Sabotaż! – wrzasnął Durgo. – To nas opóźni. Jak ktoś mógł przedrzeć się przez nasze systemy zabezpieczeń? – Jego wielkie, okrągłe oczy zwróciły się ku członkom załogi. – Chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za ochronę! – Przechylił się nieco na swojej platformie. – Kto?

Wszyscy na mostku skulili się, ukrywając twarze, aż w końcu jeden TwiTek o ziemistej cerze uniósł szponiastą rękę. Przypominające glisty, wyrastające z głowy ogony sterczące z tyłu jego czaszki drżały.

– Ja... ja jestem odpowiedzialny, lordzie Durgo. Nie przypuszczaliśmy...

Durgo ryknął ponownie, sięgnął po mały, podręczny sterownik i wcisnął tłustym, zielonkawym palcem jeden z przycisków. TwiTek wydał cichy jęk przerażenia – ale zamiast niego zawył z bólu Weequay siedzący przy innym stanowisku. Ciało nieszczęśnika spowity błękitne pajęczyny wyładowań elektrycznych, wydobywające się z podstawy fotela. Błyskawicznie usmażył się na elektrycznym krześle. Dymiący korpus Weequay a opadł na blat stanowiska nawigacyjnego.

Durgo spojrział krzywo na swój sterownik.

– Och, przykro mi, zły przycisk – rzekł. Na mostku czuć było woń spalenizny, dochodzącą falami od szerniałego, zapadniętego ciała. – No cóż, niech to będzie dla ciebie lekcją – powiedział Durgo spoglądając na niedoszłą ofiarę.

Wszyscy obecni na mostku trzęśli się ze strachu. Jeden z Devaronian o twarzy demona, ze wzrokiem utkwionym w panelu komunikacyjnym, odezwał się z lękiem:

– Mam... jeszcze jedną informację, proszę pana. Ochrona donosi, że schwytano jednego z terrorystów. Drugi został zabity.

Durgo spojrział na ciało martwego Weequaya.

– Będzie więcej egzekucji, kiedy zbadamy tę sprawę.

Na te słowa Bevel Lemelisk zadrżał, ale próbował nie ściągać na siebie żadnych podejrzeń. Sam dźwięk słowa „egzekucja” przywracał mu pamięć wszystkich okropności egzekucji Imperatora, tortur, jakim Palpatine poddawał Lemeliska za każdym razem, gdy ten popełnił jakiś błąd...

Siedem własnych zgonów pozostawało w umyśle Lemeliska jak wiecznie obecny i żywy, koszmarny cień. Raz Palpatine wystrzelił go przez komorę powietrzną; ból był rozdzierający, choć śmierć łagodna, bo szybka, gdy nagły spadek ciśnienia i uderzenie przeraźliwego zimna zniszczyły jego wewnętrzne organy.

Pamiętał też powolne zanurzanie w kadzi z płynną miedzią, gdy patrzył, jak jego ciało spala się cał po calu. (Dlaczego płynna miedź? Lemelisk wielokrotnie zastanawiał się nad tym. W końcu, pewnego dnia, ponad miesiąc później, zapytał oto Imperatora. Odpowiedź Palpatine'a okazała się zaskakująca w swej prostocie: „Tego właśnie używali hutnicy tamtego dnia”.)

Lemelisk został również uwięziony w celi wypełnionej gęstniejącymi oparami kwasu, którymi musiał oddychać, krztusząc się krwią, gdy kwas przeżerał go od środka. Inne egzekucje były równie wymyślne, co bolesne.

Prawdziwie ucieszył się, że Imperator zginął podczas eksplozji drugiej Gwiazdy Śmierci, inaczej Lemelisk miałby prawdziwe kłopoty!

Teraz, na mostku kontrolnym Miecza Ciemności, gdy Durga tkwił w szoku na wieść o schwytaniu jednego z sabotażystów, generał Sulamar dostrzegł okazję dla siebie. Zdawał się jeszcze bardziej górować nad pozostałymi, pierś wypiął tak, że brzęknęły medale. Łypnął oskarżająco na Lemeliska, jakby chciał przewyższyć oczywistą wściekłość Durgi.

– Jak mogło do tego dojść?! – wrzasnął, patrząc na Lemeliska. – W ciągu wszystkich moich lat w służbie Imperium, gdy dowodziłem tysiącami tysięcy ludzi, wykonywaliśmy różne parszywe i trudne zadania. Ale nigdy nie nastąpił tak katastrofalny akt sabotażu. Nie wtedy, gdy ja dowodziłem.

Lemelisk odwrócił wzrok i mruknął cicho:

– No cóż, to właśnie pierwszy raz.

Strażnicy Durgi byli rozzłoszczeni i brutalni. Bili Madine'a za każdym razem, gdy się zachwiał, co sprawiało, że potykał się jeszcze mocniej... a to pozwalało im bić go ponownie.

Crix Madine był cały posiniaczony i pokrwawiony, gdy wreszcie dowlekli go do turbowindy. Nie czuł bólu, wciąż znajdował się w szoku po śmierci Trandii... ale pogodził się z tym, że został pojmany, i z wszystkimi tego konsekwencjami. Taka możliwość zawsze wisiała niczym ciężki cień nad każdą misją, jaką przeprowadzał.

Złączył mocno dłonie, choć ręce miał związane za plecami. Poczul się nieco spokojniejszy – wcisnął przycisk nadajnika, który miał wszczepiony w dłoń. Poprzez przestrzeń pomknął sygnał o specyficznej częstotliwości; oznaczający wezwanie pomocy. Zakodowany sygnał, poprzez galaktyczną sieć połączeń, dotrze prosto do floty Ackbara.

To była jedynie kwestia czasu... jeśliby tylko Madine zdołał wytrwać.

Drzwi turbowindy otworzyły się, gamorrekańscy strażnicy wypchnęli go z niej i Madine przymknął powieki, gdy uderzyły go światła urządzeń znajdujących się na mostku kontrolnym. Wszystko rozmazało mu się przed oczyma. Pomyślał, czy nie doznał wstrząsu mózgu od jednego ze złośliwych ciosów w głowę, które wymierzili mu strażnicy.

Madine szedł wśród nich z tępą rezygnacją. Stracił swój oddział: Korenn zginął w pasie asteroid, Trandia wysadziła się w powietrze, by ratować jego i zniszczyć stację bojową Huttów. W młodości Crix Madine przez lata wiernie służył Imperium. Po tym, jak przeszedł na stronę Rebelii, zawsze podejrzewał, że przyjdzie taki dzień, że będzie podejmował się coraz to trudniejszych zadań – tak jakby chciał, by go złapano. W jakiś sposób wiedział, że zostanie pojmany i rzucony w kajdanach u stóp wroga.

Strażnicy zaciągnęli go przed oblicze Durgi Hutta. Madine próbował zakpić sobie z Hutta, ale udało mu się zdobyć jedynie na grymas, który spowodował ostry atak bólu. Krew z rany za uchem spływała po policzku, gromadząc się na brodzie.

Opasły Hutt przesunął się trochę na repulsorowej platformie, bezbarwna skaza na jego twarzy nagle nabrała kolorów. Madine obrócił obolałą głowę i dostrzegł nadętego mężczyznę w mundurze imperialnego generała. Generał przeszedł przez metalowy pokład, zmierzając w jego stronę przy stukaniu wypolerowanych czarnych butów.

Madine spojrzał w górę i dojrzał wyraźniej twarz o blisko osadzonych oczach, słabo zarysowanej brodzie i dziecięcym grymasie – i jego umysł wypełniły gwałtownie wspomnienia, zalegające pośród głębokich pokładów pamięci. Był prawdziwie zaskoczony, podciągnął się, by stanąć prosto, ale zachwiał się znów na trzymających go strażników. Zauważył, że podobny przeblysłk świadomości maluje się na twarzy generała.

Przez chwilę ich spojrzenia spotkały się.

– Ty! – krzyknęli równocześnie.

Rozdział 43

KHOMM

W nadprzestrzeni ucieczka na Khomm trwała tylko godzinę. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy posłał kradziony wahadłowiec w kierunku rodzimej planety, bojąc się, czy zdąży ostrzec swych rodaków i Nową Republikę. Z przerażeniem pomyślał, że kontrola ruchu przyjęła go jako jakiś zwykły statek i nie była w żaden sposób zaalarmowana tym, że zbliża się lecąca z pełną prędkością przybywająca bez uprzedzenia imperialna jednostka.

– Mówi Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy – odezwał się – zwracam się z nagłym komunikatem. Musimy natychmiast użyć waszego systemu łączności dalekiego zasięgu. Przygotujcie się na imperialny atak. Ogłoście czerwony alarm.

Kontroler odparł po chwili:

– Wiadomość przyjęta, Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy. Zorganizujemy spotkanie z naczelnikiem miasta Kaellem Sto Szesnastym najszybciej, jak to możliwe.

– Nie zrozumieliście – odparł Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. Jego oliwkowa skóra stała się ciemnozielona, ręce mu drżały. Spojrzał zirytowany na Kypa Durrona, na którego twarzy malowało się oburzenie.

– Nie przejmuj się tym teraz. Szkoda tracić słowa na sprzeczkę – rzekł Kyp, po czym przemówił przez komunikator: – Mówi rycerz Jedi, Kyp Durron. Żądam pełnego dostępu do systemów komunikacyjnych waszego portu kosmicznego. – Ledwo udawało mu się opanować swój gniew.

– To chyba da się załatwić – odparł kontroler z irytującym spokojem.

Gdy posadzili statek na opustoszałym lądowisku, Kyp razem z Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym wyskoczyli przez drzwi wjazdu.

– Ja wyślę wiadomość na różnych pasmach, by dotarła do ośrodków Nowej Republiki – rzekł Kyp. – Ty ostrzeż ludzi. Admirał Daala zaatakuje w najbliższych dniach. Mamy niewiele czasu, by zmobilizować flotę. – Z ponurym wyrazem twarzy pobiegł ku wysokiej wieży transmisyjnej.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy pobiegł w stronę klonów, którzy wyszli mu na spotkanie. Byli wzburzeni i zaniepokojeni – nie jego poważnym ostrzeżeniem, ale raczej tym, że sama sytuacja była dość nieoczekiwana.

– Musimy się śpieszyć – oznajmił kierowca platformy, który czekał na niego z kamienną twarzą. – Mamy mało czasu. Kyp i ja musimy wyruszać, by pomóc w obronie akademii Jedi.

Kierowca skinął głową spokojnie, ale nie zwiększał prędkości nadziemnego pojazdu. Platforma, niosąc Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, oddalała się od lądowiska. Odwrócił się, by spojrzeć na wieżę transmisyjną. Miał nadzieję, że Kyp zdoła wysłać wiadomość.

Dotarli do okazałej, głównej siedziby władz politycznych, gdzie zaaranżowano wyjątkowo spotkanie z Kaellem Sto Szesnastym. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, wciąż ubrany w roboczy

kombinezon, który wziął z imperialnego wahadłowca, obtarł dłonią materiał, próbując choć trochę poprawić swój wygląd. Cuchnął spalenizną i krwią.

Kaell Sto Szesnasty stał już w przestronnej, białej sali przyjęć. Ściany wykonane były z jakiegoś materiału przypominającego krystaliczną sól, zakrzywione łuki na ścianach lśniły, odbijając światło. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy nigdy nie był w tak okazałych komnatach i wątpił, by znalazł się tu kiedyś ktoś z jego linii genetycznej.

Przywódca miasta stał ubrany z pełną dyplomatyczną pompą; na jego twarzy malowało się rozdrażnienie z powodu tego nagłego zakłócenia rutynowego porządku, pomieszane z zachwytem nad tym, jak wielką wagę dla galaktyki ma Khomm.

– Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy – rzekł Kaell Sto Szesnasty – dla tak ważnej osoby jak ty możemy zmienić nieco nasz porządek dnia, jednak nie możemy przeznaczyć na tę audiencję więcej niż piętnaście minut. Proponuję, byśmy przede wszystkim zastanowili się nad jakąś stosowniejszą datą pełnej konferencji, która trwałaby odpowiednio dłużej i byłaby zaznaczona w oficjalnym programie spotkań.

– Nie – odparł Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy, uderzając pięściami o blat stołu, czym wprowadził wszystkich w osłupienie. – Piętnaście minut wystarczy – jeśli będziecie mnie słuchać.

Kaell Sto Szesnasty prychnął:

– Oczywiście, że będziemy słuchać. Zawsze słuchamy.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy pochylił się nad stołem i wbił wzrok w polityka.

– Ale tym razem musicie jeszcze słyszeć. Musicie to zrozumieć, ponieważ ważą się losy naszego świata i całej galaktyki.

Kaell Sto Szesnasty przez chwilę wiercił się w miejscu, po czym usiadł.

– Tak, tak, oczywiście. Zrobimy szczegółowe notatki.

Zanim Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zdążył coś powiedzieć, drzwi otworzyły się ponownie, światło z zewnątrz wdarło się do komnaty, odbiło się od białych ścian, wykrzesując z nich kryształowe iskry. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy odwrócił się i spostrzegł młodszą i starszą kopię samego siebie, swojego przodka i swojego następcę. Obydwaj mieli na sobie kombinezony robocze i wyglądali na zmieszanych tym oderwaniem od zwykłych, codziennych zadań.

Starszy klon, Dorsk Osiemdziesiąty, zobaczył go i parsknął.

– Powinienem się domyślić.

Młodsza wersja spojrzała najpierw na najstarszego klona, potem na Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszego.

– Po co wróciłeś? – zapytał Dorsk Osiemdziesiąty Drugi.

Kaell Sto Szesnasty nakazał im, by usiedli. W trakcie małego zamieszania wszedł asystent, wnosząc chłodne napoje. Wszyscy z wdzięcznością zaczęli saczyć płyn, kiwając głowami w podziękowaniu. Tylko Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy ignorował stojącą przed nim szklanekę.

– Kyp Durren i ja właśnie powróciliśmy z jądra galaktyki – rzekł, wypowiadając słowa powoli i ostrożnie.

– Nie powinniście byli tam lecieć – powiedział Dorsk Osiemdziesiąty.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy łypnął na swojego przodka i wyciągnął w jego kierunku palec.

– Bądź cicho i słuchaj. To ważne. – Obrażony starszy klon odpowiedział jedynie groźnym spojrzeniem. – Kyp i ja odkryliśmy całą imperialną flotę, zjednoczoną i gotową do akcji. Dostaliśmy się na jedno z ich zebrań i poznaliśmy ich zamiary. Imperium znów istnieje, przewodzi mu admirał

Daala. Zaatakują Nową Republikę, co jest kwestią najbliższych dni. Aż do teraz nikt tego nie podejrzewał, a Khomm – Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zatoczył szeroki łuk rękoma – zajmuje miejsce na obrzeżach jądra galaktyki. Imperium może uderzyć tutaj. Musicie być przygotowani. Zorganizujcie obronę. Podejmijcie działania na wypadek zagrożenia.

Kaell Sto Szesnasty pochylił się nad stołem, opierając się łokciami o biały blat.

– Khomm zawsze pozostawał neutralny w takich galaktycznych konfliktach i nigdy wcześniej nie mieliśmy z tego powodu problemów. Nie rozumiem, czemu tym razem miałyby być inaczej.

– Nie trzeba rozumieć czemu – odpowiedział Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. Posłuchajcie mnie. Admirał Daala zamierza zaatakować tam, gdzie uderzenie jest najmniej spodziewane. Ona wie, że Kyp i ja poznaliśmy jej plany. Ten cały świat jest w wielkim niebezpieczeństwie.

– Tak... cóż. – Kaell Sto Szesnasty wstał dając do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. – W takim razie zobaczymy, co się da zrobić. Dziękuję, że poddałeś to naszej rozwadze.

– Samozadowolenie nie jest żadnym zabezpieczeniem. – Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy powoli tracił cierpliwość. – Robiłem i widziałem rzeczy, jakich nie potrafilibyście sobie nawet wyobrazić. Zaufajcie mi: grozi wam wielkie niebezpieczeństwo!

Dorsk Osiemdziesiąty podniósł się, by go upomnieć.

– Zostaw nas. Przed wiekami przodkowie ustalili doskonały model dla naszego społeczeństwa, ale ty czułeś, że wiesz więcej niż oni. Porzuciłeś naszą drogę dla własnej niezależności. Czemu mielibyśmy cię słuchać? Ty nas nie słuchałeś. Gdzie, we wszystkich twoich wybrykach, jest głos mądrości? Nigdy nie zrobisz nic, co by było ważniejsze niż to, co robiłeś tutaj.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zwrócił się prosto do niego. Było oczywiste, że starszy klon zakładał, iż surowe słowa zniszczą pewność siebie istoty – ale Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy poczuł tylko żal, gdy zrozumiał, jak wąski jest horyzont myśli jego przodka.

– Mylisz się – powiedział zimno do Dorska Osiemdziesiątego. – I nigdy nie zrozumiesz jak bardzo, ponieważ jesteś ślepy.

Dorsk Osiemdziesiąty Drugi podszedł do niego i wydawało się, że młodszy klon przynajmniej po części uwierzył w ostrzeżenie Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego.

– My nie wiemy, jak zorganizować obronę – rzekł młodszy klon. – Ale ty masz doświadczenie, przechodziłeś trening. – Oczy Dorska Osiemdziesiątego Drugiego rozbliły się. – Może mógłbyś pomóc nam w obronie? Jeśli masz rację, zostałbyś tu i walczył, chroniąc nas. Jeśli jesteś w błędzie, mógłbyś dalej pracować w fabryce klonów... do chwili, aż zagrożenie minie.

Twarz młodego klona przywodziła na myśl ocean nadziei. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wysłuchał tej przemowy do końca i pomyślał o swej pięknej, spokojnej rodzimej planecie i o latach, które spędził jako część olbrzymiej maszyny, pracującej gładko, bez jakichkolwiek zakłóceń. Jak mógł opuścić takie miejsce, szukając swego przeznaczenia? Ale jeśli słowa Dorska Osiemdziesiątego Drugiego były jedynie desperacką próbą zatrzymania go na Khomm, tak by wszystko znów wróciło do normy?

– Nie – odpowiedział Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i wstał. Dotknął cylindrycznej rękojeści miecza świetlnego, który spoczywał w kieszeni jego kombinezonu. – Jestem rycerzem Jedi i mam do wykonania ważną pracę.

– A my musimy wracać do fabryki klonów – gorzko odciął się Dorsk Osiemdziesiąty. – My znamy swoje miejsce – i też mamy do wykonania ważną pracę.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy nie odpowiedział nic, bez słowa wracając na statek, by spotkać

się z Kypem Durrone. Gdy odlatywali swym wahadłowcem, wyglądał przez okno, wpatrując się w mglistą planetę Khomm z dziwnym niepokojem. Miał niejasne wrażenie, że już nigdy więcej nie zobaczy domu...

W trakcie zamieszania na imperialnym zgromadzeniu admirał Daala i wiceadmirał Pellaeon wskoczyli do turbowindy i opuścili rozszalały tłum. Daala oddychała nerwowo, wdychała zimne powietrze przez zaciśnięte zęby. Nie mogła w to uwierzyć.

– Szpiedzy Jedi! Między nami. Słyszeli wszystko.

Pellaeon skinął głową.

– Będziemy musieli zająć się przeglądem naszych służb ochrony.

Daala pokręciła głową, ogniste włosy zawirowały wokół jej twarzy.

– Później Teraz musimy rozważyć zmiany w naszych planach – Po chwili w miejsce grymasu wściekłości na jej twarzy pojawił się uśmiech, gdy wpadła na pomysł nowej taktyki.

Turbowinda zatrzymała się na dolnym poziomie, na zewnątrz oczekiwał ich pułkownik Cronus, który wyglądał, jakby się bardzo śpieszył na ich spotkanie.

– Uciekli, pani admirał – oświadczył. – Automaty obronne znajdujące się na orbicie otworzyły do nich ogień, wyrządzając nieznaczące szkody, ale ich statek zdołał wykonać skok w nadprzestrzeń.

Daala skinęła głową. Niski i krępy pułkownik wydawał się zdziwiony, że Daala nie nakazała jego natychmiastowej egzekucji.

– Ruszyliście za nimi? – zapytała.

– Niezupełnie, pani admirał, ale namierziliśmy trajektorię lotu i uważamy, że na ich drodze jest tylko jedno miejsce, gdzie mogli się przypuszczalnie udać: planeta nazywa się Khomm, na obrzeżach jądra galaktyki.

Daala przez chwilę wodziła palcem po wargach.

– Czy jest zamieszkana?

– Tak – odparł Cronus – chociaż to nic godnego uwagi. Jej mieszkańcy pozostawali neutralni podczas naszych wcześniejszych konfliktów z Rebeliantami. Jednak stwierdziliśmy fizyczną zgodność obcego szpiega Jedi z wyglądem mieszkańców tej planety. Khomm może być czymś więcej niż jedynie neutralnym światem, jeśli pochodzi stamtąd Jedi. – Mięśnie Cronusa naprężyły się pod cienką warstwą obcisłego munduru.

Daala kroczyła korytarzem z Pellaeonem i Cronusem u boków. Milczała, rozważając różne możliwości.

– Nauczyłam się, że moja strategia musi być elastyczna – rzekła. – Nie powiodło mi się kiedyś, lecz teraz szybko przystosuję plany do nowej sytuacji. Nasza flota gotowa jest do przeprowadzenia ataku, czyż nie? – Spojrzała na Pellaeona.

– Tak, pani admirał – powiedział wiceadmirał – w zdecydowanej części. Należy tylko rozmieścić personel, przygotować zapasy...

Daala przerwała mu gwałtownym ruchem ręki.

– Ci szpiedzy Jedi usłyszeli, że zamierzamy zaatakować w najbliższych dniach. Wobec tego zaatakujemy natychmiast. Pułkowniku Cronusie, ma pan listę wybranych celów dla pańskiej floty niszczycieli klasy Victory? – zapytała.

– Tak jest, pani admirał.

– Na początku listy dołącz planetę Khomm. Zbierzcie swoje siły i ruszajcie od razu.

Cronus posłał w jej stronę uśmiech.

– Tak jest, pani admirał.

– Proszę pamiętać – dodała surowo – pańskie zadanie to uderzać szybko i często na różne systemy.

Powodujcie jak największe szkody, ale waszym głównym celem jest spowodować zamieszanie, a nie podbijać. Rebelianci rozproszą swoją flotę, by pana znaleźć – podczas gdy my weźmiemy główny cel.

Odwróciła się.

– Wiceadmirale Pellaeonie.

– Tak, pani admirał?

– Poprowadzi pan swą flotę imperialnych gwiazdnych niszczycieli prosto na Yavin Cztery i zajmie się całkowitym unicestwieniem akademii Jedi. Polecę za panem na „Niewidzialnym Młocie”, dysponując siłą wystarczającą, by na dobre zająć bazę Rebeliantów. – Błysnęła zielonymi oczyma na obu swych dowódców. – Chcę, by flota wyruszyła w ciągu godziny.

Pellaeon i Cronus pośpieszyli, by zabrać się do wykonywania swoich zadań. Dwie minuty przed upływem godziny imperialna flota Daali ożywiła się, jak olbrzymia, trzymana w niewoli bestia spuszczone z smyczy, by zaatakować Nową Republikę.

Niczym szkarłatne pociski jednostki klasy Victory rozsypały się na orbicie wokół Khommu, z pełnymi bateriami turbolaserów wymierzonymi w miasta na powierzchni.

Pułkownik Cronus siedział w fotelu dowódcy statku należącego wcześniej do wiceadmirala Pellaeona, 13 X, i wydawał rozkazy strzelcom swojej floty.

– W pierwszym rzędzie bierzcie na cel satelity komunikacyjne i obserwacyjne.

Ledwo wypowiedział te słowa, gdy ogień turbolaserów zaczął znaczyć czerń przestworzy, uderzając srebrne punkciki na orbicie planety i zamieniając satelity w kupę płonących szczątków.

– Teraz są ślepi – oznajmił – zanim w ogóle zorientowali się, co się dzieje. – Usiadł wygodniej w fotelu i złączywszy dłonie, zwiększał i zmniejszał ich wzajemny nacisk, wykonując nieskończony rytuał gimnastycznych ćwiczeń, dzięki którym mógł wzmacniać mięśnie. Nawet wtedy, gdy obserwował masakrę planety Khomm.

Włączył komunikator, aby porozumieć się ze wszystkimi statkami.

– Wymierzyc broń w tę metropolię w dole i strzelać na chybił trafił. To nasz pierwszy cel, więc sprawmy, żeby nas zapamiętano. Wysłać eskadry bombowców typu TIE. Zróbcie tu trochę zamieszania.

Patrzył, jak deszcz ognia z turbolaserów opada w dół, przecinając atmosferę, mijając chmary małych jednostek wylatujących z hangarów gwiazdnych niszczycieli. Przyglądał się rozpętanej burzy destrukcji. Według raportów służb wywiadowczych, na planecie Khomm niemal nie było obrony. Wątpił, by mieszkańcy w ogóle pamiętali, jak korzystać z nielicznych obronnych systemów. Po tym, jak jego flota dokończy swego dzieła zniszczenia, z pewnością będą tego żałować.

– Szybko i łatwo – mruknął. Mięśnie jego ramion dawały znać, że są zmęczone, ale on ścisnął dłonie jeszcze mocniej, aż poczuł wyraźny ból.

Przyglądał się masakrze przez pół godziny, po czym zwrócił się do swych jednostek:

– Pośpieszcie się – polecił. – Mamy jeszcze wiele innych celów na liście.

Dorsk Osiemdziesiąty Drugi pełen niepokoju opuścił fabrykę klonów pod koniec swej

popołudniowej zmiany, tak jak zawsze, podczas gdy Dorsk Osiemdziesiąty pozostał tam jeszcze na godzinę, nadrabiając straty wynikające z nieobecności Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego – tak jak to czynił zazwyczaj. Możliwość przewidywania przyszłości stanowiła zbędny komfort. Mieszkańcy Khomm żyli według tej zasady.

Ale młody klon wciąż słyszał słowa Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, które utkwiły głęboko w jego umyśle. Rysujące się nowe możliwości otwierały jego umysł na rzeczy, jakich nigdy nie rozważał. Co będzie, jeśli wbrew całej historycznej tradycji Imperium zdecyduje zaatakować ich spokojny świat? Ale po co? – zastanawiał się. Co w ten sposób zyska?

Wiedział, że ta kwestia zostanie dokładnie rozpatrzona przez Kaella Sto Szesnastego i politycznych przywódców. To była ich praca. Nie mieli żadnych innych zadań, jak tylko podejmować podobne decyzje. Młody Dorsk Osiemdziesiąty Drugi pokładał wiarę w system panujący na Khomm. Spisywał się świetnie przez całe stulecia. Nie było powodu, by teraz wątpić w jego niezawodność.

Chwilę później z mglistego, jasnego nieba opadły rzeki ognia. Bombowce typu TIE mknęły nad głowami z ogłuszającym skowytym, który wręcz paraliżował przechodniów. Jednostki bombardujące rzuciły protonowe bomby, które burzyły całe rozległe bloki. W górę buchnęły płomienie, gdy zbiorniki paliwa i stare drewniane konstrukcje stanęły w ogniu.

Myśliwce typu TIE opadły na miasto, strzelając z laserowych dział i kładąc trupem przerażonych tubylców, którzy wysypali się z licznych zabudowań, ale nie wiedzieli, dokąd się udać.

Dorsk Osiemdziesiąty Drugi uciekł w wąską alejkę pomiędzy dwoma wysokimi budynkami. Niemądre posunięcie, pomyślał, gdy znalazł się pośród walących się wokół niego potężnych kamiennych struktur. Był zszokowany i przerażony. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy miał rację! Khomm nie miał żadnych planów, żadnej obrony żadnych szans.

Protonowa bomba eksplodowała nad budynkami, jak wielka dłoń przewracając wysokie ściany. Dorsk Osiemdziesiąty Drugi rzucił się na ziemię, spodziewając się, że za chwilę zmiażdży go kamienna lawina – ale płaskie płyty wielkich ścian oparły się o siebie, tworząc nad nim dziwaczne sklepienie. Kamienny pył i większe kamienie uderzyły o jego delikatne ciało. Podejrzewał, że ma złamaną jakąś kość, może dwie całkiem nowe doświadczenie w jego przyjemnym, zaplanowanym do końca życiu – ale leżał przy ziemi, przyczajony, czekając, gdy wokoło szalał chaos krzyków i dzikich dźwięków. Wydawało mu się, że trwa to już cały wiek, choć zdawał sobie sprawę, że z pewnością nie minęła nawet godzina.

Przeszył go fizyczny ból, gdy próbował wygrzebać się spod zwałów gruzu. Był obolały, poraniony, posiniaczony, pocięty... ale żył. W końcu wydostał się z rumowiska i zrobił parę kroków, mrugając oczyma na widok popołudniowego nieba gęstego od kłębow czarnego dymu i pomarańczowych płomieni.

Stał całkowicie odrętwiały. Widział to wszystko, lecz nie mógł zrozumieć ogromu zniszczeń wokół niego. Błyszcząca niegdyś fabryka klonów przepadła, zamieniona w stertę stopionych i powyginanych kawałków metalu, przysypanych krystalicznym pyłem – to było wszystko, co zostało po rozległych kryształowych ścianach, które niegdyś tak jasno pobłyskiwały w świetle słońca. Tłuste dymy niosły się pod niebo, niczym oskarżycielski palec wskazujący na imperialną flotę znajdującą się wysoko na orbicie.

Stary Dorsk Osiemdziesiąty był podczas nalotu wewnątrz fabryki klonów; młodszy klon wszedł, zataczając się, pomiędzy zwały gruzu, beznadziejnie wypatrując jakichś śladów życia swego przodka.

Ten wstrząs miał dla niego bardzo ważne konsekwencje. Zniszczony został cały jego świat, zrujnowane fabryki klonów – jak mieli teraz żyć? Jak jego cywilizacja mogła przetrwać po tak śmiertelnym ciosie? Ci, którzy ocaleli na Khomm – bezradni, jęczący z bólu i rozpacz – będą musieli się zmienić. A to także go przerażało.

Pułkownik Cronus obserwował, jak myśliwce wracają do hangarów statków macierzystych. Stojąca w ogniu planeta Khomm tkwiła poniżej, przywodząc na myśl otwartą, krwawiącą ranę.

Spoglądał niecierpliwie na zegar i na wykresy stanu swojej floty. Stracił dwa myśliwce. Sądząc na podstawie tego, że na planecie nie istniała żadna obrona, Cronus doszedł do wniosku, że te dwa myśliwce rozbiły się przypadkowo albo na skutek jakiejś awarii lub niedokładnych strzałów ich własnych jednostek.

Pokręcił głową na myśl o zatrważającej słabości świata klonów.

Na swym komputerze wyświetlił współrzędne celów wyznaczonych przez admirała Daalę. Miał nadzieję, że wszystkie akcje będą tak udane jak ta:

– Kolejny system – oznajmił. – Ruszamy. Musimy się trzymać harmonogramu.

Rozdział 44

NAL HUTTA

W środku nocnej zmiany na fregacie eskortowej „Yavaris” generał Wedge Antilles siedział w swym fotelu dowódcy, odprężony, ale czujny. Pomimo żółtego alarmu, na pokładzie statku panował zwodniczy spokój; żołnierze wykonywali rutynowe czynności ze spokojną dokładnością. Panele jarzeniowe świeciły słabym światłem, odgłosy pracy były ciche i stłumione. Wyczuwało się jednak pewne napięcie.

Rodzaj alarmu pozostawał nie zmieniony przez cały dzień. Z drugiej strony nie docierały do nich żadne wieści ani informacje o jakimś imperialnym ataku. Nie było też komunikatu od Crixa Madine'a – i zaczynało ich to męczyć.

Qwi Xux stanęła na mostku za plecami Wedge'a i ścisnęła niebieskawymi palcami jego ramiona. Wzdrygnął się wystraszony, po czym sięgnął, by dotknąć dłoni Qwi. Odwrócił się i spojrzał głęboko w ciemnoniebieskie oczy.

– Też nie możesz spać? – zapytał.

Potrząsnęła głową, jej miękkie perłowe włosy zafalowały.

– To oczekiwanie jest takie męczące – odpowiedziała.

Wedge skinął głową.

– Chociaż nienawidzę wojny, to w chwilach takich jak ta niemal chciałbym, by coś się stało.

I stało się.

Wszystko naraz.

Cichy sygnał alarmowy Crixa Madine'a, mknąc przez przestrzeń na specyficznej priorytetowej częstotliwości dotarł do floty Nowej Republiki. Sygnał pokazał się na konsolach komunikacyjnych, których komputery natychmiast włączyły czerwony alarm na pokładach „Yavaris”. Nadajnik, który Madine miał wszczepiony w dłoń, nie przesyłał żadnych szczegółowych informacji; nadawał jedynie sygnał alarmowy.

Wedge zdawał sobie sprawę, że generał Madine, szef wywiadu wojsk sojuszniczych, posłużyłby się nadajnikiem tylko w skrajnych okolicznościach.

– Musimy go z tego wyciągnąć – rzekł.

Qwi stała spięta, mrugając oczyma. Jej palce zacisnęły się mocniej na ramionach Wedge'a.

– To oznacza, że odkrył położenie superbroni Huttów. Musimy ją zniszczyć, zanim będzie w pełni sprawna. Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek – Huttowie czy Imperium – miał kolejną broń, taką jak ta, którą sama projektowałam.

– Masz całkowitą rację – odparł.

Na ekranie komunikacyjnym pojawiła się postać admirała Ackbara, znajdującego się na swym gwiazdnym krążowniku.

– To może być początek głównego ataku – rzekł Ackbar, ubrany w świeży, biały mundur. Jego pletwiaste ręce wyciągnięte były w geście zdradzającym napięcie.

– Tak, admirale. Czy mamy rozwinąć flotę? Możemy, namierzając sygnał Madine'a, wyruszyć do niego z największą prędkością. Nie wiemy, w co się wpakował...

Zanim Wedge zdążył dokończyć zdanie, dotarła następna wiadomość, drugi alarmowy przekaz, przesłany łączami holograficznej sieci Nowej Republiki.

– Mówi Kyp Durrone, mam pilną wiadomość dla sił zbrojnych Nowej Republiki!

Wedge drgnął, skupiając się. Obok niego stała Qwi, próbując zachować pewność siebie, ale wyczuwał jej zdenerwowanie. Kyp zawrócił z ciemnej strony, wstąpił na drogę Jedi i Qwi twierdziła, że mu przebaczyła – ale wciąż jeszcze nadgorliwy rycerz Jedi wytrącał ich oboje z równowagi.

Tak czy inaczej, Kyp podniósł alarm i wysyłał sygnał w szerokim paśmie, dla każdego, kto miał ochotę słuchać.

– Mój przyjaciel, rycerz Jedi Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i ja przeczesywaliśmy systemy jądra galaktyki. Odkryliśmy olbrzymie skupienie imperialnych sił zbrojnych, gotowych do ataku w ciągu najbliższych dni. Flotą dowodzi admirał Daala. Powtarzam: admirał Daala nie zginęła, tak jak sądziliśmy.

Ich głównym celem ma być Yavin Cztery. Daala chce zlikwidować wszystkich rycerzy Jedi. W tej chwili Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i ja jesteśmy w drodze do akademii, by pomóc w walce. Prosimy o wsparcie.

– Więc to atak na dwa fronty – oświadczył Ackbar. – Pas asteroid Hoth i Yavin Cztery. Widocznie myślą, że zdołają nas zaskoczyć.

– Teraz znamy ich plany – powiedział Wedge. – Czy powinniśmy się rozdzielić?

– Ta wiadomość dotarła do wszystkich jednostek floty Nowej Republiki. Może powinniśmy spodziewać się jakichś posiłków, jednak uważam, że należy rozdzielić nasze siły już teraz. Wątpię, by którykolwiek z tych ataków był fałszywy. Ja skieruję „Galaktycznego Wędrowca” na Yavin Cztery. Ty ruszaj na ratunek Madine'owi. Nie możemy zlekceważyć zagrożenia ze strony Huttów.

– Zrozumiałem, admirale – odparł Wedge.

Ackbar pochylił lekko głowę.

– Muszę wprowadzić resztę naszej floty w stan pełnej gotowości bojowej. To dopiero początek.

– Proszę się nie martwić, uratujemy Madine'a i jego oddział – powiedział Wedge. A gdy już tam będziemy, spróbujemy zniszczyć tę superbroń Huttów.

Cały personel został postawiony na nogi. Na wszystkich pokładach „Yavaris” włączono jaśniejsze światła. Żołnierze zaczęli spieszenie zbierać się na korytarzach.

Podczas manewrów wojennych flota pozostawała jak uśpiona, zatajając prawdziwą przyczynę swojej obecności. Jednak teraz jednostki zaczęły działać naprawdę, ignorując Huttów, którzy bez wątpienia obserwowali wszystko ze swej planety.

Flota wojenna Nowej Republiki rozdzieliła się na dwa oddzielne człony, z których każdy wyruszył w innym kierunku.

Statki Ackbara weszły w nadprzestrzeń, podczas gdy Wedge na pokładzie „Yavaris” na pełnej prędkości pomknął w stronę pasa asteroid Hoth, kierując się sygnałem Madine'a – z nadzieją, że dotrze tam na czas.

Rozdział 45

YAVIN CZTERY

Siedemnaście gwiazdnych niszczycieli pod dowództwem wiceadmirala Pellaeona wyszło z nadprzestrzeni w idealnym szyku. Ich doskonała formacja świadczyła o tym, jak świetna jest imperialna flota, zbudowana przez admirała Daalę.

Stojąc na mostku „Ognistej Burzy” – gwiazdowego niszczyciela, którym dowodziła sama admirał Daala podczas starcia z Harrskiem – Pellaeon patrzył, jak zbliżają się do porośniętego dżunglą, zielonego księżyca. Szmaragdowa kula na tle olbrzymiego Yavina zdawała się jeszcze mniejsza, niż była w rzeczywistości.

Wyglądając przez iluminatory wieżyczki mostku, podkręcił węża i sprawdził, czy jego włosy ułożone są porządnie pod wiceadmiralską czapką. Wygładził mundur, by wyglądać jeszcze lepiej, jak przystało na dowódcę floty mającej wykonać istotną misję. Dodawało mu animuszu to, że znów dowodził wspaniałym statkiem, a nie małym gwiazdowym niszczycielem klasy Victory... choć pułkownik Cronus mógł dobrze wykorzystać flotę szkarłatnych statków i wyrządzić poważne szkody światom sprzymierzonym z Rebelią.

Pellaeon pomyślał o dniach, gdy dowodził „Chimerą”, służąc wielkiemu admirałowi Thrawnowi, i jak bardzo blisko byli tego, by raz na zawsze zdławić Rebelię. Teraz admirał Daala stwarzała kolejną szansę – a Pellaeon nie zamierzał jej zmarnować.

– Wejście na orbitę zakończone, proszę pana – usłyszał głos nawigatorski.

Pellaeon nie przestawał podziwiać nowych oficerów-kobiet we flocie Daali; zdawały się służyć z jeszcze większym poświęceniem niż inni żołnierze.

– Czy są jakieś ślady obrony? – zapytał. Porośnięty gęstymi dżunglami księżyc wydawał się zbyt spokojny, zbyt słabo zabezpieczony. Był zdumiony, że tak ważny ośrodek Rebeliantów nie miał widocznych systemów obronnych.

– Nie wykryłem żadnych, wiceadmirale – odparł dowódca taktyk z powątpiewaniem w głosie. Widocznie myślał właśnie o tym samym.

– W porządku – rzekł Pellaeon, przechodząc do następnej fazy operacji. Utworzyć sieć przechwytyjącą. Musimy ją rozwinąć i uruchomić, zanim Jedi zdołają wysłać swym siłom zbrojnym szczegółowy komunikat.

Siedemnaście gwiazdnych niszczycieli wystrzeliło chmury małych satelitarnych nadajników, które lokowały się na właściwych pozycjach wokół zielonego księżyca. Ich zadaniem było utworzyć silne elektromagnetyczne pole, aby zakłócić każdy sygnał, jaki uczniowie Jedi zdołaliby wysłać. Zajęcie pozycji zajęło satelitom parę chwil, po czym wysłały z powrotem do „Ognistej Burzy” wiadomość, że wszystko jest w porządku.

Pellaeon włączył komunikator umożliwiający łączność między statkami i jego głos rozległ się na

wszystkich jednostkach jego floty.

– Przygotować grupy uderzeniowe – polecił. – Ruszamy za pięć minut. Transportery zwiadowcze typu AT-ST i naziemne jednostki szturmowe będą stanowić pierwszą falę. Myśliwce TIE osłonią je z powietrza.

To jest stosunkowo słabo zaludniony świat i akcja nie powinna się przeciągnąć. Nasze dzisiejsze zwycięstwo na Yavinie Cztery stanowić będzie pierwszy poważny krok ku odrodzeniu nowego i silniejszego Imperium.

Pellaeon skończył przemowę i stanął oparty o barierkę otaczającą mostek. Cieszył się, że dane jest mu wreszcie przeprowadzać operację, która z pewnością zakończy się sukcesem. Nie będzie to jeszcze jedna skazana na niepowodzenie rozpaczliwa próba utrzymania władzy Imperium. Pozornie spokojny, lecz rozpierany energią, Pellaeon zastanawiał się, jak wielkie imperialne siły Daala przekazała w jego ręce.

Nie spodziewał się poważnego oporu ze strony młodych, nie wyszkolonych Jedi.

Na olbrzymiej stacji, na której gromadziły się imperialne wojska, gwiazdny superniszczyciel „Niewidzialny Młot” szykował się do drogi. Admirał Daala gorączkowo upewniała się, że wszystko jest na swoim miejscu przed decydującym atakiem.

W tym momencie flota Pellaeona powinna już przeprowadzać atak na księżyc Rebeliantów i Daala żałowała, że nie jest teraz z wiceadmirałem i nie może osobiście radować się śmiercią każdego zabitego Jedi, napawać się widokiem burzonych zabudowań i płonących drzew – ale nie mogła już zmienić planów. Wiedziała, że ta operacja była świetnym sposobem na zadanie Rebeliantom miażdżącego ciosu. Jej pierwszy atak miał całkowicie zniszczyć łatwy cel.

Równocześnie z pierwszym głównym natarciem pułkownik Cronus uderzał w różnych miejscach galaktyki z bezwzględną precyzją. Jego rój statków klasy Victory z oszałamiającą szybkością niszczył najważniejsze cele, następnie ponownie znikał w nadprzestrzeni... pozostawiając za sobą ruiny, zamieszanie i panikę.

Zniszczenie Yavina Cztery z jego ośrodkiem kształcenia rycerzy Jedi powinno stać się prawdziwie symbolicznym zwycięstwem. Daala uśmiechnęła się, jej oczy pokryły się mgiełką rozmarzenia, gdy pomyślała o niezdatnych magikach Jedi atakowanych przez nieporównywalnie liczniejsze siły Pellaeona; potem wyobraziła sobie ich rozpacz na widok jej własnego gigantycznego statku – który przybędzie, by zadać drągi, śmiertelny cios. Żadnego ratunku, żadnego wsparcia, jedynie czarny gwiazdny superniszczyciel. Ich sytuacja stanie się beznadziejna.

Pojutrze, gdy Daala tryumfując odleci stamtąd, Yavin Cztery będzie niczym więcej, jak tylko kupą popiołów. Wszyscy uczniowie Jedi muszą zginąć, a ich ciała zostaną rozrzucone po dżungli, jako wyrazista wiadomość dla każdego, kto śmiałyby jeszcze stawić opór Imperium.

Rozdział 46

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i Kyp Durrone powrócili na Yavin Cztery, wciąż wysyłając alarmowy sygnał. Posadzili imperialny wahadłowiec w pobliżu wielkiej świątyni i wezwali wszystkich uczniów Jedi, by chwycili za broń – ledwie na godzinę przed przybyciem sił Pellaeona.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy czuł się niedobrze od chwili, gdy zdołali wymknąć się wojskom Daali; jeszcze gorzej wpłynęło na niego lekceważenie ze strony rodaków. Zarzuty Dorska Osiemdziesiątego i Dorska Osiemdziesiątego Drugiego poruszyły go do głębi, może nawet bardziej niż jego dawny wybór, by zostać Jedi. Ale teraz już był Jedi. Tego nie mógł zmienić i wiedział, że da z siebie wszystko, tak jak nauczył go mistrz Skywalker.

Gdy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i Kyp wyszli ze swego skradzionego imperialnego wahadłowca, uderzyła ich kompletna cisza. Wilgotna dżungla wydawała się spowita kokonem napięcia i wyczekiwania.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Kyp. – Musimy odszukać mistrza Skywalkera.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy spojrzał na wielką piramidę, w której mieściła się akademia Jedi. Na jego twarzy pojawił się spokój, przymknął żółte oczy i skupił się, używając Mocy, aż wyczuł obecność grupki uczniów Jedi za wąskim dopływem rzeki, przy jednej ze zrujnowanych świątyń.

– Tam – rzekł. – Przy Świątyni Niebieskiego Liścia.

Kyp skinął głową, jego ciemne oczy błyszczały.

– Musimy ich ostrzec i rozpocząć przygotowania.

Ruszyli wąskimi leśnymi ścieżkami, przemierzając rzeką i kierując się ku ruinom wysokiej świątyni Massassów, okrągłej wieży zbudowanej z kruszonych gładów, wymagającej poważnych napraw. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy dostrzegł grupę ćwiczących razem Jedi. Było ich prawie trzydzieścioro.

Rozpoznał Kiranę Ti, wojowniczkę z Dathomiry, i starego pustelnika z Bepinu, Streena, dźwigających kamienie pochodzące z jednej z częściowo zapadniętych ścian budowli. Używali swych umiejętności Jedi, by unosić gładzi i zabezpieczyć się przed opadającym gruzem. Kam Solusar, doświadczony weteran Jedi, uważnie przyglądał się ich działaniom, pomagając w pracy najsłabszym uczniom, którzy przybyli do akademii niedawno.

Pierwsza dostrzegła ich srebrnowłosa Tionna.

– Kypie! – zawołała. – Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy! Wróciliście! Dobrze, przyda się nam pomoc. – Tionna uśmiechnęła się, jej perłowe oczy jaśniały. Pośpiesznie zaczęła wyjaśniać, co się dzieje, gestykulując żywo delikatnymi rękoma. – Gdy przybyli nowi uczniowie, okazało się, że musimy poszukać jakichś dodatkowych kwater. Ta stara świątynia jest... – Wówczas wreszcie wyczuła ich emocjonalny zamęt i niepokojące zdenerwowanie.

– Co się stało? – wtrącił się do rozmowy Kam Solusar. Kirana Ti stanęła obok niego, imponująca

w swym pancerzu zjaszczurczej skóry.

– Gdzie jest mistrz Skywalker? – zapytał Kyp, w jego głosie słyhać było napięcie.

– On i Callista wyjechali przed jakimiś dziesięcioma dniami – powiedziała Tionna. – Jesteśmy tu tylko my. Prowadzę niektóre sesje pod jego nieobecność, ale...

– Akademii grozi wielkie niebezpieczeństwo! – przerwał jej Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. – Admirał Daala zebrała nową imperialną flotę i ich celem tym razem jest Yavin Cztery. Gwiazdne niszczyciele mogą tu być lada moment.

– Nie – odpowiedział Streen, potrząsając głową. Zmrużył oczy i wpatrywał się w czyste, błękitne niebo. – Nie. Już tu są.

Gdy siwy pustelnik wypowiadał te słowa, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy także poczuł coś, jak wiszący nad ich głowami ciężar, jak ciemną plamę na jasnym płótnie przestrzeni.

– Spójrzcie! – zawołała jedna z nowych uczennic, wyciągając zakończony pazurem palec. Z jej szerokich, łuskowatych ust dobył się dźwięk przypominający syk węża.

Na niebie pokazało się mnóstwo jasnych smug opadających w dół, na dżunglę.

– Ładowniki i naziemne pojazdy szturmowe – powiedział Kam Solusar.

– Musimy przygotować się do walki – rzekła z naciskiem Karana Ti.

– Jaka szkoda, że nie ma mistrza Skywalkera – jęknął jeden z nowych uczniów.

Kyp Durron wyprostował się, choć i tak był niższy od wielu zebranych przy ruinach świątyni.

– Mistrz Skywalker nie zawsze tu będzie, by pomagać nam za każdym razem, gdy znajdziemy się w tarapatach. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy i ja już wysłaliśmy sygnał alarmowy. Flota Nowej Republiki na pewno jest w drodze. Na razie sami musimy bronić akademii.

– Ale nas jest tak mało – zaskrzeczał podobny do ptaka uczeń. Jego ostry dziób pozostał przez chwilę rozchylony, potem zatrzasnął się z powrotem.

– Tak – rzekł Kyp – dlatego nie będą się spodziewać poważnego oporu. Pokażemy im, że się pomylili.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy stał obok przyjaciela.

– Jesteśmy rycerzami Jedi. Pamiętajcie, czego uczył was mistrz Skywalker: Nie próbujcie. Zróbcie to. Prób nie ma.

Imperialne ładowniki osiadły w dżungli, nieopodal nich, następnie wypuściły z komór wielkie pojazdy naziemne.

– Zaczyna się atak z powietrza – rzucił Kyp, w chwili gdy na niebie pojawiły się chmury czarnych punkcików pędzących ze skowytami bliźniaczych jonowych silników całe skrzydło myśliwców typu TIE wzmocnione bombowcami TIE.

– Kryć się! – krzyknęła Kirana Ti. Silnym ruchem pchnęła Streena w stronę dwu olbrzymich kamiennych płyt, które odpadły z frontu świątyni.

Myśliwce typu TIE pikowały, gdy uczniowie Jedi rzucili się w kierunku schronienia. Imperialne statki otworzyły ogień z laserowych dział, celując w ruiny starej świątyni. Myśliwce TIE odleciały, nie mając pewności, czy wybrały dobry cel szukały ukrywających się w dżungli rycerzy Jedi.

Bombowce TIE zniżyły lot, zrzucając bomby udarowe, które eksplodowały wznosząc wysokie słupy ognia i dymu, i powalając tysiącletnie drzewa Massassów. Ale gdy już piloci myśliwców dostrzegli uczniów kryjących się w pobliżu Świątyni Niebieskiego Liścia, siły nieprzyjaciela skupiły uwagę na drugim brzegu rzeki.

– Nie mamy żadnej broni – rzekł Streen, kręcąc głową.

– Mamy Moc – odrzekł mu Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy.

Nadlatywały trzy myśliwce typu TIE, strzelając bez przerwy. Wojownicza Kirana Ti stanęła na skrawku otwartej przestrzeni, pomiędzy stosami gruzu, jaki uczniowie Jedi tak pieczołowicie usuwali ze świątyni. Myśliwce TIE zauważyły ją i wzięły na cel. Nie zważając na niebezpieczeństwo, kobieta wykonała ręką dziwny gest i, wykorzystując Moc, uniosła jeden z kanciastych bloków kamiennych, wyciosanych przed wiekami przez massasskich niewolników – i cisnęła nim z całej swej siły Jedi.

Głaz pomknął w powietrzu i trafił jedną z jednostek TIE lecących w trójkątnym szyku. Maszyna zatoczyła się i pilot nie zdołał już odzyskać nad nią kontroli. Myśliwiec eksplodował pośród drzew po drugiej stronie świątyni.

Kam Solusar stanął obok wojowniczkę i on też, używając Mocy, zaczął miotać kamienie w dwa pozostałe myśliwce typu TIE. Kamienie trafiły imperialne maszyny, przebijając się przez kabiny pilotów. Wszyscy uczniowie Jedi podchwycili ten pomysł i po chwili na obydwie jednostki runął grad skalnych odłamków. Eksplodowały równocześnie, ku uciechu młodych Jedi.

Moment później nadciągnęła druga fala myśliwców TIE. Tym razem jednak Streen nie sięgnął po leżące dookoła głazy. Wykorzystał samo powietrze. Przemieszczając cząsteczki atmosfery, utworzył gwałtowne prądy powietrza i pchnął na atakujących ściany wiatru, który osiągał siłę huraganu. Ostre prądy powietrza uderzały w jednostki wroga raz z lewej, raz z prawej strony, zmuszając pilotów, by skupiali się jedynie na pilotażu, nie na oddawaniu strzałów. Streen spojrzał w niebo przekrwionymi, szeroko otwartymi oczyma. Ręce, które trzymał wyciągnięte przed siebie, drżały coraz mocniej, aż złączył dłonie, wykonując symboliczny gest. W tym samym momencie ściany wiatru także połączyły się, rozbijając myśliwce typu TIE jeden o drugi. Zmiażdżone statki przeleciały jeszcze kawałek, po czym runęły na ziemię jak wielka sterta złomu. Zbliżała się do nich para bombowców TIE, ledwo widoczna nad wierzchołkami drzew, ale mknąca z pełną prędkością. Kyp krzyknął ostrzegawczo. Pierwszy bombowiec zrobił łuk nad świątynią i wyrzucił trzy udarowe bomby – ale Kyp, wpatrzony w statek, uniósł w górę rozprostowane dłonie, jakby napierał na coś od dołu. Używając Mocy, pochwycił trzy pociski, po czym wepchnął je z powrotem do komory bombowca... gdzie eksplodowały.

Pilot drugiego bombowca zrzucił tylko jeden ładunek i widząc, jaki los spotkał jego partnera, błyskawicznie zawrócił. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy za pomocą Mocy dźwignął jeden z głazów i cisnął nim tak silnie, jak tylko mógł. Skalny odłamek pomknął w kierunku bombowca, przebił drugąabinę i zniszczył systemy kontroli wysokości. Maszyna przeleciała jeszcze kawałek, po czym ciężko usiadła w zaroślach po drugiej stronie rzeki. Pojedynczy imperialny pocisk uderzył w ziemię i wybuchł. Silna eksplozja przetoczyła się przez dżunglę, aż zadrżały kamienne ściany Świątyni Niebieskiego Liścia. Obluzowane kamienie odpadły ze ścian, sypiąc się na młodych Jedi.

– Ta stara struktura nie wytrzyma długo! – krzyknął Kyp. – Musimy wracać do wielkiej świątyni. Tam będziemy mogli bronić się lepiej.

Kolejna fala myśliwców typu TIE nadciągała w liczbie dwukrotnie większej niż przy wcześniejszym ataku. Uczniowie Jedi popędzili w stronę zarośli, oddalając się od małej, zrujnowanej świątyni.

Na niebie pokazały się kolejne ogniste smugi, gdy gwiazdne niszczyciele Pellaeona wystrzeliły kolejne grupy naziemnych wojsk szturmowych, mające za zadanie zdławić opór całkowicie.

Gdy dotarli do olbrzymiej piramidy, która niegdyś została ufortyfikowana jako rebeliancka baza,

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zorientował się, że rozpaczliwa obrona przy rozwalającej się świątyni przyniosła jeszcze jeden nieoczekiwany efektodwrócenie uwagi przeciwnika, zmylenie imperialnych sił, które uznały, że warownię Jedi stanowi Świątynia Niebieskiego Liścia. Myśliwce i bombowce typu TIE koncentrowały teraz swoje ataki właśnie tam.

Pomimo przepelniającego go strachu, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy odczuwał radość z tego, że przebywa w towarzystwie innych Jedi. Walczył za coś naprawdę istotnego. W ciągu całego życia, jako jeszcze jeden duplikat w świecie klonów, nigdy nie czuł, że może wybierać swoje przeznaczenie. Wszystko było dla niego z góry ustalone, aż do chwili gdy przerwał tradycję swej genetycznej linii. Teraz był rycerzem Jedi – z własnego wyboru. I udowodnił, że potrafił dobrze to wykorzystywać.

Długie, horyzontalne drzwi prowadzące do hangarów wielkiej świątyni były połowicznie otwarte, jak czarna paszcza, z której wydobywał się zimny oddech powietrze z zacienionego wnętrza. Uczniowie Jedi ruszyli do środka, licząc, że tysiącletnie mury zdołają ochronić ich przed atakami wojsk Imperium.

Tionna mijala Kypa Durrona, gdy chwycił ją za rękę, krzycząc do niej:

– Biegnij do ośrodka łączności! Połącz się ze stolicą Nowej Republiki i powiadom ich, że już jesteśmy atakowani. Imperium uderzyło szybciej, niż się spodziewaliśmy. Tionna skinęła głową, jej blada niczym porcelana twarz była tak delikatna, że zdawało się, iż w każdej chwili może się rozkruszyć.

Za rzeką myśliwce typu TIE krążyły nad Świątynią Niebieskiego Liścia, bez chwili przerwy ostrzeliwując ją ze swych laserowych dział. W powietrzu unosiły się gęste kłęby czarnego dymu.

Kyp zerknął na porwany imperialny wahadłowiec, który wciąż stał na trawiastym lądowisku. Wskazał na statek i krzyknął do Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego, który pędził w kierunku stosunkowo bezpiecznego wnętrza świątyni:

– Wracam na statek! Jest tam jakaś broń – a to wszystko, co mamy.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zawahał się, potem ruszył za Kypem, który pędził przez polanę nie odwracając się za siebie. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zatrzymał się, gdy usłyszał metaliczny odgłos dobiegający zza pierścienia drzew. Po chwili wyłoniła się stamtąd trapezoidalna głowa imperialnego robota krocącego typu AT-ST, który przedarł się przez ścianę lasu. Jego mechaniczne nogi zadudniły, znajdując oparcie na twardym podłożu. Metalowa głowa wykonała obrót, a umieszczone na niej laserowe działa nakierowały się na biegnącego Kypa.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zamarł. Wiedział, co się za chwilę stanie – i nie mógł na to pozwolić. Instynktownie użył Mocy; nie koncentrował się, nie regulował przepływu energii, po prostu odpędził strach, pragnąc jedynie, by zwiadowcza machina nie dopadła przyjaciela.

Niewidzialna fala Mocy uderzyła w robota typu AT-ST, rozplaszczyła jego kabinę, odrzucając maszynę do tyłu i roztrzaskując ją o drzewa. Wszystko to działo się w ułamku sekundy.

Kyp odwrócił się i zauważył roztrzaskaną imperialną maszynę.

– Dziękuję – powiedział.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy drżał jeszcze.

– To się stało jakoś automatycznie – odparł. – Nawet nie myślałem o tym.

– Więc jesteś prawdziwym Jedi – rzekł Kyp z pewną dozą podziwu. Nie marnował jednak więcej czasu, wskoczył do wahadłowca i wyciągnął z niego żałośnie małą ilość broni: pięć blasterowych pistoletów i jedną laserową przecinarkę. – Lepsze to niż nic westchnął.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy spojrział na niego.

– Ale niewiele lepsze.

Razem odwrócili się, patrząc na niebo, z którego opadały z hukiem kolejne fale ładowników, wysyłanych przez tkwiące na orbicie imperialne gwiazdne niszczyciele...

Rycerze Jedi zgromadzili się w sali narad, na drugim poziomie piramidy, próbując odciąć się od hałasu powodowanego przez jednostki wroga. Tionna pokręciła głową.

– Imperium otoczyło nas polem zakłócającym – powiedziała. – Komunikacja z Nową Republiką jest niemożliwa. Miejmy nadzieję, że wasz wcześniejszy przekaz dotarł do naszych wojsk, Kyp.

– Odsiecz przybędzie na pewno – powiedziała Kirana Ti z ponurą pewnością siebie. Trzymała w dłoni wyłączony miecz świetlny. Tę broń skonstruował pewien inny uczeń Jedi, Gantoris, przed rokiem... wtedy, gdy młodzi Jedi musieli zmierzyć się z mrocznym duchem Exara Kuna. W tej samej sali uczniowie Jedi – także bez Luke'a Skywalker'a – spotkali się wówczas, by obmyślić plan, jak pokonać Kuna i uwolnić ich mistrza Jedi.

– Ale czy zdążą na czas? – zapytał sceptycznie Kam Solusar.

Kyp Durrón chodził tam i z powrotem po zamkniętym pomieszczeniu.

– Naszym głównym zagrożeniem są gwiazdne niszczyciele tkwiące na orbicie odezwał się, wskazując ręką w górę. – Chociaż jesteśmy atakowani przez myśliwce typu TIE i jednostki sił naziemnych, stanowią one jedynie niewielką część sił gwiazdnej armady. Tionno, czy zdołałaś ustalić, ile statków jest na naszej orbicie?

Spojrzała na niego swymi lśniąco-ciemnymi oczyma.

– Siedemnaście, jak sądzę. Klasy Imperial.

Niektórzy z młodszych uczniów westchnęli przygnębieni, ale Kyp nie dał znać po sobie, czy poruszyła go ta informacja. Oparł się rękoma o stół, naciskając na blat tak silnie, że końce jego palców zbieleły.

– Teraz czujemy się silni, ponieważ udało nam się zniszczyć wszystkie te statki nad świątynią – ale niezależnie od tego, jak dzielnie będziemy walczyć, bez względu na to, ile jednostek wroga zdołamy zniszczyć, tamte gwiazdne niszczyciele wciąż będą wysyłać na nas nowe siły. Nie wygramy, jeśli będziemy walczyć w ten sposób.

– Ale jakże moglibyśmy zmierzyć się z gwiazdnymi niszczycielami, przebywając tutaj? – odrzekła Kirana Ti.

Kyp rozglądał się wokół siebie.

– Czy nikt nie ma żadnych pomysłów?

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy siedział niespokojny, stukając palcami o blat, w jego głowie kłębiło się od myśli. Pamiętał, z jaką łatwością roztrzaskał imperialnego robota zwiadowczego typu AT-ST, używając Mocy, by go odepchnąć. Jeśli tylko...

– Mam propozycję – rzeki w końcu. Jego usta były zaciśnięte, na jego oliwkowej twarzy pokazały się wypieki.

Kyp spojrział na przyjaciela i Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wyczuł nerwowe wyczekiwanie u pozostałych uczniów. Przełknął ślinę.

– Nie możemy odnieść zwycięstwa, gdy każdy będzie prowadził walkę na własną rękę – powiedział. – Ale razem jesteśmy potężniejsi. Możemy połączyć nasze zdolności.

Kirana Ti i Kam Solusar spojrzeli na niego, myśląc intensywnie. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy

pochylił się nad stołem i wyciągnął dłoń ku pozostałym Jedi.

– Niektórzy z was byli przy tym, jak ostatecznie udało nam się pokonać Exara Kuna. Połączyliśmy nasze siły, stając się jednością, tak jak to czynią mistrzowie Mocy – i, zjednoczeni, obudziliśmy większą potęgę, niż ktokolwiek z nas mógł sobie wyobrazić.

– Ale co moglibyśmy zrobić? – zapytała jedna z uczennic o wyglądzie gada, wysokim, syczącym głosem.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wahał się ułamek sekundy. Pomysł był niedorzeczny... lecz teraz sytuacja wymagała, by poważnie potraktować nawet tak dziwaczną propozycję. Jego głos zabrzmiał sucho.

– Możemy posłużyć się Mocą... by odepchnąć stąd gwiazdne niszczyciele.

Szmary, jakie się rozległy, stanowiły mieszaninę niedowierzania i zachwytu.

– To zbyt wiele – orzekł Kam Solusar. – Jest ich za dużo. Siedemnaście gwiazdnych niszczycieli klasy Imperial!

Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego nie zbiło to z tropu.

– Wielkość nie ma znaczenia – odparł. – Ile razy powtarzał nam to mistrz Skywalker? Z początku wielu z nas nie wierzyło, że można unieść kamyk czy liść. A dopiero co ciskaliśmy wielkie głazy w statki przemykające nad naszymi głowami. Streen zdołał rozbić za jednym zamachem cztery myśliwce typu TIE, wykorzystując jedynie wiatr. To wszystko zrobiliśmy bez planu, bez przygotowania i bez pomocy.

Moc jest we wszystkich rzeczach – ciągnął Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. – Nie istnieje zasadnicza różnica pomiędzy kamykiem a gwiazdnym niszczycielem. Poza tym tamte okręty nie mają się jak bronić przed takim atakiem.

Wszyscy zaczęli mamrotać coś między sobą, aż Kyp uderzył pięścią w stół.

– Hej! Czy nie słuchaliście nauk mistrza Skywalkera? – spytał. – Jeśli to się nie powiedzie, poszukamy czegoś innego – ale moim zdaniem, powinniśmy spróbować.

To skończyło dalsze dyskusje. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy podniósł się.

– Te świątynie zostały zbudowane dawno przez Massassów. Dowiedzieliśmy się skinął głową w stronę Tionny – że miały służyć jako ogniska dla energii, jakimi manipulowali Czarni Lordowie Sithów. Możemy wykorzystać świątynie w podobny sposób – ale służąc po stronie dobra, by się obronić. Ja udam się na szczyt tej świątyni i zostanę tam, jako punkt skupienia energii każdego z was. Połączymy się razem, cała trzydziestka, związani Mocą.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy podniósł głos. Gdy przemawiał, wzbierała w nim wewnętrzna siła. Nigdy przedtem nie chciał przewodzić, ale teraz przestał czuć się jak uczeń. Poczul się silny i samodzielny.

– Połączcie swoje zdolności, a ja odbiorę waszą siłę, stając się przekaźnikiem, i wyrzucę ją z siebie, tak jak zrobiłem w przypadku tamtego robota kroczącego. Uderzę na ich szyk i odepchnę gwiazdne niszczyciele daleko stąd.

Drżał, gdy skończył mówić i stojący obok Kyp położył rękę na jego ramieniu.

– A po tym, jak odepchniemy stąd okręty wojenne – rzekł Kyp – będziemy musieli zająć się resztkami sił atakujących. – Uśmiechnął się. – Zanim flota Nowej Republiki dotrze tutaj, może już będzie po wszystkim.

– Nie wolno nam zwlekać – dodał Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy. – Jesteśmy teraz wszyscy razem, a atak przybiera na sile. Nawet ta wielka świątynia nie wytrzyma zbyt długo, jeśli nic nie

zrobimy.

Na wierzchołku piramidy Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy stanął boso na rozgrzanych kamiennych płytach, które ułożone zostały tak, by tworzyć taras obserwacyjny. Uczniowie Jedi często przychodzili tutaj, by oglądać tęczowe zachody gigantycznej gazowej planety.

Płomień unoszący się z drzew otaczał świątynie, wzbijając się wysoko nad dżunglę. Poniżej eskadry mechanicznych robotów zwiadowczych i machin oblężniczych roły się wokół wielkiego zigguratu.

Siły imperialne szybko zorientowały się, że w pobliżu Świątyni Niebieskiego Liścia nie ma żadnych rycerzy Jedi; teraz, gdy Pellaeon wiedział już, że Jedi zgromadzili się w większej świątyni, z pewnością pośle wszystkie oddziały do ataku na piramidę.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy uniósł gładką twarz ku niebu i wyciągnął ręce na boki, rozprostowując palce. Kamienne płyty stanowiły solidne oparcie dla jego stóp. Wyciszał się, wysyłając wici Mocy, dzięki którym mógł połączyć się z innymi.

Kyp i Kirana Ti, Kam Solusar, i wszyscy pozostali Jedi – niektórych znał bardzo dobrze, innych ledwo zdążył poznać – także skupiali siły. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy przypomniał sobie, jak połączyli się razem, by stoczyć walkę z Exarem Kunem, i teraz poczuł taki sam niewidzialny wir energii wokół siebie.

Nowi rycerze Jedi zjednoczyli się niedostrzegalnymi więzami jasności. Okazały się bardzo mocne i pozwalały każdemu z nich upewnić się o zdolności innych. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy stał pośrodku, jak w oku cyklonu, gdzie mógł skupić się całkowicie na Mocy potężniejszej niż ta, jaką kiedykolwiek władał.

W jego umyśle pojawił się mroczny cień zwątpienia. Nagle zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście możliwe jest poruszyć tak wielką flotę. Wspomniał swojego przodka, starszego kłona, Dorska Osiemdziesiątego, mówiącego: Nigdy nie zrobisz nic, co by było ważniejsze niż to, co robiłeś tutaj.

Dlaczego nie zostaniesz z nami? – tak mówił do niego młody Dorsk Osiemdziesiąty Drugi. – Zostań, a wszystko znów będzie dobrze...

Ale Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy chciał czegoś innego. Jego życie miało służyć większemu celowi. Wyczuwał to od samego początku, ale przez wiele lat pozwalał sobie to zignorować. Teraz był rycerzem Jedi. Rycerzem Jedi.

Determinacja rozwiała jego obawy – i zanim zdołały rozproszyć go jakieś inne myśli, zebrał się w sobie i pochwycił wici Mocy, jakie wysłali ku niemu pozostali Jedi. Poczuł, jakby podłączono go do jakiegoś potężnego źródła energii, którą przyjął bez wahania.

Wyciągnął ręce ku górze, kierując je na gwiazdne niszczyciele tkwiące na orbicie: siedemnaście wielkich machin śmierci, w kształcie klinów, najeżonych wszelkiego rodzaju bronią, załadowanych po brzegi myśliwcami typu TIE i oddziałami szturmowymi. Myśli Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego popłynęły w przestrzeń, poza szmaragdowy księżyc. Jego świadomość stała się potężnym taranem utworzonym z niewidocznej, niepowstrzymanej Mocy, której obecności nie mogły wykryć żadne imperialne skanery. Gwiazdne niszczyciele wisiały gdzieś tam w przestworzach, potężne i wydawałoby się, niezwykłe.

Odnalazł je. Dotarł do nich swym umysłem. Były ogromne i stanowiły większą masę, niż przypuszczał.

Użył Mocy, napierając na skupisko okrętów wojennych... ale okazało się, że nie dają się poruszyć. Były zbyt duże. Moc obejmowała je, jednak nie mógł zrobić tego, co chciał.

Sięgnął po jeszcze więcej energii innych Jedi. Czuł wyraźnie upór i kontrolowany gniew Kypa Durrona, czystą energię walecznej Kirany Ti, głęboką wiedzę Tionny, ponury ból Kama Solusara, dziecięce zdziwienie Streena... Wchłonał w siebie energię wszystkich uczniów Jedi, splatając razem oddzielne linie Mocy, stając się wielkim i złożonym kompleksem wspomnień, sił i umiejętności. Sięgał coraz głębiej i głębiej.

Moc zdawała się płynąć ze studni bez dna, dając mu więcej, niż mógł sobie wyobrazić – ale w miarę jak Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wchłaniał to wszystko, zaczął uświadamiać sobie niebezpieczeństwo, negatywną możliwość: zbyt wiele tej energii mogło go zniszczyć.

Wyteżył się ponownie, jeszcze bardziej niż przedtem, przestając zwracać uwagę na cokolwiek innego.

Gwiezdne niszczyciele poruszyły się nieznacznie, drgnęły i stawily mu opór – ale to wciąż było mało. Swym umysłem Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy dostrzegł kolejną eskadrę myśliwców typu TIE, wysłanych, by wykończyć rycerzy Jedi.

Nie może na to pozwolić.

Wysilił się jeszcze trochę, choć jego umysł niemal nie był już w stanie tego znieść. Targnęły nim dreszcze. Nie dostrzegał nic z tego, co działo się dookoła niego, ponieważ cała jego świadomość była skupiona w tym fragmencie przestrzeni, w którym tkwiła flota Pellaeona.

Jesteś rycerzem Jedi – powiedział mu Kyp – a to oznacza, że niekiedy musisz podejmować trudne decyzje.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zdawał sobie z tego sprawę, ta prawda spoczywała w głębi jego serca – i odpędził strach. Moc była z nim. Być może nawet więcej Mocy, niż zdołał udźwignąć... ale wciąż miał do wypełnienia swą misję. Bez względu na niebezpieczeństwo grożące jemu samemu.

Wszyscy pozostali Jedi polegali na nim i wiedział, że nie może ich zawieść. To był jeden z czynów, których jego przodek Dorsk Osiemdziesiąty nigdy by nie zrozumiał.

Bez zastanawiania się dłużej, zdecydowanie, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zaczerpnął jeszcze więcej z głębokich studni Mocy, które otworzyli dla niego inni uczniowie Jedi. Czerpał z ich sił, gromadził całą energię, wzmocnioną przez wielką świątynię – zogniskował ją w sobie i wystrzelił w kierunku floty gwiazdnych niszczycieli.

– Precz stąd! – krzyknął.

Same słowa były niczym wcielona energia, wydobywająca się jak płomień białego ognia z jego ust, końców palców – przenikające jego ciało i wypalające je.

Wewnątrz jego głowy nastąpiła jasność, potężne światło przypominające narodziny supernowej, a świadomość popędziła w przestrzeń razem ze strumieniem Mocy. Poczł, jak niewidzialna fala uderza w siedemnastkę gwiazdnych niszczycieli i miota nimi, jak tornado kawałkami drewna. Fala zmiotła całą flotę, odrzucając ją daleko poza granice systemu Yavina, Komputery statków spłonęły, silniki zostały zmiażdżone – a niszczyciele leciały dalej, popychane potężną falą Mocy.

Flota gwiazdnych niszczycieli pod dowództwem Pellaeona po prostu zniknęła.

Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy także mknął razem ze strumieniem Mocy – do miejsca ostatecznego, nie znanego przeznaczenia.

Moc opuściła Kypa tak, jakby ktoś przeciął linę, która go z nią łączyła. Wszyscy młodzi Jedi opadli na kolana, wyczerpani. Kiedy Kyp odzyskał wzrok, mrużąc powieki, dostrzegł Dorska

Osiemdziesiątego Pierwszego – czy to, co z niego pozostało – który wciąż stał chwiejnie pośrodku tarasu obserwacyjnego.

Chociaż nogi ugięły się pod nim, Kyp podszedł, by chwycić przyjaciela. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy zatoczył się i osunął na niego. Obaj upadli na rozgrzane słonecznym światłem kamienne płyty.

– Dorsku Osiemdziesiąty Pierwszy... – przemówił do niego Kyp, widząc z przerażeniem, że skóra klona odpada, spalona. Po żółtych oczach Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego pozostały jedynie dymiące oczodoły. Jego ciało parowało.

Niewyraźne słowa wydobyły się z jego otwartych, poczerniałych ust.

– Nie ma ich, przyjacielu – powiedział.

– Czeka! – rzucił Kyp. – Trzymaj się, znajdziemy lekarza. Ściągniemy tu znów Cilghal...

Ale Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy spoczywał już martwy w jego ramionach.

Rozdział 47

„Niewidzialny Młot” admirał Daali przybył w drugiej fali ataku na fortecę Jedi. Statek zawisł niczym olbrzymi klin długości ośmiu kilometrów, rysując się jak ostrze noża na bladopomarańczowym tle kuli Yavina.

Oddziały czekały w pełnej gotowości, systemy broni nastawiono na maksymalną moc. Daala stała na mostku, spoglądając ponad rozległą metalową powierzchnią, formującą górną część kadłuba „Niewidzialnego Młota”.

Daala spodziewała się, że gdy dotrze do systemu, Pellaeon będzie już kończył swój atak, tak by mogłaby rozkoszować się widokiem śmierci ostatnich Jedi. Ale gdy „Niewidzialny Młot” przecinał przestworza, entuzjazm Daali powoli zamieniał się w zdumienie. Nie dostrzegła żadnych śladów obecności floty Pellaeona na orbicie wokół Yavina Cztery.

Imperialnych gwiazdnych niszczycieli po prostu tu nie było. Przestrzeń wokół zielonego, pokrytego dżunglami księżyca była pusta.

– Gdzie on jest? – niepokoila się. – Włączyć komunikator. Znaleźć Pellaeona.

– Przeszukuję rejon, pani admirał – oświadczyła kobieta dowodząca grupą żołnierzy tkwiących przy skanerach. – Żadnych oznak obecności gwiazdnych niszczycieli w systemie Yavina.

Daala wpatrywała się w zielony księżyc, pełna trwogi. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– On był tutaj, pani admirał – odezwał się oficer taktyk. – Satelity sieci przechwytyjacej są na swoim miejscu. Rycerze Jedi nie wysłali stąd żadnych sygnałów, o ile się orientuję, poza tym wykrywamy pewną aktywność na powierzchni księżyca. W dżungli są ślady strażów z ciężkiej broni. Naziemne oddziały szturmowe zostały wysłane do akcji – ale gwiazdnych niszczycieli już tu nie ma.

Daala namyślała się chwilę z nachmurzoną twarzą.

– Coś tu jest niejasne. – Odwróciła się do zwierzchniczki grupy przeszukujacej. Przeczesujcie większy obszar – poleciała. – Sprawdźcie cały system planetarny, nie tylko ten rejon. Czy Pellaeon się wycofał? Przecież wiedział, że jestem w drodze.

Zwierzchniczka grupy przeszukujacej sprawdziła wszystko raz i drugi, dokładnie odczytując wyniki, i potrząsnęła głową. Spojrzała na Daalę.

– Ani śladu, pani admirał. Przeszukałam cały obszar, aż po ostatnią planetę, i nie znalazłam żadnych jednostek. Ani żadnych wraków jednostek. Wiceadmirał Pellaeon był tutaj, w pobliżu Yavina Cztery – ale teraz przepadł.

Daala poczuła chłód potu, który zraszał jej czoło. Spojrzała ponownie na zielony księżyc w dole i pomyślała o młodych czarownikach, władających Mocą, której ona pojąć nie mogła. Powinni stanowić taki łatwy cel... Daala wiedziała, przeciw komu skierować swój gniew.

Przez większą część życia Daalę przepełniały gorycz i złość, ledwie kontrolowana wściekłość, która przeżarłaby ją od środka, gdyby nie znalazła sposobu wyrzucenia jej z siebie.

Dawno temu była młoda, łagodna i zakochana – zanim wstąpiła do akademii na Caridzie i zanim spotkała Tarkina (którego bardziej podziwiała, niż kochała). Teraz czuła jedynie gniew.

Szczęśliwie dla Imperium, jej sposoby na pozbywanie się wewnętrznego napięcia często prowadziły do wyrządzania przez nią poważnych szkód przeciwnikom. Daala czuła się dobrze, mając wroga, którego należało unicestwić – a teraz zdecydowała, że tym wrogiem muszą być rycerze Jedi na Yavinie Cztery. To oni zniweczyli prosty plan, który miał prowadzić do błyskawicznego, totalnego zwycięstwa.

Hangary z lądowiskami „Niewidzialnego Młota” mieściły we wnętrzach tysiące myśliwców i bombowców typu TIE, w pełni wyposażonych i gotowych do akcji, ale Daala zdecydowała nie posyłać ich. Pellaeon prawdopodobnie obrał taką taktykę, a jeśli rycerze Jedi posiadali jakąś tajemniczą obronę przeciw pojedynczym jednostkom, takim jak myśliwce i bombowce, musi się do tego przystosować – i użyć innej strategii.

– Proszę rozkazać wszystkim pilotom jednostek TIE, by powrócili do swych kwater i pozostali w pełnej gotowości – powiedziała. – Na razie nie wyślę ich maszyn. Nie chciała już tracić czasu.

– Czy mamy jakiś plan ataku, pani admirał? – zapytał dowódca odpowiedzialny za systemy broni. Wyglądał na zawiedzionego, gdy przeglądał stan uzbrojenia.

– Tak – odpowiedziała Daala. – Uderzymy z orbity. Wszystkie baterie turbolaserów, pełna moc. Strzelajcie do woli, weźcie na cel każdą budowlę w dżungli.

– Tak jest, pani admirał! – odkrzyknął entuzjastycznie.

Lance lśniącej energii pomknęły w kierunku płaskiej powierzchni małego księżyca. Gazowy gigant Yavin zdawał się zbytnio nie przejmować zagładą małego satelity.

Dowódca broni „Niewidzialnego Młota” wypuszczał turbolaserowe salwy jedna za drugą. Daala przyglądała się, skupiona na celu. Przy każdym strzale uderzała dłonią w barierkę na mostku, tak jakby mogła tym zwiększyć siłę uderzeń turbolaserów.

Stała i czekała, czując, jak wściekłość opada, a pojawia się zadowolenie. Nawet ze swojego mostka na pokładzie „Niewidzialnego Młota” wiszącego wysoko nad Yavinem Cztery – niemalże widziała, jak płomienie zaczynają pochłaniać bujne lasy.

Rozdział 48

Jak opancerzone drapieżne ptaki, gwiazdne niszczyciele klasy Victory napadały na cele, zostawiając za sobą ogień i zniszczenie.

Pułkownik Cronus usiadł głębiej w swoim niewygodnym fotelu dowódcy jednostki 13 X i rzucił okiem na listę celów ułożoną przez admirała Daalę. Złączył dłonie i napiął mięśnie ramion. Przepelniała go siła i duma. Jego umysł opanowały wizje kolejnych sukcesów – ale nie pozwolił sobie na to, by zawładnęła nim beztroska satysfakcja, w ten sposób bowiem mógłby stać się mniej czujny. Nie mógł sobie pozwolić na to zwłaszcza po tym, czego już dokonał.

Usiadł jeszcze głębiej i przypiął pasy, przygotowując się do następnej bitwy.

– Włączyć siłowe pola osłon – polecił.

– Potwierdzam – odparł oficer taktyczny.

– Przygotować się do ataku. – Jedna po drugiej, inne jednostki klasy Victory zgłosiły się automatycznie, wysyłając zakodowane sygnały. Cronus pochylił się w fotelu do przodu, zaciskając ręce na poręczach tak mocno, że jego paznokcie pozostawiły na nich głębokie bruzdy.

– Cała naprzód – rozkazał.

Szkarłatna flota runęła na stocznie Chardaanu, rebelianckie zakłady produkujące różnorodne myśliwce wojskowe – od starych modeli X-skrzydłowców i maszyn typu Y, po nowsze myśliwce typów A, B i E. Po tym ataku, pomyślał Cronus, zakłady nie wyprodukują już nic więcej.

Unoszące się w przestworzach, wypełnione wewnątrz powietrzem hangary stoczni utworzone były ze srebrzystych kul, które zapewniały ochronę środowiskową dla mechaników montujących statki. Chwilę po tym, jak flota Cronusa przemknęła nad łatwymi celami, hangary eksplodowały w potężnych pióropuszach płonącego powietrza i rozbryzgach metalu. Wróg poniósł znaczne straty – Imperium żadnych.

Jeden z niezgrabnych rebelianckich transportowców próbował ucieczki. Wielka, przeżarta przez rdzę jednostka z pewnością widziała już lepsze dni, a teraz jej szczupła załoga próbowała oddalić się na pokładzie przestarzałego wehikułu.

Cronus znalazł przyjemność w tym, by odstrzelić silniki transportowca znajdujące się na rufie statku, przez co załoga straciła nad nim kontrolę. Stary statek przeleciał jeszcze kawałek, ciągnąc za sobą płomienie i kłęby dymu, po czym rozbił się o zabudowania na skraju kompleksu stoczni, gdzie mieściły się prywatne kwatery inżynierów.

Cronus prowadził flotę nad gęsto zabudowanym terenem, strzelając bezlitośnie.

Siły rebelianckie zmobilizowały się zadziwiająco szybko. Myśliwce, stare i nowe, pilotowane przez mechaników i pilotów wolnych od służby, skoczyły w stronę jednostek klasy Victory.

– Strzelajcie we wszystko, w co się da, ale nie angażujcie się w walkę – polecił Cronus. – Szkoda zachodu. Przebijemy się przez nich na pełnej prędkości i odlecimy.

Z tego, jak szybko Rebelianci zdołali wysłać myśliwce, Cronus domyślał się, że ich siły musiały być w pogotowiu. W jakiś sposób zostali ostrzeżeni przed zaplanowanymi przez Daalę atakami.

Małe statki rebelianckie skoncentrowały ogień na dwóch szkarłatnych okrętach wojennych i Cronus musiał pochwalić ich strategię. Myśliwce były zbyt małe i zbyt nieliczne, by wyrządzić poważniejsze szkody flocie Cronusa, ale gdyby wybierały jeden cel za każdym razem, mogłyby.

Nagle okręt klasy Victory eksplodował. Jego szczątki trysnęły we wszystkie strony, uszkadzając kilkanaście rebelianckich X-skrzydłowców.

Cronus poczuł złość i rozczarowanie.

– Zwiększyć prędkość! – krzyknął. – Wynośmy się stąd.

Wybuchł następny statek klasy Victory, ale tym razem dowódca pomyślał o tym, by wykorzystać eksplozję gwiazdowego niszczyciela dla zadania wrogowi strat i wybuch nie pociągnął za sobą zniszczenia żadnego z myśliwców.

Cronus poczuł zdenerwowanie. Gdy przelatowali nad wybuchającymi zbiornikami stacji paliw i pośród szczątków eksplodujących zabudowań, rozkazał zrzucić czasowe ładunki wybuchowe. Małe, lecz potężne miny, które przyczepią się do niewinnie wyglądających celów i wybuchną później – ku zaskoczeniu Rebeliantów, gdy będą oczyszczać teren po ataku. Cronus odczuwał wielką satysfakcję na myśl o tym, że dzieło zniszczenia będzie jeszcze dokonywać się później, nawet jeśli jego nie będzie w pobliżu.

– Siły obronne Rebeliantów formują szyk, panie pułkowniku – oznajmił dowódca oddziału techników – i dołączają do nich nowe jednostki.

Cronus skinął głową i pochylił się do przodu.

– Czas ruszać. Spowodowaliśmy tu tyle zniszczeń, ile tylko było można.

Flota jednostek klasy Victory gładko umknęła w nadprzestrzeń, podczas gdy myśliwce rebelianckie do ostatniej chwili ostrzeliwały ją w pościgu.

Rozległe muzea na Porus Vidzie, liczące setki lat, sływały w całej galaktyce – i nie miały żadnych systemów obrony. Pułkownik Cronus był zdania, że nie są to cele wojskowe... ale admirał Daala umieściła je na liście, jako elementy walki psychologicznej, a Cronus musiał wypełnić rozkazy.

To było łatwe zadanie dla jego jednostek, musiały jedynie strzelać z turbolaserów, podpalając galerie sztuki czy archiwa. Na ekranach monitorów Cronus mógł obserwować, jak kunsztownie rzeźbione posagi po prostu rozpuszczają się pod uderzeniem fal ciepła, jak piękne postaci z rękoma uniesionymi w gestach zachwyty zwiijają się w agonii, przemieniając w plamy gęstej, gorącej lawy.

Zieleń pieczołowicie pielęgnowanych, strzyżonych ogrodów przybrała kolor rdzawoczarnej spaliny w chwili zetknięcia z płomieniami. Połyskujące baseny i rybne stawy zagotowały się. Muzea płonęły, ich drogocenne dzieła sztuki przepadły bezpowrotnie.

Pułkownik Cronus przypatrywał się temu zamyślony. W końcu kto przejmował się zabytkami?...

Przez czysty przypadek imperialna flota wpadła na dyplomatyczny konwój i Cronus zdecydował się wykorzystać tę znakomitą okazję.

Konwój składał się z dziewięciu okrągłych cylindrów, zaopatrzonych w pajęczynowate słoneczne żagle, które przypominały płatki kwiatów niesione przez wiatr. Statki, popychane przez silniki napędu podświetlnego, kierowały się do stacji paliw. Wyglądają pięknie, doszedł do wniosku Cronus, lecz są niezdarne, niesterowne i na pewno nie będą w stanie odpowiedzieć na

niespodziewany atak.

Gdy dotarły do niego sygnały nadawane ze statków, zobaczył, że załogę stanowią istoty nie będące ludźmi, jakieś wyglądające na kruche insektoidy o motyliach skrzydłach – i z bardzo słabym uzbrojeniem. Kiedy flota jednostek klasy Victory wleciała pomiędzy konwój, zamieniając słoneczne żagle transporterów w strzepy, obcy wysłali natychmiast informacje o bezwarunkowym poddaniu.

Pułkownika Cronusato nie interesowało.

Sprawdził ich dane identyfikacyjne i status misji, zachowując dane na wypadek, gdyby były potrzebne Daali, po czym rozkazał ich całkowitą anihilację.

– To sprzymierzeńcy naszych wrogów, którzy wiozą towary na Coruscant oznajmił. – Stanęli po niewłaściwej stronie w tym konflikcie i teraz za to zapłacą.

Otworzył ogień do jednostki ambasadora, używając turbolaserów jak świetlistych ostrzy i rozpruwając metalowy kadłub statku.

Atmosfera i pasażerowie znajdujący się w środku wytrysnęli na zewnątrz niczym krew z tętnicy.

Niszczyciele klasy Victory raziły konwój, niszcząc wszystkie zbiorniki z rezerwami paliwa.

– Konwój jest rozbrojony, możecie się teraz powyżywać – przemówił Cronus do swej floty.

Piloci jednostek klasy Victory, wciąż rozwścieczeni stratą dwóch statków nad fabrykami Chardaanu, z dziką radością niszczyli kruche statki...

Dryfowali przez chwilę, otoczeni przez strzepy metalu z wraków obcych statków. Cronus był podniecony, tak że przez chwilę nie mógł dobyć z siebie słowa.

– Świetna robota – przemówił wreszcie. – Teraz czas już ruszać i połączyć się z siłami admirała Daali w systemie Yavina.

Przymknął oczy, odprężając się. Jego niezwyciężona flota gwiazdnych niszczycieli mknęła naprzód.

Rozdział 49

PAS ASTEROID HOTH

Na mostku kontrolnym Miecza Ciemności rozległo się ciche, stłumione buczenie maszynierii. Generał Crix Madine, szef wywiadu wojsk sprzymierzonych, przypatrywał się Sulamarowi.

Imperialny oficer stał sztywno, wyprostowany, ale na jego obliczu malowała się panika. Zaczerwienił się, nerwowo mrugając powiekami. Strażnicy trzymali Madine'a, mocno ściskając jego ramiona.

Hutt Durga przechylił się do przodu na swej platformie. Jego grube wargi były zaciśnięte, znamię na twarzy błyszczało niczym świeży atrament.

– Generale Sulamarze, czy zna pan tego sabotażystę?

Madine roześmiał się i odezwał się na tyle głośno, by mieć pewność, że usłyszą go wszyscy.

– Nazwał go pan generałem? – spytał. – Ten bufon nie jest żadnym generałem.

Sulamar machnął rękoma, zupełnie jakby tym gestem mógł sprawić, że Madine zniknie. Był przerażony. Mrugał powiekami, co przypominało trzepot skrzydeł nocnego owada, którego umieszczono w jasnym świetle.

– Proszę nie słuchać tego człowieka, lordzie Durgo! On jest zdrajcą Imperium...

Madine parsknął.

– A ty jesteś marnym inżynierem trzeciej rangi, przenoszonym od jednego zadania do innego, ponieważ nie nadawałeś się do niczego!

Sulamar zrobił krok w jego kierunku i zatrzymał się, zaciskając i rozwierając pięści. Krztusił się z wściekłości. Obrócił się, by spojrzeć na Hutta.

– Lordzie Durgo, znasz moje umiejętności dowodzenia – nie pozwól, by okłamywał cię ten zdrajca.

Durga zatrząsł się cały, gdy wybuchnął śmiechem.

– He, he he! Rzeczywiście poznałem twoje tak zwane umiejętności... i gotów jestem dać wiarę temu człowiekowi.

Sulamar stęknął i począł się jąkać, jakby szukając właściwych słów, ale nie powiedział nic. Grapa uzbrojonych strażników spoglądała to na Madine'a – ich oczywistego wroga – to na Sulamara, który mógł się okazać ich następnym celem.

– Sulamarze – powiedział Durga niskim, surowym głosem. Madine zauważył z pewną satysfakcją, że Hutt opuścił tytuł generała. – Zajmiemy się więźniem. Nie musisz się obawiać. Proszę, oddaj mi swą broń.

Sulamar stał jak sparaliżowany. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Jego imperialny mundur – który był niczym więcej niż kostiumem – był nieskazitelny: schludnie oczyszczony i wyprasowany, z dokładnie ułożonymi załamaniami i ostrymi kantami. Wszystkie odznaczenia błyszczały,

wypolerowane na błysk.

– Ale... lordzie Durgo – odezwał się Sulamar. – Może to ja powinienem..

Durga ryknął tak głośno, jak tylko zdołał, dobywając głos z dna swego przepastnego brzucha.

– Kwestionujesz moje rozkazy, Sulamarze?

Imperialny oszust skwapliwie posłuchał rozkazu. Wyjął blasterowy pistolet z kabury na biodrze i wyciągnął go w stronę Durgi, z lufą wymierzoną w Hutta; błyskawicznie zrozumiał swój błąd i odwrócił broń, wręczając ją zbrodniczemu lordowi.

– Dobrze – rzekł Durga, trzymając blaster z lufą skierowaną na Sulamara. – Teraz usiądziesz w fotelu pilota. – Durga wskazał puste stanowisko otoczone mnóstwem terminali i urządzeń nawigacyjnych.

Madine spostrzegł, że fotel wyposażony był w jakiś system krępowania ciała, od podstawy siedzenia biegły kable zasilania, a w wielu metalowych punktach zamontowano elektrody.

Sulamar spojrział na fotel pilota i zbladł.

– Tam, lordzie Durgo? Ależ mógłbym przysłużyć ci się znacznie lepiej, gdybym..

– Siadaj! – przerwał mu Durga.

Sulamar był przerażony – co w pewnym sensie oznaczało przyznanie się do kłamstwa. Ale ruszył bezwolnie, jak zaprogramowany android, idąc w stronę pustego fotela. Opadł na siedzenie i zapiął pasy. Najwyraźniej całkowicie pogodził się ze swym losem, w przeciwieństwie do Madine'a, którego też miała spotkać śmierć.

Crix Madine wyglądał na kompletnie wyczerpanego, był sponiewierany i poraniony. Zaciśnął dłonie i czekał. Z półprzymkniętymi oczyma wyczuwał pulsowanie wszczepionego w dłoń nadajnika, który wciąż wysyłał alarmowy sygnał. Skupiał się na tym, nie mogąc doczekać się pomocy. Dlaczego to trwało tak długo?

Nasłuchiwał, przynaglając w duchu mające przybyć statki.

Pustą przestrzeń kosmiczną stopniowo zaczynały zaśmiecać skalne odłamki. Stojący na mostku „Yavarisa” generał Wedge Antilles spoglądał przez dziobowe iluminatory.

– Szybciej – mruczał pod nosem. – Szybciej!

Obok generała stała Qwi Xux, dzielając jego niepokój.

– Czy wciąż lecimy z największą możliwą prędkością? – rzucił Wedge do sternika.

– Z największą, z jaką możemy, panie generale – odpowiedział młody oficer. Jednak przed nami zaczyna się niebezpieczny obszar – sygnał generała Madine'a prowadzi nas dokładnie w rejon pasa asteroid Hoth.

W towarzystwie fregaty szturmowej „Dodonna”, „Yavaris” pomknął prosto w pas asteroid.

– Pełne osłony – polecił Wedge.

– Tak jest, panie generale – odparł sternik. – Ale nie powinniśmy wlatywać z pełną prędkością w tak niebezpieczny obszar.

Wedge pokręcił głową. Wiedział, że powinni się śpieszyć. Śpieszyć!

– Róbcie wszystko, co w waszej mocy, poruczniku – rzekł Wedge. – I nie zmniejszajcie prędkości.

Asteroidy mijały ich niczym kamienne pociski, lecz flota Wedge'a parła niezmiennie naprzód, kierując się sygnałem namiarowym Madine'a w nadziei, że zdąży na czas.

Uwięziony w fotelu pilota, ledwo mogąc się ruszać, Sulamar był siny z wściekłości. Wił się,

bełkocząc coś i próbując się jakoś usprawiedliwić.

Durga Hutt ryknął, spoglądając na niego ze swej repulsorowej platformy.

– Może opowiesz nam jeszcze raz o masakrze Mendicatu, o której tyle paplałeś, Sulamarze?

Madine parsknął wywracając oczy. Jeden ze strażników szturchnął go w nerki; Madine jęknął z bólu, lecz szybko wrócił do siebie.

– Mendicatu? – rzucił szyderczo, wiedząc, że jeśli zdoła sprowokować tych ludzi do tego, by kłócili się między sobą... będzie miał jakąś szansę. Nikłą szansę. – Mendicat była przeznaczoną do rozbiórki stacją wydobywczą-przetwórczą – Madine zerknął w stronę Sulamara. – Z powodu jego błędnego programowania orbitalnych komputerów stacja zeszła z kursu i pomknęła w kierunku słońca. Sam ledwo zdołał się uratować, a teraz widzę, że te wysiłki poszły na marne.

Durga niemal zakrztusił się ze śmiechu.

– Po czasie, jaki spędziłem współpracując z lordem Xizorem, powinienem był nauczyć się, że należy dwukrotnie sprawdzać prawdziwość opowieści moich podwładnych.

Madine odpowiedział Huttowi tak, jakby rozmawiał z równym sobie.

– Ja doszedłem do wniosku, że ludzie, którzy rzeczywiście robią wielkie rzeczy, nie odczuwają potrzeby rozprawiania o tym bez przerwy.

– Musisz przestać go słuchać, lordzie Durgo – zakwilił Sulamar, szarpiąc się z pasami, które mocowały go do fotela. – Trzeba go zabić! – Jego słowa stały się słodsze, bardziej podstępne. – Możemy, używając lasera, pociąć go na kawałki lub przywiązać do obudowy rdzenia reaktora, tak żeby się żywcem usmażył.

Bevel Lemelisk, siwiejący, brzuchaty inżynier, który dotychczas przysłuchiwał się wszystkiemu z mieszaniną zdumienia i niesmaku, odezwał się do siebie, ale na tyle głośno, że słyszeli go wszyscy.

– Imperator potrafiłby wyobrazić sobie znacznie bardziej... rozrywkowe egzekucje. – Stary inżynier wzdrygnął się.

Durga wydał pomruk niezadowolenia, wymachując wciąż blasterowym pistoletem.

– Nie widzę potrzeby, by przeciągać to dłużej. W końcu mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia, takie jak podbój galaktyki.

Madine stanął wyprostowany, odważnie patrząc w miedziane oczy Hutta Durgi. Nie mówił nic, wracając myślą do lat służby Nowej Republice.

Zrobił trochę dobrego, pomógł Nowej Republice urosnąć w siłę. I wypełniał obowiązki do końca. Nie żałował, że kiedyś opuścił Imperium, choć żałował, że nie było mu dane zobaczyć się z Karreio – ale teraz było za późno na takie rozważania. Przed oczyma widział jej obraz, jak żywy. Zginęła w bitwie o Coruscant, a on nie zdążył jej niczego wyjaśnić. Miał jedynie nadzieję, że jeśli rzeczywiście go kochała, musiała w końcu zrozumieć... a jeśli nie, to nie знаła Crixu Madine'a w ogóle.

Spojrzał przez okno na mdłe światła pasa asteroid, które skupiały się wokół stacji. Miał nadzieję, choć nie liczył na to, że w ostatnich sekundach życia dostrzeże nadciągającą mu na ratunek flotę. Ale widział jedynie szczątki planety, która rozpadła się w gruz tysiące lat wcześniej. Zdecydował, że nie da lordowi Durdze satysfakcji i nie będzie go prosił o darowanie życia.

Hutt wycelował pistolet w Madine'a, majstrując przyciskami kontrolnymi, aż w końcu udało mu się ustawić broń na zabijanie.

– Ostatnie słowo? – zapytał Durga.

Madine dumnie podniósł głowę.

– Nie do ciebie. – Kątem oka dojrzał światła pozycyjne zbliżających się statków. Serce zabiło mu

mocniej. Przybyli, by go uratować!

Durga wzruszył swymi tłustymi, gładkimi ramionami.

– W porządku.

Strażnicy rozstąpili się.

Durga wypalił z blasterowego pistoletu, wypuszczając długą, śmiertelnościaną wiązkę.

Zabójczy promień przeszył serce Madine'a i rzucił jego ciało o metalową ścianę. Całe życie generała Crixida Madine'a rozplynęło się w jednym krótkim przeblasku bólu.

I pustki.

Rozdział 50

YAVIN CZTERY

Zmierzając na pokładzie „Sokoła Milenium” z powrotem na Yavin Cztery, Luke Skywalker i Callista odpoczywali po ciężkich doświadczeniach. Nie mogli się doczekać powrotu do akademii Jedi.

Han, Leia i Chewbacca próbowali ich rozweselić, ale Luke i Callista mieli głębokie poczucie niepowodzenia i frustracji. Threepio, naprzykrzający się ze swymi posługami, także niewiele pomógł, choć miał jak najlepsze chęci. Artoo-Detoo tkwił u boku Luke'a, popiskując cicho, strzegąc go niczym wiemy pies.

Kiedy znaleźli się sami, Luke spojrział głęboko w rozwarte szeroko, szarawe oczy Callisty; nawet bez pomocy Mocy potrafili dzielić razem pewne myśli.

– Niezbyt dobrze to wygląda, prawda, Luke'u? – zapytała Callista. – Nigdy nie odzyskam moich zdolności Jedi.

– Zawsze jest szansa – odparł Luke.

– Nie pocieszaj mnie w ten sposób. – Odwróciła wzrok, choć mięśnie na jej policzkach drżały tak, jakby chciała – jakby pragnęła – znów spojrzeć mu głęboko w oczy, lecz nie śmiała. – Próbowaliśmy wszystkiego – powiedziała. – Przez cały czas pracowaliśmy nad tym i nie doszliśmy do niczego. Moc opuściła mnie. Jej prądy odwróciły się ode mnie, tak że nie mogę jej dotknąć.

– Ależ dotknęłaś jej – przypomniał Luke. – Na Dagobah. Czuję to.

– To była ciemna strona – odrzekła Callista.

– Ale może stanowić klucz do odzyskania twych zdolności – upierał się Luke, nie chcąc całkiem tracić nadziei.

– Ciemna strona nie może być kluczem do jasnej – odparła. – Nigdy nie uczyłybys tego swych wychowanków w akademii, więc nie mów mi teraz takich frazesów.

– Więc co mamy robić? – zapytał Luke. – Tak po prostu poddać się?

– Ja się nie poddam. Zbyt mocno cię kocham. Ale muszę sama podjąć jakieś decyzje – powiedział Callista.

Luke pochylił się ku niej, ujął jej dłonie i czekał, żeby wreszcie spojrzała na niego.

– Możesz – rzekł miękko. – Ale chciałbym brać w tym wszystkim udział.

Jej twarz złagodniała nieco, głos stał się spokojniejszy.

– Weźmiesz, Luke'u – jeśli znajdę sposób, by tak się stało.

Trwali tak przez chwilę, aż do ich pomieszczenia wpadł Threepio.

– Panie Luke'u! Panie Luke'u! – zawołał. – Zbliżamy się już do systemu Yavina i kapitan Solo pomyślał, że może chcielibyście dołączyć do nas w sterowni.

Luke i Callista wciąż trzymali się za ręce i protokolarny android nagle zmarł na sekundę, po czym

cofnął się o krok.

– O rety, czy znów przeszkodziłem w czymś, przychodząc w nieodpowiednim momencie? Błagam o wybaczenie. Obawiam się, że jestem okropny w tego rodzaju rzeczach.

– Nie, Threepio – odezwał się Luke, podnosząc się i pomagając wstać Calliście. Właśnie kończyliśmy rozmawiać.

Ramię w ramię, Luke i Callista poszli za Threepiem korytarzami do przeszklonej sterowni „Sokoła”, gdzie Leia siedziała tuż za plecami Hana, przyglądając się, jak Chewbacca radzi sobie z dźwigniami kontrolnymi.

– Cieszę się, że mogliście się do nas przyłączyć, dzieciaki – rzekł Han. – Czas wracać do pracy.

Artoo szczebiotał coś przy konsolce nawigacyjnej i Han zwolnił lot statku do prędkości podświetlonej.

– Witamy na Yavinie Cztery – rzucił Han, wskazując ręką. – Ośrodek wypoczynkowy Jedi.

„Sokół Milenium” opuścił nadprzestrzeń, wysyłając komunikat, że Luke Skywalker wrócił do akademii. Pomknęli w kierunku zielonego księżyca okrążającego pomarańczową gazową planetę... i niemalże zderzyli się z gwiazdym superniszczycielem „Niewidzialny Młot”.

– Hej! – krzyknął ostrzegawczo Han.

Chewbacca ryknął i chwycił za stery, wyciągając „Sokoła” w górę, by ominąć kilkukilometrowy gwiazdny superniszczyciel.

– Co do... – rzucił Han. – To nie moja wina!

„Niewidzialny Młot” nie przestawał ostrzeliwać leśnego księżyca, ale jak tylko pojawił się w pobliżu ich statek, kilka przypadkowych turbolaserowych wiązek pomknęło w jego stronę.

– Chewie, unik! – polecił Han, ale Wookie już się do tego zabrał.

– Hanie wtrącała Leia przerwij wysyłanie sygnałów identyfikacyjnych. Ściągasz ich uwagę.

– Tak, jasne – powiedział Han, wyłączając pośpiesznie komunikator.

Nagle w ich głośnikach rozległy się ogłuszające dźwięki, wysłane przez gigantyczny gwiazdny superniszczyciel.

– Mówi admirał Daala, dowódca „Niewidzialnego Młota”. Poddacie się natychmiast albo zostaniecie zniszczeni.

Han jęknął. Chewbacca zaryczał. Artoo zakwilił alarmująco.

– Admirał Daala! O rety! – wyrzucił z siebie Threepio.

Han włączył komunikator.

– Daalo, jesteś po prostu nudna – powiedział i wyłączył się. Minał kolejną serię turbolaserowych wiązek, wykonując swym statkiem ósemkę.

– Hanie, przestań się popisywać – skarciła go Leia.

Chmara myśliwców typu TIE wystrzeliła z przednich hangarów gwiazdnego superniszczyciela i pomknęła w kierunku „Sokoła”.

– Włączyć osłony! – polecił Han i Chewbacca potwierdził mruknięciem. Han odwrócił się do Luke'a. – Wyjeżdżasz na parę dni i wszystko staje tu na głowie.

Chewbacca ryknął.

– Hanie – odezwała się Leia, wskazując za okno. – Hanie!

Dwa myśliwce typu TIE pędziły na nich, strzały z ich laserowych działek odbiły się rykoszetem od nastawionych na maksymalną moc przednich osłon „Sokoła”. Han wypalił ze swych własnych dział, trafiając jeden z myśliwców typu TIE. Dragi leciał dalej nie uszkodzony.

– Czy możemy przesłać sygnał do stolicy Nowej Republiki? Podnieść alarm? krzyknęła Leia. – Musimy ściągnąć tu całą flotę.

Chewbacca uruchomił system komunikacji i jęknął. Han zerknął na panele kontrolne.

– Co się dzieje? To pochłania mnóstwo energii.

– Sądzę, że admirał Daala skutecznie zakłóca wszelkie transmisje – powiedział Threepio.

– Wspaniale – rzekła posepnie Leia.

– Niech ktoś pójdzie na stanowisko strzelnicze – polecił Han.

– Ja pójdę – odparł Luke.

– A ja pójdę na drugie – dodała Leia.

– Ty? – zapytał Luke.

Leia wzruszyła ramionami.

– Ćwiczyłam trochę. – Pobiegnę.

Luke wdrapał się na fotel strzelca i krzyknął do Hana:

– Daala ma więcej statków, niż kiedykolwiek zdołalibyśmy zniszczyć. Nie wdawaj się w walkę.

Po prostu leć na księżyc. – Luke otworzył ogień z laserowego dział, Leia zaczęła strzelać ze stanowiska poniżej i trafiła dragi myśliwiec typu TIE.

– Jesteś pewien, że nie zrobilibyśmy lepiej uciekając w nadprzestrzeń? – zapytał Han.

Callista stała za plecami Hana, trzymając oparcie jego fotela.

– Akademia Jedi jest atakowana – powiedziała, wiedząc dokładnie, co dzieje się także w głowie Luke'a. – Musimy im pomóc. Trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy.

– W porządku – odpowiedział Han. – Chewie, cała moc na przednie osłony. Przebijamy się. Polecimy prosto na nich.

„Sokół Milenium” zanurkował pod olbrzymim „Niewidzialnym Młotem”. Liczne myśliwce typu TIE blokowały im drogę, lecąc w ścisłym szyku i strzelając nieustannie. Han rzucił się prosto na nie z pełną prędkością. Chewbacca ryknął ostrzegawczo.

– Och, ależ, proszę pana... – wyjąkał Threepio.

– Widzę je – odparł Han. – Usuną się.

Myśliwce TIE utrzymywały swoje pozycje, wciąż plując ogniem. Przednie osłony „Sokoła” zaczynały słabnąć, lecz Han leciał naprzód. Luke i Leia wciąż strzelali na swych stanowiskach, strącając kolejne jednostki wroga.

– Hmmm, czy moglibyście się usunąć? – mruknął do siebie Han.

W ostatniej chwili myśliwce typu TIE rozstały się tak pośpiesznie, że dwa z nich zderzyły się ze sobą, a piloci innych stracili nad swoimi panowanie. „Sokół” przedarł się przez formację obronną i zanurzył się w atmosferę księżyca, nurkując w kierunku wierzchołków drzew.

Lecieli nad dżunglą. Fragmenty lasów stały w ogniu, ponad nimi unosiły się kłęby czarnego dymu. Tam, gdzie trafiły uderzenia z potężnych turbolaserów znajdujących się na orbicie, dżungla była zupełnie zniszczona.

Callista chwyciła Luke'a za ramię, gdy z chłopcym uśmiechem wyłaził ze swego stanowiska strzeleckiego.

– Minęło trochę czasu od chwili, gdy robiłem to ostatni raz. – Ale po sekundzie uśmiech zniknął z jego twarzy. – Akademia Jedi z pewnością jest atakowana. Musimy się tam dostać.

– Wiem – rzekła Callista. – Mówiłam już o tym Hanowi.

– Hej, przecież lecę tak szybko, jak mogę! – zawołał Han. Leia także dołączyła do nich. – Świetne

strzały, Leio – stwierdził Han.

Dwa myśliwce typu TIE pokazały się nad czubkami drzew, ostrzeliwując „Sokoła” z dwu stron.

– Ci faceci nigdy nie dają za wygraną, nieprawda? – mruknął Han. Odpalił jeden z pocisków z zapalnikiem udarowym prosto w jedną z atakujących maszyn. Myśliwiec TIE próbował zrobić unik, ale czujnik umieszczony w głowicy pocisku namierzył go. Pocisk trafił cel w sam środek i wybuchł, zamieniając imperialną jednostkę w nierozpoznawalny wrak.

Drugi myśliwiec typu TIE odbił w górę, poza zasięg broni „Sokoła”, najwidoczniej nie chcąc już dalej prowadzić walki. Poniżej roilo się od machin służących do szturmowania naziemnego: roboty zwiadowcze typu AT-ST i masywne latające fortece przedzierały się przez dżunglę, zmierzając ku wielkiej świątyni.

– Musimy sprawdzić, czy z uczniami wszystko w porządku – rzekł Luke.

Han rozejrzał się wokół.

– Może moglibyśmy zabrać ich wszystkich na pokład „Sokoła” i przetransportować w bezpieczne miejsce?

Luke spojrział na Hana ponuro.

– Myślę, że nie będziemy opuszczać Yavina Cztery – powiedział.

– Ale to szaleństwo, Luke'u! – sprzeciwił się Han.

– Zrozum – odparł Luke – jeśli to tylko kwestia przetrwania, to moi uczniowie Jedi zrobiliby lepiej rozdzielając się i zaszywając w dżungli, niż gdyby wszyscy weszli na pokład „Sokoła”. Nie ujmując nic twoim umiejętnościom pilotażu, Hanie sędzę, że gdybyśmy chcieli ewakuować wszystkich młodych Jedi za pomocą twego statku, to jeden celny strzał gwiazdowego supemiszczyca admirała Daali mógłby zabić niemal wszystkich rycerzy Jedi Nowej Republiki. To zbyt wielkie ryzyko. Będziemy walczyć tutaj. Wy możecie odlecieć i ściągnąć pomoc albo zostać i walczyć na powierzchni. Ale Jedi nie opuszczą tego miejsca.

– Dobrze, dobrze – odrzekł Han. – Przede wszystkim zorientujmy się, jaka jest sytuacja.

– No cóż, gdybym ja był proszony o opinię, to muszę powiedzieć, że wolałbym podjąć próbę ucieczki – odezwał się Threepio.

– Zamknij się, Threepio – powiedziała Leia.

– Jak to się dzieje, że nikt nigdy nie liczy się z moim zdaniem? – burknął złośliwy android.

Han posadził „Sokoła” obok imperialnego wahadłowca tkwiącego na lądowisku przed wielką świątynią. Na skraju dżungli spoczywał roztrzaskany robot typu AT-ST. W wielu miejscach widać było pożary lasów; nawet olbrzymia świątynia Massassów wyglądała jakoś inaczej, poczerniała od ataków z powietrza – choć samą jej strukturą była raczej nietknięta.

Luke miał nadzieję, że młodzi uczniowie Jedi albo schronili się wewnątrz piramidy, albo uciekli, by ukryć się w dżungli.

Rampa „Sokoła” opadła. Pierwsi opuścili statek Luke i Callista, po nich wyszli pośpiesznie Han, Leia i Chewie. Artoo stoczył się w dół, wydając z siebie dziwaczne, elektroniczne dźwięki. Threepio stał chwiejnie u szczytu rampy.

– Może powinniśmy zostać tutaj, Artoo, by pilnować statku – zaproponował. Ale mały astronawigacyjny robot w odpowiedzi na tę propozycję tylko wydał elektroniczny dźwięk przypominający prychnięcie.

Luke i Callista popędzili do świątyni. Ciężkie, horyzontalne drzwi naziemnego hangaru uniosły się nieco i pojawiła się w nich postać Kypa Durrona. W jego ramionach spoczywało poczerniałe ciało

martwego Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego. Na twarzy Callisty pojawił się grymas bólu, Luke westchnął ciężko.

Uczniowie Jedi zbliżyli się do statku.

– Tam było siedemnaście gwiazdnych niszczycieli – powiedział Kyp. – Zebraliśmy nasze siły, połączyliśmy się w Mocy. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy przewodził nam. Wziął całą energię na siebie. Pozbył się gwiazdnych niszczycieli – ale kosztowało go to życie.

Przy odgłosach ciężkich stąpanie i łamania drzew na polanę wyszedł imperialny robot kroczący, jego blasterowe działa nakierowały się na zebranych Jedi, ale zanim maszyna zdążyła wystrzelić, z jednego ze stanowisk strzelniczych „Sokoła” trysnęła ognista wiązka energii. Blasterowy strumień przeszył metalową głowę maszyny zwiadowczej typu AT-ST, pozostawiając w niej dymiącą dziurę dokładnie tam, gdzie siedział pilot robota.

Chwilę później na rampie „Sokoła” pojawił się podniecony Threepio.

– Zrobiłem to! O rety, widzieliście? Powiedziałem, że przypilnuję statku. O rety, zniszczyłem imperialny robot! Z całą pewnością nie miałem zamiaru... – Artoo podskakiwał triumfująco.

Callista zwróciła się do Kypa.

– Nie mamy teraz czasu, by opłakiwać śmierć Dorska Osiemdziesiątego Pierwszego – powiedziała.

– On był Jedi – rzekł Kyp. – Rycerzem Jedi.

– Wy wszyscy jesteście – odparł Luke. – Chodźcie, musimy bronić akademii.

Z dżungli dobiegały dźwięki następnych eksplozji, odgłosy trzaskania drzew i głośniejszej pracy silników, gdy maszyny szturmowe zbliżały się do głównego celu. Han dał znak Leii i Chewbacce.

– Chodźmy z powrotem do „Sokoła”, wyciągniemy stamtąd naszą broń.

Luke i Callista poszli w stronę pozostałych Jedi, gotowi stanąć razem z nimi do walki.

Rozdział 51

– Możemy się rozdzielić i uderzyć na siły imperialne – rzekł Luke do uczniów Jedi zebranych przed wielką świątynią.

Machiny szturmowe przedzierały się przez dżunglę, strzelając do wybranych celów. Artoo-Detoo potoczył się w stronę uchylonych drzwi wielkiej świątyni i po chwili zniknął w ciemnym wnętrzu pomieszczeń hangaru.

– Będą tu lada chwila – powiedział Luke. – Jeśli wszyscy rozproszymy się po dżungli, możemy atakować ich z zaskoczenia.

– Oni są znacznie liczniejsi niż my i dysponują zdecydowanie lepszą bronią zauważyła Tionna sceptycznie.

– Tak – odpowiedziała jej Kirana Ti – lecz potrafimy ukryć się znacznie lepiej niż oni.

– A poza tym – dodał Kam Solusar – jesteśmy rycerzami Jedi. Oni są jedynie żołnierzami Imperium.

Luke ucieszył się z ich wiary we własne siły.

– Callisto – powiedział – może powinnaś pójść razem z Hanem i Leią do „Sokoła”, gdzie byłabyś bezpieczniejsza.

Pokręciła głową, potrząsając jasnymi włosami.

– Nie, zostanę razem z tobą.

Uśmiechnął się łagodnie.

– W porządku, będę cię ochraniał. Trzymaj się tylko blisko mnie.

Rzuciła mu ponure spojrzenie, nagle przypominając sobie o swej niezdolności do używania Mocy, ale na jej twarzy malowała się determinacja. Callista wyjęła swój świetlny miecz. Luke włączył własną broń i pojawiło się zielono-żółte energetyczne ostrze. Kirana Ti trzymała stary miecz Gantorisa, którego ostrze jarzyło się jaskrawym, ametystowobiałym światłem. Swoją broń wyciągnął także Kyp. Niektórzy z młodszych Jedi wzięli kilka blasterów, które Kyp zabrał z porwanego imperialnego wahadłowca.

Luke uniósł miecz w górę.

– Rycerze Jedi – zawołał – niech Moc będzie z wami!

Uczniowie rozdzielili się i zniknęli w zaroślach.

Kirana Ti trzymała się blisko Streena. Gdy szła, wilgotne pnącza i gęste poskręcane łodygi owijały się wokół jej nóg. Pustelnik z Bospina był jej bliskim przyjacielem. Tworzyli osobliwą parę: Kobieta, wysoka i muskularna – wojowniczką nawet wówczas, kiedy nie posługiwała się Mocą; Streen zamknięty w sobie, pochłonięty myślami i lubiący samotność. Kirana Ti zaakceptowała go takim, jakim był. Wiedziała, że posiada wielką moc, która budziła się, gdy jej na to pozwalał. Razem stanowili solidny zespół.

Imperialne maszyny oblężnicze zmierzały w ich kierunku, kolejny oddział niezdarnych robotów przedzierał się przez zarośla. Maszyny niszczyły Masterami drzewa odstrzelając ciężkie konary, i wyrwały z korzeniami roślinność, która przyczepiała się do ich ciężkich łap.

– Nie starają się nawet zachowywać cicho – powiedziała Kirana Ti. – Zła taktyka. Zbyt pewność siebie.

– Jaki jest ich plan? – zapytał Streen gorączkowo. – Jaki jest nasz plan? Czy ktokolwiek ma jakiś plan? My powinniśmy.

Kirana Ti skryła się w cienistych gęstych krzakach, wciągając tam ze sobą Streena i nie spuszczać oka ze zbliżających się robotów krocących typu AT-ST. Na jej czole pojawiły się kropelki potu, które starła szybkim ruchem ręki. Chwyliła gładką rękojeść swego świetlnego miecza.

– Oddziały imperialne nie spodziewały się poważnego oporu ze strony garstki młodych Jedi, więc nie są dobrze zorganizowane. To po prostu bezmyślne natarcie z wielką ilością broni i bez planu.

– Bez planu – powtórzył Streen, kiwając głową.

Dwa roboty zwiadowcze typu AT-ST pokazały się na polanie. Zanim Kirana Ti zdołała go powstrzymać, Streen zerwał się na równe nogi.

– Ja się nimi zajmę – rzucił. Wyskoczył z krzaków, by stanąć naprzeciw dwóch maszyn o kanciastych metalowych łbach.

– Streenie! – krzyknęła. Obydwa transportery skierowały działka na starego pustelnika, lecz Streen podniósł pięści i wydał głośny okrzyk. Wypchnął przed siebie ręce, tworząc, przy użyciu Mocy, potężną ścianę wiatru.

Kirana Ti zdumiała szybkość, z jaką jej towarzysz skupił umysł na Mocy, powodując myślą dokładnie to, czego chciał. A może Streen w ogóle się nie koncentrował... i stąd wzięła się jego niezwykła siła.

Dwa pojazdy runęły na plecy, zupełnie jakby uderzyła je olbrzymia niewidzialna dłoń, przeturlały się po ziemi i rozpląszczyły na pniu jednego z pradawnych, olbrzymich drzew Massassów.

Streen złączył dłonie, rozcierając je.

– To tyle – powiedział i zerknął na Kirana Ti z przebiegłym uśmiechem.

Z dżungli wyłazł trzeci robot i tym razem Kirana Ti zareagowała błyskawicznie, włączając miecz świetlny i skacząc w kierunku dwunożnej, uzbrojonej maszyny. Machnęła lśniącem ametystowobiałym ostrzem i przecięła jedną z mechanicznych łap na wysokości przegubu. Transporter przechylił się na bok i Kirana Ti pośpiesznie odskoczyła.

Pilot maszyny wystrzelił z blasterowych działek, gdy maszyna już upadała, lecz zabójcze wiązki energii pomknęły daleko od celu, przesywając grube gałęzie drzew. Zwierzęta przyczajone w zaroślach zaczęły pośpiesznie uciekać, skrzecząc i pokrzykując.

Kirana Ti rozpruła opancerzoną pokrywę wjazdu imperialnego robota krocącego. Znajdujący się wewnątrz żołnierz próbował wydobyć się ze zniszczonej maszyny, sięgając po blasterowy pistolet – ale Kirana Ti pchnęła go połyskującym ostrzem. Krzyknął krótko i padł martwy, z dymiącą dziurą w piersi.

Kirana Ti wspięła się na kadłub powalonego robota typu AT-ST niczym wojownik, który pokonał właśnie potwora. Streen stał w miejscu, wpatrzony w dwie roztrzaskane przez siebie maszyny.

– To już trzy! – krzyknęła do niego Kirana Ti.

– Ile jeszcze zostało? – zapytał.

– Mnóstwo – odparła.

Kam Solusar, ze zwykłym u niego wyrazem dezaprobaty na twarzy, samotnie stał naprzeciw molocha. Był to stary, niezdatny pojazd szturmowy, nie używany już w większej części Imperium, choć spotykany gdzieś na planetach tworzących Odległe Rubieże. Solusar pamiętał te „zwaliste kłocę”, które wykorzystywano, by wzbudzić wśród walczących przeciw Imperium przerażenie, spowodowane raczej przez gigantyczne rozmiary jednostki niż jej skuteczność czy zręczność.

Moloch był olbrzymim czołgiem zaopatrzone w trzy ciężkie działa laserowe, dwa miotacze granatów i jedno działko blasterowe średniego kalibru. Każda z pięciu par kół znajdowała się na osobnej osi, dzięki czemu wehikuł mógł pokonywać trudny teren. Na obu końcach, z przodu i z tyłu, tkwiły kabiny dla pilotów, którzy mogli prowadzić pojazd w jedną lub drugą stronę, jako że wręcz niemożliwe było zawracanie tym metalowym monstrem.

Za przednią kabiną znajdowała się nie osłonięta wieżyczka obserwacyjna, gdzie najniższy stopniem szturmowiec wypatrywał wroga, stanowiąc pierwszorzędny cel. Ponieważ moloch był najmniej skomplikowaną machiną szturmową z tych, którymi dysponowało Imperium, Kam Solusar zakładał, że jego załoga nie składa się z najlepszych żołnierzy we flocie admirała Daali.

Był sam i nie uzbrojony: nie skonstruował jeszcze nowego miecza świetlnego, po części wzdrażając się przed tym, by znów posiadać tak niebezpieczną broń; wyrządził mnóstwo szkód, nim na jakiś czas odrzucił tę tradycję Jedi. Uznał, że większą ironią będzie, jeśli uda mu się skłonić żołnierzy Imperium do tego, by zniszczyli sami siebie, używając własnej broni. Nie potrafił wymyślić bardziej zadowolającego rozwiązania.

Używając Mocy, doświadczony wojownik wyczuł przez grubego durastalowego pancerz, że załoga składa się z ośmiu osób. Nie wykrył pośród nich żadnego wyjątkowo silnego czy charyzmatycznego oficera. Stanowili po prostu małą bandę słabych głupców... dokładnie tak, jak przypuszczał.

Nawet nie ruszył się ze swojego ukrycia za ogromnym, starym drzewem. Zamknął oczy i rozpoczął koncentrację.

Użył Mocy, by przesunąć lufy ciężkich laserowych dział molocha, obniżając je tak, by celowały w kadłub gigantycznego wehikułu. Lufy zaczęły dygotać, ich metal stawiał silny opór, gdy ustawiał je w pozycji, w jakiej normalnie nie mogły się znaleźć.

Wówczas wysłał krótki przekaz myślowy, pilny komunikat, który skierował do najsłabszego żołnierza, na jakiego trafił, zwykłego imperialnego strzelca, nie mającego nawet pojęcia, gdzie jest czy o co walczy.

– Strzelaj do wroga! – rozkazał mu Solusar.

Chwilę później strzelec wykonał rozkaz. Odpalił obydwie ciężkie działa laserowe, nastawione na maksymalną moc. Imperialny moloch eksplodował w ogniu swej własnej broni.

Kam Solusar rzucił się na ziemię, ale drzewo Massassów stanowiło dobrą osłonę przed odłamkami metalu. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Idioci – pomyślał, po czym ruszył na spotkanie następnego celu.

Horyzontalne drzwi prowadzące do hangarów wielkiej świątyni stały otworem słaby punkt warowni Jedi.

Pojedynczy transporter typu AT-ST minął opuszczony imperialny wahadłowiec, którym Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy wylądował nieopodal piramidy. Robot oddał kilka strzałów, osmalając

kamienne ściany świątyni, po czym ruszył przez lądowisko w stronę otwartego hangaru. Odczekał chwilę na zewnątrz, oświetlając reflektorami cichą i mroczną przestrzeń hangaru. Kilka jakichś gryzoni rozbiegło się, umykając przed światłem.

Dowódca maszyny, widocznie wciąż niepewny, wystrzelił dwukrotnie, posyłając wiązki energii do opustoszałego pomieszczenia. Laserowe promienie odbiły się rykoszetem od wewnętrznych ścian i rozpięzły się, powodując minimalne uszkodzenia kamiennych płyt. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, robot typu AT-ST podszedł bliżej. Bez wątplenia jego dowódca pomyślał, że może opanować siedzibę Jedi, kończąc tym samym oblężenie.

Gdy transporter znalazł się pod uniesionymi, ciężkimi drzwiami, ukrywający się w cieniu Artoo-Detoo ruszył, by uruchomić systemy zamykające.

Ciężka pancerna płyta, gruba na tyle, by powstrzymać ogień z ciężkich blasterowych dział, opadła z hukiem.

Poruszane hydraulicznymi tłokami wrota zmiażdżyły robota w jednej chwili, przygniatając go do kamiennej posadzki. Zbiorniki paliwa wybuchły, trysnęło chłodziwo, w górę buchnęły kłęby dymu. Korpus maszyny typu AT-ST leżał przy wejściu, nie do rozpoznania, jak spłaszczony wielkim młotem strzępy metalu.

Artoo pogwizdywał tryumfalnie, ponownie włączając systemy otwierania drzwi i podnosząc pancerną płytę. Zapadła cisza. Wewnątrz hangaru znów było ciemno i panował spokój, uchylone wrota jakby zapraszały do środka.

Artoo obserwował zalaną słońcem dżunglę, licząc na to, że uda się mu zwabić następnego wroga.

Gdy Kyp Durron pobiegł, by dołączyć do Hana Solo na pokładzie „Sokoła Milenium”, Callista ruszyła za Lukiem i Tionną, którzy wchodzili w dżunglę za wielką świątynią, gdzie gromadziły się większe siły Imperium.

Callista czuła, że znów opanowuje ją złość i bezradność. Luke nie chciał źle, jego słowa podyktowane były jedynie troską – lecz bezwiednie podkreślił fakt, że to on posiada zdolności Jedi i że ona sama bez niego jest bezradna.

– Będę cię ochraniał – powiedział.

Nie powinien tego mówić. Nie chciała, by Luke ją ochraniał. Musiała znaleźć jakiś sposób na to, by móc zadać przynajmniej tyle samo ciosów wrogowi co on. Musiała udowodnić, że mogą być równi sobie. W przeciwnym razie ich związek nie miał przyszłości.

Wyczuwała mroczną obecność ciemnej strony w głębokich pokładach swej świadomości, kuszącej ją, zachęcającej do oddania się ciemnym mocom, aby potem móc przejść na jasną stronę.

Ale ona wiedziała, że to kłamstwo. Trzymała miecz świetlny i biegła obok Luke'a, gdy przedzierali się przez płataninę łądyg i gąszcz purpurowych, koronkowych paproci.

Ciężkie maszyny szturmowe przebijały się przez dżunglę, zmierzając ku wielkiej świątyni. Luke nakazał towarzyszkom gestem, by szły za nim, ale Callista została w tyle. On i Tionną będą działać razem, łącząc swe zdolności w sposób, jaki dla niej był teraz obcy.

Callista doszła do przerażającego wniosku, że nie potrafi znaleźć metody na odzyskanie Mocy, ponieważ jest zbyt blisko Luke'a. Onieśmielał ją swymi zdolnościami, co wyolbrzymiało jej własne braki. Możliwe, że potrzebowała trochę czasu, by działać na swój sposób, bez złudzeń, bez konieczności odgrywania czegokolwiek przed Lukiem Skywalkerem. Tak osiągnęłaby wszystko to, co było możliwe do osiągnięcia. Ona i Luke byli ze sobą związani, połączeni umysłem i duchem – ale może ona powinna naprzód odnaleźć swą siłę, by móc potem przyłączyć ją do siły Luke'a.

Teraz, w samym sercu walk w dżungli, poczuła się bezradna i samotna. Była dla nich raczej ciężarem niż towarzyszem. Nie musiała udowadniać nic Luke'owi – ale chciała dowieść czegoś samej sobie.

– Zaczyna się – rzekł Luke. Jego uwaga skupiona była na Tionnie, gdy razem z nią, jako dwoje Jedi, przygotowywali się do starcia z imperialną machiną bojową. Gdy odwrócili uwagę od Callisty, dziewczyna postanowiła ułożyć własny plan.

Imperialna latająca forteca zbliżała się do nich, unosząc się kilka metrów nad ziemią, ponad powalonymi przez burzę wielkimi drzewami Massassów.

Luke dobrze rozpoznawał ogromną maszynę. Taktycznie przypominała duży imperialny robot typu AT-AT, lecz pozbawiony łap – jedynie uzbrojony korpus wyposażony w ciężką broń. Miała prostopadłościenny kształt z zaokrąglonymi rogami i dwa wielkie blasterowe działa na półkolistych wieżyczkach na górze. System rozpoznawania celów połączony był z czujnikami rozmieszczonymi na zewnętrznej powierzchni kadłuba. Maszyna buczała głośno i posuwała się naprzód pośród grubych konarów, niszcząc te gałęzie, które nie chciały jej przepuścić.

Pancerne płyty kadłuba nosiły ślady dawnych walk, były podrapane przez twarde gałęzie i poplamione roślinnymi sokami. Nieustępliwie posuwała się naprzód, ciężkie blasterowe działa poruszały się niczym sztywne czułki. Otrzymując sygnały z systemów rozpoznawania celów, maszyna strzelała ze swej straszliwej broni w każde leśne stworzenie, jakie znalazło się w pobliżu.

Luke skoncentrował się na uzbrojonym monstrum.

– Widzisz ten spiczasty kikot pnia drzewa? – szepnął do Tionny. – Kiedy forteca będzie przelatywała dokładnie nad nim...

Tionna skinęła głową. Czekali. Z niskim buczeniem repulsorów latająca forteca przesuwiała się nad obszarem pełnym powalonych prastarych drzew. Luke wpił się wzrokiem w ostro zakończony pień.

– Teraz! – zawołał.

Wspólnie używając Mocy, Luke i Tionna unieśli ciężki drewniany klocek, wbijając go niczym włócznię w dolną część kadłuba latającej fortecy. Maszyna zaczęła obracać się wokół własnej osi, z rykiem uszkodzonych silników. Jej blasterowe działa strzelały we wszystkie strony, podpalając drzewa wokoło – lecz wehikuł nie mógł się ruszyć.

– Tamto drzewo! – Luke wskazał na następny na poły zniszczony wielki pień, podtrzymywany przez splecione pnącza. Razem z Tionną wyciągnęli pień z gęstwiny, zrywając opasające go pnącza, po czym uderzyli nim z góry jak gigantycznym toporem. Tępy twardego drewna opadły na latającą fortecę, przygniatając ją do ziemi i miażdżąc kompletnie.

Luke i Tionna wyskoczyli z kryjówek i uścisnęli się.

– Widzisz, Callisto! – zawołał Luke. – Zajmiemy się nimi wszystkimi, jednym po drugim!

Jednak gdy się odwrócił, nie zobaczył jej nigdzie w pobliżu.

– Callisto! – zawołał, rozglądając się niespokojnie.

Tionna wypatrywała razem z nim, ale nie znaleźli żadnego śladu. W dżungli panował bezruch, a Callista nie odpowiadała. Dziewczyna była całkowicie nieprzejrzysta dla Mocy, dlatego nie mogli jej odnaleźć za pomocą swych zdolności Jedi. Luke nie potrafił wyczuć jej nieobecności, niezależnie od tego jak się starał.

– Callisto! – zawołał ponownie.

Ale ona zniknęła w gęstej dżungli.

Rozdział 52

PAS ASTEROID HOTH

Qwi Xux pochyliła się do przodu, wskazując przed siebie w momencie, gdy Wedge zaczął rozpoznawać zorganizowane skupisko światła na ich kursie. Miała lepszy wzrok i potrafiła dostrzec szczegóły, których on jeszcze nie widział.

– Dobrze, proszę o powiększenie – polecił.

Na ekranie zobaczyli długą, cylindryczną konstrukcję pośród różnych szczątków i niepotrzebnych, odrzuconych podzespołów. Broń Huttów wyglądała na ukończoną i gotową do akcji.

– Już ją zbudowali – szepnęła Qwi. – Mam nadzieję, że nie przybywamy zbyt późno.

– Więc to wszystko prawda – mruknął Wedge. – I Huttowie zdołali zajść tak daleko, bez naszej wiedzy. – Skinął zachmurzony na sternika. – Ale dalej już nie zajdą.

Z lecącymi obok trzema koreliańskimi korwetami „Yavaris” i „Dodonna” zaczęły zbliżać się do olbrzymiego Miecza Ciemności.

Bez zbędnych ceregieli strażnicy Durgi zabrali ciało Crixu Madine'a z mostka Miecza Ciemności.

Bevel Lemelisk z mieszanymi uczuciami przypatrywał się martwemu rebelianckiemu sabotażyście, nachodziły go dziesiątki sprzecznych myśli. Twarz Madine'a miała wyraz tryumfu, tak jakby Madine wiedział coś, czego Huttowie i Imperium nie byli w stanie zrozumieć i o czym nie mieli pojęcia. Lemelisk spoglądał na zwłoki także z pewną zazdrością, wiedząc, iż Madine przynajmniej nie musi się martwić, że zostanie przywrócony życiu, by znieść nowe tortury.

Kilka Taurillów rozbiegło się po mostku, przypatrując się całej ceremonii egzekucji z wielkim zaciekawieniem. Lemelisk odpędził je i małe stworzenia umknęły na wewnętrzne pokłady, tam gdzie reszta złożonego organizmu odpoczywała po skończonej pracy.

Rozparty na swej kwitującej platformie Hutt Durga wydawał komendy oszukańczemu Sulamarowi.

– Uruchomić silniki. Wyprowadzisz nas stąd. Teraz. Nie mogę się doczekać, byśmy wyruszyli w drogę.

– Ależ lordzie Durgo, nie potrafię... – zająknął się Sulamar.

– Wierzę w twoje umiejętności, Sulamarze. – Delikatnie potarł zielonym paluchem jeden z przycisków na sterowniku. – A może wolisz, żebym cię z tego zwolnił i wybrał kogoś innego?

– Nie trzeba, lordzie Durgo! – odparł pośpiesznie Sulamar i skupił się na panelach kontrolnych. – Doceniam pańskie zaufanie. Nie zawiodę pana.

– Dopilnuję, żeby tak było – odparł Durga. – Miecz Ciemności jest gotowy. Dość już czekałem. Rozpocznijmy nasz rajd przez galaktykę i zacznijmy wreszcie zbierać to, co się nam należy.

Słyszając te słowa, Bevel Lemelisk przerwał rozmyślenia i spojrzał na Hutta tak, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

– Chyba tak naprawdę nie zamierza pan użyć teraz tej broni, prawda? – rzekł. – Nie została jeszcze przetestowana. – Zaciął się. – Lordzie Durgo... musimy sprawdzić wszystkie podsystemy i...

Durga wydał z siebie głośny, prostacki dźwięk.

– Nonsens, główny inżynierze. Wykonałeś zadanie. Nie próbuj przedłużać swojej użyteczności. Moi pracownicy, Taurille, polegały całkowicie na twoich planach. Co mogło pójść źle? – Zrobił gest w stronę Sulamara. – Ruszaj, mówiłem ci. Wynosimy się.

Lemelisk nerwowo kręcił młynka palcami, spoglądając na innych członków załogi na mostku, uwięzionych na swoich fotelach-pułapkach. Nie wypowiedział tego głośno, ale miał złe przeczucia co do wykonania konstrukcji superbroni. Zbyt często zdarzały się takie rzeczy, jak dostarczenie przestarzałych, nieodpowiednich rdzeni komputerowych czy nabywanie złych materiałów po niskiej cenie.

Lemelisk zdawał sobie sprawę z tego, że skąpi Huttowie mieli obsesję na punkcie lokowania i wydawania swych pieniędzy, lecz Durga przyjmował niskie oferty częściej, niż pozwalały na to względy bezpieczeństwa. Może Huttowie zapomnieli o podstawowej zasadzie handlu – dostajesz to, za co płacisz, i nic więcej.

Lemelisk stopniowo zaczął wycofywać się w stronę turbowindy, gdy załoga na mostku zajęła się wykonywaniem swej pracy, przygotowując superbroń do jej dziewiczego lotu.

– Och, proszę mi wybaczyć, lordzie Durgo – powiedział Lemelisk. – Sądzę, że moje miejsce jest na dole, przy superlaserze. Sprawdzę, czy wszystko funkcjonuje właściwie.

Durga, podekscytowany i skupiony na końcowych przygotowaniach do startu, odprawił Lemeliska gestem. Lemelisk wślizgnął się do turbowindy i żołądek podszedł mu do gardła, gdy platforma gwałtownie ruszyła w dół. Poczul głód. Zastanawiał się, czy zdąży coś przegryźć... ale zdecydował, że nie może ryzykować opóźnienia. Miałby poważne kłopoty, gdyby Miecz Ciemności nie zadziałał właściwie, i nie miał zamiaru być w pobliżu Durgi, gdyby coś takiego stało się rzeczywiście.

Odegnął od siebie wątpliwości i zamiast pójść do pomieszczeń systemów kontroli superlasera, udał się na swoje prywatne lądowisko, gdzie natychmiast podszedł do małego inspekcyjnego skutera, którego używał przy doglądaniu końcowych prac nad wielką bronią.

Wszyscy na pokładzie Miecza Ciemności zostali wezwani na swoje stanowiska, więc płyta była pusta, oświetlona jedynie przez systemy rezerwowe. Lemelisk wdrapał się do kabiny skutera, usadawiając się z trudem w fotelu. Ciasna kabina wciąż przeraźliwie cuchnęła i Lemelisk żałował, że nie rozkazał Taurillom, by wyczyścili tapicerkę – ale teraz było już za późno.

Przypiął się pasami i uruchomił niewielką maszynę. Przeleciał przez obszar, w którym była jeszcze atmosfera, po czym zaczął oddalać się od olbrzymiej superbroni.

Bevel Lemelisk zaryzykował ucieczkę w pustą przestrzeń kosmiczną.

Rozdział 53

– Stacja bojowa! – krzyknął Wedge Antilles.

– Broń Hurtów porusza się – oświadczył oficer taktyczny, gdy cylindryczny olbrzym uruchomił silniki, których ogień przypominał światło wybuchającej gwiazdy.

– Jest wielka – szepnęła Qwi. – Teraz rozumiem, co zrobili – pozbyli się dodatkowej nadbudowy i skierowali całą moc bezpośrednio do superlasera. Tabronjest chyba znacznie bardziej zwinna niż Gwiazda Śmierci, powinna też szybciej się ładować i dzięki temu strzelać częściej.

– Nie możemy pozwolić, by uciekli – rzekł Wedge.

– Złe wieści, panie generale – odezwał się porucznik odpowiedzialny za nadzorowanie wskazań czujników, mężczyzna o oczach osadzonych blisko siebie i wydatnym nosie. – Straciliśmy... straciliśmy sygnał nadajnika generała Madine'a.

Wiadomość wstrząsnęła generałem.

– O nie... – szepnął.

Qwi nie zrozumiała.

– Ale znaleźliśmy broń – powiedziała. – Niepotrzebny nam już dłużej ten nadajnik, czyż nie?

Głos Wedge'abyl zachrypnięty. Generał zamierzał odpowiedzieć tylko jej, lecz na mostku panowała taka cisza, że słyszeli to wszyscy.

– Ten nadajnik jest u Madine'a podłączony do systemu śledzenia procesów życiowych. Jeśli przestał działać, to znaczy, że...

Usiadł prosto, gwałtownym ruchem wskazując przed siebie.

– Przesłać pełną moc do uzbrojenia. Nie pozwolimy im uciec. „Yavaris” i „Dodonna” zejda w dół lotem nurkowym. Koreliańskie korwety wezmą na cel główne silniki, by zatrzymać stację. – Zaciśnął zęby. – Tym razem Huttowie zadarli nie z tym, z kim trzeba.

Na mostku Miecza Ciemności devaroniański dowódca oddziału rozpoznawczego krzyknął na alarm. Przechylił rogatą głowę w stronę Hutta Durgi.

– Lordzie Durgo, zbliża się rebeliancka flota! Szykujbroń do oddania strzałów.

– Co takiego? – Durga aż podskoczył, wytrzeszczając oczy. – Jak nas znaleźli? zapytał i zwrócił się do Sulamara: – Przyszedł moment, by sprawdzić twoje umiejętności pilotażu.

Silniki uruchomiono ponownie i Miecz Ciemności ruszył, nabierając prędkości. Kadłub zadrżał, gdy olbrzymia stacja zaczynała się rozpędzać. Durga zaśmiał się radośnie, widząc, jak wspaniale działa jego superbroń.

Gdzieś głęboko w sercu giganta rozległ się głośny zgrzyt dochodzący z silników, po nim nastąpił dziwny huk.

Durga rozglądał się wokół, zakłopotany. Sulamar skupiał się na pilotażu, zagryzając wargi i

udając, że nie słyszał nic niezwykłego. Po jego skroniach ściekał pot. Dziwny dźwięk ucichł, więc Durga zdecydował go zignorować.

– Naładować superlaser – polecił zbrodniczy lord. – Gdy przyjdzie odpowiednia chwila, musimy być gotowi do strzału. Zamienimy rebeliancka flotę w pył.

Flota Nowej Republiki ruszyła w ślad za Mieczem Ciemności, który przedzierał się pośród dryfujących brył pasa asteroid. Osłony rozbłyskiwały jasnym światłem, gdy dezintegrowały małe odłamki skał. Jednak kilka większych głazów przedarło się, uderzając o kadłub „Yavaris”.

– Ta broń Hurtów jest jak olbrzymi taran roztrzaskujący głazy – rzekł Wedge.

Jedna z koreliańskich korwet, uderzona z boku przez spory meteoryt, została w tyle. Kapitan przesłał Wedge'owi wiadomość, że silniki statku uległy uszkodzeniu, ale w jego kadłubie wciąż utrzymuje się atmosfera.

– Żadnych strat załogi – mówił kapitan – lecz naprawianie uszkodzeń zajmie trochę czasu. Dopadnijcie Hurtów za nas, panie generale.

Wedge skinął głową.

– Postaramy się.

– Zmierzają do najbardziej zagęszczonego rejonu pasa asteroid, generale Antillesie – oznajmił nawigator, z twarzą wręcz białą z napięcia.

– Więc udamy się tam za nimi – odpowiedział Wedge.

Fregata szturmowa otworzyła ogień turbolaserowy, roztrzaskując jakąś asteroidę pędzącą w ich kierunku. „Yavaris” przeleciał przez chmurę kamiennego pyłu, który nie spowodował żadnych uszkodzeń.

– Dzięki, „Dodonna” – rzekł Wedge.

Gdy zbliżyli się do superbroni Huttów na odpowiednią odległość, Wedge rozkazał, by wszystkie jednostki otworzyły ogień.

Pas asteroid stawał się coraz bardziej zagęszczony. Sulamar pracował rozpaczliwie, próbując utrzymać Miecz Ciemności w ruchu, w linii prostej. To było wręcz niemożliwe, a z drugiej strony Durga zbyt długo już trzymał paluch na przycisku sterownika połączonego z fotelem Sulamara.

– Nie jestem w stanie dalej prowadzić nawigacji, lordzie Durgo – oświadczył Sulamar. – To najbardziej niebezpieczna część pasa asteroid. Żaden z naszych statków zwiadowczych nigdy nie śmiał zapuszczać się tutaj.

– Więc Rebelianci będą się bali wlecieć tu za nami – odparł Durga.

– Proszę po prostu spojrzeć, Durgo! – krzyknął Sulamar, wskazując na skalne odłamki wielkości księżyców, zwarte niczym zęby bestii wielkiej jak planeta.

– Czy mam wybrać innego pilota? – zapytał Hutt.

– Nie, lordzie Durgo – odparł zirytowany Sulamar.

Hutt skinął głową.

– Nasz superlaser jest naładowany. Nie mamy się czym martwić.

Sulamar przełknął ciężko ślinę – on naprawdę miał się czym martwić...

Flota rebeliancka zbliżyła się, otwierając ogień ze wszystkiej broni, jaką posiadała. Pojedynczy strzał był niegroźny, lecz setki turbolaserowych wiązek uderzających w Miecz Ciemności spowodowały uszkodzenia jego kadłuba i przeróżnych podzespołów. Niepokojące odgłosy z głębi silników rozległy się ponownie, tym razem głośniejsze.

Miecz Ciemności nie posiadał żadnych systemów chroniących zewnętrzną powierzchnię kadłuba, nie miał turbolaserowych wieżyczek ani eskadr myśliwców typu TIE, które mógłby wypuścić na Rebeliantów. Kilka większych asteroid uderzyło z boku w kadłub superbroni – lecz zdeterminowany Sulamar leciał dalej. Durga z pewnością ukarze go za wszystkie błędy... jeśli uda się im przeżyć.

Fałszywy generał spojrział na tor lotu i zobaczył coś koszmarnego. Miecz Ciemności posuwał się naprzód zbyt szybko, by można nim skutecznie manewrować. Głęboko w środku stacji bojowej znów rozległy się jakieś przerażające zgrzyty.

Dwie największe asteroidy, jakie kiedykolwiek widział, zawirowały przed nimi wokół własnych osi, łącząc się, niczym gigantyczne granitowe szczęki oczekujące żeru. Sulamar zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdołają uniknąć zderzenia z nimi, lecąc z tak dużą prędkością. Zamknął oczy.

Durga podniósł ręce.

– Zmiećcie te asteroidy z naszej drogi – rzucił arogancko. – Włączyć superlaser!

Sulamarowi drżał palec, gdy dotykał spustu, ale nie mógł się długo wahać. Mknęli prosto na asteroidy. Wcisnął przycisk i zasłonił oczy przed oślepiającym blaskiem potężnego promienia energii.

– Włączam, panie!

Lecz zamiast oślepiającej wiązki, mającej zniszczyć wszystko, co stanęłoby jej na drodze, z superlasera dobył się jedynie głośny odgłos przypominający spuszczenie pary.

– O nie! – zawył Sulamar. Wcisnął przycisk jeszcze raz, i jeszcze raz – ale Miecz Ciemności po prostu nie strzelał.

Dwie wielkie asteroidy zderzyły się, miażdżąc superbroń Hurtów, która znalazła się dokładnie pomiędzy nimi. Miecz Ciemności został zniszczony w ułamku sekundy, stając się jeszcze jednym kosmicznym śmieciem, który po wieczność miał dryfować w pasie asteroid Hoth.

Rozdział 54

YAVIN CZTERY

Głos Luke'a Skywalkera rozlegał się w gęstej dżungli, mieszając się z odgłosami walki. Callista stanęła przez moment niezdecydowana. Nie powinna go opuszczać – ale musiała. Był tylko jeden sposób... jeśli tylko starczy jej odwagi.

– Callista! – zabrzmiało znowu, ale ruszyła dalej przez zarośla, nie oglądając się za siebie.

Niebo przeszył turbolaserowy strzał, zostawiając za sobą ślad, gdy „Niewidzialny Młot” admirał Daali po raz kolejny uderzał w Yavina Cztery.

Callista spojrzała w górę i zobaczyła następną wiązkę energii. Gwiezdny superniszczyciel jednym strzałem zniszczył cały akr wiekowego lasu. Jeden celny strzał mógł zburzyć wielką świątynię...

Z tego, co mówił K.yp Durron, Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy przepędził całą imperialną flotę, siedemnaście gwiazdnych niszczycieli odrzucił poza obszar bitwy. Młodzi Jedi byłiby teraz bezpieczni, gdyby nie zjawienie się gwiazdznego superniszczyciela. Prawdziwy wróg pozostawał na orbicie, poza zasięgiem.

Callista odgarnęła kolczaste gałązki, czekając na dobrą okazję. Dalej, pośród powalonych drzew, połamanych konarów i rozoranej ziemi, tkwił strącony bombowiec typu TIE, maszyna zaopatrzona w podwójną kabinę, jedną dla pilota i drugą przeznaczoną dla pocisków udarowych. Jednostka była uszkodzona, komory silników częściowo zgniecione, tak jakby zostały uderzone jakimś dużym kamieniem.

Pilot bombowca typu TIE miał na sobie nieprzezroczysty czarny hełm i czarny skafander lotniczy, który wydawał się niewygodny i niezdatny; mężczyzna pracował sam, pośpiesznie. Wyprostowywał pokrywę komory silnika za pomocą podręcznych narzędzi i za każdym razem, gdy coś poprawił, sprawdzał silniki.

Callista skorzystała z tej okazji, by zrealizować swój plan niespodziewanego uderzenia na Daalę. Nie miała już zdolności Jedi i uzbrojona była jedynie w miecz świetlny – ale wiedziała, że starczy jej sił, by usunąć gwiazdny superniszczyciel. Na niej jednej spoczywała cała odpowiedzialność i nie miała innego wyboru, jak podjąć próbę nierównej walki.

Poruszając się bezgłośnie, ze sprawnością, jaką uzyskała dzięki treningowi, Callista wyszła zza ciemnego krzaka i pobięła w kierunku pilota, w chwili gdy ten kolejny raz wdrapywał się na swą maszynę.

Jednak musiał jakoś dostrzec jej ruch poprzez szybę swego hełmu, przez co Callista straciła element zaskoczenia. Odwrócił się i dziewczyna stwierdziła, że widzi niewyraźne odbicie swojej sylwetki na czarnej plastali jego hełmu.

Zareagował bardzo szybko, wyciągając blaster z kabury na biodrze. Callista nie zatrzymała się; nabierając jeszcze prędkości wyciągnęła gładkim ruchem miecz i wcisnęła przycisk aktywacji.

Topazowe ostrze z sykiem wystrzeliło z rękojeści, przyciągając wzrok pilota maszyny typu TIE, i odcięło jego rękę, ubraną w czarną rękawicę. Zanim mężczyzna zdołał krzyknąć z bólu, Callista cięła go przez pierś.

Wyłączyła miecz świetlny i pośpiesznie zrzuciła ciało z naprawionego bombowca, po czym wdrapała się na górę i przez właz wskoczyła do ciasnej kabiny.

Głos Luke'a docierał do niej poprzez las, nieco stłumiony, jak wołanie ducha. Ale zmusiła się, by go nie słuchać. Poznała własną słabość, obserwując rycerzy Jedi walczących razem – ale ona nie należała już do ich wspólnoty. Zdecydowała, że będzie walczyć inaczej, na swój sposób – i w ten sposób odniosą wspólne zwycięstwo.

Zatrzasnęła właz. Kabina była ciasna, cuchnęła starymi smarami i zleżałymi skafandrami. Ale Callista nie dbała o to.

Z łatwością zapoznała się z urządzeniami sterowniczymi. Imperium nie traciło czasu czy energii na modyfikacje systemów kontrolnych i bombowiec typu TIE wciąż funkcjonował w ten sam sposób, w jaki maszyny te działały dziesiątki lat wcześniej, kiedy Callista uczyła się latać.

Ciemny statek podniósł się powoli, gdy tylko rozgrzały się jego silniki. Wzbijając się w niebo, Callista mogła dostrzec długą bruzdę, wypaloną w dżungli przez spadającą maszynę.

Podwójne silniki jonowe ryknęły nieco głośniej i bombowiec typu TIE wzbił się wyżej, tam gdzie atmosfera stawała się coraz rzadsza – i potem w kierunku „Niewidzialnego Młota”.

– Przepraszam, Luke'u – szepnęła Callista, lecąc po swym kursie.

Wrogi statek wisiał powyżej, całkowicie czarny, jak z koszmarnego snu, i tak ogromny, że Callista miała trudności z określeniem rozmiarów kolosa. Niewiele wiedziała o jego wewnętrznej konfiguracji, choć swego czasu przeglądała plany statku flagowego Dartha Vadera, „Egzekutora”. Zdawała sobie sprawę, że gwiazdny superniszczyciel – kolosalnie drogi i nieporęczny, pomimo korzyści, płynących z jego olbrzymiego uzbrojenia – miał bardzo mało słabych punktów.

Musiała się jakoś dostać na pokład.

Silniki bombowca nie były w pełni sprawne, lecz Callista pędziła w kierunku „Niewidzialnego Młota” z całą prędkością, do jakiej mogła je zmusić. Gorączkowo próbowała znaleźć jakąś skuteczną wymówkę, aby uzyskać zgodę na lądowanie w którymś z wewnętrznych lądowisk. Jako kobiecie nie było jej łatwo udawać pilota bombowca typu TIE; musiała mówić przez komunikator grubym, przytłumionym głosem.

Inne jednostki typu TIE mknęły przez przestrzeń. Przewaga admirał Daali nad Yavinem Cztery wydawała się oczywista, i mogła ona siedzieć wygodnie w fotelu i wysyłać do akcji kolejne niszczycielskie oddziały, nie narażając przy tym życia.

Callista szczerze zdziwiła się, gdy usłyszała w głośnikach głos kobiety, kierującej ruchami jednostek, która poprosiła ją o identyfikację i określenie statusu. Kobieta! Callista nigdy nie słyszała, by Imperium umieszczało kobiety wśród personelu swych statków; sama admirał Daala musiała zmienić ten stan rzeczy. Callista przełknęła ślinę i pochyliła się, by odpowiedzieć. Specjalnie nastawiła komunikator tak, by jej głos nie był wyraźny.

– Zgłasza się bombowiec TIE numer... – pokręciła gąbką, by wprowadzić szumy w chwili, gdy powinna podać numer, po czym ponownie wyłączyła sygnał zakłócający ...poważne uszkodzenia. Wszystkie nasze gwiazdne niszczyciele zniknęły. Rycerze Jedi zrobili coś dziwnego i cała flota... przepadła. Nie ma żadnych śladów jej obecności.

– Bombowiec TIE – odpowiedziała kontrolerka ruchu powietrznego – proszę powtórzyć. Więcej szczegółów. Proszę podać dokładniejsze sprawozdanie z przebiegu bitwy.

– Większość naziemnych sił szturmowych została zniszczona – odpowiedziała Callista. – Rycerze Jedi stawili nam niezwykle opór, znacznie poważniejszy, niż się spodziewaliśmy. Straty są poważne. Ja zdołałem uciec, lecz moje silniki są uszkodzone. Potrzebuję miejsca do lądowania już teraz. – Callista przekreśliła gałkę, dokładając kilka sekund elektromagnetycznych zakłóceń, by wyrzucić lepsze wrażenie.

– Proszę określić rozmiar uszkodzeń – powiedziała jej rozmówczyni.

– Silniki wysiadają – odparła Callista. – Mam uszkodzone panele kontrolne. Sądzę, że nastąpił wyciek chłodziwa lub wyciek z reaktora... nie mam pewności. Sugeruję, bym mógł wylądować na osobnym lądowisku. Proszę ewakuować stamtąd wszystkich i zabezpieczyć miejsce, na wypadek gdyby coś poszło źle. Sprawdzę, czy nastąpił wyciek i zdam raport.

– Zgoda, bombowiec TIE – odparła kobieta. – Czekamy na twoje sprawozdanie z bitwy o Yavina Cztery.

Callista uśmiechnęła się, ale odezwała się szorstko:

– Przyjąłem.

Podryfowała w kierunku gwiazdnego superniszczyciela i w końcu kobieta nadzorująca ruchy statków dała jej instrukcje, gdzie ma wylądować.

Rufowe lądowisko dla bombowców było ogromne, choć jego wrota stanowiły jedynie małą, niewyraźną kropkę na olbrzymim kadłubie „Niewidzialnego Młota”.

Callista poprowadziła swój skradziony statek do środka i z radością spostrzegła, że znalazła się w hangarze, w którym była już cała eskadra bombowców typu TIE. Widocznie pani admirał Daala nie zamierzała użyć na razie tej właśnie eskadry, zadowolając się oddawaniem śmiercionośnych strzałów z turbolaserów. Cały personel hangaru został ewakuowany na wypadek, gdyby rzeczywiście istniał niebezpieczny wyciek na pokładzie maszyny Callisty.

Wylądowała w przestronnym pomieszczeniu wypełnionym rzędami bombowców typu TIE, z których każdy załadowano po brzegi zasobnikami z pociskami udarowymi. Callista uśmiechnęła się. Nie mogła spodziewać się niczego lepszego.

Rozdział 55

Silniki „Sokoła” ryknęły, gdy Chewbacca zasiadł w fotelu drugiego pilota i chwycił stery, by poderwać statek. Leia przypinała się pasami, podczas gdy Han Solo stał jeszcze na rampie dając znaki Kypowi Durronowi, by się pośpieszył.

– Jeśli lecisz z nami – ruszaj się! Z pokładu „Sokoła” możemy przynajmniej ubezpieczać ich z góry.

Hanowi krajało się serce, gdy patrzył na młodego Jedi... tyle ostatnio przeszedł... Wydawał się zupełnie bezradny bez swego towarzysza, który zginął wchłaniając zbyt dużą dawkę energii w kontakcie z Mocą. Z ponurym wyrazem twarzy Kyp zerknął jeszcze raz na dżunglę i świątynię, po czym pobiegł do „Sokoła”.

– W górę, Chewie! – zawołał Han.

Podniecony Threepio stał za nimi.

– O rety! Nie zamierza pan prosić mnie, bym znowu obsługiwał działą, prawda?

Han opadł na fotel pilota i zapiął pasy.

– Nie wiem, złota sztabo. Moglibyśmy jeszcze zrobić z ciebie komandosa.

– Dziękuję, proszę pana, ale tego nie ma w moim programie.

Han zignorował androida i uruchomił akceleratory.

– Ruszamy. Jest parę osób, którymi trzeba się zaopiekować.

– Ja zajmę jedno ze stanowisk strzelniczych – zaproponował Kyp.

Han kiwnął głową, zgadzając się.

– Rozgość się – rzekł i zwrócił się do żony: – Czy masz ochotę znów się nieco popisywać, Leio?

Uśmiechnęła się.

– Jako przywódczyni nieczęsto mam okazję wziąć udział w bezpośredniej akcji. Gdyby byli z nami członkowie rady Nowej Republiki, odbywałaby się teraz narada na temat tego, który przycisk nacisnąć, by strzelić z działą.

„Sokół” oddalił się od wielkiej świątyni, jego rozgrzane do białości silniki podświetlne huczały niczym przeciągły grzmot. Han śledził linie ognia nad dżunglą poniżej i w końcu dostrzegł ruchy ciężkich machin bojowych. Pośród gęsto porastających teren drzew przesuwały się roboty, molochy, latające fortece i inne pojazdy szturmowe.

Na stanowiskach strzelniczych Leia i Kyp otworzyli ogień, ale zbite i splątane gałęzie drzew utrudniały im celowanie.

– Chewie – odezwał się Han, pokazując poprzez szybę sterowni – widzisz tę latającą fortecę tam w dole, pomiędzy konarami? – Chewbacca mruknął potakująco. Spuśćmy pocisk udarowy na jej łeb.

Chewbacca odpalił jeden z pocisków, który przedarł się przez gałęzie i eksplodował w dole. Przez gęstwinę drzew Han dostrzegł jedynie wrak tam, gdzie przed chwilą tkwiła latająca forteca. Chewbacca wydał z siebie sapiący dźwięk, który był u Wookiech oznaką radości.

– Mamy towarzystwo! – krzyknęła Leia.

– Widzę ich – odparł Kyp i po chwili obydwaj działka zaczęły strzelać. Eskadra myśliwców typu TIE przemykała powyżej – nie wiadomo, czy były to resztki sił Pellaeona, czy nowa grupa wysłana przez Daalę.

– Takie cele bardziej mi odpowiadają – stwierdził Han i przejął inicjatywę, ruszając wprost na nadciągającą małą flotę.

Chewbacca jęknął strapiony, a Threepio zasłonił złocistymi rękami czujniki optyczne. Raz jeszcze taktyka Hana okazała się skuteczna i myśliwce typu TIE usunęły się z drogi, strzelając rozpaczliwie.

Han był rozczarowany widząc, że ich umiejętności manewrowania poprawiły się na tyle, że myśliwce nie zderzyły się ze sobą. Kyp i Leia skoncentrowali ogień na jednostce prowadzącej; oboje krzyknęli tryumfalnie, gdy maszyna eksplodowała, próbując uciekać.

Zyskując przewagę dzięki swej taktyce, Han ruszył w pościg za umykającą eskadrą myśliwców TIE. Zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim zorientują się, że mają tylko jednego przeciwnika i znacznie więcej broni niż on.

Nagle atmosferę przeciął strumień ognia. Potężna turbolaserowa wiązka z orbity trafiła w jeden z myśliwców typu TIE i rozpyliła go na atomy. Fala uderzeniowa dosięgła „Sokoła”, zmuszając Hana i Chewbaccę do rozpaczliwego manewru. Han podciągnął swój statek w górę, zrobił pętlę i pomknął w odwrotnym kierunku. Ocalałe myśliwce TIE leciały beładnie, ich piloci stracili kontrolę nad maszynami. Zgubili szyk i stracili zupełnie orientację.

W oddali uderzył o ziemię kolejny strumień turbolaserowej energii, podpalając kilometry dżungli.

– To Daala – rzekł Han, kręcąc głową z niesmakiem. – Ona nawet nie wie, do czego strzela.

Kyp opuścił swoje stanowisko. Widząc malujące się na jego twarzy zdecydowanie, Han wzdrygnął się.

– Admirał Daala jest nam coś dłużna, Hanie. – Kyp odwrócił wzrok. – Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy poświęcił się, by uwolnić nas od pierwszej imperialnej floty. Gdyby nie Daala, wszyscy bylibyśmy teraz bezpieczni. Ona jest celem, na który chcę uderzyć.

Threepio wstał oburzony.

– Ależ proszę pana, to byłoby całkowicie irracjonalne posunięcie. „Sokół Milenium” nie może się mierzyć z czymś w rodzaju gwiazdnego superniszczyciela.

– Jesteś szalony, chłopcze – dodał niepewnie Han.

Kyp wzruszył ramionami.

– Po prostu zdecydowany – a zazwyczaj to stanowiło moją przewagę.

Chewbacca też miał pewne zastrzeżenia, ale Kyp kucnął obok Hana.

– Zanim przybyłem na Yavin Cztery, razem z Dorskiem Osiemdziesiątym Pierwszym wysłaliśmy komunikat do floty Nowej Republiki. Posiłki powinny być w drodze. Nie wiem, jak długo im to zajmie, ale nie możemy pozwolić Daali, by zniszczyła tu wszystko, zanim oni przybędą.

Han przypomniał sobie, jak Daala uwięziła go na krześle tortur na pokładzie jej gwiazdnego niszczyciela „Gorgona”.

– Niech będzie, jak chcesz, chłopcze – odpowiedział powoli. – To jest coś jak wielka gra w sabaka, więc wyrzucmy wszystkie karty na stół i miejmy nadzieję, że Daala nie zorientuje się, iż blefujemy.

„Sokół” pomknął przez zewnętrzne warstwy atmosfery, kierując się ku mrokom przestworzy, których większą część wypełniała ogromna planeta Yavin, przywodząca na myśl gigantyczne oko

przypatrujące się bitwie. „Niewidzialny Młot” królował nad małym zielonym księżycem jak mroczne miasto zawieszona w przestrzeni, najeżone zabójczą bronią.

– Dalej, Chewie – rozkazał Han. „Sokół” pomknął naprzód, nabierając prędkości i lecąc prosto na „Niewidzialny Młot”.

Leia zeszła ze swego stanowiska i stanęła obok Kypa i Hana.

– Nie wiem zupełnie, co wy robicie, ale mam nadzieję, że macie jakiś plan? powiedziała.

– Plan? – odparł Han, unosząc brwi. – Po prostu próbuję przyciągnąć uwagę Daali.

W pobliżu frontu gwiazdnego superniszczyciela zaroilo się od myśliwców typu TIE, ale „Sokół” nadleciał tak szybko, że nawet nie zdążyły się ustawić i wziąć go na cel. Han włączył komunikator.

– Witam, pani admirał Daalo! Han Solo z tej strony, razem z przyjacielem Kypem Durrone. Może nas pamiętasz?

W parę sekund „Niewidzialny Młot” przestał ostrzeliwać dżunglę poniżej i zamiast tego zaczął mierzyć w „Sokoła”.

– Wyośmy się, Chewie! – krzyknął Han. Usiadł głębiej w fotelu, gdy błyskawicznie uruchomione akceleratory zabrały ich z okolicy „Niewidzialnego Młota”.

– To było naprawdę mądre – powiedziała Leia.

– Przynajmniej ściągęliśmy na siebie jej uwagę – odpowiedział Han. – Nie wspominając o tym, że na parę minut przestała ostrzeliwać akademię Jedi.

Na gwiazdnym superniszczycielu otworzyły się wrota dziobowych hangarów, wysypały się z nich cztery eskadry myśliwców typu TIE i ruszyły w pościg za „Sokołem Milenium”.

– Mam nadzieję, że nasze osłony są dość silne – rzekła Leia.

Myśliwce TIE zbliżały się, strzelając bez przerwy. „Sokół” kołysał się na boki, uderzany nieskończenie długimi seriami laserowych promieni rozbijającymi się opola osłon. Zaniepokojony Han zerknął na wykresy poziomu energii. „Sokół” leciał z pełną prędkością, a jego osłony słabły w zastraszającym tempie – i myśliwce wciąż się zbliżały.

– Proszę pana – odezwał się Threepio – według moich szacunków jest za nami dwieście osiemnaście myśliwców typu TIE, każdy z nich wyposażony w dwa laserowe działa. To daje przewidywaną całkowitą liczbę strzałów...

– Nie chcę wiedzieć, Threepio. Robimy, co możemy.

– Chciałem jedynie powiedzieć – ciągnął Threepio – że statystycznie rzecz biorąc nie możemy raczej liczyć, iż...

– Threepio! – przerwała mu Leia. – Myślę, że każdy sam potrafi dojść do wniosków.

W tym momencie z boku rozbłysnęła niespodziewana salwa, uderzając w rój myśliwców typu TIE i rozbijając ich szyki.

– Co to takiego? – spytał Han.

Chewbacca zaryczał zadowolony, a Kyp się uśmiechnął.

– To nasze wsparcie – odrzekł.

W systemie pojawił się „Galaktyczny Wędrowiec” admirała Ackbara, z czterema koreliańskimi kanonierkami na flankach. Kalamariański gwiazdny krążownik przeszył skupisko myśliwców TIE, niszcząc połowę z nich za jednym zamachem. Koreliańskie kanonierki, specjalnie przystosowane do walki z myśliwcami, utworzyły sieć ognia, gdy niezależni strzelcy wzięli w krzyżowy ogień wrogie jednostki. Kilka ocalałych myśliwców typu TIE rozpaczliwie uciekło w kierunku „Niewidzialnego Młota”, a ich podwójne silniki jonowe pracowały pełną mocą.

W komunikatorze rozległ się głos Ackbara:

- Generale Solo, czy to pan? Wygląda na to, że przydała się panu mała pomoc.
- Admirale Ackbarze, miło pana widzieć! – odparł Han.
- Proponuję, żebyście schronili się na pokładzie „Galaktycznego Wędrowca” rzekł Ackbar.
- O, uważam, że to wspaniały pomysł – wtrącił Threepio.
- Zrobimy tak, admirale – odpowiedział Han, a Leia przejęła komunikator.
- Admirale Ackbarze, z pewnością widzi pan, co się dzieje w dole, przy akademii Jedi. Luke i jego uczniowie potrzebują naszej pomocy, ale nie wiem, czy jest pan w stanie zaatakować gwiazdny superniszczyciel Daali.

Ackbar wydał z siebie gniewny pomruk.

- Nigdy nie przebaczę admirał Daali tego, że zniszczyła moją piękną rodzimą planetę.

Kyp pokręcił głową, uśmiechając się ironicznie.

- Daala nie jest zbyt dobra, jeśli chodzi o zawiązywanie przyjaźni, prawda?

„Sokół” skrył się w bezpiecznym hangarze gwiazdowego krążownika Ackbara dokładnie w chwili, gdy Daala zaczęła ostrzeliwać kalamariański okręt wojenny. Cztery koreliańskie kanonierki dalej oczyszczały przestworza z myśliwców typu TIE. „Niewidzialny Młot” przewyższał jednak ich łączne siły...

– Reszta floty Nowej Republiki wkrótce do nas dołączy – oznajmił Ackbar, gdy Han, Leia, Chewbacca i Kyp dotarli na mostek „Galaktycznego Wędrowca”. Threepio natknął się na innego protokolarnego androida i zajął się opowiadaniem mu o swych przygodach.

– Imperium przypuściło atak na różne ośrodki Nowej Republiki – ciągnął Ackbar. Generał Antilles zabrał swoje skrzydło floty, by odpowiedzieć na rozpaczliwy sygnał generała Madine'a. Sądzimy, że Madine trafił na tajną broń Huttów – wciąż otrzymujemy informacje o imperialnych atakach na ważne strategiczne cele.

- Musimy powstrzymać ich tu i teraz – powiedział Kyp.

– Powstrzymamy – odparła Leia i spojrzała na Hana i Ackbara. – Ten gwiazdny superniszczyciel jest zbyt potężnym celem dla nas, ale mamy wystarczającą siłę ognia, by się utrzymać i opóźnić atak Daali do chwili, aż przybędzie nasze wsparcie. To nie powinno potrwać zbyt długo.

Tak jakby to słyszała, Daala posłała potężną salwę z turbolaserów.

- Pełna moc osłon – poleciał Ackbar. – Wycofujemy się.

Gdy „Galaktyczny Wędrowiec” i cztery koreliańskie kanonierki zawracały, stopniowo zwiększając dystans od „Niewidzialnego Młota”, z prawej burty uderzyła na nich niespodziewana fala turbolaserowego ognia, bez najmniejszego ostrzeżenia. Generatory ochronnych pól statku Ackbara zostały uszkodzone, a jedna z koreliańskich kanonierek eksplodowała poniżej „Galaktycznego Wędrowca”.

Ackbar miotał się po mostku, chodząc tam i z powrotem. Był przerażony. Nie wiedział zupełnie, co myśleć, gdy zobaczył przestrzeń aż gęstą od okrętów wojennych. Imperialnych okrętów.

Wsparcie rzeczywiście przybyło.

Wsparcie dla Daali.

Pułkownik Cronus zjawił się nad Yavinem Cztery z dwudziestką swych szkarłatnych gwiazdnych niszczycieli. Pozostała część jego floty została wysłana, by dalej prowadzić ataki na cele z drugiej listy Daali, choć Cronus wypełnił już swą główną misję.

Jednak gdy flota jednostek klasy Victory przybyła na miejsce, Cronus musiał szybko przystosować się do nowo zaistniałej sytuacji. Siedemnastu gwiazdnych niszczycieli wiceadmirała Pellaeona nie widać było nigdzie w pobliżu. „Niewidzialny Młot” admirał Daali tkwił na orbicie, ostrzeliwując grupę rebelianckich okrętów wojennych, których w ogóle nie powinno być w tym systemie – gigantyczny gwiazdny krążownik klasy Mon Calamari i cztery koreliańskie kanonierki: znaczące siły, choć nie mogące równać się z jednym gwiazdnym superniszczycielem.

Pułkownik Cronus uśmiechnął się. Za pomocą jego dwudziestu mniejszych gwiazdnych niszczycieli mogli szybko rozprawić się z Rebeliantami, pozostawiając po nich jedynie spalone kadłuby, powoli zamarzające w przestrzeni kosmicznej. Po pewnym czasie siła przyciągania Yavina wciągnie je i przepadną w obłokach kłębiących się gazów.

Te rozważania zajęły mu tylko chwilę, po której natychmiast wydał rozkazy swoim jednostkom.

– Do wszystkich statków: przygotować się – rzekł. – Zmiećmy tych kilka nowych celów.

Jednostki klasy Victory zaatakowały bez ostrzeżenia i z całą mocą. Od razu zniszczyły jedną z koreliańskich kanonierek i poważnie uszkodziły osłony kalamariańskiego gwiazdneho krążownika. Lecz Rebelianci szybko otrząsnęli się z osłupienia i ich statki otworzyły ogień do gwiazdnych niszczycieli klasy Victory.

Cronus żałował, że nie wziął ze sobą całej swojej floty, choć był przekonany, że dwadzieścia jego statków też powinno wystarczyć. Napiął mięśnie ramion, pochylając się do przodu.

– Nacieramy – rozkazał. – Na pierwszy ogień bierzemy pozostałe koreliańskie kanonierki. – Wyznaczył pięć gwiazdnych niszczycieli klasy Victory, by skupiły ogień na trzech mniejszych jednostkach wroga, podczas gdy on ze swym okrętem 13 X i czternastoma innymi skupił się na kalamariańskim gwiazdnym krążowniku.

„Niewidzialny Młot” Daali nadal strzelał z turbolaserów, niszcząc jeden ze statków Cronusa. Pułkownik syknął rozżłoszczony, ale nie śmiał włączyć komunikatora, by ją skrytykować. Kalamariański krążownik odpowiedział potężną salwą, podczas gdy koreliańskie kanonierki rozproszyły się, rzucając się do walki... gdzie czekała ich zguba.

Pułkownik Cronus usiłował się skupić na głównym celu, podczas gdy inne jednostki walczyły z wyznaczonymi statkami wroga. Cała przestrzeń usiana była wiązkami turbolaserowej energii. Cronus otrzymał wiadomość od jednej z eskadr.

– Druga koreliańska kanonierska zniszczona, pułkowniku – rozległo się w głośnikach. – Kolejna uszkodzona zbliża się w pana kierunku.

Cronus dwa razy sprawdził położenie uszkodzonej kanonierki i podniósł alarm. Z wielu dziur w kadłubie cylindrycznego, opancerzonego statku buchały płomienie, ale jego silniki wciąż pracowały na pełnej mocy. Kilka stanowisk strzeleckich wciąż było sprawnych i wysyłało niszczycielskie promienie we wszystkich kierunkach, a sam statek – choć cztery razy mniejszy niż 13 X – samobójczo pędził naprzód, by zadać ostatni, śmiertelny cios. Statek był stracony; miał popękany kadłub, atmosfera znajdująca się w jego wnętrzu uciekała w przestrzeń, a silniki zapaliły się same... ale w jakiś sposób kapitan nadal prowadził go prosto na jednostkę flagową pułkownika Cronusa.

– Unik! – zawołał Cronus. 13 X obrócił się wokół własnej osi, przechylając się na lewą burtę, lecz zniszczona koreliańska kanonierka już nabrała szybkości i mknęła tak prędko, że Cronus nie zdołałby w żaden sposób zejść z jej drogi.

– Zwiększyć...! – wrzasnął i sekundę później zamknął oczy, wykrzywiając twarz w grymasie bezgłośnego krzyku, gdy kanonierka uderzyła 13 X w rufę, roztrzaskała jego komory silnikowe i

wybuchła w eksplozji, która przemieniła mostek flagowej jednostki klasy Victory w jeden potężny przebłysk oślepiającej bieli.

– Nie przestawajcie strzelać! – krzyczał Ackbar. – Proszę o raport.

Na jego prośbę odpowiedział jeden z kalamariańskich oficerów taktycznych:

– Trzy jednostki klasy Victory zniszczone, panie admirale, ale nam została już tylko jedna koreliańska kanonierka.

Flota gwiazdnych niszczycieli klasy Victory bez ustanku ostrzeliwała „Galaktycznego Wędrowca”, a z drugiej strony napierała na nich admirał Daala ze swym gwiazdnym superniszczycielem.

Na mostku Han ścisnął Leię za rękę. Spojrzeli sobie w oczy, po czym znów wrócili do obserwacji bitwy.

Kyp Durron pochylił się do przodu z wyrazem bezradności i tępego zacięcia na twarzy, ale Ackbar nie poddawał się.

– Pola osłon tracą moc, panie admirale – oświadczył kalamariański oficer. Zostało nam około dziesięciu sekund.

Gwiazdne niszczyciele klasy Victory i „Niewidzialny Młot” zbliżyły się jeszcze, zamykając ich ciasniej z dwu stron w nieprzerwanym ataku.

Statek admirała Ackbara tkwił pomiędzy wrogimi jednostkami praktycznie bezbronny.

Rozdział 56

Wiceadmirał Pellaeon nie miał pojęcia, co się stało.

Razem ze swymi siedemnastoma gwiazdnymi niszczycielami był na orbicie wokół czwartego księżycy Yavina, przeprowadzając atak. Napotkali pewien opór, ale nic tak poważnego, żeby nie dać sobie z tym rady za pomocą jednego czy dwóch kolejnych desantów.

I wówczas, nagle, zostali odepchnięci od księżycy, tak jakby uderzyła ich gigantyczna, niewidzialna dłoń.

Pellaeon przeleciał przez barierkę na mostku i upadł, uderzając plecami o stanowisko dowódcy. Miał ogromne szczęście, że nie złamał kręgosłupa.

Jego załoga została wyrwana ze stanowisk, niczym kamienie ciskane przez tajfun. Kilku ubranych w mundury żołnierzy leżało bezprzytomnie, prawdopodobnie nie żyli. Inni podnosili się z trudem, zalani krwią. Pośród członków załogi rozlegały się szepty zdumienia – nikt nie wiedział, co się działo.

Na pokładzie „Ognistej Burzy” rozdźwięczały się automatyczne alarmy. Systemy komunikacyjne włączyły się, przesyłając transmisje z pozostałych szesnastu gwiazdnych niszczycieli, których załogi usiłowały dowiedzieć się, co zaszło – ale Pellaeon nie potrafił im nic odpowiedzieć.

Staął z powrotem na nogi, poprawiając admiralski mundur, i zachwiał się. Przez chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

– Raport! – zawołał.

Kaszlnął, po czym starł krew z kącików ust. Jego załoga szemrała między sobą, patrzyli jeden na drugiego z zakłopotaniem.

– Na stanowiska – polecił Pellaeon, podnosząc głos. Krew znowu popłynęła mu z ust, ale jego ostry ton wyrwał załogę z osłupienia.

– Powiedziałem, że chcę usłyszeć raport! Co się z nami stało? Proszę powiedzieć mi, gdzie jesteśmy.

– Odzyskujemy stateczność, panie admirale – odezwał się nawigator.

Gwiazdy za oknami wieży mostku „Ognistej Burzy” wirowały jak oszalałe. Pellaeonowi, który i tak był zdezorientowany, na ten widok robiło się niedobrze, ale na szczęście stopniowo wszystko wracało do normy.

Dla zachowania równowagi wiceadmirał chwycił się barierki. W oddali najjaśniejsza gwiazda stanowiła jedynie jasny, żółtawy punkcik. Z zamarłym sercem pomyślał, że ta odległa gwiazda może być słońcem systemu Yavin.

– Panie admirale – rzekł nawigator – zdołałem określić w przybliżeniu naszą pozycję. Zostaliśmy odrzuceni daleko poza granicę systemu słonecznego w kilka sekund.

– Silniki napędu nadświetlnego zostały uszkodzone – dodał sternik. – Możemy spróbować

naprawić te uszkodzenia w parę godzin, ale i tak nie zdołamy wykonać skoku w nadprzestrzeń – zwłaszcza do systemu słonecznego – jako że przepadł nasz komputer nawigacyjny.

Pellaeon chwycił się mocniej barierki, by nie upaść.

– Sprawdzić stan wszystkich pozostałych gwiazdnych niszczycieli – rozkazał. Chcę, by silniki napędu nadświatelnego były w pełni sprawne tak szybko, jak to możliwe. Tymczasem ruszamy z powrotem do systemu Yavin na pełnej mocy silników podświetlnych.

– Ależ panie admirale, to zajmie nam tygodnie! – odrzekł sternik.

Pellaeon spojrzał na niego chłodnym, spokojnym wzrokiem.

– Spróbujemy – powiedział – obliczyć dane dla małych skoków w nadprzestrzeń, a jeśli będzie trzeba, wykonamy je, nawet bez nawigacyjnego komputera. Musimy wrócić nad Yavin Cztery!

Załoga wyczuła zdecydowanie w głosie dowódcy i zabrała się do wykonywania jego poleceń. Starali się odzyskać pewność siebie i doprowadzić gwiazdne niszczyciele klasy Imperial z powrotem do pełnej sprawności.

Ruszyli powoli, posuwając się w czarnej pustce przestworzy Pellaeon próbował wyobrazić sobie, co pomyśli admirał Daala gdy przybędzie do systemu Yavin i zobaczy, że cała flota niszczycieli zniknęła. Zadrzał, widząc już jej furię i wściekłość z powodu jego niekompetencji... A przecież gdy rycerze Jedi brali w coś udział, logiczne przewidywanie częstokroć było nieskuteczne.

Wyjrzał przez okna na swym mostku, skupiając wzrok na odległym żółtym słońcu systemu Yavin. Był sfrustrowany, odczuwał złość i, przede wszystkim, wstyd.

Bez wątpienia zanim jego flota zdąży tam dotrzeć, bitwa już będzie zakończona.

Rozdział 57

Hangar „Niewidzialnego Młota”, pełen bombowców TIE, był niczym wielka zegarowa bomba – i Callista, posadziwszy swój uszkodzony statek pośród innych, zdecydowała się uwolnić jej niszczącą energię.

Wszyscy piloci zostali ewakuowani z powodu ostrzeżenia Callisty o wycieku z reaktora jej jednostki, ale dziewczyna wiedziała, że za chwilę ktoś mógł się pojawić, by zbadać sytuację. Musiała się śpieszyć.

Eskadry pustych myśliwców i bombowców typu TIE stały w rzędach na lśniącej metalowej posadzce. Statki były załadowane i przygotowane do akcji, ale z jakiegoś powodu Daala musiała zdecydować, żeby zostały na pokładzie gwiazdznego superniszczyciela. Callista zgadywała, że pani admirał wolała prowadzić bitwę z bezpiecznej odległości, nie narażając niepotrzebnie swych bombowców. Daala z pewnością była przekonana, że wygra tak czy inaczej i że równie dobrze może kontynuować walkę, ostrzeliwując księżyc z orbity.

Po przybyciu Callisty wrota hangaru zamknęły się, a na pokładzie „Niewidzialnego Młota” rozległy się sygnały alarmu – oznaczające przybycie nowej rebelianckiej floty i wszczęcie przez gwiazdny superniszczyciel walki w przestrzeni. Dobrze, pomyślała. To mogło opóźnić przybycie kogoś, kto by jej przeszkodził.

Maszyna Callisty stała na pustym obszarze używanym jako miejsce napraw statków. Bombowiec spisywał się całkiem nieźle: pilot, którego zabiła, zdołał naprawić maszynę.

Miękko zeskoczyła na pokład, przykucnęła i rozejrzała się wokoło, aby upewnić się, że nikt na nią nie czeka, ani ekipa techników, ani medycy. Na szczęście w pomieszczeniu nie było nikogo.

Oddychając szybko, Callista ruszyła do akcji. Jej uszu dobiegały odgłosy walki, która wybuchła na zewnątrz. Zawahała się przez moment, mówiąc sobie, że nic jato nie obchodzi – ale musiała sprawdzić, co się dzieje.

Pobiegła do ściany, na której znajdował się ekran, i zażądała wyświetlenia obrazu przestrzeni na zewnątrz statku. Zdziwiła się, widząc jak „Sokół Milenium” znika na pokładzie „Galaktycznego Wędrowca”, statku flagowego admirała Ackbara. Stawka rosła. Kalamariański gwiazdny krążownik Ackbara posiadał ciężkie uzbrojenie, lecz nawet połączone siły jednostek Nowej Republiki nie mogły mierzyć się z gwiazdnym superniszczycielem.

Admirał Daala wypaliła trafiając w pola osłon jednostki Ackbara i gwiazdny krążownik zaczął się wycofywać. Callista wiedziała, że musi się śpieszyć, ale w chwili, gdy już chciała się odwrócić, dostrzegła na ekranie flotę gwiazdnych niszczycieli wyskakującą z nadprzestrzeni i przyłączającą się do natarcia na jednostki Ackbara. Siły rebelianckie zostaną rozbite w pył – jeśli Callista się nie pośpieszy.

Zamknęła i zakodowała drzwi prowadzące z zewnętrznych korytarzy do pomieszczenia hangaru,

żeby mieć pewność, że nikt jej nie zakłóci pracy. Jeśli żołnierze Imperium naprawdę zechcą wdrzeć się do środka, nie zajmie im to dużo czasu, ale dziewczyna po prostu starała się robić, co było w jej mocy.

Callista popędziła z powrotem do swego uszkodzonego bombowca, otworzyła zbiorniki z amunicją i oszacowała, ile pocisków udarowych będzie miała do dyspozycji.

Pobiegła następnie do jednej ze ścian, gdzie przestudiowała uproszczony schemat „Niewidzialnego Młota”. Nie było na nim wielu szczegółów, był zaprojektowany dla nowych rekrutów, by nie zgubili się w korytarzach tak rozległego statku. Callista spostrzegła z zadowoleniem, że tak jak przewidywała, hangary z bombowcami TIE znajdowały się daleko na rufie „Niewidzialnego Młota”, oddzielone grubymi przegrodami od olbrzymich silników i systemów napędowych.

Callista zerknęła na pancerną ścianę na odległym końcu pomieszczenia i wycelowała w nią pociski z bombowca TIE. Ustawiała ich czasowe zapalniki na automatyczne odpalenie. Powinno wystarczyć, by zniszczyć przegrodę. A to będzie dopiero początek.

Pobiegła do następnego bombowca TIE i otworzyła jego zbiorniki amunicji, pełne udarowych pocisków. Jej oddech stawał się coraz szybszy, w głowie wirowało: tak wiele ładunków i tak mało czasu!

Przed laty próbowała zrobić coś podobnego, by powstrzymać zautomatyzowany śmiertcionośny superpancernik Imperatora „Oko Palpatine'a” przed zniszczeniem byłych kolonii Jedi. Jej duch został uwięziony wewnątrz komputera, gdzie tkwiła przez dziesiątki lat. Poświęcenie to rzeczywiście opóźniło misję „Oka Palpatine'a” na tyle, by Luke Skywalker mógł dokończyć dzieła i równocześnie uwolnić ją.

Luke. Odpędzała myśli o nim, skupiając się na swej misji.

Teraz Callista była całkiem sama. Odpowiadało jej to, ponieważ nie musiała martwić się o nikogo więcej, tylko o siebie, ani sprzeczać się z Lukiem o to, jaki jest najlepszy sposób na przeprowadzenie operacji. Ryzykowała jedynie ona.

Żałowała, że nie odzyskała zdolności władania Mocą; że Luke i ona nie mogą żyć razem jako dwoje potężnych Jedi. Kochała go bardzo... ale w tej chwili było coś ważniejszego. Wszyscy młodzi Jedi zginą, jeśli „Niewidzialny Młot” Daali nie zostanie powstrzymany. I ona musiała to zrobić. Sama.

Callista miała drugą szansę. Próbowała uratować Jedi wiele lat wcześniej, a teraz, gdy nowi Jedi byli tak nieliczni, była zmuszona dokonać trudnego wyboru. Ponieważ utraciła zdolności Jedi, jej śmierć nie powinna być dla Nowej Republiki tak bolesna.

A może będzie...?

Musiała zadać Imperium miażdżący cios i tylko to się teraz liczyło.

Callista biegała od bombowca do bombowca, ustawiając każdy skład pocisków na odpowiedni cel. Niektóre nakierowała na zbiorniki paliwa innych bombowców w taki sposób, by w wyniku jednej eksplozji nastąpił długi łańcuch reakcji.

„Niewidzialny Młot” powinien ulec zniszczeniu.

Gdy Callista ustawiła już wszystkie ładunki, zamknęła za sobą drzwi do hangaru i pobiegła jaskrawo oświetlonym korytarzem. Znalazła pusty wagon transportowy i wsiadła do niego, uciekając z miejsca, w którym za chwilę miała nastąpić eksplozja.

„Niewidzialny Młot” i gwiazdne niszczyciele klasy Victory podchodziły bliżej jednostki flagowej admirała Ackbara. Systemy obronne kalamariańskiego gwiazdowego niszczyciela przestawały działać i groziła mu destrukcja.

„Niewidzialny Młot” odwrócił się od zielonego księżycy i skierował w przestworza, spychając wycofujący się statek Ackbara w stronę gigantycznej gazowej planety Yavin, która nie oferowała żadnego bezpiecznego schronienia.

Callista zdawała sobie sprawę, że nie ma szans na ucieczkę. Zaakceptowała to. Jeśli wszystko się uda, „Niewidzialny Młot” zostanie zniszczony – a jeżeli jej próba się nie powiedzie, zostanie tu i będzie walczyć aż do końca.

W każdym razie zdecydowała udać się na mostek gwiazdowego superniszczyciela. Chciała stanąć twarzą w twarz z admirałem Daalą, spojrzeć renegatce prosto w zielone oczy i powalić ją gołymi rękoma.

Callista ścisnęła rękojeść miecza świetlnego, gdy transporter wiozł ją, kilometr za kilometrem, do serca wielkiego okrętu wojennego. Docierała już do wieżyczki mostka, gdy wszystkie założone przez nią ładunki eksplodowały...

Pocisk za pociskiem uderzał w pancerną płytę ochraniającą potężne komory silników „Niewidzialnego Młota”. Pierwsza fala wybuchów zburzyła grubą ścianę odgradzającą. Włączyły się inne zapalniki i następne zdetonowane pociski pomknęły przez już wysadzone otwory, trafiając zbiorniki paliwa innych bombowców typu TIE, które również wybuchły, zwiększając jeszcze fale eksplozji.

Długi na osiem kilometrów i ciężko opancerzony „Niewidzialny Młot” był zbyt potężny, by unicestwić go nawet tak widowiskowy wybuch – ale zamierzeniem Callisty było zniszczyć jego silniki, by unieruchomić gwiazdny superniszczyciel i pozostawić go zawieszony w przestrzeni bez możliwości wykonywania manewrów.

Światła wokół Callisty zgasły. Transporter stanął i rozdzwoniły się przeraźliwe alarmy. Callista roześmiała się jak w ekstazie, po czym otworzyła właz ewakuacyjny. Oddychając ciężko, wydostała się z wagonu.

Włączyła miecz świetlny i przy topazowym blasku ostrza, znalazła wyjście ewakuacyjne, przez które dostała się w labirynt korytarzy gigantycznego statku. Strząsnęła gęste krople potu z włosów, po czym najszybciej, jak mogła, popędziła w kierunku mostka.

Miała spotkanie z Daalą.

„Niewidzialny Młot” zaczął dryfować w przestrzeni jak martwy.

Rozdział 58

Admirał Daala z zadowoleniem obserwowała finałową bitwę.

Widząc, że siły wroga są przeważające, nieliczna rebeliancka flota usiłowała uciec – ale „Niewidzialny Młot” i gwiazdne niszczyciele klasy Victory mknęły za nią w kierunku wielkiej pomarańczowej kuli Yavina, bez przerwy ostrzeliwując pola osłon kalamariańskiego gwiazdowego krążownika. Zgodnie z odczytami czujników, rebelianckie systemy obronne zostały już praktycznie zniszczone. Było kwestią sekund, kiedy wojenny krążownik zostanie zmiażdżony przez stalowe imperialne szczęki.

Ciemnowłosy młody porucznik podszedł do Daali. Na jego czystej, świeżo ogolonej twarzy malowały się wypieki. Podniecony, wypowiedział słowa jednym ciągiem, bez tchu.

– Pani admirał, mam dobre wieści ze stanowiska czujników!

Pozwoliła sobie na uśmiech, odczuwając prawdziwą satysfakcję.

– Zawsze chętnie słucham dobrych wieści. Co to takiego, poruczniku?

Oficer rozpromienił się jeszcze bardziej.

Zlokalizowaliśmy flotę wiceadmirała Pellaeona. Odwróciła się do niego, skupiając całą uwagę.

– Gdzie?

– Nawiązaliśmy łączność. Są na obrzeżach systemu Yavina, pani admirał, i lecą tutaj tak szybko, jak tylko mogą.

– Co się im stało? – zapytała. – Czy mieli jakieś kłopoty z silnikami? Wszystkie jednostki naraz?

Porucznik pokręcił głową.

– Nie, pani admirał – to bardzo dziwne. – Spojrzał w bok, jakby zakłopotany. Rycerze Jedi za pomocą swoich czarów jakoś odepchnęli ich z tego systemu. Wiceadmirał nie może lecieć szybciej i minie nawet kilka dni, nim przyłączy się do walki.

Daala klasnęła ubranymi w skórzane rękawiczki dłońmi i kiwnęła głową.

– Bardzo dobrze – odparła. – Do tego czasu my wykończymy ich tutaj – a dobrze jest wiedzieć, że wszystkie te statki nie zostały zniszczone. – Zmusiła się, by nie okazać tego, jak wielką ulgę poczuła na wieść, że uniknęli poważnej straty. Dobrze było w końcu poczuć, że się zwycięża!

Daala pochyliła się ku oknom mostka i uderzyła pięścią w otwartą dłoń.

– Zwiększmy więc nasze wysiłki, by móc świętować zwycięstwo, gdy przybędzie wiceadmirał! – Wzięła głęboki oddech, przepełniona dumą i satysfakcją. W końcu wielki moff Tarkin mógłby być z niej dumny. Tym razem wszystko zrobiła tak, jak trzeba, a Rebelianci zapłacą własną krwią.

W tej samej chwili rufą gwiazdowego superniszczyciela targnęła eksplozja, rozrywając jego systemy napędowe.

Fala uderzeniowa w ciągu kilku zaledwie sekund przetoczyła się przez cały kilkukilometrowy statek pełen pancernych drzwi i przegród. Mostek zadrżał od uderzenia. Zgasła elektryczność, stacje

dowodzenia oświetlone były teraz jedynie przez czerwone lampy alarmowe. Podmuch rzucił Daalę na podłogę.

Gwiezdne niszczyciele klasy Victory leciały dalej w ślad za rebelianckim gwiazdowym krążownikiem. Wiązki turbolaserowego ognia uderzyły w dziób „Niewidzialnego Młota”. Przez chwilę nikt nie wiedział, co się stało – nawet Daala.

– Co to było? – krzyknęła. – Raport! Proszę włączyć zasilanie – natychmiast!

Niektórzy członkowie załogi leżeli na posadzce oszołomieni lub nieprzytomni, jeden z nich zginął, przywalony roztrzaskaną obudową stanowiska. Alarmy wyły nieprzerwanie.

Porucznik, który wcześniej przyniósł Daali dobre wieści, dźwignął się na nogi, podszedł do jednego ze stanowisk i włączył komputer diagnostyczny, którego wykresy pokazały się w złowieszczej poświacie lamp awaryjnych. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Pani admirał, nastąpiła seria wybuchów w komorach silnikowych! Źródło hangary bombowców typu TIE numer 14 i 17. Wewnętrzne osłony silników zniszczone, a same komory systemów napędowych zrujnowane. Płoniemy. Trzecia część „Niewidzialnego Młota”, rufowa, została odcięta przez automatyczne systemy bezpieczeństwa. Systemy uzdatniania powietrza i wody – nie działają!

Przerwał, biorąc głęboki oddech, ale nie skończył jeszcze wyliczania.

– Uszkodzenia zewnętrznego kadłuba na pokładach Dwieście Dziewięćdziesiąt Trzy, Sto Osiemdziesiąt Jeden i Siedemdziesiąt Pięć. Poważne straty tlenu. Toksyczne i radioaktywne odpady przedostały się na poziomy mieszkalne. Nasze rufowe hangary bombowców są całkowicie zniszczone.

Każde zdanie odczuwała jak uderzenie dłonią w twarz.

– Jak to się mogło stać? – zażądała odpowiedzi.

Porucznik spojrział na nią z rozdziawionymi ustami. W końcu wyjąkał:

– Nie wiadomo, pani admirał. To wszystko wydaje się niemożliwe.

Ale Daala знаła jedyną możliwą odpowiedź – oczywiście sabotaż. Tak rozległe zniszczenia nie mogły powstać przypadkowo.

Część statków klasy Victory przerwała pościg za krążownikiem Ackbara. Odezwał się system komunikacyjny.

– „Niewidzialny Młocie”, „Niewidzialny Młocie” – proszę się odezwać! – Daala rozpoznała głos jednego z dowódców jednostek klasy Victory, chociaż nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. – Pani admirał Daalo, wasz statek stoi w ogniu. Stąd wygląda to bardzo poważnie.

– Gdzie jest pułkownik Cronus? – zapytała przez komunikator. – Niech podwoi wysiłki. Możemy potrzebować pomocy.

Głos dowódcy załamał się.

– Statek pułkownika Cronusa został zniszczony przez Rebeliantów, pani admirał. Uważam... nie jestem pewny, kto teraz dowodzi...

– Ja dowodzę! – krzyknęła Daala i nagle opadła na swój fotel, zupełnie jakby przewrócił ją podmuch wiatru. Pellaeon dotrze dopiero za kilka dni. Cronus nie żyje. „Niewidzialny Młot” doznał poważnych uszkodzeń.

W parę minut sytuacja zmieniła się diametralnie. Odwróciła się, krzycząc do swej załogi:

– Jak długo potrważą naprawy? Kiedy możemy ponownie uruchomić silniki i ruszyć się z miejsca?

Jeden z inżynierów wpatrywał się w nią z lękiem. Krew z niewielkiej rany na skroni ściekała mu po policzku.

– Pani admirał, nic pani nie rozumie! Nasze silniki są stracone. Ich odbudowa zajęłaby miesiące.

Nie ma szans na naprawę. Wszystko stoi w ogniu.

– Nie mamy silników konwencjonalnych?

– Absolutnie żadnych. Dryfujemy bez kontroli nad statkiem i nic nie możemy na to poradzić.

Zupełnie nic!

Daalą owładnęła wściekłość. Dłonie miała zaciśnięte w pięści, szukając sposobu na wyładowanie złości.

– Nie możemy prowadzić nawigacji? Nie możemy się ruszać? – krzyknęła, po czym odwróciła się ku ekranowi widokowemu, na którym widniała wielka gazowa planeta. Rosła z każdą chwilą. „Niewidzialny Młot” dryfował siłą rozpędu po swoim ostatnim kursie... i zaczynał się stopniowo obracać, przyciągany niewidzialnymi więzami grawitacji olbrzymiego Yavina.

Oczy Daali niemal wychodziły z orbit.

– Proszę sprawdzić nasz kurs – szepnęła. – Niech ktoś mi powie, że się mylę.

Nawigator wyjrzał przez okno i zrozumiał to samo, co pojęła przed chwilą Daala.

– Sprawdzić kurs, powiedziałam! – wrzasnęła, by wyrwać go z oszołomienia.

Pochylił głowę, przerażony, po czym zaczął stukać w klawiaturę komputera.

– Komputery nie działają, pani admirał. Proszę pozwolić, bym sprawdził jeszcze raz. – Włączył inny system czujników i jego twarz przybrała wyraz rozpacz. Zmierzamy dokładnie w kierunku tej planety, pani admirał. Jeśli nie włączymy natychmiast ciągu wstecznego, nie ma szans na to, by statek ocalał.

Daala wpatrywała się w uciekający rebeliancki gwiazdny krążownik, pragnąc już tylko tego, by zobaczyć, jak ten statek eksploduje; aby dowieść sobie, że udało się chociaż tyle.

Gdy pięć gwiazdnych niszczycieli klasy Victory napierało na Rebeliantów, strzelając nieustannie, przed nimi pojawiła się nagle reszta rebelianckiej floty. Wsparcie było potężne: fregaty szturmowe, koreliańskie korwety, pięć kolejnych gwiazdnych krążowników klasy Mon Calamari, gigantyczne krążowniki szturmowe klasy Loronar, lekkie krążowniki klasy Karrak – siły po prostu przytłaczające.

Daala miała ochotę wrzeszczeć z wściekłości i rozpacz, ale stłumiła te uczucia i jej gniew przemienił się w twardy jak diament stanowczy upór. Myślała szybko. Nie mogła pozwolić, by wściekłość odebrała jej rozsądek, tak jak to się stało ostatnim razem. Musiała myśleć o przyszłości Imperium, a nie o swojej osobistej zemście.

Na zemstę będzie jeszcze czas. Później.

Wciąż miała flotę Pellaeona, wciąż miała wiele jednostek klasy Victory, a nowe okręty wojenne nadal powstawały w imperialnych stoczniach. To był jedynie odwrót. Musiała na nowo przemyśleć swoją strategię – a może jej hańba była tak wielka, że nigdy już nie będzie w stanie poprowadzić imperialnej floty...

Tak, „Niewidzialny Młot” skazany był na zagładę i nic z tym nie mogła zrobić. Nic. Wiedziała, że nie ma wyboru: jej jedyną szansę stanowiła ucieczka i dotarcie do floty Pellaeona.

„Niewidzialny Młot”, w znacznej mierze zautomatyzowany, miał stosunkowo nieliczną załogę. Wszyscy mogli pomieścić się w setkach kapsuł ratunkowych – jeśli takowe zadziałają. Jej lojalni żołnierze mogliby uciec, by potem znów walczyć dla Imperium.

Uruchomiła swój własny alarm, jej głos rozniósł się przez systemy interkomu.

– Mówi admirał Daala. Nakazuję natychmiastową ewakuację gwiazdowego superniszczyciela. Do całego personelu: proszę opuścić statek! Niech każdy dotrze do najbliższej kapsuły i startuje. Zabiorą

nas gwiazdne niszczyciele klasy Victory, a w drodze jest flota wiceadmirała Pellaeona. Ten statek ulegnie zniszczeniu.

Wyłączyła interkom i stanęła patrząc na zalany czerwonym światłem mostek. Powyżej zamrugały białe światła, ale nie zapaliły się. Załoga na mostku zamarła, wpatrzona w Daalę, zdumiona, że zarządziła ona ewakuację.

– Ruszać się! – krzyknęła na nich. – To rozkaz. Biegiem do kapsuł ratunkowych.

– A co z panią, pani admirał? – zapytał młody porucznik. Z jego oczu płynęły łzy. W powietrzu wyraźnie czuć było dym, lecz Daala zorientowała się, że mężczyzna płacze z rozpaczony za utraconą chwałą Imperium.

– Dałam wam rozkaz ewakuacji, poruczniku – odparła. Odwróciła się do niego plecami, zostając na mostku.

Załoga rzuciła ostatnie spojrzenia swemu dowódcy i pomknęła korytarzami do kapsuł ratunkowych.

Daala stała samotnie, gdy wokół niej walił się świat. Spoglądała przez okno, pobladła, z mocno zaciśniętymi ustami.

„Niewidzialny Młot” zmierzał ku swojej zgubie, jego rufa topiła się, brocząc radioaktywnym ogniem. Jednak Daala pozostawała w bezruchu, jak kapitan spełniający swój obowiązek – czekający, aż jego okręt zatoni.

Rozdział 59

Ale Daala nie zamierzała tak skończyć.

Kiedy personel mostka ewakuował się, pozostawiając ją samą za sterami statku, który miał się roztrzaskać, myślała o tym, że ten obraz wyryje się w pamięci jej załogi. Mogła mieć pewność, że jej legenda przetrwa, jeśli choć jeden członek załogi przeżyje w kapsule ratunkowej...

Pomyślała o tym, by jakoś zabezpieczyć się na przyszłość. Sama jednakże nie miała teraz zamiaru zginąć. Miała przed sobą jeszcze wiele bitew dla Imperium, znała sposoby, by znów uderzyć na Rebeliantów.

Tym razem przynajmniej zadała wrogom jakieś straty. Nie było to zwycięstwo ale również nie całkowita porażka.

Daala przeszła do przestronnej sali obrad i prywatnych kwater, w których znajdowały się kapsuły ratunkowe dla dowódców. Przedtem sądziła, że olbrzymia sala z całym dodatkowym wyposażeniem jest wyrazem ekstrawagancji, lecz teraz dziękowała projektantowi, że zadbał o wszystko.

Kolejna fala eksplozji przetoczyła się przez statek, miotając nim na boki. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie za okno, Daala zobaczyła, że Yavin ogromnieje z każdą minutą, jak potwór, pragnący pożreć „Niewidzialny Młot”. Musiała uciekać natychmiast Gwiezdny superniszczyciel miał rozbić się lada moment, powierzchnia jego kadłuba już płonęła, spalając się w górnych warstwach atmosfery.

Zachwiała się, gdy czarnym statkiem targnęła następna eksplozja. W sali obrad na sekundę zapaliły się światła, lecz po chwili znów wszystko zalała czerwona poświata. Daala szukała alkowy, w której znajdowały się kapsuły ratunkowe – i zatrzymała się, gdy natknęła się na jakąś samotną postać.

Kobieta.

Rycerz Jedi dzierżący miecz świetlny. Topazowy promień energetyczny trzaskał w czerwonym mroku opustoszałego gwiazdowego superniszczyciela.

– Czekałam na ciebie, admirał Daalo – powiedziała Callista.

Stała twarzą w twarz z imperialną pogromczynią.

Callista oddychała szybko, kręciło się jej w głowie z emocji i zmęczenia. Głośne wybuchy wciąż powodowały drżenie potężnego okrętu, reakcja łańcuchowa obejmowała kolejne poziomy „Niewidzialnego Młota”.

Daala, nieprzewidywalna imperialna admirał o stalowej woli, o której Callista słyszała tyle legend, teraz wyglądała nieszczęśliwie, niemal trupio, w świetle awaryjnych lamp sali narad.

Daala zastygła w miejscu, na jej twarzy malowała się wściekłość.

– Nie do wiary. Robactwo Jedi, gdziekolwiek się człowiek odwróci! – Wypluła z siebie te słowa

i ruszyła przed siebie. – Nie powstrzymasz mnie.

Callista stała nieruchomo przed alkową, w której znajdowały się ratunkowe kapsuły.

– Muszę cię tylko na trochę zatrzymać, Daalo – odparła. – To wystarczy. – Miecz świetlny buczał w jej dłoni. – I mam do tego środki.

Callista poczuła, jak gotuje się w niej głęboko skrywany gniew. Admirant Daala była osobą, na której mogła wyładować swą złość – i bliska śmierci, tak samo jak miało to miejsce na „Oku Palpatine'a”, Callista nagle poczuła się wolna. Zapragnęła jeszcze raz dotknąć Mocy, po raz ostami. Teraz nieważne było, że musiała pozwolić, by opanowała ją ciemna strona, jeśli tylko w ten sposób mogła wykonać zadanie. Tak czy inaczej, ten statek za chwilę miał zostać zniszczony.

Liczyło się jedynie to, że powstrzymała Daalę przed ucieczką i wyrządzeniem Nowej Republice jakichś szkód w przyszłości. Jeśli posłuchałaby mrocznej pokusy, mogłaby znów użyć Mocy. Ciemnej strony Mocy. Łatwy dar. Siła, która rosła z samej siebie, a nie ze względu na umiejętności tego, kto nią władał.

Pokusa majaczyła jej przed oczyma niczym dym, uwodząc ją, zachęcając, by sięgnęła po złe moce, chociaż mogłaby się już ich nigdy nie pozbyć...

Widząc moment wahania Callisty, admirał Daala błyskawicznie wyciągnęła blasterowy pistolet z kabury na biodrze. Niemal niedostrzegalnym ruchem przełączyła go na zabijanie i strzeliła w stronę dziewczyny.

Callista nie zdążyła zrobić uniku, ale mogła użyć Mocy, by zyskać niezwykle zdolności. Nie mając wyboru, zdecydowała się w ułamku sekundy.

Używając miecza świetlnego jak przedłużenia własnego ciała, Callista wykonała obronne uderzenie. Jej broń Jedi sama wiedziała, jak się poruszać, podążając za wzorem Mocy, tak że topazowe ostrze odbijało każdą blasterową wiązkę, którą ze swej broni wystrzeliła Daala. Zabójcze promienie uderzały rykoszetem o metalowe ściany, wypalając na nich czarne ślady.

Daala wystrzeliła cztery razy, ale Callista pozwalała, by kierowała nią Moc, by jej ruchami zawładnęła ciemna strona.

– Moc jest potężniejsza niż ty, Daalo – rzekła przez zaciśnięte zęby. Czowała w sobie przerażającą siłę, która karmiła się jej gniewem. Znów mogła odczuwać Moc! Próbowała wycofać się z ciemnej strony, próbowała uwolnić się z jej szponów, nim zacisną się zbyt mocno.

Daala wstrzymała ogień – lecz tylko na chwilę, by przełączyć broń na ogłuszanie. Zanim Callista zdążyła zareagować, Daala wystrzeliła ponownie. Tym razem nie była to skupiona wiązka energii, lecz rozciągające się we wszystkie strony niebieskawe energetyczne łuki.

Callista uniosła miecz, by odbić promień, ale paraliżująca energia otoczyła ją ze wszystkich stron i powaliła na posadzkę. Jej miecz świetlny zgasł, gdy nastąpiło spięcie – a Callistę otoczyła ciemność...

Daala stała nad powaloną dziewczyną Jedi. Wypolerowanym czarnym butem kopnęła dalej wyłączony miecz świetlny.

Cząsteczki gazów tworzących atmosferę Yavina ocierały się o kadłub „Niewidzialnego Młota” z dźwiękiem przypominającym zawrodożenie duchów. Wiatry miały bezradnym statkiem, który opadał w miążdzące głębie grawitacyjnej studni.

Daala spojrzała na ogłuszoną kobietę Jedi, rozzłoszczona, że nawet ta krótka walka mogła spowodować na tyle poważne opóźnienie, że ucieczka będzie niemożliwa.

– Mówiłam ci, że nie powstrzymasz mnie – rzekła i przeszła nad ciałem Callisty do ratunkowej kapsuły.

Rozdział 60

Zacięta walka w dżungli trwała, lecz imperialne siły szturmowe zaczynały tracić impet, gdy rycerze Jedi stawili im zdecydowany, bezwzględny opór, niszcząc łaziki, mołochy i latające fortece. Wraki myśliwców i bombowców krążyły po niebie, lecz większość z nich została już strącona przez pociski miotane przy użyciu Mocy.

Luke Skywalker walczył zażarcie, miecz świetlny drżał w jego dłoni – lecz całą uwagę skupił na rozpaczliwych, mentalnych poszukiwaniach Callisty.

Przez listowie mógł dostrzec nabrzmiałą planetę Yavin, wypełniającą większą część nieba. Czarny połyskliwy „Niewidzialny Młot” wyróżniał się na tle przestrzeni, jego trójkąt przesłaniał część tarczy gazowego giganta.

Jasne strugi turbolaserowego ognia znaczyły przestrzeń, tworząc olśniewającą grę światła... i Luke przypomniał sobie dawne lata, kiedy był zwykłym wiejskim chłopcem, dzieciakiem, który z szeroko rozwartymi oczyma przyglądał się powietrznej bitwie wysoko nad Tatooine. Nigdy nie pomyślałby, że schwytanie statku księżniczki Leii przez Dartha Vadera tak bardzo odmieni jego życie – i przyszłość galaktyki.

Wówczas Luke słyszał jedynie plotki o rycerzach Jedi, nie miał pojęcia, kim był jego ojciec, i nie potrafił wyobrazić sobie nawet możliwości Mocy – a teraz Callista była tak samo zagubiona, jak on wtedy...

Luke przedzierał się przez zarośla, wykrzykując jej imię raz po raz. Ponieważ dziewczyna była nieprzejrzysta dla Mocy, nie potrafił jej wyczuć i nie miał pojęcia, gdzie może się znajdować.

– Callisto! – zawołał ponownie, ściągając na siebie ogień ukrytego pośród drzew krocącego robota. Laserowe strzały trafiły w roślinność po obu jego bokach. Luke odskoczył, szybkim zamachem miecza świetlnego ściał wysokie drzewo Massassów i używając Mocy przechylił je, zwalając na maszynę typu AT-ST w rozprysku iskier i płomieni.

Musiał odnaleźć Callistę. Jego rycerze Jedi walczyli bardzo dobrze, jako mały oddział dysponujących Mocą żołnierzy, wyrządzających ogromne szkody technicznie zaawansowanym imperialnym maszynom.

Nie tak dawno temu Luke Skywalker był jedynym rycerzem Jedi – lecz teraz stworzył już rdzeń nowych szeregów mężnych wojowników, wiernych Nowej Republice, wyćwiczonych we władaniu Mocą. Rycerze Jedi powstaną ponownie – co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Gdy myślał o Tionnie, Streenie, Kiranie Ti, Kypie Durronie, Kamie Solusarze, Cilghal i wszystkich pozostałych, z którymi pracował, jeszcze raz zaczął rozważać oświadczenie Callisty, że nie będzie mogła być z nim, ponieważ nie odzyskała jeszcze zdolności Jedi. Bała się, że jeśli wezmą ślub i będą mieć dzieci, ich synowie czy córki prawdopodobnie nie będą w stanie używać Mocy.

Ale czy to było najważniejsze? Kochał Callistę, niezależnie od tego, czy władała Mocą, czy nie.

Stworzył już wspaniałą grupę obrońców Nowej Republiki i zamierzał dalej szkolić uczniów Jedi na Yavinie Cztery. Nie miało znaczenia, czy Callista odzyska swe zdolności Jedi i czy ich dzieci odziedziczyłyby zdolność władania Mocą.

Pragnął Callisty i nikogo innego. Powie to wyraźnie, kiedy ją w końcu odnajdzie. Już właściwie odrodził zakon rycerzy Jedi. Z całych sił teraz szukał Callisty i nie mógł pozwolić sobie na to, by ją stracić – nie teraz.

Ruszył z powrotem do wielkiej świątyni, na polanę, gdzie zebrali się niektórzy z jego wychowanków, by wspólnie stawić czoło niedobitkom oddziałów szturmowych wiceadmirala Pellaeona. Jego serce przeszył ból, gdy nie dostrzegł Callisty wśród nich.

Gdzie przepadła? Dlaczego spuścił ją z oczu? Miał jej tyle do powiedzenia. Tyle do ofiarowania...

– Callisto – szepnął, wiedząc, że go nie słyszy. Ale wówczas nagle spojrzął na mgliste, białe niebo, wyczuwając ją przez Moc. To było jak otwarcie drzwi, przez które wpada jasny promień.

Jego wzrok zatrzymał się na czarnej sylwetce skazanego na zagładę gwiazdowego superniszczyciela. Okręt płonął, opadając na gazowego olbrzyma. Kilka spóźnionych kapsuł ratunkowych odskoczyło od niego w różne strony, gdy załoga ewakuowała się a Luke wyczuł, że Callista tam została. Jęknął, rozumiejąc dokładnie, co zrobiła. Czując się bezradnie bez zdolności Jedi, postanowiła rozwiązać ten problem w stanowczy sposób, skupiając się całkowicie na samotnym zadaniu.

– Nie, Callisto – rzekł. – Nie! – Dotarł do niego jedynie przebłysk jej obecności w Mocy, mroczne dotknięcie, które sprawiło, że przeszedł go dreszcz. Otworzyła się znów na swoje zdolności, ale wykorzystywała tylko ciemną stronę. Callista dała się skusić i dopuściła złe moce do siebie, ale teraz przynajmniej Luke potrafił ją wyczuć przez zawile więzi Mocy.

Ten przebłysk minął po chwili; drzwi ponownie się zatrzasnęły, tak jakby Callista znów straciła swe zdolności – albo jakby stało się jej coś złego.

Wpijając się wzrokiem w zanikającą sylwetkę „Niewidzialnego Młota”, próbował wyostrzyć swe zmysły Jedi. Ale nie mógł już nic wyczuć. Drzwi Mocy zamknęły się i zablokowały, uniemożliwiając mu wyczuwanie obecności Callisty – wiedział jednak, że ona jest tam w górze, na ginącym statku.

Luke widział, jak gwiazdny superniszczyciel zagłębia się w atmosferę Yavina niczym ostry nóż. Jego opancerzony czarny kadłub rozjarzył się wiśniową czerwienią, gdy zetknął się z gęstymi gazami i szalejącymi burzami planety.

Przy kilku ostatnich eksplozjach, które spowodowały szkarłatne i żółte rozbłyski w górnych warstwach chmur, „Niewidzialny Młot” zniknął połknięty przez Yavina, pochłonięty na zawsze – a razem z nim Callista.

Rozdział 61

PAS ASTEROID HOTH

„Yavaris” i fregata szturmowa „Dodonna” opuściły zdradliwe okolice pasa asteroid Hoth, zostawiając za sobą wrak Miecza Ciemności.

– To zaoszczędziło nam fatygi – powiedział Wedge, kręcąc głową. – Ale Madine zginął. Szkoda, że nie ma sposobu, by się dowiedzieć, co się tam naprawdę stało.

Qwi patrzyła przed siebie w zadumie.

– Przynajmniej ta broń została zniszczona, zanim zdołała oddać jakikolwiek strzał – rzekła i westchnęła głośno. – Chciałabym, żeby ludzie przestali konstruować coraz większe i doskonalsze środki zniszczenia.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić – odparł Wedge, obejmując ją. – Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybym w końcu kiedyś musiał rozejrzeć się za inną pracą.

– Generale Antillesie – odezwał się dowódca grupy śledzącej wskazania przyrządów – namierzaliśmy jeden mały statek z pojedynczą żywą istotą na pokładzie. Jest zbyt mały, by stanowić jakieś zagrożenie.

Wedge zmarszczył brwi. Przez chwilę błysnęło mu nikłe światło nadziei – może Madine zdołał uciec! – ale wiedział, że to nie może być prawda, ponieważ czujnik procesów życiowych Madine'a na pewno by nie kłamał.

– Może ktoś opuścił tę stację – powiedział. – Włączyć promień ściągający. Schwycimy kapsułę i wciągniemy na pokład.

Opuścił swoje stanowisko, dając Qwi znak gestem, by poszła za nim. Uruchomił interkom.

– Chcę pełną ochronę, by dołączyła do mnie w przednim doku. Weźcie ze sobą broń. Możemy mieć kłopoty.

Wedge i Qwi czekali wewnątrz doku. Wokół nich stał oddział strażników, którzy trzymali blasterowe karabiny na biodrach. Byli niespokojni i podenerwowani, po trwającym od wielu dni stanie alarmowym i tygodniu manewrów w systemie Nal Hutta.

Wedge obserwował przez przezroczystą warstwę siłowego pola wokół statku, jak jasna kropka zbliża się do nich – metaliczny korpus zaokrąglonego statku odbijał promienie odległego słońca.

Nagle, w dziwnej zmianie perspektywy zdał sobie sprawę, jak mały był ten pojazd, który w rzeczywistości znajdował się już w pobliżu ich kadłuba jednoosobowy skuter inspekcyjny o średnicy nie większej niż cztery metry.

– Gdzie on zamierzał tym dolecieć? – zdziwił się Wedge.

– Czasami robi się świetny użytek z jedynej rzeczy, jaką się ma – powiedziała Qwi.

Wedge spojrział na nią, nieco zaskoczony. Qwi zawsze wydawała mu się nieco naiwna. Wiele nauczyła się jednak od czasu, gdy zabrał ją z Laboratorium Otchłani.

Wysłuzony skuter inspekcyjny został wciągnięty do środka, prowadzony przez promień ściągający, i osiadł ciężko na płytach posadzki. Strażnicy wycelowali w niego karabiny, stając w gotowości do strzału.

Pokrywa wjazdu pojazdu syknęła, otwierając się. Wedge zamarł na moment, po czym zamrugał powiekami zdziwiony, gdy ze skutera wygramolił się starszy, brzuchaty mężczyzna, z siwymi włosami sterczącymi na głowie w nieładzie. Sapał głośno, łypiąc z odrazą na wnętrze małego wehikułu.

Strażnicy zbliżyli się, by go pojmać. Nie opierał się, jedynie rozglądał się zmieszany.

– Bevel Lemelisk! – krzyknęła Qwi z gniewem i zdziwieniem zarazem.

– Znasz tego człowieka? – zapytał Wedge.

Qwi skinęła głową.

– Pomagał mi projektować Gwiazdę Śmierci – oświadczyła. – Wielki moff Tarkin zabrał go z Laboratorium Otchłani i uczynił głównym inżynierem przy projekcie w systemie Horuz. Wydawało mi się, że go widziałam na Nar Shaddaa, pamiętasz?

Wedge uniósł brwi.

– Może i rzeczywiście go widziałas.

Strażnicy przyprowadzili Lemeliska bliżej. Stary inżynier spojrzał na Wedge'a, po czym zwrócił zdziwione spojrzenie na Qwi.

– O, Qwi Xux – zabawne spotkać cię tutaj! Pracujesz teraz dla tych ludzi? Co za zbieg okoliczności!

Jasnoniebieska skóra Qwi pociemniała. Wedge nigdy przedtem nie widział u niej takiej złości. Pomyślał, że na widok dawnego partnera powróciły fragmenty wspomnień, wymazane podczas przymusowego czyszczenia jej pamięci.

– Oszukałeś mnie, Lemelisku – odezwała się ostro. – Okłamałeś mnie! Gdy pracowaliśmy w Laboratorium Otchłani, nigdy nie powiedziałeś, że nasza broń zostanie użyta do zabicia tylu osób i wyrządzenia takich zniszczeń. Twierdziłeś, że wszystko jest legalne i ma służyć celom pokojowym.

Lemelisk uśmiechnął się z ironią.

– Qwi, w pracy byłaś zawsze znakomita – ale poza tym potrafiłaś być wyjątkowo naiwna.

Żachnęła się jakby otrzymała policzek. Wedge się rozżościł.

– Byłaś na pokładzie tej superbroni Huttów?

– Na pokładzie Miecza Ciemności? – zapytał Lemelisk. – Pomagałem im go zbudować! Zaprojektowałem go. Ach, czy w końcu zdołali uciec? – Uniósł brwi, czekając na odpowiedź.

– Nie, broń uległa zniszczeniu w polu asteroid.

– A, jaka szkoda – odrzekł Lemelisk. – Nie jestem zresztą zaskoczony. Wątpiłem, czy to będzie działać.

– Co wiesz o naszej grupie komandosów? – zapytał Wedge. – Widziałeś ich?

Lemelisk kiwnął głową.

– No tak, rebeliancki sabotażysta. Zabiliśmy jednego z członków tej grupy, gdy próbował wysadzić nasze silniki. Drugiego – nazywał się chyba Madine – zaciągnięto przed oblicze lorda Durgi, po czym został stracony. Do ostatniej chwili był mężny, oczywiście.

Wedge poczuł jeszcze większą wściekłość i dał znak swoim strażnikom.

– Zabierzcie drania i zamknijcie. Zabierzemy go z powrotem na Coruscant, gdzie odbędzie się proces. – Zniżył głos, który zabrzmiał teraz jeszcze groźniej. – Bądź pewien, że mamy dość

dowodów, by skazać cię na śmierć jako osobę zagrażającą pokojowi w galaktyce.

– No cóż, dobrze. – Zdziwiające, Bevel Lemelisk zareagował na to spokojną rezygnacją, a nie przerażeniem. – Ale jeśli macie przeprowadzić egzekucję – dodał upewnijcie się, że tym razem zrobicie to właściwie.

Rozdział 62

YAVIN CZTERY

Siedemnaście gwiazdnych niszczycieli klasy Imperial tkwiło na obrzeżach systemu Yavina, otrzymawszy rozkaz, by nie zbliżać się bardziej i nie angażować w walkę z mającymi przewagę siłami rebelianckimi, które zgromadziły się, by bronić akademii Jedi. Całe zamieszanie trwało mniej więcej dobie, ale wyglądało na to, że Rebelianci przywracają już porządek.

Niedługo po zniszczeniu „Niewidzialnego Młota” większość gwiazdnych niszczycieli klasy Victory zdołała umknąć w miejsce ponownego spotkania w systemach gwiazdnych tworzących jądro galaktyki. Flota Pellaeona czekała, niezdolna nic zrobić.

– Namierzyliśmy jeszcze jedną kapsułę ratunkową, panie wiceadmirałe – oznajmił dowódca odpowiedzialny za dogłądanie czujników i przyrządów.

Pellaeon oparł się jedną ręką o barierkę na mostku, drugą podkręcał węża.

– Bardzo dobrze, śledźcie jej ruch – powiedział. – Zabierzemy ją. Sądzę, że większość z nich już została ściągnięta.

– Ta różni się nieco od innych, proszę pana – odparł oficer. – Nadaje sygnał na częstotliwości przeznaczonej dla dowódców. Musi być na zewnątrz już dłuższy czas.

Serce podskoczyło Pellaeonowi do gardła.

– Kapsuła dowódcy? Wciągnąć ją do dziobowego doku. Natychmiast schodzę.

Ruszył żwawym krokiem do turbowindy i nacisnął przycisk. Poczł się nagle bardzo staro. Imperialna flota została rozproszona. Bitwa o Yavin Cztery zakończyła się zupełną klęską. „Niewidzialny Młot” spłonął: najpotężniejszy okręt wojenny w nowo zjednoczonej flocie Daali, tak samo jak symbol imperialnej potęgi – zwyciężony przez ślepe szczęście Rebeliantów i brawurową determinację.

Wszedł do dziobowego doku dokładnie w chwili, gdy nieco podniszczona kapsuła ratunkowa przelatywała przez pole utrzymujące atmosferę we wnętrzu statku. Widząc ją, poczuł kolejny przebłysk nadziei – jeszcze jeden moduł wystrzelony z „Niewidzialnego Młota”, który jednak był lepiej opancerzony niż inne i nie posiadał żadnych znaków identyfikacyjnych. Najwidoczniej kapsuła dowódcy. Jej zewnętrzną powierzchnię zaczęła zdobić warstwa szronu.

Pellaeon nie wiedział, co Imperium powinno teraz uczynić, by mogli znieść tę klęskę z godnością. Upadek morale byłby wielkim nieszczęściem. Zrobił parę kroków naprzód. Szturmowcy stali wzdłuż ścian z bronią gotową do strzału, na wypadek gdyby kapsuła była pułapką.

Zanim Pellaeon zdążył uchylić właz, pokrywa odskoczyła sama, otwarta przez wewnętrzny system. Gdy tylko zatęchła atmosfera zaczęła mieszać się z ciężkim, metalicznym powietrzem zamkniętego doku, ze środka małego pojazdu wydobyła się Daala.

Jej oliwkowozielony mundur, zazwyczaj schludny, był porwany i poplamiony. Twarz miała

pokrytą sadzą, a na policzku ślady krwi, ale Pellaeon nie potrafił powiedzieć, czy była to krew Daali, czy kogoś innego.

Pellaeon poczuł, że ma nogi jak z waty. Ulżyło mu, gdy zobaczył Daalę. Ona będzie wiedziała, co robić, potrafi doprowadzić imperialną flotę do porządku.

Daala podniosła się powoli, spoglądając na niego i otrzepując mundur.

– Wiceadmirał Pellaeonie – odezwała się cicho, jakby brakowało jej sił i musiała zmuszać się, by cedzić słowa przez zęby. – W świetle tej katastrofy, zrzekam się swojego stopnia... i przekazuję dowództwo sił imperialnych w pańskie ręce.

Cisza, która nagle zaległa, ogłuszyła wszystkich niczym lawina. Daala mówiła dalej:

– Będę szczęśliwa wypełniając pańskie rozkazy i pomagając odbudowywać Imperium w każdy możliwy sposób, lecz czuję, że dłużej już nie jestem zdolna dowodzić tyloma wspaniałymi żołnierzami. Nie można ich prosić, by ryzykowali życie, służąc komuś, kto ma na koncie tyle porażek.

Precyzyjnym ruchem zsalutowała, spokojnie i zdecydowanie, nie spuszczając z niego wzroku ani na chwilę. Szturmowcy stali na baczność, łowiąc wszystkie szczegóły.

– Ależ pani admirał, nie mogę tego przyjąć. Potrzebujemy pani do odtworzenia...

– Nonsens, wiceadmirał – odparła. – Musi pan być silny. Proszę postępować według własnych przekonań. Potrzebujemy szansy na to, by dojść do siebie po takim pogromie. Potrzebujemy pańskiej siły.

Daala stała blisko niego, patrząc w jego oczy długo i nieustępliwie.

– Od tej chwili pan dowodzi flotą Imperium – oświadczyła.

Czekała stojąc sztywno na baczność, bez najmniejszego ruchu, aż w końcu Pellaeon powoli oddał jej salut.

Rozdział 63

CORUSCANT

Niebo nad Coruscant rozświeciło się jasnymi ogniami. X-skrzydłowce wyrzucały chmury plazmy, układające się w sztandar na tle ciemniejącego nieboskłonu. Zjonizowane gazy świeciły jasnymi kolorami wysoko nad głowami patrzących. Służyło to dwójkiemu celowi: świętowaniu kolejnego zwycięstwa nad Imperium i uhonorowaniu tych, którzy stracili życie w bitwach.

Na ceremonii ku czci Crixu Madine'a Luke Skywalker stał obok Leii i Hana Solo – ale myślami był bardzo daleko. Czuł pustkę i chłód. Grupa czekała na szczycie imperialnego pałacu, tuż przy latarni sygnałowej, która przesywała przestrzeń migającym światłem. Zimne, ostre powietrze smagało ich, ale Luke nie zwracał na to uwagi.

Wysoko w przestrzeni X-skrzydłowce przemykały po niebie w imponującym spektaklu.

See-Threepio, świeżo wypolerowany i błyszczący złoto w jasnych światłach, sterczał dumnie obok swego towarzysza Artoo-Detoo.

– Och, Artoo – odezwał się. – To była wielka radość znów służyć razem z tobą. Szkoda, że musisz wracać na Yavin Cztery i pomagać mistrzowi Luke'owi w akademii.

Artoo zaświergotał coś, a Threepio zeszywniał nagle, przestraszony.

– Co – ja mam lecieć z tobą do tej dzikiej, zdradzieckiej dżungli? Raczej nie! Tutaj na Coruscant mam wiele bardzo ważnych obowiązków... poza tym to znacznie bardziej cywilizowane miejsce.

Artoo zabeczał lekceważąco. Chewbacca, który stał przy nich z wymytą i wyczesaną sierścią, jęknął coś do Threepia. Złocisty robot odpowiedział mu oburzony:

– Wystarczy to, co powiedziałeś, Chewbacco. Powinieneś wiedzieć, że wykonuję odpowiedzialną pracę, pomagając pani Leii w obowiązkach przywódczyni Nowej Republiki.

Leia patrzyła w górę, w jej oczach lśniły łzy. Wokół rozległej górnej platformy imperialnego pałacu, skąd rozpościerał się widok na miasto pokrywające dużą część planety, stała gwardia honorowa. Han stał cały czas blisko Leii; sam był wzruszony, ale starał się to ukryć. Objął żonę ramieniem, podtrzymując ją na duchu.

Anakin i bliźniaki, Jacen i Jaina, mieli na sobie sztywne i niewygodne stroje, ale zachowywali się poprawnie, widocznie wyczuwając powagę sytuacji.

Gdy Luke spojrział na rodzinę Leii, serce przeszył mu ból. Nie był zazdrosny o Leię czy jej małżeństwo – on i jego siostra wiedli całkiem inne życia – ale tęsknił za podobną przyszłością razem z Callistą Tylko Callistą...

Jako dwoje potężnych Jedi, powinni tworzyć doskonałą parę. Byliby z pewnością szczęśliwi, pasowaliby do siebie – gdyby okoliczności nie zwróciły się przeciwko nim. Twarz Luke'a, jak wyciosana, przypominała maskę, która skrywała emocje... ale jego wewnętrzny ból był tak wielki, że nawet Leia go wyczuwała. Wzdrygnęła się i spojrzała na niego zmartwiona. Luke skinął powoli

głową by ją uspokoić.

Czuł się, jakby nagle został odarty z jakiejś istotnej części swego człowieczeństwa. Czy decyzja zostania Jedi pociągała za sobą to, że już nigdy nie będzie mógł przeżywać radości właściwej innym ludziom i nigdy nie będzie mógł kochać jak zwykły człowiek? Nie zdawał sobie sprawy, że ten wybór miał swoją cenę. Zbyt wysoką cenę.

Gdy Leia wstąpiła na postawione naprędce podium, gwardia honorowa Nowej Republiki stanęła na baczność, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Luke zerknął na udekorowanych bohaterów ostatniej walki z Imperium. Jego stary przyjaciel Wedge Antilles, z nowymi medalami przyczepionymi na piersi, stał obok podobnej do elfa badaczki Qwi Xux, która mrużyła ciemnoniebieskie oczy, jak gdyby zdumiona, że jest w centrum uwagi. Admirał Ackbar miał na sobie biały mundur i stał nieco wyżej, jako dowódca floty Nowej Republiki.

X-skrzydłowce skończyły pokazy i pomknęły w stronę stacji bojowych znajdujących się na orbicie. Świetliste wzory na niebie stopniowo przygasały.

Leia zaczęła mówić, a tuziny urządzeń przesyłających obraz, androidów prasowych i przedstawicieli galaktycznych służb informacyjnych transmitowały jej słowa do wszystkich światów Nowej Republiki.

– Jesteśmy tu, by świętować kolejne zwycięstwo – zaczęła Leia – i żeby zrozumieć jego cenę. Imperium ponownie próbowało obalić prawowity rząd galaktyki. Bezskutecznie. Zawsze bowiem będziemy zwyciężać, ponieważ stoimy po jasnej stronie.

Spojrzała na Luke'a, który spoglądał martwo przed siebie.

– To zwycięstwo nie przyszło nam jednak łatwo. Wielu dzielnych żołnierzy zginęło w służbie Nowej Republice.

Straty ponieśli także rycerze Jedi. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy poświęcił swoje życie, by odepchnąć flotę imperialnych gwiazdnych niszczycieli. Jego czyn ocalił innych rycerzy Jedi na Yavinie Cztery, którzy kontynuowali walkę aż do przybycia posiłków admirała Ackbara.

Jest szczęściem w nieszczęściu, że Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy nie żył dość długo, by dowiedzieć się, że jego rodzima planeta stała się celem pierwszego ataku admirała Daala. Ten świat został doszczętnie zniszczony i Nowa Republika wysłała tam swą pomoc, by uhonorować wielkiego syna planety Khomm.

Ubolewamy także nad stratą Callisty, rycerza Jedi, która utraciła zdolności władania Mocą, a mimo to zdołała samodzielnie doprowadzić do zniszczenia gwiazdowego superniszczyciela, na którego pokładzie, jak sądzimy, zginęła zarówno ona, jak i nasz największy wróg, admirał Daala. – Leia przerwała na moment, rozpamiętując niedawne wydarzenia.

– Z drugiej strony – odezwała się po chwili, odwracając się w stronę Wedge'a mamy przyjemność powiadomić was, że udało się powstrzymać Huttów przed użyciem ich własnej wersji Gwiazdy Śmierci, którą to broń zamierzali wykorzystywać do ściągania haraczu z pokojowo nastawionych systemów. Generał Antilles poprowadził atak, który zakończył się zniszczeniem ich superbroni – Miecza Ciemności.

Jednak i ta wyprawa została opłacona wielką stratą. – Głos Leii załamał się. Generał Crix Madine nie był może powszechnie znany. Jako szef wywiadu wojsk sprzymierzonych, działał za kulisami wydarzeń. Przyczynił się do większej ilości zwycięstw, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić, wykonując skutecznie zadania, nieodzowne wtedy, gdy zawodziły środki polityczne. Madine i jego oddział znaleźli ukrytą superbroń Huttów i wskazali generałowi Antillesowi jej lokalizację. Ten

sukces kosztował życie Madine'a i członków jego oddziału.

Zrobiła pauzę i wzięła głęboki oddech. Drżała. Luke spojrział na nią wyczuwając ciężar odpowiedzialności, jaka spoczywała na jego siostrze. Ale Leia była silna i dobrze dawała sobie radę. Kiedy przemawiała, zdawało się, że mówi do każdego obywatela miasta z osobna i specjalnie do niego.

– Nowa Republika jest znowu bezpieczna, dzięki wspaniałym wysiłkom naszych obrońców. Wciąż musimy budować swoją siłę. – Przełknęła ślinę. – I niech Moc będzie z wami.

Luke powrócił na Yavin Cztery, zamierzając oddać się całkowicie obowiązkom mistrza Jedi – szkoleniu uczniów i sprowadzaniu następnych obrońców Nowej Republiki.

To było teraz jego podstawowe zadanie, cel życia.

Razem z Artoo poleciał na porośnięty dżunglami księżyc na pokładzie Xskrzydłowca – latał wiele lat wcześniej podczas swych pierwszych walk w służbie Rebelii. Gdy wylądował przed wielką świątynią, spostrzegł z radością w sercu, że jego wychowankowie zajęci byli naprawianiem szkód wyrządzonych starożytnej kamiennej budowli przez siły Imperium.

Luke wyskoczył ze swego X-skrzydłowca, po czym użył Mocy, by wyciągnąć Artoo z jego stanowiska nawigacyjnego i posadzić łagodnie na płycie lądowiska. Astronawigacyjny robot wykorzystywany był przez uczniów Jedi do ćwiczeń, tak więc przyzwyczyił się do tego, że unoszą go niewidzialne ręce.

Kyp Durrone podbiegł do Luke'a, jego ciemne oczy były podkrążone z niewyspania.

– Witaj w domu, mistrzu Skywalkerze. Wiedzieliśmy, że przybędziesz tu wkrótce.

Luke kiwnął głową.

– Muszę pomóc wam wrócić do normalnego życia. Poszukiwania i trening rycerzy Jedi muszą trwać cały czas, bez względu na to, co się dzieje wokół.

Kyp przytaknął ponuro.

– Zrobiliśmy Dorskowi Osiemdziesiątemu Pierwszemu piękny grób w dżungli rzekł niepewnie. – Początkowo myślałem o tym, by polecieć na Khomm, gdzie poddano by jego zwłoki kremacji.

Luke przerwał mu, kręcąc głową:

– Oni mają dość własnych zmarłych.

Kyp skinął głową.

– Tak – a ja znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, co czuł. Dorsk Osiemdziesiąty Pierwszy był rycerzem Jedi. Wolałby raczej spoczywać tu, gdzie jest miejsce Jedi, niż zostać odesłanym na planetę, z której zawsze pragnął uciec. Nigdy tam nie pasował.

Luke spojrział w górę na wielkie, pomarańczowe oko Yavina, zajmujące większą część zamglonego nieba. Planeta wydawała się taka spokojna i łagodna. A jednak wiedział, że grawitacja tego olbrzyma całkowicie wchłonęła Callistę i Daalę razem z „Niewidzialnym Młotem”. Przeszedł go dreszcz i przez chwilę pomyślał z nadzieją, że może usłyszy głos Callisty, zobaczy rysy jej twarzy na tle potężnej planety, że odbierze jakiś przekaz wysłany z daleka.

Ale nie dotarło do niego nic...

Zobaczył zbliżającą się Tionnę. Jej perłowe oczy błyszczały, odrzuciła do tyłu srebrzyste włosy.

– Podczas twojej nieobecności przybył statek z zapasami, mistrzu Skywalkerze odezwała się. – Wszystko znów jest na dobrej drodze, a my pracujemy wspólnie – choć robilibyśmy większe postępy, gdybyś nami kierował.

Luke uśmiechnął się do niej i spojrzał na młodych Jedi.

– Kawał dobrej roboty, Tionno.

– Och, prawie zapomniałam – powiedziała, nie komentując jego pochwały. – Statek z zapasami przywiózł zapieczętowaną wiadomość dla ciebie.

Luke zmarszczył brwi.

– Od kogo? – spytał, przewidując jakieś kłopoty.

Tionna pokręciła głową.

– Nie odtwarzaliśmy tego. To prywatna wiadomość. Zostawiliśmy ją w twojej komnacie.

– W porządku – powiedział Luke. – Chodź, Artoo. Wejźmy do środka. Pozdrowił gestem pozostałych Jedi, którzy odbudowywali świątynię, używając Mocy do cięższych prac.

Pośród chłodnych, cienistych korytarzy piramidy Massassów Luke wybrał drogę prowadzącą do swojej komnaty. Artoo toczył się za nim, poświstując od czasu do czasu z radości, że jest w domu.

Luke znalazł zapieczętowany cylinder na swoim łóżku. Obracał go przez chwilę w dłoni, próbując odgadnąć, kto mógł być nadawcą. Nie miał pewności, czy chce się dowiedzieć... Może to był ktoś, kto chciał przesłać mu wyrazy współczucia – a to by jedynie zwiększyło jego cierpienie z powodu doznanej straty.

Ściągnął wygodny kombinezon lotniczy i włożył jedną ze swych szat Jedi. Od razu poczuł się lepiej, wzmocniony dodatkową energią Mocy. W końcu otworzył cylinder, wyjął z niego wałek zawierający informacje i połączył dwie części tak, by uruchomić odtwarzanie. Spojrzał na ekran i ze wzruszenia zapało mu dech. Callista!

Jej oczy skierowane były gdzieś daleko, nie patrzyła na niego. Nie miał pojęcia, jak dawno zostało to nagrane. Wyglądała na osłabioną i udręczoną, lecz przebijała z niej jakaś nowa wewnętrzna siła.

– Witaj, Luke'u. Przede wszystkim chcesz pewnie usłyszeć, że nie jestem martwa. Przepraszam, że musiałeś niepokoić się o mnie. Nie miałam jednak możliwości powrotu. Ledwie zdołałam wydostać się z gwiazdnego superniszczyciela w jednej z kapsuł ratunkowych, zanim cały statek rozbił się o Yavina.

Przerwała, jak gdyby wróciła wspomnieniem do tamtych wydarzeń, ale po chwili mówiła dalej.

– Po tym, jak uciekłam, pewien czas dryfowałam. Kapsuły dla dowódców mają dodatkowe silniki odrzutowe. Ale gdy minęło niebezpieczeństwo, gdy zorientowałam się, że udało mi się uciec, zdałam sobie sprawę, że nie mogę do ciebie wrócić, Luke'u nie teraz... Przepraszam.

Moje zdolności są mi teraz bliższe, ale jeszcze nie panuję nad nimi. Odgradza mnie od nich ściana ciemnej strony. Obawiam się, że znów ulegnę pokusie, jeśli będę blisko ciebie. Gdy jesteśmy razem, tak bardzo chcę odzyskać swoje zdolności, że gotowa jestem na wszystko... prawie wszystko. Nie mogę tak ryzykować.

– Callisto, nie – szepnął do jej obrazu. – Proszę.

– Muszę się udać na moje własne poszukiwania – rzekła. – Wierzę, że pewnego dnia odzyskam Moc. Wówczas będę mogła wrócić do ciebie. Potrzeba mi czasu, Luke'u. Trochę czasu. Obiecuję, że wrócę – jeśli dowiodę samej sobie, że godna jestem miłości wielkiego mistrza Jedi, którego kocham.

Zamilkła, jej obraz poruszył się tak, jakby zamierzała wyłączyć nagrywanie, ale jednak została. Z szeroko rozwartych, błyszczących szarych oczu Callisty biła siła.

– W odpowiednim czasie będziemy razem, Luke'u. – Wzięła głęboki oddech. – A we wszechświecie jest mnóstwo czasu.

Wizerunek rozplątał się, a Luke wyciągnął rękę, rozpaczliwie muskając powietrze, tak jakby

chciał przedłużyć jej obecność chociaż o sekundę – ale Callista zniknęła.

W jego sercu panował zamęt, przede wszystkim jednak odczuwał radość, wiedząc, że Callista nie zginęła. Jest żywa. Żywa! – ale znów ją stracił...

Wyszedł z wielkiej świątyni na gasnące popołudnie Yavina Cztery. Inni rycerze Jedi kręcili się wokół niego, zajęci swą pracą. Luke spojrział w górę, kierując wzrok na gigantyczną pomarańczową planetę, i sięgnął myślą w przestrzeń, mówiąc Calliście o swojej miłości i nadziei, że jej poszukiwania zakończą się pewnego dnia sukcesem.

– We wszechświecie jest mnóstwo czasu – powtórzył – i będzie on naszym wspólnym czasem, Callisto – ty i ja...

Młodzi Jedi nie przestawali pracować, złączeni ze sobą w Mocy. Luke Skywalker ruszył, by do nich dołączyć.